



Stephen
FREY

Dalsza część
przygód
Christiana
Gillette

Protegowany

Świat Książki

Stephen

FREY

Protegowany

Z angielskiego przełożył
Andrzej Leszczyński


Świat Książki

Tytuł oryginału THE PROTEGE

Redaktor prowadzący

Ewa Niepokólczycka

Redakcja *Barbara Brońska*

Redakcja techniczna

Lidia Lamparska

Korekta

Elżbieta Jaroszuk

Wszystkie postaci w tej książce są fikcyjne.

Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych - żyjących czy zmarłych - jest całkowicie przypadkowe

This translation published by arrangement with BaUantine Books,
an imprint of Random House Publishing Group,
a division of Random House, Inc.

Copyright © 2006 by Stephen Frey

All rights reserved

Copyright © for the Polish translation by Andrzej Leszczyński, 2008

Świat Książki

Warszawa 2008

Berteismann Media sp, z o.o.

ul. Rosoła 10,02-786 Warszawa

Skład i łamanie Akces, Warszawa

Druk i oprawa GGP Media GmbH, Pössneck

ISBN 978-83-247-0505-4 Nr 5796

*Dla Diany...
Tak bardzo cię kocham.*

Podziękowania

Specjalne podziękowania składam doktorowi Teo Forchtowi Dagiemu, człowiekowi niezwykle zapracowanemu, który mimo to zawsze znalazł chwilę na rozmowę i udzielił mi nieocenionej pomocy w sprawach technicznych; Markowi Tavaniemu, mojemu wydawcy, za niestrudzone starania; Cynthii Manson, mojej agentce, również za niestrudzone starania oraz Mattowi Malone'owi, mojemu serdecznemu przyjacielowi, który podsunął mi fabułę tej książki.

Dziękuję także moim córkom, Ashley i Christinie, które bardzo kocham, jak również wszystkim tym, którzy zawsze byli gotowi wspierać mnie rozmaitymi wyjaśnieniami i słowami zachęty: Stephenowi Watsonowi, Kevinowi „Big Sky” Erdmanowi, Ginie Centrello, Jackowi Wallace'owi, Bobowi Wieczorkowi, Scottowi Andrewsowi, Johnowi Piazzy, Kristin Malone, Gordonowi Eadonowi, Chrisowi Andrewsowi, Andy'emu Brusmanowi, Jeffowi Faville'owi, Marwinowi Bushowi, Jimowi i Anmarie Galowskim, Courtney, Walterowi Freyowi, Tony'emu Brazely'emu, Johnowi Griggowi, Bartowi Begleyowi, Barbarze Fertig, Patowi i Terry Lynchom, Chrisowi Tesonero, Baronowi Stewartowi, Gerry'emu Bartonowi oraz Mike'owi Pocalyko.

Jak też Dianie. Kocham cię, skarbie. Jesteś moim aniołem.

Prolog

David Wright spod półprzymkniętych powiek przyglądał się zmaganiom kobiety. Stała na czubkach palców, z rękoma wyciągniętymi nad głowę, gdyż była przykuta za nadgarstki do masywnych żelaznych kółek wpuszczonych w sufit. Długie ciemne włosy opadały jej nisko na nagie plecy, kiedy zadzierała głowę, próbując choć trochę ulżyć cierpieniom.

Po namyśle wybrał pejcz złożony z przytwierdzonych do smukłej drewnianej rączki dziesięciu wąskich rzemieni długości trzydziestu centymetrów, z supełkami na końcu. Zauważył, że oddycha coraz szybciej, a serce zaczyna mu walić jak młotem, jeszcze zanim ułożył pejcz w dłoni i wymierzył pierwsze lekkie smagnięcie w poprzek gładkiej skóry na plecach kobiety. Jęknęła cicho i potrząsnęła głową, poczuwszy ból, jakby chciała w ten sposób oddalić to, co nieuchronnie się zbliżało. Ale była przykuta wysoko, niemalże wisiała na rękach, toteż ledwie mogła się poruszyć. Była całkowicie zdana na jego łaskę.

Wright po raz pierwszy zajrzał do tego sex-shopu w West Village przed kilkoma miesiącami, szukając jakichś gadżetów, którymi mógłby urozmaicić kontakty z Peggy. Po kilku następnych wizytach zapoznał się bliżej z właścicielem sklepu, mężczyzną chudym, z drobnym wąsikiem, bez przerwy palącym papierosy który pewnego dnia zagadnął, czy nie interesowałoby go „coś na żywo”. Po krótkim namyśle przytaknął ruchem głowy i tamten poprowadził go na zaplecze, gdzie za ukrytymi drzwiami znajdowała się „komora zniewolenia”.

Podczas pierwszej wizyty był tylko biernym obserwatorem, ale szybko zdecydował się na czynny udział. Od tamtej pory uczestniczył w intymnych spotkaniach z kobietą, którą sam wybrał ze zdjęcia w albumie. Za godzinę tej przyjemności płacił pięć tysięcy dolarów, ale pieniądze nie miały dla niego żadnego znaczenia. Przystępował właśnie do czwartej sesji w ciągu ostatnich sześciu tygodni. Pociągnął łyk wody z butelki, gdyż w pokoju było gorąco, i po raz kolejny powiódł spojrzeniem po obnażonych rękach i nogach kobiety. Zauważył, jak pod jej skórą zaczynała grać bezwiednie napinane mięśnie, i to jeszcze bardziej go podnieciło.

Wymierzył pierwszy mocny raz, chociaż proszono go, by zaczynał powoli i delikatnie - oczywiście nie ze względu na jej cierpienia, ale po to, by dłużej się rozkoszować zadawaniem bólu. Właściciel sklepu długo mu tłumaczył, że jeśli nie będzie się spieszył na początku, z czasem osiągnie bardzo wysoki poziom podniecy, a więc rozkosz będzie tym intensywniejsza, gdy w końcu zacznie zadawać prawdziwy ból. Ale on niewiele o to dbał. Przywykł robić to, na co ma ochotę, i wtedy, kiedy ma ochotę.

W drugie uderzenie włożył już całą siłę. Jego ofiara krzyknęła donośnie, wtulając głowę w prawe ramię, a całe jej ciało przeszły wyraźny dreszcz grozy. Na szczęście nie musiał się martwić, że ktoś usłyszy krzyki, gdyż pokój był dźwiękoszczelny.

Zaczerpnął głęboko powietrza. Spotykał się z tą samą kobietą przez trzy wcześniejsze sesje. Lubił jej delikatne rysy, kształtną sylwetkę i sposób, w jaki na gładkiej skórze od razów pejcza szybko powstawały zaczerwienione obrzmienia. Nie miał najmniejszych wyrzutów sumienia z powodu zadawanego jej bólu. Za każdą sesję brała połowę z płaconych przez niego pięciu tysięcy, co stanowiło bardzo wysoką dniówkę, zwłaszcza dla kogoś, kto za dnia pełnił funkcję sekretarki w kancelarii adwokackiej. Świetnie zdawał sobie sprawę, czemu ona się na to godzi,

wiedząc przecież, co ją czeka. Dlatego nie widział najmniejszych powodów, by się zadręczać wyrzutami sumienia.

Po trzecim razie odrzuciła głowę do tyłu, krzyknęła na cały głos, po czym zaczęła go błagać o litość, ale to tylko nasiliło jego pragnienie zadawania bólu. Wymierzył czwarte uderzenie, później w krótkich odstępach piąte, szóste i siódme, spoglądając z satysfakcją, jak na jej plecach wykwitają długie czerwone smugi. Po siódmym zrobił sobie krótką przerwę dla zaczerpnięcia oddechu. Zaczynał się intensywnie pocić. Wierzchem dłoni otarł pot z czoła i pociągnął jeszcze kilka łyków wody mineralnej z butelki, rozkoszując się jękami i szlochem kobiety.

Kiedy odstawił butelkę z wodą, odłożył pejcz i zmusił kobietę, żeby stanęła na rzeźnickim pieńku, po czym sięgnął po zwisającą spod sufitu sznurową pętlę. Przełożył jej sznur przez głowę i zacisnął pętlę na szyi, chociaż gwałtownymi ruchami głowy próbowała tego uniknąć. Ten element sesji zasugerowany przez właściciela sklepu miał zastosować po raz pierwszy. Pamiętał ostrzeżenia, aby postępować nadzwyczaj ostrożnie, bo sytuacja może się wymknąć spod kontroli. Ale pamiętał też obietnicę, że wielokrotnie spotęguje to jego doznania, ponieważ kobieta też nie uczestniczyła w tym nigdy wcześniej, powinna więc być naprawdę przerażona.

Rozpiął łańcuchy, którymi była przykuta do kółek pod sufitem, wykręcił jej ręce do tyłu, za plecy, i szybko skrępował kajdankami. Kiedy jeszcze mocniej zacisnął jej pętlę na szyi, zaniósł się głośnym płaczem, ale syknął groźnie, żeby się zamknęła, po czym podszedł do ściany, przy której drugi koniec sznura był zamocowany do obręczy w murze. Zamierzał napiąć stryczek, po czym ostrożnie wyciągnąć pieńek spod jej nóg i pozwolić, żeby przez parę sekund dyndała na sznurze, zdjęta przerażeniem, że zostawi ją tak, by się udusiła, ale później, gdy zacznie spazmatycznie charczeć, ustawić ją z powrotem na pieńku. Już teraz myślał z nadzieją, że właściciel sklepu miał rację: ten element sesji powinien mu

przynieść niezwykłą podniętę.

Ale kobieta niespodziewanie spanikowała, raz i drugi szarpnęła się w więzach, wrzeszcząc wniebogłosy.

Kiedy pieniek pod jej stopami groźnie się zachwiał, skoczył do niej, chcąc jej zapewnić stabilną pozycję. Ale tylko zahaczył stopą o pieniek i tracąc równowagę, niechcący wykopał go spod niej. Zwalił się jak długi na cementową posadzkę, niemniej błyskawicznie przetoczył na plecy, w samą porę, żeby zobaczyć, jak kobieta zawisa na sznurze.

Nie spadła z wysoka, pieniek miał najwyżej czterdzieści centymetrów wysokości, ale to wystarczyło.

Wright poderwał się na nogi i skoczył do obręczy w murze, do której był przywiązany koniec liny, gorączkowo próbując ją rozsypać. Kiedy w końcu mu się to udało i spuścił kobietę spod sufitu, popatrzył z przerażeniem, jak jej bezwładne ciało spada na cementową posadzkę, z pętlą wciąż zaciśniętą silnie wokół skręconego karku. Klęknął przy niej i zajął w szkliste martwe źrenice. Ręce zaczęły mu się nagle trząść, a krew tak silnie pulsować w skroniach, że świat zafalował mu przed oczami.

- Jezu - szepnął, ocierając pot z czoła.

Kobieta nie oddychała, nie mógł wymacać u niej tętna. Nie miał pojęcia o pierwszej pomocy, toteż uniósł w dłoniach jej głowę i potrząsnął silnie w desperackiej nadziei, że to przywróci ją do życia. Ale nie przyniosło to żadnego efektu, nie drgnęła jej nawet powieka. Wciąż miał przed sobą szkliste martwe oczy, jak u manekina.

- Cholera! - syknął, czując, jak wzbiera w nim panika.

Podkraść się szybko do drzwi, uchylił je na parę centymetrów i rzucił okiem na sklep pogrążony w półmroku, jakby właściciel zamknął go przed czasem. Wydało mu się to dziwne. Do tej pory facet zawsze czekał, aż on skończy, tydzień wcześniej nawet do trzeciej w nocy. A teraz dochodziła dopiero północ.

Uchylił szerzej drzwi, żeby jaskrawe światło z komory rozjaśniło wnętrze sklepu. W środku nie było żywej duszy. Uznał, że to bardzo dziwne, ale zarazem przyszło mu do głowy, że nie ma czasu do stracenia. Musiał wykorzystać nadarzającą się okazję.

Cofnął się do leżącej bez ruchu kobiety, ściągnął jej stryczek z szyi, zdjął kajdanki, po czym ścierką powycierał wszystkie miejsca w komorze, gdzie mogły zostać jego odciski palców. Pospiesznie ubrał swoją ofiarę, przeniósł ją przez sklep i posadził pod ścianą w drzwiach, a następnie zbiegł po schodkach na chodnik cichej bocznej uliczki w West Village i rozejrzał się uważnie, żeby zyskać pewność, że nikogo w pobliżu nie ma. Usatysfakcjonowany, dźwignął bezwładne ciało z posadzki, zarzucił sobie na ramię i pobiegł ulicą najszybciej, jak to było możliwe, szeroko rozwartymi ustami z trudem łapiąc powietrze.

Pokonawszy jakieś pięćdziesiąt metrów, skręcił między samochody zaparkowane przy krawężniku i ułożył zwłoki w rozdzielającej je ciasnej przestrzeni. Wycofał się powoli na chodnik i popatrzył jak urzeczony na leżącą bezwładnie kobietę, próbując uciszyć skrupuły nadzieją, że łada moment obudzi się z tego koszmarnego snu. Kiedy wstrząsnął nim mimowolny szloch, energicznie pokręcił głową, po czym ruszył biegiem do pustego sklepu. Zrozumiał że teraz jest to kwestia jego przetrwania. Musiał się skoncentrować na tym, żeby znaleźć bezpieczne wyjście z opresji.

Z „komory zniewolenia” zabrał sznur, kajdanki oraz ścierkę, którą zacierał po sobie ślady, następnie wrócił na ulicę. Wyrzucił to wszystko do kontenera na śmieci stojącego kilkaset metrów dalej i skierował się w stronę Seventh Avenue, zamierzając złapać taksówkę. Wydostawszy się jednak na jasno oświetloną aleję, uzmysłowił sobie, że lepiej nie dawać taksówkarzowi możliwości do późniejszej identyfikacji. Dlatego ruszył szybkim krokiem przez Manhattan do Lexington Avenue, a tam wsiadł

do metra, gdzie nie musiał nikomu patrzeć prosto w oczy przez całą drogę powrotną do domu.

Ostatecznie dotarł do swojego mieszkania w Upper East Side krótko przed drugą w nocy. Nie chcąc budzić żony, wyciągnął się na kanapie w salonie i zapatrzył w sufit. Mimo wszystko nie mógł uwolnić się od obaw, że i tak wkrótce policja zapuka do jego drzwi.

CZEŚĆ PIERWSZA

Rozdział I

Christian Gillette szedł energicznie długim korytarzem siedziby Everest Capital, nowojorskiej spółki inwestycyjnej, którą zarządzał.

- Christian.

Zignorował cichy okrzyk, jaki rozległ się za jego plecami.

- Christian! - Na drugi okrzyk, głośniejszy, także nie zareagował. Zerknął tylko przez ramię na swoją asystentkę Debbie, która z notatnikiem i długopisem w dłoni prawie biegła, próbując mu dotrzymać kroku.

- Panie prezesie! - huknął wreszcie zadyszany Faraday, łapiąc go za ramię. Nadzwyczaj utalentowany brytyjski inwestor, który już z samego wyglądu robił wrażenie członka najwyższych elit finansjery z Wall Street, a mimo piętnastu lat spędzonych w Stanach Zjednoczonych wciąż mówił z silnym brytyjskim akcentem, był jego zastępcą w Evereście. - Zaczekaj chwilę.

- Dzień dobry, Nigel - odezwał się uprzejmie Gillette.

- Ja też się cholernie cieszę, że cię widzę - wysapał Faraday, z trudem łapiąc oddech. Był wręcz uzależniony od lodów, które, jak twierdził, skutecznie pomagały mu w walce ze stresem, co nie zmieniało faktu, że od czasu ukończenia studiów w Eton zyskał dobre piętnaście kilo nadwagi, z czego większość jeszcze na długo przed nastaniem codziennej presji związanej z pracą w prywatnej spółce kapitałowej. - Wysłałem ci dzisiaj rano aż trzy mejle - warknął. - Na żaden nie otrzymałem odpowiedzi.

- Nie miałem czasu.
- Jeden z nich był niezwykle pilny.
- Zajrzę do niego, jak tylko znajdę chwilę.

Faraday skrzywił się boleśnie.

- Jestem twoim zastępcą, Christianie. Muszę mieć z tobą kontakt.

Gillette wskazał kciukiem za siebie.

- Czekają na mnie w trzech salach jednocześnie. Pierwszy w kolejce jest reprezentant rodziny Wallace'ów, za nim są ludzie z naszej firmy księgowej, a za nimi...

- Mówisz o tych Wallace'ach z Chicago?!

- Tak.

- Jezu, przecież oni są warci ze dwadzieścia podwójnych baniek!

Błyskawicznie przyjęła się w firmie zapożyczona przez niego z ulicznego slangu nazwa miliona jako „bańki”, a miliarda jako „podwójnej bańki”.

- Nawet więcej.

- Ale trzymają się tylko we własnym gronie - ciągnął Faraday. - W ogóle nie rozmawiają z innymi inwestorami. Przez lata próbowałem nawiązać z nimi kontakt, by zachęcić ich do udziału w naszych inwestycjach, lecz nic z tego nie wyszło. Ani razu nie oddzwonili. Są bardzo tajemniczy.

- Tak, wiem.

Anglik milczał jeszcze przez chwilę, ale nie doczekał się dalszych wyjaśnień.

- Więc czego teraz chcą?

- Zaangażować ciebie.

- Poważnie? - Faraday wyprostował się nagle i przytknął pulchną dłoń do serca.

- No, niezupełnie - dodał z szerokim uśmiechem Gillette.

Tamten westchnął głośno.

- No więc o co im chodzi?

- Powiem ci o trzeciej, kiedy spotkamy się zgodnie z harmonogramem.

- Ale ja już teraz muszę z tobą porozmawiać.

- W porządku - odparł prezes, przybierając poważną minę. - Słucham.

- To cholernie dobra wiadomość. Dlatego pomyślałem, że zechcesz ją usłyszeć od razu.

Dobre wieści były zawsze miłym przerywnikiem codziennej szarości.

- Co się stało?

- Mamy dwóch nowych udziałowców nowego funduszu - odparł Anglik. - Wczoraj późnym wieczorem odebrałem mejla z Zarządu Funduszu Emerytalnego Kalifornijskiego Związku Nauczycieli. Chcą zainwestować sześćset baniek. A pięć minut temu dostałem odpowiedź z towarzystwa North America Guaranty. Zgodzili się wyłożyć półtorej podwójnej bańki. - Uśmiechnął się od ucha do ucha. - Postawiliśmy na swoim, Christianie. Everest Osiem ma już piętnaście miliardów dolarów. Dlatego z radością chcę ci zakomunikować, że zgromadziłeś największy prywatny fundusz inwestycyjny w historii.

To niesamowite, pomyślał Gillette. Przy tak wielkim funduszu można było uzyskać kredyty na łączną sumę co najmniej sześćdziesięciu miliardów, gdyż banki i towarzystwa ubezpieczeniowe aż się prześcigały w swoich ofertach. Zatem mogli już zacząć planować zakupy przedsiębiorstw na łączną kwotę siedemdziesięciu pięciu miliardów dolarów, żeby powiększyć pulę tych trzydziestu, którymi Everest już teraz zarządzał.

- I co o tym sądzisz? - zagadnął Faraday. - Prawda, że to wspinała wiadomość?

- Ale trochę zajęło zgromadzenie całego funduszu.

Faradayowi szczeka opadła.

- Jedynie dziesięć miesięcy. To przecież kurewsko dobry wynik.

Znali się od jedenastu lat, lecz Gillette wciąż nie mógł się nadziwić

łatwości, z jaką Anglik wplatał w rozmowę rynsztokowe określenia. Tolerował to, kiedy byli sami, musiał jednak zważać na reakcje osób trzecich.

- W założeniu miał zostać zgromadzony przez rok - przypomniał mu Faraday. - Udało się skrócić ten czas aż o dwa miesiące!

Gillette dostrzegł ponad ramieniem swego zastępcy jedną z recepcjonistek, kobietę w średnim wieku, wymachującą energicznie ręką, żeby przyciągnąć jego uwagę.

- O co chodzi, Karen?

- Panie Gillette, komisarz NFL chce z panem rozmawiać.

Faraday pobladł nagle. Od dawna czekali na ten telefon. Był efektem dwóch lat wzmożonych wysiłków.

- Przełącz pana Landry'ego na moją komórkę - polecił spokojnie, wyjmując z kieszeni małe aparat.

- Już przełączam. - Karen zawróciła biegiem do swego stanowiska.

Gillette przysunął się bliżej Faradaya i serdecznie uściśnął mu dłoń.

- Odwaliłeś kawał dobrej roboty z tym funduszem, Nigel. Naprawdę spisałeś się znakomicie.

Anglik spuścił głowę, wyraźnie speszony tą pochwałą.

- Dziękuję. Bardzo mi zależało, żeby to usłyszeć.

Zadzwoił telefon komórkowy i Faraday popatrzył na niego z wyciekaniem.

- Boże, mam nadzieję, że i oni się dołączą.

Prezes włączył aparat, uniósł go do ucha i rzekł:

- Tu Christian Gillette.

- Christian? Mówi Kurt Landry.

- Cześć, Kurt. O co chodzi?

- No więc... Christianie... wczoraj wieczorem odbyło się zebranie udziałowców - zaczął z ociąganiem Landry. - Przegłosowali, aby odsprzedać przywileje budowlane w Las Vegas spółce Everest Capital. Macie to, o co zabiegaliście.

Gillette'a przeszył dreszcz podniecenia. Zaproponowali NFL czterysta

pięćdziesiąt milionów dolarów. Była to wręcz horrendalna suma przywi-
leje na rozbudowę miasta niemającego żadnej historii, będącego zaled-
wie punktem na środku pustyni, a w dodatku pozbawionego dużej stałej
populacji, która mogłaby usprawiedliwiać tak wysoką cenę. Jednak
wziąwszy pod uwagę strategię działania wypracowaną przez jego zespół,
Gillette nie miał najmniejszych wątpliwości, że za kilka lat owe przywi-
leje będą warte pięć razy tyle, a może nawet więcej, dużo więcej.

- I co? - zapytał szeptem Faraday.

Gillette odparł bezgłośnie, samym ruchem warg: „Mamy je”.

- Możemy od razu zaproponować nazwę nowej drużyny, Kurt - rzekł
do mikrofonu, spoglądając z uśmiechem, jak Anglik szeroko wymachuje
rękoma w powietrzu, po czym splata dłonie nad głową i zaczyna odsta-
wiać dziwaczny taniec na oczach zdumionej Debbie. Pokręcił głową na
ten żywiolowy przejaw radości i ciągnął: - Co powiecie na „Pierdoły”?

- Nie sądzę, Christianie, żeby...

- Albo „Dwudziestkijedynki” - wypalił Gillette, rozkoszując się osłu-
pieniem swego rozmówcy. - Już widzę te nagłówki w prasie sportowej:
„W finale pucharu świata Dwudziestkijedynki zagrają z Czterdziestka-
midziewiątkami. Ciekawe, która liczba będzie górą?”.

- Przemyślcie jeszcze wszystkie swoje propozycje. Na wypadek,
gdybym rzeczywiście miał dla was dobre wiadomości.

- Zakładałem, że już przedstawiłeś te dobre wiadomości.

- W każdym razie nie wynajmujcie jeszcze grafików do projektowa-
nia znaczka drużyny. - Landry zachichotał. - Możemy się spotkać na
lunchu w poniedziałek? Omówimy wtedy szczegóły.

Gillette był już umówiony na poniedziałkowy lunch, ale tę sprawę
uważał za ważniejszą.

- Oczywiście. Zaraz poproszę Debbie, żeby ustaliła wszystko z twoją
asystentką.

- Dzięki.

Gillette wyłączył telefon, schował go do kieszeni i oznajmił:

- Zafatwione, Nigel. Mamy te przywileje.

Faraday uśmiechał się od ucha do ucha.

- Prawda, że to wspaniały ranek?

Gillette spojrział na zegarek. Było wpół do jedenastej. Pozostało jeszcze mnóstwo czasu na to, żeby coś zepsuło im radość.

- Zobaczymy.

- Tylko się tak nie podniecaj - rzekł Anglik. - Wolałbym, żebyś nie padł na zawał serca tutaj, w korytarzu biura.

Ale prezes już go nie słuchał, poszedł dalej energicznym krokiem w stronę sali konferencyjnej numer jeden.

- Odwołaj poniedziałkowy lunch - rzucił przez ramię do truchtającej za nim sekretarki z długopisem i notatnikiem w rękach. - Potem zadzwoń do asystentki Kurta Landry'ego i...

- Słyszałam, Chris. Wszystkim się zajmę.

Debbie była niewątpliwie jedną z jego najlepszych decyzji kadrowych. Zawsze odgadywała jego prośby, skrupulatnie wypełniała wszelkie zadania i zawsze była uśmiechnięta, nawet jeśli on się wściekał. Zaliczała się do wąskiego grona osób, na których mógł polegać bez zastrzeżeń. I należała do jeszcze węższego, któremu wolno było zwracać się do niego zdrobniale: Chris.

Zaledwie stanął przed drzwiami sali konferencyjnej, znów zadzwonił jego telefon komórkowy. Wyjął go i spojrział na wyświetlacz. Widniał na nim numer Harry'ego Steina, wiceprezesa Discount America, szybko rosnącej sieci wielkich supermarketów, która odważyła się wydać wojnę Wal-Martowi i zaczynała z nim wygrywać. Dziewięćdziesiąt procent akcji Discount America należało do Everest Capital, a Gillette był przewodniczącym rady nadzorczej. Jako prezes spółki inwestycyjnej niemal z urzędu zasiadał w radach nadzorczych wielu firm należących do Everestu.

- Wejdz i zobacz, czy niczego nie potrzebują - zwrócił się do Debbie, ruchem głowy wskazując drzwi sali konferencyjnej. - Napojów, herbatników... I powiedz, że za chwilę do nich przyjdę.

Debbie pokręciła głową, zerkając podejrzliwie na terkoczący aparat w jego rękę.

- To niesamowite.

- Co?

- Że zajmujesz się tyloma sprawami jednocześnie i nic ci się nie pomyli.

Zmarszczył brwi, nieprzygotowany na pochlebstwa z jej strony.

- Już dobrze, dobrze - mruknęła, unosząc wzrok do nieba, odebrawszy widocznie jego reakcję jak przejaw zniecierpliwienia. - Idę.

Uśmiechnął się, gdy odwróciła się do niego tyłem, weszła do sali i zamknęła drzwi. Nigdy nie radził sobie z komplementami pod swoim adresem. Zupełnie jak jego ojciec.

- Czego potrzebujesz, Harry?

- Do diabła, panie prezesie. Nie usłyszę nawet „Dzień dobry”?

- Czego ci trzeba?!

- Skąd wiesz, że czegoś potrzebuję?

- Ty zawsze czegoś potrzebujesz. O co chodzi tym razem?

- Już ci mówiłem w ubiegłym tygodniu, tyle że sytuacja się jeszcze pogorszyła. Siedzimy po same uszy między aligatorami z Marylandu.

Stein w każdej rozmowie robił jakieś aluzje do zwierząt, co niezmiernie irytowało Gillette'a.

- Nie pamiętam.

- Staramy się wybudować nowy sklep w miasteczku o nazwie Chatham na Wschodnim Wybrzeżu. To po drugiej stronie zatoki Chesapeake, naprzeciwko Bal...

- Jeszcze wiem, gdzie jest Wschodnie Wybrzeże.

- No właśnie. Więc byłby to nasz pierwszy sklep w tamtym rejonie

i gdyby udało się go zbudować, zadalibyśmy Wal-Martowi dotkliwy cios. Dopiero wtedy na dobre zaistnielibyśmy na rynku.

- I co stoi na przeszkodzie?

- Pani burmistrz namawia ludzi, żeby głosowali przeciwko nam.

- Dlaczego?

- Chatham to stare rybackie miasteczko, które powstało jeszcze przed Wojną Wyzwoleńczą nad niewielką rzeką o nazwie Chester. Ma bogatą i strasznie nudną historię, z którą miejscowi chętnie by cię zapoznali. Ale dla nas jest położone w bardzo korzystnym, strategicznym miejscu. Rzekłbym, że na łeb bije inne lokalizacje. Tyle że ta baba się wścieka, jakby stanęła oko w oko z półtonowym gorylem. Wbiła sobie do głowy, że nasz supermarket całkowicie wyeliminuje z interesu lokalnych sklepikarzy z nadmorskiej promenady i zamieni jej Rajski Ogród w zaśmiecony ogródek handlowy. To typowy przykład paranoicznego małomiasteczkowego sposobu myślenia, ale baba uznała się chyba za zbawiciela. Robi coraz więcej zamieszania i nawet zyskuje spore poparcie, a co gorsza...

- To normalne, Harry. Już nieraz mieliśmy z tym do czynienia. Najlepiej zostawić sprawę własnemu biegowi - przerwał mu delikatnie Gillette.

- Kiedy ona wydzwania do burmistrzów i rad miejskich w innych miejscowościach branych przez nas pod uwagę. Rozmawiała już z ludźmi z New Jersey i Pensylwanii, z Wirginii i Karoliny Północnej. Do diabła, założyła specjalną stronę internetową, na której rozpowszechnia plotki o szykowanym przeciwko nam zbiorowym pozwie o dyskryminację kobiet w naszych placówkach. Oczywiście nie szykuje się żadne zbiorowe wystąpienie, ale tego typu bzdury łatwo znajdują posłuch i mogą się wymknąć spod kontroli.

- Ale dlaczego dzwonisz z tym do mnie?

- Bo powinienes chyba z nią porozmawiać - odparł Stein.

- Ja? Przecież to ty jesteś wiceprezesem firmy.

- Już z nią rozmawiałem - przyznał półgłosem. - Ale nie poszło mi najlepiej.

- Czemu uważasz, że mnie pójdzie lepiej?

- Bo jesteś wielkim graczem, ważnym finansistą, a ona tylko maleńką płotką. Omal nie wpadła w szal, kiedy jej powiedziałem, że będę musiał bezpośrednio z tobą omówić niektóre jej żądania. A potem już w ogóle nie chciała się ze mną widzieć.

- Co to za żądania?

- Na początek zażyczyła sobie, żebyśmy zafundowali miastu nową podstawówkę i dom starców.

Przy okazji dużych inwestycji ludzie zawsze wyciągali ręce po jałmużnę, a oni czasami odnosili wrażenie, że biorą udział w jednym wielkim festynie dobroczynnym.

- To rzeczywiście śmieszne - przyznał Gillette.

- A zaplanowaliśmy niesamowity sklep, Christianie. Prawie cztery tysiące metrów kwadratowych powierzchni handlowej, do tego wspaniale usytuowany. To niemal nowa rewolucja w handlu detalicznym. Pod jednym dachem wszystko, czego klienci mogliby poszukiwać, no i jeszcze w rejonie, który powinniśmy jak najszybciej opanować. - Stein urwał dla złapania powietrza. - Ale wcześniej musimy powstrzymać tę babę od namawiania przeciwko nam wpływowych ludzi z innych miast. Do tego potrzebna mi twoja pomoc.

Od razu się domyślił, co to ma być za „pomoc”. Dla niego oznaczało to dzień stracony na ściskanie rąk i całowanie tyłków zarabiających małomiasteczkowych oficjeli, którzy próbują wyprosić od niego co tylko się da podczas lunchu złożonego z gumowego pieczonego kurczaka i jakiegoś lokalnego, tłustego i mdłego specjału, zdobywcy ubiegłorocznej nagrody smakoszy w parafialnym konkursie. Nie mógł ani zapalić supernowej, ani utworzyć czarnej dziury na tym firmamencie, rozumiał jednak, że Discount America znalazł się w punkcie krytycznym, na progu wielkiego przełomu mającego się odbić gromkim echem w handlu

detalicznym. Dopiero to pozwoliłoby Everestowi w ciągu następnych dwunastu czy osiemnastu miesięcy albo przekształcić sieć sklepów w spółkę akcyjną, albo odsprzedać ją Wal-Martowi, oczywiście z gigantycznym zyskiem.

- Zadzwoń do Debbie i ustal z nią termin spotkania. Gdzieś w połowie przyszłego tygodnia.

- Dziękuję, panie prezesie. Jestem pewien, że to poskutkuje. Tylko ty potrafisz ugadać grzechotnika szykującego się do ataku i...

Gillette przerwał połączenie. Nie miał czasu na dalsze pochlebstwa Steina. Ale nie zdążył schować aparatu, gdy ten zadzwonił ponownie. Zaklął pod nosem i spojrzął na wyświetlacz. Dzwoniła Faith Cassidy. Przypomniał sobie, że miał do niej dzwonić z samego rana.

Faith była gwiazdką pop zdobywającą coraz większą popularność. Jej pierwsze dwa albumy sprzedały się w wielomilionowych nakładach i obecnie szykowała trzeci. Była właśnie na Zachodnim Wybrzeżu, uczestniczyła w wielkiej akcji promocyjnej płyty. Nagrywała dla małej wytwórni należącej do koncernu branży rozrywkowej kontrolowanego przez Everest Capital, a Gillette był w nim prezesem rady nadzorczej. Ponadto Faith była jego przyjaciółką. Albo kimś w tym rodzaju.

- O co chodzi?

- Witaj, Chris.

- Cześć.

- Boże, chyba jesteś strasznie zapracowany.

- Owszem. Co u ciebie?

- Wspaniale, po prostu wspaniale. Dzięki, że odpowiednio nastawiłeś ludzi z tutejszej branży muzycznej. Przyjmują mnie wszędzie po królewsku.

- Bo na to zasługujesz. Jesteś gwiazdą.

- No cóż... może i jestem - odparła z wrodzoną skromnością. - Ale tęsknię za tobą.

- Ja również tęsknię. Kiedy wracasz?

- Jeszcze nie wiem. To zależy od paru rzeczy. Nie mogę się doczekać, kiedy cię znów zobaczę.

- No, tak... to będzie miłe spotkanie.

- Czyżbyś z samego rana pozrywał dziś wszystkie pączki namiętności?

- Mam mnóstwo roboty, skarbie. Nic więcej.

Westchnęła głośno.

- Rozumiem.

- Porozmawiamy później, dobrze?

- Kocham cię, Chris.

Przez chwilę nie odpowiadał, czekając, aż oddali się przechodzący korytarzem młody pracownik biura.

- Wzajemnie. Do zobaczenia.

Mężczyzna siedzący po drugiej stronie stołu konferencyjnego poderwał się z miejsca i wyciągnął rękę na powitanie, jak tylko Gillette wszedł do sali.

- Gordon Meade, dyrektor naczelny biura Wallace Family.

- Christian Gillette.

- Bardzo mi miło, Christianie.

Był koło sześćdziesiątki i wyglądał nienagannie, od krótkich siwych włosów po czubki wypolerowanych do połysku butów. Jak na kogoś, kto zarządza majątkiem o wartości około dwudziestu miliardów dolarów, roztaczał wokół siebie aż nadto familiarną atmosferę i mówił z delikatnym tajemniczym uśmieszkiem na wargach, jakby za chwilę miał ujawnić najpilniej strzeżony sekret rodziny Wallace'ów. Chyba właśnie to sprawiało, że doskonale nadawał się do funkcji, jaką pełnił.

Cóż, w końcu wszystkie stare rody mają swoje sekrety. A zwłaszcza te bogate.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparł Gillette, ruchem ręki zapraszając gościa, żeby usiadł. - Wiem, że bardzo rzadko rozmawiają państwo z przedstawicielami innych firm inwestycyjnych, toteż poczytuję

sobie za wielki zaszczyt państwa wizytę.

- Dziękujemy. - Meade obrócił się nieco w stronę siedzącej obok młodej kobiety. - Pozwól, Christianie, że przedstawię ci Allison Wallace.

Była atrakcyjna, nawet bardzo. Szczupła postawna blondynka o przykuwających spojrzenie rysach, jasnoniebieskich oczach, prostym wąskim nosie, pełnych wargach i gładkiej cerze. Miała na sobie skromną klasyczną granatową garsonkę i białą bluzkę zapiętą aż pod szyję. Z wyglądu nie przekroczyła jeszcze trzydziestki.

- Witam.

Odpowiedziała delikatnym skinieniem głowy.

- Allison zasiada w radzie powierniczej majątku rodziny Wallace'ów - wyjaśnił Meade. - Razem ze swoim wujem oraz dziadkiem. Owa rada jest motorem napędowym wszelkich inwestycji czynionych przez rodzinę. Ponadto Allison jest moją przełożoną. - Jego uśmiech przybrał nieco sztuczny charakter.

Jakby było coś złego w tym, że podlega się kobiecie o połowę młodziej, pomyślał Gillette.

- Dziękuję państwu za wizytę. Jak już powiedziałem, czuję się zaszczycony, ale jestem też bardzo ciekawy - rzekł, zajmując miejsce u szczytu stołu. - Przez telefon nie sprecyzowałeś celu tej wizyty, Gordonie. Szczerze mówiąc, rzadko godzę się na spotkania, nie znając tematu rozmowy. Ale dla rodziny Wallace'ów zrobiłem wyjątek.

- Reprezentowanie rodziny wiąże się z pewnymi przywilejami - przyznał ostrożnie Meade. - Mogę zapytać, co ci wiadomo o Wallace'ach?

- Wiem, że są szczególnie wrażliwi na punkcie swego wizerunku w mediach. Tak bardzo wrażliwi, że nie mają nawet swojej strony internetowej, jak to jest w przypadku większości podobnych rodzin.

- Od dawna próbuję ich namówić na jej założenie - odparł Meade. - Znacznie lepiej kontrolować przepływ informacji niż dawać ludziom powód do domysłów. Ale jak dotąd nic nie wskórałem. Pytałem jednak,

czy wiesz coś o historii rodu.

- Wiem, że Willard Wallace w połowie dziewiętnastego wieku założył chicagowską spółkę kolejową Western Railway. - Gillette był miłośnikiem kolei, toteż z zainteresowaniem przejrzał materiały dotyczące rodzinnych inwestycji, gdy tylko Debbie wczoraj przyniosła mu teczkę z papierami. - Jego spadkobiercy na początku dwudziestego wieku odprzedali spółkę koncernowi znanemu obecnie jako Burlington Northern, zatrzymali jednak większość ziemi wykupionej pierwotnie przez Willarda pod budowę linii kolejowych. Przez lata znacznie powiększyli rodzinny majątek, sprzedając te tereny działka po działce. Potem trafili na następną żyłę złota, kiedy nastąpiła era ekspansji telefonii komórkowej.

Po minie gości było widać, że zaimponował im swoją wiedzą.

- Dobrze się przygotowałeś, Christianie. Niełatwo dotrzeć do tych informacji.

Everest Capital był również właścicielem firmy detektywistycznej i ochroniarskiej o nazwie McGuire & Company, a jej agenci potrafili dokopać się niemal każdej informacji na każdy temat. Wiceprezes McGuire'a Craig West podlegał bezpośrednio Gillette'owi.

- Według naszych szacunków rodzina obraca kapitałem w wysokości dwudziestu miliardów dolarów.

- W tej sprawie nie wolno mi się wypowiadać - odparł szybko Meade, błyskawicznie poważniejąc.

- Co oznacza, że nasze szacunki są trafne. - Gillette spojrzał na Allison, która nie odezwała się dotąd ani słowem, ale też nawet na chwilę nie spuszczała z niego wzroku.

- Jak rozumiem, dotarliście również do informacji o politycznych zaprzyntowaniach rodziny Wallace'ów - rzekł Meade, szerokim gestem wskazując porozwieszane między regałami pełnymi książek zdjęcia Gillette'a w towarzystwie prezydenckiej pary Bushów, Rudy'ego Giulianiego, George'a Patakiego oraz kilku innych czołowych polityków

republikańskich. - Wallace'owie hojnie wspierają naszą „Wielką Starą Partię”. - Uśmiechnął się znowu. - Macie tu drugą salę konferencyjną, gdzie wiszą twoje zdjęcia u boku demokratów?

- Owszem, z małżeństwem Clintonów, Kerrym, Cuomo i kilkoma innymi politykami - wyjaśnił Gillette. - Mamy też trzecią salę do rozmów ze zwolennikami kandydatów niezależnych. - Spojrzał na zegarek. Było pięć po jedenastej. O wpół do jedenastej w drugiej sali miał się spotkać z księgowymi, a przed pięcioma minutami z człowiekiem czekającym w sali trzeciej. - Zatem z jakiego powodu chcieli państwo się ze mną zobaczyć?

- Stałeś się już żywą legendą w świecie wielkiej finansjery - zaczął Meade. - Jesteś prawdziwym rarytasem.

- W tej firmie pracujemy zespołowo, Gordonie, nie uznajemy żadnych gwiazd. Zatem tylko mój zespół może być rarytasem, nie ja.

- To bardzo ładny kawałek drogi do Canossy, Christianie. Zapewne równiutko wybrukowany. Ale to ty jesteś prezesem Everest Capital. Ty dostajesz cięgi, gdy ktoś popełni błąd, i ty bierzesz swoją działkę z każdego sukcesu. Tak to już jest w tej branży. - Usadowił się wygodniej na krześle i założył nogę na nogę. - Ile masz lat?

- Trzydzieści siedem.

- Jesteś jeszcze taki młody... - Meade głośno westchnął.

- Nie marnowałem czasu.

- Ależ oczywiście. Kilka tygodni temu przeglądałem magazyn „People” i natknąłem się na listę pięćdziesięciu najatrakcyjniejszych kawalerów w naszym kraju. Określono cię tam jako najbardziej zapracowanego człowieka Ameryki.

- Nie rozmawiałem z żadnym dziennikarzem na temat tej listy - odparł skromnie Gillette. - Umieścili mnie na niej na własną odpowiedzialność. Nie raczyli nawet zadzwonić i uprzedzić, że ma się ukazać artykuł

na ten temat. Ale ja nie przywiązuję do takich rzeczy najmniejszej wagi.

Meade zachichotał.

- Sądzę, że z obecności na takiej liście nie ma żadnego pożytku, jeżeli brakuje czasu na korzystanie z uroków stanu kawalerskiego.

- Mnie zawsze brakuje wolnego czasu, Gordonie.

Tamten wyrozumiale pokiwał głową.

- Ja też tak kiedyś uważałem, ale nauczyłem się cenić wolny czas, kiedy moje słońce zaczęło się chylić ku zachodowi. Korzystaj z chwili, dopóki możesz, Christianie. Nie zapominaj, że z prochu powstałeś.

- Jasne.

Meade w zamyśleniu strząsnął niewidoczny pyłek z nogawki spodni.

- Chciałem ci zadać kilka pytań dotyczących Everestu, zanim przejdę do powodów naszej wizyty.

Ludzie siedzący w pozostałych salach konferencyjnych musieli jeszcze poczekać. Ten człowiek sprawował nadzór nad dwudziestoma miliardami dolarów, a Gillette wyczuwał w powietrzu nadarżającą się wyjątkową okazję.

- Słucham.

- Kiedy objąłeś stanowisko prezesa Everestu? Rok temu?

- Dziesięć miesięcy.

- A od jak dawna pracujesz w spółce?

- Od jedenastu lat. - Gillette znowu zerknął na Allison, która cały czas przyglądała mu się uważnie. - Wcześniej pracowałem u Goldmana Sachsa, w dziale fuzji i nabytków.

- Wcześniej prezesem Everestu był Bill Donovan, zgadza się?

- Tak. To on założył spółkę w roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym czwartym i zarządzał nią aż do listopada roku ubiegłego, kiedy to przejąłem jego funkcję. Pierwszy fundusz, jaki zgromadziliśmy, liczył dwadzieścia pięć milionów dolarów. Od tamtej pory utworzyliśmy siedem dalszych.

- Siedem? - zdziwił się Meade.

- Tak. Od roku osiemdziesiątego czwartego zgromadziliśmy łącznie osiem funduszy.

- Sądziłem, że siódmy to wasz ostatni i aktualny. Tak przynajmniej wyczytałem na waszej stronie internetowej.

- Ósmy skończyliśmy gromadzić dopiero dzisiaj rano, dosłownie kilka minut przed naszym spotkaniem. Jeszcze dziś informacje na naszej stronie internetowej powinny zostać uaktualnione.

- Jakim kapitałem dysponuje ten fundusz?

Zauważył kątem oka, że Allison pochyliła się nieco w jego stronę.

- Piętnaście miliardów dolarów.

Meade aż gwizdnął cicho.

- Jezu, to chyba największy prywatny fundusz inwestycyjny, jaki kiedykolwiek powstał.

- Zgadza się. Mieliśmy szczęście.

- To nie jest sprawa szczęścia - odezwała się w końcu Allison, przerywając milczenie. - Jesteście po prostu dobrzy. Inwestorzy nie liczą na szczęście, dla nich ważna jest tylko wydajność, a wasza wydajność jest wręcz niezwykła. Kolejne fundusze przynoszą co najmniej czterdzieści procent rocznego zysku. Słyszałam, że Everest Sześć daje ponad pięćdziesiąt procent zysku rocznie. W ciągu ostatnich dziewięciu miesięcy sprzedaliście prywatnemu kapitałowi dużą sieć sklepów spożywczych i przedsiębiorstwo utylizacji odpadów, a ponadto dwie inne spółki przekształciliście na akcyjne i wprowadziliście na giełdę. Mówię o firmie informatycznej z Los Angeles zarządzającej komputerowymi bazami danych i tej wytwórni układów scalonych z La Jolla. A wszystko to z imponującym zyskiem. Na samych transakcjach zarobiliście ponad trzy miliardy dolarów.

- Bliżej czterech - sprostował Gillette, rozmyślając, że Allison Wallace

mogła odziedziczyć coś więcej poza genami znanego i szanowanego rodu. - Mieliliśmy dobrą passę.

- Mieliliście niesamowitą passę, a przecież został wam jeszcze najważniejszy atut z tej talii, czyli Laurel Energy. Tylko na tej sprzedaży powinniście zarobić od czterech do pięciu miliardów.

Laurel Energy to kanadyjska spółka wydobywczo-produkcyjna, którą Everest kupił przed kilkoma laty. Ostatniej jesieni specjaliści z Laurel odkryli duże złoża ropy i gazu ziemnego na terenach objętych opcjami, które firma kupiła po bardzo atrakcyjnych cenach. Everest zainwestował w Laurel Energy trzysta milionów dolarów. Allison miała jednak rację, według wycen fachowców spółka była obecnie warta około pięciu miliardów dolarów.

- Skąd pani o tym wie? - zapytał.

- Też inwestujemy w kanadyjskie złoża ropy i gazu - odparła. - A ludzie nie potrafią trzymać buzi na kłódkę. Wszyscy czują silną potrzebę dzielenia się z innymi swoimi tajemnicami.

- To prawda. Wszyscy chcą się czuć tak, jakby stali w pierwszym szeregu na trybunie.

- Co pewnie tobie wcale nie tak łatwo zrozumieć, Christianie - wtrącił Meade - skoro zawsze jesteś w pierwszym szeregu. - Znów zrobił śmiertelnie poważną minę. - Porozmawiajmy o tym, co się wydarzyło w listopadzie ubiegłego roku.

Gillette powoli przeniósł wzrok z Allison na niego.

- To znaczy o tym, jak zostałeś prezesem Everestu. O Milesie Whitmanie.

Uzmysłowił sobie, że już od dłuższego czasu w żadnej rozmowie nie pojawiło się to nazwisko.

Jeszcze przed rokiem Whitman był szefem działu inwestycji i członkiem rady nadzorczej North America Guaranty, największego w Stanach Zjednoczonych towarzystwa ubezpieczeniowego i najpoważniejszego

inwestora pośród udziałowców Everestu. Doprowadził do miliardowych strat, potajemnie źle inwestując podległe mu fundusze towarzystwa, i stanął wobec perspektywy kary wieloletniego więzienia, gdyby księgowi z wynajętej firmy bądź inni członkowie rady dowiedzieli się o tym, co zrobił. Dlatego też opracował desperacki plan utajenia strat, które wyrzucił, a jego częścią miało być przejęcie kontroli nad Everestem.

Plan ten zakładał, że na stanowisku prezesa Everestu znajdzie się ktoś całkowicie zależny od Whitmana, marionetka wykonująca bez zastrzeżeń jego wszystkie polecenia. Wcześniej jednak należało się pozbyć Billa Donovana — a w dalszej kolejności zapewne też Gillette'a - przy pomocy pierwotnych właścicieli spółki McGuire & Company, a więc Toma i Vince'a McGuire'ów. Udało im się dopaść Donovana, lecz w końcu spisek wyszedł na jaw i jego uczestnicy musieli zniknąć w popłochu. Policja zdołała aresztować Vince'a, lecz Whitman i Tom McGuire przepadli bez śladu.

Donovan zginął w odległym zakątku swojej wiejskiej posiadłości w Connecticut. To rzeczywiście stawało nieoczekiwany awans Gillette'a w nie najlepszym świetle. Aż pokręcił głową na tę myśl.

- To, co się wydarzyło w listopadzie ubiegłego roku, przez kilka tygodni było opisywane na pierwszych stronach gazet, Gordonie - odparł cicho.

- Tak, ale...

- Możesz sobie przeczytać te artykuły w Internecie - dodał, widząc kwaśną minę swojego gościa.

- Nie odbiło się to żadnym echem na waszych relacjach z North America Guaranty? Czy towarzystwo włożyło jakieś pieniądze do tego funduszu, który właśnie skończyliście gromadzić, do Everest Osiem?

- Owszem, miliard dolarów - odparł Gillette. - Nadesłali zobowiązanie dzisiaj rano.

- To dobrze. Według mnie to ważne, by mieć udział w największej puli forsy dostępnej w tym kraju.

- Możesz mi wierzyć, że w pełni to rozumiem - przyznał solennie Gillette.

- Ile zostało wam jeszcze środków z funduszu Everest Siedem? - ciągnął Meade.

- Dwa miliardy dolarów.

- Zatem łącznie dysponujecie obecnie siedemnastoma miliardami, dwoma z funduszu siódmego i piętnastoma z najnowszego.

- Zgadza się. Razem jest siedemnaście.

- Ile przedsiębiorstw do was należy?

- Trzydzieści. Mamy ponadto udziały w firmach, które przekształciliśmy w spółki akcyjne i wprowadziliśmy na giełdę, ale nie są to pakiety kontrolne.

- Jaka jest łączna wartość przedsiębiorstw, którymi zarządzacie?

- Około siedemdziesięciu miliardów.

- A w ilu z tych trzydziestu firm piastujesz stanowisko prezesa?

Przemknęło mu przez myśl, że gościom nie spodoba się ta odpowiedź.

- W osiemnastu.

- A niech mnie! - syknął starszy mężczyzna. - Naprawdę wystarczy ci czasu, żeby nadzorować aż tyle przedsiębiorstw, kierować Everestem i jeszcze szukać najlepszych sposobów zainwestowania tych siedemnastu miliardów waszych udziałowców?

- Nie - przyznał szczerze. - W najbliższym czasie planujemy zwiększyć liczbę wspólników zarządzających o dwóch. Prawdopodobnie jeszcze w tym roku otworzymy też filię na Zachodnim Wybrzeżu i zatrudnimy w niej najlepszych doświadczonych fachowców ściągniętych z innych prywatnych spółek kapitałowych. Zwiększymy koszty działalności firmy, ale zaoszczędzimy sporo czasu.

- Otwieracie filię w Los Angeles czy San Francisco?

Gillette spojrzął na zegar wiszący na ścianie.

- Czy zamierzają mi państwo w końcu zdradzić cel swojej wizyty?
- Chcemy być waszym współinwestorem - wypaliła szybko Allison, nim Meade zdążył otworzyć usta.

Zamyślił się nad tym na kilka sekund.

- Jak dokładnie mam to rozumieć?
- Chcemy być powiadomieni, gdy będziecie rozważali zakup następnego przedsiębiorstwa, byśmy mogli rozważyć dostępne opcje wspólnej inwestycji.

Gillette znowu milczał przez chwilę, zastanawiając się nad tą propozycją.

- A co my będziemy z tego mieli? Włożymy mnóstwo wysiłku w znalezienie firmy i ustalenie warunków transakcji, a następnie w zaangażowanie ekipy menedżerskiej, która nią pokieruje. Co mielibyśmy zyskać na takiej współpracy?

- Większy fundusz - odparła Allison. - Przeznaczmy na to pięć miliardów dolarów, więc sumaryczny fundusz inwestycyjny wzrośnie z siedemnastu do dwudziestu dwóch miliardów. Będziecie zatem mogli rozważać zakup większych przedsiębiorstw.

- Jeszcze minutę temu nic nie wskazywało na to, że chcecie złożyć takie zobowiązanie.

- Nie rozumiem.

- Mówiła pani o opcjach, o rozpatrzeniu ewentualnego wspólnego inwestowania z nami.

- Bo nie chcielibyśmy inwestować w zakup firmy, która nam się nie spodoba.

- W Evereście obowiązują inne zasady. Jeśli zobowiązecie się do udziału, będziecie musieli wyłożyć pieniądze, kiedy podejmiemy decyzję o nowym zakupie. Jeśli tego nie zrobicie, przepadną wszystkie wasze fundusze zainwestowane wcześniej. To gra o najwyższą stawkę. Dlatego nie przyjmę waszej propozycji, dopóki nie uzyskam zobowiązania do

bezwarunkowego udziału. Przystępując do negocjacji, muszę mieć pewność, że mam po swojej stronie pewny kapitał.

- Jaka jest roczna opłata za udział w funduszu Everest Osiem? - zapytała Allison.

- Jeden procent wartości.

- Sto pięćdziesiąt milionów rocznie?!

- Większość spółek inwestycyjnych bierze półtora procent, w niektórych wypadkach nawet dwa - odparł spokojnie Gillette. - Doskonale o tym wiecie. My obracamy największymi funduszami i tylko dlatego możemy pobierać od inwestorów niższe opłaty.

- Zapłacimy pół procent od naszych pięciu miliardów - zaproponowała Allison.

- Dla nikogo nie zrobię wyjątku. Nie muszę. - Spojrzał na Meade'a, który wstydliwie wbijał wzrok w podłogę, a następnie na Allison, wciąż przyglądającą mu się uważnie. Wiedział już, że to do niej należy ostateczna decyzja. Wyczytał to w jej oczach.

- W porządku - powiedziała z ociąganiem. - Zainwestujemy pięć miliardów dolarów w fundusz Everest Capital Partners Osiem na takich samych warunkach, jak wszyscy udziałowcy.

- Będę musiał jeszcze przedstawić tę propozycję naszym inwestorom, wszystkim ograniczonym wspólnikom, którzy już złożyli zobowiązania udziału w tym funduszu - ostrzegł lojalnie. - Muszę się upewnić, że nie będzie żadnych sprzeciwów z powodu zwiększenia funduszu z piętnastu do dwudziestu miliardów.

- Czy zobowiązując się do wyłożenia pięciu miliardów, zostaniemy waszym największym inwestorem? - zaciekała się Allison.

- Owszem.

- W takim razie przedstawimy dodatkowe żądania.

Był na to przygotowany. Ostatecznie trudno oczekiwać, że dostanie się za darmo aż pięć miliardów.

- Chcę zostać współnikiem w zarządzie Everestu.

Licząc też Faradaya, byłaby piątym podległym mu współnikiem zarządu, nie wspominając już o ośmiu dyrektorach zarządzających oraz całej gamie wiceprezesów i asystentów odpowiadających przed dyrektorami. Powiększenie istniejącej piramidy hierarchii służbowej należało do rzeczy, których się nie spodziewał po tym spotkaniu.

- Mogę całkowicie zrezygnować z wynagrodzenia.

Każdy chciał być jakoś wynagradzany za swoją pracę, zatem Allison też musiała na coś liczyć.

- Nie chcę ani pensji, ani żadnych dodatków - ciągnęła. - Nie chcę nawet udziału w premiach od sprzedaży.

Miała na myśli premie wypłacane z zysków. Kiedy Everest zarabiał pieniądze, to znaczy sprzedawał jakieś przedsiębiorstwo drożej, niż za nie zapłacił, Gillette zatrzymywał dla siebie dwadzieścia procent zysku. Gdyby Laurel Energy, za którą zapłacili trzysta milionów, udało się sprzedać za pięć miliardów, zatrzymałby dwadzieścia procent z czterech miliardów siedmuset milionów zysku, czyli dziewięćset czterdzieści milionów dolarów. Jako prezes firmy miał prawo podzielić tę sumę między pracowników Everestu według własnego uznania. Zgodnie z warunkami uczestnictwa w spółce mógł nawet zatrzymać całą tę kwotę dla siebie. Nie zamierzał z nich korzystać, ale miał takie prawo.

- Chcę się pani przekonać, jak działamy - rzekł, myśląc o zbliżającej się sprzedaży Laurel Energy. Gdyby rzeczywiście dostał od ubiegających się banków inwestycyjnych pięć miliardów dolarów, byłaby to najkorzystniejsza transakcja w historii Everestu. - Chcę pani poznać nasze sekrety.

- To przecież oczywiste - odparła Allison. - Ale w zamian dostaniecie pięć miliardów dolarów do swojego funduszu, pięćdziesiąt milionów rocznie więcej na płace, możliwość uzyskania na podstawie naszych pięciu miliardów znacznie większych i korzystniejszych kredytów, a w dodatku współnika zarządu niepobierającego pensji.

Gillette zamyślił się nad negatywnymi stronami takich warunków. Miał obawy, że Allison Wallace jako największy inwestor funduszu poczuje się uprawniona do zabierania mu czasu według własnego widzimisię, a może nawet uzna, że powinna mieć więcej od innych do powiedzenia w sprawie strategii działania i wyboru inwestycji. Mimo to nie mógł zapomnieć o perspektywie wzrostu funduszu o pięć miliardów i zwiększenia stałych dochodów firmy o pięćdziesiąt milionów dolarów rocznie.

Zaczerpnął głęboko powietrza. Znowu sam musiał podjąć niezwykle ważną decyzję.

- Zgoda.

Chwilę później Allison i Meade wyszli z sali konferencyjnej i został sam na sam z Debbie, która ruszając za nim w stronę drzwi, zauważyła cierpko z ironicznym uśmieszkiem:

- Muszę przyznać, że było to bardzo interesujące.

- Co?

- Słyszałam o bardzo różnych rzeczach, na które godziły się kobiety, żeby zdobyć mężczyznę, ale po raz pierwszy byłam świadkiem, jak w tym celu na stole łąduje pięć miliardów dolarów. To bardzo łakomy kąsek w pułapce.

W głębi ducha uważał podobnie, ale za nic nie mógł się do tego przyznać.

- Nie jest niczym niezwykłym wśród inwestorów, że chcą mieć swojego człowieka w zarządzie prywatnej spółki inwestycyjnej, skoro oddają do jej dyspozycji tak olbrzymi majątek. - Prawdę mówiąc, był to warunek raczej niezwykły, ale przecież Debbie nie musiała o tym wiedzieć. - A to największe zobowiązanie, jakie którakolwiek z prywatnych spółek kapitałowych dostała od inwestora.

Debbie jęknęła gardłowo.

- Nie próbuj mi mydlić oczu tym żargonem. Czyżbyś nie zauważył,

jak na ciebie patrzyła? Nawet na chwilę nie spuszczała z ciebie oczu.

- Daj spokój.

- Nie rozumiesz, że stanowilibyście niesamowitą parę? Wysoki, przystojny szatyn i atrakcyjna zgrabna blondynka. Prezes Everest Capital i dziedziczka jednej z największych fortun w kraju. Wymarzona para, pierwsza pozycja na liście gości każdego przyjęcia. Ona właśnie tak myślała, Chris. Miała to wypisane na twarzy.

- Przemawia przez ciebie zazdrość.

Oboje doskonale wiedzieli, że to nieprawda. Debbie była lesbijką. Gillette kazał się o tym upewnić detektywom z agencji McGuire & Company, zanim ją zatrudnił. Chciał, by łączyły ich czysto zawodowe stosunki.

- Zrób coś dla mnie - poprosił. - Zadzwoń do Craiga Westa z McGuire'a i każ mu wygrzebać co tylko się da na temat tej Allison Wallace.

- Rozumiem.

- I powiedz człowiekowi czekającemu w trzeciej sali, że przyjdę za pięć minut - rzucił przez ramię, odwróciwszy się, żeby wyjść na korytarz. Ale zatrzymał się jeszcze i mruknął: - Aha.

Debbie uniosła głowę znad notatnika.

- Tak?

- Co powiedziałaś tuż przed naszym wejściem na salę?

Zamyśliła się głęboko, przywołując z pamięci tamten moment.

- Chodzi ci o tę uwagę, że dajesz sobie radę z tyloma sprawami naraz?

Skinął głową.

- Dzięki - powiedział cicho. - To było miłe.

- Christian!

- Do diabła! - syknął Gillette, który omal nie wpadł na Davida Wrighta w wyjściu na korytarz.

Wright był dyrektorem zarządzającym i wschodzącą gwiazdą Everestu.

Trzydziestojednoletni, postawny, o szerokiej twarzy, osadzonych blisko siebie oczach, krótkich blond włosach i bardzo jasnej karnacji, agresywny aż do granicy arogancji, zaliczał się do najbardziej uzdolnionych pracowników spółki. W dodatku był jedyną osobą w firmie zdolną rywalizować z prezesem przy stole bilardowym.

- Musimy porozmawiać, Christianie. Już teraz. Bez zwłoki.

- O co chodzi? - rzucił Gillette ostro, gdyż nie mógł się oprzeć wrażeniu, że tego przedpołudnia wszyscy nagle muszą się z nim pilnie zobaczyć.

- Mamy okazję kupić Hush-Hush Intimates - odparł Wright. - No, wiesz, największego rywala Victoria's Secret.

Gillette nieźle znał firmę Hush-Hush, która pojawiła się na rynku przed niespełna dziesięcioma laty, ale zdążyła już odnieść spektakularny sukces w produkcji jeszcze odważniejszej seksownej bielizny niż oferowana przez słynną Victoria's Secret. Katalog Hush-Hush, wydawany raz na sezon, był jeszcze bardziej poszukiwany od reklamówki kostiumów kąpielowych „Sports Illustrated” i katalogu bielizny Victoria's Secret razem wziętych.

- To prywatna firma - ciągnął Wright - a jej właściciele podjęli właśnie decyzję o sprzedaży marki.

- Skąd o tym wiesz?

- Przed chwilą skończyłem rozmowę telefoniczną ze znajomym, który kieruje u nich działem rozwoju. Nazywa się Frank Hobbs. Byliśmy dość blisko zaprzyjaźnieni podczas studiów ekonomicznych. Powiedział, że mógłby poprzez swoje znajomości w firmie ułatwić nam transakcję, ale musimy się szybko decydować.

- Ile warta jest ta firma?

Wright wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Czy to istotne? Ważne, że zyskuje na wartości szybciej od firm branży technicznej, a my możemy ją mieć na własność.

Gillette zmierzył Wrighta uważnym spojrzeniem. Od kilku lat ściśle ze sobą współpracowali, ale jeszcze nigdy dyrektor nie sprawiał wrażenia aż tak wynędzniałego.

- Dobrze się czujesz?

Tamten wbił wzrok w podłogę.

- Tak, jasne.

Gillette czekał w milczeniu, aż Wright znowu spojrzy mu prosto w twarz, ale się nie doczekał, toteż rzekł:

- No cóż, zbierz więcej informacji o tej firmie.

Przecisnął się obok niego i wyszedł na korytarz.

- Cześć, Marvin - rzucił głośno, wchodząc do drugiej sali konferencyjnej.

Marvin Miller był współnikiem firmy White & Cross, dużej spółki świadczącej usługi księgowo.

- Witaj, Christianie - odezwał się Miller z entuzjazmem w głosie, wstając zza stołu, żeby uściśnąć prezesowi dłoń. - Pozwól, że ci... - zaczął, chcąc przedstawić towarzyszącego mu młodszego współpracownika, ale Gillette przerwał mu lekceważącym machnięciem ręki. Nie miał na to czasu.

- Uspokój się - mruknął, dostrzegłszy podniecenie księgowego. Cóż, w grę wchodziły naprawdę duże pieniądze. - Siadaj.

Na wargach Millera pojawił się nerwowy uśmiech.

- Dlaczego uważasz, że powinienem się uspokoić?

- Świetnie wiesz, dlaczego chciałem się z tobą zobaczyć.

- Nie rozumiem - bąknął tamten niepewnie, powoli siadając z powrotem na krześle.

- Nie żartuj, Marvin. Mówiłeś, że jest jakiś kłopot z finansami Laurel Energy i że ten problem wyjdzie na światło dzienne w trakcie sprzedaży. Zamierzam zgarnąć za Laurel pięć miliardów dolarów i nie dopuszczę, żeby cokolwiek sknociło mi tę transakcję.

- Powiedziałem tylko, że ta sprawa może wyjść na światło dzienne...

- Wasza firma zajmuje się księgowością Laurel Energy od trzech lat. Jak to możliwe, że dopiero teraz pojawił się ten problem?

- Całkowicie polegamy na zestawieniach dostarczanych przez waszą sekcję zarządzania, Christianie. Jeden z moich ludzi ma tylko drobne wątpliwości co do kosztów administracyjnych wykazanych w zestawieniu za ostatni miesiąc. Najwyraźniej coś tam się nie zgadza.

Gillette otworzył już usta, ale szybko je zamknął. Nie było sensu podejmować dyskusji, trzeba było szybko się z tym uporać.

- W ilu naszych firmach przeprowadzasz stałe kontrole, Marvin?

- No... w dziewiętnastu.

- Ile ci za to płacimy rocznie?

- Ja... nie znam dokładnej sumy, musiałbym...

- Wystarczy mi przybliżona kwota.

Miller głośno przełknął ślinę.

- Około stu milionów, może nawet więcej.

- Zatem sto milionów. To chyba sowite wynagrodzenie, prawda? Na pewno nie chcielibyście go stracić. - Popatrzył, jak księgowy po raz kolejny z trudem przełyka ślinę. - Tymczasem dziś rano skończyliśmy właśnie gromadzić kolejny fundusz. Dysponuje aż dwadzieścia miliardów, więc będziemy mogli za te pieniądze kupić wiele nowych firm. Dużych firm, wymagających mnóstwa pracy księgowej. Wasza spółka mogłaby mieć pierwszeństwo w obsłudze tych przedsiębiorstw. - Zawiesił na chwilę głos. - Ale to nic pewnego.

- Christianie, ja...

- W najbliższym czasie chcę rozpocząć formalne przygotowania do sprzedaży Laurel Energy - przerwał mu Gillette. - Poważnie zastanawiam się nad zaangażowaniem Morgana Stanleya, toteż wolałbym, żeby sprawy finansowe były w idealnym porządku - zakończył ostrzejszym tonem, wstając od stołu. - Czy to jasne?

Miller energicznie pokiwał głową, jakby szybko doszedł do wniosku, że warto zrobić wszystko, byle pozostać w łaskach prezesa.

- Oczywiście, Christianie. Nie będzie żadnych problemów - odparł cicho. - Możesz już zapomnieć o tej sprawie.

- A więc zapominam.

Po wyjściu na korytarz Gillette spojrział na zegarek. Było już wpół do dwunastej. Miał nadzieję, że jego ostatni rozmówca jeszcze czeka.

W trzeciej sali jednak nikogo nie było.

- Niech to szlag! - syknął, wracając przez sekretariat do swojego gabinetu.

Debbie pospiesznie zagroziła mu drogę.

- Pan Smith nie zrezygnował ze spotkania - wyjaśniła. - Wcale się tu nie pokazał.

- Co takiego?

- Zadzwoił do recepcji, kiedy rozmawiałeś z delegacją rodziny Wallace'ów. Czeka na ciebie w pokoju hotelowym w Intercontinentalu. - Na szczęście było to zaledwie kilkaset metrów od siedziby Everestu. - Pokój dwanaście czterdzieści jeden. - Uśmiechnęła się ironicznie. - Zachowuje się tak, jakby oczekiwał, że wszystko rzucisz i pobiegiesz do niego.

Gillette uniósł wzrok do nieba.

- Owszem. Masz rację.

- Pan Smith? - zapytał cicho, kiedy mężczyzna uchylił drzwi pokoju.

Tamten otworzył mu szerzej, ale wchodząc do środka, Gillette zwrócił uwagę, że mężczyzna wychylił się na korytarz i rozejrzał się na obie strony, nim zamknął drzwi i cofnął się w głąb pokoju.

- Dziękuję, że zechciał pan tu przyjść, panie Gillette. - Nieznajomy usiadł na małej sofie przy kawiarnianym stoliku z ciemnego drewna i wskazał mu miejsce na identycznej sofie naprzeciwko. - Wiem, że jest

pan bardzo zajęty, ale nie dało się tego załatwić w inny sposób.

Gillette usiadł, nie spuszczać wzroku z tajemniczego człowieka.

- Nawiasem mówiąc, nie nazywam się Smith, tylko Ganze. Daniel Ganze.

- W porządku.

- Napije się pan czegoś, panie Gillette? Kawy, coca-coli?

- Nie, dziękuję.

Ganze był niski, mógł mieć najwyżej sto siedemdziesiąt centymetrów wzrostu. Krótko ostrzyżone ciemne włosy wyraźnie się przerzedzały na czubku głowy. Odznaczał się czarnymi cienkimi brwiami i drobnymi ustami o cienkich wargach, którymi prawie wcale nie poruszał, kiedy mówił. Głos miał niski i dźwięczny, a każde słowo cedził niemal z przesadną artykulacją. W dodatku nie patrzył na rozmówcę, tylko umykał spojrzeniem lekko w bok, jak gdyby bał się ukazać swoją twarz en face. Chyba w ogóle bał się spojrzeć komukolwiek prosto w oczy. Ale mogło to być mylne wrażenie.

- Po co ta cała konspiracja, panie Ganze? - zapytał Gillette, uświadomiwszy sobie, że to już jego drugie tego dnia spotkanie, którego cel pozostaje tajemnicą. Dokuczała mu ta świadomość. - Senator Clark prosił, żebym się z panem zobaczył.

Michael Clark był członkiem Konwentu Seniorów Senatu Stanów Zjednoczonych, w którym reprezentował Kalifornię. Poznali się z Gillette'em minionego lata podczas przyjęcia w Białym Domu i od tamtej pory spotykali się kilkakrotnie, żeby omówić kwestię ekspansji inwestycji Everestu w Kalifornii, gdyż te mogły przynieść stanowi poważne korzyści.

- Zawsze z przyjemnością spełniam prośby senatora - dodał - ale nie dowiedziałem się od niego, jaki jest cel tego spotkania. Mówiąc szczerze, nie powiedział mi nawet, czym się pan zajmuje, panie Ganze.

- Z wykształcenia jestem adwokatem, ale już nie praktykuję. Obecnie reprezentuję pewne interesy w Waszyngtonie.

- Interesy?

- Owszem, interesy. - Ganze pochylił się nad stolikiem. - Bardzo do-
ceniam wstawiennictwo senatora Clarka i jestem wdzięczny, że zechciał
mi pan poświęcić swój czas. Wiem, jak bardzo jest pan zajęty.

Powtórzył to już drugi raz.

- Skąd pan wie, że jestem bardzo zajęty?

- Po prostu wiem. - Ganze odchylił się na oparcie i ciasno skrzyżował
ręce na piersi. - Jak już wspominałem, przykro mi z powodu tej konspi-
racji, ale naprawdę nie dało się tego załatwić w inny sposób. To chyba
wszystko, co mogę na razie panu powiedzieć o sobie i interesach, jakie
reprezentuję. W dalszym ciągu z pewnością dowie się pan więcej.

Gillette chciał już odpowiedzieć, lecz tamten nie dopuścił go do gło-
su.

- Pański ojciec był senatorem, panie Gillette.

Zapatrzył się na Ganze'a, czując, jak serce zaczyna mu łomotać w
piersi. Bezskutecznie próbował zapanować nad przyspieszającym gwał-
townie pulsem.

- Zgadza się.

Starał się też zapanować nad swoim głosem, lecz nie miał złudzeń, że
gospodarz nie zauważył jego podenerwowania i nie wyłowił chropowa-
tości słów wydobywających się przez zaciśnięte gardło. Nie znosił sytu-
acji, w których mimowolnie dawał rozmówcy dowód o stanie swego
ducha, ale nic na to nie mógł poradzić, skoro rozmowa dotyczyła jego
ojca.

- Nazywał się Clayton Gillette - ciągnął Ganze. - Założył i zbudował
w Los Angeles popularny bank inwestycyjny, który następnie sprzedał
jednej z firm brokerskich z Wall Street za sto milionów dolarów. Po tej
transakcji na jakiś czas zniknął z oczu opinii publicznej, aż wreszcie
wystartował w wyborach do Kongresu. Wygrał je, przez jedną kadencję

zasiadał w Izbie Reprezentantów, później zdobył miejsce w Senacie. Zginął w katastrofie prywatnego samolotu mniej więcej w połowie senackiej kadencji. Maszyna runęła na ziemię krótko po starcie z lotniska Orange County. Dzień był pogodny i bezwietrzny. Według oficjalnego raportu przyczyną katastrofy był błąd pilota, ale to tłumaczenie wydaje mi się naciągane. - Zawiesił na chwilę głos, po czym dodał ciszej: - Nie jestem w tym odosobniony.

Gillette od wielu lat łamał sobie głowę nad możliwymi przyczynami tej katastrofy, dochodził jednak do przekonania, że to rozpacz po stracie ojca prowadzi go do paranoicznych wniosków.

- Kto jeszcze myśli tak samo?

- Mamy dużo więcej informacji, które z pewnością pana zainteresują - rzekł Ganze, ignorując jego pytanie.

- Na przykład jakich?

- Chociażby w zakresie tożsamości oraz miejsca pobytu kobiety, której od dawna pan poszukuje.

Gillette na moment osłupiał. Doskonale wiedział, że tamten mówi o jego naturalnej matce.

- Ganze, ja...

- Panie Gillette - przerwał mu gospodarz. - Wiem, że trudno się panu z tym pogodzić, ale w tej chwili nie mogę powiedzieć nic więcej. Bardzo mi przykro. Jeśli chce pan usłyszeć więcej, musi pan przyjechać do Waszyngtonu na spotkanie ze mną i moim przełożonym. Jeżeli przyjmie pan te warunki, pozostaniemy w kontakcie. - Zawahał się na moment, po czym wskazał drzwi. - A teraz żegnam.

Rozdział 2

Clayton przypalał fajkę, kiedy Christian wszedł do jego gabinetu, wśród domowników niemalże otaczanego wciąż dużego pokoju w rozległej posiadłości w Bel Air. Jak zwykle stanął tuż za drzwiami, czekając, aż ojciec zauważy jego obecność.

- Wchodź śmiało, Chris - zawołał siedzący przy biurku Clayton i ponownie zbliżył srebrną zapalniczkę do główki fajki, której ustnik ścisnął między zębami. - Tylko zamknij drzwi, żeby nikt nam nie przeszkadzał, dobrze?

- Tak.

Christian uwielbiał ten pokój, ciemną boazerię, masywne meble, porozwieszane na ścianach zdjęcia przedstawiające ojca w czasie wypraw myśliwskich bądź wędkarskich do różnych egzotycznych miejsc w towarzystwie innych znanych ludzi, nastrojowe oświetlenie, aromat tytoniu fajkowego, klasyczny stół bilardowy stojący w kącie pod ścianą. To był typowo męski pokój. Bez słowa usiadł w obitym skórą fotelu przed biurkiem.

Clayton rzucił zapalniczkę na biurko i zaciągnął się głęboko ostrym, gryzącym dymem. Zapalniczka wylądowała tuż obok maszynopisu z tekstem przemówienia, które miał wygłosić na posiedzeniu plenarnym Senatu zaraz po powrocie z wakacji.

- Miło znaleźć schronienie od tej całej wrzawy, prawda?

Zaledwie przed paroma minutami wstali od stołu, ponieważ przyjmowali na uroczystym wigilijnym obiedzie trzydzieści osób.

- Tak - przyznał Christian.

Byłoby jeszcze przyjemniej, gdyby mógł spędzić ten czas sam na sam z ojcem. Ale takie okazje zdarzały się niezmiernie rzadko, zwłaszcza odkąd rozpoczął naukę w college'u na Wschodnim Wybrzeżu.

- Twoja matka przygotowała wspaiały obiad. Potrawy były naprawdę wyśmienite, nie sądzisz?

Nie zdołał się opanować i wypalił:

- Chciałeś powiedzieć: moja macocha.

Tego popołudnia znowu pokłócił się z Laną, i nawet już nie pamiętał, o co, ale przebieg sprzeczki wciąż miał żywo w pamięci, wspomnienia tliły się w zakamarku jego świadomości niczym żar w ściółce wyschniętego na pieprz lasu, żar, który lada podmuch wiatru mógł rozniecić w szalejący ogień.

Clayton spojrział na niego.

- Chris, naprawdę nie ma powodu...

- Poza tym to ty postarałeś się o wspaiały obiad, tato. Wynająłeś firmę cateringową. Lana nie kiwnęła nawet palcem. - Urwał i zapatrzył się na ojca, wyczekując pierwszych oznak gniewu, ale ich nie dostrzegł.

- Lepiej zagrajmy w bilard - zaproponował Clayton, ruchem głowy wskazując stół obity zielonym sukmem.

Christian właśnie na to liczył. Od dawna miał nadzieję na wyrównanie stanu toczonych od lat rozgrywek.

- Z przyjemnością.

Ledwie wstali z miejsc, rozległo się pukanie.

- Tak? - zawołał wyraźnie poirytowany Clayton. - Proszę wejść.

Drzwi otworzyły się z impetem i do środka wpadła Nikki, młodsza przyrodnia siostra Christiana, ładna brunetka o żywiołowej, nieposkromionej osobowości, z którą zawsze łączyły go dobre stosunki.

Podbiegła najpierw do Claytona i rzuciła mu się na szyję.

- Przepraszam, że ci przeszkadzam, tato, ale chciałam się pożegnać - wyrzuciła z siebie jednym tchem. - Jadę do domu Kim, potem razem

z całą paczką wybieramy się za miasto.

- W Wigilię? - zdziwił się Clayton, puszczając przez ramię oko do Christiana, żeby w ten sposób zamaskować wzbierającą złość.

- Dzięki za bransoletkę, tato - rzuciła Nikki, podbiegła do Christiana i tak samo rzuciła mu się w objęcia. - Dokładnie o takiej marzyłam.

- Jutro dostaniesz więcej prezentów.

- Nie mogę się doczekać, kiedy znów przyjedziesz do domu, żebyśmy mogli spędzić ze sobą więcej czasu, Chris - powiedziała, cmokając go w policzek.

Wyprostował się i uśmiechnął szeroko.

- Gdy przyjadę następnym razem, też będziesz się gdzieś wybierała z przyjaciółmi.

- Zobaczysz, że nie. - Potrząsnęła głową i zawróciła do wyjścia. - Trzymajcie się obaj. I miłej zabawy.

Kiedy wyszła i zamknęła za sobą drzwi gabinetu, podeszli do stołu bilardowego.

- Osiem bil? - zapytał Clayton, odkładając fajkę na wielką popielnicę. Ze stojaka pod ścianą wyciągnął ulubiony kij. - Liczymy najlepszą z trzech partii? Rozbijasz?

- W porządku, ale nie chcę żadnych forów. Ty rozbijasz.

Ojciec przytaknął ruchem głowy.

- Świetnie, w takim razie sam sobie dam fory - rzekł, pochylając się nisko nad stołem, żeby ustawić białą bilę dokładnie na wprost wierzchołka trójkąta stojącego w przeciwległym końcu. Zamilkł na chwilę, po czym wyprostował się, szeroko uśmiechnięty, i popatrzył w sufit, jakby szukał czegoś w myślach. - Chyba jeszcze nigdy nie wygrałeś ze mną całej tury, prawda?

Obaj świetnie wiedzieli, że tak było. I obaj zdawali sobie sprawę, że zwycięstwo w całej turze to dla Christiana odpowiednik białego wieloryba. Ale wiedział też, że wypominanie mu dawnych porażek to ojca

sposób na uzyskanie przewagi psychicznej, on zaś nie zamierzał tego wieczoru dać się wodzić za nos.

- To będzie ciekawa rozgrywka, tato. Przez cały semestr sporo ćwiczyłem.

- Nie macie w Princeton nic ważniejszego do roboty? - zdziwił się Clayton, rozbijając ustawione w trójkącie bile. - Tylko gracie w bilard?

- Mam wystarczająco dobre oceny - wyjaśnił pospiesznie Christian, uważnie obserwując rozstawienie bil po rozbiciu. Na szczęście żadna nie wpadła do luzu, co umożliwiło ojcu kontynuację gry. Dla niego był to wymieniony początek. - Mogę grać do woli.

Clayton zachichotał.

- Znam twoje oceny. W ostatnim semestrze miałeś pięć piątek i tylko jedno cztery z plusem, z rachunku różniczkowego. Nadal masz szansę, żeby na koniec roku w maju dostać wyróżnienie.

Christian miał już uderzyć bilę, ale wyprostował się i spytał z zacięciem:

- Skąd to wiesz?

Semestr skończył się zaledwie przed paroma dniami, końcowe oceny nie zostały jeszcze ujawnione.

- Rozmawiałem ze znajomym, Johnem Grayem, który jest...

- Jednym z asystentów dziekana - wpadł mu w słowo Christian, pochylając się z powrotem nad stołem. Szybko doszedł do wniosku, że nie warto roztrząsać tego tematu. Zapytał tylko: - Trzymasz rękę na pulsie, co nie?

- Nie inaczej, synu. A to mi o czymś przypomniało. Chciałbym, żebyś spotkał się z moim przyjacielem Tedem Stovallem, dopóki jesteś w domu. Należy do zarządu Uniwersytetu Stanforda. Może ci bardzo pomóc w dostaniu się na studia ekonomiczne.

Uniwersytet Stanforda należał do ścisłej czołówki amerykańskich uczelni ekonomicznych.

- Spróbuję sam sobie z tym poradzić, tato - odparł. - Doceniam twoją troskę, ale niepotrzebna mi pomoc... Do diabła! - syknął, gdyż przestrześlił i nie trafił w łatwą bilę, rozproszony prowadzoną rozmową.

- Jak rozumiem, chcesz powiedzieć, że nie życzysz sobie żadnej pomocy z mojej strony - skorygował Clayton, westchnął ciężko, po czym zagryzł zęby na ustniku fajki i pochylił się, gotowy do oddania strzału. - Mimo to umów się z Tedem na lunch - dodał łagodnym tonem. - Zgoda?

- Tak jest.

- Jak już ukończysz studia, załatwimy ci pracę u Goldmana Sachsa. W dziale fuzji i nabytków. Bo chyba taka by ci najbardziej odpowiadała, prawda?

Marzył dokładnie o takim stanowisku po ukończeniu studiów ekonomicznych. W zasadzie nic innego go nie interesowało.

- Zgadza się - odparł, podejrzliwie zerkając z ukosa na duże drewniane pudełko stojące na parapecie okiennym. - Dzięki. - Znał gabinet ojca jak własną kieszeń i był absolutnie pewien, że nie było tego pudła, kiedy we wrześniu wyjeżdżał na kolejny rok nauki w Princeton. - Czy to nie jest pudełko na cygara? - zapytał, wskazując je palcem.

Clayton obejrzał się we wskazanym przez niego kierunku.

- Owszem.

- Kiedy zacząłeś je palić? Byłem przekonany, że się nimi brzydzisz.

- Bo to prawda. Dostałem je w prezencie od znajomego Kubańczyka. Nawet nie powinienem był ich przyjmować, ale... spodobała mi się ta ręcznie rżnięta kasetka.

Christian przyglądał się niby ze spokojem, jak ojciec umieszcza w luzach kolejnych siedem bil, ale końcem kija coraz szybciej nerwowo postukiwał w podłogę. Kiedy w końcu ze stołu zniknęła także ósma, syknął:

- Cholera!

Clayton wyprostował się, gdy tylko czarna bila zniknęła w luzie,

uśmiechnął się na tyle szeroko, na ile pozwalała mu fajka tkwiąca między zębami, i rzekł:

- No to pierwsza partia za nami. Zapowiada się łatwe zwycięstwo.

Jednakże drugą partię wygrał Christian, a w trzeciej rozgorzała zacięta walka. Kiedy na stole zostały już tylko trzy bile - biała, ósemka i pasiak należący do Clayтона - uśmiechnął się od ucha do ucha, jako że ojciec został bez możliwości kolejnego ruchu. Wszystkie bile stały idealnie w jednej linii, a on nie mógł wykorzystać ósemki jako pośredniej do zbiccia pasiaka.

Ujrawszy to, Clayton skrzywił się z niesmakiem.

- Trudna sprawa, co nie? Sytuacja bez wyjścia.

Christian pokiwał głową, usiłując zamaskować swą bezgraniczną radość. Ojciec musiał jeszcze raz uderzyć bile, rysowała się więc olbrzymia szansa, że gdy biała znieruchomieje na suknie, on zyska wyśmienitą sposobność do zakończenia zwycięsko trzeciej partii. Cała tura powinna należeć do niego. Niemalże czuł już smak wygranej.

Ale Clayton dokonał rzeczy niemożliwej. Podbił białą bilę tak, że przeskoczyła nad ósemką, trafiła prosto w pasiaka i skierowała go do luzy, po czym dwukrotnie odbiła się od bandy i stanęła tuż przy ósemce. Wstrzelenie i jej do luzy było już dziecinnie łatwe.

Christian tylko pokręcił z niedowierzaniem głową, gdy ojciec odstał kij z powrotem na stojak. Tak niewiele brakowało. Clayton obszedł stół i stanął przy nim.

- Wiem, jak bardzo nie lubisz przegrywać - rzekł, kładąc mu rękę na ramieniu. - Pod tym względem jesteś podobny do mnie - dodał z uśmiechem. - Nawet bardzo.

- Christian!

Od razu rozpoznał ten głos, ale nie zareagował. Myślami wciąż błądził daleko, był w gabinecie ojca i pogrążał się w żalu, że takie popołudnie już nigdy się nie przytrafi. Po partii bilarda rozmawiali bowiem prawie do drugiej w nocy. Tak, nie było już szans na drugi taki wieczór,

gdyż jego ojciec zginął pół roku później.

- Christian!

Podniósł wreszcie głowę znad biurka. W drzwiach gabinetu stał Faraday.

- Co się stało, Nigel?

- Pora na nasze spotkanie - rzekł Anglik, postukując w zegarek na przegubie. Przekrzywił głowę na ramię i zapytał: - Wszystko w porządku?

- Pospieszcie się - syknął Faraday do spóźnialskich. - Powinniśmy zacząć cztery minuty temu.

Dwaj dyrektorzy zarządzający podbiegli do swoich miejsc przy drugim końcu stołu konferencyjnego.

W zebraniu dyrekcji Everestu oprócz Gillette'a i czterech wspólników zarządu uczestniczyło ośmiu dyrektorów zarządzających oraz Debbie spisująca protokół. Obecność wszystkich była obowiązkowa, tylko on stanowił wyjątek. Jeśli musiał o wyznaczonej porze być gdzie indziej, w prowadzeniu zebrania zastępował go Faraday.

Miejsce Gillette'a znajdowało się u szczytu stołu, reszta kierownictwa zasiadała po obu jego dłuższych bokach zgodnie z malejącą pozycją w służbowej hierarchii. Na wprost prezesa znajdowała się Debbie. Donovan organizował takie zebrania w ścisłym gronie wspólników zarządu, ale Gillette zmienił jego ustalenia. Był zwolennikiem jawnej wymiany poglądów, przynajmniej w większości sytuacji.

- Są już wszyscy, Christianie - zakomunikował Anglik, siadając tuż po jego prawej stronie.

To Gillette rozpoczął część sprawozdawczą. Powiódł spojrzeniem po twarzach najbliższych współpracowników, którzy przypominali sferę żarłocznych wilków, i rzekł:

- W uzupełnieniu do miesięcznego sprawozdania chcę zakomunikować,

że Nigel właśnie skończył dziś rano gromadzić Everest Osiem. Mamy w funduszu piętnaście miliardów dolarów w potwierdzonych zobowiązaniach.

Rozległo się głośne postukiwanie knykциями o blat stołu - przyjęty w tym gronie znak uznania. Elektryzujące wieści o zgromadzeniu Everestu Osiem rozeszły się po biurze lotem błyskawicy, toteż komunikat prezesa był tylko formalnością.

- Nie sądzicie, że Nigel zasłużył na coś więcej? - rzucił głośno Gillette, gdy masowe stukanie w stół zaczęło cichnąć. - Powiedziałem: piętnaście miliardów!

Salę wypełnił gromki aplauz, rozległy się donośne gwizdy. Gillette sprawował pełną kontrolę nad wszystkim, co się działo podczas zebrań, nie wyłączając nawet reakcji ludzi na tak radosne wieści, ale gdy dawał zezwolenie na wiwaty, wszyscy reagowali spontanicznie. Nic więc dziwnego, że tym razem owacje omal nie wstrząsnęły całym budynkiem.

Jak dotąd inwestycje Everestu zwracały się średnio w stosunku trzech do jednego, a spółka mogła zatrzymać dla siebie dwadzieścia procent od zysku ze sprzedaży. Gdyby więc ludzie zgromadzeni przy tym stole zdołali w ciągu paru najbliższych lat zamienić ów piętnastomiliardowy fundusz w czterdzieści pięć miliardów dolarów, Gillette otrzymałby do podziału aż sześć miliardów, gdyż tyle wynosiło dwadzieścia procent od trzydziestomiliardowego zysku. Byłaby to największa w historii suma zarobiona przez prywatną spółkę kapitałową. Oczywiście część z tych pieniędzy zostałaaby rozdzielona między szeregowych pracowników Everestu, ale większość przypadłaby w udziale właśnie im, zebranych teraz w sali konferencyjnej.

Z aprobatą pokiwał głową, obserwując z uśmiechem, jak w wilczych oczach pojawiają się błyski chciwości. Niemalże słyszał, jak wszyscy zaczynają już w myślach szacować swoje zdobycze z wypracowanego wspólnie zysku. Nie było w tym nic dziwnego. Ostatecznie to właśnie

pieniądze były motorem napędowym ich działania i nagrodą za wszelkie wyrzeczenia i nieustający stres. W spółce kapitałowej pracowało się bowiem od osiemdziesięciu do dziewięćdziesięciu godzin tygodniowo, w oderwaniu od rodziny i przyjaciół. Jeśli dla kogoś perspektywa dużych pieniędzy była niewystarczająca, nie nadawał się do tej pracy.

- Teraz lepiej - rzekł, unosząc rękę, żeby uciszyć salę, po czym zwrócił się do rozpromienionego Faradaya: - Nigel, to naprawdę niesamowite osiągnięcie. Otworzyłeś największy fundusz inwestycyjny, jaki kiedykolwiek znajdował się w prywatnych rękach. Bardzo ci dziękuję.

- I ja dziękuję za uznanie, panie prezesie.

Przy stole znów rozległy się brawa i gwizdy, lecz Gillette uciszył wszystkich spojrzeniem.

- To jeszcze nie wszystko - dodał, kiedy w sali zapanował spokój. - Dziś rano rozmawiałem z przedstawicielami rodziny Wallace'ów, tych z Chicago, gdyby ktoś z was miał jeszcze jakieś wątpliwości. - Tym samym dał do zrozumienia, że każdy, kto jeszcze nie słyszał o majątku Wallace'ów, powinien zaraz po zebraniu nadrobić zaległości. - To jedna z najbogatszych rodzin w naszym kraju. - Zawiesił na chwilę głos. - Uzyskałem od nich zobowiązanie do zwiększenia funduszu Everest Osiem o dalsze pięć miliardów dolarów, zatem w sumie mamy teraz dwadzieścia miliardów.

Przy stole rozległy się szmery i syki.

- W dodatku Wallace'owie zgodzili się uczestniczyć w funduszu na takich samych warunkach, jak pozostali ograniczeni wspólnicy.

- Nie stawiali żadnych dodatkowych żądań? - zdziwiła się Maggie Carpenter, współniczka zarządu, którą przed sześcioma miesiącami Gillette zwerbował z firmy Kohlberg, Kravis & Roberts, innej prywatnej spółki kapitałowej z siedzibą na Manhattanie. Trzydziestopięcioletnia, ciemnoruda, o bladej piegowatej cerze i ostrych rysach, dała się poznać

z bezkompromisowych pytań zadawanych na wszystkich zebraniach. - Aż nie chce mi się wierzyć, że złożyli tak olbrzymie zobowiązanie, nie stawiając przy tym żadnych warunków.

- Chcą, żeby jedna osoba od nich znalazła się w naszym gronie w Evereście - odparł Gillette, wychwytyując zaniepokojone spojrzenia zgromadzonych. - Allison Wallace zostanie współniczką zarządu Everestu. To jedyny warunek ich uczestnictwa w funduszu.

- Jedyny? - wtrącił Blair Johnson, kolejny z czterech współników. Był Afroamerykaninem i pochodził z dobrze sytuowanej rodziny z Atlanty. Jako syn znanego lekarza, pobierał nauki na znanych uczelniach, wstępne studia skończył na Harvardzie, po czym zrobił dyplom w Columbia Business School. Pracował w Evereście od siedmiu lat, lecz dopiero przed dziewięcioma miesiącami Gillette awansował go na współnika zarządu. - Przecież to i tak wygórowane żądanie.

- Martwisz się o pieniądze? - zapytał go wprost prezes.

Johnson rozejrzał się szybko na boki, jakby chciał się upewnić, że nie tylko jego martwi niespodziewane poszerzenie grona współników.

- Nie chodzi mi o przychody czy premie - wyjaśnił z ociąganiem. - W końcu mówimy o dwudziestomiliardowym funduszu. Z samych jedno-procentowych opłat będziemy mieli dwieście milionów dolarów rocznie na pensje pracowników.

- Więc martwisz się o wypłaty z zysków?

- Zgadza się.

- Zgodnie z warunkami umowy, Blair - rzekł Gillette ostrzejszym tonem - Allison nie chce żadnych pieniędzy. Ani pensji, ani premii, ani udziału w zyskach. Pragnie jedynie zasiąść w pierwszym rządzie na trybunach, żeby dokładnie widzieć, jak się wykorzystuje takie ogromne fundusze.

- Chce się czegoś od nas nauczyć - dodał tonem profesjonalisty Tom

O'Brien, czwarty ze współników zarządu spółki. Miał czterdzieści jeden lat, ale całkiem siwe włosy i czerstwa rumiana cera sprawiały, że wyglądał na starszego. Pochodził z Bostonu i mówił z chropowatym nowoangielskim akcentem. - Będzie nas traktować jak szkołę. Chyba zależy jej na zdobyciu kluczy do zamkowych bram.

- Dobrze powiedziane - przyznał Gillette. - Tylko co z tego? Razem z Nigelem i tak planowaliśmy powiększenie zarządu o dwie osoby. Będziemy potrzebowali sześciu współników, jeśli chcemy w ciągu trzech lat zaprząć do działania aż dwadzieścia podwójnych baniek. Co najmniej sześciu. A w ten sposób zyskujemy jednego za darmo, w dodatku z pięcioma miliardami na zwiększenie funduszu, nie licząc już wynikającego stąd wzrostu płac. Można to potraktować tak, jakby Allison Wallace godziła się płacić nam pięćdziesiąt milionów rocznie za możliwość pracy w naszym gronie - zreasumował, zadowolony z takiego sposobu przedstawienia sprawy. - To naprawdę dobre warunki umowy. Ponadto nie ma niebezpieczeństwa, że po powrocie do biura rodzinnego biznesu w Chicago będzie w stanie zastosować na żywca podpatrzone u nas metody. - Rozejrzał się po twarzach zgromadzonych, chcąc zyskać pewność, że choć trochę rozwiął ich wątpliwości. Postanowił od razu przejść do następnego tematu i nie drążyć dalej sprawy, która w tym gronie budziła zaniepokojenie. Zresztą podjął już ostateczną decyzję w sprawie Allison Wallace, nie było o czym więcej dyskutować. - Jeszcze jedno uzupełnienie. Dostaniemy przywileje budowlane w Las Vegas.

- A niech mnie! - wykrzyknął O'Brien, machinalnie uderzając pięścią w stół. Był zagorzałym kibicem sportowym i to on pomagał Gillette'owi i Faradayowi w ustalaniu warunków oferty zakupu tych przywilejów.

- W przyszłym tygodniu spotykam się z Kurtem Landrym, komisarzem NFL, żeby omówić pewne szczegóły transakcji. Ale w zasadzie decyzje już zapadły.

- I to pewne, że dostaniemy także pozwolenie na budowę stadionu? - zaciekała się Maggie.

- Oczywiście.

- Zaraz, chwileczkę - wtrącił David Wright. Jak zwykle był jedyny w gronie dyrektorów zarządzających, który miał odwagę zadać bezpośrednio pytanie, bez wcześniejszej konsultacji ze swoim przełożonym. - Naprawdę będziemy budowali stadion?

- Zależy mi na jego zbudowaniu, bo przyniesie nam to dodatkowe zyski - wyjaśnił Gillette. - Pieniądze z koncesji, praw do rozmieszczania reklam, nawet z wykorzystywania zastrzeżonej prawnie nazwy drużyny. Tylko w ten sposób będziemy mogli w pełni wszystko kontrolować.

- Ile jesteśmy gotowi zapłacić za te przywileje? - zapytała Maggie. - Przepraszam, ale zapomniałam.

- Czteryście pięćdziesiąt milionów.

- Jaką mamy strategię w stosunku do tego funduszu? - ciągnęła dalej. - Nie znam się na sporcie, ale czteryście pięćdziesiąt milionów to według mnie spora kwota, a przecież fundusz będzie musiał także obejmować koszty budowy stadionu. Na ile są szacowane?

- Na trzysta milionów.

- Zatem mówimy o siedmiuset pięćdziesięciu milionach. Naprawdę zdołamy wyciągnąć z tej kwoty rzetelne zyski, Christianie?

Maggie najwyraźniej się obawiała, że ta inwestycja to zwyczajny przejaw męskich fanaberii. Idealna wymówka, żeby raz na parę tygodni wybrać się do Las Vegas i pokręcić się wśród gwiazd filmowych, grubych ryb finansjery, znanych sportowców i polityków, jak również uraczyć przyjaciół możliwością wizyty w tym swoistym siódmym niebie.

- Budowa potrwa około półtora roku, planujemy stadion na osiemdziesiąt tysięcy miejsc - odparł Gillette, zaglądając do zestawienia w ofercie inwestycyjnej. - Jeśli przyjmiemy, że bilety będą kosztować średnio po sto dolarów, zarobimy po osiem milionów na każdym z ośmiu

rozgrywanych spotkań, czyli sześćdziesiąt cztery miliony w sezonie ligowym. Do tego trzeba doliczyć kilka meczów towarzyskich i treningowych, z biletami, założmy, po pięćdziesiąt dolarów, jak też zyski z koncesji i reklam oraz udziały w zyskach z transmisji telewizyjnych organizowanych przez NFL. Jedna z dużych sieci sprzedaży sprzętu komputerowego już zaoferowała dziesięć milionów dolarów rocznie za możliwość ustawienia swojego billboardu na stadionie. Nigel i Tom szacują... - znów zajrzał do papierów - ...że sumaryczny dochód z zarządzania stadionem powinien wynieść co najmniej trzysta milionów rocznie, a na podstawie dotychczasowych transakcji obiektów i zespołów pierwszej ligi należy przyjąć, że ostateczna wartość nabytych przywilejów sięgnie od dwóch do trzech miliardów dolarów. Przyznacie, że to naprawdę rzetelny zysk.

- Tylko czy naprawdę ściągnie się na każdy mecz pełne osiemdziesiąt tysięcy widzów, jeśli bilety będą kosztowały po sto dolarów? - Maggie nie dawała za wygraną. - Las Vegas to nie takie duże miasto, ma tylko koło miliona stałych mieszkańców. Nie chce mi się wierzyć, że aż osiem procent tej populacji będzie chodziło na mecze osiem razy w roku przy tak wysokiej cenie biletów.

- Stałych mieszkańców jest prawie półtora miliona - sprostował Gillette - ale rozumiem twoje zastrzeżenia. Dlatego zawczasu podjęliśmy negocjacje z kilkoma ważniejszymi przewoźnikami na temat uruchomienia dodatkowych połączeń lotniczych z Los Angeles do Las Vegas w dni, kiedy będą rozgrywane spotkania. Bo może ci się to wydać dziwne, lecz Los Angeles nie ma swojej drużyny futbolowej, a uzyskaliśmy zapewnienia ze strony NFL, że jeszcze przez kilka lat sytuacja się nie zmieni. W dodatku jestem zdania, że ostatecznie Los Angeles także przyjmie metodę sprzedaży przywilejów budowlanych. Ale do tego czasu mieszkańcy powinni chętnie korzystać ze sposobności. To dla nich

krótka podróż, w zasadzie tylko start i lądowanie. Poza tym prowadzimy rozmowy z właścicielami kasyn na temat promocji, z kilkoma udało się już zawrzeć wstępne umowy. Jeśli mam być szczerzy... ale ta informacja musi na razie pozostać wyłącznie w naszym gronie - dodał, obrzucając zebranych ostrzegawczym spojrzeniem - ...zamierzamy otworzyć nawet własne kasyno. W ciągu ostatnich dwóch lat udało się nawiązać bliższe kontakty z wieloma przedstawicielami władz miejskich, którzy twierdzą, że zdołają przekonać komisję gier hazardowych do udzielenia nam licencji.

- A co z mafią? - zapytała wprost Maggie.

Gillette spodziewał się, że ta sprawa wyniknie w dyskusji.

- Dokładnie to sprawdzamy, ale wątpię, aby NFL dawał zielone światło planom budowy stadionu i tworzenia drużyny piłkarskiej, gdyby nadal istniały poważne problemy z mafią. - Dysponował już znacznie obszerniejszymi wiadomościami, lecz wołał ich nie przytaczać na zebraniu. - Będę was na bieżąco informował w tym zakresie. - Rozejrzał się po sali. Doszedł do wniosku, że pora zakończyć to odpytywanie. Maggie spisywała się doskonale, ale tym razem nie mógł dać jej więcej satysfakcji. - Podsumowując, inwestycja w przywileje budowlane ma szansę stać się jedną z naszych najkorzystniejszych transakcji. Zapewne nie prześcignie Laurel Energy, ale nie będzie od niej dużo gorsza.

Ludzie znów zaczęli postukiwać pięściami w stół dla wyrażenia aprobaty, pojawiwszy natychmiast, że dyskusja w sprawie przywilejów budowlanych dobiegła końca.

- Jeszcze jedno - dodał Gillette, unosząc rękę, żeby uciszyć zebranych. - Zamierzam skorzystać z usług Morgana Stanleya przy sprzedaży Laurel Energy.

- Dlaczego właśnie Morgana Stanleya? - zapytała Maggie.

- A dlaczego nie?

- Sądziłam, że Goldman Sachs ma znacznie lepszych fachowców od fuzji i nabytków w zakresie energetyki.

- Morgan Stanley też nas nie zawiedzie - rzekł z przekonaniem Gillette.

- To ma być forma odpłaty? - Maggie obejrzała się na Wrighta, ale szybko przeniosła spojrzenie z powrotem na prezesa.

- Za co? - zapytał ten ostrzejszym tonem.

- Dobrze wiesz za co.

Zmierzył ją przenikliwym wzrokiem spod przymrużonych powiek.

- Nie. - Przyglądał jej się jeszcze przez chwilę, postanowił jednak nie drażnić tej sprawy. - Chciałbym wrócić do kwestii poruszonej wcześniej przez Blaira, to znaczy do dwustu milionów rocznych zysków z opłat za udział w funduszu Everest Osiem. Postanowiłem z tej kwoty poświęcić w pierwszym roku dziesięć milionów na Szpital Świętego Krzysztofa z West Side. - Urwał na chwilę. - Chciałbym też, aby każdy z was przekazał też dobroczynnie jakąś część swoich dochodów na potrzeby lokalnej społeczności, obojętne, czy waszego rodzinnego miasta, czy znajdującej się w pobliżu organizacji charytatywnej. Przygotujcie się, że wrócę do tego tematu, gdy w styczniu będziemy indywidualnie omawiać sprawy rocznych przychodów i sprawozdań podatkowych. Jeśli mam być szczerzy, im więcej przeznaczycie na cele dobroczynne, tym lepiej. Wszyscy możemy się uważać za szczęściarzy pod względem dochodów osobistych. Wiem, że ciężko na nie pracujecie i jesteście zmuszeni do licznych wyrzeczeń, szczególnie, jeśli macie dzieci czy zobowiązania rodzinne. Wiem, jak rzadko widujecie się ze swoimi najbliższymi - dodał nieco ciszej. - Ale w końcu nie pracujecie przy kopaniu rowów. Zatem dopóki jestem prezesem, będę się troszczył, aby nasz firma wykazywała się społeczną odpowiedzialnością. Zrozumiano?

Wszyscy jak na komendę przytaknęli ruchem głowy.

- To dobrze. - Spojrzał do papierów, wykreślił punkty dotyczące

umowy z NFL, sprzedaży Laurel Energy oraz działalności charytatywnej. Następnym punktem w porządku dziennym była kwestia utworzenia biura w Los Angeles.

- Pragnę wszystkich oficjalnie powiadomić, że wraz z Nigelem chcemy otworzyć filię naszego biura w Los Angeles, chociaż w tej sprawie nie zapadły jeszcze żadne decyzje. Wolałbym jednak uniknąć plotek. Dlatego możecie liczyć na oficjalny komunikat, gdy coś zostanie przesądzone. - Uśmiechnął się szeroko. - Czy ktoś chce na ochotnika przenieść się na Zachodnie Wybrzeże?

Wright błyskawicznie podniósł rękę.

- Dostałbym awans na wspólnika zarządu, gdybym się zgłosił?

Gillette zerknął na Faradaya, pokręcił głową i uśmiechnął się jeszcze szerzej.

Anglik uniósł wzrok do nieba.

- Szukasz tylko okazji do następnego awansu, prawda, Davidzie? - odezwał się Gillette, spoglądając Wrightowi prosto w oczy. - Wpadnij do mnie po zebraniu, omówimy na spokojnie tę sprawę. Będziemy też mieli okazję, żeby porozmawiać o innych rzeczach.

„Wpadnij po zebraniu” znaczyło ni mniej, ni więcej, tylko zaproszenie na partyjkę bilarda w pokoju sąsiadującym z gabinetem Gillette'a.

- Wolałbym na razie porozmawiać o firmie Hush-Hush - odparł tamten, wykorzystując okazję, że prezes zwrócił się bezpośrednio do niego. Ta sprawa nie może czekać. Jest nadzwyczaj pilna.

Wszelkie proponowane inwestycje, nim można było poruszyć ich kwestię na zebraniu, musiały być wstępnie omówione z Faradayem, nie wspominając już o notce z podstawowymi informacjami, która powinna trafić do wszystkich sekcji spółki i obejmować chociażby dane na temat wielkości, wartości i rentowności firmy proponowanej do zakupu. Tymczasem Wright ani nie rozmawiał dotąd z Faradayem, ani nie przygotował wstępnej informacji.

- Hush-Hush? - podchwycił O'Brien. - Mówisz o firmie produkującej damską bieliznę?

- Owszem, zgadza się.

- Co to za propozycja?

- Mamy dojście do zarządu firmy, umożliwiające nam jej zakup. Mój przyjaciel jest dyrektorem naczelnym i może nam pomóc w przejęciu marki. - Wright ruchem głowy wskazał prezesa i dodał: - Wcześniej rozmawiałem o tym z Christianem i pomysł mu się spodobał.

- Powiedziałem tylko, że oczekuję od ciebie pełniejszych informacji - przypomniał mu Gillette, nieco poirytowany faktem, że młodszy pracownik samowolnie przejął od niego pałeczkę i usiłował zrobić na pozostałych wrażenie, jakoby już się zaliczał do ścisłego kierownictwa Everestu.

- Będę głosować przeciwko tej inwestycji z dość prostego powodu - odezwała się Maggie. - Nie obchodzi mnie perspektywa ewentualnych korzyści. Uważam, że katalog tej firmy to w zasadzie pismo pornograficzne, które poniża i obraża godność kobiety.

- Jeśli jest aż tak obraźliwe - zaproponował natychmiast Wright - to musi być mnóstwo kobiet, które lubią być poniżane. Hush-Hush zyskuje na wartości mniej więcej osiemdziesiąt procent rocznie, toteż...

- Nic mnie nie obchodzi, ile zyskuje na wartości - odparła ostro Maggie. - Uważam, że nie powinniśmy w to wchodzić.

- To, że nie zależy ci, aby wyglądać seksownie, nie oznacza jeszcze, że reszta kobiet...

- Davidzie! - syknął Gillette, w jednej chwili uciszając Wrighta.

Maggie jeszcze przez chwilę mierzyła go lodowatym spojrzeniem, ale gdy nie ugiął się pod nim, obejrzała się na prezesa i dodała wyraźnie roztrzęsionym głosem:

- Zdaję sobie sprawę, że to firma z branży damskiej mody, która na krótkim etapie może przynieść znaczące zyski. Ale decyzja o inwestycji

Everestu wymaga jedności twojej i wszystkich czterech wspólników zarządu, Christianie. Uprzedzam więc z góry, że będę przeciwna temu zakupowi. Może w ten sposób zaoszczędzimy sobie wszyscy czasu i przetniemy w zarodku niepotrzebne dyskusje.

Gillette odchylił się na oparcie i skrzyżował ręce na piersi. Maggie miała rację. Zakup firmy z branży konfekcyjnej wiązał się ze sporym ryzykiem, zwłaszcza w przypadku takiej firmy jak Hush-Hush. Nie podobał mu się jednak sposób, w jaki Carpenter próbowała przejąć kontrolę nad przebiegiem zebrania.

- Pozwolę sobie przypomnieć, że prezes tej spółki ma prawo unieważnić pojedynczy sprzeciw dotyczący jakiegokolwiek transakcji. Zapomniałaś o tym?

Maggie sztywno skinęła głową, błyskawicznie pojawił się właściwy znaczenie jego słów. W końcu chodziło mu nie tylko o to, że może unieważnić jej głos, jeśli tylko będzie przeciwna temu zakupowi.

- Nie, pamiętam.

Gillette z rosnącą irytacją popatrzył na Wrighta.

- A ty musisz pamiętać, Davidzie, że powinieneś porozmawiać z Nigelem przed poruszeniem tego tematu na forum zebrania kierownictwa.

- Myślałem, że...

- Davidzie!

Wright wbił wzrok w podłogę.

- Przepraszam.

- Zostawiłeś Wrightowi kurewsko dużo luzu na łańcuchu - mruknął Faraday, siadając przed jego biurkiem.

Było piętnaście po szóstej. Zebranie skończyło się dziesięć minut wcześniej i Gillette przeglądał właśnie najnowsze wiadomości w Internecie. Osunął się w fotelu, zarzucił nogi na brzeg biurka i splótł dłonie za głową.

- David jest prawdziwą gwiazdą, absolutnie najlepszym dyrektorem zarządzającym. Wiesz o tym równie dobrze, jak ja. Należy mu się nieco dłuższy łańcuch.

- Ale chyba nie aż tak długi, jaki mu zostawiłeś.

- To rasowy gracz.

- Strasznie pewny siebie.

- Jest jeszcze młody, z wiekiem złagodnieje. Obaj możemy mu w tym pomóc.

- Jednakże w gronie pozostałych dyrektorów zarządzających powstał szum.

- W jakiej sprawie? - zapytał ostrzej Gillette, spuszczać nogi na podłogę. - Tego, że Wright ma milion dolarów rocznego przychodu?

- Tu nie chodzi tylko o zasraną forszę - warknął Anglik. - Otaczający cię ludzie reagują jak domowe zwierzątka. Nie podoba im się, że jednemu poświęcasz więcej uwagi niż pozostałym.

- Więc przekaż tym niezadowolonym, żeby też znaleźli dla nas jakieś ciekawe inwestycje. Jak dotąd, David jest jedynym dyrektorem, który się na to zdobył. Przypomnę ci, że już kupiliśmy dwa wyszukane przez niego przedsiębiorstwa, a teraz podsuwa nam ciekawą propozycję zakupu Hush-Hush. Mimo obiekcji Maggie, to naprawdę może być świetna propozycja. Firma jest warta trzysta milionów dolarów, a jej wartość błyskawicznie rośnie. Jeśli się nie mylę, powiedziałeś mi kiedyś, że masz pewne znajomości w paryskim światku mody. A twoja rodzina jest zaprzyjaźniona z rodziną jakiegoś prezesa firmy projektującej damską modę, zgadza się?

Faraday energicznie pokiwał głową, od razu pojawił się, o co mu chodzi.

- To bardzo dobry pomysł. Postaram się jak najszybciej z nim skontaktować.

- Tylko uważaj, bo pewnie sam chciałby wykupić Hush-Hush - dodał

Gillette. - Wiesz, jak wszystkim zależy, by wejść na rynek amerykański.

- Jasne.

- Wygląda mi to na prostą inwestycję. Przejmujemy firmę jak najszybciej, zanim inni się zorientują, po czym sprzedajemy ją już po paru miesiącach, z kilkusetmilionowym zyskiem. Jeśli się uda, wszystko będziemy zawdzięczać Davidowi.

- To prawda, lecz...

- I nie zapominaj, że to także on skusił na nasze inwestycje Fundusz Emerytalny Kalifornijskiego Związku Nauczycieli. Zarząd funduszu dzisiaj rano złożył zobowiązanie udziałowe na sumę sześciuset milionów dolarów. Jednoprocentowe opłaty wzbogacą naszą firmę o sześć milionów dolarów rocznie. To nie jest rzecz do pogardzenia.

- To jego cholerny ojciec umówił nas na spotkanie z przedstawicielami funduszu.

Ojciec Wrighta był starszym bankierem w inwestycyjnej firmie Morgana Stanleya. Rzeczywiście, to on kilka miesięcy wcześniej zapoznał Faradaya z przedstawicielami funduszu emerytalnego z Zachodniego Wybrzeża.

- Niemniej David miał w tym swój udział, dzięki niemu jesteśmy teraz związani z zarządem jednego z największych społecznych funduszy w tym kraju. Do diabła, mogliby dać zobowiązanie nawet na kilka miliardów, gdyby tylko zechcieli. Mam nadzieję, że się odważą, kiedy będziemy zbierali następny fundusz. Everest Dziewięć.

Faraday pokręcił głową.

- Na Boga, jeszcze nie wysechł atrament na wszystkich umowach dotyczących udziałów w funduszu ósmym, a ty już zaczynasz myśleć o dziewiątym. - Odruchowo poprawił krawat pod brodą. - Mogę cię o coś zapytać?

Gillette wyłowił w jego głosie niezwykle ton, toteż rzekł z zaciekawieniem:

- O co?

- Maggie nie trafiła dzisiaj w dziesiątkę?

- W jakiej sprawie?

- Nie miała odwagi powiedzieć jeszcze paru rzeczy, ale szczerze mówiąc, wcale jej się nie dziwię. Spoglądałaś na nią takim wzrokiem, jakbyś miał ochotę odgryźć jej głowę, ilekroć otwierała usta, żeby zabrać głos.

- Masz na myśli sprzedaż Laurel Energy? - zdziwił się Gillette. - I jej dziwne podejrzania co do propozycji najęcia specjalistów Morgana Stanleya?

- Owszem. Na pewno nie chcesz się w ten sposób odwdzińczyć ojcu Davida za ściągnięcie dla nas Funduszu Emerytalnego Kalifornijskiego Związku Nauczycieli? Nie miała racji?

- Morgan Stanley doskonale wywiąże się z tego zadania. Nie wątpię, że znajdzie nabywcę gotowego zapłacić pięć miliardów za Laurel Energy. - Spojrzał na Anglika ze zmarszczonymi brwiami. - Zresztą uważam, że to naprawdę dobry interes - wyraża się komuś wdzięczność za przysługę, stwarzając tym samym okazję do wyświadczenia kolejnej przysługi.

- Laurel Energy to dla nas na tyle ważna transakcja, że...

- Dość tego. - Gillette wbił wzrok w zestawienie cen akcji widniejące na ekranie komputera. - I rzeczywiście, biorę pod uwagę awans Davida na stanowisko wspólnika zarządu.

Faraday warknął gardłowo.

- Ma dopiero trzydzieści jeden lat.

- Ale już zasiada w siedmiu z naszych rad nadzorczych, w tym w pięciu pod moim przewodnictwem. Formalnie jestem prezesem zarządu w tych firmach, ale to on prowadzi kwartalne zebrania. I doskonale wywiązuje się z tych obowiązków. Nikomu z zasiadających w tych radach nie przeszkadza, że David ma dopiero trzydzieści jeden lat.

Faraday westchnął głośno.

- Moim zdaniem, lepiej jest awansować kogoś z dłuższym stażem. Nie sądzę, by promowanie właśnie jego było najlepszym pomysłem, zwłaszcza że miałby zostać oddelegowany do filii w Los Angeles. Dobrze byłoby się najpierw przekonać, jak sobie radzi na stanowisku samodzielnego wspólnika zarządu.

- Zgadzam się.

Anglik zachichotał.

- Wyobrażasz sobie, że zaraz po awansie na wspólnika zarządu mógłbyś go wysłać do Los Angeles, z tym jego ledwie porośniętym sierścią ogonem? Jezu, chyba natychmiast wszelki ślad by po nim zaginął. Tak samo, jak po jego żonie.

- Przecież powiedziałem, że się zgadzam.

- Nie chciałbym tylko, żebyś zmienił zdanie, gdy przy najbliższej okazji zaprosi cię na partię bilarda. Wiem, jak potrafi być przekonujący.

- Bez obaw. - Gillette przypomniał sobie jednak ten moment, kiedy wychodząc z sali konferencyjnej, omal nie wpadł na Wrighta. - Czy David nie wydawał ci się ostatnio jakiś dziwny?

- Co masz na myśli?

- Zaabsorbowany czymś, pogrążony w myślach, nieswój?

Faraday zamyślił się głęboko.

- Nie, niczego podobnego nie zauważyłem - odparł po chwili.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz. Zawsze się niepokoję, że ktoś próbuje zwerbować naszych najlepszych pracowników.

Anglik przygryzł wargi.

- O co chodzi? - zapytał Gillette. Nie ulegało wątpliwości, że Faraday ma coś na końcu języka, czego nie chce powiedzieć na głos.

- Nic takiego.

- Nie wygłupiaj się, Nigel.

Tamten przez kilka sekund obracał w palcach krawat, wreszcie puścił go, ułożył na koszuli i mruknął:

- David Wright... Czy ty przypadkiem nie szykujesz go na swego następcę na stanowisku prezesa Everestu?

Gillette przyglądał mu się uważnie przez kilka sekund.

- Każda firma powinna mieć przygotowany plan sukcesji.

- Więc dlaczego pomijasz mnie? - zapytał cicho Anglik. - Przecież wiesz, jak bardzo się poświęcam. Poza tym, jestem twoim zastępcą...

Gillette się zawahał, rozmyślając, czy powinien ciągnąć dalej ten temat. Zależało mu, by Faraday dalej się poświęcał dla firmy, tym bardziej musiał więc uważać, bo nie miał pewności, jak Anglik zareaguje na jego całkowitą szczerość. Nie dało się wykluczyć, że spocznie na laurach, nabrawszy podejrzeń, że na nic więcej nie powinien już liczyć. Z drugiej strony, nie można też było nikogo wodzić za nos, a już w szczególności kogoś tak lojalnego jak Nigel. Westchnął ciężko, a przez głowę przemknęło mu pytanie: czemu wciąż spotyka na swej życiowej drodze aż tyle wyzwań? Ileż to ważnych decyzji musiał podejmować zaledwie w ciągu paru sekund?

- Doskonale się spisujesz w roli zbieracza funduszy, Nigel, i z mojego punktu widzenia w ciągu ostatnich dziesięciu miesięcy sprawdziłeś się idealnie w zarządzaniu firmą. Ale nie masz żadnego doświadczenia w negocjowaniu transakcji - dodał łagodniejszym tonem. - Nie masz pojęcia, według jakich kryteriów wybierać przedsiębiorstwa do kupienia, jakie stawiać warunki ich nabycia i jak kierować firmami po ich zakupie.

- Mogę się tego nauczyć.

- Za długo by to trwało.

- Posłuchaj, jestem...

- Lepiej porozmawiajmy o Apeksie.

Faraday zwiesił głowę, jak gdyby Apex był ostatnią rzeczą, o której miał w tej chwili ochotę rozmawiać.

- Znowu?

- Tak, znowu - rzekł ostrzej Gillette.

- Przecież mamy już dwadzieścia dwa miliardy na kolejne inwestycje, wliczając fundusz rodziny Wallace'ów. Naprawdę jeszcze ci mało?
- Zawsze chciałoby się więcej.
- Poza tym z Apeksem mielibyśmy tylko masę pieprzonych kłopotów - ciągnął Faraday. - Po co zawracać sobie nimi głowę?

Apex Capital był drugą dużą prywatną spółką kapitałową z Manhattanu, zarządzającą dwudziestoma dwoma firmami i dysponującą pięćdziesiątą miliardami zamrożonego kapitału inwestycyjnego w postaci zobowiązań udziałowców. Do ubiegłego roku spółką zarządzał samozwańczy finansista, niejaki Paul Strazzi, który padł ofiarą desperackiej wojny Milesa Whitmana. Popełnił kardynalny błąd, usiłując knowaniami przejąć na własność Everest.

Od czasu zabójstwa Straziego Apeksem kierował Russell Hughes, który nie umiałby znaleźć otworu w mokrej papierowej torbie. Był nadzwyczaj atrakcyjną partią - wysoki i szczupły, ciemnowłosa, o pociągłej twarzy, podobnie jak Gillette - robił zatem świetne pierwsze wrażenie. Nie umiał jednak podjąć samodzielnie decyzji, nawet gdyby miało od tego zależeć jego życie. Wszystko odkładał na później, a brak zdecydowanego kierownictwa wyraźnie odbijał się na skuteczności Apeksu. Pod jego rządami firma zrobiła tylko jedną inwestycję, a w ciągu ostatnich sześciu miesięcy kilka przedsiębiorstw znalazło się w poważnych tarapatkach z powodu braku jego inicjatywy co do zmian w nieudolnych zarządach. Apex stopniowo tracił na znaczeniu i Gillette wyczuwał nadarżającą się okazję.

- Moglibyśmy przejąć Apex dosyć tanio - rzekł. - Wystarczyłoby tylko zwrócić wspólnikom zarządu ich pierwotne wkłady. W ten sposób zyskalibyśmy kolejne pięć miliardów na inwestycje i dwadzieścia dwa przedsiębiorstwa, z których część dałoby się połączyć z naszymi firmami, przez co zaoszczędzilibyśmy na niepotrzebnie dublujących się stanowiskach biurowych i zwiększyli siłę przebicia poszczególnych

producentów. Mam wrażenie, że bez trudu uporałbym się z wartowniczymi psami Apeksu. Dokładnie analizowałem sytuację spółki i jestem przekonany, że dałoby się jeszcze naprawić wyrządzone szkody. Gdybyśmy wywalili parę mniej zdolnych osób i zastąpili je znanymi sobie fachowcami, szybko postawilibyśmy Apex na nogi. Ale najważniejsze byłoby odmrożenie tego pięciomiliardowego funduszu inwestycyjnego. W takiej sytuacji mielibyśmy dwadzieścia siedem miliardów. Pod taki zastaw bez trudu uzyskalibyśmy bankowe kredyty i pożyczki towarzystw ubezpieczeniowych, które wręcz się ustawiają w kolejce, żeby tylko przekazać nam swoje pieniądze. Wydaje mi się, że w ten sposób moglibyśmy aż czterokrotnie zwiększyć wielkość funduszu inwestycyjnego. Jak sądzisz?

Faraday zamyślił się na chwilę.

- Pewnie masz rację - przyznał.

- Czterokrotnie wyższe kredyty dałyby nam prawie sto dziesięć miliardów dolarów. W połączeniu z dwudziestoma siedmioma w potwierdzonych zobowiązaniach udziałowców uzyskalibyśmy kontrolę nad kapitałem o wysokości ponad stu trzydziestu pięciu miliardów.

- Tylko skąd wiesz, że moglibyśmy aż tak tanio przejąć Apex?

- Bo rozmawiałem już z jednym ze wspólników zarządu. Znienawidzili Russella Hughesa. Bez chwili wahania odsprzedadzą swoje udziały po wartości parytetowej, gdyż sądzą, że jeśli on się utrzyma dłużej na stanowisku prezesa, cały majątek spółki wkrótce przestanie być cokolwiek wart.

- Więc dlaczego nie przegłosują zmiany prezesa?

- Bo to by potwierdziło całemu środowisku finansowemu, że w Apeksie panuje bałagan. Napotkaliby poważne trudności nie tylko w gromadzeniu następnych funduszy, ale także w inwestycjach. Bo i kto chciałby sprzedać firmę spółce kapitałowej, w której panuje bałagan?

- Rozumiem, do czego zmierzasz.
- Z tego powodu trzymali się kurczowo Russella, dopóki ja się nie pojawiłem na horyzoncie. Dlatego uważam, że zdołałbym ich nakłonić do podjęcia szybkiej i korzystnej dla nas decyzji.
- Nie wątpię - przyznał Faraday. - Ile by nas to kosztowało?
- Miliard. Jeszcze rok temu trzeba by zapłacić znacznie więcej, ale Hughes skutecznie obniżył wartość ich udziałów.
- I chciałbyś natychmiast po zakupie włączyć Apex do Everestu?
- Nie. Na pewno nie od razu. Nie mógłbym dać obcym sposobności do bogacenia się na zebranych przez ciebie funduszach. To byłoby nie w porządku.
- Rozumiem.
- W dalszej perspektywie nie wykluczam fuzji. Wcześniej będziemy jednak wspólnie musieli dokładnie sprawdzić udziałowców spółki.
- Jak chcesz tego dokonać? Z kim zamierzasz rozmawiać w pierwszej kolejności?
- W przyszłym tygodniu mam spotkanie z największymi ograniczonymi wspólnikami Russella, inwestorami instytucjonalnymi. Chcę im wyjawiać swoje plany, zyskać ich aprobatę i poprosić, aby zaczęli naciskać Russella, by się nie sprzeciwiał transakcji. Dopiero później chcę się skontaktować z najważniejszym udziałowcem, spadkobiercą Straziego, i złożyć mu oficjalną ofertę kupna. W dalszej kolejności postaram się ściągnąć do jednej sali wspólników zarządzających Apeksu i im także złożyć propozycję. Wszystko wskazuje na to, że Hughes nie zamierza się pozbywać swoich udziałów, ale mam nadzieję, że gdy przeciągnę resztę zarządu na swoją stronę, zostanie w sytuacji bez wyjścia.
- Widzę, że dobrze sobie to wszystko przemyślałeś. Można uznać, że Hughes jest już trupem, tylko jeszcze o tym nie wie.
- Tak musi się to skończyć.

- Zawsze zdobywasz to, czego pragniesz, zgadza się, Christianie?
- Najczęściej. A w stosunku do ciebie pragnę, żebyś uważał, jak się wyrażasz.

Faraday zmarszczył brwi.

- Słucham?

- Nawet nie zdajesz sobie sprawy z tego, jak mówisz, prawda?

- No, wiesz... - Anglik umilkł, speszony.

- Nieraz ci powtarzałem, że nic mnie nie obchodzi, czy będziesz ciskał kurwami co drugie słowo podczas naszej rozmowy w cztery oczy, ale nie życzę sobie, byś używał takiego słownictwa w obecności innych pracowników biura, a zwłaszcza kobiet.

- Kiedy ostatnio...

- Dzisiaj rano. Nie zauważyłeś?

Faraday jęknął gardłowo.

- Wybacz, ale byłem tak podekscytowany...

- To nie jest żadne wytłumaczenie. Byłbym nawet gotów ci wybaczyć ten dziki taniec radości, jaki rano wykonałeś na korytarzu, choć przyznam szczerze, że było to najbardziej żenujące przedstawienie, jakiego miałem nie szczęście być świadkiem, jeśli tylko obiecasz, że będziesz bardziej panował nad swoim językiem w miejscach publicznych.

- Dobrze. W porządku. - Faraday zamierzał wstać z fotela, ale znów odchylił się na oparcie. - Czy Allison Wallace ma wystarczające kwalifikacje, żeby zostać współnikiem zarządzającym w Everest Capital? Sprawdzałeś to? - zapytał z naciskiem. - Chodzi mi o to, że z wielką radością powiększę nasz fundusz inwestycyjny o następnych pięć podwójnych baniek, ale nie chciałbym, by odbyło się to za cenę obciążenia tego biura zbędnym balastem. Zwłaszcza tak ślicznym balastem, który będzie tylko odciążał mężczyzn od pracy.

Gillette westchnął ciężko. Miał wrażenie, że wciąż usiłuje wtoczyć jakiś gład pod górę.

- Kiedy ją widziałeś?
- Dziś rano, kiedy wychodziła z sali konferencyjnej po spotkaniu z tobą. Trudno było jej nie zauważyć. Na jakiś czas ustała w biurze wszelka praca.
- Nie przesadzaj.
- Zgrabne nogi aż do samej szyi i krótka spódniczka, żeby dobrze je było widać - rzekł Faraday rozmarzonym tonem, w teatralnym geście układając otwartą dłoń pod brodą.
- Wcale nie miała aż tak krótkiej spódniczki. Była ubrana w bardzo tradycyjną i stosowną garsonkę.
- Może i masz rację. - Anglik zachichotał. - Co nie wpływa na najważniejsze pytanie: chce coś upolować między nami, czy po prostu znalazła się w takiej pozycji ze względu na rodzinny majątek? Chyba jeszcze ważniejsze brzmi następująco: zgodziłeś się przyjąć ją do zarządu w nadziei dobrania się do jej skarbonki czy raczej majątek?
- Może jedno i drugie?
- Dzięki przynajmniej za szczerość.
- Daj spokój, Nigel. Chyba dobrze mnie znasz - odezwał się Gillette karcącym tonem. - Nigdy bym się nie zniżył do takiego poziomu.
- Tak, wiem.
- Nie zapominaj, że zasiada w radzie nadzorczej rodzinnego funduszu razem z wujem i dziadkiem. Z jej pokolenia na pewno jest wiele innych Wallace'ów, którzy chcieliby zająć jej miejsce, a to oznacza, że musi mieć kwalifikacje.
- Dzwoniłeś już do Craiga Westa?
- Jak tylko wyszła z sali konferencyjnej. Oddzwonił tuż przed naszym popołudniowym zebraniem. Allison ukończyła Yale, a dyplom robiła w chicagowskiej Business School. Trudno oczekiwać lepszego wykształcenia.

- Nie żartuj. Każdy pieprzony uniwersytet musiałby ją przyjąć. Tylko sobie wyobraź dotacje, jakie wpłynęły na konto uczelni w czasie jej studiów.

- Na obu uczelniach plasowała się wśród najlepszych studentów.

- Poważnie? - zdziwił się Faraday. - I po dyplomie od razu została wciągnięta do rodzinnej rady nadzorczej?

- Nie, przez jakiś czas pracowała u Goldmana Sachsa, i to w tym samym dziale, co ja przed przejściem do Everestu. Nadal pracuje tam paru moich znajomych. Wszyscy przyznali, że była bardzo dobra. I podobno ani trochę się nie sadziła ze względu na pochodzenie.

Faraday rozłożył szeroko ręce.

- W porządku. Przekonałeś mnie. Ale i tak uważam, że chodzi jej głównie o ciebie.

- Wciąż jestem związany z Faith. Dobrze o tym wiesz.

- Ach, tak, z uroczą panną Cassidy. Tylko dlaczego wciąż nie słyszę dzwonek weselnych?

Gillette odwrócił głowę i popatrzył przez okno na centrum Manhattanu zatopione w łagodnym świetle późnego popołudnia.

Faraday jeszcze przez jakiś czas czekał na jego odpowiedź, ale w końcu dał za wygraną, z gardłowym warknięciem podniósł się z fotela i ruszył do wyjścia.

- Idę na dół po tabliczkę miętowej czekolady - oznajmił. - Nie ma nic lepszego od pieprzonej natychmiastowej nagrody.

- Uważaj, bo będziesz musiał niedługo zacząć się odchudzać - ostrzegł Gillette, kładąc dłoń na myszce komputera.

- A ty co? Wcielasz się w rolę mojego ojca? Najpierw każesz mi uważać na to, jak się wyrażam, a teraz przejawiasz troskę o moją wagę? Jezu... - Strzelił palcami i odwrócił się z dłonią na kłamce. - Powinienem ci jeszcze o czymś powiedzieć, Christianie.

- O czym? - Gillette nie oderwał wzroku od ekranu monitora.

- Dziś rano spotkało mnie coś bardzo dziwnego.

Gillette uśmiechnął się szeroko.

- Tylko mi nie mów, że zjadłeś coś zdrowego i pożywnego na śniadanie.

- Wydaje mi się, że na Park Avenue widziałem Toma McGuire'a.

Ekran komputerowy rozmazał się Christianowi przed oczyma. Tom McGuire, były prezes spółki McGuire & Company, sprzymierzył się z Milesem Whitmanem w celu zabicia Billa Donovana, a później próbował też zabić jego. Wciąż przebywał na wolności i zapewne podsycił w sobie nienawiść za zdemaskowanie spisku, a w konsekwencji pomniejszenie stanu jego konta o wiele milionów dolarów.

- To wcale nie jest zabawne, Nigel.

- Wiem, ale przecież nie próbuję cię rozbawić. Mówię tylko, co widziałem. W każdym razie wydaje mi się, że to był on. Wychodziłem na Park Avenue ze stacji metra, niedaleko naszego biura i wtedy go zobaczyłem. Jestem prawie pewien, że to był on. Przybrał nieco na wadze i miał dłuższe włosy, ale chyba nigdy nie zapomnę rysów jego twarzy. Co dziwniejsze, już zamierzałem wzywać gliniarzy, kiedy nagle zapadł się jak pod ziemię. Zniknął bez śladu, ledwie na chwilę spuściłem go z oczu.

- Wzruszył ramionami. - Zresztą mogłem się pomylić. Może to wcale nie był on...

Gillette ponownie skupił się na ekranie monitora. Przeczucie mu podpowiadało, że Faraday wcale się nie pomylił.

Rozdział 3

Norman Boyd wpatrywał się w portret Gillette'a. Równiutki przedziałek w czarnych włosach po lewej stronie patrzącego, za uszami włosy gładko zaczesane do tyłu. Wyróżniały się ostre rysy twarzy - wąski i długi nos, mocna linia dolnej szczęki lekko wysuniętej ku przodowi, wystające kości policzkowe - a przede wszystkim błyszczące ciemnoszare oczy, które przykuwały wzrok, nawet na fotografii. Już po raz czwarty tego dnia Boyd wpatrywał się w to zdjęcie, usiłując zapamiętać jak najwięcej szczegółów. Bardzo dużo zależało od jego umiejętności wodzenia za nos tego człowieka. A z tego, czego się do tej pory dowiedział, wynikało jasno, że nie będzie to łatwe zadanie. Z pewnością znacznie trudniejsze od innych podobnych, jakie miał już za sobą.

- I jak poszło? - zapytał, ustawiając fotografię przed sobą na biurku w skromnie wyposażonym gabinecie.

- Świetnie - odparł Ganze. - Wyszedł z biura Everestu, żeby się ze mną spotkać w hotelu, zaraz po tym, jak się dowiedział, że nie przyszedłem na umówioną wizytę.

- Zatem jest zainteresowany.

- Bardzo.

- Nawiązałeś do tajemniczej katastrofy, w której zginął jego ojciec, prawda?

- Oczywiście. Chciałby się dowiedzieć czegoś więcej.

- Doskonale.

- Bardzo by tego chciał - dodał Ganze. - Żałuj, że nie widziałeś jego reakcji, gdy tylko wymieniłem imię Clayтона. Coś mi się zdaje, że od

szesnastu lat codziennie rozmyśla o tej katastrofie. To go prześladowuje.

- Myślisz, że go prześladowuje, Danielu?

- Nagła śmierć ojca na zawsze pozostaje w pamięci syna.

Boyd na chwilę wrócił myślami do śmierci swojego ojca, którą przeżył rok wcześniej. Wcale go nie prześladowała.

- Opowiedz mi o nim.

Ganze wyjął notatnik i zajrzał do niego.

- Uczył się w Princeton pod...

- Tak, wiem. Najpierw uniwersytet w Princeton, potem studia ekonomiczne na Uniwersytecie Stanforda, praca w dziale fuzji i nabytków u Goldmana Sachsa, wreszcie Everest Capital. Przeglądałem akta. Chcę, żebyś mi opowiedział, co to za człowiek.

- Ma przyrodnie rodzeństwo, brata i siostrę.

Boyd zmarszczył brwi.

- Przyrodnie?

- Trzydzieści osiem lat temu Clayton Gillette miał romans z dziewiętnastoletnią hollywoodzką aktoreczką. Romans był krótki, ale znaczący. Właśnie ta kobieta jest biologiczną matką Christiana.

- Gillette pozostaje z nią w kontakcie?

- Nie ma nawet pojęcia, kim ona jest. - Ganze uśmiechnął się ironicznie i pokręcił głową. - To też zapewne nie daje mu spokoju, nie sądzisz?

Boyd się skrzywił.

- To nie taka straszna świadomość, żeby nie dawała spokoju. Większość ludzi na świecie zamieniłaby się z nim miejscami bez chwili zastanowienia. - Doskonale wiedział, że choć przy pierwszym spotkaniu Ganze sprawia wrażenie człowieka całkowicie wyczeranego z wszelkich uczuć, to jednak pod jego kamienną maską kryje się gołębie serce.

Było to zresztą powodem jego niepokoju. W tym interesie nie można się kierować sentymentami. I gdyby Ganze nie był aż tak wytrawnym detektywem, już dawno przestałby korzystać z jego usług. - Czy on wie,

że żona Clayтона jest jego macochą? Wie, że pochodzi z nieprawego łoża?

- Dowiedział się o tym jako nastolatek.
- Zakładam, że my już wiemy, kim jest biologiczna matka Gillette'a.
- Oczywiście.
- Doskonale.

- Macocha zgodziła się wychowywać Christiana, ale od początku go nienawidziła - dodał Ganze.

- Jak ona się nazywa?

- Lana. Dostała imię po znanej aktorce. Jej ojciec był w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych dość znanym producentem z Hollywood. Poza nią miał też kilku synów, którym nadał takie imiona, jak Wayne czy Kirk.

- Skąd wiesz, że Lana od początku nienawidziła Gillette'a?

- Odstawiła go od rodzinnej fortuny zaraz po śmierci Clayтона. Zadbała, żeby nie dostał nic w spadku, zlikwidowała miesięczne kieszonkowe, unieważniła jego karty kredytowe i zamknęła konta w banku. O niczym nie zapomiała. Nie dała mu nawet paru dolarów, żeby miał za co wrócić do domu.

- Nieźle.

- Christian ukończył wtedy właśnie Princeton i postanowił na motocyklu wracać przez cały kraj do Kalifornii. Po drodze zatrzymał się w niewielkim miasteczku w zachodniej Pensylwanii, żeby odwiedzić dziadka. Drugiego dnia pobytu u niego dowiedział się o śmierci ojca. Lana zadzwoniła ledwie godzinę po katastrofie, by mu zakomunikować, że oto został na lodzie. Tymczasem motocykl stał w warsztacie. Christian musiał go sprzedać właścicielowi, bo nie miał z czego zapłacić za naprawę. Dostał się na Zachodnie Wybrzeże jak włóczęga, pociągami towarowymi, później poważnie się zapożyczył, żeby ukończyć studia ekonomiczne, wreszcie u Goldmana Sachsa poprosił o dwie pensje z góry, żeby zapłacić depozyt za wynajmowaną klitkę w starej części

Brooklynu. Aż nie chce się wierzyć, że nie mając absolutnie nic, dorobił się aż tak gigantycznego majątku. Wszystko, co ma, zawdzięcza wyłącznie sobie.

- Chcesz powiedzieć, że jest zahartowany?

- Odporny jak wolfram. Do tego bardzo ostrożny i wyrachowany. Ale ma wspaniałomyślne serce.

Boyd prychnął szyderczo.

- Też mi coś...

- Ależ nie, mówię zupełnie poważnie. Dużo wpłaca na cele charytatywne, zarówno we własnym imieniu, jak i z konta firmy. Przeworsował w zarządzie, żeby Everest wpłacił dziesięć milionów dolarów na konto pewnego nowojorskiego szpitala, dzięki czemu powstało całe skrzydło przeznaczone dla dzieci chorych na raka.

- To zwykła autoreklama. Sam powiedziałeś, że jest wyrachowany.

- Niemniej ludzie, z którymi jest blisko związany, są mu bezgranicznie oddani - odparł Ganze.

- Pewnie dlatego, że płaci im znacznie więcej, niż mogliby zarobić gdzie indziej na podobnych stanowiskach.

- Owszem, to prawda - przyznał niechętnie detektyw.

Boyd przygryzł dolną wargę i pogrążył się w myślach.

- Lana Gillette wygląda na oziębłą perfidną sukę. Myślisz, że była zamieszana?

Ganze w jednej chwili spowaźniał.

- Zamieszana?

- W katastrofę samolotu męża.

- Jak dotąd nic na to nie wskazuje.

W uszach Boyda zabrzmiało to jak najpiękniejsza muzyka.

- Jak się poznała z Claytonem?

- Ojciec wysłał ją na wschód, do college'u, a potem na Uniwersytet Wirginii, gdzie Clayton dostał stypendium futbolowe. W szkole średniej był gwiazdą środka obrony, ale w drużynie college'u niczym specjalnym

się nie wyróżnił. Pobrali się z Laną miesiąc po uzyskaniu dyplomów i przenieśli do Los Angeles, gdzie przez rok mieszkali z jej rodzicami. Clayton podjął pracę w lokalnej firmie maklerskiej, której właściciel przyjaźnił się z ojcem Lany. Szybko nabrał wprawy w handlu akcjami i obligacjami, toteż po pewnym czasie otworzył własną podobną firmę.

- Domyślam się - wtrącił Boyd - że podkraść swojemu pracodawcy najważniejszych klientów.

- Pewnie. Był bardzo sprytny, mógł wtedy każdemu zamydlić oczy. Ujawnił się jego talent. Nic dziwnego, że po kilku latach przekształcił firmę brokerską w bank inwestycyjny. Później sprzedał go za sto milionów dolarów i zajął się polityką.

- Więc Lana była ustawiona finansowo?

- Tego jeszcze nie jestem do końca pewien - odparł Ganze po krótkim namyśle. - Sądzę jednak, że tak. Do dzisiaj mieszka w tym samym wielkim domu w Bel Air.

- Gillette utrzymuje z nią kontakty?

- Nie.

Boyd się zawahał.

- A jakie są jego przekonania polityczne?

- Należy do Partii Republikańskiej, ale w ostatnich wyborach prezydenckich głosował na kandydata demokratów. W końcu nie musi głosować na podstawie wysokości swojego konta bankowego, bo figuruje na nim tak olbrzymia suma, że nie ma to już żadnego znaczenia.

- Jakimi funduszami obraca?

- Właśnie skończyli w firmie tworzyć nowy fundusz w wysokości piętnastu miliardów dolarów, a jeszcze nie wykorzystali wszystkich pieniędzy z poprzedniego. Poza tym Everest zarządza trzydziestoma przedsiębiorstwami. Są wśród nich firmy o światowej renomie. - Ganze umilkł na krótko. - I jeszcze coś. Według zdobytych przeze mnie informacji, Christian zamierza przejąć kontrolę nad konkurencyjną spółką Apex Capital.

Boyd podniósł głowę i popatrzył na niego. Dostrzegł zarys kolejnej dziury w moście, do tego groźnej.

- To ciekawe.

- Sądzisz, że wynikną z tego jakieś kłopoty?

- Nie wiem - odparł cicho. - Ale trzeba będzie mieć oko na te poczynania. Co byś powiedział na ochronę?

- Jaką ochronę?

- Osobistą. Gillette nie korzysta z ochrony osobistej?

- Nigdzie się bez niej nie rusza.

- Z czyich usług korzysta?

- Firmy o nazwie QS Security.

- Jest dobra?

- Bardzo. Prowadzi ją niejaki Quentin Stiles, który należy do najbardziej zaufanych współpracowników Gillette'a. Kiedy o niego pytałem, wszyscy twierdzili, że zalicza się do najlepszych. Przed założeniem prywatnej firmy ochroniarskiej służył w wywiadzie wojskowym, a później w Secret Service. Ale od jakiegoś czasu nie bierze indywidualnie żadnych zleceń.

- Dlaczego?

- W ubiegłym roku otrzymał postrzał w klatkę piersiową. Długo leżał w szpitalu.

- Dostał kulkę, kiedy ochraniał Gillette'a?

Ganze przytaknął ruchem głowy.

- Ale jego agenci cały czas pilnują Gillette'a? - zapytał Boyd.

- Przez okrągłą dobę, siedem dni w tygodniu. Wszystko wskazuje na to, że Christian i Stiles obawiają się zagrożenia ze strony niejakiego Toma McGuire'a.

Boyd uniósł wysoko brwi.

- A któż to taki?

- Był cynglem Milesa Whitmana, kiedy ten rok temu postanowił pozbyć się Christiana. To właśnie McGuire organizował na niego zamachy.

- Ganze, zgodnie z poleceniem Boyda, starał się znaleźć na temat Christiana Gillette'a wszystko, co tylko się da. - Zapadł się jak kamień w wodę. Podobnie jak Miles Whitman.

Boyd prychnął pogardliwie.

- Whitman... - powtórzył, krzywiąc się z obrzydzenia. - Skończony kretyń. Nadal korzysta z pomocy któregoś z pracowników biura?

- Na to wygląda.

- Ile dotąd dostał?

- Mniej więcej równowartość czterdziestu milionów dolarów.

- Matko Boska... Gdzie on teraz jest. Wytropiłeś go?

- Chyba gdzieś w południowej Europie, ale jeszcze nie wiem dokładnie.

- Co na to Departament Sprawiedliwości? - spytał wyraźnie rozżłoszczony Boyd. - Ktoś chyba powinien się tam wściec.

- Sytuacja jest raczej kłopotliwa - przyznał Ganze. - Uplętnęło dzieś miesiąc i nadal nie wiadomo, gdzie ci ludzie zniknęli. Z góry płyną różne naciski na tych, którzy pracują w okopach, ale i one nie przyniosły żadnych rezultatów.

- Sądzisz, że prokuratura także podejrzewa istnienie wtyczki w siedzibie spółki?

- Mój przyjaciel twierdzi, że nawet nie zaczęto jeszcze przesłuchań. To śmierdząca sprawa.

Boyd zachichotał.

- Idioci... - Szybko spowaźniał. - Wcześniej czy później będą musieli się do tego zabrać. - Umilkł na chwilę. - Na jakiej podstawie Gillette i Stiles obawiają się zagrożenia ze strony tego McGuire'a?

- Gdyby plan spiskowców się powiódł, McGuire i jego brat Vince zarobiliby grube miliony. Ale Gillette i Stiles w ostatniej chwili zorientowali się, co się dzieje, i zdemaskowali konspiratorów. Na braci McGuire'ów naślali federalnych. Jak już mówiłem, Tom McGuire zapadł się jak kamień w wodę, ale stracił cały majątek. No i brata - dodał Ganze z ociąganiem.

- Jak to się stało?

- Vince pomagał Tomowi w organizacji zamachu na Gillette'a i wpadł w ręce federalnych. Zmarł w więzieniu.

Boyd jęknął gardłowo. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował, był psychopata próbujący się teraz zemścić na prezesie Everestu.

- Gillette powinien się bać tego człowieka?

- Zajrzałem do akt McGuire'a. Był agentem FBI. Nieprzyjemny typek.

- Musimy mieć Gillette'a żywego, Danielu.

- Rozumiem, proszę pana.

Boyd wymierzył palec w pierś Ganze'a.

- Bardzo uważnie obserwuj rozwój sytuacji. Niewykluczone, że trzeba będzie działać błyskawicznie.

- Oczywiście.

Boyd jeszcze raz zerknął na fotografię Gillette'a.

- Kiedy mamy się z nim spotkać?

- W piątek o jedenastej. Dzwoniłem do niego dziś po południu. Zaakceptował ten termin.

Boyd nerwowo zabębnił palcami o biurko.

- Jak na złość wyniknęło coś pilnego od czasu twojej wczorajszej rozmowy i być może będziesz musiał w piątek wyjechać z miasta. Nie da się przesunąć tego spotkania na wcześniejszy termin?

- Cóż, do hotelu przyszedł zaraz po odebraniu wiadomości.

- Aha. - Boyd zaczerpnął głęboko powietrza. - Sądziś więc, że będzie z nami współpracował?

Ganze zamyślił się na dłużej.

- Powinien pan wykorzystać wszystko, czego się do tej pory dowiedzieliśmy, by dać mu jasno do zrozumienia, że tylko dzięki nam uzyska te informacje, które próbuje zdobyć już od dawna. Wtedy może uda się panu skłonić go do pełnej współpracy.

- Obawiam się, że będę musiał mu również zdradzić, w jaki sposób się tego dowiedzieliśmy. Na pewno będzie się o to dopytywał. Nie przyjmie niczego na słowo. Może nawet trzeba go będzie wprowadzić głębiej.

Ganze wzruszył ramionami.

- Które ryzyko jest poważniejsze, ujawnienie naszych tajemnic czy wykrycie przez kogoś z zewnątrz?

- Masz rację - przyznał cicho Boyd. - To najważniejsze pytanie. Czego powinniśmy się bardziej obawiać? Tyle że musielibyśmy je sobie zadawać na każdym kroku.

Gillette starannie ułożył kij pod lewym palcem wskazującym, wycelował w grupkę trzech stykających się ze sobą różnobarwnych bil i uderzył. Z głośnym trzaskiem siódemka, dwunastka oraz czternastka wystrzeliły na boki niczym atomy rozpadającej się cząsteczki i pomknęły we wszystkich kierunkach, zderzając się z innymi bilami. Stopniowo zwolniły, tracąc impet, po czym kolejno powpadały do trzech różnych luz. Tradycyjne partie nie przynosiły mu już satysfakcji, trenował więc rozmaite triki bilardowe.

Wyprostował się powoli i spojrzał na zegarek. Dochodziła jedenasta. Rozpoczął ten dzień przed osiemnastoma godzinami, o piątej rano. Sporo się przez ten czas wydarzyło, ale jak ocenił Faraday w korytarzu biura, w większości układało się kurewsko dobrze. Zamknęli nowy fundusz, powiększywszy go niespodziewanie o pięć miliardów od rodziny Wallace'ów, a w dodatku zyskali przywileje budowlane w Las Vegas.

Oczywiście, jak zawsze pojawiły się też pewne wyzwania. Agresywna organizacja konsumencka z Detroit złożyła sądowy pozew o działanie na szkodę klienta przeciwko należącemu do Everestu wytwórcy części samochodowych z Ohio, a dyrektor naczelny innej firmy mającej siedzibę w Teksasie złożył rezygnację z powodów osobistych. Prawda była taka, że gość regularnie posuwał swoją sekretarkę na biurku w gabinecie

i jak tylko Gillette się o tym dowiedział, nie zostawił mu wyboru. Wcześniej jednak uzyskał od prawników w Ohio - najlepszych radców prawnych, jakich można było znaleźć w tym stanie - zapewnienie, że ewentualny pozew przeciwko niemu nie ma w sądzie żadnych szans, a wiceprezesa teksaskiego przedsiębiorstwa skutecznie może zastąpić ktoś z dosyć szerokiego grona kandydatów, z którymi Gillette postanowił osobiście porozmawiać, chcąc uniknąć dalszych kłopotów. Zresztą podobnie postępował z wszystkimi firmami, którymi zarządzał.

I tak samo należałoby traktować Everest, pomyślał z żalem, lekko postukując końcem kija bilardowego o podłogę. Popołudniowa rozmowa z Faradayem na temat sukcesji w zarządzie spółki dała mu do myślenia. Rzeczywiście, powinien przygotować jakiś plan awaryjny, zwłaszcza jeśli faktycznie Tom McGuire znów kręcił się po ulicach miasta. Był to winien inwestorom Everestu.

Strzelił palcami i zaczął na nowo ustawiać bile na suknie.

- Do diabła - syknął, przypomniawszy sobie, że miał wieczorem zadzwonić do Faith. Teraz było już za późno. Na pewno uczestniczyła w kolejnej uroczystej kolacji na swoją cześć, która miała się skończyć najwcześniej o jedenastej czasu kalifornijskiego.

Westchnął głośno i pochylił się nad stołem. Trudno mu się było do tego przyznać, ale tęsknił za Faith. Była wspaniała - piękna, seksowna, troskliwa i bezpretensjonalna, mimo swojej sławy. Tyle że on nie znosił tęsknoty, która przyprawiała go o poczucie bezradności. Nie lubił troskliwości, nawet jeśli z jej powodu odczuwał satysfakcję. Podziwiał, a nawet bałwochwalczo czcił swojego ojca, co go zmroziło i zepchnęło w emocjonalną pustkę na wiele lat. Teraz zaś mógł dla ojca zrobić tylko tyle, żeby rozwiązać zagadkę jego tajemniczej śmierci. Właśnie z tego powodu zamierzał spotykać się z Danielem Ganze'em, ilekroć tamten sobie tego zażyczy. Wyczuwał, że detektyw wie dużo więcej, niż chce powiedzieć, i to mu wystarczyło.

Rozejrzał się po wytwornie urządzonej sali bilardowej, który krótkim korytarzykiem łączył się z jego gabinetem. Nie było stąd innego wyjścia, mógł więc w pełni kontrolować dostęp wszystkich osób do tego pomieszczenia. Stanowiło ono jedyny przejaw luksusu, na jaki pozwolił sobie po objęciu w ubiegłym roku stanowiska prezesa spółki. Uwielbiał grać w bilard. Po tym, jak Lana odcięła mu dopływ pieniędzy po śmierci ojca, sfinansował swoją podróż na Zachodnie Wybrzeże, rozgrywając w kolejnych miasteczkach partie po pięćdziesiąt dolarów. A w chwilach nadmiernego stresu znajdował wyjątkowe uspokojenie, zapraszając tu na kilka terapeutycznych partii Davida Wrighta.

Pokręcił głową i uśmiechnął się do tych wspomnień. Nigdy nie udało mu się wygrać z ojcem, teraz nawet się z tego cieszył. W końcu tak właśnie powinno być.

Zadzwoił telefon komórkowy. To pewnie Wright, przemknęło mu przez głowę. Młodszy dyrektor obiecał wpaść po pracy na kilka partii. W ciągu gry Gillette zamierzał mu powiedzieć, że nie godzi się na jego wyjazd do organizowanej filii w Los Angeles, ale za to w najbliższym czasie awansuje go na wspólnika zarządu. Jednakże Wright wyszedł z biura, nim Gillette zadzwonił do niego przed paroma godzinami, co wydawało mu się dziwne. Tamten przecież rzadko rezygnował z okazji wykazania się swymi umiejętnościami przed prezesem.

- Słucham.

- Christian?

- Tak.

- Tu Allison Wallace.

- Och, witam. Skąd dzwonicz?

- Jeszcze z Nowego Jorku. Zatrzymałam się w hotelu Parker Meridien.

- Sądziłem, że chcesz razem z Gordonem wracać do Chicago jeszcze tego popołudnia.

- Gordon odleciał, ale ja postanowiłam zostać na weekend i spotkać się z przyjaciółmi.

- Skąd masz ten numer? - zapytał zdziwiony, gdyż nie dawał jej numeru swojej komórki, a Debbie nigdy by tego nie uczyniła bez jego zgody.

- Zapominasz, że nazywam się Allison Wallace.

Nie wyczuł w tym żadnej przechwałki, powiedziała to zrównoważonym, rzeczowym tonem, z którego wynikało, że niczego więcej się nie dowie w tym zakresie. On zresztą też zachowałby dyskrecję w analogicznej sytuacji.

- Posłuchaj, ja...

- Zjedźmy razem lunch w poniedziałek - zaproponowała.

- Nie mogę.

- Dlaczego?

- Jestem już umówiony z komisarzem NFL. Dostaliśmy od nich dzisiaj przywileje budowlane w Las Vegas, dlatego mamy się spotkać w poniedziałek, żeby omówić niektóre szczegóły transakcji.

- Fantastycznie - rzuciła z zapalem w głosie. - To naprawdę podniecające. Lepiej sfinansuj tę inwestycję z funduszu ósmego, kiedy już będę w zarządzie nadzorującym wydatki z tych pieniędzy.

Zawahał się. Chciał pokryć koszty zakupu z resztek funduszu siódmego, a następnie ogłosić emisję gwarantowanych przez Everest obligacji na budowę stadionu piłkarskiego. Według tego planu w ogóle nie trzeba by uruchamiać pieniędzy z funduszu ósmego.

- Jeszcze nie zdecydowałem, w jaki sposób sfinansujemy tę transakcję. Dysponujemy dwoma miliardami z funduszu siódmego.

- Tak, wiem, ale wydawało mi się...

- A co powiesz na śniadanie? - wtrącił.

Wyczuwał w jej głosie niepokojące tony, którymi na razie nie chciał zawracać sobie głowy. Potrafił zrozumieć powody, dla których wołała by, żeby sfinansowali inwestycję z funduszu ósmego, gdyż wiele mogła

się wówczas nauczyć, ale przecież musiał dbać o interesy wszystkich inwestorów. Najlepszym tego przejawem byłoby inwestowanie sekwencyjne, czyli wykorzystanie do reszty funduszu siódmego, a dopiero później sięgnięcie po Everest Osiem. Poza tym za mało jeszcze znał Allison i nie mógł wykluczyć, że będzie reagowała bardzo emocjonalnie. W końcu bez trudu mogła storpedować inwestycje Wallace'ów, gdyby tylko nabrała przeświadczenia, że chce ją wywieść w pole, zyskawszy pięć miliardów rodzinnych pieniędzy. Westchnął głośno. Znow miał do czynienia z konfliktem interesów, z jakim stykał się na każdym kroku.

- Mam już zaplanowane śniadanie - odparła Allison. - W takim razie umówmy się na kolację. Mogę zostać w Nowym Jorku dzień dłużej.

Nie mógł sobie przypomnieć, czy jest z kimś umówiony na kolację. Szybko doszedł do wniosku, że skoro nie pamięta, nie może to być nic ważnego, nawet jeśli jest umówiony.

- Zgoda.

- Wspaniale - rzuciła z nieskrywaną radością. - Wpadnij po mnie do hotelu koło siódmej.

Nie zdążył jeszcze schować aparatu do kieszeni, gdy rozległo się donośne łomotanie do drzwi.

- Tak?

- Otwierać!

Odwrócił się na pięcie, gdyż od razu rozpoznał głos Quentina Stilesa. W paru susach dopadł wyjścia, przekręcił rygiel zasuwki, z impetem otworzył drzwi i szybkim spojrzeniem obrzucił stojącego za nimi detektywa.

Stiles był Afroamerykaninem, przystojnym, o jasnej karnacji, mającym sto dziewięćdziesiąt trzy centymetry wzrostu i ważącym do tej pory sto dziesięć kilogramów. Pochodził z Harlemu i wszystko zawdzięczał wyłącznie sobie, choć ukończył jedynie szkołę średnią. Był obecnie właścicielem firmy ochroniarskiej zatrudniającej pięćdziesięciu agentów.

Gillette uściskał go serdecznie, próbując sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz aż tak bardzo się ucieszył na czyjś widok.

- Hej! - rzucił Stiles, odsuwając się na krok. - Co ci się stało?

- No cóż... witam cię z powrotem w swoim biurze.

- Nie podniecaj się tak bardzo.

- Ja tylko... no, tego...

Detektyw zarechotał głośno, po czym objął go ramieniem.

- Witaj, bracie. Wyglupiałem się. Ja też się bardzo cieszę, że cię widzę.

- Świetnie wyglądasz - odparł Gillette. - Dużo lepiej niż podczas mojej ostatniej wizyty w szpitalu.

- Wcale nie wyglądam świetnie - zaoponował Stiles z irytacją w głosie. - Raczej okropnie. Straciłem około piętnastu kilogramów z mojej normalnej wagi. Pewnie nie dałbym rady wycisnąć na ławie nawet stu pięćdziesięciokilogramowej sztangi. Chryste, ciuchy wiszą na mnie jak na wieszaku. Sam popatrz. - Rozłożył ręce na boki. Rzeczywiście, czarny sweter wisiał na nim luźno.

- Szybko cię podkarmimy - powiedział Gillette, ciągnąc niespodziewanego gościa w stronę dwóch obszernych foteli ustawionych na wprost dużego plazmowego monitora komputerowego wiszącego na ścianie. - Siadaj. - Wskazał mu jeden z foteli, zajmując miejsce w drugim. - Opowiadaj, co robisz poza szpitalem. W sobotę dowiedziałem się od dyżurnej pielęgniarki, że wypiszą cię najwcześniej za dwa tygodnie. - Popatrzył z troską na wykrzywione z bólu usta Stilesa, kiedy tamten powoli siadał w fotelu.

- Gdybym został w szpitalu jeszcze dwa tygodnie, pewnie bym zwarował. Do diabła, postradałbym zmysły, gdybym musiał tam zostać choćby minutę dłużej. Materac przypominał mi cementową posadzkę, a pielęgniarki były jeszcze twardsze, nie wspominając o tym, że nie cierpię szpitalnych zapachów i jak zwykle okropnego jedzenia. Chyba nie muszę ci mówić, jak bardzo mi się marzy wielki, gruby, soczysty stek. Nie

zjadłbyś ze mną lunchu w poniedziałek?

- Nie mogę, jestem... - Gillette ugryzł się nagle w język. Na spotkanie z komisarzem był umówiony na dwunastą, najpóźniej o wpół do drugiej powinien być już wolny. Sekretarka Landry'ego uprzedziła z góry, że jej szef musi o czwartej odlecieć na Zachodnie Wybrzeże, więc nie ma mowy o dłuższych dyskusjach. - Możemy się zobaczyć trochę później, powiedzmy, pięć po czwartej. Wytrzymasz do tego czasu?

- Jasne.

- Skąd wiedziałeś, gdzie mnie szukać? - zapytał Gillette, sadowiąc się wygodnie.

- Jakąś godzinę temu zadzwoniłem pod numer recepcji i odebrał Faraday. Powiedział, że nie zbierasz się jeszcze do wyjścia z biura. Jednocześnie zasugerował, gdzie mam cię szukać. - Stiles rozejrzał się ciekawie dookoła. - Widzę, że nieźle się tu urządziłeś.

Gillette kazał urządzić tę salę bilardową późną wiosną, poprzednio był to gabinet O'Briena, którego wywalił z zarządu spółki. Stiles leżał w szpitalu przez kilka miesięcy i jeszcze nie widział tego pomieszczenia po remoncie.

- Dzięki.

- Znalazłeś już kogoś, kto by cię ograł?

- Oczywiście, że nie.

- Więc wydaje mi się, że właśnie najbardziej... - wycedził Stiles, dźwigając się z fotela - ...potrzebne ci porządne zerżnięcie tyłka, i to właśnie tu, na własnym terenie.

Gillette pospiesznie złapał go pod ramię i łagodnie posadził z powrotem.

- Na pewno nie teraz.

- Dlaczego nie?

- Bo musimy porozmawiać.

Detektyw przekrzywił głowę na ramię, najwyraźniej zaniepokojony jego poważnym tonem.

- O co chodzi?

- Mówiłem ci w ubiegłym tygodniu o umówionym na dzisiaj spotkaniu z tajemniczym człowiekiem z Waszyngtonu. Pamiętasz?

- Tak.

Podczas regularnych odwiedzin w szpitalu Gillette na bieżąco relacjonował Stilesowi wszystko, co się dzieje w biurze Everestu. Od jesieni ubiegłego roku detektyw stał mu się równie bliski, jak Faraday, nie był już tylko zwykłym osiłkiem wynajętym do osobistej ochrony.

- Więc jak ci z nim poszło? - zaciekał się Stiles.

- Spotkanie było dość dziwne, w zasadzie nie powiedział mi niczego nowego. Nie dowiedziałem się też niczego więcej ani o nim, ani o ludziach, w których imieniu występuje, ale i tak zamierzam w przyszłym tygodniu polecieć do Waszyngtonu na spotkanie z nimi.

Stiles wyduł wargi w wyrazie zdumienia.

- Zdaje się, że to zwykła strata czasu. Czemu miałbyś zawracać sobie nim głowę?

- Bo to senator Clark zaaranżował spotkanie. W pełni mu ufam. - Gillette urwał na chwilę. - Co ważniejsze, człowiek, z którym rozmawiałem dziś rano, wspomniał o tajemniczych okolicznościach śmierci mojego ojca.

Wielokrotnie opowiadał Stilesowi o katastrofie lotniczej, w której zginął ojciec. Mówił szczerze, jak zaraz potem został całkowicie odcięty od rodzinnego majątku, gdyż pochodził z nieślubnego związku, i jak desperacko usiłował znaleźć odpowiedzi na cisnące się pytania dotyczące tej historii.

- Aha, rozumiem - rzekł detektyw.

- Facet zaznaczył wyraźnie, że nie przemawia do niego oficjalna wersja przyczyn katastrofy. Powiedział, że doszukiwanie się błędu pilota wydaje mu się naciągane.

- Christianie, uważaj...

- Będę uważał, jak zawsze.

- Ci ludzie czegoś od ciebie chcą - ostrzegł Stiles.

- Wszyscy czegoś chcą.

- To prawda - przyznał cicho detektyw. - Przynajmniej w twoim świecie.

Gillette pokiwał głową, po czym zamknął oczy, żeby odepchnąć od siebie natrętne myśli.

- Więc jak się czujesz? - zapytał. - Naprawdę nie powinieneś zostać w szpitalu?

- Nie, nic mi nie jest.

- Kiedy całkowicie wrócisz do zdrowia? Ludzie, których mi przydzieliłeś, bardzo dobrze wywiązują się z obowiązków, ale chciałbym jak najszybciej znowu zobaczyć ciebie u mego boku. - Zabębnił palcami o poręcz fotela. - Nigel złapał wiatr w żagle. Już ci mówiłem, że nawet mnie zaskoczył swoim poświęceniem dla spraw firmy. Rok temu nigdy nie przychodził do biura przed dziewiątą, a wychodził najpóźniej o szóstej. Teraz jest zazwyczaj przede mną, a wychodzi często dopiero o dziesiątej. W pełni na nim polegam. - Zawahał się. - Tyle że Nigel to nie ty. Rozumiesz, dlaczego tak bardzo mi zależy, abyś jak najwcześniej wrócił do swoich obowiązków. Jeśli tylko stan zdrowia ci na to pozwoli - dodał pośpiesznie.

- Nic mi nie jest - powtórzył stanowczo detektyw. - Ale na razie będziesz się musiał zadowolić obecnymi warunkami ochrony, ponieważ jeszcze przez parę miesięcy nie mogę wrócić do pracy. Niemniej, nadal możesz liczyć na stałą ochronę. Będziesz miał do swojej dyspozycji trzech albo czterech ludzi.

- Amen - odparł Gillette, chcąc zakończyć ten temat. Z jego pamięci wypłynął widok ciemnego wylotu lufy pistoletu płatnego zabójcy, z którym stanął oko w oko ubiegłej jesieni. Nie miał najmniejszej ochoty na drugie podobne spotkanie. - W poniedziałek przy lunchu porozmawiamy o twojej tymczasowej roli w Evereście. Debbie znajdzie ci na razie kawałek wolnej przestrzeni, pewnie nic specjalnego, ale w krótkim czasie dostaniesz duży gabinet.

- Zaraz, powoli - syknął Stiles, unosząc obie ręce. - Nie tak szybko, Christianie. Muszę się zająć sprawami QS Security.

- Firma doskonale prosperowała przez ostatnie dziesięć miesięcy bez ciebie.

- Beze mnie?

- Naturalnie.

- Żartujesz? Nadzorowałem wszystkie sprawy ze szpitala. Jestem na bieżąco.

- Nie wiedziałem o tym.

- Osiągnęliśmy prawie dziesięć milionów dolarów rocznego obrotu.

Ta liczba natychmiast przykuła uwagę Gillette'a, jednakże nie zastanawiał się długo nad opcjami, gdyż tylko jedno miało dla niego głębszy sens.

- W porządku. Kupuję.

- Słucham?

- Zgadza się. Wykorzystam spółkę McGuire & Company, firmę ochroniarską, która jest już naszą własnością. Ile chcesz?

- Jezu, Christianie, zawsze negocjujesz w ten sposób? Wydawało mi się, że masz opinię nieugiętego sukinsyna, gdy chodzi o sprawy kupna i sprzedaży.

- To wyjątkowa sytuacja.

- Dlaczego?

- To już moje zmartwienie.

Stiles pokręcił głową, próbując ukryć ironiczny uśmiech.

- Nie jestem gotów na to, żeby sprzedać firmę.

Gillette pospiesznie wykonał w pamięci kilka obliczeń.

Skoro obroty spółki wynosiły dziesięć milionów dolarów, jej wartość netto mogła wynosić około pół miliona.

- Macie jakieś zaciągnięte kredyty? - zapytał.

- Tak, na trzysta kawałków.

- W porządku. Dam ci pięć milionów dolarów.

- Pięć milionów? - powtórzył Stiles z niedowierzaniem.

Gillette zachichotał.

- I kto tu jest kiepskim negocjatorem?

- Ja tylko... No, więc... Po prostu myślałem...

- Bierz te pieniądze, Quentinie. To najlepsza oferta, jaką możesz otrzymać, przynajmniej w najbliższym czasie. Jutro z samego rana zadzwonię do Craiga Westa i powiadomię go o naszych planach, powiem, że wykupujemy twoją spółkę. Ponadto zamierzam dać ci pół miliona rocznie za pracę w Evereście, oczywiście powiększone o premie i nagrody z zysków.

- Na Boga... To niesamowite. Czemu to robisz? - zdziwił się detektyw. - Przecież w ogóle się nie znam na finansach.

- Ufam ci bardziej niż komukolwiek innemu na tym świecie. Ponadto z mojego punktu widzenia to inwestycja warta każdego centa, którego ci przed chwilą zaoferowałem. Zresztą znasz się na prowadzeniu prywatnych spółek. Jedną stworzyłeś od podstaw i sprzedałeś za pięć milionów dolarów.

- Czym dokładnie miałbym się zajmować w biurze.

- Na początek zebraniem wszelkich możliwych informacji na temat faceta, z którym spotkałem się dziś rano, oraz ludzi, jakich reprezentuje. Chciałbym też, żebyś w przyszłym tygodniu poleciał ze mną do Waszyngtonu.

- Czemu nie zlecisz tego Westowi?

- Craig to rzetelny człowiek, ale nie ufam mu aż tak bardzo, jak tobie. Nawet trudno was porównywać. A coś mi podpowiada, że powinienem zachować najdalej posuniętą ostrożność w kontaktach z tymi ludźmi. - Gillette westchnął głośno. - No i jest coś jeszcze, Quentinie.

- Co?

- Faraday jest przekonany, że dziś rano na Park Avenue widział Toma McGuire'a.

Stiles błyskawicznie spojrział na niego.

- Żartujesz?

- Nie.

Detektyw spuścił głowę i zamyślił się na dłużej. Wreszcie zerknął z ukosa i rzekł:

- Chris, podejrzewam, że nawet milion dolarów nie zakończy tej sprawy.

David Wright uniósł się na łokciu i delikatnie przeciągnął palcami po włosach żony, która spała obok niego. Pół godziny temu Peggy chciała się kochać, ale nic z tego nie wyszło. Był za bardzo rozkojarzony, gdyż obawiał się, że w każdej chwili do drzwi mieszkania mogą zapukać detektywi z nowojorskiej komendy policji, którzy pewnie już się ślinili na myśl, że go aresztują pod zarzutem zamordowania kobiety na tyłach sex-shopu.

Pół godziny temu był do niczego w łóżku, teraz z kolei nie mógł zasnąć. Odtwarzał na okrągło z pamięci tę przerażającą scenę, jaka się rozegrała w sali tortur. Skoczył przed siebie, zahaczył stopą o pieńek i niemal w tej samej chwili rozległ się trzask pękających kręgow szyjnych, cichy i krótki, jakby złamał w palcach cienki delikatny ołówek. Rozległ się trzask, a ciało kobiety zwisło bezwładnie. Boże, gdyby tylko mógł cofnąć czas o tych parę sekund.

Mimowolnie jęknął, położył się ostrożnie i zasłuchany w regularny szmer oddechu śpiącej żony, zapatrzył się w ledwie widoczny sufit tonącego w ciemności pokoju. Peggy za wszelką cenę starała się go podniecić, dobre pięć minut pracowała wargami i językiem, mimo że tego nie lubiła, ale bez rezultatu. Zrzucił winę na pracę, na Gillette'a traktującego wszystkich jak niewolników, i przyjęła jego wyjaśnienia, przynajmniej na razie. Ale nie mógł się cały czas zasłaniać pracą. Wcześniej rzadko wytrzymał dzień bez seksu. Peggy musiała więc szybko się zorientować, że coś jest nie tak, coś bardzo ważnego. Mógł się tylko łudzić, że

do tego czasu policjanci wyprowadzą go z domu w kajdankach.

Starał się oddychać głęboko i rytmicznie, ale nie mógł. Czuł się tak, jakby na piersi spoczywał mu olbrzymi ciężar.

- Cholera! - syknął, odwracając się tyłem do żony i naciągając wyżej kołdrę.

Kiedy tego ranka na korytarzu omal nie wpadł na Gillette'a, jak naręczony zaczął gadać o kupnie Hush-Hush, bo miał wrażenie, że prezes przenika go spojrzeniem na wylot, jakby doskonale wiedział, że stało się coś złego. Wright do tej pory miał w uszach jego pytanie: „Dobrze się czujesz?”. I to spojrzenie przypominające świder wwiercający się w jego mózg, gotów rozłupać mu czaszkę i obnażyć wszystkim jej zawartość.

To była najgorsza cecha Gillette'a. Wydawało się, że potrafi powiedzieć dokładnie, o czym ktoś myśli albo co zrobił. Pewnie ta umiejętność była jednym z głównych powodów, dla których już w wieku trzydziestu siedmiu lat został prezesem Everestu. Różnił się od innych ludzi. Odznaczał się niespotykaną przenikliwością. Jakby każdego przez cały czas wyprzedzał o dziesięć kroków.

No cóż, trzeba będzie wyjechać na weekend i wziąć dodatkowo wolny poniedziałek, pomyślał Wright, zaciskając powieki. Zamierzał trzymać się jak najdalej od mieszkania i biura Everestu w obawie przed wizytą policji. Nie zdecydował jeszcze, co robi, jeśli rzeczywiście detektywi zaczną go szukać. Jednego tylko był pewien: nie zamierzał dać się zamknąć za kratkami, nawet na kilka dni.

Nagle w całym domu rozbrzmiało echem głośnie kołatanie do drzwi.

- Matko Boska! - Gwałtownie usiadł w łóżku.

- Co się stało?! - wymamrotała Peggy, siadając obok niego i przecierając oczy. - Mój Boże! Co to może być?!

Na zewnątrz panowała jednak cisza. Dopiero teraz Wright uzmysłowił sobie, że ktoś dobijał się do mieszkania po drugiej stronie korytarza. Z trudem przełknął ślinę i przeciągnął dłonią po czole. Było zroszone kroplami grubego potu jak pokryta rosą rura od zimnej wody.

- Już wszystko w porządku - mruknął.

- Co się stało, David?! - spytała zaniepokojona Peggy, kładąc mu dłoń na ramieniu.

- Nic takiego, skarbie. Naprawdę - zapewnił, układając się z powrotem i ciągnąc ją za sobą.

Tak bardzo chciał jej powiedzieć prawdę, ale nie mógł. Musiał zachować wypadek w ścisłej tajemnicy przed całym światem. I właśnie to wydawało mu się najtrudniejsze.

Rozdział 4

- A więc cieszysz się?

Gillette popatrzył, jak Kurt Landry odkraja kawałek steku wielkości telefonu komórkowego i wkłada do ust. Siedzieli w odległym kącie sali Sparks Steak House w centrum Manhattanu. Landry rozpoczął karierę w latach osiemdziesiątych jako rzecznik prasowy zespołu New York Jets i po kilku głośnych wystąpieniach publicznych, w tym także jako komentator niedzielnego magazynu sportowego NBC oraz reprezentant najbardziej popularnej sieci wynajmu samochodów, dostał się do biura rzecznika prasowego NFL, gdzie podpisał kontrakt na dwa lata. Był już wtedy człowiekiem rozpoznawalnym przez opinię publiczną, słynącym jako wytrawny mówca. Błyskawicznie przystąpił do knucia intryg, nawiązywał rozliczne znajomości i poza sezonem gościł oficjeli zarządu ligi, toteż przed dwoma laty w tajnym głosowaniu udziałowców został wybrany na komisarza tegoż zarządu, pokonując w rywalizacji znanego starszego wspólnika jednej ze spółek finansowych z Wall Street. Stało się tak głównie dlatego, że ludzie z zarządu wspierający Landry'ego byli przekonani, że głosują na swoją marionetkę gotową wykonywać ich polecenia. Nikt nie chciał na tym stanowisku człowieka myślącego samodzielnie.

Craig West na polecenie Gillette'a pozbiierał trochę informacji, z których wynikało, że poplecznicy Landry'ego mieli rację, gdyż postępował dokładnie tak, jak oni sobie tego życzyli. Miał wręcz niezliczone powiązania.

Ale tego dnia Landry nie mógł liczyć na wsparcie swoich popleczników.

Obserwując przejawy żarłoczności swojego gościa, Gillette zwrócił uwagę, że wiele elementów jego budowy fizycznej wydaje się za dużych: głowa, usta, uszy, dłonie. Ledwie się mieścił na krześle dostosowanym do człowieka normalnych rozmiarów.

- Ile masz wzrostu? - zapytał, ignorując pytanie Landry'ego.

- Dwieście jeden centymetrów.

- A ile ważysz?

Landry zarechotał głośno.

- Sto piętnaście kilo, ale zamierzam dorzucić jeszcze ze dwadzieścia. Jestem dumny z tego, że potrafię do woli przybierać na wadze i chudnąć.

- Zacerpnął łyżką dużą porcję frytek i połknął je, prawie nie gryząc. Odłożył łyżkę, niedźwiedzią łapą poklepał Gillette'a po ramieniu i rzekł rubasznie: - No, zdradź wreszcie. Cieszysz się?

Gillette przytaknął ruchem głowy.

- Jasne.

- A nic na to nie wskazuje. Przecież będziecie mieli mnóstwo zabawy, prowadząc jednocześnie swoje interesy. Bo co może dać więcej satysfakcji niż posiadanie na własność zespołu NFL?

- Wolę nie wybiegać myślą aż tak daleko.

- Nie rozumiem - zdziwił się Landry, nakładając z półmiska kopsiastą porcję szpinaku.

- Zależy mi przede wszystkim, aby była to dobra inwestycja, przynosząca zysk wspólnikom firmy - wyjaśnił Gillette. - Czteryście pięćdziesiąt milionów to raczej wygórowana cena za coś, co do tej pory nie przyniosło ani centa zysku. Jeśli dobrze ulokujemy pieniądze i zdołamy zwielokrotnić pierwotny wkład, wtedy będę się cieszył.

- Tylko pieniądze i pieniądze - mruknął Landry z ironicznym uśmiechem. - Pomyśl o innych korzyściach. W końcu mówimy o przywilejach budowlanych w Las Vegas.

- To miasto ma także swoje poważne minusy.

- Hej, zostaniesz najmłodszym właścicielem drużyny w NFL - rzekł z naciskiem Landry, całkowicie lekceważąc jego obawy. - A teraz, po tym artykule w magazynie „People”, wszyscy chcieliby cię poznać.

Gillette odsunął na środek stołu talerz z resztkami rybnego filetu i parujących jeszcze brokułów, żeby oprzeć łokcie o blat.

- Zrozum, że to nie ja będę właścicielem drużyny, tylko Everest Capital. Poza tym nigdy nie rozmawiałem z autorem artykułu w „People”. Redakcja pozbierała materiały we własnym zakresie.

Zaczynał się coraz bardziej wściekać na dziennikarza, który opublikował zgromadzone informacje.

- Na twoim miejscu wcale bym się nie skarżył - odparł prawnik, wycierając usta białą lnianą serwetką. - W końcu pod jakim hasłem ukazał się ten artykuł? „Najbardziej pożądana partia w naszym kraju”? Chyba nie zdajesz sobie sprawy, ilu facetów oddałoby wszystko za taką reklamę. Mogę się założyć, że ten artykuł otworzył ci wiele drzwi pewnych bardzo atrakcyjnych kobiet. Pewnie świetnie na tym wyszedłeś, co nie, chłopcze?

- Musisz wiedzieć, że nie jestem zwolennikiem tego typu osobistej promocji, Kurt.

Landry obrzucił go zatroskanym spojrzeniem.

- Ale chyba nie zamierzasz rezygnować z przewodnictwa zarządu nowego klubu, co nie? Na pewno zechcesz uczestniczyć w podejmowaniu najważniejszych decyzji.

- Zgadza się.

Tamten uśmiechnął się z wyraźną ulgą.

- A więc... wracając do rzeczy... bardzo bym chciał, żeby ktoś napisał taki artykuł o mnie. - Machnął ręką na kelnera i uniósł szklanke, pokazując, że prosi o dolewkę wody mineralnej. - Opowiedz mi coś więcej o Everescie. Najlepiej w takiej wersji, jak dla „Reader's Digest”, bo w

ogóle się nie znam na sprawach inwestycji finansowych.

Wynikało stąd, że Landry niewiele miał do powiedzenia przy wyborze oferenta na zakup przywilejów. W przeciwnym razie nie prosiłby o ogólne informacje na temat Everestu. Dla jego podwładnych - a może raczej podwładnych jego popleczników - zebranie informacji rynkowych musiało przypominać zawody w podnoszeniu ciężarów.

- Jesteśmy spółką kapitałową - zaczął Gillette. - Zazwyczaj kupujemy i wprowadzamy swoich zarządców do firm z sektora produkcyjnego bądź usługowego. Poza tym są to zwykle firmy obecne na rynku już od pewnego czasu, co tym bardziej wyróżnia tę transakcję. Proszę się więc nie dziwić, że zachowujemy daleko posuniętą ostrożność. Oczywiście zawsze staramy się działać rozważnie, ale w tym wypadku musimy być ostrożni podwójnie. Gdyby cokolwiek poszło nie po naszej myśli, inwestorzy spółki natychmiast dobraliby mi się do tyłka. Dlatego powiedziałem, że nie chcę wybiegać myślą aż tak daleko.

- Uważam, że nie masz się czym martwić. Zarobicie na tej inwestycji kupę forsy - oznajmił z przekonaniem Landry. - Poza tym napisali o tobie w tym artykule, że jesteś złotą rączką, jeśli chodzi o inwestycje.

- Do tej pory idzie mi całkiem nieźle.

- Mnóstwo ludzi było zainteresowanych kupnem tych przywilejów.

- Co przeważało na naszą korzyść? Tylko wysokość oferty, czy też może jeszcze coś innego?

Prawnik odłożył serwetkę, odchylił się na oparcie krzesła i skrzyżował ręce na swej atletycznej piersi.

- Naprawdę nie mogę się wypowiadać na ten temat, Christianie. Brano pod uwagę wiele kryteriów, wśród których wysokość oferty odgrywała istotną rolę. Niemniej, wspólnicy zarządu nie życzyliby sobie, żebym wypowiadał się na temat opinii, które padały za zamkniętymi drzwiami.

- Możesz przynajmniej zdradzić, kto jeszcze stawał do przetargu? - zaciekawił się Gillette, ignorując ewidentne ostrzeżenie.

- Głównie bardzo bogaci inwestorzy prywatni.
- To znaczy?

Landry zachichotał nerwowo.

Nie ulegało wątpliwości, że nie miał też żadnej wprawy w tego typu negocjacjach. Jako komisarz zarządu ligi raczej rzadko musiał odpowiadać na jakiegokolwiek pytania. Dopiero gdyby wyniknęły jakieś kontrowersje, członkowie zarządu prawdopodobnie zdaliby się na niego. Dzisiejszy lunch uznali widocznie za spotkanie czysto formalne. Pewnie wychodzili z założenia, że zwycięzca przetargu powinien być tak szczęśliwy z wygranej, by nie dociekać żadnych szczegółów. Jednakże Gillette zawsze dążył do poznania prawdy. Posiadanie informacji, do których nikt inny nie miał dostępu, było samo w sobie kluczem do zwiększenia zysków.

- Bardzo mi zależy na tych informacjach - dodał z naciskiem. - Nie rozumiem, czemu miałyby to stanowić jakikolwiek problem, gdybym poznał szczegóły procesu selekcji oferentów.

- Jestem pewien, że nazwiska rywali są ci doskonale znane. W końcu nie ma tak wielu inwestorów prywatnych, których byłoby stać na sfinansowanie drużyny NFL. - Landry rozłożył ręce. - Zrozum jednak, nie mogę powiedzieć nic więcej. Zabraniają mi tego wytyczne zarządu ligi. - Skrzywił się z niesmakiem.

Najwyraźniej uderzyło go, że rozmowa nie przebiega po jego myśli i pewnie zapragnął, żeby było już w pół do drugiej i mogli się pożegnać, pomyślał Gillette, spoglądając na minę rozmówcy.

- Może porozmawiajmy lepiej o strategii - podsunął chwilę później Landry, po czym zaczął grzebać wykałaczką między zębami.

- Proszę bardzo.

- Chciałbym się czegoś dowiedzieć o konstrukcji stadionu. Kiedy planujecie przystąpić do budowy?

To też wskazywało jednoznacznie, iż żadna decyzja nie zależy od

niego. Szczegółowe plany budowy stadionu znajdowały się w materiałach, jakie Everest przesłał zarządowi NFL przed dwoma miesiącami.

- Plany architektoniczne stadionu zawarliśmy w dostarczonych wam ostatnio materiałach. Jeszcze nie wybraliśmy głównego wykonawcy, ale to nie powinno trwać zbyt długo. Ostatecznie w tej stawce są tylko trzy albo cztery poważne kandydatury. Według naszych doradców, stadion ma być gotowy w półtora roku od chwili podpisania umowy z głównym wykonawcą.

Landry oparł brodę na splecionych dłoniach, jakby pogrążył się w zadumie.

- Zatem wasz zespół nie przystąpi jeszcze do rozgrywek w najbliższym sezonie, ale dopiero w następnym. Będziemy więc musieli rozplanować poszerzenie ligi w ciągu paru tygodni po przyszłorocznym finale walki o superpuchar. W ten sposób zyskacie trochę czasu na rozpoznanie, których doświadczonych zawodników będziecie mogli kupić jeszcze przed okresem transferów z ligi uczelnianej. - Wyszczrzył zęby w uśmiechu. - Do diabła, chciałbym być na twoim miejscu. Nie przepuściłbym eliminacji do klubowego zespołu cheerleaderek.

Gillette zaśmiał się w głos. Komisarz nie miał najmniejszego pojęcia, co znaczy być prezesem zarządu i z jaką się to wiąże presją.

- Zapamiętam to sobie, Kurt.

- Zaczynasz wreszcie pojmować ducha sportu - rzucił z entuzjazmem Landry. - NFL to przecież rozrywka, samograj do wytwarzania pieniędzy, jedno wielkie przyjęcie, największa ze wszystkich dyscyplin sportu, a ty wkrótce znajdziesz się w samym centrum zainteresowania. - Wymierzył w niego palec. - Pokonałeś w przetargu sporo ludzi, którzy od dawna starali się zdobyć na własność ligową drużynę. Na pewno większość z nich jest teraz niezłe wkurzona, ale, moim zdaniem, zarząd NFL podjął właściwą decyzję. Jak zawsze.

Gillette podniósł widelec i zaczął przesuwając po swoim talerzu kawałki brokułów.

- Dlaczego ci ludzie są aż tak bardzo wkurzeni?

- Bo przegrali - odparł tamten ze zdziwieniem, jakby musiał tłumaczyć rzeczy oczywiste.

- Najwyraźniej złożyli gorsze oferty od naszej, mogą zatem winić tylko siebie, prawda?

Landry wzruszył ramionami.

- Pewnie masz rację.

Gillette pomyślał, że czasami dobrze byłoby się zamienić w muchę i usiąść na ścianie sali konferencyjnej podczas wyłaniania zwycięzcy w konkursie ofert. A jeszcze lepiej byłoby się zapoznać z warunkami konkurencyjnych ofert. Coś tutaj niezbyt ładnie pachniało.

- Jest jeszcze jedna sprawa, którą chciałbym dzisiaj poruszyć - rzekł, spoglądając na zegarek. Było dwadzieścia trzy po pierwszej.

- Jaką sprawę?

- Zorganizowanych grup przestępczych.

Landry znieruchomiał nagle ze szklanką uniesioną w pół drogi do ust.

- Słucham?

- Chodzi mi o mafię.

- W jakim sensie? - zapytał cicho komisarz, rozglądając się ukradkiem na boki.

- Masz jakieś informacje na temat obecnej aktywności mafii w Las Vegas?

- Nie. To znaczy... nie mam żadnych konkretnych informacji.

- Czy ktoś inny z zarządu NFL będzie wiedział coś więcej na ten temat?

Landry się zawahał.

- Jak mam to rozumieć?

- Przecież musieliście dokładnie zbadać tę sprawę, zanim podjęliście decyzję o sprzedaży waszych przywilejów budowlanych w Las Vegas.

- Oczywiście, że zbadaliśmy - przyznał tamten pośpiesznie.

- I co?

Znowu się zawahał.

- W ciągu tygodnia, po powrocie z delegacji, porozmawiam z ludźmi odpowiedzialnymi za przygotowanie oferty sprzedaży. Nie rozumiem tylko, czym się przejmujesz? Nigdy nie mieliśmy większych problemów z mafią.

- Bo nigdy dotąd nie działaliście w Las Vegas.

- No nie, ale działamy w Nowym Jorku, Chicago i na Florydzie. Dlatego nie rozumiem twoich obaw. Boisz się, że mafia zacznie wymuszać na futbolistach ustawianie meczów? Bardzo starannie kontrolujemy tę sprawę. Mamy specjalny zespół ludzi, którzy niemal pod mikroskopem oglądają taśmy z każdego spotkania, by się upewnić, że nie doszło do żadnych machlojek. Są w tym zespole fachowcy potrafiący wyłapać każdy celowo niezbyt celny rzut do wysuniętego napastnika, każdy przypadek obrońców przewracających się w niezbyt ostrych starciach, skrzydłowych przepuszczających na aut dość łatwe piłki czy też strzelców nietrafiających w bramkę bez żadnej wyraźnej przyczyny. Dlatego naprawdę nie rozumiem, czym się martwisz.

- To nie ma nic wspólnego z występami zespołów na boisku - wyjaśnił Gillette. - Bardziej martwią mnie na przykład wpływy mafii w komisji przyznającej licencje na prowadzenie kasyn i temu podobne sprawy. Niepokoję się też możliwymi naciskami w trakcie budowy kasyna i stadionu ze strony powiązanych z mafią działaczy związkowych. Wiesz, chodzi mi o przestoje czy nawet strajki, jeśli nie podniesiemy zarobków...

- Aha.

- Sami wstępnie sprawdzaliśmy sytuację i wychodzi na to, że mafia wciąż jest tam bardzo aktywna, chyba dużo bardziej, niż się wszystkim wydaje. Będę miał więcej informacji na ten temat w najbliższych dniach.

Podzielę się nimi z wami pod warunkiem, że i wy przekażecie mi wszystko, co wiecie. - Popatrzył Landry'emu prosto w oczy.

- Oczywiście, jasne - mruknął komisarz, po czym nerwowo odchrząknął i spojrzał na zegarek. - Nie wiem, czy nie byłoby lepiej, gdybyście na razie zrezygnowali z planu budowy kasyna, przynajmniej na jakiś czas. Zajmijcie się najpierw stadionem, a do pomysłu uruchomienia kasyna wrócimy za kilka lat.

Landry zrobił się wyraźnie nerwowo, zaczął miętosić w palcach róg serwetki i rytmicznie postukiwać jedną nogą.

- Nic z tego - oznajmił stanowczo Gillette. - Jedynym powodem, dla którego zaoferowaliśmy aż czterysta pięćdziesiąt milionów dolarów, była możliwość otwarcia nowego kasyna. Bez tego cała nasza oferta traci sens. - Nie było to do końca prawdą, ale tamten o tym nie wiedział. - Wyraźnie zaznaczyliśmy w ofercie, że jest to warunek konieczny.

- Owszem, zgadza się, ale warunki niekiedy też się zmieniają. Na pewno świetnie o tym wiesz. Niemal w każdym przypadku można od nowa podjąć negocjacje, prawda?

- Ale nie w tym - odparł Gillette lodowatym tonem. Landry na kilka sekund odwrócił głowę, a następnie spuścił ją nisko, jakby nie potrafił spojrzeć mu w twarz. - Mam nadzieję, że wyrażam się dostatecznie jasno.

- Wrócimy jeszcze do tego tematu.

Gillette pokręcił głową.

- Nie, muszę już teraz otrzymać rzetelne zapewnienie, w przeciwnym razie dam znać naszym przyjaciółom z prasy, że nie dotrzymaliście obietnicy. Jeśli tak się stanie, w powtórzonym przetargu nikt wam nie zaproponuje czterystu pięćdziesięciu milionów dolarów za te przywileje. Ludzie natychmiast zwietrzą kłopoty, zwłaszcza gdy powiem otwarcie, z jakich powodów wycofaliśmy ofertę.

Komisarz zamrugnął szybko.

- Nie odważyłbyś się na to.

- Więc jak brzmi twoja odpowiedź, Kurt? - spytał z naciskiem Gillette, ciesząc się w głębi ducha, że na tym stanowisku nie znalazł się żaden wytrawny prawnik z Wall Street. - Muszę wiedzieć już teraz.

Landry upił parę łyków wody, po czym skinął głową.

- W porządku. Dostaniecie zezwolenie na budowę kasyna.

Wright bez pośpiechu skręcił do głównego wejścia salonu Saksa przy Fifth Avenue, naprzeciwko Centrum Rockefellera, i zanurzył się w labiryncie szklanych gablot zastawionych perfumami i kremami. Prześlizgiwał się niewidzącym spojrzeniem po twarzach idealnie umalowanych kobiet na poszczególnych stoiskach, te zaś odprowadzały go przymilnymi uśmiechami, gotowe sprzedać jakiś niesamowicie drogi specyfik.

Zatrzymał się nagle i podrapał w szorstki policzek, mając nadzieję, że lada chwila obudzi się we własnym łóżku, u boku żony, ze świadomością, że wszystko, co zdarzyło się w sali tortur na tyłach sex-shopu, było tylko przerażającym sennym koszmarem. Zacerpnął głęboko powietrza i zacisnął powieki, modląc się w duchu - choć zawsze uważał, że to irracjonalne, i nawet był dumny z takiego podejścia - gdyż cały czas nie mógł się uspokoić. W takim stanie był gotów chwycić się dosłownie wszystkiego, co tylko stwarzało mu choćby cień nadziei. Ale kiedy otworzył oczy, nadal znajdował się w salonie Saksa, bynajmniej nie wolny od kłopotów.

- Wszystko w porządku? - zapytała atrakcyjna szatynka zza pobliskiego kontuaru.

Spojrzał szybko na nią.

- Co?

Uderzyło go właśnie, że nie słyszał w wiadomościach radiowych ani nie widział w przebitkach telewizyjnych informacji o zwłokach kobiety znalezionych między zaparkowanymi samochodami w West Village.

Wydało mu się to dziwne. Zapewne nie była to na tyle elektryzująca wiadomość, by podało ją CNN, ale z pewnością powinny się nią zainteresować media lokalne.

- Wygląda pan, jakby przytrafiło się panu coś złego - powiedziała sprzedawczyni. - Kłopoty sercowe?

Wright spojrzął jej w twarz, ale przed oczyma pojawiła mu się twarz kobiety stojącej na rzeźnickim pieńku ze stryczkiem na szyi.

- Może powinien pan jej kupić jakiś elegancki prezent - podsunęła ekspedientka, sięgając po maleńką fiolkę stojącą na kawałku purpurowego jedwabiu. - Na przykład te perfumy o nazwie Allure. To jedna z najlepiej sprzedających się nowości.

Podszedł powoli do kontuaru.

- Chyba faktycznie nadawałyby się dla mojej żony - mruknął pod nosem.

- Ależ oczywiście - odparła kobieta, niby mimochodem muskając palcami lewą dłoń Wrighta, na której nosił obrączkę. - Mam wrażenie, że trochę się posprzeczaście.

- No cóż...

- Cześć, David.

Gwałtownie odwrócił głowę i popatrzył na mężczyznę, którego widział po raz pierwszy w życiu. Był przysadzisty, ogorzały, z ciemnymi włosami i haczykowatym nosem.

- Kim pan jest?

Tamten prychnął pogardliwie i spojrzął na ekspedientkę.

- Żartowniś - wycedził z nowojorskim akcentem i z uśmiechem szeroko rozłożył ręce. - Zawsze tak na mnie reaguje, jakbyśmy się nie znali. Uważa, że to dobry żart, co nie?

Kobieta wzruszyła ramionami.

Mężczyzna poklepał Wrighta po ramieniu, a następnie sięgnął do kieszeni, wyciągnął fotografię i podetknął mu ją pod nos.

Ten, ledwie spojrzawszy na zdjęcie, poczuł, że serce podchodzi mu do gardła, a górna warga wygina się jak do płaczu. Zdjęcie przedstawiało go z pejcem w ręku oraz zapłakaną kobietę uwiązaną łańcuchami do żelaznych kółek w suficie.

- Chodź ze mną - rzucił tamten rozkazującym tonem, odwrócił się na pięcie i ruszył w kierunku windy.

Wright podreptał za nim posłusznie jak cielę za krową, ze wzrokiem wbitym w posadzkę. Podniósł głowę dopiero przed otwartą windą, do której nieznajomy nakazał mu wejść stanowczym ruchem ręki. Kiedy drzwi się zamknęły, odwrócił się do Wrighta, położył palec na przycisku z napisem STOP i wcisnął go, gdy ujechali zaledwie parę metrów w górę, zatrzymując windę między parterem a pierwszym piętrem.

- O co chodzi? - zapytał Wright błagalnym tonem. - Proszę... powiedz wreszcie.

Mężczyzna uśmiechnął się i odparł uprzejmie:

- Wszystko będzie w porządku, Davidzie, jeśli zgodzisz się na współpracę.

- Skąd to masz? - Wright wskazał kieszeń marynarki, do której tamten schował fotografię.

- Byliśmy tam, w drugim pokoju. Wszystko widzieliśmy. Mamy nie tylko zdjęcia, ale również taśmę wideo z całej zabawy. - Nieznajomy pokręcił głową. - Biedaczka.

- To był wypadek - wymamrotał Wright.

- Ależ oczywiście. Nie wiem tylko, czy policja będzie tego samego zdania po obejrzeniu kasety wideo, a zwłaszcza tego fragmentu, jak zakładasz swojej ofierze stryczek na szyję.

Wright otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale mężczyzna powstrzymał go, unosząc w górę palec.

- Nie martw się, Davidzie, twój sekret nie ujrzy światła dziennego, dopóki będziesz pracował dla nas. W chwili obecnej policja dysponuje jedynie zgłoszeniem o zaginięciu tej kobiety. Zabraliśmy zwłoki z ulicy i

umieściliśmy je w chłodni. Zajęliśmy się także właścicielem sklepu, nie wyda cię policji. - Zachichotał złowieszczo. - Coś mi się zdaje, że nikt nie będzie za nim tęsknił. To była zwykła gnida.

Wright powoli zacisnął powieki.

- Ja jej nie zabiłem - wycedził przez zęby. - To był wypadek.

- Oczywiście - przyznał obcy, tym razem wyciągając z kieszeni plik fotografii. Rzucił je w powietrze, aż rozsypały się po całej windzie. - Tylko spróbuj to wytłumaczyć gliniarzom, gdy zobaczą te zdjęcia.

Wright pospiesznie uklęknął i zaczął je zbierać.

- To jakieś szaleństwo - mruknął pod nosem. - Zwykłe szaleństwo...

- I nie przejmuj się śladami zostawionymi na zapleczu sklepu, je także usunęliśmy. - Nieznajomy zaśmiał się gardłowo i wcisnął guzik z napisem START. - Nawet specjaliści z nowojorskiej dochodzeniówki niczego tam nie znajdują.

Wright zdążył zgarnąć z podłogi ostatnią fotografię, gdy winda zatrzymała się z lekkim szarpnięciem.

- O co wam chodzi? - zapytał szeptem, zerkając w górę na nieznajomego.

Drzwi zaczęły się rozsuwać. Stali na pierwszym piętrze.

- Niedługo się z tobą skontaktujemy - rzucił mężczyzna, przeciskając się obok kilku osób czekających przed wejściem do windy. - Nawiasem mówiąc, Davidzie, mam na imię Paul. Zapamiętaj je sobie, bo od tej pory często będziemy rozmawiali.

To déjà vu, pomyślał Gillette, spoglądając, jak Stiles wkłada do ust wielki kawał soczystego steku. Usiadł na tym samym miejscu, które jeszcze niedawno zajmował Landry, i zamówił to samo, co tamten. Pojawił się w restauracji dziesięć minut po wyjściu komisarza i jadł w milczeniu łakomie, odkąd kelner postawił przed nim talerz.

- Smaczny? - zapytał, spoglądając z uśmiechem na detektywa.

Tamten przeżuł ostatni kęs, przełknął, odchylił się na oparcie krzesła, delikatnie poklepał po brzuchu i odparł:

- Mam wrażenie, że jeszcze nigdy w życiu nie jadłem tak wspaniałego steku.

- Cieszę się, że w ogóle możesz wspominać dotychczasowe życie - zauważył cicho Gillette, pochylając się nad stolikiem i kładąc dłoń na ramieniu Stilesa. - Bardzo się o ciebie martwiłem. - Wyrzucił się co najmniej oględnie. Przez pierwszy tydzień pobytu w szpitalu detektyw był kilkakrotnie reanimowany, a szpitalny kapelan dwa razy udzielał mu ostatniego namaszczenia. - To przeze mnie zostałeś postrzelony.

Stiles oskarżycielsko wymierzył w niego palec.

- To zwykła bzdura i doskonale o tym wiesz. Zobowiązałem się w umowie, że będę cię ochraniał, a ty zapłaciłeś mi za tę ochronę kupę forsy. Zrobiłem to z własnej i nieprzymuszonej woli, wyłącznie z dobrze pojętego interesu. Taki już mam zawód i gdybym musiał, zrobiłbym to samo po raz drugi. - Zawiesił na chwilę głos. - Aż nie chce mi się wierzyć, że będąc tak wrażliwym na punkcie odpowiedzialności zawodowej, wygadujesz takie bzdury.

Miał rację. Ostatecznie wykonywał tylko swoje obowiązki i postąpił tak, jak powinien, wzięwszy za swoje usługi kupę forsy. Ale w tej chwili nie miało to większego znaczenia.

- Co nie zmienia faktu, że mam wyrzuty sumienia.

- W takim razie zapłać mi więcej.

- To całkiem niezły pomysł. - Gillette rozejrzał się szybko po sali restauracyjnej, sprawdzając, czy nic mu nie grozi. Obrzucił nawet uważnym spojrzeniem ludzi stojących na przystanku autobusowym po drugiej stronie ulicy. Od jesieni ubiegłego roku, kiedy to Whitman i McGuire próbowali go zabić, co kilka minut rozglądał się dookoła, przebywając w miejscach publicznych. Co prawda, od tamtej pory minęło już dziesięć

miesiący, ale najgroźniejszy człowiek zamieszany w spisek wokół Laurel Energy, Tom McGuire, wciąż pozostawał na wolności. Nie było podstaw, żeby lekceważyć ostrzeżenie Faradaya, McGuire rzeczywiście mógł się czaić gdzieś w pobliżu.

- Jesteś moim przyjacielem, Quentinie, serdecznym przyjacielem - podjął, cedząc słowa. - Z niewieloma osobami jestem aż tak blisko - dodał ściszym głosem. - Bo po prostu nie mogę.

- Wiem o tym.

- Niektórzy sądzą, że jestem skazany na samotność.

- To też wiem - przyznał Stiles. - Wszyscy chcą od ciebie tylko pieniędzy albo jakichś innych korzyści, ale nie mają pojęcia, jak wygląda twoje życie. Doskonale rozumiem, jak działa na ciebie nieustanna presja podejmowania tylu istotnych decyzji na własną odpowiedzialność.

- Czasami jest nie do zniesienia.

Stiles świetnie go rozumiał, jak mało kto. Gillette starał się uchodzić za całkiem uodpornionego na tę presję, ale zdarzały się chwile, kiedy miał wrażenie, że ściany napierają na niego ze wszystkich stron. Tym bardziej go cieszyło, że mógł komuś o tym powiedzieć.

- W końcu naprawdę niewiele brakowało - zagadnął detektyw. - Facet wymierzył do pierwszego człowieka, jakiego spostrzegł w pokoju. Równie dobrze to ty mogłeś przeleżeć ostatnie dziesięć miesięcy w szpitalu.

- To prawda. - Gillette ujrzał nagle przed oczami tamtą scenę, która na zawsze wryła mu się w pamięć, owych kilka najbardziej niesamowitych sekund, jakich dotąd doświadczył. - Najważniejsze, że wreszcie dobrze się czujesz. Przynajmniej sądząc po apetycie, z jakim zajadasz ten stek.

- Trochę jeszcze potrwa, zanim wrócę do pełnej formy, ale takie posiłki z pewnością znacznie przyspieszą ten proces.

- To dobrze. A skoro czujesz się lepiej, przejdźmy do rzeczy.

Stiles skinął głową.

- Jasne.
- Przede wszystkim, chciałbym sfinalizować naszą transakcję.
- Transakcję?
- Mówię o kupnie twojej firmy.

Detektyw rozdziawił usta ze zdumienia.

- Nie sądziłem, że bierzesz to na poważnie.
- Powinieneś się już przekonać, że jeśli chodzi o inwestycje Everestu,

zawsze mówię poważnie.

- To prawda.

- W interesach nigdy nie żartuję. - Zatem McGuire & Company jest gotowe zapłacić pięć milionów dolarów za przejęcie na własność QS Security. Rozmawiałem dziś rano z Craigiem Westem i zgodził się na taką cenę.

- Gdyby się nie zgodził, już by nie miał pracy.

- Mylisz się.

- Wcale się nie mylę, Chris. Craig świetnie wie, skąd się bierze masło do jego chleba.

- Założmy - mruknął Gillette. Ale Stiles miał rację. Nawet przez chwilę nie przyszło mu na myśl, że West mógłby odrzucić jego propozycję.

- Usiłujesz mi zrobić przysługę - rzekł detektyw. - I to przysługę za pięć milionów dolarów. Nie chciałbym jednak, żebyś miał kłopoty ze strony inwestorów spółki. Ludzie potrafią dostawać szału, gdy sprawa dotyczy ich pieniędzy.

- I ty mi to mówisz? - Gillette zachichotał krótko. - Nie zapominaj, że wkrótce ściągnę dla swoich inwestorów pięć miliardów dolarów ze sprzedaży Laurel Energy.

Stiles aż syknął przez zęby.

- Pięć miliardów?!

- Owszem, dlatego sądzę, że nie będą się sprzeciwiali wydatkowi pięciu milionów. Dla nich to jak garść drobnych.

- Jezu...

- A pięć milionów to rzetelna cena za QS Security. Może niezbyt wygórowana, ale uczciwa, a wspólnie z Craigiem uważamy, że obu stronom przyniesie korzyść wzbogacenie oferty usługowej firmy McGuire & Company. Co prawda, mają już całkiem niezłą ekipę ochrony osobistej, ale zajmują się głównie wysoko postawionymi przedstawicielami świata biznesu. Ty masz powiązania ze światem sportu i rozrywki, o czym Craig może tylko marzyć. Mam więc nadzieję, że gdy dobijemy targu, zechcesz wprowadzić go w te środowiska i przedstawiś właściwym ludziom.

- Oczywiście.

- Doskonale. Więc jak sam widzisz, wszyscy na tym skorzystają. McGuire & Company zyska nowe dziedziny zainteresowań za uczciwą cenę, ty się wzbogacisz o pięć milionów, a ja będę miał twoje usługi na wyłączność. Zgoda?

Stiles przygryzł wargi, jakby z trudem przychodziło mu przeprowadzenie w pamięci kilku prostych obliczeń. Wreszcie mruknął:

- Zgoda.

Widać było, że detektyw dopiero teraz zaczyna się godzić z tą świadomością. Pochodził z biednej rodziny mieszkającej w najgorszej części Harlemu, a teraz miał się wzbogacić o pięć milionów dolarów. Zapewne było to dużo więcej, niż kiedykolwiek marzył w młodości. Ale Gillette nie chciał, żeby ludzie zaczęli się w tym doszukiwać czegoś niestosownego. Transakcję należało przeprowadzić zgodnie ze wszystkimi obowiązującymi regułami.

- Razem z umową sprzedaży będziesz musiał podpisać deklarację bezkonkurencyjności.

- Jaką deklarację?

- Mówiącą o tym, że w ciągu najbliższych pięciu lat nie powołasz do życia ani nie podejmiesz pracy w żadnej innej firmie zajmującej się ochroną osobistą.

- Prawdę mówiąc...

- Poza tym będziesz musiał podpisać typowy zestaw dokumentów z zastrzeżeniami w zakresie odpowiedzialności, jaki zawsze stanowi uzupełnienie umowy kupna i sprzedaży.

- Jakich dokumentów?

- Z zastrzeżeniami. Będziesz musiał zadeklarować, że dysponujesz pełnią praw do sprzedaży swojej firmy i że w okresie, kiedy nią kierowałeś, byłeś przykładowym obywatelem. Inaczej mówiąc, chodzi o oświadczenie, że jesteś jedynym właścicielem spółki QS Security, a jeśli nie, to współwłaściciele nie zdołają zablokować transakcji, że nie zalegasz z podatkami zarówno od prowadzenia działalności gospodarczej, jak i osobistymi, i że nie toczą się żadne postępowania sądowe przeciwko tobie albo twojej firmie. Tego typu rzeczy. Gdyby się okazało, że któraś z deklaracji nie jest zgodna z prawdą, a ja dowiedziałbym się o tym już po zawarciu transakcji, przysługiwałby mi zwrot całej zapłaconej sumy powiększonej o jakieś odszkodowanie.

- Widzę, że będę musiał skorzystać z pomocy adwokata - rzekł posępnym głosem Stiles.

- To standardowe dokumenty towarzyszące umowie kupna.

- Nie znam się na transakcjach, jestem specjalistą w zakresie ochrony osobistej i prac dochodzeniowych.

- W każdym razie nie masz się czego obawiać.

- Nie powinienesz mnie tak wykorzystywać, Chris.

Gillette uśmiechnął się szeroko.

- Oczywiście, że powinienem. W końcu to moja specjalność. Inaczej nie miałbyś okazji, żeby wynająć adwokata. - Widział, jak Stiles walczy ze sobą. Wyraźnie czuł się niepewnie w nowej dla siebie sytuacji, ale nie chciał za żadną cenę okazać wahania. Pilnował się, żeby nie urazić człowieka, który zamierzał go uczynić bogaczem, ale z drugiej strony wydzwignięcie prywatnej spółki do zajmowanej obecnie pozycji kosztowało go wiele wyrzeczeń i ryzyka, dlatego nie zamierzał nagle

rezygnować z wszelkich środków ostrożności. Dlatego Gillette w jednej chwili spoważniał i rzekł:

- Nigdy bym cię nie wykorzystał, Quentinie. Dostaniesz swoje pięć milionów i nie będziesz musiał mi zwracać ani centa, pod warunkiem, że mnie nie oszukałeś, a co do tego nie mam żadnych wątpliwości.

- Oczywiście, że nie oszukałem.

- Każę prawnikom przygotować całą dokumentację. Powinniśmy być gotowi do podpisania umowy w ciągu miesiąca. Zgoda?

Detektyw w zamyśleniu pokiwał głową.

- Dzięki, Chris. To wszystko jest dla mnie tak niesamowite...

- Nie przejmuj się. Ciężko pracowałeś i w pełni zasługujesz na te pieniądze. Większość ludzi zawodzi wobec takiego zagrożenia, z jakim ty sobie radzisz.

Było jasne, że Stiles z wdzięcznością przyjmuje te wyrazy zrozumienia dla jego poświęceń na rzecz sukcesu firmy. Gillette chciał się w ten sposób odwdziżyć za zrozumienie detektywa dla poczucia osamotnienia, jakie było nierozzerwalnie związane ze stanowiskiem prezesa Everestu. Był to jeden z powodów, dla których połączyły ich ściślejsze więzi. Obaj wzajemnie starali się zrozumieć swoją sytuację.

Stiles odkroił kolejny kawałek steku, włożył go do ust i zaczął powoli przeżuwać.

- Jak ci poszła rozmowa z Landrym?

- Starał się mnie wykiwać z prawa do budowy kasyna.

- Co?

- Właśnie. Przeczuwałem, że będzie tego próbował. - Gillette zajął się składaniem serwetki. - Coś mi się zdaje, że właściciele przywilejów zgodzili się pierwotnie na połączenie ich z prawem budowy kasyna, by zdobyć ofertę na czterysta pięćdziesiąt milionów, po czym postanowili się z tego wycofać, sądząc, że zadowolimy się samym stadionem. Pewnie myśleli, że z taką radością przyjmę myśl o posiadaniu na własność

drużyny futbolowej z NFL, iż niemal w ciemno przyjmę wszystkie pozostałe warunki umowy.

- Na jakiej podstawie nabrałeś podejrzeń, że będą chcieli cię wyrolować z tego prawa?

- Doszedłem do wniosku, że muszą dobrze wiedzieć o aktywności mafii w Las Vegas, dlatego woleli uniknąć nawet najmniejszego ryzyka, że nowi właściciele przywilejów na budowę stadionu i założenie drużyny zaczną działać ręką w rękę z istniejącymi grupami przestępczymi. To byłaby dla nich najgorsza rzecz, gdyby się wydała i zaczęły o tym pisać wszystkie gazety w naszym kraju.

- Sądysz więc, że mają jakieś sekretne powiązania z mafią w Las Vegas? - zapytał Stiles.

- Skoro i ty tak myślisz, to znaczy, że tak jest.

Detektyw zrobił zdziwioną minę.

- Uważasz, że dysponują lepszymi informatorami niż ja?

- Chyba żartujesz. Doszedłeś do takiego wniosku niemal od razu, więc myślę, że im wystarczyło kilka miesięcy, by dojść do tego samego.

- Gillette wyjął swojego palmtopa i zaczął przeglądać pocztę elektroniczną. - Twoi ludzie odkryli jakieś interesujące szczegóły? Wiesz coś więcej o tym, czego powinniśmy się na miejscu spodziewać?

Stiles pokiwał głową, pochylił się nisko nad stolikiem i ruchem ręki dał mu znak, żeby zrobił to samo.

- O co chodzi? - zdziwił się Gillette, zdejmując łokcie ze stolika i rozglądając się podejrzliwie na boki.

- Jesteśmy przecież w Sparks Steak House - odparł półgłosem detektyw.

- Zgadza się. W najlepszej restauracji podającej tradycyjne steki na Manhattanie. I co z tego?

- Prawdopodobnie są tu również ludzie mafii - odparł Stiles, również zerkając na boki.

- Och, dajże spokój.
- Czyżbyś już zapomniał?
- O czym?

- Jak John Gotti pewnego wieczoru zastrzelił Paula Castellano na schodach tej właśnie restauracji, kiedy Castellano wchodził do środka na kolację? Był ojcem chrzestnym rodziny Gambino, toteż po jego śmierci Gotti został donem rodziny. I też miał zwyczaj jadać właśnie tutaj, dopóki federalni nie dobrali mu się wreszcie do skóry i nie wpakowali go na resztę życia za kratki. - Stiles przyjrzał się uważniej gościom siedzącym przy najbliższych stolikach. - Jak obaj doskonale wiemy, usunięcie jednego spryciarza powoduje, że jego miejsce natychmiast zajmuje inny, mam więc uzasadnione podejrzenia, że w tym lokalu ściany mają uszy.

Gillette pokiwał głową.

- Owszem, ale sądzę, że każde uszy należą tutaj do agentów federalnych. Gdyby ktoś z mafii chciał tu omawiać jakieś brudne sprawy, prędzej sprzątnęliby go wysłannicy jego własnej rodziny, i to jeszcze zanim federalni by się zorientowali, o co chodzi.

- Jeśli jednak są teraz na sali, mogą podsłuchać o czym mówimy, a tego raczej byś nie chciał. - Detektyw utkwiał wzrok w siedzących nieopodal czterech barczystych mężczyznach ubranych w jedwabne garnitury.

Gillette obejrzał się, podążając za jego wzrokiem.

- W porządku - przyznał cicho. - Więc czego się dokopaliście?

- Obecnie w Vegas działają trzy rodziny - odparł Stiles. - Boczna gałąź rodu Treviso z Chicago oraz żołnierze Barduccich to drobniejsze płotki, tak zwani ciułacze miedziaków, ściągający głównie haracze za „ochronę”. Interesują się przede wszystkim nocnymi lokalami ze striptizem oraz sklepami należącymi do obcokrajowców, którzy nie mogą szukać ochrony policji, gdyż większość pracowników zatrudniają na czarno albo od lat nie płacą obowiązkowych ubezpieczeń. Tacy są najłatwiejszym

celem dla szantażystów gotowych kogoś zabić wyłącznie dla napędzenia strachu pozostałym, nawet jeśli regularnie płacił haracz. Z tego, co słyszałem, obecnie szantażują głównie Azjatów. Zatem, rzecz jasna, mafia azjatycka postrzega to jako doskonałą okazję wkroczenia na ten teren pod pretekstem ochrony swoich ludzi. Cały problem polega na tym, że ci są jeszcze gorsi od Włochów. Żądają wyższych stawek i dużo szybciej sięgają po broń. - Urwał na chwilę. - Ale rodziną, przed którą najbardziej powinieneś się mieć na baczności, są ciągle Carbone. Wywodzą się z Nowego Jorku i trzymają w garści wszystkie lokalne firmy budowlane, więc będziesz musiał zadbać o to, by ich ludzie naprawdę chcieli ciężko dla ciebie pracować. Jeśli spróbujesz ściągnąć kontraktora z zewnątrz, który się skusi na dodatkowe wynagrodzenie, szybko doświadczysz na przykład tego, że cały twój sprzęt będzie się bez przerwy psuć. Ta rodzina ma w dodatku powiązania z komisją gier hazardowych i innymi stanowymi władzami zaangażowanymi w ten interes, będziesz miał więc z nią do czynienia przy każdej próbie zdobycia licencji czy jakiegoś zezwolenia. Nie wierz miejscowym politykom, którzy powtarzają przy każdej okazji, że wszystko jest zgodne z prawem. Bo nie jest.

- Zatem potwierdziły się twoje obawy.

- Owszem, w dodatku z dwóch nowych źródeł. Mówię o ludziach, do których mam pełne zaufanie.

- Jakim cudem dotarłeś do takich informacji, Quentinie? Z kim twoi ludzie rozmawiali?

Stiles pokręcił głową.

- Lepiej nie pytaj.

- Daj spokój. Mnie możesz to zdradzić.

- Nim powołałem do życia QS Security, nie tylko służyłem w wojskowym wywiadzie i Secret Service. Pracowałem także dla kilku innych instytucji rządowych. Nawiązałem wtedy kontakty z ludźmi z tego środowiska.

- Na jakim terenie?

- Tego nie mogę ci zdradzić.
- Quentinie, ja przecież...
- Nie naciskaj, Chris. Nic nie wskórasz.

Gillette westchnął głośno.

- Mam więc rozumieć, że jeśli nie zechcę grać w tej samej drużynie, co Carbone, będę miał kłopoty zarówno z budową stadionu, jak też kasyna, a poza tym mogę nie dostać wymaganych licencji na jego prowadzenie, kiedy już uda mi się zakończyć budowę.

- Otóż to. Istnieją jednak... firmy „konsultingowe”, które mogą się zająć tymi problemami. - Stiles uśmiechnął się chytrze. - Jeśli skorzystasz z mojej rady, wynajmiesz którąś z nich na świadczenie „ogólnych usług biznesowych”, a ona już się zatroszczy, by twoje pieniądze trafiły pod właściwy adres. Ich usługi może nie są tanie, ale dzięki nim zachowasz czyste ręce, a odpowiedni ludzie już zadbają o to, by nikt więcej ci... nie przeszkadzał.

- Jak sądzę, tego typu usługi można nawet określić jako bardzo drogie.

- Chyba nie tak bardzo, jak sądzisz. Ostatecznie, z czasem w każdej dziedzinie konkurencja narzuca obniżkę cen. W tym wypadku jest tak samo. Owych firm „konsultingowych” powstało tak dużo, że siłą rzeczy ich usługi musiały stanąć.

- Główny problem polega więc na tym, że faktycznie chcę ściągnąć firmę budowlaną z zewnątrz. W Las Vegas nie ma aż takich mocy przerobowych, żeby rozpocząć obie inwestycje równocześnie, do tego w takim tempie, w jakim bym sobie życzył.

- Wydaje mi się, że jeśli skorzystasz z usług którejś z tych firm „konsultingowych”, nie będzie to miało większego znaczenia. Może wyjść nieco drożej, niż planowałeś, lecz dopóki Carbone będą dostawali swoją porcję świeżej krwi, nie zaprotestują przeciwko twoim robotnikom spoza Las Vegas.

Gillette poweselał.

- Doskonale. W takim razie porozmawiaj wstępnie w moim imieniu z paroma takimi firmami. Wszystkie mają siedziby w Las Vegas?

- W każdym razie te, z którymi będziesz musiał załatwiać interesy.

- Wkrótce się tam wybiorę. Ściągnij telefonicznie oferty najlepszych firm i wytypuj mi dwie z nich. Spotkamy się z ich przedstawicielami na miejscu.

- Jasne.

Gillette upił łyk wody.

- Nowojorskie rodziny mafijne regularnie co tydzień trafiają do gazet. Ciągle kogoś aresztują pod jakimś pozorem. Ale Carbone zawsze pozostają w cieniu, niewiele się o nich słyszy.

- Organizacją kieruje niejaki Joseph Celino, który gardzi dziennikarzami chyba nawet bardziej niż ty.

- Spróbuj dowiedzieć się o nim czegoś więcej od swoich informatorów, dobrze? Tyle, ile tylko się da. Także o jego krewnych noszących to samo nazwisko.

- Jasne, oczywiście. - Stiles odsunął od siebie talerz z kawałkiem niedojedzonego steku. - Rety, jeszcze rok temu nigdy bym do tego nie dopuścił. Żeby marnować kawałek takiego wyborczego mięsa... Cholera, nawet przez chwilę bym się nad tym nie zastanawiał.

- Jak sam powiedziałeś, to jeszcze trochę potrwa - zauważył Gillette, chowając palmtopa do kieszeni. - Posłuchaj, w piątek rano polecimy obaj do Waszyngtonu. Stamtąd po południu wrócimy przez Wschodnie Wybrzeże Marylandu, żeby porozmawiać z panią burmistrz pewnego miasteczka.

- Naprawdę zamierzasz iść na współpracę z tymi ludźmi z Waszyngtonu?

Nie miał wyboru. Szósty zmysł podpowiadał mu, że Daniel Ganze naprawdę wie coś więcej o tajemniczej śmierci ojca, a nie zamierzał naprawdę nawet najmniejszej szansy na rozwikłanie zagadki katastrofy,

do której doszło przed szesnastu laty.

- Zamierzam się z nimi spotkać przynajmniej jeszcze ten jeden raz - odparł. - Nie sądzę, żebym miał cokolwiek do stracenia, najwyżej czas, gdyby się okazało, że to ślepa uliczka.

- Mam nadzieję, że tylko czas.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Moim zdaniem, powinienes zachować maksymalną ostrożność.

- Jak zawsze. Ponadto będę cię miał przy sobie.

- A czemu chcesz porozmawiać z panią burmistrz?

Gillette bardzo lubił u Stilesa to, że potrafił w pełni uszanować wolę rozmówcy, który nie chciał dalej ciągnąć jakiegoś tematu. Życie wyglądałoby inaczej, gdyby przynajmniej większość znanych mu ludzi próbowała go w ten sposób zrozumieć.

- Staje na drodze budowy supermarketu sieci Discount America w jej miasteczku, buntuje mieszkańców przeciwko naszej inwestycji, namawia do takich samych działań burmistrzów innych miast. To niedopuszczalne.

- I co? Zamierzasz ją przywieźć do Nowego Jorku na niezapomnianej, opłacony pod każdym względem weekend? Chcesz ją oczarować słynnym już urokiem osobistym Gillette'a w czasie wykwintnej kolacji? A może złożysz jej propozycję nie do odrzucenia? - Stiles uśmiechnął się szeroko. - O ile cię znam, jesteś w stanie sprawić, żeby jeszcze przed końcem weekendu zaczęła cię błagać na kolanach o wybudowanie sklepu w jej mieście.

- Dobrze by było - odparł, dodając w duchu, że, niestety, nie będzie tak łatwo, przynajmniej jeśli wierzyć Harry'emu Steinowi. - Musimy kończyć. Czeka mnie huczne rozpoczęcie budowy nowego skrzydła szpitala pod wezwaniem świętego Krzysztofa. - Wstał od stołu. - A może byś pojechał ze mną? W drodze omówilibyśmy resztę szczegółów zakupu QS Security. Pewnie obu nam będzie znacznie łatwiej, jeśli ci

wytłumaczę, czego powinieneś oczekiwać po tego typu transakcji. Po-
dejrzewam, że pewnych rzeczy nawet się nie domyślasz.

- Chętnie. I bardzo dziękuję za lunch.

Gillette uśmiechnął się szeroko, wsuwając krzesło pod stolik.

- Za lunch ty zapłacisz, kolego. Ostatecznie masz się wkrótce wzboga-
cić o pięć baniek. Stać cię teraz na wiele rzeczy.

Boyd uniósł głowę znad papierów, kiedy rozległo się pukanie.

- O co chodzi, Danielu?

- Zebrałem trochę najświeższych wiadomości o sytuacji Milea
Whitmana - odparł Ganze, wchodząc do gabinetu. - Skontaktowałem się
ze znajomymi z Departamentu Sprawiedliwości, by zyskać przynajmniej
ogólne pojęcie o sprawie.

Boyd odsunął sprawozdanie, nad którym ślęczał.

- I co?

- Wcale nie są tacy głupi, jak sądziliśmy.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Zajęło im to trochę czasu, ale zaczęli się w końcu domyślać, kto
pomógł Whitmanowi z tymi czterdziestoma milionami dolarów. W dzi-
siejszych czasach wcale nie tak łatwo dokonać tej wielkości przelewu,
skoro banki są zmuszone do meldowania o dużych transakcjach.

- To niedobrze.

- Ostrożnie badają grunt w kilku rządowych agencjach, w tym także
w tej właściwej. Zajmie im to kilka dni, może nawet cały tydzień, zanim
dotrą na szczyt masztu flagowego po odpowiednie wyjaśnienia, ale za-
pewne je uzyskają, jeśli dobrze rozegrają sprawę. A wtedy będziemy
ugotowani.

- Ale potrzebujemy tego.

- Tak, wiem.

Boyd jęknął gardłowo i potarł zaczerwienione oczy.

- Dobra, wykonujemy następny ruch.

Gillette wszedł na mównicę podium ustawionego z boku głównego budynku szpitala na obrzeżu Manhattanu, po stronie Upper West Side. Nastąpiło piękne wczesnojesienne popołudnie. Na błękitnym niebie nie było ani jednej chmurki, powietrze zrobiło się rześkie, zniknęła wreszcie letnia duchota. To futbolowa pogoda, przemknęło mu przez myśl, kiedy wodził spojrzeniem po setce zaproszonych gości. Wcześniej głos zabierało kilku przedstawicieli dyrekcji szpitala i członków rady nadzorczej, z czego wszyscy dziękowali mu za jego hojność, teraz więc, gdy przyszła kolej na niego, chciał przypomnieć, że dotacja w wysokości dziesięciu milionów dolarów pochodziła z kasy spółki Everest Capital, a nie z jego kieszeni.

Poruszył też kilka innych spraw - wyraził nadzieję, że nowe skrzydło przyniesie dużo więcej pożytku niż tylko uratowanie życia kilku osobom, że laboratorium badawcze, które miało w nim powstać, pozwoli na uzyskanie cennych wyników, w końcu zapewnił szpitalnych oficjeli, że Everest Capital będzie w przyszłości dalej wspierało finansowo ich projekty. Od wielu lat utrzymywał dość bliskie kontakty z kilkoma osobami z tego grona, miał więc pewność, że jego datki zostaną przeznaczone na godne cele, a nie trafią na konto jakiejś pijawki. Owszem, dość hojnie dawał pieniądze na cele charytatywne, ale robił to ostrożnie. Świetnie wiedział, jak łatwo mogą się dostać w niepowołane ręce. Pod tym względem przypominały strumień wody zawsze płynący w tym kierunku, w którym napotykał najmniejszy opór.

Kiedy zszedł z mównicy, jeden z przedstawicieli firmy budowlanej podszedł do niego z pozłacanym szpadlem, którym Gillette miał uroczysto wykopać pierwszy dołek.

- Dziękuję - powiedział, zaciskając palce na trzonku.

Mężczyzna w żółtym plastikowym kasku uśmiechnął się do niego szeroko, ale nie puścił szpadla.

- O co chodzi? - zdziwił się Gillette.

- Z niecierpliwością oczekujemy pana w Las Vegas, panie Gillette - odezwał się półgłosem budowlaniec. - Dla dobra wszystkich niech pan nie próbuje płynąć pod prąd, który pana tam uniesie. Tak będzie łatwiej.

- Mężczyzna spowaźniał nagle. - W przeciwnym razie możemy panu bardzo utrudnić życie.

Rozdział 5

David Wright cofnął powoli kij, zawahał się na moment, mierząc ponownie, po czym silnie uderzył białą bilę. W powietrze wzniosł się obłoczek kredowego pyłu, a bila pomknęła po suknie, uderzyła w siódmkę i posłała ją w kierunku narożnej łuzy, lecz ta zahaczyła o metalowe obicie otworu, odskoczyła w lewo i znieruchomiła dobre pół metra dalej.

- Cholera!

- Za mocne uderzenie - powiedział Gillette, oceniając rozstawienie wszystkich bil na stole. Wystarczyło strącić jedynie dziesiątkę, bo Wright miał jeszcze pięć bil na suknie. Gdyby udało mu się skosem wstrzelić dziesiątkę do bocznej łuzy, znalazłby się w idealnej sytuacji do zestrzelenia jeszcze ósemki i byłoby po meczu. Wygrałby trzecią partię z rzędu i pokonał Wrighta trzy do zera.

- O wiele za mocne - przyznał Stiles. Stał oparty ramieniem o ścianę przy mahoniowym stojaku na kije i sączył mrożoną herbatę, którą przyniosła Debbie.

- Nie potrzebuję dobrych rad ze strony widzów zajmujących najtańsze miejsca na galerii - warknął Wright.

Detektyw zachichotał.

- Chciałem tylko pomóc, dobry człowieku. Ja równie chętnie jak ty zobaczyłbym minę pokonanego szefa. Coś mi jednak mówi, że on jeszcze nigdy nie przegrał na tym stole. - Puścił oko do Gillette'a, kiedy Wright się odwrócił. - Znudziło mi się już wysłuchiwać, jakim to jest znakomitym bilardzistą.

- Już parę razy byłem bliski wygranej, więc lepiej zamilcz i obserwuj.

Wright i Stiles dopiero się poznali, ale dyrektor ani trochę nie dbał o to, jakie zrobi pierwsze wrażenie. Gillette świetnie go znał pod tym względem. Naprawdę koncentrował się wyłącznie na grze.

- Dlaczego sam z nim nie zagrasz - rzucił Wright przez ramię, machnąwszy ręką na detektywa.

- Zagram, jak się rozprawi z tobą, czyli najdalej za jakieś pół minuty. Jeśli dobrze pamiętam, Chris mówił, że całkiem nieźle sobie radzisz.

Tamten zerknął na niego z ukosa.

- Hej, mógłbyś....

- Dość tego - przerwał im Gillette, ledwie powstrzymując się od śmiechu. Szybko postrzącał ze stołu dziesiątkę i ósemkę, po czym wyprostował się i rzekł: - Wygląda na to, że Quentin też się pomylił. Zajęło mi to tylko piętnaście sekund.

- No właśnie.

- Poustawiaj bile, Davidzie - polecił Gillette, sięgając po butelkę z wodą mineralną stojącą na bocznym stoliku pod ścianą. Upił kilka łyków i dodał, wytarłszy usta wierzchem dłoni: - Najpierw ty zagrasz z Quentinem, tylko jedną partię, a jej zwycięzca zmierzy się ze mną. Ten mini-turniej szybko rozstrzygnie, kto w tym gronie jest najlepszy, a ponieważ to mój stół, rezerwuję sobie prawo wolnego losu w pierwszej rundzie.

- Nawiasem mówiąc, co on tutaj robi? - zapytał ostro Wright, wrzucając bile do trójkątnej ramki.

- Quentin jest szefem mojej ochrony osobistej.

- Wydawało mi się, że mamy do tego własną spótkę.

- Zgadza się. Nazwa QS Security pochodzi od inicjałów Quentina Stilesa. To właśnie on został postrzelony w Missisipi ubiegłej jesieni. To on uratował mi wtedy życie.

Wright przestał układać bile i obrzucił detektywa uważnym spojrzeniem.

- Och, Jezu... Bardzo przepraszam.

Gillette, przedstawiając ich sobie, przestał na imionach.

- Nie skojarzyłem - ciągnął Wright. - Boże, ludzie opowiadają tu o tobie legendy. - Zawahał się krótko. - Mówię całkiem poważnie.

Stiles wyciągnął kij ze stojaka.

- Nic się nie stało. Nie tak łatwo się obrażam.

Gillette usiadł przy stoliku, obserwując przygotowania detektywa do rozbicia puli.

- McGuire & Company zamierza wykupić QS Security, a po zakończeniu transakcji, czyli mniej więcej za miesiąc, Quentin przyjdzie do nas pracować na pełny etat. Zamierzam go zaproponować na stanowisko specjalnego wspólnika zarządu, bez takich samych praw jak Faraday czy ja, ale korzystającego z wielu naszych przywilejów.

Wright tylko uniósł brwi, ale nic nie powiedział.

- Jednym z przywilejów, które chciałbym od razu przyznać Quentiniowi, byłby udział w premiach z zysków z funduszu Everest Osiem. Nie będziesz miał nic przeciwko temu, Davidzie, prawda? - Gillette nie łudził się, że tamten przyjmie to bez zastrzeżeń, bo przecież zwiększenie liczby osób do podziału zysków oznaczało mniejsze udziały jednostkowe. Zapytał jednak, gdyż chciał zobaczyć reakcję Wrighta. - Co ty na to?

Dyrektor stał nieruchomo, czekając na rozbicie puli przez Stilesa, toteż detektyw dał mu ręką znak, żeby wpięrowo odpowiedział szefowi.

- Przecież to zależy tylko od ciebie, Christianie - wycedził Wright dziwnie zduszonym głosem. - Ty jesteś prezesem tej firmy. Jeśli sądzisz, że tak należy, zdecydуй tak. W końcu nikt się jeszcze nie zawiódł na twoich decyzjach jako prezesa zarządu.

Było jednak widać po jego minie, że ten pomysł niezupełnie przypadł mu do gustu. Gillette właśnie na to czekał, zależało mu, żeby młody współpracownik zaczął myśleć samodzielnie. Nie chciał, by najcenniejsi ludzie w jego zespole podejmowali decyzje uzależnione od tego, czego

on od nich oczekuje, czy żeby mówili to, co ich zdaniem chciałby usłyszeć.

- Na pewno nie masz nic przeciwko takiemu rozwiązaniu?

Zanim Wright zdążył otworzyć usta, Stiles błyskawicznie uderzył białą bilę i ta niczym pocisk wystrzeliła w kierunku pozostałych, ustawionych w trójkącie w przeciwnym końcu stołu. Rozległ się donośny trzask, bile pomknęły na wszystkie strony i aż cztery wpadły do luz, trzy jednobarwne i jeden pasiak.

Gillette wiedział, że Stiles jest świetnym graczem - nie dość, że ten sam mu opowiadał, jak to w wieku kilkunastu lat gromił rywali w salach Harlemu, to jeszcze słyszał od pewnego agenta QS Security, że szef ograł go bez skrupułów, gdy razem wykonywali zlecenie w Dallas - ale nigdy wcześniej nie widział detektywa w akcji.

- Całkiem nieźle, Quentinie - ocenił teraz, widząc po rozstawieniu bil, że tamten świetnie wie, co robi. Sprawiał wrażenie rozluźnionego, chociaż biała bila pozornie odbiła się od przeciwległej bandy w sposób niekontrolowany. Niemniej efekt tego rozbicia był imponujący, aż cztery bile wpadły do luz. W znacznym stopniu było to wynikiem jego nadzwyczajnej siły, skoro nawet tak bardzo osłabiony potrafił precyzyjnie wymierzyć strzał, by uzyskać maksymalną przewagę punktową.

- Całkiem nieźle? - zdziwił się Stiles, przechodząc na tę stronę stołu, po której znieruchomiła biała bila. - Na pewno sam chciałbyś mieć w taki sposób rozpocząć partię, Christianie - dodał, oceniając tuż nad stołem rozstawienie bil i szukając najlepszego sposobu na kontynuację gry.

- Biorę pasiaki - orzekł po chwili.

- Przecież strąciłeś przy rozbiciu aż trzy jednobarwne - zauważył Wright.

- Zgadza się, ale przecież muszę ci dać jakieś fory. Gdybym wybrał jednobarwne, oczyściłbym stół najdalej w ciągu dwóch minut, sądząc po

tym, jak rozgrywałeś wcześniejsze partie. - Uśmiechnął się szeroko. -
Mówię to bez złośliwości.

- Nie jestem aż tak wrażliwy.

- To kolejny powód, dla którego mam ochotę uczestniczyć w tej rozgrywce - odparł Stiles. - Dobrze byłoby zobaczyć Chrisa upokorzonego przy stole.

- Twoje niedoczekanie - wtrącił Gillette.

- Rzeczywiście byłoby niezłe - przyznał nieśmiało Wright.

- Chris?

Wszyscy trzej obejrzeni się w kierunku drzwi, od których doleciał głos Debbie.

- Słucham, Deb.

- Kurt Landry przy telefonie. Mówi, że zajmie ci tylko parę sekund.

- W porządku. Przełącz go tutaj.

- Już przełączam.

Kiedy zadzwonił bezprzewodowy telefon stojący na bocznym stoliku, Gillette podniósł słuchawkę.

- Witaj, Kurt.

- Cześć, Christianie. Mam dwie krótkie sprawy. Po pierwsze, dziękuję za lunch.

- Nie ma za co.

- A po drugie, rozmawiałem z kilkoma właścicielami kasyn z Las Vegas na temat pozwolenia na otwarcie nowego i kazali mi przekazać, że możesz śmiało rozpoczynać inwestycję. Z ich strony nie napotkasz żadnych sprzeciwów.

Gillette natychmiast przypomniał sobie mężczyznę, który podczas uroczystości wręczał mu poślaczany szpadel, i w duchu zadał sobie pytanie, jak jedno ma się do drugiego.

- To dobrze - odparł.

- Poza tym mogę cię już oficjalnie powitać w NFL. Gdybyś miał jakieś pytania albo problemy, dzwoń bez wahania.

- Dzięki.

- Czego chciał? - zaciekawiał się Stiles, kiedy Gillette odłożył słuchawkę.

Ten jednak tylko pokręcił głową, dając mu do zrozumienia, że porozmawiają o tym później.

- A zatem, Davidzie, nie masz nic przeciwko temu, żeby Quentin znalazł się w gronie zarządu firmy? - zagadnął, gdy detektyw pochylał się nad stołem, wymierzając kolejne uderzenie. Uważnie obserwował Wrighta. Nie uszło jego uwagi, że miał on ochotę coś powiedzieć, ale najwyraźniej uzmysłowił sobie, jak bliskie więzy łączą jego szefa ze Stilesem, toteż wolał nie dawać do zrozumienia, że zatrudnienie detektywa na etacie jest błędem.

- No cóż... - odparł z ociąganiem. - Chciałbym najpierw wiedzieć, co dokładnie możesz dla nas zrobić, Quentinie?

Gillette'owi spodobało się to, że Wright zwrócił się bezpośrednio do Stilesa, niejako przenosząc ciężar tej rozmowy i uwalniając go od roli pośrednika. W tym interesie wydajność miała kluczowe znaczenie. Niezależnie od tego, co pozostali pracownicy Everestu myśleli na temat Wrighta, a zwłaszcza jego arogancji czy szorstkości, umiał się zdobyć na bezpośredniość. Właśnie tacy ludzie byli motorami postępu, a tylko postęp - przynoszący dobre wyniki czy złe - był jedynym sposobem na dotarcie do sedna spraw.

- Chcę się zająć prognozowaniem porażek, minimalizacją ryzyka oraz metodami wychodzenia z sytuacji kryzysowych - wyjaśnił detektyw. - Mam doświadczenie w tych dziedzinach, zdobyte zarówno w sektorze prywatnym, jak też podczas służby w wywiadzie wojskowym i Secret Service. Przekonałem się, że większość podmiotów, nawet spośród dużych i bogatych korporacji, w ogóle nie jest przygotowana na porażki. Niezależnie, czy mówimy o zagrożeniu ze strony terrorystów, nieuczciwych pracowników, czy wypadków losowych w rodzaju pożarów

bądź niesprzyjającej pogody. Nikt w tym zakresie nie robi wystarczająco dużo. W wielu wypadkach nikt nawet nie analizuje rodzajów zagrożeń. - Machnął ręką w stronę Gillette'a. - Chris chce, żebym dokonał przeglądu wszystkich firm należących do Everestu i sprawdził, czy wasze inwestycje są w pełni zabezpieczone.

Wright kilkakrotnie przeniósł wzrok z prezesa na detektywa i z powrotem.

- Jak duży udział w zyskach przewidziałeś dla niego, Christianie?

- Jeden procent. - Gillette zwrócił uwagę, że tamten niemal głośno odetchnął z ulgą. Przy dwudziestomiliardowej wielkości funduszu inwestycyjnego jeden procent z zysków mógł stanowić dość pokaźną sumę, ale najwyraźniej dużo mniejszą, niż Wright się pierwotnie obawiał. - Poza tym chcę przyznać Quentinowi milion dolarów rocznej pensji. Oprócz wykonywania tych zadań, o których przed chwilą mówił, nadal będzie szefem mojej ochrony osobistej. Dlatego uważam, że milion to adekwatne uposażenie.

- Oczywiście, oczywiście - przyznał pospiesznie Wright.

- Masz jeszcze jakieś pytania?

Wright pokręcił głową.

- Zatem mogę liczyć na twoje poparcie w tej sprawie?

- Jak najbardziej. Nie jestem jednak pewien, czy będzie ono miało jakieś znaczenie. Oczywiście z przyjemnością powiem parę ciepłych słów w tej kwestii na zebraniu ogólnym kierownictwa firmy, jeśli na tym ci właśnie zależy. Nie wiem tylko, w jakim stopniu to pomoże.

- Najpierw będę musiał przeprowadzić głosowanie w gronie wspólników zarządu.

- Nie jestem pewien, czy to konieczne. Trzeba by sprawdzić w statucie spółki, ale wydaje mi się, że taką decyzję możesz podjąć samodzielnie. Jeśli sobie życzysz, sprawdzę to w szczegółowych warunkach partnerstwa.

- Dzięki, ale nie musisz się trudzić. Wolę w tej sprawie zachować szczególną ostrożność. Quentin jest moim przyjacielem, dlatego chcę, żeby warunki jego angażu przegłosowali wspólnicy zarządu, nawet jeśli zgodnie ze statutem spółki mógłbym sam podjąć taką decyzję.

- W porządku, zatem do czego jest ci potrzebna moja zgoda? Nie będę miał prawa głosu, jestem tylko dyrektorem zarządzającym.

- Już nie.

Wright zwrócił na Gillette'a rozszerzone ze zdziwienia oczy.

- Słucham?

- Mam dla ciebie złe i dobre wieści, Davidzie. Zacznę od złych. Razem z Nigelem podjęliśmy decyzję o otwarciu filii w Los Angeles. Wiem, jak bardzo chciałbyś się tam przenieść, ale będziesz musiał zrezygnować z tych planów. - Uniósł szybko rękę, gdy tylko Wright otworzył usta, żeby zaprotestować. - Natomiast dobra wiadomość jest taka, że awansuję cię na stanowisko wspólnika zarządu. Będę jeszcze musiał omówić z Nigelem szczegółowe warunki twojego wynagrodzenia, ale decyzja o twoim awansie już zapadła.

- Jezu... - szepnął Wright z przejęciem. - Dzięki...

- Zasłużyłeś na to. I właśnie dlatego zależy mi na twoim poparciu w sprawie zatrudnienia Stilesa.

- Możesz na nie liczyć.

- Jak sam rozumiesz, oznacza to, że nie życzę sobie więcej takich incydentów, jak dziś przed południem.

- Incydentów? - zdziwił się tamten, głośno przełykając ślinę.

- Gdy nie mogłem się z tobą skontaktować. - Wright odpowiedział w końcu na telefoniczne wywołania, ale dopiero wtedy, gdy on i Stiles jechali już na uroczystość w szpitalu. - Debbie zaczęła do ciebie wydzwaniać już o dziewiątej, ty zaś odezwałeś się dopiero kwadrans po trzeciej. Co się stało, do diabła?

- Przepraszam.

- Gdzie byłeś?

Wright spuścił głowę.

- Szukałem prezentu dla żony. Zbliża się nasza rocznica ślubu.

Gillette spojrział na Stilesa, który wyprostował się i odstawił kij.

- Zajęło ci to cały dzień?

- Robię jej na miarę pierścionek z brylantem. Omawiałem z jubilerem różne projekty.

- I nie miałeś przy sobie telefonu komórkowego? Gdzie go zostawiłeś? W schronie przeciwiatomowym?

- Ciągle odbierałem telefony, więc facet się wkurzył i poprosił, żebym wyłączył aparat. Przepraszam, to się więcej nie powtórzy. - Westchnął głośno. - Jeszcze raz dziękuję za promocję. To dla mnie bardzo wiele znaczy. Aż nie umiem wyrazić, jak wiele.

- Jesteś najmłodszym wspólnikiem zarządu w historii Everest Capital

- zaznaczył Gillette, niezbyt zadowolony z wyjaśnień podwładnego. - Pokonałeś mnie o rok.

Wright z szacunkiem skinął głową.

- Czy to znaczy, że od tej pory mogę się zwracać do ciebie per Chris?

- Nie. Prawdę mówiąc, jeśli jeszcze raz się zdarzy, że będę musiał czekać na wiadomość od ciebie dłużej niż pół godziny, znowu będziesz mógł się do mnie zwracać tylko „panie Gillette”.

Wright skrzywił się ledwie zauważalnie i dał znak Stilesowi, żeby kontynuował grę.

- Nawiasem mówiąc, Christianie, chciałem ci powiedzieć, że na własną rękę podjąłem decyzję o zorganizowaniu spotkania z dyrektorem firmy Hush-Hush. Dojdzie do niego jutro rano. Zdaję sobie sprawę, że zawiadamiam cię w ostatniej chwili, ale czy nie zechciałbyś w nim uczestniczyć.

- Jasne.

Faraday już się skontaktował ze swoim znajomym z francuskiej

firmy odzieżowej i jej dyrekcja z entuzjazmem odebrała możliwość wykupienia błyskawicznie zyskującego na wartości amerykańskiego twórcy seksownej damskiej bielizny. Gillette miał nawet nadzieję, że mogą liczyć na sowity zarobek na pośrednictwie w tej szybkiej transakcji, sięgający nawet trzystu albo czterystu milionów dolarów, i to zdobytych bez większego wysiłku, dlatego wołał sam się upewnić, że wszystko jest w porządku.

- O której godzinie jest spotkanie? - zapytał.

- O dziesiątej. - Wright przyglądał się smutno, jak Stiles bezbłędnie wbija do łuz jednego pasiaaka za drugim. - Nie powinno potrwać dłużej niż dwie godziny.

- W porządku, a potem ty pojedziesz ze mną na spotkanie z przedstawicielami Apeksu. Jest zaplanowane na pierwszą.

- Apeksu?

Gillette przypomniał sobie, że dotąd o swoich planach wykupienia Apeksu rozmawiał tylko z Faradayem.

- Tak, jestem na jutro umówiony z Russellem Hughesem.

- To prezes zarządu, prawda? Czego ma dotyczyć spotkanie?

- Chcę wykupić Apex.

Wright powoli rozdziawił usta.

- Wykupić? - zapytał po chwili.

- Owszem.

- Nie najlepiej im się ostatnio powodzi. Jeśli mam być szczerzy, sły-
szałem nawet, że bardzo kiepsko.

- Co stwarza nam doskonałą okazję. Ponadto dysponują pięcioma mi-
liardami niewykorzystanego funduszu. Uważam, że gdyby zastąpić na-
szymi ludźmi ich przedstawicieli w najstabilniej prosperujących inwesty-
cjach, dość szybko wyprowadzilibyśmy je na prostą. Rozmawiałem już z
zarządem trustu Straziego, który nadzoruje Apex, i moja oferta ich zain-
teresowała.

- Jaka oferta? - zaciekaWił się Wright.
- Wykupu według wartości nominalnej.
- Jaka kwota wchodzi w grę?
- Miliard.

Dyrektor zamyślił się na chwilę.

- To chyba całkiem rozsądna cena za dwadzieścia dwa przedsiębiorstwa i pięć miliardów funduszu w zobowiązaniach udziałowców.

Gillette był pewien, że w tej sprawie szybko przeciągnie Wrighta na swoją stronę. Nie miał też żadnych wątpliwości, że David kieruje się wyłącznie fachową opinią i nie robi tego z wdzięczności za awans.

- Zarząd trustu jest przekonany, że jeśli Hughes utrzyma się dłużej na stanowisku prezesa to wkrótce wszystkie inwestycje spółki stracą na wartości. Dlatego nie będą się nawet specjalnie targować.

- Czemu nie wywalą Hughesa?

- Faraday zapytał o to samo. Gdyby go zwolnili, duża część inwestorów by się wycofała. A to byłby zapewne koniec Apeksu. Naszym wielkim atutem jest to, że wielu inwestorów Apeksu jest także naszymi udziałowcami. Rozmawiałem z kilkoma i uzyskałem zapewnienie, że poprą wykup Apeksu przez Everest. Obiecali nie wycofać swoich zobowiązań, jeśli przejmemy kontrolę nad tym funduszem.

- To znaczy jeśli ty przejmiesz kontrolę - sprostował Wright.

- Nie mam na to czasu. Muszę się skoncentrować na wykorzystaniu naszego nowego funduszu.

- Ale nie będziesz mógł się za długo patyczkować z Hughesem.

- Nie. W każdym razie nie za długo.

- Więc myślisz o tym, żeby nadzór nad funduszem Apeksu przekazać komuś obcemu? - zdziwił się Wright.

- Owszem, tobie - odparł z uśmiechem Gillette. - To będzie twoje pierwsze zadanie jako wspólnika zarządu: przejście stanowiska prezesa spółki Apex Capital.

- Mój Boże... - szepnął David.

- Będziemy musieli się ze sobą kontaktować co najmniej pięć albo sześć razy dziennie, a na początku pewnie znacznie częściej. Właśnie z tego powodu nie życzę sobie kolejnych takich incydentów, jak dzisiaj.

- Mówiłem już, to się więcej nie powtórzy.

- Pozostali współnicy mogą mieć poważne wątpliwości co do tej decyzji. - Gillette podniósł się z krzesła. Stiles wbijał właśnie przedostatnią bilę, wszystko wskazywało na to, że rozegra partię bez oddawania rywelowi jednego strzału. - Będą uważali, że ich wyrolowałem. Zwłaszcza Maggie. Ale...

- Chrzanić ją - rzucił ostrzej Wright. - Nie dałaby sobie rady z poprowadzeniem Apeksu. Przecież wiesz, że jestem od niej lepszy. Jestem też lepszy od Blaira i O'Briena. Wątpię, by któryś z nich także podolał takiemu zadaniu. Podejrzewam, że nawet Faraday nie dałby sobie rady. Wiesz jednak, że na mnie możesz liczyć.

Gillette spojrział na Stilesa.

- Trochę mnie martwi ta bezgraniczna pewność siebie, Quentinie.

Stiles uśmiechnął się ironicznie, zbijając ze stołu ósmą i ostatnią bilę, a tym samym kończąc zwycięsko partię.

- Świetnie cię rozumiem. Tym bardziej że właśnie ostro umoczył przy stole bilardowym - odezwał się.

- Też mi coś! - prychnął Wright z udawaną brawurą. - Może chcesz w tej sprawie zwołać konferencję prasową. Nie wątpię, że wszystkie dzienniki zamieściłyby taką sensację na pierwszej stronie.

- Turniej się nie skończył. Poustawiaj bile, Quentinie - rzekł gospodarz, lekceważąc Wrighta. - Teraz my zagramy.

- Jesteś pewien, że tego chcesz? - zapytał Stiles. - Naprawdę zamierzasz raz na zawsze rozstać się z opinią niepokonanego przy własnym stole?

Gillette tylko się uśmiechnął na tę żalną próbę wycofania się z dalszej rywalizacji.

- Rozstaw bile - powtórzył spokojnie i odwrócił się do Wrighta. - Gdzie mieszczą się biura firmy Hush-Hush?

- W tak zwanej dzielnicy odzieżowej, przy ulicy Trzydziestej Ósmej, niedaleko Penn Station.

- W porządku, zatem wyjedziemy stąd o wpół do dziesiątej. Po drodze przedstawiś mi najważniejsze dane o transakcji. Po spotkaniu przegryziemy coś na mieście i omówimy strategię na spotkanie z Russellem Hughesem.

- Po co w ogóle się z nim spotykać? - zapytał Wright. - Nie lepiej dać sobie spokój?

- Po pierwsze, prosili o to spotkanie ludzie z zarządu trustu Strazziego. Jak wszyscy, chcą uniknąć ostrej konfrontacji, dlatego woleliby, żebym zawczasu uprzedził prezesa o tym, co się szykuje. O ile sam się tego jeszcze nie domyśla - dodał ciszej Gillette. - A po drugie, mimo braku umiejętności w zarządzaniu Apeksem, wie o tej firmie więcej niż ktokolwiek inny tylko dlatego, że jest jej prezesem. Chciałbym, żeby w miarę możliwości jak najdokładniej wprowadził nas w sprawy firmy, nim zatrzśnie za sobą drzwi. W tej jednej sprawie może nam być pomocny.

- Już jutro chcesz mu dać do zrozumienia, że jego dni są policzone?

- O tym jeszcze nie zdecydowałem, lecz jeśli tak, dałbym mu od razu do zrozumienia, że to ty będziesz nowym szeryfem miasteczku. - Stiles skończył ustawiać bile w trójkątnej ramce i Gillette sięgnął do kieszeni po ćwierćdolarówkę. - To wszystko, Davidzie...

- Zapomniałem ci powiedzieć o jeszcze jednej rzeczy, Christianie - wtrącił pośpiesznie Wright. - Mam też kontakt z poważnym inwestorem, towarzystwem ubezpieczeniowym z siedzibą na Bermudach. Wiem, że oficjalnie zamknąłeś tworzenie funduszu Everest Osiem, ale ci ludzie chcieliby u nas zainwestować aż pięćset baniek. Nie wiem, czy nie powinieneś zrobić dla nich wyjątku takiego, jaki zrobiłeś dla Wallace'ów. Jestem przekonany, że do funduszu dziewiątego wnieśliby dużo więcej.

Gillette uśmiechnął się szeroko, podszedł i stanął obok niego.

- Teraz już chyba rozumiesz, Quentinie, czemu awansowałem właśnie jego - rzekł, kładąc rękę na ramieniu młodego finansisty. Dokładnie tak samo czynił jego ojciec, gdy chciał go za coś pochwalić: kładł mu dłoń na ramieniu i lekko zaciskał palce. - To jedyny człowiek w tej firmie poza Faradayem i mną, który ściągnął parę groszy do nowego funduszu, a jutro zabiera nas na spotkanie z dyrektorem Hush-Hush. Robi wrażenie, prawda?

Stiles tylko mruknął coś nieartykułowanego.

- Co myślisz o udziale rodziny Wallace'ów w naszym nowym funduszu? - zwrócił się Gillette do Wrighta.

- Im więcej, tym lepiej - odparł tamten błyskawicznie.

- To mi się podoba - rzucił gospodarz z szerokim uśmiechem. - Nie martwi cię to, że Allison Wallace znajdzie się w naszym gronie?

- Zacznie mnie martwić, jeśli jej obecność będzie cię rozpraszać.

- Słucham?

- Zdążyłem jej się dobrze przyjrzeć. Jest bardzo ładna, a ponadto warta wiele miliardów. Razem tworzylibyście niezwykłą parę.

Najpierw Debbie, potem Faraday, a teraz Wright. To się stawało po prostu nudne.

- Nie masz się czym przejmować - zapewnił go solennie.

Wright wzruszył ramionami.

- W porządku.

- No, chodźże, Chris - odezwał się zniecierpliwiony Stiles. - Zamierzam ci pokazać, jak się gra w bilard.

Gillette wziął ze stolika aktówkę Wrighta, z którą ten nigdy się nie rozstawał, zabierał ją ze sobą nawet wtedy, kiedy szedł na rozmowę z kolegą w sąsiednim pokoju.

- Możesz już iść.

Wright chwycił aktówkę.

- Chciałbym zostać i popatrzeć...

- Niech sobie patrzy - wtrącił Stiles. - Każdy protegowany wprost marzy o tym, by wreszcie ujrzeć choćby najdrobniejszą porażkę swojego mentora.

Gillette uśmiechnął się skąpo. Doskonale rozumiał, co detektyw chce osiągnąć, ale nie zamierzał do tego dopuścić. Wręcz przeciwnie, chciał odwrócić karty i popchnąć Stilesa w tym kierunku, w którym ten wolałby nie podążać.

- W porządku, Davidzie, możesz zostać. Coś ci zaproponuję, Quentynie - dodał, odwracając się. - Uczynimy tę rozgrywkę jeszcze bardziej interesującą.

Detektyw zastygł z kredą uniesioną nad końcem kija.

- Co proponujesz?

Gillette wyszczerzył zęby w uśmiechu. Stiles już przeczuwał, co ma mu do zaproponowania.

- Masz się wkrótce wzbogacić o niezłą sumkę. Zagrajmy więc na pieniądze.

- O jaką stawkę?

Gospodarz uśmiechnął się jeszcze szerzej na myśl o tym, że udało mu się omamić Stilesa.

- Co powiesz na sto kawałków? - zaproponował stawkę bardzo wysoką, ale nie przesadnie dużą.

Wright uniósł brwi i popatrzył na detektywa.

- Sto tysięcy dolarów? - Stiles zerknął na Davida i szybko znów przeniósł wzrok na prezesa.

Ten obojętnie wzruszył ramionami.

- Dobra, rozumiem. Niech będzie dwieście.

Detektyw przełknął ślinę.

- Myślałem, że zagramy o honor.

- Gdybyś nie był taki zarozumiały...

- Czy honor nie jest ważniejszy od pieniędzy?

Gillette pokręcił głową.

- Honorem niech się martwią mięczaki.

Wright zarechotał głośno, z wyraźną satysfakcją obserwując zakłopotanie Stilesa.

Ten wbił łokcie w krawędź stołu i oparł czoło na zaciśniętych pięściach.

- Więc chcesz zagrać o dwieście tysięcy?

- Chyba że wolisz...

- Nie, nie. Może być dwieście.

- Doskonale. - Gillette wyciągnął ćwierćdolarówkę na otwartej dłoni.

- Więc jak? Mam rzucić monetą.

- Jasne.

- Zakładam, że wybierasz reszkę.

- Oczywiście - przyznał Stiles grobowym głosem. - W takich momentach dużo częściej wypada reszka. Sprawdzałem.

Gillette rzucił w górę monetę tak, żeby spadła na stół bilardowy. Podskoczyła kilka razy, obracając się w powietrzu, po czym znieruchomiała. Wright błyskawicznie pochylił się nad nią.

- Orzeł - oznajmił.

Detektyw zerknął na ćwierćdolarówkę i wzruszył ramionami, jakby naprawdę miało to niewielkie znaczenie.

- Zaczynaj, Chris.

To była bardzo krótka partia. Tak jak wcześniej Stiles nie dał żadnych szans Wrightowi, tak teraz Gillette postrzącał wszystkie bile, przez co pozbawił rywala możliwości oddania choćby jednego strzału. Błyskawicznie oczyścił stół z wszystkich jednobarwnych bil, a gdy wbił ósmą, wyprostował się i zapytał:

- Podwajamy stawkę czy rezygnujesz?

Stiles najwyraźniej wciąż nie mógł zrozumieć, jakim sposobem dał się tak łatwo obedrzeć z dwustu tysięcy dolarów.

- Rezygnuję.

Gospodarz odstawił kij do stojaka i sięgnął po płaszcz wiszący na oparciu krzesła.

- Muszę lecieć. Zabieram Allison na kolację, żeby dokładniej omówić warunki jej uczestnictwa w zarządzie spółki.

Wright cicho gwizdnął przez zęby.

- Mam nadzieję, że Faith się o tym nie dowie.

- Wyluzuj, Davidzie. Właśnie w ten sposób rodzą się głupie plotki. - Zrobił parę kroków w stronę drzwi, lecz przystanął i odwrócił się. - Nawiasem mówiąc, chciałbym obu was zobaczyć w ten weekend na pokładzie jachtu. Odbijamy w kierunku West Side koło południa, od nabrzeża przy ulicy Czterdziestej Czwartej. Spędzimy noc na morzu. Zabierzcie żony albo kochanki. - Puścił do nich oko. - Byle nie jedno i drugie jednocześnie. Zaprosiłem też Nigela. Uczymy twój awans. - Ruchem głowy wskazał Wrighta.

- Dzięki, Christianie.

- Chodź, Quentinie. - Gillette machnął ręką na Stilesa. - Nie mamy czasu. - Przepuścił detektywa przodem, a przed zamknięciem drzwi zajrzał jeszcze do pokoju i dodał: - Nawiasem mówiąc, Davidzie, możesz mi mówić Chris.

Rozdział 6

- Gdzie zatrzymała się Allison? - zapytał Stiles, gdy weszli w tłum przechodniów na Park Avenue, próbując się przebić do czarnej limuzyny stojącej przy krawężniku na wprost wejścia do siedziby Everest Capital.

- W Parker Meridien - odparł Gillette, spoglądając na dwa auta, z których jedno stało przed limuzyną, a drugie za nią. Jego ochroniarze byli na miejscu.

Nie przejmował się specjalnie Milesem Whitmanem. Podejrzał, że ten ukrył się gdzieś za granicą, zapewne w Ameryce Południowej albo Europie, gdzie pod fałszywym nazwiskiem mógł do woli korzystać z pieniędzy wykradzonych towarzystwu ubezpieczeniowemu North America Guaranty ubiegłej jesieni, kiedy agenci federalni zaczęli mu już deptać po piętach. Prawdopodobnie bardziej od zemsty zależało mu na tym, żeby za wszelką cenę uniknąć więzienia. W podobnych sytuacjach większość ludzi z jego sfer reagowała właśnie w ten sposób.

Zupełnie inaczej przedstawiała się sprawa z Tomem McGuire'em.

Ten przez wiele lat był agentem terenowym FBI, nim w końcu założył firmę McGuire & Company. Z pewnością żył wyłącznie pragnieniem zemsty, które nie dawało mu spokoju, i ani trochę nie bał się pobytu w więzieniu. Służby federalne już od dziesięciu miesięcy obserwowały jego dom na Long Island oraz podsłuchiwały rozmowy telefoniczne żony i dzieci, ale jak dotąd się z nimi nie skontaktował, w każdym razie nic o tym nie świadczyło. Gillette nie wątpił jednak, że McGuire pozostaje w kontakcie z najbliższymi. Był wystarczająco sprytny, żeby nikt się o tym nie dowiedział.

McGuire pragnął pomścić śmierć swojego brata Vince'a. Ten, będąc wiceprezesem spółki McGuire & Company, pomagał Tomowi w organizowaniu wszystkich zamachów. Był tak samo zaangażowany w spisek, jak jego brat i Whitman. Tyle że ludzie Stilesa schwytali go i przekazali w ręce agentów federalnych, kiedy cała afera wyszła na jaw, a trzy miesiące później Vince zginął podczas zamieszek w więzieniu. Dostał cios nożem w plecy i wykrwawił się na śmierć na boisku do koszykówki.

Gillette jako pierwszy dał nura w głąb limuzyny i rozsiadł się na tylnym siedzeniu.

- Co myślisz o Davidzie? - zapytał, jak tylko Stiles zajął miejsce naprzeciwko niego, ukosem do kierowcy.

- Jest cholernie zarozumiały. - Detektyw wzruszył ramionami. - Mam nadzieję, że nie byłem wobec niego za ostry.

- Za ostry? Na miłość boską, traktowałeś go jak skaut przeprowadzaną przez ulicę staruszkę. Dużo ostrzej odnosiłeś się do mnie, pyskując mi prosto w twarz przed rozpoczęciem naszej partii. Jeszcze nigdy nie widziałem, żebyś kogoś traktował w ten sposób.

- Bo miałem z tego niezły ubaw. Ale i tak nie wyszło mi to na dobre.

- Otóż to.

- Wiesz co? Odniosłem wrażenie, że Wrighta coś gryzie.

- Na jakiej podstawie tak sądzisz?

- Wydawał mi się podenerwowany, jakby czymś przejęty.

- Po czym to poznałeś? Przecież widziałeś go po raz pierwszy.

- Wiele razy w swojej karierze miałem okazję obserwować zdenerwowanych ludzi - odparł detektyw. - I większość z nich po raz pierwszy w życiu widziałem na oczy. Ale bez trudu mogłem odgadnąć, że są podenerwowani. Dla mnie Wright wyglądał na człowieka, którego za parę minut czeka składanie zeznań z użyciem poligrafu.

Gillette popatrzył na niego w milczeniu. Limuzyna odbiła od krawężnika i tuż za pierwszym sedanem ochrony włączyła się do ruchu. Z przykrością odbierał to, co usłyszał, ale nauczył się już w pełni ufać przeczuciom detektywa.

- Czego chciał Kurt Landry? - zapytał Stiles, gdy wyjechali na środek Park Avenue.

Gillette uniósł głowę znad terminarza, gdzie zapisywał nazwiska ludzi, z którymi chciał się porozumieć jutro rano przed spotkaniem z dyrekcją Hush-Hush.

- Przekazał mi, że rozmawiał z właścicielami NFL i ci zaakceptowali pomysł wybudowania przez nas kasyna. Mamy całkiem wolną drogę.

- Czemu nie chciałeś, żeby Wright się o tym dowiedział?

Wzruszył ramionami, chowając terminarz do wewnętrznej kieszeni marynarki.

- Bo należy do tych, którzy będą zadawać pytania, dopóki nie uzyskają wyczerpującej odpowiedzi.

- Tak samo jak ty - wytknął mu detektyw.

Wszyscy mówili podobnie.

- Owszem. Problem polega na tym, że nie jest zaangażowany w te pertraktacje, chciałem więc uniknąć konieczności wprowadzania go w szczegóły. Przybliżania mu warunków działania kasyna, jego miejsca w kupowanych przez nas przywilejach budowlanych, i tak dalej, i tak dalej. Bałem się, że zasypie mnie gradem pytań, zwłaszcza po tym, jak się dowiedział o swoim awansie. - Gillette zawahał się na krótko. - Pamiętasz tego gościa, który dziś po południu podawał mi szpadel podczas uroczystości rozpoczęcia budowy nowego skrzydła szpitala?

- Tak. Czemu pytasz?

- Bo kiedy mi go podawał, powiedział, że z niecierpliwością oczekują mnie w Las Vegas. Doradził też, żebym nie próbował mącić stojącej wody. Powiedział to bardzo cicho, żeby nikt inny tego nie wyłowił, ale nie wątpię, że się nie przesłyszałem.

Stiles sięgał właśnie do niewielkiej lodówki zamontowanej między fotelami, lecz nagle z tego zrezygnował.

- Mówisz poważnie?

- Sądzisz, że mógł występować w imieniu rodziny Carbone?

- Niewykluczone.

- Skąd, do diabła, mieliby się tak szybko dowiedzieć o planowanej inwestycji?

Detektyw wzruszył ramionami.

- Plotki rozchodzą się błyskawicznie, to ich największa wada. Gdyby tylko ludzie potrafili trzymać język za zębami, wszystko byłoby w porządku. - Pokręcił głową. - Porozmawiam z moimi chłopakami. Sprawdzali wszystkich obecnych na podium, czy nikt nie ma przy sobie broni, sądzę jednak, że wcześniej zebrali o obecnych dostępne informacje.

- Tylko nie goń ich do roboty z tego powodu - wtrącił Gillette. - Sam nieraz mi powtarzałeś, że jeśli ktoś koniecznie chce sprzątnąć prezydenta, zawsze znajdzie okazję do oddania precyzyjnego strzału.

- To prawda, ale...

- Twoi ludzie naprawdę spisują się znakomicie. Nie chcę, żebyś robił z tego incydentu wielką sprawę. W końcu nic się nie stało. Po prostu sprawdź tego faceta.

- Dobrze.

Skręcili w ulicę Pięćdziesiątą Siódmą prowadzącą na zachód. Kierowca najwyraźniej odetchnął z ulgą, gdy zjechali z zatłoczonej alei.

- Naprawdę chcesz, żebym usiadł do kolacji przy jednym stoliku razem z tobą i Allison?

- Tak.

Stiles uśmiechnął się szeroko.

- Mam pełnić rolę przyzwoitki?

- Raczej zapewnić mi alibi.

- Nie rozumiem.

- Niektórzy ludzie już zdążyli sobie wmówić, że Allison Wallace zawróciła mi w głowie. Sam słyszałeś, co powiedział David. Panuje przekonanie, że ta dziewczyna będzie próbowała rozciągnąć naszą znajomość poza granice stosunków służbowych, a ja z ochotą jej na to pozwolę. To śmieszne, bo nie zamierzam do czegoś podobnego dopuścić, nawet jeśli Allison zależy tylko na tym, w co szczerze wątpię. Niemniej, zależy mi na twojej obecności, byś mógł zaświadczyć, że nasza rozmowa dotyczyła wyłącznie spraw służbowych.

- Nie ma sprawy, synu.

- Może to zabrzmiało głupio, ale zamierzam ograniczyć się tylko do tego, co będzie konieczne. - Dostrzegłszy przez okno hotel Parker Meridien, sięgnął po marynarkę. - A to dla ciebie - dodał, wręczając Stilesowi monetę.

- Co to ma...?

- To ta ćwierćdolarówka, którą wyrzuciłem w powietrze przed rozpoczęciem naszej partii bilardowej. To ona rozstrzygnęła, kto będzie rozbił. Kazałem ją specjalnie przystosować do tego celu, kiedy leżałeś w szpitalu. Sprawdź.

Stiles włączył lampkę nad swoim ramieniem, uniósł do światła monetę i obrócił ją w palcach.

- Jasna cholera. Po obu stronach są orzełki.

Gillette zachichotał.

- Zwróciłem uwagę, że zawsze stawiasz na reszkę, gdy dochodzi do losowania poprzez rzut monetą. Wielokrotnie byłem tego świadkiem. Poza tym zawsze powtarzałeś, że jestem w pełni przewidywalny. - Machnął ręką w stronę detektywa. - Oczywiście możesz zatrzymać swoje dwieście kawałków. Nie masz jednak pojęcia, jak miło było popatrzeć na twoją minę, gdy wbiłem do łuzę ósmą bilę.

Wright rzucił na fotel obok kierowcy banknot dziesięciodolarowy, pospieszenie wyskoczył z taksówki i ruszył pogrążonym w półmroku

chodnikiem ku drzwiom budynku, w którym mieszkał.

- Davidzie.

- Jezu!... - Błyskawicznie spojrział w lewo, skąd dobiegł głos, i odruchowo cofnął się o krok. Z ciemnej bramy niczym duch wyłonił się ten sam mężczyzna, który zaskoczył go przed południem w salonie Saksa. - Czego znowu chcesz... Paul? - zapytał ze złością, z trudem usiłując zapanować nad sobą.

- Od tej pory chciałbym wiedzieć na bieżąco, gdzie jest i co porabia Christian Gillette.

Wright poczuł nagły przyływ przemożnego zmęczenia. Miał straszną ochotę położyć się spać.

- Dlaczego? - zapytał chrapliwym głosem.

Tamten wymierzył w niego wskazujący palec i zatrzymał rękę zaledwie o centymetry od jego twarzy.

- Posłuchaj mnie uważnie, kolego. Jeśli nam nie pomożesz, gliny szybko znajdą odpowiedzi na wiele pytań w pewnej sprawie. Na razie to tylko pytanie o miejsce pobytu osoby zaginionej, ale wkrótce mogą się przekształcić w pytanie dotyczące zabójstwa. - Wyciągnął z kieszeni kurtki zmiętą w kulkę kartkę papieru, wcisnął ją Davidowi w garść i zacisnął mu na niej palce. - Tu masz mój numer. Lepiej, żebyś go nie zgubił, nie zaczął udawać głupiego i nie wypierał się naszej znajomości.

Odwrócił się na pięcie i odszedł. Wright stał jak wmurowany, spoglądając, dopóki tamten nie zniknął w ciemności. Miał za sobą jeden z najwspanialszych dni w swoim życiu, który teraz okazał się też jednym z najgorszych.

Gillette spostrzegł Allison Wallace zaraz po wejściu do lobby hotelu Parker Meridien. Wyglądała oszałamiająco. Żadne inne określenie nie pasowało. Miała na sobie głęboko wyciętą czarną suknię, szpilki podkreślające zgrabny kształt nóg oraz diamentowy naszyjnik. Ani trochę nie

przypominała wyglądem tej kobiety interesu, która odwiedziła siedzibę Everestu. Dwaj nienagannie ubrani mężczyźni ewidentnie próbowali ją poderwać, ale nie zwracała na nich uwagi, obojętnie potakując ruchami głowy na wszelkie próby zagajenia rozmowy.

- Cześć - zawołała radośnie i machnęła trzymanym w rękę kieliszkiem szampana w stronę Gillette'a, dostrzegłszy go ponad ramionami adoratorów. Rozchlapała przy tym nieco trunku na dywan. - A co to ma znaczyć? - zdziwiła się, spoglądając na agentów, którzy zajęli miejsca po jego bokach z dłońmi splecionymi za plecami.

- To nasza ochrona.

Zmarszczyła czoło.

- Jestem warta dwadzieścia dwa miliardy dolarów, a nie korzystam z ochrony osobistej. Ty musisz z niej korzystać?

- Zachowuję ostrożność.

- Myślisz, że coś ci grozi?

- Nie.

- Więc mam nadzieję, że nie jest to przejaw kompensacji braków w innym zakresie.

Gillette skwitował to wstydliwym uśmiechem, ale ten najwyraźniej nie odniósł pożądanego rezultatu, więc dodał:

- Tego możesz być raczej pewna. Ani razu nie odebrałem żadnych zażaleń w tej materii.

- To na co się uskarżano?

- Pozostawię to twojej domyślności.

- Podejrzewam, że twoje kobiety żalą się głównie na twoją ciągłą nieobecność, panie pracocholiku.

- Doskonale, mistrzu przenikliwości. Należy się nagroda.

- Jaka?

- Kolacja ze mną.

- Świetnie. Tylko kto płaci za twoją ochronę osobistą? - zaciekała się.

- Oczywiście ty - odparł Gillette, zwracając uwagę, że Allison lekko przeciąga sylaby. Na pewno nie była to jej pierwsza lampka szampana tego wieczoru. - Zwłaszcza teraz, kiedy jesteś już współnikiem zarządu Everestu. - Zaciekawilo go, czy piła, podekscytowana kolacją w jego towarzystwie, czy też ze względu na swoją wartość sięgającą dwudziestu dwóch miliardów dolarów, a może po prostu dla zabicia czasu. - Chodźmy.

- Przygotowałeś już dla mnie gabinet? - zapytała, podniósłszy się z miejsca. - Bo jestem gotowa stawić się do pracy z jasnym umysłem już w poniedziałek rano.

- Co rozumiesz pod pojęciem „jasny umysł”?

- To, że będę o siódmej rano.

- Jasne. W takim razie spotkamy się o dziewiątej.

- Założę się, że i tak będę przed tobą.

- Zamierzasz zatrzymać się na najbliższe tygodnie tu, w Parker Meridien, czy też planujesz wynająć jakieś mieszkanie?

- Już mam mieszkanie. Wprowadzam się do niego w przyszłym tygodniu.

- Naprawdę? Gdzie to jest?

- Przy Piątej, na wprost Central Parku.

Gillette wyprostował się nagle, jakby dostał cios w podbródek.

- Coś takiego, ja też mieszkam przy Piątej naprzeciwko parku.

- Wiem. Wynajęłam mieszkanie w tym samym budynku, dwa piętra wyżej.

Westchnął głośno.

- To wspaniale.

- Będziemy jeździli tą samą windą i w ogóle... - zachichotała. - Niezwykły zbieg okoliczności, prawda?

- Owszem - mruknął. - Zadziwiający.

- Nie odpowiedziałeś na pytanie. Czy mój gabinet jest gotowy? Bo ja naprawdę zamierzam stawić się do pracy w poniedziałek rano, pewnie

nawet wcześniej od ciebie. W ogóle nie jestem pewna, czy wrócę do Chicago.

Przepuścił ją we frontowych drzwiach hotelu wychodzących na ulicę.

- Tak, jest gotowy. Znajduje się w końcu korytarza, naprzeciwko mojego gabinetu.

- To się jeszcze okaże - powiedziała i nisko pochylona dała nura do limuzyny. Omal nie wyskoczyła z powrotem na widok Stilesa. - A to kto? - zapytała ostro, ledwie Gillette wsunął się za nią na tylne siedzenie.

Detektyw pochylił się i wyciągnął rękę na powitanie.

- Quentin Stiles.

- Co on tu robi?

- Dowodzi moją ochroną osobistą - wyjaśnił Gillette, gdy kierowca zamknął za nim drzwi.

- Bardzo się cieszę, tylko co robi tutaj?

- Zje z nami kolację.

- Nie, wykluczone. - Uśmiechnęła się przepraszająco. - Proszę nie brać mi tego za złe, panie Stiles. Nie wątpię, że jest pan bardzo miłym i interesującym mężczyzną, ale nie umówiłam się na dzisiejszy wieczór na kolację z panem. Umówiłam się z Christianem. Chcę z nim omówić mnóstwo spraw, z których znaczna część jest objęta tajemnicą zawodową.

- Wszystko, co masz mi do powiedzenia, może być także...

- Nie próbuj mydlić mi oczu, Christianie. - Allison popatrzyła na detektywa. - Czy mógłbyś usiąść z przodu? - zapytała uprzejmie, sięgając do przełącznika interfonu. - Panie kierowco, proszę się zatrzymać na chwilę - powiedziała głośniej, przekrzykując muzykę.

Stiles zerknął na szefa, lecz szofer zmienił już pas ruchu, żeby stanąć przy krawężniku.

- Proszę - rzekł ledwie słyszalnie Gillette, myśląc, że faktyczny koszt powiększenia funduszu o pięć miliardów dolarów będzie zupełnie innej

natury i nie da się przeliczyć na pieniądze. W efekcie mogło to kosztować dużo więcej, zwłaszcza jego czasu i uwagi. Natychmiast przypomniał sobie, jak Debbie oceniła jego spotkanie z Allison i Gordonem. Może i miała rację?

- Tak dla jasności, to nie są moje naturalne cycki - zaczęła, gdy Stiles usiadł z przodu i kierowca z powrotem włączył się do ruchu. Ustawiła kieliszek z szampanem w uchwycie podłokietnika i uniosła obie dłonie do biustu. - Dwa lata temu zrobiłam sobie operację plastyczną.

Gillette zaczął się gorączkowo rozglądać za jakimkolwiek innym elementem w limuzynie, w którym mógłby utkwić spojrzenie.

- A dlaczego mi to mówisz?

- Bo zauważyłam, że się na nie gapisz.

- Wcale się nie gapiłem.

- W porządku, więc kilka razy na nie zerknąłeś. Ale wcześniej czy później zacząłbyś się gapić.

- No cóż, ta sukienka niewiele zakrywa.

- Uważam, że o każdej sprawie najlepiej mówić prosto z mostu. Pełna jawność, rozumiesz? Tego samego oczekuję od ciebie.

- Moje piersi są naturalne.

- Ale śmieszne.

- Dzięki.

Ta Allison Wallace była jak petarda i znacznie się różniła od tamtej, którą poznał w biurze. Mimo wszelkich znaków ostrzegawczych, nie wyłączając stłumionego terkotu dzwonek alarmowych, który, jak mu się zdawało, rozbrzmiewał gdzieś na dnie świadomości, uznał, że taka Allison nawet mu się podoba.

Ponownie uniosła kieliszek i pociągnęła spory łyk szampana, po czym wcisnęła klawisz urządzenia podnoszącego ściankę oddzielającą przednią część limuzyny.

- Nim zafundowałam sobie implanty, byłam całkiem płaska. Nawet nie masz pojęcia, o ile lepiej się teraz czuję.

- I tak jesteś bardzo ładna, Allison, z implantami czy bez.

- Komplementarz z ciebie. Ale to mi się podoba. - Uniosła kieliszek w jego kierunku i upiła następny łyk. - Więc dokąd jedziemy na kolację?

- Zarezerwowałem stolik w nowej restauracji, tu, w śródmieściu. Nazywa się Chez Madam. - Zwrócił uwagę, jak ona dobrze się orientuje w przeznaczeniu poszczególnych włączników w limuzynie. Nie było w tym nic dziwnego. Zapewne jeździła takimi samochodami od najmłodszych lat. Pewnie nawet nie miała prawa jazdy. - Jest teraz modna. Na pewno ci się spodoba.

- Za cicho tam - odparła, opuszczając z powrotem przegrodę. - Byłam tam w sobotę i zanudziłam się na śmierć. Wszystko trzeba jeść srebrnymi sztucami, a cichutka muzyka w tle jest zwyczajnie usypiająca. Dzisiaj chcę się zabawić, pora wreszcie porzucić sztywne zasady. Znam lepsze miejsce. Szofer! - rzuciła rozkazującym tonem, obracając się w jego kierunku. - Jedziemy do Tribeca.

Stiles obejrzał się zdumiony i zapytał:

- Christianie?

Ten wzruszył ramionami, jakby w ten sposób przyznawał się do porażki.

- Powinienem wiedzieć dokładnie, dokąd jedziemy, żeby moi ludzie zdążyli sprawdzić lokal.

- Chodzi mi o bar o nazwie Grill. Znajduje się przy bocznej uliczce niedaleko Hudson Street. Panuje tam zupełny luz. Jest dużo weselej niż w Chez Madman, czy jak się ta sztywna nora nazywa. Podają wspaniałą mahimahi, musisz koniecznie spróbować, Christianie. Wiem, że lubisz ryby, a za tą można się dać posiekać. Szefem kuchni jest Franky. Specjalnie go poproszę, żeby zechciał osobiście usmażyć ją dla ciebie. - Przeciągnęła językiem po wargach, jakby już teraz doleciał ją smakowity aromat smażonej ryby. - A sobie zamówię cheeseburgera z bekonem, jest absolutnie najlepszy w tym mieście.

Ponownie uniosła przegrodę i zatroskane oblicze Stilesa zniknęło mu z oczu.

- Chcesz zjeść na kolację cheeseburgera? - spytał z niedowierzaniem.

- Owszem. I co w tym dziwnego?

Uśmiechnął się.

- Nic. Po prostu mnie zaskoczyłaś. Nie wyglądasz na kobietę, która marzy o cheeseburgerze na kolację, a tym bardziej na taką, która wie, gdzie podają najlepsze cheeseburgery w mieście.

- Jeszcze nieraz cię zaskoczę.

- Domyślam się. Mogę zapytać, skąd wiesz, gdzie serwują najlepsze cheeseburgery w Nowym Jorku? Przecież jesteś z Chicago.

- Kiedy człowiek jest wart tyle, co ja, musi często przyjeżdżać do Nowego Jorku. Chicago jest wspaniałe, ale nie może się równać z Nowym Jorkiem. Nawiasem mówiąc... - pochyliła się, żeby wyjąć z lodówki następną butelkę szampana - ...moi ludzie są w Grillu już od pół godziny, na pewno zdążyli się upewnić, że wszystko jest w porządku. - Podała mu butelkę. - Otwórz, proszę. Tylko pamiętaj, żeby obracać butelką, a nie korkiem.

- Wiem, jak się otwiera szampana...

- Nie wątpię. Zrozum... - Spoważniała nagle. - W hotelu tylko żartowałam. Świetnie rozumiem powody, dla których musisz korzystać z ochrony osobistej. Po spotkaniu w biurze Everestu zwróciłam się do moich pracowników z Chicago, żeby przygotowali mi jak najpełniejszy raport o tym, co cię spotkało ubiegłej jesieni. Dlatego wiem, że naprawdę masz powody, by się bać Toma McGuire'a. Whitman będzie prawdopodobnie próbował jedynie uniknąć kary. Poza tym, jak wywnioskowałam z tego raportu, jest zwykłym tchórzem i nie starczyłoby mu odwagi, żeby się na tobie mścić. Ale McGuire to zupełnie inna historia. Ma doświadczenie w takich działaniach, no i jest mściwy.

Korek strzelił donośnie przy trzecim obrocie butelki.

- Zadałaś sobie sporo trudu. - Usiłował nie dać po sobie poznać, że jest pod wrażeniem. - Na jakiej podstawie wywnioskowałaś, co najchętniej zjadłbym na kolację?

- Jesteś w doskonałej formie, to widać na pierwszy rzut oka - odparła, mierząc go taksującym spojrzeniem. - Ludzie troszczący się o swoją formę chcą się odżywiać zdrowo. Poza tym rozmawiałam rano z Debbie.

- Co takiego?

- Dziewczyny muszą trzymać się razem. Pewnie tego nie zrozumiesz. Prawda jest taka, że jeśli faktycznie chcę być na bieżąco ze wszystkim, co się dzieje w biurze Everest Capital, muszę utrzymywać przyjacielskie stosunki bardziej z Debbie niż z tobą. Jeśli w ogóle jest ktoś, kto w tym zakresie może wiedzieć więcej od ciebie, to tylko ona. - Limuzyna zatrzymała się przed wejściem do baru. Allison przesunęła się po siedzeniu do drzwi, otworzyła je i wysiadając, rzuciła przez ramię: - Chodźmy.

Spodobało mu się również to, że nie czekała, aż szofer otworzy drzwi. Przesunął się za nią i skromnie odwrócił wzrok, gdy jej krótka sukienka podjechała w górę, kiedy wysiadała. Ledwie zdążył się wyprostować, Allison chwyciła go pod rękę i pociągnęła w kierunku wejścia do lokalu.

Jak spod ziemi wyrósł przed nimi pierwszy paparazzi. Następni reporterzy skoczyli ze wszystkich stron, zabłyśły flesze aparatów. Czwerej agenci z firmy QS Security błyskawicznie podbiegli, otoczyli ich ciasnym kołem i poprowadzili ku drzwiom baru. Ale zanim zdążyli ich zasłonić, zrobiono co najmniej pięćdziesiąt zdjęć. Ludzie w barze zagapili się na nich z rozdziawionymi ustami, zachodząc pewnie w głowę nad przyczyną nieoczekiwanego zamieszania.

Allison, wciąż uwieszona jego ramienia, szepnęła:

- Wszyscy się na nas patrzą. Rety, ale to śmieszne.

Gillette obejrzał się na Stilesa idącego tuż za nimi.

- Cofnij się na ulicę i porozmawiaj z tymi reporterami. Spróbuj się dowiedzieć, od kogo dostali cynk, że tu przyjedziemy.

- Jasne.

Detektyw zawrócił, a szef baru poprowadził ich do stolika w samym kącie, oddzielonego przepierzeniem od reszty sali.

- Ty to wszystko zorganizowałaś? - zapytał, zajmując wskazane mu miejsce.

- Oczywiście. - Allison także klapnęła na krzesło i pospiesznie obejrzała się na szefa. - Poprosimy butelkę veuve clicquot - zaordynowała, przekrzykując głośną muzykę.

Tamten skinął głową i odszedł.

- A więc przekonałeś się już, że nie jestem taka, jak myślałeś - zaga-
iła, gdy rozsiedli się wygodnie. - Nie jestem tą małomówną szarą mysz-
ką, jaką poznałeś w biurze Everestu.

- No cóż...

- Wyjątkowo zastosowałam się wtedy do wskazań Gordona, który bez przerwy skarży na mnie wujowi i dziadkowi. Myśli, że o tym nie wiem. Na szczęście udało mi się go udobruchać i zapewne tym razem będzie mówił o mnie dobrze. Obawiam się, że wszyscy trzej mogliby dostać zawału, gdyby poznali prawdę.

- Twój wuj i dziadek na pewno nie są głupcami, Allison, i świetnie znają prawdę. Niewykluczone, że kazali cię obserwować.

- Na pewno nie. Już bym wiedziała, gdyby tak było.

- Jakim sposobem?

- W domu hojnie płacę pokojówkom i szoferom, żeby o wszystkim mnie informowali.

Zatem przekupstwo nie było jej obce. Zaliczała się do bogatych pa-
nienek, które gotowe są wyłożyć pieniądze, byle zdobyć potrzebne in-
formacje. Trzeba było mieć to na uwadze. Może nawet profilaktycznie
dać Debbie podwyżkę.

- Niestety, mój dziadek i wuj są bardzo naiwni - dodała. - Tylko dla-
tego zaangażowali Gordona. Można się pocieszać, że wystarczyło im

zdrowego rozsądku, by zdać sobie sprawę z własnej naiwności.

Pojawił się kelner z butelką szampana. Gdy napełnił kieliszki i odstędl, Gillette uniósł lampkę do toastu.

- Wypijmy za naszą współpracę. Nie wątpię, że będzie co najmniej interesująca.

Allison trąciła jego kieliszek i pociągnęła spory łyk trunku.

- Jak mam rozumieć, że spodziewasz się interesującej współpracy? Zabawnej czy raczej uciążliwej?

- To się jeszcze okaże. Na razie mogę powiedzieć ci tylko jedno: jeszcze nigdy nie rozpoczynałem w ten sposób żadnej znajomości.

- Nie zalewaj - rzuciła ostro. - W końcu zyskasz na tym pięć miliardów dolarów.

- A ty naukę, której nie zapomnisz do końca życia.

- Jesteś strasznie pewny siebie, wiesz? Zawsze wierzysz w to, co piszą w gazetach?

- Nigdy nie wierzę w to, co piszą w gazetach. To byłaby najprostsza droga do ruiny. Ja wierzę tylko w zyski.

- Jak już powiedziałam, jesteś obecnie na fali. Ale też od kilku lat mamy stały wzrost gospodarczy. Zrobi się znacznie trudniej, kiedy wskaźnik PKB zacznie spadać na łeb na szyję.

- Damy sobie radę.

Allison westchnęła głośno.

- Racja, należysz do tych, którzy zawsze sobie radzą. Konsekwencja bez względu na wszystko, prawda? - Ruchem głowy wskazała jego lampkę z szampanem.

Odstawił ją pośpiesznie i zapytał:

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Świetnie wiesz, co chcę powiedzieć. Nigdy nie pijesz. Chciałam się przekonać, czy z mojego powodu chociaż przytkniesz kieliszek do ust.

Gillette w zakłopotaniu potarł brodę. Zaciekawiał się, czy jest coś, czego ona jeszcze o nim nie wie.

- Widzę, że naprawdę świetnie się przygotowałaś.

- Przecież inwestuję w twój fundusz pięć miliardów dolarów, Christianie. To niemal czwarta część całego majątku mojej rodziny. - Pochyliła się nad stolikiem, w zamyśleniu kręcąc kółka trzymanym kieliszkiem szampana. - Bardzo lubię się zabawić, od czasu do czasu wręcz idę w tango, lecz w sprawach powierzonych mi pieniędzy rodziny zawsze jestem niezwykle ostrożna.

- Bardzo ci się to chwali.

- W tym wypadku udało mi się przekonać dziadka i wujka, ale z tym większą uwagą będą śledzić losy tej inwestycji. Ostatecznie zgodzili się powierzyć Everestowi bardzo dużo pieniędzy. Nadal nie są do końca przekonani, czy była to dobra decyzja. Rozumiesz więc, że biorę na siebie olbrzymie ryzyko.

- W takim razie dlaczego to robisz?

- Bo chcę zostawić po sobie trwałą ślad w rodzinie - wyjaśniła Allison ze śmiertelnie poważną miną. - Chcę mieć swój udział w inwestowaniu tych dwudziestu dwóch miliardów, w pomnożeniu ich do pięćdziesięciu czy nawet stu miliardów. Chcę się znaleźć w gronie tych członków rodziny, o których Wallace'owie jeszcze przez sto lat będą mówili przy świątecznym stole. Właśnie takie spektakularne posunięcia zrobiły z tej rodziny dynastię. - Zaśmiała się nerwowo. - Chcę, żeby wszyscy unosili w toaście kieliszki, spoglądając na mój wielki olejny portret wiszący nad stołem. - Znowu machnęła kieliszkiem w jego stronę. - A ty będziesz tym człowiekiem, który nauczy mnie, jak tego dokonać.

Zawsze trzeba pozwolić się ludziom wygadać, przemknęło mu przez głowę. Z własnej woli powiedzą wystarczająco dużo, jeśli tylko da im się ku temu okazję.

- Oczywiście pozować do obrazu będę w takiej sukience jak ta, może nawet krótszej - dodała. - Żadnych staroświeckich ciuchów zapinanych pod samą szyję. I jeszcze poproszę malarza, żeby mi zrobił na portrecie

cycki trochę większe niż w rzeczywistości. W ten sposób będę doprowadzać do szaleństwa moich dorastających krewniaków. - Odchyliła się na oparcie, zadarła głowę i wybuchnęła gromkim śmiechem.

- Dziwi mnie, że jeszcze nie zamówiłaś takiego portretu - zauważył Gillette.

- Świetna myśl. Rzeczywiście powinnam już to zrobić.

Popatrzył obojętnie, jak Allison wyjmuje swojego palmtopa i wysyła wiadomość tekstową pod własnym adresem, przypominając samej sobie o konieczności zamówienia portretu. Ledwie się powstrzymywał, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

- Przypomnij mi, jak twoja rodzina zdobyła aż tak ogromny majątek - poprosił, aby ją nakłonić do mówienia, w nadziei, że wyjdzie na jaw kilka szczegółów, które nie znalazły się w raporcie Craiga Westa.

- Przecież już to wiesz. Chwaliłaś się w rozmowie z Gordonem.

- To nie to samo - rzucił niby obojętnie.

- Najpierw była sieć linii kolejowych, potem majątki ziemskie, wreszcie brat mojego ojca, ten najsprytniejszy w rodzinie, mądrze ulokował pieniądze w błyskawicznie rozwijającym się przemyśle telefonii komórkowej. Niestety, już nie żyje. Nie był człowiekiem nazbyt przyjemnym w obejściu, ale wyróżniał się niezwykłą przenikliwością umysłu. W moim pokoleniu pomnażanie rodzinnego majątku ogranicza się już tylko do inwestowania na rynku ofert publicznych. Poszczyło nam się w drugiej połowie lat dziewięćdziesiątych, w okresie wielkiego bo-omu technologicznego, na rynku ofert pierwotnych, a to dzięki dobrym układom z bankami inwestycyjnymi nadzorującymi poszczególne oferty. Ale za długo zwlekaliśmy z ich sprzedażą. W pewnym momencie, w roku dwutysięcznym, wartość naszego majątku przekroczyła nawet dwadzieścia pięć miliardów. To przez mojego kuzyna Ricky'ego straciliśmy niemal cały zysk na tych akcjach, kiedy notowania na giełdzie nagle spadły na łeb, na szyję.

- Ricky to jeden z synów twojego wuja, prawda? Tego, który obecnie zasiada w radzie nadzorczej rodzinnego funduszu?

- Zgadza się.

- Ilu masz wujów?

- Ojciec miał trzech braci. Najstarszy, wujek Tad, przed śmiercią wprowadził nas na rynek akcji telefonii komórkowej. Drugi zasiada obecnie w radzie nadzorczej funduszu. Ale jest jeszcze trzeci, najmłodszy brat, który żyje gdzieś na plaży na Tahiti. Po całych dniach śpi w hamaku rozpiętym między dwiema palmami. Nie ma z niego żadnego pożytku.

- A twój ojciec? Czym się zajmuje?

- Prowadzi ranczo, hoduje bydło w Montanie. Zawsze marzył o takim zajęciu. Ranczo co roku przynosi tylko straty, ale zarząd rodzinnego funduszu łąta dziury w budżecie.

- Często z nim rozmawiasz?

- Nie. Bardzo się różnimy - przyznała Allison łagodniejszym tonem. - Tylko nie wygłaszaj mi kazania, jak to powinnam być z nim w stałym kontakcie i wciąż dziękować niebiosom, że jeszcze żyje - ostrzegła, błyskawicznie odzyskując wcześniejszy nastrój. - Wiem też o twoim ojcu. Bardzo mi przykro z tego powodu, ale moja relacja z ojcem pozostanie taka, jaka jest. Wiele razy próbowaliśmy poprawić nasze stosunki, lecz nic z tego nie wyszło.

Gillette przyglądał jej się przez kilka sekund. Wreszcie odchrząknął i zapytał:

- Ile lat ma twój kuzyn Ricky?

- Trzydzieści jeden, jest o rok starszy ode mnie. Pokolenie mojego ojca miało w sumie jedenaścioro dzieci, ale tylko ja i Ricky angażujemy się w rodzinne interesy. Cała reszta to zwykłe pijawki. Ricky został uznany przez radę nadzorczą funduszu za złote dziecko naszej generacji, dopóki nie stracił tych trzech miliardów w akcjach. Tylko przez to ja

znalazłam się w radzie. Mój ojciec i jego brat z Tahiti podnieśli taki wrzask, że dziadek w końcu zdecydował się dokonać zmian. Nie dziwi się więc, że skoro już znalazłam się w radzie, chciałabym wykazać wszystkim, co potrafię. Zależy mi na spektakularnym sukcesie. - Poklepała Gillette'a po rękę i wstała. - Już wiesz, do czego jesteś mi potrzebny.

- Dokąd idziesz? - zapytał, podnosząc się z krzesła.

- Do toalety. - Uśmiechnęła się szeroko. - Podobają mi się twoje maniery. Teraz już rzadko kto wstaje, kiedy kobieta odchodzi od stołu. Odebrałeś wzorowe wychowanie.

Zgadza się, od dziadka, pomyślał.

Odprowadził ją wzrokiem do drzwi na zaplecze, zwracając uwagę, jak pożądliwie oglądają się za nią mężczyźni, jakby mieli głowy osadzone na osi. To fakt, że była bardzo atrakcyjna, ale szła przez salę, jakby nie zauważała albo nie chciała zauważyć tych powłóczystych spojrzeń, znaczących gestów czy wymienianych szeptem uwag. Przyszło mu do głowy, że nie zwraca uwagi, ponieważ przywykła do tego, że wzbudza sensację. Gdyby jeszcze ci wszyscy faceci wiedzieli, ile jest warta, nie tylko pożeraliby ją wzrokiem, ale wręcz rzucili się jeden przez drugiego, byle tylko znaleźć się jak najbliżej.

- Przepraszam bardzo.

Obejrzał się szybko. Jakaś młoda kobieta pomachała mu ręką, próbując się uwolnić z objęć ochroniarza tarasującego jej dalszą drogę.

- Czy mogłabym prosić o autograf w magazynie „People”? - zawołała głośniejszym głosem, usiłując dać nura pod ręką mężczyzny. - Byłabym bardzo wdzięczna.

Dał znak ochroniarzowi. W tej samej chwili miejsce Allison przy stole zajęł Stiles.

- Czego się dowiedziałeś? - zapytał, biorąc od kobiety czasopismo i długopis. Magazyn był już otwarty na właściwej stronie.

- Ładna fotka - odparł detektyw, spoglądając na zdjęcie opublikowane w piśmie.

- Musieli ją ściągnąć z Internetu. Ja im niczego nie wysyłałem - odparł Gillette, z rozmachem pisząc nazwisko na dole strony. Wyciągnął magazyn z długopisem w stronę kobiety. - Proszę.

- Dziękuję bardzo.

- Nie ma za co.

- Chyba wzięła cię za gwiazdora estrady, skoro zostałeś umieszczony na tej liście. - Stiles ruchem głowy wskazał odchodzącą kobietę. - Nigdy by cię nie poprosiła o autograf, gdyby wiedziała, czym się zajmujesz. Wcale nie jesteś aż tak przystojny.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

- Przemawia przez ciebie zazdrość. Więc jak, dowiedziałeś się czegoś?

Przytaknął ruchem głowy.

- Owszem. Kosztowało mnie to kilka minut i sto dolców, ale jeden z fotografów przyznał wprost, że dowiedział się o waszym przyjeździe od Allison. Na początku trochę kręcił, lecz w końcu wyznał prawdę.

- Powiedział otwarcie, że to ona dzwoniła do jego redakcji? - spytał zaskoczony Gillette.

- Powiedział, że dostali cynk od anonimowego informatora, ale ponieważ dzwoniło z hotelu Parker Meridien, więc nie mógł to być nikt inny. W przeciwnym wypadku operatorka z centrali na pewno podsłuchałaby tę rozmowę, tymczasem nic na to nie wskazuje.

- Skąd wiesz, że informator dzwonił właśnie z tego hotelu?

- Na wyświetlaczu aparatu reportera pojawił się numer rozmówcy.

Gillette zwrócił uwagę, że Allison wychodzi z toalety, toteż rzucił pospiesznie: - Dzięki. Stiles obejrzał się i szybko wstał.

- Miłej zabawy.

- Tęskniłeś? - zapytała, gdy wysunął jej krzesło spod stolika.

- Oczywiście. - Zwrócił uwagę na jej pociąganie nosem i zapytał: - Wszystko w porządku?

- Słucham?

- Chyba masz katar. Na pewno dobrze się czujesz?

- Och, nie, nic mi nie jest. To alergia. Daje mi się we znaki każdej jesieni.

Gillette przyjrzał jej się uważnie. No nie, proszę, wycedził w myślach. Nie chcę mieć za współnika kobiety z takim problemem.

- Dlaczego zawiadomiłaś paparazzich, że tu będziemy?

Przytknęła dłoń do piersi.

- Proszę?

- Pytałem, dlaczego to zrobiłaś?

- Nie wiem, o co ci chodzi.

- Nie udawaj.

Przez chwilę spoglądała na niego spod przymrużonych powiek, wreszcie uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami.

- Pomyślałam, że to będzie zabawne.

- A mnie się zdawało, że wolałabyś ukryć przed całą rodziną, iż jesteś aż tak rozrywkowym zwierzątkiem.

Skrzywiła się lekko, wyraźnie poirytowana.

- Po pierwsze, nikt z mojej rodziny nie czytuje takich szmatławców, w których mogłyby się ukazać te zdjęcia. Po drugie, gdyby nawet jakimś cudem się o nich dowiedzieli, mogłabym wytłumaczyć, że reporterzy śledzili ciebie ze względu na ten artykuł w magazynie „People”. Dziadkowi bym powiedziała, że przerażona tym, natychmiast cię poprosiłam, byśmy unikali takich sytuacji.

- Dlaczego więc ich powiadomiłaś?

- Już mówiłam - odparła, znowu pociągając nosem. - Sądziłam, że to będzie zabawne. - Rozejrzała się nerwowo po sali, przeskakując wzrokiem od jednego stolika do drugiego. - Jak się miewa ta twoja estradowa

gwiazdka? Nadal finansujesz reklamę jej płyt?

Zatem tak wyglądała jej gra. Pragnęła, żeby Faith zobaczyła w gazetach, jak wchodzi do Grilla, trzymając się pod rękę.

- Bardzo dobrze - odrzekł.

- Gdzie dzisiaj występuje?

- Jest na Zachodnim Wybrzeżu, na cyklu spotkań promocyjnych. Ju-
tro wraca.

- Często się widujecie? Spędzacie ze sobą każdy wieczór, kiedy jest
w mieście?

- Pytasz, czy łączy nas poważny związek?

- Pytam ze zwykłej ciekawości - burknęła, wycierając nos papierową
serwetką. - Nie zamierzam wkraczać w twoje życie osobiste.

- Już to zrobiłaś.

Uniosła wzrok do nieba.

- Błagam. Nie pochlebiaj sobie. Wcale nie pytałam dlatego, że chcę
zająć jej miejsce. Boże, to byłoby okropne, jeszcze się z tobą umawiać.
Za bardzo kochasz swoją pracę. Dla ciebie każda kobieta będzie dopiero
na drugim miejscu za Everestem. Mówiąc szczerze, bardzo by mi odpo-
wiadało, gdyby nasze stosunki pozostały takie, jak obecnie. Zależy mi
wyłącznie na zamianie moich pięciu miliardów na dwadzieścia czy na-
wet czterdzieści miliardów w ciągu kilku lat. A będzie to możliwe tylko
wtedy, gdy przy mnie twój ptaszek pozostanie na swoim miejscu, to
znaczy w twoich spodniach.

Zdawała się mówić szczerze, co potraktował jak dobry znak.

- Wszyscy przyjmą to z wielką ulgą.

- Wszyscy?

- Mnóstwo ludzi w Evereście uważa, że zależy ci tylko na mnie, dla-
tego...

- No, coś podobnego!

- Wiesz, jak to jest...

Omali nie zazgrzytała zębami i zrobiła nadąsaną minę.

- Chyba lepiej udam, że tego nie słyszałam.

- W porządku.

- Co się dzieje z tym nowym przywilejem budowlanym, który właśnie zdobyliście? - zapytała.

- A co miałyby się dziać?

- Jak mówiłam ci już przez telefon, chciałabym, by ta inwestycja została sfinansowana z funduszu Everest Osiem.

Gillette pokręcił głową.

- Nie, sfinansujemy ją z Siódemki. Nie może być inaczej. Musimy być fair w stosunku do naszych inwestorów. Ci, którzy zadeklarowali udział w Everest Siedem, mają pierwszeństwo.

- W takim razie zrób to pół na pół. Chciałabym mieć swój udział w tej inwestycji.

- Zastanowię się nad tym.

- Mówię zupełnie poważnie.

- Ja też.

Zadzwoił jej telefon komórkowy. Pospiesznie wyciągnęła go z torebki i włączyła.

- Tak? - odezwała się głośno. Położyła torebkę na stoliku i wolną ręką zatkała drugie ucho. - Co?! - rzuciła ostrzej, ale muzyka grała za głośno, żeby dało się tu rozmawiać przez telefon. Wstała więc i podreptała między stolikami aż do foyer.

Odprowadził ją wzrokiem, a gdy zniknęła za wahadłowymi drzwiami, przeniósł spojrzenie na jej otwartą torebkę leżącą na stoliku.

Tom McGuire siedział w fordzie explorerze zaparkowanym u wylotu ciemnej bocznej uliczki kilkadziesiąt metrów od Grilla. Ostatniej jesieni zaważyło mu się absolutnie wszystko, musiał więc wyrobić sobie fikcyjne dokumenty, co przy jego znajomościach wcale nie było takie trudne.

Kupił sobie prawo jazdy z New Jersey, kartę ubezpieczenia społecznego oraz paszport na nazwisko Williama Coopera. Zapuścił dłuższe włosy, wyhodował drobną spiczastą bródkę i przytył dwanaście kilogramów. W pierwszej chwili nawet jego dzieci go nie poznały, gdy w ubiegłym miesiącu zaskoczył je w parku na Long Island. Wtedy po raz pierwszy od dziewięciu miesięcy miał okazję zobaczyć się z nimi i żoną. Od listopada agenci federalni śledzili ją przez całą dobę, dowiedział się jednak od przyjaciół pracujących w FBI, że obserwację wstrzymano z końcem sierpnia, czyli prawie miesiąc wcześniej. Nie zdjęto tylko podsłuchu telefonicznego, ale to mu nie przeszkadzało, żeby wreszcie zobaczyć się z rodziną. Bardzo się stęsknił, przede wszystkim za dziećmi.

Wciąż niepokoiło go to, że rankiem na Park Avenue został rozpoznany przez Nigela Faradaya. Popęłnił bardzo głupi błąd. Nie powinien się kręcić po tamtej okolicy o tak wczesnej porze, robił jednak rozpoznanie, starał się ustalić, kto i o której przychodzi do biura. Wmawiał sobie, że nie ma powodu do niepokoju. Zresztą nie był nawet pewien, czy flegmatyczny gruby Anglik w ogóle go zauważył.

Zamknął oczy i zacisnął dłonie na kierownicy auta, aż mu pobiełały knykcie. Niewiele brakowało, aby razem z bratem zarobili wiele milionów dolarów, lecz Gillette i Stiles dosłownie w ostatniej sekundzie wszystko zniweczyli. Jego brat zginął w więzieniu, a jemu pozostała perspektywa takiej nędznej egzystencji do końca życia, urozmaiconej jedynie sporadycznymi i krótkimi spotkaniami z rodziną.

Westchnął głośno. Czekał dziesięć miesięcy na taki właśnie wieczór, kiedy wszystko ułoży się idealnie po jego myśli.

- Gotowa do wyjścia? - zapytał Gillette, spoglądając na zegarek. Było wpół do dziesiątej i zależało mu, by jak najszybciej wrócić do domu i zapoznać się z materiałami na temat firmy Hush-Hush, przygotowanymi przez Wrighta przed czekającym ich jutro spotkaniem. - Podwiozę cię do hotelu.

Allison popatrzyła na niego jak na wariata.

- Zglupiałeś? Wyruszamy razem. Zaczniemy od Klubu Chińskiego, a potem zdecydujemy, co dalej. Nigdy nie wracam do hotelu o wpół do dziesiątej, kiedy jestem w Nowym Jorku.

Obejrzał się w stronę frontowej witryny, która wychodziła na Hudson Street. Wydało mu się, że dostrzega czekających przed lokalem paparazzich, co uznał za dziwne. Mieli już upragnione zdjęcia, ale krążyli po chodniku, jakby jeszcze na coś czekali. Ruchem ręki przywołał do siebie Stilesa.

- O co chodzi? - zapytała Allison.

- Nieważne.

Detektyw podszedł i pochylił się nad nim. Muzyka grała jeszcze głośniej niż wtedy, gdy tu przyszli.

- Co się stało, Chris?

- Czy to nie ci sami reporterzy wciąż czekają przed drzwiami.

- Tak, to oni.

- Dlaczego? Przecież mają już zdjęcia. Myślisz, że czekają tu jeszcze na kogoś innego?

- Wątpię. Wielkie gwiazdy rzadko odwiedzają ten lokal. Poza tym dochodzi już dziesiąta.

- Dla mnie to nie ma żadnego sensu.

Stiles wzruszył ramionami.

- Po tych błaznach wszystkiego można się spodziewać.

Gillette zamyślił się na chwilę.

- Sprawdź, czy jest stąd tylne wyjście. Nie chcę się już wystawiać przed obiektywy aparatów - dodał, ledwie zauważalnie wskazując Allison. - Rozumiesz, prawda?

Stiles skinął głową.

- Musi być tylne wyjście, nakazują to przepisy, jeśli się nie mylę. Sprawdzę, gdzie się znajduje, i poproszę szofera, by podjechał od tamtej strony. Jeśli będzie mógł zatrzymać wóz pod samymi drzwiami, wsiaďteście niezauważeni.

- A jeśli oni pobiegną za limuzyną?
- Nie sądzę...
- Najpierw stąd wyjdziemy, dopiero potem go wezwiesz - podsunął

Gillette.

- Ale...
- Bez dyskusji.

Stiles skinął głową.

Kiedy odszedł, Allison pochyliła się w kierunku Gillette'a i zapytała:

- Co to za konspiracja?

Zmierzył ją ostrym spojrzeniem. Nadal ciągała nosem, tłumacząc to nagłym atakiem alergicznym.

- Sprawy służbowe.
- Nie zapominaj, że jestem teraz twoim współnikiem, więc nie powinieneś mieć przede mną tajemnic.

- To sprawy służbowe innego rodzaju - rzekł, obserwując kątem oka, jak detektyw rozmawia z kierownikiem lokalu. Sądząc po jego minie i gestach, mogli liczyć na pomoc.

- Może i tak, ale to mi nasuwa bardzo ważną kwestię.

- Jaką?

- Jako współnik zarządu powinnam chyba wiedzieć o wszystkim, co się dzieje w biurze Everest Capital.

- O tym porozmawiaj z Debbie. Najwyraźniej już się przekonałaś, że to właśnie ona będzie dla ciebie najlepszym źródłem informacji.

- Ja mówię zupełnie poważnie, Christianie.

- Ja też.

- Musimy się spotykać najrzadziej co drugi dzień - zażądała stanowczo - i to tylko we dwójkę, żeby w spokoju omówić wszelkie bieżące sprawy. Niech te narady odbywają się w poniedziałki, środy i piątki. Będziemy się też widywali podczas weekendów. Oczywiście zawiadomisz mnie natychmiast, jeśli wydarzy się coś bardzo ważnego.

Przemknęło mu przez myśl, że koszt zdobycia pieniędzy Wallace'ów okazuje się wyższy, niż się tego obawiał. Potarł zaczerwienione oczy.

- Raz w tygodniu spotykamy się w gronie całego kierownictwa w głównej sali konferencyjnej. Zazwyczaj te zebrania trwają po kilka godzin. Możesz mi wierzyć - dodał z naciskiem - że już po paru tygodniach będziesz wiedziała na temat Everest Capital znacznie więcej, niż byś sobie tego życzyła.

Pokręciła głową.

- To mi nie wystarczy. Powiedziałaabym nawet, że to o wiele za mało.

- Wszystkim pozostałym wystarcza.

- Ale nikt z pozostałych nie inwestuje pięciu miliardów dolarów. Ostrzegalam, że jeśli chodzi o rodzinne pieniądze, jestem bardzo ostrożna. Ponadto cała moja rodzina bardzo uważnie przygląda się tej inwestycji.

- W pełni to rozumiem - odparł cicho. - Ale chciałbym, żebyś i ty zrozumiała, jak bardzo jestem zajęty. Jeśli będę musiał poświęcać aż tyle czasu na rozmowy z tobą, zabraknie mi go na prowadzenie firmy.

- Chcę ci także pomóc, a będzie to możliwe tylko wówczas, kiedy się dowiem o wszystkim, co się dzieje.

- Rzeczywiście, mogłabyś mi bardzo pomóc.

- W czym?

- Wyszukaj dobrą inwestycję. Znajdź nam firmę, którą będzie można kupić po dobrej cenie.

Allison dopiła resztkę szampana z kieliszka i sięgnęła po butelkę stojącą w wiaderku z lodem, ale ta była już pusta.

- Zamówmy jeszcze jedną - zaproponowała.

- Nie. Powiedziałem, że wychodzimy.

- Jeśli nie zamówisz następnej butelki, to ci nie powiem o interesie, nad którym pracuję.

Spojrzał jej w oczy, próbując ustalić, czy naprawdę ma coś ważnego do powiedzenia, czy też był to jedynie wybieg, żeby dostać więcej

szampana. Ale po jej minie nie dało się niczego odgadnąć, była obojętna niczym maska.

- Grywasz w pokera? - zapytał.

Skinęła głową.

- Uwielbiam go.

To też mu pasowało.

- Chciałabyś kiedyś zagrać?

- Oczywiście. Grywasz regularnie?

- Znam kilku facetów, którzy organizują rozgrywki pokerowe w każdy poniedziałkowy wieczór. Uczestniczę w nich średnio raz w miesiącu. Schodzą się same grube ryby z Wall Street. Ale to gra na poważnie, trzeba więc być całkiem pewnym tego, jak się licytuje.

- Z rozkoszą zgarnęłabym trochę forsy od gromadki miłośników krawatów Hermesa i podwiązek do skarpet. Możemy się umówić na najbliższy poniedziałek?

- Najpierw powiedz mi o tym interesie, nad którym pracujesz. - Podejrzewał, że w rzeczywistości nie ma żadnego interesu na oku. W końcu gdyby naprawdę w grę wchodził jakiś bardzo zyskowny interes, za-inwestowałaby pieniądze z funduszu rodzinnego Wallace'ów, żeby nie musieć się z nikim dzielić zyskami.

Uśmiechnęła się od ucha do ucha.

- Wiem, co sobie myślisz. Jeśli to naprawdę taki świetny interes, czemu miałabym się nim dzielić z Everestem? Zapominasz jednak, że jestem teraz twoją współpracowniczką, a kiedy wchodzi z kimś w spółkę, czy to w sprawach zawodowych, czy osobistych, zachowuję pełną jawność. Zatem sprawa wygląda następująco. Chodzi o firmę o nazwie Veramax. To...

- Producent leków mający siedzibę w Chicago - wpadł jej w słowo. - Należy do rodziny Mitchellów. - Interesował się tą firmą już od dwóch lat. - Jego dochody zwiększają się nadzwyczaj szybko. Na wiosnę został przekształcony w spółkę akcyjną i wprowadzony na giełdę, ale właściciele

nie uzyskali zakładanego poziomu pierwotnych cen akcji, gdyż Federalna Komisja Leków zgłosiła zastrzeżenia do niektórych produktów firmy.

- Niemalże odgradziła je od rynku czerwoną taśmą ostrzegawczą - przyznała Allison. - Ale problem polega na tym, że część osób z kierownictwa federalnej komisji ma na pieńku z Jackiem Mitchellem, głównym udziałowcem Veramaksu. W ubiegłym roku firma wykazała dochód przekraczający miliard dolarów, chociaż mógł on wynosić trzy albo nawet cztery miliardy, gdyby nowe produkty zostały dopuszczone na rynek. Część ma podobno niesamowite działanie. Jest wśród nich lek na chorobę Alzheimera, przynoszący fantastyczne rezultaty.

- Co jest powodem złych stosunków między Mitchellami a komisją?

- Tego dokładnie nie wiem. Sądzę jednak, że ty bez trudu mógłbyś się dokopać prawdy.

- Jak? - zapytał, coraz bardziej zaciekawiony. Wkroczyli na grunt całkiem odmiennego sposobu zarabiania pieniędzy przez prywatne spółki kapitałowe, zasadzającego się na tym, że można było wyłożyć na stół takie atuty, których nikt inny nie miał.

- Przyjaźnisz się z Michaeliem Clarkiem, senatorem z Kalifornii. Zdaje się, że łączą was nawet dość zażyłe stosunki.

- Skąd o tym wiesz?

Jęknęła gardłowo.

- Gdybym za każdym razem musiała ci tłumaczyć, skąd wiem o tym, o czym właśnie rozmawiamy, nigdy do niczego byśmy nie doszli, panie „Nawet-nie-mam-czasu-żeby-wprowadzić-w-sprawę-nowej-wspólniczki-wartej-pięć-miliardów”.

- Dobra, w porządku - mruknął. - W takim razie skąd wiesz, że senator Clark może pomóc w tej sprawie?

- Jest blisko powiązany z zarządem komisji, której przewodniczący też pochodzi z Kalifornii i grywa z nim w golfa.

- Zatem mogę załagodzić konflikt.

- Zgadza się.

- Tylko co z tego będę miał?

- Nawet jeśli Clark zdoła przekonać swego kolegę, by przeforsował szybkie zakwalifikowanie produktów Veramaksu, to cała procedura, moim zdaniem, i tak potrwa od sześciu do dziewięciu miesięcy. Tymczasem firma ma wiele następnych obiecujących planów wymagających sfinansowania, a rodzina chce zainwestować w swój majątek rodzinny. Tak czy inaczej, potrzebują pieniędzy, i to szybko, w sumie jakichś pięć-ciuset milionów dolarów. Mógłbyś zostać ich inwestorem, po czym zgarnąć zyski ze sprzedaży akcji pierwotnych, do czego mogłoby dojść przyszłej jesieni, gdyby komisja przestała wreszcie im ciskać kłody pod nogi. Według moich szacunków, na pierwotnej ofercie można by zyskać pięć- lub sześciokrotnie. Zatem twoi inwestorzy, w tym także ja, byłiby na pewno zadowoleni.

- Ale z tej transakcji nie wypłacę premii, zwłaszcza jeśli tylko ode mnie będzie zależało stanowisko Federalnej Komisji Leków.

- Nie ma sprawy - zgodziła się szybko Allison.

- Poza tym chciałbym mieć pełną kontrolę nad tym procesem, to znaczy co najmniej pięćdziesiąt jeden procent udziałów w pierwotnym pakiecie akcji.

- Zorganizuję ci spotkanie z Jackiem Mitchellem. Z nim porozmawiasz na ten temat.

Brzmiało to naprawdę obiecująco, więc tym bardziej go zdziwiło, gdyż nie lubił niespodzianek.

- Jaki jest twój udział w tej sprawie? Dlaczego Mitchell miałby cię słuchać?

- Po pierwsze dlatego, że przeze mnie pozna ciebie i zyska dostęp do senatora Clarka. A po drugie, nasze rodziny przyjaźnią się od lat. Od kiedy sięgnę pamięcią, wszyscy razem wyjeżdżaliśmy na wakacje na północny kraniec Michigan.

- Na kiedy możesz zorganizować...

- Chris.

Gillette podniósł głowę i spojrzał na Stilesa.

- Tak?

- Przeprowadzę was przez kuchnię do tylnego wyjścia. Chodźmy.

- W porządku. Wyślij swoich ludzi przed drzwi frontowe, jakbyśmy mieli zaraz tamtędy wyjść.

- Sądzę, że co najmniej dwóch powinno pójść z nami.

Gillette pokręcił głową.

- Będziemy na zapleczu tylko parę minut, nie ma się czego obawiać. Wolę uniknąć dalszych fotografii.

- Mimo wszystko...

- Nie - rzucił ostrzej, wstając od stolika. - I tak załatw ze swoimi agentami, by myśleli, że zaraz naprawdę wyjdziemy na ulicę.

Allison chwyciła torebkę.

- A co ze mną?

- Idziesz ze mną - rzekł, podając jej ramię. - Przecież cię tu nie zostawię.

- Już się przestraszyłam - powiedziała, łapiąc równowagę na nieco chwiejnych nogach. Pospiesznie wzięła go pod rękę. - Myślałam, że nagle zapomniałeś o wytwornych manierach.

- Na pewno chcesz się trzymać tej bajeczki o alergii? - zapytał, ruszając za Stilesem do drzwi prowadzących na zaplecze.

- A co ci nie pasuje? - zdziwiła się, chwytając go mocniej przed kilkoma schodkami prowadzącymi w dół do kuchni. - Powiedziałam prawdę.

- Może się jednak przeziębiałaś?

- Nic mi nie jest.

- To może winne jest to coś, co wciągnęłaś sobie do nosa, gdy byłaś w toalecie?

- Co takiego? Posłuchaj...

- Na przykład krople do nosa albo coś podobnego.

- Christian, nie jestem...

- To ty posłuchaj - przerwał jej. - Jeśli mi mówisz, że masz alergię, przyjmuję to za dobrą monetę. O nic cię nie oskarżam. Chciałbym jednak uprzedzić, że w Evereście nie tolerujemy narkotyków. Żadnej marihuany, kokainy ani niczego podobnego. Rozumiesz?

- Oczywiście. Nigdy w życiu nie brałam narkotyków i nie zamierzam tego robić. Lubię się zabawić, ale prochów nie biorę.

- Zatem sprawa jest jasna.

- Jak najbardziej.

- Na pewno?

- Absolutnie.

- W takim razie umów mnie na spotkanie z Jackiem Mitchellem.

- Może to zrobię... - odpowiedziała zaczepnie -...a może nie...

- Zrób to jak najszybciej - dodał, ignorując jej ton. - W porozumieniu z Debbie.

- Tak jest! Czy mogę jeszcze coś dla pana zrobić? Może wypolerować panu buty do połysku w przerwach między napadami alergicznego kataru?

- Zanim się z nim zobaczymy, chcę się dowiedzieć dwóch rzeczy - ciągnął, nadal ignorując jej zaczepki. - Po pierwsze, co jest przyczyną konfliktu między Mitchellem a Federalną Komisją Leków, i po drugie, skąd wiedziałś o moich związkach z senatorem Clarkiem.

Od kuchennego wyjścia schodziło się po trzech schodkach w wąską boczną uliczkę zasłaną papierami i odłamkami potłuczonego szkła, które połyskiwało mętnie w świetle pojedynczej gołej żarówki świecącej nad drzwiami.

- To nie wygląda najlepiej - mruknęła Allison, rozglądając się lekko w bok.

- Chodźcie - syknął zniecierpliwiony Stiles, wyjmując z kieszeni aparat komórkowy. - Nie możemy tu sterczeć w nieskończoność. Pospieszcie się.

Przyspieszyli kroku, żeby nie zostać w tyle za detektywem. Allison poklepała Gillette'a po ramieniu i powiedziała:

- Tak dla ścisłości, to nie ja zawiadomiłam paparazzich.

Obejrzał się szybko na nią.

- Co?

- To nie ja ich zawiadomiłam.

- Przecież mówiłaś, że to twoja sprawka.

- To dlatego, że od razu nabrałeś podejrzeń, iż uknułam jakiś zagmatwany plan, by twoja dziewczyna mogła zobaczyć w gazetach nasze zdjęcia. Myślisz, że wprosiłam się do Everestu, aby znaleźć męża, ale to nieprawda. Zależy mi wyłącznie na pomnożeniu rodzinnych pieniędzy. Nic poza tym.

Gillette spoglądał na Stilesa, który nie zatrzymując się, kilka razy oderwał telefon od ucha, żeby popatrzeć na ekran wyświetlacza.

- Quentin, co się dzieje?

- Sygnał ginie co chwila. Nie mogę się połączyć ani z szoferem, ani z moimi ludźmi.

Kiedy za rogiem budynku skręcili w przecnicę, wyjął z kieszeni własny aparat.

- Zdaje się, że ja mam...

Omal nie wpadł na Stilesa, który nagle zatrzymał się jak wryty.

- Jezu... - szepnęła Allison.

Najdalej sześć metrów przed nimi stało pięciu mężczyzn. Ukryci w cieniu, stali szeregiem, blokując całą szerokość chodnika. Gillette gorączkowo rozejrzał się na boki w poszukiwaniu jakiejś pomocy, ale poza nimi w uliczce nikogo nie było. Tamci bez pośpiechu ruszyli w ich stronę.

- Podaj mi numer któregoś z twoich ludzi, Quentinie - nakazał, robiąc krok do przodu, żeby znaleźć się między detektywem i Allison.

- Nie ma na to czasu - odparł detektyw.

Podniósł głowę znad swojej komórki. Obcy zatrzymali się nie dalej niż metr przed nimi. Znajdowali się tak blisko, że mimo półmroku można było rozróżnić rysy ich twarzy.

- Czego chcecie? - zapytał półgłosem Stiles.

- Waszej forsy - odparł stojący w środku grupy. - Wszystkiego, co macie.

- Nie chcemy żadnych kłopotów...

- My też nie chcemy kłopotów - wtrącił pospiesznie drugi, stojący po lewej ręce herszta. Rozległy się chichoty. - Chcemy tylko waszej forsy.

- Nic nie mamy - odezwał się Gillette.

- No pewnie. To od razu widać po tych nędznych brudnych ciuchach.

Cała banda wybuchnęła śmiechem. Stiles wsunął rękę pod marynarkę, chcąc zapewne wyciągnąć z kabury podramiennej swojego wielkiego glocka kalibru 10,16 milimetra.

- Nie ruszaj się! - wrzasnął herszt, błyskawicznie unosząc prawą rękę. Wymierzył z rewolweru w detektywa. - Mam cię na muszce i zabiję. Przysięgam.

Stiles znieruchomiał z dłonią przytkniętą do piersi.

- Opuść rękę - rozkazał bandzior.

Detektyw powoli wysunął dłoń spod marynarki i opuścił rękę.

- W porządku. A teraz...

Gillette cisnął mu w środek czoła swój telefon komórkowy i skoczył przed siebie, wyciągając do przodu obie ręce. Pochylił się, chowając głowę w ramionach, i natarł na tamtego ramieniem, przewracając go na chodnik. Bandyta tylko jęknął gardłowo, gdy z impetem zwałił się na ziemię. Rozległ się donośny szcęk rewolweru padającego na cementowy chodnik i niemal równocześnie głośnie okrzyki Stilesa oraz Allison.

Czyjeś silne ręce szarpnęły Gillette'a do góry. Ledwie poczuł grunt pod stopami, wyprostował się gwałtownie, odchylając głowę do tyłu, i

trafił napastnika w szczękę, ale w tej samej chwili dostał cios w ramię, który odebrał tak, jakby zderzył się z rozpędzoną ciężarówką. Przez chwilę znajdował się w powietrzu, po czym runął na tego bandytę, który trzymał go od tyłu, i obaj potoczyli się po asfalcie. Czując, że tamten próbuje zacisnąć mu dłoń na gardle, błyskawicznie uniósł rękę, rozerwał jego uścisk, przekręcił się na bok i wymierzył cios kolanem w brzuch. Odzyskawszy swobodę, poderwał się na nogi i spojrzał na chodnik, gdzie tak samo powalony Stiles mocował się z dwoma napastnikami naraz.

- Stać! - wrzasnęła nagle Allison. Oburącz ścisnęła kolbę rewolweru upuszczonego przez herszta bandy i zmieniając co chwila zdanie, mierzyła to w bandytów na chodniku próbujących poskromić detektywa, to w dwóch skulonych na asfalcie obok Gillette'a, to znów w piątego, który energicznie ruszył w jej kierunku. - Ani kroku!

Tamten zamarł trzy metry od niej, dostrzegłszy w końcu rewolwer w jej dłoniach.

Gillette usłyszał nagle warkot uruchamianego silnika, a po chwili pisk opon ruszającego z impetem auta.

- Christian! - krzyknęła Allison. - Uważaj!

Obejrzał się, lecz zaledwie zdążył ujrzeć zapalone światła reflektorów, leżący napastnik chwycił go za nogę i powalił z powrotem na jezdnię. Bez namysłu złapał bandytę za włosy i grzmotnął jego głową o asfalt, po czym rzucił się w bok, w stronę chodnika, zaledwie o centymetry unikając zderzenia z rozpędzonym wozem terenowym, który podskoczył gwałtownie, przejeżdżając po leżącym człowieku. Przez parę sekund bezwładnym ciałem wstrząsały drgawki, lecz stopniowo zanikły.

Samochód zahamował z piskiem opon, obracając się ukosem, a szyba po stronie kierowcy zaczęła się opuszczać. Zaraz jednak kierowca wduśił pedał gazu, wykręcił i odjechał z rykiem silnika.

- Ręce za głowę! - krzyknął ktoś donośnie. - No, już!

Gillette obejrzał się w kierunku Stilesa. Nadbiegali dwaj jego ludzie z bronią gotową do strzału. Zza rogu z impetem wypadł samochód osobowy i zatrzymał się mniej więcej w tym samym miejscu, gdzie stał przyczajony wóz terenowy. Snopy reflektorów oświetliły wąską uliczkę. Wskoczyli z niego dwaj inni agenci QS Security, z pistoletami w rękach. Napad został udaremniony równie szybko, jak się rozpoczął.

Gillette pochylił się, oparł dłonie o kolana i ciężko dysząc, obejrzał się za znikającymi za następnym rogiem tylnymi światłami wozu terenowego.

Rozdział 7

- Mam tylko pięć minut - odezwał się do Stilesa, patrząc na zegarek. - Potem muszę wyjść. - Zgodnie z umową o wpół do dziesiątej miał z Wrightem wyruszyć na spotkanie z dyrektorem Hush-Hush w siedzibie firmy znajdującej się w dzielnicy odzieżowej. - Czego się dowiedziałeś?

- Ładna blizna. - Detektyw wskazał szeroką czerwoną pręgę na lewym policzku Gillette'a w pobliżu ucha. - Może nie tak imponująca, jak od kuli w piersi, ale i tak robi wrażenie.

Musiał odnieść ranę, gdy jeden z bandytów natarł na niego ramieniem i powalił na asfalt.

- Jak na bogacza, jesteś całkiem krewki - zauważył Stiles. - Kto by wpadł na to, żeby cisnąć telefonem komórkowym w twarz napastnikowi, a następnie rzucić się na niego z pięściami? Większość ludzi z twojego środowiska to zwykli tchórze. Zresztą, nie ma się czemu dziwić. Bo po co stawiać opór bandytom, skoro można sobie kupić wolność? Przyznam, że zrobiłeś na mnie duże wrażenie.

- Dzięki.

- Ale tylko z powodu odwagi, a nie zdrowego rozsądku. - Detektyw wyszczerzył zęby w ironicznym uśmiechu. - O czym, do diabła, naprawdę wtedy myślałeś? Przecież nas było dwóch, a ich pięciu!

- To wcale nie najgorsze proporcje, skoro miałem cię obok siebie. Poza tym towarzyszyła nam jeszcze Allison, a to już przeważało szalę na naszą korzyść.

Stiles uniósł wzrok do nieba.

- Niemniej, stało się to przeze mnie, Quentinie. Wcześniej zabroniłem ci wezwać twoich ludzi, żeby stworzyli nam ochronę na tyłach restauracji. To było bardzo głupie. Dlatego uważałem, że muszę coś zrobić. No i doszedłem do wniosku, że na naszą korzyść przemawia element zaskoczenia. Poza tym... - Gillette zachichotał krótko - ...ten gość mierzył z rewolweru w ciebie, nie we mnie. Powiesz wreszcie, czego się dowiedziałeś?

- Jasne. Co do tych zbirów, to wynajęci ludzie. Jeśli wierzyć moim informatorom z nowojorskiej komendy policji, należą do brooklyńskiego gangu o nazwie Fire. Paskudne typki. Nawet miejscowa mafia woli z nimi nie zadzierać. Przyznali się, że zostali opłaceni, by na nas napaść.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Mieli nas pozabijać, czy tylko pobić?

- Nie dostali zlecenia na zabójstwo, mieli nas tylko solidnie stłuc, pozabierać nam portfele i zostawić nas w zaułku na pastwę losu. Natomiast Allison mieli zabrać ze sobą.

Wszystko zaczynało się układać w sensowną całość.

- Zatem chodziło o jej porwanie. Wygląda więc na to, że masz kolejną klientkę. Powinna ci sownie zapłacić za ochronę, powiedzmy, kilkaset tysięcy za rok.

- Nie sądzę, aby chodziło o porwanie - odparł cicho Stiles.

- Dlaczego?

- Zeznali, że kazano im wysadzić Allison na ulicy kilkaset metrów od miejsca zdarzenia, całą i zdrową.

- Poważnie?

- Dziwne, co nie?

- To nie trzyma się kupy. Kto ich wynajął? - zapytał wprost Gillette.

- Nie mają pojęcia, jak się nazywa. Wzięli forszę i o nic nie pytali.

- Albo też twoi informatorzy z policji nie mówią ci całej prawdy. - Zaczął machać prawą dłonią na boki. Chciał w ten sposób chociaż

odrobinę stłumić pieczenie knykci poobcieranych o twardą brodę któregoś z napastników.

- Niemożliwe, to bardzo solidni informatorzy. Zbiry utrzymują, że było to jednorazowe zlecenie, za gotówkę, płatne w całości z góry. Mówią, że nigdy wcześniej nie widzieli tego gościa na oczy.

- No cóż, skoro nie chodziło o porwanie, istnieje spore prawdopodobieństwo, że stał za tym Tom McGuire. To on mógł nasać na nas paparazzich, zapewne opłaciwszy wcześniej operatorkę centrali w hotelu Parker Meridien, żeby podsłuchała, dokąd się wybieramy z Allison. Po napadzie mogłby nas bezpiecznie wykończyć, gdybyśmy leżeli w ciemnym zaułku. Za to Allison zapewniłaby bandziorom alibi, że nas nie zamordowali, a sama, porzucona parę ulic dalej, uniknęłaby dalszych nieprzyjemności. Zleceniodawca wołał nie mieć jej na sumieniu, bo wówczas ściągnąłby na siebie gniew rodziny Wallace'ów.

- Gangsterzy opisali zleceniodawcę, ale jego opis nie pasuje do Toma McGuire'a.

- Na tym etapie jestem przekonany, że Tom McGuire bardzo mało przypomina tamtego detektywa, którego dobrze znamy.

- Może i tak - przyznał Stiles. - To zresztą bardzo ciekawe - dodał po krótkiej przerwie. - Chyba ci mówiłem, że jako nastolatek należałem do gangu?

- Owszem, w Harlemie. I co z tego?

- Też braliśmy zlecenia od ludzi, którzy chcieli się na kimś odegrać. Zwykle chodziło o facetów rozwścieczonych tym, że dziewczyna ich zdradza, i życzących jak najgorzej swojemu rywalowi. Chętnie braliśmy forszę za takie zlecenia, ale ich nie wykonywaliśmy. Bo i po co mielibyśmy zawracać sobie głowę. Skoro facet już zapłacił, to co mógł nam zrobić za to, że nie stłukliśmy kochasia jego dziewczyny? Dobrze wiedział, że będzie gryźć ziemię, jeśli wyda nam otwartą wojnę. - Detektyw umilkł na chwilę. - Ale te zbiry z Brooklynu postanowiły wykonać

zlecenie, chociaż tworzą jeden z najgroźniejszych gangów w mieście. Dlaczego?

- Potrafisz to wyjaśnić?

- Owszem. To by potwierdzało twoją teorię, że zleceniodawcą był Tom McGuire.

- Dlaczego?

- Bo ten, kto ich przekonał, żeby wykonali jego zlecenie, musiał coś na nich mieć. No, wiesz, jakieś groźne dla gangu informacje, których ujawnienie groziłoby tym, że wylądują w więzieniu. To chyba jedyny powód, dla którego musieliby się zgodzić. Niewykluczone, że McGuire nadal korzysta z pomocy dawnych kolegów z FBI, może pomagają mu się nawet ukrywać. Niezależnie od ciężących na nim zarzutów. To od nich mógł zdobyć groźne dla gangu informacje. Co prawda... - Stiles się zawahał - ...to tylko teoria, ale dosyć prawdopodobna.

- Owszem - przyznał półgłosem Gillette, usiłując zapanować nad dreszczami wędrującymi mu po plecach, jakby czuł na sobie wzrok kogoś, kto go śledzi. Im więcej dni upływało od ostatniej próby zabójstwa, tym bardziej czuł się bezpieczny. I oto nagle znów pozbawiono go tego poczucia, mimo że Stiles zapewniał mu ciągłą ochronę. - Tylko czemu gangsterzy zdecydowali się zeznawać? Czemu nie przemilczeli faktu ewentualnego zlecenia, co pewnie ułatwiłoby im wyjście za kaucją?

- Dobre pytanie. Możliwe, że wściekli się z powodu śmierci kolegi. Pamiętasz tego, co zginął na ulicy? Otóż twierdzą, że za kierownicą auta terenowego, które przejechało ich kumpla, siedział właśnie zleceniodawca tej roboty.

- Przestań się tym zamartwiać - powiedział Gillette, kiedy przez oszklone wahadłowe drzwi weszli do lobby siedziby firmy Hush-Hush. Kilka razy zauważył, że Wright obrzuca podejrzliwym spojrzeniem bliźnię na jego twarzy. - Im zależy tylko na naszych pieniądzach, takie

obrażenia nie odgrywają większej roli.

- Co się stało? - zapytał w końcu tamten, nie mogąc się powstrzymać.

- Wczoraj wieczorem po wyjściu z restauracji natknąłem się na kilku idiotów. - Stilesowi udało się załatwić, żeby nazwiska gangsterów nie przedostały się do prasy. Obawiał się jednak, że Allison nie zdoła utrzymać języka za zębami, dlatego wołał ujawnić przynajmniej część prawdy.

- A co się stało z twoją obstawą, agentami QS Security? Dlaczego nie zapewnili ci bezpieczeństwa?

Podeszli do stanowiska recepcyjnego i Gillette ruchem ręki dał znak Wrightowi, żeby to on zagadnął młodą sekretarkę.

- Czym mogę służyć? - zapytała, nie odrywając nawet wzroku od ekranu komputera. Była bardzo ładna, do tego ubrana wręcz wyzywająco. Krótki jedwabny top zwisał luźno z biustu, odsłaniając i od góry, i od dołu koronkowe obszycie purpurowego stanika.

- Jesteśmy umówieni na spotkanie z Tonym Maddoksem.

Podniosła szybko głowę i popatrzyła najpierw na jednego, potem na drugiego, jakby nie mogła uwierzyć, że ma przed sobą gości dyrektora naczelnego.

- Panów nazwiska? - zapytała z szacunkiem, uśmiechnąwszy się przyjaźnie.

- Christian Gillette i David Wright.

- Bardzo dziękuję, panie Gillette. Proszę chwilę zaczekać.

- Więc dlaczego ludzie Stilesa nie zapewnili ci ochrony? - ponowił pytanie Wright, gdy kobieta połączyła się przez interkom z sekretarką Maddoksa.

Gillette rozejrzał się ciekawie po lobby zawieszonym zdjęciami kobiet w samej bieliźnie.

- To ja straciłem czujność, Quentin w niczym nie zawinił.

- I co się stało?
- Już ci mówiłem. Doszło do bójki.
- Co z napastnikiem?
- Nie żyje.

Wright zaśmiał się w głos.

- Niemożliwe... Poważnie?
- Porozmawiajmy lepiej o spotkaniu - uciął Gillette. - Wziąwszy pod uwagę, że prawie przez całą drogę wisiałeś na telefonie i mieliśmy dla siebie najwyżej dziesięć sekund...

- Zaraz, próbowałem nam załatwić spotkanie z przedstawicielem tego towarzystwa ubezpieczeniowego z Bermudów. Dość mocno inwestują ostatnio w Nowym Jorku i jak już mówiłem, chętnie dorzuciliby do naszego funduszu z pół miliarda. Odniosłem wrażenie, Chris, że bardzo ci zależy, abym rozmówił się z nimi jak najszybciej.

- Chcesz, żebym to ja poprowadził dzisiejsze spotkanie.
- Nie, ja się tym zajmę.
- Tylko nie schrzań sprawy - przestrzegł Gillette. - Coś mi się zdaje, że zdołamy odsprzedać tę firmę za parę miesięcy za dwukrotnie, może nawet trzykrotnie wyższą cenę. Razem z Faradayem poczyniliśmy już wstępne kroki...

- Co takiego?!

Gillette nie wspomniał mu dotąd, że Faraday jest w komitywie z członkiem zarządu znanej francuskiej firmy odzieżowej.

- Porozmawiamy o tym później - rzekł, ruchem głowy wskazując zmierzającą w ich kierunku młodą kobietę, prawdopodobnie sekretarkę Maddoksa. - Na razie zrób wszystko, żeby rozmowy przebiegły po naszej myśli. Walczysz o wielką premię dla siebie, jeśli ta transakcja dojdzie do skutku.

- Witam panów. - Tak, jak recepcjonistka, sekretarka Maddoksa była również bardzo ładna i dość skąpo ubrana. - Proszę tędy.

Przeszli za nią krótkim korytarzem do imponującego gabinetu, urządzonego nowocześnie i bardzo drogo.

- Cześć, chłopaki! - powitał ich jowialnie Tony Maddox, podnosząc się zza biurka i odkładając słuchawki z mikrofonem. Był niski, całkiem siwy, mocno opalony, ubrany na sportowo. - Pozwólcie, że przedstawię Franka Hobbsa, mojego dyrektora do spraw współpracy i rozwoju.

- My się znamy - rzekł Wright, wychodząc zza pleców Gillette'a, by uścisnąć dłoń najpierw Maddoksovi, potem Hobbsowi. - Studiowaliśmy razem z Frankiem. Jak się masz, kolego.

- Świetnie. - Hobbs był wysoki, szczupły, ciemnowłosa i nosił modne okulary w plastikowej oprawce. W przeciwieństwie do swego szefa ubrany był w garnitur i krawat.

- Dzięki, że mnie uprzedziłeś o planowanej sprzedaży, Frank.

- Nie ma za co.

- Pewnie się opłacało mieć takiego kolegę już od pierwszego roku, co nie?

Hobbs uśmiechnął się szeroko, wodząc spojrzeniem po obu gościach.

- Mnie nawet bardzo - odparł kurtuazyjnie. - To właśnie David nauczył mnie wyceniać notowania giełdowe.

Nie wiem, jakbym dał sobie radę bez jego pomocy.

Gillette puścił do niego oko.

- No cóż, mam przynajmniej nadzieję, że nie wszystko brałeś dosłownie. David ma ciągotki do zawyżania ich wartości. W przeciwnym razie w ogóle by mnie tu nie było.

Kiedy śmiech ucichł, Maddox przesunął się w bok, żeby ominąć Wrighta, i wyciągając rękę, powiedział: - Ty musisz być Christianem Gillette'em.

- Zgadza się - odparł ten, zwracając uwagę na grubą złotą bransoletkę gospodarza oraz ciężki sygnet z różowawym kamieniem. Spozstrzegł też, że jego czujny wzrok prześliznął się po jego bliźnie koło ucha. Nie padło jednak ani słowo na ten temat.

- Wiele ostatnio o tobie czytałem.

- Ach, tak. Zawdzięczamy to wyłącznie tej przeklętej wolności słowa i publikacji.

Maddox znów zaśmiał się głośno.

- Dziennikarze potrafią dać się we znaki, prawda? Mnie samego kilka razy zdrowo pokąsali po tyłku. - Wskazał dwie stojące naprzeciwko siebie kanapy w rogu gabinetu. - Proszę, usiądźmy.

Ledwie zajęli miejsca, do pokoju weszła sekretarka. Nalała kawy do filiżanek i przyniosła z sąsiedniego stolika tacę ze świeżymi rogalikami. Kiedy pochyliła się przed Gillette'em, żeby go poczęstować, jej luźna bluzka zwiśla, odsłaniając gołe piersi. Pospieszenie odwrócił wzrok i popatrzył na gospodarza, który uśmiechnął się wyrozumiale.

- To branża rozrywkowa, Christianie - rzekł. - Jeśli uda nam się ustalić cenę zadowalającą obie strony, ręczę, że będziesz miał mnóstwo doskonałej zabawy.

- Tony, jaka jest struktura własnościowa Hush-Hush? - zagadnął Wright.

- Do mnie należy dziewięćdziesiąt pięć procent akcji spółki - odparł Maddox, który tylko przelotnie zerknął na młodszego finansistę i z powrotem utkwiał spojrzenie w prezesie Everestu. - Pozostałe pięć procent należy do mojego brata, ale on już lata temu wycofał się z czynnej działalności w branży, toteż w pełni kontroluję decyzje rady nadzorczej. I to ja podjąłem decyzję o sprzedaży firmy. On będzie się musiał z nią pogodzić.

- Dlaczego chcecie ją sprzedać właśnie teraz? - zapytał Wright.

Tym razem gospodarz nawet nie zerknął na niego, jakby rozmawiał z Gillette'em w cztery oczy.

- Wiem, że wyglądam dość młodo, ale mam pięćdziesiąt pięć lat. Czuję się zmęczony. Od ośmiu lat to przedsięwzięcie jest moim oczkiem w głowie. Nadal je kocham, ale już nie mam do niego sił. Ponadto

zaczynamy się rozrastać zdecydowanie za szybko, dużo szybciej niż jeszcze kilka lat temu. Tymczasem problem polega na tym, z czego jeszcze niedawno nie zdawałem sobie sprawy, że im szybciej firma się rozrasta, tym więcej trzeba w nią inwestować. Tak więc zestarzałem się, Christianie, i wolałbym już tylko uzyskiwać dochody z interesu, a nie ładować w niego pieniądze.

- Rozumiem - odparł Gillette, obserwując kątem oka, jak bardzo Wright jest rozdrażniony lekceważeniem ze strony Maddoksa. - Tony - rzekł i wskazał kciukiem młodszego kolegę. - Musisz wiedzieć, że jeśli dobijemy targu, to właśnie David weźmie na siebie odpowiedzialność za dalsze losy Hush-Hush, to on zostanie prezesem rady nadzorczej. Niedawno został współnikiem zarządu Everestu. To jeden z naszych najlepszych pistoletów.

- Aha - mruknął gospodarz, odwrócił się nieco w stronę Davida i lekko skinął głową. - Jasne.

- Czy moglibyśmy poznać podstawowe dane z zakresu finansów waszej spółki - zapytał szybko Wright.

- Ja się tym zajmę, Tony - odezwał się Hobbs. - W tym roku osiągniemy w przybliżeniu czterysta milionów dolarów obrotu i około trzydziestu milionów dochodu netto. To zdecydowanie więcej niż odpowiednio dwieście dwadzieścia pięć i dziesięć milionów za rok ubiegły.

- Świetnie - rzekł Wright i popatrzył na Maddoksa. - Zatem, ile pan by chciał za tę firmę? - zapytał wprost.

Ten wsunął rękę do kieszeni i wzruszył ramionami.

- Jezu, miałem nadzieję, że wy pierwsi przedstawicie jakąś ofertę.

Zanim David zdążył odpowiedzieć, rozległo się pukanie i do gabinetu zajrzała sekretarka Maddoksa.

- Tony, jesteśmy gotowi.

- W porządku. - Gospodarz pokiwał głową. - Pomyślałem, chłopcy, że nim zaczniemy twarde negocjacje co do ceny, powinniście zobaczyć

małą prezentację. Chcę, żebyście przekonali się na własne oczy, czym się tu zajmujemy. Nie macie nic przeciwko temu, Davidzie?

Gillette pochwycił złowieszczy błysk w oku Maddoksa i od razu się domyślił, co ich czeka.

- Nie, skądże.

Gospodarz ruchem ręki dał znak sekretarce.

Ta otworzyła drzwi na oścież i odsunęła się na bok, przepuszczając do środka posągową piękność. Brunetka miała na sobie jedynie śnieżno-biały stanik, delikatnie prążkowane figi oraz szpilki. Podeszła zalotnie do czterech mężczyzn siedzących w rogu gabinetu, na krótko zatrzymała się na wprost nich, oparłszy dłonie na biodrach, po czym odwróciła się tyłem i znów zastygła na parę sekund. Kiedy wyszła, jej miejsce natychmiast zajęła inna modelka, równie atrakcyjna blondynka w czarnym body.

Gillette obejrzał się na Hobbsa, który siedział ze wzrokiem wbitym w podłogę, a następnie zerknął na Wrighta gapiącego się z szeroko rozdziawionymi ustami. Wreszcie przeniósł spojrzenie na uśmiechniętego od ucha do ucha Maddoksa.

- Doskonale się spisałeś podczas tych rozmów w dyrekcji Hush-Hush - powiedział, gdy razem z Wrightem wsiadali do windy w siedzibie spółki Apex Capital, udając się na spotkanie z Russellem Hughesem. - Podobała mi się stanowczość, z jaką przerwałeś pokaz po wyjściu trzeciej modelki.

- Od razu wyczułem, co Maddox chce osiągnąć. - David pokręcił głową, gdy drzwi się zamknęły i winda ruszyła. - Ale, nawiasem mówiąc, te kobiety były niesamowite...

- Przecież to firma branży bielizniarskiej. - Gillette już na dobre wzbzył się obaw, że Wright całkiem straci głowę. Jego protegowany zachował się naprawdę wzorowo. - Sześćset milionów to godziwa cena,

zwłaszcza że firma ostatnio bardzo szybko przybiera na wartości. Dlatego muszę przyznać, że jestem dumny z ciebie, iż nie zaproponowałeś za dużo.

Wright się uśmiechnął.

- Możesz mi wierzyć, że jak zobaczyłem pierwszą modelkę, byłem gotów zaproponować Maddoksovi tyle, ile tylko zechce.

Gillette zaśmiał się krótko.

- Żałuj, że nie widziałeś swojej miny. Szczęka ci opadła prawie do pasa.

- Myślisz, że zgodzi się wziąć sześćset milionów?

- Moim zdaniem skontaktuje się z jakimś bankierem, specjalistą od inwestycji, a ten mu powie, że firma jest warta więcej.

Wright przygryzł wargi i smętnie pokiwał głową.

- Jak to zazwyczaj bywa...

- Ale Tony nie jest głupi - dodał Gillette. - Na pewno dojdzie do wniosku, że mógłby uzyskać wyższą cenę, gdyby odpowiednio się postarał, ale różnica nie byłaby zbyt wielka, a wywalczenie jej sporo by kosztowało. Tuż przed wyjściem zamieniłem z nim parę zdań na osobności i dałem wyraźnie do zrozumienia, że jesteśmy gotowi błyskawicznie zakończyć transakcję. Powiedziałem mu też, że mógłbym go wprowadzić do Białego Domu na prywatne spotkanie z prezydentem. Bo jest wiernym republikaninem.

- Jak zamierzasz to zorganizować?

- Senator Clark obiecał, że gdybym potrzebował pomocy w tym zakresie, mogę na niego liczyć. Co prawda jest to możliwe najwyżej kilka razy w ciągu roku, uznałem jednak, że to doskonała okazja, by wykorzystać ten kontakt.

Wright cicho gwizdnął.

- To musiało zrobić na nim wrażenie.

Winda stanęła na czterdziestym ósmym piętrze i drzwi się otworzyły.

- Lepiej w ogóle nie wspominać żonie o Hush-Hush - poradził żartobliwie Gillette - bo w ogóle nie puści cię do pracy.
- Racja - bąknął w zamyśleniu David.
- Zadzwoił telefon komórkowy Gillette'a.
- Powiadomię Hughesa, że już jesteśmy - rzucił Wright, kierując się do stanowiska recepcyjnego.
- Dzięki. - Gillette wyjął aparat z kieszeni i spojrzał na szereg cyfr widniejących na wyświetlaczu. Był to numer centrali Everestu. - Halo!
- Christian? Tu Nigel. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.
- Jesteśmy z Davidem w siedzibie Apeksu, mamy umówione spotkanie z Russellem Hughesem.
- W takim razie będę się streszczał. Jak poszły rozmowy w dyrekcji Hush-Hush?
- Bardzo dobrze. David spisał się znakomicie.
- Co dalej?
- Zaproponowaliśmy sześćset milionów. Piłeczka jest po stronie właściciela spółki, musimy czekać na jego ruch.
- Jak oceniasz szanse?
- Pół na pół.
- Ciekaw jestem, czy kiedykolwiek usłyszysz od ciebie inną ocenę. Posłuchaj... - Faraday nagle ściszył głos. - Chciałem cię już teraz uprzedzić. Jedna z naszych sekretarek przyniosła do biura dzisiejsze wydanie „Daily News”. Jest tam kilka twoich zdjęć w towarzystwie Allison, w dziale poświęconym życiu gwiazd. Widać na nich, jak ona się klei do ciebie. - Anglik zawahał się na chwilę. - Chciałem cię o tym powiadomić, zanim pismo wpadnie w ręce Faith.
- Gillette omal nie zazgrzytał zębami ze złości. Wiedział, jak trudno mu będzie się wytłumaczyć.
- Dzięki.
- Christianie! - zawołał Wright od pulpitu recepcji. - Pan Hughes już na nas czeka.

- Tak, idę. - Gillette machnął ręką w jego kierunku. - Dzięki za telefon, Nigel.

- Nie ma za co.

Wyłączył aparat, ale nie schował do kieszeni. Przez kilka sekund spoglądał na niego, zastanawiając się, czy nie zadzwonić od razu do Faith. Każde posunięcie wyprzedzające było lepsze od biernego wyczekiwanie, tyle że...

- Christianie! - zawołał zniecierpliwiony Wright.

Gillette westchnął i schował telefon do kieszeni, myśląc, że nigdy nie ma czasu na swoje prywatne sprawy.

- Już idę.

Zasiedli we trzech przy okrągłym kawiarnianym stoliku w gabinecie Hughesa, pod oknem ukazującym panoramę East River z wysokości czterdziestego ósmego piętra. Gospodarz założył nogę na nogę, skrzyżował ręce na piersi i wbił brodę w węzeł krawata. Najwyraźniej został przez kogoś uprzedzony, co się święci. Gillette pomyślał, że część inwestorów zapewne usiłowała mu tłumaczyć, by spróbował wynegocjować dla siebie jak najkorzystniejsze warunki, po czym bez szumu pozbył się kłopotu.

- Dzięki, że zechciałeś się z nami dzisiaj spotkać - zaczął.

- Wcale tego nie chciałem - burknął Hughes spiętym, lekko drżącym głosem. - To ludzie z zarządu majątku Strazzich w zasadzie postawili mnie w sytuacji bez wyjścia.

- Bo zaczynają się niecierpliwić.

- Zaczynają się niecierpliwić - powtórzył z naciskiem Hughes, podnosząc nieco głos - ponieważ wy nie dajecie im spokoju. Działam według własnego planu.

- Ale ten plan jest nieskuteczny.

- Na to potrzeba czasu.

- Russell, dokładnie sprawdziłem sytuację firm należących do twojej

spółki. Masz kilka parszywych kundli, a to tylko dlatego, że pozostawiłeś na kierowniczych stanowiskach ludzi, których dawno powinienesz był wywalić na bruk. My zaś dysponujemy najlepszymi fachowcami, którzy mogliby od razu zająć newralgiczne miejsca i odwrócić sytuację.

- Widzę, że dogłębnie przedyskutowałeś już tę sprawę z przedstawicielami zarządu majątku Strazzych - syknął oskarżycielsko gospodarz.

- Nie nazwałbym tego dogłębnym...

- To jasne, że chcą ci odsprzedać Apex i pozbyć się kłopotu.

- Powiedzieli ci to wprost?

- Nie musieli, sprawa jest oczywista. - Hughes pochylił się na krzesło, splótł dłonie na brzegu stolika i nisko spuścił głowę. - Daj mi pół roku, Christianie. Jeśli przez sześć miesięcy nie zdołam poprawić sytuacji naszych firm, zgodzę się na odsprzedanie ci spółki bez słowa sprzeciwu.

- Za pół roku może już nie być tematu do rozmów.

- Więc będziesz mógł wykupić Apex za grosze, jeśli sytuacja w podległych nam przedsiębiorstwach jeszcze się pogorszy.

- Nie jestem sędzią - odparł Gillette. - Wolę pertraktować w sprawie kupna czegoś, co ma jeszcze puls.

Hughes odchrząknął.

- Jeśli wykupisz spółkę, jak zamierzasz nią dalej pokierować? Chodzi mi o to, czy planujesz jej wcielenie do Everestu?

- Nie od razu. Co najmniej jeszcze przez rok Apex będzie działał niezależnie. Jak już powiedziałem, oddeleguję tylko część swoich ludzi i zastąpię dyrekcje w tych przedsiębiorstwach, które mają najgorsze wyniki. Nie chcę jednak ani łączyć naszych biur, ani dążyć do integracji personelu Apeksu i Everestu.

- A co ze mną? - zapytał tamten nieco chrapliwym głosem.

- Jeszcze nie podjąłem decyzji, ale wiem na pewno, że osoba, która pokieruje Apeksem, będzie odpowiadała przed Davidem. -

Gillette ruchem głowy wskazał Wrighta, który jak dotąd nie odezwał się ani słowem.

Hughes westchnął głośno.

- Naprawdę wiem, co robię, Davidzie. Ludzie mnie szanują. - Urwał, popatrzył spod nachmurzonych brwi na Wrighta i dodał: - Bardzo mi zależy na tej pracy.

- Christianie?

Gillette podniósł głowę znad raportu Veramaksu. Firma mogła się pochwalić naprawdę znakomitymi wynikami. Gdyby tylko Federalna Komisja Leków dała jej zielone światło, byłaby to istna kopalnia złota. Allison miała rację.

- Słucham, Nigel.

- Wybacz, że ci przeszkadzam, ale Faith czeka w lobby.

- Dzięki. - Piosenkarka zadzwoniła wcześniej i zapytała, czy może przyjechać do biura. Właśnie wróciła z Zachodniego Wybrzeża. - Poproś ją, żeby tu przyszła.

- Już się robi.

Gillette wstał i przeciągnął się. Było już wpół do dziewiątej, uświadomił sobie nagle, że jest głodny. Nic nie jadł przez cały dzień poza miseczką płatków kukurydzianych na śniadanie i małą porcją sałatki w towarzystwie Wrighta w przerwie między spotkaniami w dyrekcji Hush-Hush oraz siedzibie Apeksu. Wyszedł zza biurka i oparł się biodrem o jego krawędź. Faith nie chciała rozmawiać przez telefon. Z jej tonu wynikało jednoznacznie, że coś się stało, domyślał się, o co chodzi.

Drzwi się otworzyły i w wejściu do gabinetu stanęła Faith Cassidy, jak zawsze pełna życia blondynka o dużych zielonych oczach i zmysłowej figurze. Nigdy nie była zadowolona z własnych osiągnięć, mimo że dwa pierwsze albumy sprzedała w imponujących nakładach i dostała za nie platynowe płyty. Zazwyczaj po dłuższej nieobecności podbiegała do

niego i rzucała mu się na szyję, ale dzisiaj przystanąła tuż za drzwiami. I zazwyczaj, gdy na niego patrzyła, w jej oczach pojawiały się skry, których dzisiaj nie było.

- Co się stało, kochanie? - zapytał, ruszając w jej stronę. Stęsknił się za nią, dopiero teraz w pełni to sobie uświadomił. Miał za dużo obowiązków, żeby o tym myśleć. - Wszystko w porządku?

- Jestem trochę zmęczona - powiedziała cicho, stłumionym głosem. - To była długa podróż. Sam wiesz, jak to jest.

- Jesteś głodna? - Zatrzymał się metr przed nią. Miał ochotę uściskać ją serdecznie, obawiał się jednak, że byłoby to wbrew jej woli. - Chciałabyś coś zjeść?

- Jadłam w samolocie.

- Aha. No tak. - Nigdy wcześniej nawet nie chciała tknąć niczego, co podawano w samolocie. - Więc nowy album poszedł już do produkcji - rzekł, chcąc podtrzymać rozmowę. - Rozmawiałem dzisiaj rano z szefem wytwórni płytowej.

- Owszem. Wpakowali kupę forsy w kampanię reklamową, nawet więcej niż przed wydaniem dwóch poprzednich płyt. - Faith uśmiechnęła się trochę sztucznie. - Nie wątpię, że maczałeś w tym palce.

Po objęciu jesienią stanowiska prezesa Everestu osobiście polecił zwiększyć fundusz na kampanię promocyjną jej drugiej płyty, co ostatecznie bardzo się opłacało, gdyż zaraz po rozpoczęciu sprzedaży album znalazł się na pierwszym miejscu listy najchętniej kupowanych nagrań w Stanach Zjednoczonych i pozostawał na nim przez trzy tygodnie.

- Prawdę mówiąc, wcale nie interweniowałem - odparł. - Twój wydawca tym razem sam uznał, że warto zainwestować w kampanię.

Przekrzywiła głowę na ramię i popatrzyła na bliźnię przy uchu.

- Jezu, Chris, co ci się stało?

Uśmiechnął się do niej serdecznie.

- Anulowałem jedną z umów Davida Wrighta i jemu się to nie spodobało.

Z grobową miną popatrzyła mu w oczy.

- Pytam poważnie.

W normalnych okolicznościach przyjęłaby jego odpowiedź śmiechem. Dobrze znała Wrighta, nieraz żartowali na temat jego agresywnego podejścia do spraw służbowych.

- Wczoraj wieczorem po wyjściu z restauracji natknęliśmy się ze Stilesem na bandę idiotów. Doszło do głupiej przepychanki.

- Nic ci nie jest?

- Nie, to tylko zadrapanie.

Na kilka sekund zapadło niezręczne milczenie.

- Faith, chciałem...

Rozległo się głośne pukanie i w przejściu stanęła Allison.

- Christianie... Och, przepraszam - rzuciła na ich widok. - Przyjdę...

- Allison - przerwał jej Gillette. - Przedstawiam ci Faith Cassidy. Faith, poznaj Allison Wallace.

Obie, z podobnie wymuszonymi uśmiechami na ustach, sztywno uściśnięły sobie dłonie.

- Czego chciałaś? - zapytał szybko, wyczuwając, że atmosfera błyskawicznie gęstnieje.

- Odebrałam wiadomość od Jacka Mitchella - wyjaśniła Allison. - Mamy się z nim spotkać w Pittsburghu jutro wieczorem na kolacji. Będzie tam w jakichś sprawach służbowych. - Zachichotała. - Znam Jacka od bardzo dawna, jest w wieku mojego ojca. Gdy skończyłam pięć lat, podczas wspólnych wakacji w Michigan uczył mnie pływać. Na pewno będzie zabawnie. Wynajął apartament w hotelu William Penn, powie-działam więc, że tam się spotkamy. Mają tam bardzo przyjemną hotelo-wą restaurację. Zarezerwuję nam stolik i pokoje.

- Dzięki. - Gillette spojrział na Faith. Stała z rękoma przyciśniętymi do brzucha, w pozie wyrażającej takie samo zdenerwowanie, jak tuż

przed każdym wyjściem na scenę podczas koncertu. - Porozmawiamy jeszcze rano, dobrze?

- Jasne. Czy... chcesz, żebym zamknęła drzwi.

Przytaknęła ruchem głowy.

- Miło było cię poznać - rzuciła jeszcze Allison do Faith i wyszła.

- Wzajemnie - odparła piosenkarka. Gdy tylko drzwi gabinetu się zamknęły, lekko przeciągnęła palcem najpierw pod jednym okiem, potem pod drugim, i zapytała spiętym głosem: - Pracujesz z nią?

- Faith, to przecież...

- Czy mógłbyś się chociaż postarać zrozumieć, co przeżywałam, gdy zobaczyłam wasze zdjęcia w rubrykach towarzyskich gazet w Los Angeles? Na każdym była dosłownie uwieszona na tobie.

- Allison jest nowym współnikiem zarządu Everestu - wyjaśnił. - Jej rodzina zasiliła nasz fundusz pięcioma miliardami dolarów. Jedliśmy służbowy obiad, żeby spokojnie omówić zakres jej obowiązków. To wszystko. Sama dobrze wiesz, jacy są ci przekłęci paparazzi.

- Jej strój w żadnym stopniu nie wyglądał na ubiór służbowy.

- Stiles był cały czas z nami. Zapytaj go.

Pokręciła głową i przygryzła dolną wargę.

- A od niego dowiem się prawdy? - zapytała szeptem.

- Słucham?

- Nic takiego.

- Zrozum, to nie jest...

- Powinniśmy się rozstać, Christianie, spędzić trochę czasu z dala od siebie - oznajmiła nagle. - Może wtedy zdołamy rozsądzić, czy naprawdę zależy nam na tym, żeby dalej być ze sobą.

- Przecież nie widzieliśmy się przez ostatni tydzień.

- I najwyraźniej bardzo ci się to spodobało.

- Faith, chyba nie mówisz poważnie. Nie chcę żadnego rozstania.

Przysunęła się trochę bliżej i sięgnęła do torebki. Oczy jej mocno błyszczały.

- Proszę - powiedziała, wręczając mu fotografię. - Zobaczyłam to zdjęcie na wystawie sklepu z bibelotami przy Ventura Avenue, kiedy miałam popołudnie tylko dla siebie. Od razu pomyślałam o tobie.

- Faith, porozmawiajmy...

Odwróciła się na pięcie i wyszła, nie chcąc go dłużej słuchać. Zapatrzył się w puste przejście na korytarz, usiłując przekonać samego siebie, że powinien wybiec za nią i próbować ją przekonywać. Nie ruszył się jednak. W żadnym wypadku nie był w stanie uganiać się za kimkolwiek.

Popatrzył na trzymane zdjęcie. Wyblakłe i podniszczone, przedstawiało jego ojca tuż po wyborze na senatora, stojącego u boku prezydenta Reagana.

Rozdział 8

- Zmiana planów - warknął przez telefon do Harry'ego Steina, wiceprezesa sieci Discount America. - Muszę się spotkać z panią burmistrz tego miasteczka w Marylandzie dziś po południu zamiast w piątek. - Musiał mówić bardzo głośno, żeby przekrzyczeć donośny wizg silników odrzutowych, gdyż wchodził właśnie po schodkach na pokład większego z dwóch należących do Everestu samolotów. Odpowiedziała mu martwa cisza. - Słyszałeś, co powiedziałem, Harry?

- Tak, słyszałem, Christianie, ale dajesz mi bardzo mało czasu.

Pochylił się w ciasnym korytarzyku, skręcił do kabiny pasażerskiej i usiadł w obszernym, obitym czarną skórą obrotowym fotelu tuż za przepierzeniem. Tuż za nim na pokład wszedł Stiles, który zajął miejsce za nim. W tylnej części kabiny siedziało już trzech agentów QS, ale w przejściu pojawiło się jeszcze dwóch następnych. Quentin wolał nie ryzykować, z czego Gillette był bardzo zadowolony. Zwłaszcza po wydarzeniach z poprzedniego wieczoru.

- Nie dam rady załatwić tego inaczej - rzekł, skinieniem głowy witając nowo przybyłych ochroniarzy. - Uległ zmianie termin mojego spotkania w Waszyngtonie, a muszę załatwić obie wizyty jednego dnia. Nie mam czasu, żeby przyjeżdżać w ten rejon po raz drugi.

Daniel Ganze zadzwonił do niego o siódmej rano i kazał mu natychmiast przylecieć do Waszyngtonu. Norman Boyd, szef Ganze'a, miał niespodziewanie wyjechać na cały tydzień za granicę i nie chciał odkładać tego spotkania do czasu powrotu. Ponadto wydarzenia nabrały tempa,

jak twierdził Ganze. Dlatego Gillette zgodził się przylecieć, chociaż nadal nie miał pojęcia, czego oni od niego chcą.

Bezgranicznie zirytowała go świadomość, że jest traktowany jak chłopiec na posyłki, ale nic nie mógł na to poradzić. Musiał poznać tajemnicę śmierci ojca i zależało mu, by poznać ją właśnie teraz. Po raz pierwszy od czasu, gdy Lana całkowicie wyrugowała go z rodziny, ogarnęło go desperackie pragnienie poznania prawdy. Wyczuwał, że Ganze coś wie, a on przecież od dawna oczekiwał tego typu przełomu.

- Wątpię, czy tak natychmiast zdołam się skontaktować z tą kobietą - poskarżył się Stein. - Dla mnie zawsze jest zajęta. Poza tym pełni przecież funkcję burmistrza.

- A cóż tak doniosłego w środowe popołudnie mogłaby robić burmistrz miasteczka wielkości połowy nowojorskiego kwartału, co uniemożliwiłoby jej poświęcić przynajmniej paru minut na ważne spotkanie?

- Nie umiem na to odpowiedzieć, nie zapominaj jednak, że ona nas nie lubi. Na pewno nie zechce wyrządzić nam nawet najdrobniejszej przysługi.

- Ty masz to jednak załatwić, Harry.

- Tak, rozumiem. W porządku.

Gillette ze złością przerwał połączenie i odebrał następne, zdziwiony, że dzwoni do niego Wright ze swojego aparatu komórkowego.

- O co chodzi, Davidzie?

- Właśnie rozmawiałem z Tonym Maddoksem z Hush-Hush. Powiedział, że jeśli zgodzimy się zwiększyć ofertę do sześciuset pięćdziesięciu, gotów jest od razu dobić targu. Wspomniał jeszcze o kilku zastrzeżeniach i gwarancjach odbiegających od standardu, ale wydaje mi się, że zdołam go odwieść od tych pomysłów. Zatem jaką ofertę cenową mam mu przedstawić?

Gillette zamyślił się, czy nie zaproponować Maddokswi sześciuset dwudziestu pięciu milionów, jak wynikałoby z naturalnego dążenia do

pozostawienia sobie pewnej rezerwy w tej licytacji, ale szybko uznał, iż byłby to przejaw krótkowzroczności. Przede wszystkim nie należało marnować czasu i nie wystawiać na zbędne ryzyko potencjalnie szybkiej ugody z powodu głupich dwudziestu pięciu milionów. Zwłaszcza w sytuacji, gdy do marca wartość mogła wzrosnąć nawet o miliard dolarów.

- Zgódź się. Ale powiedz Maddoksowi, że w tej sytuacji chcemy mieć podpisany przez niego list intencyjny najpóźniej do trzeciej po południu. Niech podejmie naprawdę szybką decyzję pod groźbą tego, że się wycofamy. Powiedz mu wyraźnie, że godzimy się podnieść cenę tylko ze względu na przyspieszone tempo negocjacji. Jasne?

- Oczywiście.

- Zadzwoń do mnie, jak skończysz z nim rozmawiać. Przez najbliższą godzinę będę pod telefonem na pokładzie samolotu, póki nie wylądujemy na lotnisku Reagana, czyli mniej więcej do dziewiątej trzydzieści. Mam spotkanie w Waszyngtonie umówione na dziesiątą. Później wybieram się na Wschodnie Wybrzeże w stanie Marylandu na spotkanie z panią burmistrz jednego z tamtejszych miasteczek.

- W sprawie tej wstrzymanej inwestycji sieci Discount America?

- Tak.

- Jak się nazywa to miasteczko? - zapytał Wright.

- Czemu cię to interesuje?

- Mam trochę krewnych na Wschodnim Wybrzeżu i zastanawiałem się, czy któryś z nich właśnie tam nie mieszka.

- To Chatham. - Gillette odczekał parę sekund. - I jak? Kojarzysz tę nazwę?

- Nie.

- To niezbyt duże miasteczko.

- Niewiele ich tam już zostało?

- A gdzie dokładnie mieszkają twoi krewni? - zapytał Gillette.

- Jeśli mam być szczerzy, nawet nie pamiętam - odparł z ociąganiem

Wright. - Właśnie dlatego pytałem. Miałem nadzieję, że nazwa miasta obudzi we mnie jakieś skojarzenia. Prosto z Marylandu wracasz do Nowego Jorku?

- Nie, z Chatham lecę prosto do Pittsburgha. Allison umówiła mnie na spotkanie w sprawie transakcji, która zapowiada się naprawdę świetnie. Spotkamy się na kolacji z właścicielem firmy.

- Co to za firma?

- Powiem ci o tym jutro rano, jeśli wszystko pójdzie po mojej myśli. - Jak zawsze wolał nie mówić o szczegółach pertraktacji, które mogły spełznąć na niczym. - Prawdopodobnie będę z powrotem w Nowym Jorku w porze obiadowej, ale gdyby rozmowy się przeciągnęły, zostanę w Pittsburghu na noc i wrócę pojutrze rano. Jesteś cały czas w kontakcie z przedstawicielem tego towarzystwa ubezpieczeniowego z Bermudów?

- Tak. Chcą się umówić na rozmowy na przyszły tydzień, na wtorek albo środę. Mogę ustalić z nimi termin?

Gillette przywołał na ekran swojego palmtopa rozkład przyszłotygodniowych zajęć.

- Tak, powinienem znaleźć dla nich czas.

- Jeśli wszystko ułoży się po ich myśli, będą chcieli zainwestować w Everest Osiem pięćset milionów dolarów. Przed kwadrantem wysłałem im kurierem dokumenty dotyczące warunków uczestnictwa w funduszu oraz kwestionariusz inwestycyjny.

- Uprzedziłeś ich, że zarząd funduszu rodziny Wallace'ów wcześniej zasilił fundusz o pięć podwójnych baniek?

- Oczywiście. Chciałem zrobić na nich jak najlepsze wrażenie.

- Doskonale.

- A co z Apeksem? - zaciekał się Wright. - Na czym w końcu stało?

- Wczoraj wieczorem rozmawiałem jeszcze z przedstawicielem zarządu majątku Strazzich. Osiągnęliśmy porozumienie co do bieżącej ceny.

- Ile zażądali?
- Miliard?
- I co jeszcze?
- Nic. Odpowiedziałem, że za tę cenę wchodzimy w interes.

Formalnie Gillette powinien uzyskać zgodę wszystkich współników zarządu na podniesienie oferty, wiedział jednak, że nikt nie odważy się mu sprzeciwić, zwłaszcza wobec perspektywy olbrzymiego zysku ze sprzedaży Laurel Energy. Bo i kto śmiałyby teraz z nim zadzierać, skoro w najbliższym czasie miał się rozstrzygnąć podział premii w wysokości dziewięciuset milionów dolarów?

- Jak chcesz sfinansować ten zakup?

Zamyślił się na chwilę.

- Po pięćset milionów z funduszu siódmego i ósmego. - Nie zamierzał rezygnować z pomysłu sfinansowania kupna przywilejów budowlanych w Las Vegas w całości z funduszu siódmego, niezależnie od opinii Allison, pomyślał więc, że chociaż w ten sposób może uwzględnić jej zdanie. W końcu zakup Apeksu także mógł się okazać bardzo dochodową inwestycją. - W ten sposób w Everest Siedem pozostanie trochę ponad miliard, będzie więc pewna rezerwa na wypadek konieczności zastrzyku finansowego dla którejś firmy kupionej z tego funduszu. Rozumiesz, gdyby zaszła potrzeba jakichś zakupów czy zatrudnienia fachowca...

- Zatem od tej chwili wszystkie inwestycje będą finansowane wyłącznie z funduszu ósmego?

Zapadła kolejna ważna decyzja.

- Zgadza się.

- A co z Russellem Hughesem? Chcesz, żebym odwiedził go jeszcze dzisiaj i przysmażył mu trochę tyłka?

Gillette zachichotał. Podobała mu się ta zaciętość młodszego kolegi, czasami aż bolesna bezpośredniość. Bo przynosiła świetne rezultaty. I

dowodziła braku zahamowań. Ojciec przed laty podobnie oceniał jego charakter.

- Nie, odpuść trochę. I tak spotkam się z nim w piątek, żeby omówić parę spraw.

- O której? Zakładam, rzecz jasna, że chcesz, abym był obecny przy tej rozmowie.

- O jedenastej. Wiesz co? Powinniśmy się teraz kontaktować ze sobą codziennie, skoro kupujemy jednocześnie Apex i Hush-Hush - zaproponował.

- Jasne. Chcesz, żebym to ja do ciebie dzwonił?

- Nie, dzwonił będę ja. Powiedzmy, między siódmą a ósmą. Miej zawsze włączoną komórkę, jeśli o tej porze nie będziesz w biurze albo własnym mieszkaniu. Gdybym nie zadzwonił do ósmej, wtedy ty dzwoń do mnie.

- Zrozumiałem.

- Świetnie się spisałeś z Hush-Hush, Davidzie. Naprawdę. Powinniśmy bardzo dobrze na tym wyjść.

- Dzięki.

Gillette przerwał połączenie i popatrzył na Stilesa.

- Wszystko w porządku? - zapytał detektyw.

- Pewnie - odrzekł i wyciągnął terminarz i otworzył go na długiej liście rozmów telefonicznych, które zamierzał przeprowadzić w czasie przelotu. Ale jeszcze przez jakiś czas nie mógł się uwolnić od wrażenia, że Wright pod względem umiejętności o głowę przerasta wszystkich innych współników zarządu. - Nawiasem mówiąc, wczoraj wieczorem poleciłem naszym prawnikom przygotować dokumenty w sprawie wykupu twojej agencji. Jak wspominałem, wszystko powinno być gotowe w ciągu miesiąca.

Stiles tylko pokręcił głową.

- Jak ty panujesz nad tyloma sprawami równocześnie, przyjacielu?

Wright z satysfakcją zakończył rozmowę z Maddoksem. Dyrektor naczelny Hush-Hush, dowiedziawszy się o zwiększeniu oferty o pięćdziesiąt milionów dolarów, zgodził się przesłać do biura Everestu wyłączny list intencyjny. Zatem jemu pozostało już tylko odpowiednio pokierować tą korespondencją. Wszystko układa się znakomicie, pomyślał, zerkając na numer telefonu wypisany niechlujnie na skrawku papieru, jaki dostał od człowieka, który kazał do siebie mówić „Paul”. Wszystko, poza tym jednym.

W zamyśleniu wybrał numer, w głębi ducha mając nadzieję, że Paul nie odbierze.

- Tak? - rozległ się w słuchawce jego szorstki głos.

- Tu David, David Wright. Miałem...

- Och, witaj, Davy - przerwał mu Paul. - Cieszę się, że dzwonisz. Podjąłeś właściwą decyzję. Więc co masz dla mnie na dzisiaj? Jakie plany ma twój szef?

Wright z trudem przełknął ślinę, żałując po raz kolejny, że los w ogóle zaprowadził go do tego sex-shopu w West Village. Żałował też, że nie umiał poskromić żądy. Ileż to razy żona go ostrzegła?

Chryste. Peggy. Gdyby ona się o tym dowiedziała...

Odepchnął od siebie te posępne myśli.

- Gillette wyleciał dziś rano do Waszyngtonu - odparł półgłosem.

Christian też mógł przez niego ucierpieć. A przecież był dla niego tak bardzo życzliwy? Czemu i jego wystawiał na zagrożenie.

- I...?

Nie odpowiedział.

- Davy?

Przemknęło mu przez myśl, żeby odłożyć słuchawkę i już nigdy nie dzwonić pod ten numer. Ale zaraz z jego pamięci wypłynął widok nagiej kobiety na stryczku, przypomniał sobie o zrobionych potajemnie zdjęciach. Nigdzie nie natknął się na wiadomość o znalezieniu zwłok na

ulicy w Village, a sklep był zamknięty, sprawdził to po tym, jak Paul zaczepił go przed domem. Najwyraźniej mówił prawdę i rzeczywiście wszystkim się zajęli.

Uzmysłowił sobie nagle, że musi grać tak, jak mu każą, gdyż stawką jest jego być albo nie być. Nie miał innego wyjścia. Zbyt dużo wysiłku włożył w to, by osiągnąć zajmowaną obecnie pozycję.

- Davidzie?!

- Wylądaje na lotnisku Reagana około dziewiętej trzydzieści, ma umówione spotkanie na dziesiątą. Po południu chce odwiedzić Chatham, małe miasteczko na Wschodnim Wybrzeżu w stanie Maryland, a następnie leci do Pittsburgha. Nie wiem, czy zostanie tam na noc. Tak czy inaczej, po powrocie do Nowego Jorku jutro zapewne cały dzień będzie w biurze.

- W którym hotelu w Pittsburghu się zatrzyma, jeśli nie wróci jeszcze dziś wieczorem do Nowego Jorku?

- Nie wiem.

- To się dowiedz.

Wright się zawahał.

- Dobrze.

- I dowiedz się, jakie ma plany na jutro. Na wszelki wypadek. Słyszalesz?

- Tak.

- Do mnie masz mówić: „Tak, proszę pana”. Zrozumialesz?

Prawie do krwi przygryzł język, zaraz jednak odpowiedział posłusznie:

- Tak, proszę pana.

Paul zachichotał chrapliwie.

- Grzeczny chłopczyk. Tak trzymaj, Davy. Pogadamy później.

Wright przerwał połączenie i powoli wsunął aparat komórkowy do kieszeni, zastanawiając się, czy w tej sytuacji Gillette zdoła wrócić żywy do Nowego Jorku. Nie potrafił tylko rozstrzygnąć, co to będzie oznaczało

dla niego, gdy ci ludzie coś zrobią jego szefowi.

Ganze podał mu przez telefon adres w Alexandria jakieś piętnaście kilometrów na zachód od Waszyngtonu. A więc, wbrew jego oczekiwaniom, daleko od śródmieścia. Nie wymienił jednak żadnej nazwy firmy doradczej bądź towarzystwa konsultingowego, w ogóle nie wspomniał o tym, dla kogo pracuje czy też kogo reprezentuje.

Wskazane miejsce nie wyróżniało się niczym szczególnym. Był to zwyczajny biurowiec, a pod podanym numerem znajdował się gabinet na czwartym piętrze, niemal na samym końcu korytarza. Na drzwiach nie było żadnej tabliczki ani napisu, w ciasnym sekretariacie czekał na nich tylko Ganze. Nie zgodził się wpuścić Stilesa do gabinetu Boyda, poprosił, by detektyw wraz z towarzyszącym mu agentem zaczekali w sekretariacie. Tonące w półmroku biuro obejmowało jedynie trzy gabinety, małe i skromnie urządzone. Ganze musiał przynieść krzesło z sąsiedniego pokoju, żeby mogli razem usiąść przed biurkiem Boyda.

- Po co ta cała tajemnica, zabawa w szpiegów? - zapytał Gillette, zwróciwszy uwagę na zamknięte żaluzje w oknie. - O co tu chodzi?

- Najpierw musi pan coś podpisać - rzekł Boyd, kładąc przed nim dokument z wykropkowanym miejscem na podpis, pod którym tłustym drukiem wypisano imię i nazwisko Gillette'a.

Szybko przebiegł wzrokiem krótką treść i z uśmiechem odłożył kartkę z powrotem. Było to zobowiązanie do zachowania ścisłej poufności wobec wszystkiego, co zostanie powiedziane w trakcie tego spotkania oraz w późniejszych rozmowach z Boydem i Ganze'em.

- Nie ma mowy. - Od razu go uderzyło, że za ujawnienie sekretu autorzy deklaracji grozili sankcjami według prawa federalnego do trzydziestu lat więzienia łącznie. - Za nic nie podpiszę czegoś takiego.

- Musimy mieć pewność, że będzie pan trzymał język za zębami - warknął Boyd. - Zostanie pan dopuszczony do ściśle tajnych informacji, o których nie wiedzą nawet najwyżsi rangą oficerowie CIA oraz FBI.

- Załóżmy na chwilę, że w ogóle wziąłbym pod rozwagę możliwość podpisania tego dokumentu. Z piątego punktu wynika, że władze mają prawo według własnego uznania określić, czy rzeczywiście nie dotrzymałem warunków umowy, ja zaś nie mam prawa do zaskarżenia tej decyzji i wystąpienia do sądu. - Pokręcił głową. - To przecież brzmi jak żart.

- Ale tylko w ten sposób możemy to załatwić - odparł gospodarz. - Gdybyśmy przyznali panu prawo do wystąpienia na drogę sądową, powstałaby groźba ujawnienia w trakcie procesu najściślejszych tajemnic państwowych, musielibyśmy więc pana natychmiast zlikwidować. Zatem to zobowiązanie w jakimś stopniu służy także pańskiemu bezpieczeństwu.

- Bzdura.

- Zdajemy sobie sprawę, że brzmi to groźnie - wtrącił pojednawczym tonem Ganze - ale jak dotąd nie napotkaliśmy nigdy żadnych problemów. Jeszcze nikt nie poszedł do więzienia z powodu podpisania tej deklaracji.

- Zawsze ktoś musi być pierwszy.

- Proszę się dobrze zastanowić - rzekł Ganze.

- Dałem swoje słowo - przypomniał mu Gillette. - Nie oczekujcie niczego więcej.

- Nam to nie wystarczy - rzucił groźnie Boyd.

- Wasza sprawa.

- Panie Gillette - zaczął jeszcze raz Ganze. - Naprawdę sądzę...

- Cóż, przykro mi, że wszyscy niepotrzebnie traciliśmy czas - prze-rwał mu Gillette, podnosząc się z krzesła.

- Siadaj - rozkazał Boyd.

Gillette jednak ruszył do wyjścia.

- Proszę zostać - pisnął błagalnym tonem Ganze.

Gillette odwrócił się.

- Na pewno przysięga pan dochować tajemnicy?

- Przecież już to obiecałem.

- Ale pan Boyd chciałby to usłyszeć na własne uszy. - Ganze ruchem ręki wskazał swego przełożonego.

Gillette spojrział na niego.

Ten po krótkim namyśle skinął głową.

- W porządku, obiecuję zachować wszystko dla siebie.

- Więzienie to nie jedyna kara, jaka wchodzi w grę - ostrzegł Boyd. - Mam nadzieję, że pan to rozumie.

- Daj spokój, Norman - wtrącił Ganze. - Naprawdę nie musimy...

- Tak, rozumiem - odezwał się posępnie Gillette, siadając z powrotem. Dla wszystkich było jasne, że groźba więzienia i tak pozostaje realna. Chciał tylko pozbawić ich najprostszego pretekstu, aby wpakować go do Leavenworth na resztę życia. Byłoby to gorsze niż śmierć.

Boyd skrzywił się z irytacją i ociężałe pokręcił głową. Jak gdyby był przemęczony nadmiarem odpowiedzialności, pomyślał Gillette. Przy najmniej to jedno ich łączyło.

- Czy słyszał pan o ANZPO? - zapytał gospodarz.

Gillette zamyślił się głęboko.

- Nie przypominam sobie. Co oznacza ten skrót?

- Agencję Naukową Zaawansowanych Projektów Obronnych.

- Ach, tak. - Dopiero teraz skojarzył tę nazwę. - Chodzi o tę jednostkę, w której narodził się Internet i GPS?

- Owszem. Z grubsza rzecz biorąc, to zespół najtęższych umysłów pracujących dla celów obronnych - wyjaśnił Ganze. - Agencja zatrudnia na kontraktach chemików, konstruktorów, biochemików, fizyków i innych specjalistów z najlepszych uniwersytetów i wszelkich placówek badawczych w całym kraju, po czym zleca im budowę broni nowej generacji czy jakichś systemów na użytek sił zbrojnych. Ale jak sam zaznaczyłeś, Christianie, wiele tych wspaniałych wynalazków ostatecznie znajduje także zastosowanie dla dobra całego społeczeństwa. Są to rzeczy, które albo ułatwiają codzienne życie, albo wpływają na bezpieczeństwo

ludzi, a w niektórych wypadkach służą po prostu rozrywce. Należy do nich myszka komputerowa czy hummer. Mnóstwo ludzi nie zdaje sobie sprawy, że te rzeczy skonstruowano w ramach finansowanych przez rząd tajnych projektów wojskowych, a dopiero później je odtajniono.

- I sprzedano z zyskiem - dodał Gillette. - Z tego także mnóstwo ludzi nie zdaje sobie sprawy.

- A cóż jest złego w tym, że rząd pragnie odzyskać jakąś część pieniędzy zainwestowanych w badania? - rzucił ostro Boyd. - Wszystkie firmy tak postępują.

Ganze uniósł wzrok do nieba.

- Norman, przestań...

- Ale rząd nie jest firmą nastawioną na zysk - odparł szybko Gillette.

- Przynajmniej w założeniu nie powinien się do takiej upodabniać.

- Nie bądź naiwny - syknął gospodarz.

- Możecie mi wierzyć, że nie jestem. - Coraz trudniej przychodziło mu zachować spokój. - Nie miałbym nic przeciwko temu, gdyby osiągnięte w ten sposób zyski skutkowały na przykład redukcją podatków, ale z tego, co słyszałem, jedynym skutkiem są waszyngtońscy politycy, którzy przechwalają się na lewo i prawo swoimi złotymi interesami polegającymi na sprzedaży państwowych wynalazków. Wątpię, czy właśnie o taką wizję państwa chodziło Waszyngtonowi i Jeffersonowi.

- Waszyngton i Jefferson nie musieli się martwić o swoje dochody, bo pochodzili z bogatych rodzin - wypalił Boyd.

Gillette postanowił nie dyskutować dalej.

Gospodarz jeszcze przez jakiś czas zerkał na niego spode łba, wreszcie ułożył obie dłonie płasko na biurku i powiedział:

- Lepiej wracajmy do sedna sprawy. Wolę się nie wdawać w żadne filozoficzne dyskusje na temat tego, czy rząd powinien, czy nie powinien robić interesów. Lepiej skoncentrujmy się na tym jednym zadaniu, co do którego raczej wszyscy jesteśmy zgodni, że wchodzi w zakres

powinności naszego rządu. Mam na myśli obronę kraju przed wrogami. - Uniósł obie ręce w obronnym geście. - Zgoda? Gillette przytaknął ruchem głowy.

- Świetnie. - Boyd milczał przez chwilę, zbierając myśli. - Jak już wspominałem, misją ANZPO jest opracowywanie militarnych technik obronnych nowej generacji. Na przykład sprzętu do Wojen Gwiezdnych, indywidualnych kamizelek zdolnych udzielić pierwszej pomocy, zanim ranny trafi do szpitala, systemu telepatycznego wydawania poleceń pilotom myśliwców, badań w zakresie snu hemisferycznego, pozwalającego jednej półkuli mózgu pracować, podczas gdy druga odpoczywa, przez co żołnierz mógłby efektywnie toczyć walkę przez okrągłą dobę, automatycznie ściemniającego się szkła, które pozwoliłoby przynajmniej częściowo ocalić wzrok pilota w czasie wybuchu jądrowego. Tego typu zaawansowane techniki, jeśli nawet sprawiają dziś wrażenie elementów fantastyki naukowej, wcześniej czy później staną się rzeczywistością.

- I wy pracujecie dla ANZPO? - zapytał Gillette.

- Nie formalnie, ale ściśle współpracujemy z agencją - odparł Ganze.

- My należymy do RDBZ, Rządowego Departamentu Badań Zaawansowanych. Naszym celem jest zarządzanie projektami naukowymi zbyt tajnymi, by powierzyć je w całości agencji.

- Dlaczego ANZPO nie może prowadzić badań o najwyższym stopniu tajności?

- Jak większość agencji, ANZPO z czasem obrosła w infrastrukturę i, co gorsza, wyrobiła sobie reputację - odezwał się znowu Boyd. - Oczywiście znakomitą reputację, to mogę zapewnić, tyle że w tej dziedzinie należałoby operować tak cicho jak atomowa łódź podwodna na maksymalnej głębokości. I najlepiej nie mieć żadnej reputacji. Inną przyczyną pojawiających się problemów z zachowaniem ścisłej tajemnicy jest okresowy charakter zatrudnienia. Jak już mówiłem, ściągamy fachowców

z sektora prywatnego, z czego nie są zadowolone ani ich macierzyste firmy, ani uczelnie, dlatego zachodzi konieczność uwalniania ludzi na pewnym etapie. Powstaje więc rodzaj obrotowych drzwi, przez które od czasu do czasu wyciekają różne informacje.

- Rozumiem.

- Stąd zaistniała konieczność utworzenia rządowej placówki nadzorującej ściśle tajne projekty i likwidującej ewentualne przecieki.

- Na przykład jakie? - zainteresował się Gillette.

- Oczywiście chodzi głównie o szpiegów zainteresowanych projektami związanymi z bezpieczeństwem narodowym. Rzecz jasna, nie obchodzą nas te wynalazki opracowane przez ANZPO, które w najbliższym czasie mają zostać odtajnione. - Boyd zachmurzył się jeszcze bardziej. - Są jednak określone badania, które na zawsze powinny zostać w ukryciu, i to przed wszystkimi, począwszy od terrorystów, a skończywszy na niektórych naszych senatorach i kongresmenach. Nie jestem zwolennikiem utrzymywania czegokolwiek w tajemnicy przed ludźmi stanowiącymi prawo w tym kraju, jednakże część z nich po prostu nie umie trzymać języka za zębami. Smutne to, ale prawdziwe.

- Wiem coś na ten temat - przyznał Gillette półgłosem. - Zakładam więc, że macie właśnie taką sytuację - dodał, uprzedzając Boyda. - Mam na myśli problem natury szpiegowskiej.

- Zgadza się. Do tego chodzi o projekt wywodzący się z jednej z najbardziej niesamowitych dziedzin, z jakimi się do tej pory zetknęliśmy. Musimy za wszelką cenę ją zabezpieczyć.

Gillette był coraz bardziej zaciekawiony.

- Co to za dziedzina?

Boyd patrzył mu w oczy przez kilka sekund, zanim odpowiedział:

- Nanotechnika.

Gillette skinął głową. To pojęcie nie było mu obce.

- Chodzi o umiejętność tworzenia określonych struktur na poziomie molekularnym - ciągnął Boyd. - Mówię na przykład o samokonstruujących się mikromaszynach rozmiaru jednej osiemdziesiątysięcznej średnicy ludzkiego włosa.

Gillette kilkakrotnie spotykał się z odważnymi i agresywnymi inwestorami, którzy wpakowali kupę forsy we wstępne badania z tego zakresu.

- Wiem, że bardzo dużo robi się w tej dziedzinie, lecz ludzie, z którymi rozmawiałem, twierdzą, że jakiegokolwiek konkretne rozwiązania są jeszcze kwestią przyszłości. Trzeba będzie zaczekać trzydzieści albo czterdzieści lat, nim badania przyniosą pożytek. Niektórzy powtarzali nawet, że może nie wynikać z tego nic praktycznego, że to jedynie wabik naukowców i instytutów badawczych, by zdobyć fundusze na podtrzymanie rozrzutnego trybu życia. Nie wątpię, że w tej materii ludzie, z którymi rozmawiałem, mieli naprawdę sporo doświadczenia.

- Więc lepiej zapomnijmy o tym „kiedy” i skupmy się na „co” - podsunął Boyd. - Proszę pomyśleć, jakie korzyści może przynieść ta nauka, zwłaszcza pod kątem naszych możliwości wojskowych i wywiadowczych. - W jego oczach pojawiły się błyski podniecenia. - Moglibyśmy tworzyć superżołnierzy. Wykorzystując maszyny nanotechniczne, człowiek mógłby ze stukilogramowym obciążeniem najnowszego sprzętu bojowego poruszać się trzy razy szybciej niż dzisiejsi sprinterzy. Mógłby nosić grubą broń zdolną wytrzymać niemal wszystko, a mimo to zachować pełną sprawność. Mógłby zostać wyposażony w urządzenia komputerowe i ciężkie uzbrojenie, przy którym dzisiejszy żołnierz przypominałby średniowiecznego woja. Stałby się wręcz nieśmiertelny.

- W jaki sposób nanotechnika może być pomocna w tworzeniu owych superżołnierzy? - zapytał Gillette.

- Naukowcy skonstruowaliby egzozszkielety, będące czymś w rodzaju inteligentnej zbroi mogącej sztucznymi muskularni wzmacniać naturalne zdolności organizmu. Urządzenia byłyby synchronizowane poprzez sieć mikroczujników rozmieszczonych w ciele żołnierza.

- Ale ja pytałem jak!

- Mówimy o maszynach sterowanych za pomocą mikrokomputerów, nanokomputerów, odczytujących polecenia z mózgu człowieka. Impulsy z ludzkiego układu nerwowego zamieniane są na sygnały zrozumiałe dla egzozszkieletu. Jego głównym zadaniem jest wzmocnienie naturalnych zdolności żołnierza. To znacznie szybsze i dużo bardziej efektywne od wszelkich specjalistycznych szkoleń. Można wręcz mówić o urzeczywistnieniu mitu supermana, Christianie. - Boyd urwał dla zaczerpnięcia tchu. - Do tego dochodzi cała sfera napraw. Skalpele i klamry w porównaniu z możliwościami idealnej maszyny nanotechnicznej są jak narzędzia rzeźnika. Będziemy w stanie wymieniać nawet pojedyncze martwe komórki na nowe, odtwarzać i regenerować całe organy. I to błyskawicznie. Słowo blizna przejdzie do lamusa. Co ważniejsze, będziemy mogli zwalczać infekcje na poziomie molekularnym, wysyłać całe armie nanoterminatorów do niszczenia komórek nowotworowych, zabijania wirusów AIDS i jakichkolwiek innych mikrobów. - Rozłożył szeroko ręce. - O tym wszystkim na razie możemy tylko pomarzyć. Możliwości wydają się nieograniczone.

Gillette odczuwał niemalże zawrót głowy. Był autentycznie zafascynowany.

- Wspomniał pan także o zadaniach wywiadowczych. Jakie zastosowania wchodzą w grę w tym zakresie?

- Będziemy mogli wszczepiać tajnym agentom niewykrywalne nano-układy, na przykład mikrokamery do filmowania całego otoczenia, rejestratory audio i wideo, z których później łatwo odczyta się zapisane informacje. Niczym nie trzeba będzie obciążać pamięci. No i uniknie się

wielu błędów. - Uniósł w górę dłoń. - Co więcej, w sytuacjach, gdzie nie mamy żadnego dostępu, będziemy mogli w podobny sposób wykorzystywać niczego nieświadomych wrogów.

- Jak?

- Powiedzmy, że zależy nam na podsłuchiwaniu rozmów prowadzonych w rosyjskiej ambasadzie w Waszyngtonie. Umieszczamy nano-układ wywiadowczy w kroplach do nosa czy też tabletkę aspiryny rosyjskiej sekretarki, która się przeziębila, albo w jakimkolwiek innym leku ambasadora bądź kogoś z jego najbliższego otoczenia, kto, dajmy na to, cierpi na migrenę. Nanomaszyna sprzężona z tym układem wprowadza go w określony rejon ciała naszego obiektu, a więc do oka czy do ucha, i tak oto uzyskujemy bezpośredni kontakt z ambasadą, o którym nikt nie ma pojęcia. Koniec z kopaniem tuneli pod ulicami, z samobójczymi misjami w celu umieszczenia urządzenia podsłuchowego, które i tak w krótkim czasie zostanie znalezione, przez co ludzie narażają się na zbędne ryzyko.

Było jasne, że wszystkie te pomysły mają także negatywne implikacje. Rodziło się tylko pytanie, jak bardzo negatywne.

- Czego zatem chcecie ode mnie? - zapytał Gillette.

- Sam pan powiedział, że ludzie, z którymi pan rozmawiał, ci, którzy zapoznali się z tematem, twierdzili, że od praktycznych zastosowań nanotechniki dzieli nas jeszcze dziesięciolecie, że może jest to wyłącznie wabik wykorzystywany przez naukowców do tego, by utrzymać dotychczasowy styl życia za pieniądze inwestorów, w tym także rządu, któremu bardzo by zależało na takich wynalazkach.

- Nie przypominam sobie, żebym coś takiego mówił - wtrącił Gillette. - Ale rozumiem, do czego pan zmierza.

- Otóż to nie jest tylko wabik, Christianie. Jesteśmy już blisko. - Boyd zerknął na Ganze'a. - Bardzo blisko.

Gillette patrzył to na jednego, to na drugiego. Przyszło mu do głowy pytanie, ile jeszcze równie doniosłych tajemnic ci dwaj skrywali.

- Więc gdzie w tym jest miejsce dla mnie?

- Właśnie do tego zmierzam - odparł Boyd. - Do tej pory ów projekt był prowadzony przez ANZPO, tyle że nie w siedzibie agencji, która znajduje się w Arlington, niedaleko stąd, ale w jednym z uniwersytetów na północnym wschodzie kraju. Nieszczęśliwie się złożyło, jak słusznie się pan domyślił, że powstał problem natury szpiegowskiej. Otóż z kierownikiem sekcji biochemicznej projektu skontaktował się człowiek mający bliskie powiązania z al Kaidą. Ludzie nadzorujący badania o niczym nie wiedzą, ale są pod stałą obserwacją. Tak więc ów biochemik i wysłannik al Kaidy spotkali się dotychczas trzykrotnie. Nie byliśmy w stanie zarejestrować ich rozmów, sądzymy jednak, że nie stać nas na luksus straty czasu ani traktowanie człowieka zgodnie z zasadą przywileju wątpliwości.

- Co zamierzacie?

- Skorzystać z twojej pomocy, Christianie. Musimy wydrzeć cały projekt agencji ANZPO i ukryć go za makieta.

To określenie również nie było mu obce. Podczas któregoś obiadu senator Clark opisywał mu, jak to rządowe agencje niekiedy wykorzystują firmy prywatne do ukrycia, czy może raczej zamaskowania, szczególnie wrażliwych operacji prowadzonych przez CIA, DEA, NSA bądź inne agencje wywiadowcze. Na przykład International Telephone and Telegraph Company, instalując swoje centrale telefoniczne, na zlecenie władz amerykańskich rozmieszczało też urządzenia podsłuchowe w ambasadach obcych państw, głównie w Ameryce Południowej. Tego rodzaju makiety stawały się ostatnio coraz powszechniejsze, przy czym w przedsiębiorstwach tworzących zasłonę tylko parę najwyższej postawionych osób znało prawdę. Ciekawe, ile firm z listy Fortune 500 było zaangażowanych w tego rodzaju działania.

- Chcecie wykorzystać którąś z firm należących do Everestu? - zapytał Gillette, domyślając się istoty rzeczy.

- Zgadza się.

- Dlaczego po prostu nie odsuniecie od swojego projektu tego naukowca, który pozostaje w kontakcie z terrorystami? Albo przynajmniej nie zlikwidujecie jego powiązań z al Kaidą?

Boyd pokręcił głową.

- To by tylko uświadomiło terrorystom, że wiemy o ich działalności. Mogliby wówczas szukać kontaktu z innym naukowcem albo nawet wpaść w panikę i zrobić coś głupiego. Sądzymy, że lepszym pomysłem będzie potajemne przeniesienie najważniejszych elementów projektu z agencji ANZPO do którejś z pańskich firm. Już ją nawet wytypowaliśmy.

- Więc którą firmę chcecie wykorzystać?

- Beezera Johnsona, producenta sprzętu medycznego. A konkretnie tę filię, która wytwarza rozruszniki serca, sztuczne zastawki i podobne specjalistyczne artykuły. Znakomicie się nadaje do naszych celów z różnych względów. Po pierwsze i najważniejsze, znajduje się w Minneapolis. Jeden z głównych kierujących projektem nanotechnicznym, człowiek, któremu bezwzględnie ufamy, pochodzi właśnie z Minneapolis i ma dobre kontakty z tamtejszym wydziałem medycznym uniwersytetu oraz kliniką Mayo w Rochester. Wszystkie te powiązania mogą się nam bardzo przydać po zakończeniu projektu. Zamierzamy przenieść tę kobietę i dwóch członków jej zespołu do laboratoriów Beezera Johnsona w Minneapolis. Uzupełnimy tę grupę o parę osób, które ona sama wybierze z różnych uczelni i instytucji amerykańskich, żeby zastąpić nimi tę część zespołu, która pozostanie w dotychczasowym miejscu prowadzenia badań.

- To znaczy gdzie?

- Nieważne.

- Czy ci ludzie, którzy zostaną na starym miejscu, a zwłaszcza człowiek będący w kontakcie z wysłannikiem terrorystów, nie nabiorą podejrzeń, gdy pewnego dnia część ekipy po prostu nie pojawi się w pracy?

- Nie - odparł szybko Boyd. - Zaaranżujemy wypadek, Christianie, katastrofę lotniczą. Nikt, włączając w to nawet bliskich i przyjaciół, do czasu zakończenia projektu nie będzie wiedział, że ci ludzie są cali i zdrowi. Kiedy wszystko dobiegnie końca, będą mogli wrócić do swoich domów. Mamy nadzieję, że nie potrwa to dłużej niż pół roku.

- Naprawdę mówimy o ludziach mających rodziny? Mężów, żony, dzieci...

- Owszem, wszyscy pozostają w związkach małżeńskich i wszyscy mają dzieci - wtrącił Ganze. - Niestety.

Gillette mruknął gardłowo.

- Nie moglibyście chociaż wtajemniczyć małżonków, co się naprawdę dzieje?

- Nie możemy ryzykować zdemaskowania - rzucił ostro Boyd.

- A jeśli ktoś ze zrozpaczonych najbliższych popełni samobójstwo?

- Zamierzamy dokładnie monitorować reakcje ludzi - odparł Ganze. - Trzeba mieć nadzieję, że w porę rozpoznamy objawy załamania nerwowego i zdołamy zainterweniować...

- W ogólnym rozrachunku nie mogę się przejmować takimi rzeczami - przerwał mu Boyd, podnosząc nieco głos. - Moim zadaniem jest ochrona projektu oraz bezpieczeństwa kraju. Nie mogę dopuścić, żeby cokolwiek z naszych zdobyczy wpadło w ręce wroga. Tajemnicę trzeba utrzymać za wszelką cenę. Jeśli ktoś jest na tyle słaby, że nie widzi innego wyjścia poza samobójstwem po stracie współmałżonka, to już nie moje zmartwienie. Nie zamierzam tracić ani chwili snu z tego powodu. Czynię starania, aby polepszyć życie milionom obywateli, nie mogę się więc przejmować jednostkami. - Dumnie zadarł brodę. - Zatem, czy zgodzi się pan z nami współpracować?

- Jeszcze nie wiem.

- To proszę szybko się zdecydować.

Gillette odchylił się na oparcie krzesła.

- A co z pytaniami, które mnie nurtują?

Boyd ruchem głowy wskazał Ganze'a.

- Danielu.

Ten wyjął z kieszeni marynarki maleńki notes.

- Oto, co mogę powiedzieć już teraz.

Gillette wyprostował się i popatrzył mu w oczy.

- Twoja matka nadal mieszka w Los Angeles. Nazywa się Marilyn McRae.

- Skąd to wiecie?

Ganze ostrzegawczo uniósł dłoń.

- Tylko nie próbuj się z nią jeszcze kontaktować. Najpierw my musimy z nią porozmawiać. Daj nam dwadzieścia cztery godziny.

- W porządku. - Gillette czuł, jak z każdą sekundą serce wali mu coraz mocniej. - A co wiecie o moim ojcu?

- Z tego, co udało mi się dowiedzieć, co ujawnili moi informatorzy, twój ojciec szesnaście lat temu natrafił prawdopodobnie na spisek mający na celu zabójstwo prezydenta. Wiele spraw wymaga jeszcze wyjaśnienia, powinienem wiedzieć więcej za kilka dni, ale na razie wygląda na to, że senator zdemaskował grupę lewackich konspiratorów pragnących usunąć z drogi George'a Busha. Nic z tych planów nie wyszło, ale twój ojciec stracił życie, żeby nie mógł nikogo powiadomić o wykrytym spisku.

Pokój zafalował mu przed oczyma.

- Co takiego? - wyszeptał Gillette chrapliwie.

- Wiem, że brzmi to niewiarygodnie, ale naszym zdaniem tak właśnie było. Jak już powiedziałem, za kilka dni powinienem otrzymać dalsze informacje.

- Czy możemy zatem liczyć na pańską pomoc? - warknął Boyd.

Gillette spojrział na niego.

- Więc jak? - dodał tamten.

W zamyśleniu kilka razy przenosił wzrok z jednego swojego rozmówcy na drugiego. Niemal na każdym kroku podejmował ogromne ryzyko. Ale jeszcze nigdy nie musiał ryzykować aż tak dużo.

Przelot na Wschodnie Wybrzeże miał zająć ledwie kilka minut. Gdy tylko silniki odrzutowca ryknęły z pełną mocą, a maszyna ruszyła po pasie startowym, Gillette odchylił głowę na oparcie fotela, próbując się odprężyć. Ale nie było to łatwe. Nurtowały go dziesiątki różnych myśli. A więc jednak ojciec padł ofiarą morderstwa. Od dawna to przeczuwał, ale dopiero teraz rysowała się szansa na znalezienie dowodów. No i w końcu zyskał sposobność, żeby poznać swoją naturalną matkę.

Desperacko pragnął, by Faith odpowiedziała na jego telefon. Niewiele mógł jej powiedzieć o przebiegu rozmów w stolicy, ale bardzo mu zależało, żeby podzielić się z nią nowiną o poznaniu tożsamości matki.

- Co się stało?

Obrócił się z fotelem do Stilesa, ale przez kilka sekund w milczeniu tylko spoglądał mu w oczy.

- Nie bądź taki tajemniczy, Chris - rzekł z naciskiem detektyw. - Co się wydarzyło?

Gillette przeciągnął obiema dłońmi po włosach.

- Zawarłem z nimi umowę.

- Tylko tyle? Codziennie zawierasz jakieś umowy.

- Ale ta jest niezwykła. - Wyrzwał przez okno na oddalającą się ziemię. Powietrze było całkiem przejrzyste, toteż otworzyła się przed jego oczami piękna panorama Waszyngtonu. - Zgodziłem się, żeby wykorzystać jedną z naszych firm w zamian za informacje mające wartość jedynie dla mnie. - Przerwał, zastanawiając się, czy może usprawiedliwić zawartą umowę względami bezpieczeństwa narodowego, ale przecież nie z tego powodu ostatecznie zgodził się na współpracę. - Dla mnie to pierwszy tego rodzaju pakt i nie czuję się przez to najlepiej. Ale po prostu muszę poznać prawdę o okolicznościach śmierci mojego ojca - dodał półgłosem.

- Kim są ci ludzie.
- Tego nie mogę zdradzić.
- Dlaczego?

Gillette wiedział, że Stiles nigdy by nikomu nie powiedział o niczym, co on kazałby mu zatrzymać tylko dla siebie, ale nie to było najważniejsze. Ludzie pokroju Boyda nie rzucali czczych pogróżek. Gdyby tamten się domyślił, że detektyw coś wie na temat poczynań jego i Ganze'a, Stiles znalazłby się w niebezpieczeństwie. Tylko dopóki naprawdę o niczym nie miał pojęcia, miał szansę wyjść cało z ewentualnej opresji.

- Dla twojego własnego dobra.
- Och, daj spokój...
- Wcale nie żartuję.
- Powiedzieli ci przynajmniej coś konkretnego?

Przytaknął ruchem głowy.

- Owszem. Wiedzą, kto jest moją naturalną matką. W każdym razie tak twierdzą - dokończył ciszej.

- Kiedy zamierzasz się z nią skontaktować?
- Jutro. Jak tylko podadzą mi jej numer telefonu.
- A co w sprawie katastrofy samolotu, w której zginął twój ojciec?

Dowiedziałeś się czegoś nowego?

- Niespecjalnie. Obiecali, że w tej sprawie też będą mieć więcej informacji za kilka dni.

- Zatem bierzesz ich na poważnie?

- Odpowiem ci na to, jak porozmawiam z kobietą, która według nich jest moją matką. - Gillette westchnął ciężko. - Quentinie, muszę cię prosić o przysługę, i to taką, którą trzeba załatwić bardzo dyskretnie.

- O co chodzi?
- Chcę, żebyś sprawdził dla mnie Allison.
- Zdaje się, że Craig West już to zrobił.
- Chcę, żebyś sprawdził coś, co on przeoczył. Muszę wiedzieć, czy

ona zażywa narkotyki. Głównie kokainę.

- Co ci nasunęło podejrzenie, że może ćpać?

Gillette wzruszył ramionami. Niezręcznie się czuł, wyciągając tę sprawę na światło dzienne, ale nie miał wyboru. Musiał przede wszystkim troszczyć się o inwestorów.

- Podczas kolacji bez przerwy ciągała nosem, zwłaszcza gdy wróciła z toalety. Wyjaśniła, że cierpi na alergię, ale jakoś nie chce mi się w to wierzyć.

Stiles skrzywił się z niesmakiem.

- Zawsze podejrzewasz to, co najgorsze - mruknął cicho.

- Muszę.

- Dobra, sprawdzę to - odparł detektyw spiętym głosem. - Tylko czemu aż tak bardzo cię to obchodzi? Przecież i tak masz pieniądze z jej rodzinnego funduszu. Jeśli jest uzależniona od białego proszku, po prostu odstaw ją na boczny tor, ale pieniądze zatrzymaj. - Urwał na chwilę. - Na pewno nic więcej się za tym nie kryje?

Gillette od razu się domyślił, o co mu chodzi.

- Nie.

- Nie oszukuj, Chris. Jesteś nią zainteresowany? Mnie przecież możesz powiedzieć prawdę.

- Nic z tych rzeczy nie wchodzi w rachubę, Quentinie. Mówię poważnie. Chodzi o to, że jest dobra. Nawet bardzo dobra. I ma cholernie dużo powiązań - zawahał się. - Wniosłaby wiele dobrego do firmy, gdyby została z nami na stałe. Może nawet na pewnym etapie mogłaby przejąć ode mnie cały kram. - Pokręcił głową. - Ale nie ma co o tym marzyć, jeśli jest kokainistką.

- Myślisz o przekazaniu firmy? A ty dokąd się wybierasz?

- Donikąd. Przynajmniej jeszcze przez jakiś czas. W każdym razie mam taką nadzieję. Oczywiście dopóki Tom McGuire pozostaje na wolności, niczego nie można być pewnym.

- Sądziłem, że szykujesz na swojego następcę Davida Wrighta. Odnosiłem wrażenie, że to on jest twoim pupilkiem.

- Nigdy nie zaszkodzi mieć jakiś wybór.

- Czy nie jest trochę za wcześnie, żeby już przymierzać Allison do fotela prezesa? Jezu, przecież ledwie się poznaliście.

- Wierzę swoim przeczuciom. Znasz mnie pod tym względem. A w tym wypadku przeczucie mi mówi, żeby brać ją pod uwagę.

- Tylko nie zapominaj, Chris, że krew nie woda - przestrzegł detektyw. - Któregoś dnia ona zechce wrócić do domu, do Chicago. - Przekrzywił głowę na bok i zapytał: - Ale trochę ją lubisz, prawda? No, przyznaj się. Trochę.

Gillette próbował powstrzymać szeroki uśmiech, ale nie zdołał.

- Muszę przyznać, że całkiem niezła z niej sztuka.

- A co z Faith?

Westchnął przeciągle.

- No właśnie, Faith. - Sięgnął po telefon, usiłując zapomnieć, ileż to razy dzwonił do niej poprzedniego wieczoru.

Stiles wychylił się z fotela i podsunął mu gazetę złożoną w grubą kostkę wielkości notatnika.

- Odłóż słuchawkę, Chris. Zajmij się czym innym.

- Co to jest?

- Krzyżówka. Pozwoli ci się oderwać od wielu spraw.

Miles Whitman wyszedł na tonącą w kwiatach werandę swojej obszernej piętrowej willi i zapatrzył się, jak nad błękitną tonią Morza Śródziemnego powoli gaśnie kolejny piękny wieczór na francuskiej Riwierze.

W listopadzie podróżował z lotniska Kennedy'ego do Mediolanu straszliwie zdenerwowany. Jednakże zaledwie wysiadł z boeinga i wtopił się w tłum zapełniający halę lotniska, od razu poczuł się lepiej. Jeszcze większą ulgę poczuł, gdy po wyjściu z hali złapał taksówkę i kazał się

zawieść do centrum. Spędził w Mediolanie dwa tygodnie, następne dwa w Rzymie, potem miesiąc w Atenach i trzy miesiące w Lizbonie, zanim w końcu osiadł na południu Francji. Przebywał tu już od pięciu miesięcy. I był bezpieczny, dopóki nie postępował jak ostatni idiota. Wiedział, że kryjący go ludzie - ci sami, którzy pomogli mu ulokować czterdzieści milionów dolarów w zamian za możliwość wykorzystywania przez ostatnie dziewięć miesięcy towarzystwa North America Guaranty jako własnej zakamuflowanej maszyny szpiegowskiej - nigdy nie obrócą się przeciwko niemu.

Wciągnął głęboko w nozdrza bogatą woń kwiatów, ciesząc się myślą, że wkrótce powinna wrócić Monique. Na samo wspomnienie jej niebiańskiego, dwudziestoczteroletniego ciała serce zaczynało mu bić mocniej. Bo Monique potrafiła robić takie rzeczy, że sama myśl o nich doprowadziłaby jego żonę w Connecticut do apopleksji. Ten mały francuski kociaś był teraz jego jedynym towarzyszem życia, oczywiście dopóki pozwalała jej robić codziennie zakupy w najdroższych butikach. *C'est la vie*, pomyślał. Nie ma niczego za darmo.

Zawrócił i wszedł z powrotem do salonu, ale stanął jak wryty na widok człowieka, którego nigdy wcześniej nie widział, stojącego z rękami założonymi do tyłu.

Whitmanowi wystarczył jeden rzut oka, żeby wykonać zwrot na pięcie i podjąć ryzyko skoku z werandy drugiego piętra, niestety, przejście zablokowało mu dwóch osiłków, którzy pospiesznie weszli do środka i zamknęli za sobą drzwi werandy, odcinając mu jedyną drogę ucieczki. Spojrzał błyskawicznie w lewo, na jeszcze jednego mężczyznę, niższego, z cygarem w zębach, który właśnie wyszedł z łazienki. Tego znał.

- Witaj, Miles - zagadnął tamten, podchodząc do Whitmana. - Obawiam się, że ta eskapada źle się dla ciebie skończy. Możesz jednak ułatwić nam zadanie, a samemu uniknąć cierpienia. W przeciwnym razie

czekają cię bardzo trudne chwile. Naprawdę bardzo trudne. Wybór należy do ciebie. Wystarczy, że odpowiesz na kilka pytań, a obiecuję, że koniec nastąpi szybko i łatwo. - Usiadł na stojącym nieopodal fotelu na biegunach. - Więc jak? Porozmawiamy?

Rozdział 9

- Nie lubię pana. Ani trochę.

Lepiej powiedz mi, co naprawdę czujesz, przemknęło mu przez myśl.

- Przecież dopiero się poznaliśmy. Jeszcze nic pani o mnie nie wie.

- Dobrze znam takich, jak pan.

Becky Rouse była wysoka i chuda, nieco po czterdziestce, z ciemnon blond włosami do ramion, piwnymi oczami i miną wyrażającą stanowczość. Piastowała stanowisko burmistrza Chatham w stanie Maryland, malowniczej trzystuletniej wioski rybackiej położonej na północnym brzegu rozlanej szeroko rzeki Chester, kilka kilometrów od jej ujścia do zatoki Chesapeake.

Po raz pierwszy zwyciężyła w wyborach przed pięcioma laty, zatem była burmistrzem już drugą czteroletnią kadencję. Przeniosła się do Chatham z Waszyngtonu po burzliwym rozwodzie z mężem prawnikiem, niemal dosłownie wybierając sobie nowe miejsce zamieszkania metodą rzucenia strzałką w mapę rozpiętą na kuchennej ścianie. Pochodziła z Georgii, ale nie chciała wracać w rodzinne strony. Krewni pogardzali nią za to, że wyszła za jankesa.

Zaraz po przeprowadzce do Chatham zaprzyjaźniła się z grupką kobiet zasiadających w radzie miejskiej i to one ją namówiły, żeby wystartowała w wyborach jako rywalka ówczesnego burmistrza Jimmy'ego Wilcoxsa. Ten był bowiem zręcznym kapitanem kutra do połowu krabów i codziennie opróżniał skrzynkę budweisera, zarówno zimą, jak i latem, w deszczu czy słońcu, w zdrowiu czy chorobie.

Właśnie z powodu słabości do piwa nie dało się z nim wytrzymać, niezależnie od tego, czy danego dnia udało mu się wyciągnąć pułapki pełne krabów, czy też puste.

W ramach kampanii wyborczej Becky wytknęła Jimmy'emu, że w trakcie swojej kadencji opuścił ponad sześćdziesiąt procent posiedzeń rady, kupił sobie nową półciężarówkę za pieniądze z kasy miejskiej, a największy osobisty wkład wniósł w to, że dochody z turystyki spadły o dwadzieścia pięć procent. W pierwszych wyborach pokonała Wilcoxsa o niespełna trzysta głosów. W ostatnich odniosła druzgocące zwycięstwo.

W Chatham mieszkało niespełna dwadzieścia tysięcy ludzi, z których większość nie ukończyła nawet szkoły średniej. Jak wszędzie, ludzie ci dzielili się na tych, którzy mają, i tych, którzy nie mają. Pierwsza grupa obejmowała spadkobierców wielkich rodowych posiadłości z minionych wieków, bogatych emerytów, którzy przyjechali tu z Wilmington, Baltimore czy Waszyngtonu, rozmaitych yuppie, lekkoduchów i artystów, mających najczęściej tylko letnie domki nad wodą, oraz właściciele sklepów przy nadrzecznej promenadzie. Do drugiej zaliczali się rybacy i łowcy krabów z zatoki Chesapeake, jak też farmerzy od lat uprawiający okoliczne ziemie bez większych efektów.

Ci pierwsi niezbyt chętnie głosowali na Becky w pierwszych wyborach, gdyż nie wiedzieli, czego się można po niej spodziewać. Ale stali się jej zwolennikami, gdy zaraz po elekcji zdołała wywalczyć spore pieniądze z funduszu federalnego na restaurację zabytkowych domów przy promenadzie, zarządziła pogłębienie i rozbudowę przystani, żeby duże jachty morskie też mogły przybijać do miasta, a pływający nimi ludzie korzystali z tutejszych barów i restauracji, przeniosła małą estetyczną i śmierdzący targ rybny na drugi koniec miasteczka, wreszcie zainicjowała dwa głośne weekendowe festyny firmowane przez redakcję „The Washington Post” oraz wychodzącego w Baltimore „Sun”. Nagle miasto zaczęli odwiedzać turyści. Sklepy i restauracje zwielokrotniły obroty,

ceny nieruchomości ostro poszły w górę.

- A niby do jakich, pani zdaniem, należą? - zapytał Gillette, gdy szli powoli skąpaną w popołudniowym słońcu Main Street. Pani burmistrz była w ciemnych okularach, żakiet od garsonki przerzuciła przez ramię.

Uśmiechnęła się przyjaźnie do mijanej matki z dwojgiem małych dzieci, po czym zerknęła podejrzliwie na dwóch agentów QS podążających za nimi krok w krok.

- Do tych, którym zależy wyłącznie na pieniądzach. Pan zawsze miał pieniądze i zawsze będzie je miał, a jedynym motorem pańskiego działania jest odwieczna chęć ich pomnażania.

- Chyba powinna pani wiedzieć...

- Chce pan zbudować na zachodnim krańcu miasta wielki supermarket - ciągnęła - a tym samym zniszczyć wszystko, co z takim trudem budowałam, i to tylko w imię zysków. Właśnie do takich ludzi pana zaliczam.

- Jakim sposobem supermarket może zrujnować to, co pani zbudowała?

- Odbierze klientom handlarzom z nadrzecznej promenady.

- Czyli, inaczej mówiąc, da niezbyt zamożnym ludziom mieszkającym w tej okolicy możliwość zaopatrywania się w godziwe produkty po przystępnych cenach bez konieczności wyprawiania się aż do Delaware po podstawowe artykuły spożywcze czy zabawki dla dzieci.

Becky prychnęła pogardliwie.

- Mieszkańcy tego miasta radzą sobie i bez supermarketu.

- Nieprawda. Rozmawiałem z paroma osobami, które mają pani za złe blokowanie naszej inwestycji. - Przed spotkaniem z Becky Gillette obszedł całą przystań i rzeczywiście rozmawiał z kilkoma rybakami, którzy wrócili z przedpołudniowych połowów. - Mieszkańcy chcieliby tego supermarketu.

Oskarżycielsko wymierzyła w niego palec.

- Niech się pan nie stawia w roli orędownika biednych. Panu zależy na tej inwestycji tylko po to, żebyście mogli wygrać rywalizację z Wal-Martem. Pod względem geograficznym Chatham ma dla was strategiczne położenie. Umiem czytać mapę. Wycofaliście wszystkie pozostałe oferty. To świadczy wyraźnie, że dbacie wyłącznie o własny interes. Jeśli już uda się wam postawić tu supermarket, nigdy więcej nawet nie zajrzycie do Chatham. Wróćcie do swoich luksusowych posiadłości na Manhattanie, w Easthampton czy na francuskiej Riwierze. Ale ja nadal będę musiała tu mieszkać.

- I niby przez to wyborcy zaczną się odnosić do pani z niechęcią? - zapytał. - Przecież słabiej i średnio sytuowani mieszkańcy i tak nie robią zakupów na promenadzie. Tamtejsze sklepy są tylko dla bogaczy i zawiązających do miasta turystów.

- Ale staniemy się znani jako miasto, gdzie jest supermarket sieci Discount America. Już widzę te nagłówki w „Post”. - Wyciągnęła przed siebie ręce ze złożonymi palcami w taki sposób, jakby trzymała w nich rozpostartą gazetę. - „Trzymajcie się z dala od Chatham, bo to odpychające centrum handlowe Wschodniego Wybrzeża”.

- Powiedziałbym raczej, że staniecie się znani jako miasto, które umiejętnie wzbogaca miejską kasę - odparł z naciskiem Gillette. - Przecież same tylko podatki z użytkowania gruntów wystarczą na utrzymanie miejscowej straży pożarnej, policji i ambulatoriów, nie wspominając już o korzyściach, jakich źródłem będzie utworzenie nowych miejsc pracy w samym supermarkecie i powstających w sąsiedztwie małych specjalistycznych sklepikach.

Skręcili za róg i pani burmistrz zatrzymała się nagle, opierając zaciśnięte pięści na biodrach.

- Czyżby chciał pan złożyć dodatkową ofertę?

Był na to przygotowany.

- A czego by pani chciała? - zapytał w myśl zasady, że nigdy nie

należy się spieszyć z propozycjami, bo lepiej przedstawić je jako kontrpropozycje.

- Ten palant Harry Stein przebąkiwał coś o budowie podstawówki. Na początek to całkiem nieźle, ale mogę zapewnić, panie Gillette, że moje oczekiwania są o wiele większe.

Kilkakrotnie prosił, żeby zwracała się do niego po imieniu, ale najwyraźniej ten pomysł także jej się nie podobał.

- Na przykład?

- Chcielibyśmy mieć dom starców na co najmniej dwieście łóżek, trzy nowe radiowozy policyjne, motorówkę dla straży pożarnej i kilka szkolnych autobusów.

- A nie myślała pani o basenach kąpielowych i saunach dla każdego domu w mieście? - wypalił ostrzej. - O darmowych obiadach przez cały rok i stu tysiącach dolarów dla każdego? Krótko mówiąc, o czymś, co my nazywamy „Małym Kuwejtem”?

Obrzuciła go pogardliwym spojrzeniem.

- Proszę mi dać parę dni, a z pewnością przedstawię nowe propozycje.

- Chyba zdaje pani sobie sprawę, że na pewno nie dostanie pani wszystkiego, o co poprosi. Byłoby to po prostu nieopłacalne finansowo. Żadna lokalizacja pod budowę supermarketu nie jest warta aż takich kosztów, nawet gdyby chodziło o plac na rogu Czterdziestej Drugiej i Seventh Avenue.

- Ma pan grube miliardy, panie Gillette. Zajrzałam dziś rano na pańską stronę internetową. Everest Capital zakończył właśnie tworzenie kolejnego gigantycznego funduszu, wynoszącego piętnaście miliardów dolarów, jeśli się nie mylę. A pan twierdzi, że nie może zafundować paru obiektów socjalnych w moim mieście? - Odwróciła się na pięcie i ruszyła w kierunku wejścia do lokalu O'Malley's Bar & Grill. - Niech pan nie żartuje, panie Gillette - rzuciła przez ramię. - Nie jestem idiotką.

Wszedł za nią do pubu, lecz tuż za drzwiami musiał sięgnąć po telefon komórkowy. Dzwonił Wright.

- O co chodzi, Davidzie? - zapytał, rzucając płaszcz i ciemne okulary na kontuar.

- Odebrałem oficjalny list intencyjny od Maddoksa. Sprawa załatwiona.

- Świetnie.

Wreszcie wydarzyło się tego dnia coś pozytywnego.

- I Tom O'Brien prosił, abym ci przekazał, że dzwonili z władz miejskich Las Vegas. Mają nadzieję, że pokażesz się tam w przyszłym tygodniu na spotkaniu z kilkoma ważnymi osobistościami.

Nie wątpił, że te „osobistości” to nikt inny, jak osobnicy, którzy pomogą mu w uzyskaniu formalnej zgody na otwarcie kasyna.

- Przekaż, żeby uzgodnili termin z Debbie, dobrze?

- W porządku.

- To sprawa pierwszorzędnej wagi, więc dopilnuj, by wszystko zostało załatwione, jak należy. Bądź w stałym kontakcie z Tomem i Debbie w tym zakresie.

- Zajmę się tym, nie ma sprawy.

- Dzięki.

Schował telefon do kieszeni i spojrzął na zegarek. Było wpół do trzeciej. Powinien jak najszybciej rozmówić się z panią burmistrz, jeśli chciał zdążyć na siódmą do Pittsburgha na kolację z Jackiem Mitchellem.

- Sam zobacz, Bob, z kim mamy tu do czynienia - odezwała się głośno Becky do barmana, wskazując kciukiem stojącego obok Gillette'a. - Z człowiekiem, który nawet na sekundę nie rozstaje się ze swoją ochroną osobistą, jakby naprawdę był kimś strasznie ważnym, a w dodatku uważa, że telefony komórkowe są ważniejsze od ludzi. - Pociągnęła łyk piwa z wysokiej szklanicy. - Niezbyt to grzeczne z jego strony, bo byliśmy w trakcie dyskusji, wchodząc tutaj.

Spojrzął na Boba, który wycierał ściereczką dzbanek i wyrozumiale potakiwał głową.

- A dokąd to odesłałeś Steina? - zapytała burmistrz, sięgając po szklankę z zimną wodą, którą barman postawił obok jej piwa.

Gillette uświadomił sobie, że Becky bardzo sprytnie rozgrywa tę sprawę. Było wczesne popołudnie dnia roboczego, toteż nie zamierzała pić więcej niż kilka drobnych łyčzków piwa, wszak podstawowym jej argumentem przeciwko rywalowi w kampanii wyborczej było to, że zapijał się piwem po całych dniach. Nie mogła zatem iść teraz w jego ślady. Ale z drugiej strony zależało jej na zasileniu kasy Boba.

- Do ważnych spraw - odparł.

Gdy tylko tamten przedstawił ich sobie, Gillette błyskawicznie zrozumiał, że ona po prostu go nie cierpi, toteż natychmiast odesłał dyrektora zarządu, żeby porozmawiał z następnymi rybakami na przystani.

Wskazał szklanki, które zamówiła.

- Poproszę o to samo, Bob. To znaczy piwo i wodę. - Zauważywszy w drugim końcu sali drzwi prowadzące na rozległą werandę nad rzekę, zaproponował: - Wyjdźmy na dwór. - Wziął z baru swoje ciemne okulary i szklankę z wodą. Kilka osób przy stolikach zdawało się aż nazbyt czujnie nadstawiać ucha, a on nie chciał, by ich rozmowa stała się rodzajem przedwczesnego referendum. Becky traktowała go z podejrzliwością, dlatego nie miał zaufania do kierujących nią pobudek. Wejście do lokalu O'Malleya nastąpiło w aż nazbyt dogodnej dla niej chwili. - Śmiało, zapraszam - zawołał od wyjścia, dostrzegłszy jej wahanie.

Pchnął siatkowe drzwi i usiadł przy drewnianym stole ocienionym wielkim parasolem, stawiając szklankę z wodą obok podobnych, z resztkami jakiegoś pomarańczowego napoju, oraz talerzy z kawałkami pokruszonych pancerzyków krabów. Jaskrawe odbłaski słońca na nieruchomej tafli wody były tak oślepiające, że natychmiast włożył ciemne okulary, po czym wciągnął głęboko w nozdrza rześkie powietrze przesycone zapachem morskiej soli, mieszanki przypraw w sosie do krabów i ostrym

zapachem dymu ze sterty palonych suchych liści na drugim brzegu rzeki. Podobało mu się tutaj. Pomyślał nawet, że mógłby sobie kupić domek letniskowy nad rzeką. Kiedyś.

Po paru sekundach w drzwiach werandy pojawiła się Becky. Podeszła z ościąganiem i usiadła naprzeciwko niego.

- Dlaczego postanowił pan wyjść na dwór? Przecież tu jest piekielnie jasno.

- Bo nie miałem ochoty negocjować przed połową rady miejskiej. - Od razu rozpoznał dwóch mężczyzn ze zdjęć, jakie Craig West dołączył do wstępnego raportu, który przeglądał w czasie krótkiego przelotu z Waszyngtonu.

Po raz pierwszy zaszczyciła go uśmiechem.

- Widzę, że mam do czynienia z wartościowym oponentem.

- Tak mówią. Proszę posłuchać uważnie, bo nie będę się powtarzał - odezwał się ostrzejszym tonem, nie dając jej nawet szansy na zabranie głosu. - Sfinansuję połowę tutejszej podstawówki i zakup trzech policyjnych radiowozów. A pani w zamian zgodzi się na budowę supermarketu.

Zaśmiała się w głos.

- Pan raczy żartować.

Spostrzegł na sąsiednim stole numer „USA Today”, wstał więc, podszedł i zaczął przerzucać kartki, póki nie natknął się na nierozwiązaną krzyżówkę. Złożył gazetę w grubą kostkę, odwrócił się i odparł:

- Nigdy nie żartuję w kwestii interesów Everest Capital, panno Rousse. - Wetknął złożoną gazetę pod pachę, obszedł z powrotem stół i stanął naprzeciwko kobiety tak, by znalazła się w jego cieniu i nie musiała mrużyć oczu, spoglądając mu w twarz. - Jeśli nie przyjmie pani tej oferty, napuszczę mieszkańców miasteczka przeciwko pani i stanie się pani obiektem największej burzy oszczerstw po tej stronie Missisipi. Zgodnie z moimi wytycznymi ludzie zażądadają referendum w pani sprawie i mogą z góry zagwarantować, że zagłosują przeciwko pani. Moi prawnicy już

sprawdzali, statut miasta dopuszcza taką ewentualność. A chyba pani nie wątpi, że wynajmę autobusy do przewozu ludzi, byle tylko mieszkańcy okręgu oddali głos w referendum. - Zdjął ciemne okulary. - Oczekuję odpowiedzi najpóźniej do godziny siedemnastej w piątek, po upływie tego terminu przystąpię do działań w celu zorganizowania referendum. - Wyjął z portfela dwudziestodolarówkę i położył ją przed nią na stole. - Piwo na mój koszt.

Tom McGuire szedł wzdłuż szerokiej białej plaży w Avalon, w stanie New Jersey, uroczym kurorcie położonym sto pięćdziesiąt kilometrów na południe od Nowego Jorku. Miasteczko zbudowano na wąskiej mierzei oddzielającej Atlantyk od spokojnej zatoki wrzynającej się w południową część New Jersey. Okoliczni mieszkańcy wiedzieli tylko, że domek nad zatoką wynajmuje niejaki William Cooper, który regularnie płaci za niego czynsz, nie było więc podstaw, by stwarzali mu jakiegolwiek problemy.

Sezon turystyczny trwał tutaj od Dnia Pamięci Poległych, czyli od końca maja, do Święta Pracy, to znaczy do początku września. Teraz, pod koniec września, na plaży nie było prawie nikogo, poza kilkoma parami starszych osób, zapewne emerytów, którzy w słabo grzejącym popołudniowym słońcu spacerowali wzdłuż brzegu morza, zbierając muszelki.

Mimo to McGuire naciągnął głębiej na oczy szeroki daszek basebalowej czapeczki z emblematem drużyny Baltimore Orioles i zza szkieł ciemnych okularów odprowadzał czujnym spojrzeniem mijanych ludzi. Nie chciał podejmować nawet najmniejszego ryzyka, że zostanie rozpoznany. Gdyby nie miał czapki i dużych ciemnych okularów, może ktoś przypomniałby sobie, że widział jego zdjęcie w telewizji. Ostatecznie raz nawet pokazano je w popularnym programie *Najbardziej poszukiwani zbiegowie Ameryki*.

Kiedy tamci przeszli, przystanął i zapatrzył się na morze miotające w brzeg spienionymi falami, które z cichym sykiem omywały czubki jego butów, zamierały na moment, zlewały się tuż za jego obcasami i spływały z powrotem. Wszystko poszło zgodnie z planem, dzięki operatorce centrali telefonicznej z hotelu Parker Meridien, która podsłuchiwała rozmowy Allison Wallace. Łowcy sensacji pojawili przed barem Grill we właściwym czasie, co zmusiło Gillette'a do szukania drogi ucieczki kuchennym wejściem, przed którym była zastawiona pułapka. Wszystko jednak wskazywało na to, że ten człowiek ma dziewięć żyć. Wyszedł do zaułka tylko ze Stilesem, gdzie członkowie gangu mieli nad nimi przewagę, zarówno liczebną, jak i uzbrojenia, a mimo to zdołał przechylić szalę na swoją korzyść, przystępując bez namysłu do ataku, czyli robiąc coś, czego on nie przewidział.

Popatrzył teraz z ponurą miną na kolejną falę, która obmyła mu buty. Tak czy inaczej, wcześniej czy później, musiał osobiście zająć się Gillette'em.

- Po południu.

Zamrugał szybko na brzmienie głosu człowieka, który zatrzymał się parę metrów dalej. Także nosił ciemne okulary i czapkę baseballową z szerokim daszkiem, ale był wyraźnie młodszy, dobrze przed czterdziestką.

- Witam - odpowiedział gardłowo McGuire.

- Ładny dzień, prawda?

- Owszem. Nawet bardzo ładny.

- Szukasz muszelek?

- Nie, tylko spaceruję.

- Mieszkaś tu?

- Przyjechałem z wizytą.

- Gdzie się zatrzymałeś?

McGuire ponownie spojrzał na nieznajomego, który wpatrywał się w napięciu w linię horyzontu, jakby nie interesowało go nic poza widocznym tam statkiem.

- Kawalek dalej, przy plaży.

- Naprawdę? Mógłbym przysiąc, że widziałem wczoraj, jak wchodziłeś do domku letniskowego po drugiej stronie mierzei, nad zatoką. Ja też tam mieszkam. To znaczy nad zatoką.

McGuire pokręcił głową.

- Musiałeś mnie z kimś pomylić.

Tamten wzruszył ramionami.

- Widocznie tak - przyznał z uśmiechem. - W każdym razie trzymaj się.

McGuire odprowadził oddalającego się mężczyznę wzrokiem, zachodząc w głowę, o co mogło mu chodzić. Może nadeszła już pora, żeby William Cooper wykonał następne posunięcie.

Gillette już po raz trzeci od wyjazdu z Chatham próbował się połączyć z Faith, wybierając najpierw numer jej komórki, a następnie domowej nowojorskiej linii, ale znów bezskutecznie. Nie odbierała telefonów, nie odpowiadała na wiadomości. Na pewno je odbierała, gdyż niemal z nabożną czcią sprawdzała automatyczną sekretarkę, mniej więcej raz na kwadrans, kiedy byli razem, zatem nie odpowiadała, bo nie miała na to ochoty. Domyślał się, o co chodzi. Chciała mu dać nauczkę. Ale nie czuł się winny. Siadając z powrotem przy stoliku, popatrzył na uśmiechniętą Allison, która lekko pochyliła się ku niemu.

- Wszystko w porządku? - zapytała, ściskając w dłoni jego palce.

Jej dotyk wywołał u niego silny dreszcz, który przypomniał mu, że mijał właśnie miesiąc od czasu, kiedy ostatni raz był z Faith w łóżku. Obrzucił Allison uważnym spojrzeniem. Włosy miała upięty wysoko z tyłu głowy i wspaniale wyglądała w sukience bez rękawów, w którą przebrała się niemal natychmiast po przyjeździe do hotelu.

- Tak, wszystko w porządku - odpowiedział. - W przyszłym tygodniu muszę zajrzeć do Las Vegas, żeby zainicjować ten proces, o którym ci mówiłem.

Przyleciała wynajętym śmigłowcem z Nowego Jorku do Chatham specjalnie po to, żeby się z nim zobaczyć, toteż w czasie podróży do Pittsburgha postanowił ją wtajemniczyć w szczegóły inwestycji w Las Vegas.

- Chcę się tam wybrać razem z tobą - wypaliła niemal odruchowo.

- Poważnie?

- Cóż to za sprawy pchają was do Las Vegas? - zaciekał się Jack Mitchell, wiceprezes i właściciel kontrolnego pakietu akcji Veramaksu. Był potężnie zbudowanym mężczyzną, prawie łysym, noszącym duże i ciężkie staroświeckie okulary.

Bogaci ludzie czasem specjalnie tak robią, pomyślał. Wkładają coś niemodnego, by zademonstrować wszystkim, że nie muszą się troszczyć o najświeższe trendy.

- Kilka dni temu zarząd NFL postanowił nam odsprzedać tamtejsze przywileje budowlane - wyjaśnił Gillette.

Nie chciał wspominać Mitchellowi o planach budowy kasyna, gdyż wolał, żeby nikt z Las Vegas na razie o tym nie wiedział. Według Allison Mitchell miał mnóstwo znajomości, trudno było z góry przesądzać, w jakich kręgach się obraca.

Tamten wałnął palcami o brzeg stolika, aż zabrzęczały srebrne sztucce i talerze, a dwie szklanki z wodą omal się nie przewróciły.

- Do diabła, to wspaniała wiadomość! Gdybyśmy się dogadali, może dostałbym zaproszenie na pierwszy mecz.

- Jeśli się dogadamy, dostaniesz specjalną wejściówkę na wszystkie mecze - zapewnił go Gillette. - Opowiedz mi coś więcej o produktach Veramaksu, dobrze, Jack?

Mitchell odchrząknął i upił tęgi haust szkockiej whisky.

- W tej chwili zarabiamy głównie na różnych środkach sprzedawanych bez recepty, ale mamy kilka poważniejszych specyfików gotowych do wprowadzenia na rynek. - Jak każdy wprawny sprzedawca obszernie

gestykulował podczas rozmowy. - To naprawdę rewelacyjne leki, tyle że chłopcom z Waszyngtonu, z Federalnej Komisji, palą się podeszwy na samą myśl o dopuszczeniu ich do obrotu.

- Jakie mają zastrzeżenia? - zapytał Gillette. Allison jak dotąd nie wyjaśniła mu ani natury tych kłopotów, ani tego, skąd wie o jego powiązaniach z senatorem Clarkiem. Zanotował w pamięci, żeby jej o tym przypomnieć po kolacji. - Dlaczego palą im się podeszwy?

- Ech, to długa historia - mruknął Mitchell, lekceważąco machnąwszy ręką.

- Nie dostaliśmy jeszcze nawet przekąsek, Jack. Mamy mnóstwo czasu.

Mitchell omal nie zazgrzytał zębami.

- Decydują układy personalne z jednym z seniorów komisji, niejakim Philem Rothchildem, który też jest z Chicago i przed laty trochę ze sobą zadarliśmy. Głupia sprawa, ale czasami tak się zdarza. To naprawdę nic ważnego.

- O co poszło?

- To dla mnie wstydlivy temat.

Gillette wyprostował się na krześle.

- Jack, skoro mamy być współnikami, nie może być między nami żadnych tajemnic. Jeśli oczekujesz, że wstawię się za tobą u senatora Clarka, muszę wiedzieć, co jest przyczyną tej niechęci.

Mitchell się skrzywił.

- W porządku. Przespałem się z córką Rothchilda.

Gillette zerknął na Allison i napotkał jej uważne spojrzenie.

- Jack był już wtedy dawno po rozwodzie - wyjaśniła pospiesznie - a córka Rothchilda miała dwadzieścia osiem lat. Zatem nie stało się nic złego.

- Rothchild się wściekł, ponieważ Amy, to znaczy jego córka - wpadł jej w słowo Mitchell - spotykała się wtedy z jakimś postrzeleńcem z

Wall Street, lekkoduchem z bogatej rodziny z północnego wschodu. Jakbym ja był dla niej nieodpowiednią partią - rzucił pogardliwie, stukając się palcem w pierś - a Chicago było godną pożałowania dziurą. On sam stamtąd pochodzi, ale chyba postanowił wypiąć się na Środkowy Zachód, jakby na północnym wschodzie czekało go wolne miejsce w Ivy League albo coś w tym rodzaju. Poza tym już wtedy, nawet po rozwodzie, miałem dużo więcej pieniędzy, niż ta jego żalosna Amy miała szansę kiedykolwiek ujrzeć na oczy.

- Nadal nie rozumiem, co stało się przyczyną konfliktu.

- Rothchild ubzdurał sobie, że nie traktuję jego córki poważnie. No i jeszcze to, że była zaręczona z tym smarkaczem z Wall Street.

- Aha.

- Jakimś cudem... - Mitchell wzruszył ramionami i uniósł wzrok do nieba, chcąc podkreślić, że nie ma pojęcia, jak do tego doszło - ...gnojek dowiedział się o naszym romansie i ją rzucił.

- Od kogo się dowiedział? - zapytał podejrzliwie Gillette.

Mitchell spuścił głowę i uśmiechnął się chytrze.

- Niewykluczone, że sam do niego zadzwoniłem.

- Jezu... - Gillette ponownie zerknął na Allison. - Spotykasz się jeszcze z Amy?

Tamten zachichotał ironicznie.

- Nie, doszedłem do wniosku, że umawianie się z dwudziestośmioletnimi pannami nie jest najlepszym pomysłem.

Już z wyglądu łatwo było ocenić, że sam co najmniej dobiega sześćdziesiątki.

- No, tak. Teraz już rozumiem, dlaczego...

- Uznałem, że są za stare - dodał pospiesznie Mitchell. - Moja nowa dziewczyna ma dwadzieścia trzy lata. I jest napalona jak diabli.

Gillette oparł się łokciami o brzeg stolika i potarł palcami twarz. Niektórzy ludzie po prostu nie potrafili trzymać się z dala od kłopotów, zwłaszcza jeśli mieli dużo pieniędzy.

- Jest jeszcze jeden powód tej wojny, jak sam ją wcześniej nazwałeś - ciągnął Mitchell.

- Aż nie mogę się doczekać, żeby go poznać - mruknął Gillette.

- W ubiegłym roku byłem przeciwny przyjęciu Rothchilda do grona członków nowojorskiego Racquet Club. Należę do niego prawie od trzydziestu lat, wystarczyło mi więc porozmawiać telefonicznie z kilkoma znajomymi z komisji kwalifikacyjnej. Facet nie miał najmniejszych szans.

Wspomniany Racquet Club cieszył się renomą najbardziej ekskluzywnego klubu atletycznego w Nowym Jorku. Gillette był jego członkiem od pięciu lat, to znaczy od chwili wejścia do grona partnerów zarządu Everestu.

- Dlaczego to zrobisz?

- Przez tę całą aferę z jego córką. Przecież nie miał prawa...

- Już dobrze, w porządku - przerwał mu Gillette, unosząc rękę. - Tyle mi wystarczy. Powiem ci, co zrobimy. Najpierw - rzekł z naciskiem, patrząc rozmówcy prosto w oczy - napiszesz do Rothchilda list, w którym przeprosisz go za to, że przez ciebie nie został przyjęty do klubu. Tylko nie próbuj tego załatwiać przez telefon. To by prawdopodobnie spowodowało wybuch trzeciej wojny światowej. Napisz do niego, a wcześniej, przed wysłaniem listu, prześlij mi mejlem jego kopię. Potem będziesz musiał się z nim spotkać.

- Och, Jezu...

- Jack!

- W porządku. Spotkam się z nim.

- Dopiero wtedy zwrócę się o pomoc do senatora Clarka. Pewnie w rewanżu będę musiał przenieść jedną z firm Everestu do Kalifornii, ale to już moje zmartwienie. Obiecuję, że potem najwyżej w ciągu dwóch tygodni Federalna Komisja Leków podda wasze wyroby przyspieszonemu

procesowi dopuszczenia do obrotu, czy jak to się nazywa. - Zaczerpnął głęboko powietrza. - W zamian za tę pomoc uzyskam możliwość zakupu czterdziestu dziewięciu procent akcji Veramaksu za pół miliarda dolarów w gotówce. To uczciwa cena, wzięwszy pod uwagę kabałę, w jaką się wpakowałeś. Połowa tej gotówki wpłynie na twoje konto, druga połowa zasili fundusz rozwojowo-badawczy firmy z przeznaczeniem na opracowywanie nowych produktów. Akcje, które mi sprzedasz, będą miały charakter nierozcieńczalny, co oznacza, że gdybyś wypuścił nową emisję akcji, wartość mojego pakietu i tak będzie wynosiła czterdzieści dziewięć procent wartości spółki. Ostatnim warunkiem naszej umowy partnerskiej będzie opcja umożliwiająca mi w przyszłości zakup dalszych dwóch procent akcji firmy za milion dolarów. Będę mógł z niej skorzystać, jeśli do końca przyszłego roku nie wprowadzisz akcji przedsiębiorstwa do wolnego obrotu, a przynajmniej nie po takiej cenie, jaką wspólnie uzgodnimy w piśmie przewodnim do komisji papierów wartościowych. Chodzi mi o to, abym mógł przejąć kontrolę nad spółką, jeśli jej akcje nie zaczną być notowane na giełdzie. Rozumiemy się?

Mitchell przez kilka sekund spoglądał na niego z kamienną twarzą, wreszcie uśmiechnął się szeroko.

- Niech prawnicy biorą się już do roboty, przyjacielu. - Skinął głową w stronę Allison. - Ta mała spryciara uprzedzała, że ostro zagrywasz. Ani trochę się nie pomyliła.

Gillette upił parę łyków wody.

- Teraz powiedz mi coś więcej o tych waszych nowych specyfikach. Jaką chorobę pomagają leczyć?

- Alzheimer, impotencję, tego typu przypadłości. Mamy też pigułkę antykoncepcyjną „dzień po”, która naprawdę działa.

- A te środki sprzedawane bez recepty, które stanowią główne źródło waszych dochodów? Na co są?

Mitchell spojrział na Allison i pociągnął łyk szkockiej.

- To aspiryna, krople do nosa, tabletki na przeziębienie. Różne płyny i pastylki.

Gillette nie potrafił określić, z jakiego powodu gdzieś na dnie jego świadomości coś zabręczało niczym dzwonek alarmowy.

- Jesteś pewien? - zapytał. Czekając na Allison, rozmawiał przez telefon komórkowy ze Stilesem. Kilka minut temu skończyli obiad i przed windą żegnała się z Mitchellem, który miał wracać do swojego pokoju. - Nie bierze żadnych narkotyków?

- Tego nigdy nie można być całkiem pewnym. - Detektyw po południu wrócił do Nowego Jorku tym samym helikopterem, którym Allison przyleciała do Marylandu. - Ale rozmawiałem z kilkoma osobami, które powinny znać prawdę, i nic nie wskazuje na to, by brała. Poza tym od dawna ma kłopoty z napadami alergicznego kataru.

- Więc pewnie się myliłem. - Gillette siedział na sofie w oddzielonej przepierzeniem części hotelowego lobby. Z daleka jednak spostrzegł Allison idącą w jego kierunku. - Nie mogę się nadziwić, jak szybko zdobyłeś potrzebne informacje.

- Jutro sprawdzę jeszcze kilka źródeł - zaofiarował się Stiles. - Sądzę jednak, że jest czysta.

- W porządku.

- Wracasz dzisiaj?

- Nie, jutro rano.

- Aha. W każdym razie trzymaj się z dala od kłopotów.

Gillette zerknął na dwóch ochroniarzy z QS Security stojących pod ścianą i starających się sprawiać niewinne wrażenie.

- Przecież już ci tłumaczyłem, że nie o to chodzi.

- Jasne. Nigdy o to nie chodzi, dopóki się nie wydarzy.

Jęknął gardłowo.

- Dobrej nocy, Platonie.

- Dobranoc.

- Z kim rozmawiałeś? - zaciekała się Allison, siadając przy nim na sofie. - Z tą swoją śpiewającą gwiazdeczką?

- Nie, ze Stilesem.

- Czyżbyście coś przede mną ukrywali?

Gillette zmarszczył brwi.

- Nic podobnego.

- Baw się dobrze. I tak nic nie znajdziesz. - Odchyliła się na oparcie i szerokim gestem zsunęła włosy za ucho. - Jak według ciebie przebiegły dzisiejsze rozmowy z Jackiem?

- Nieźle. Uważam, że powinien zacząć brać jakieś łagodne leki uspokajające, bo inaczej wpakuje się w następne kłopoty.

Skrzywiła się i lekceważąco machnęła ręką.

- To całkiem niegroźny stary flirciarz z minionej epoki. - Zaśmiała się krótko. - Boże, nawet mnie próbował podrywać przed paroma minutami. Robi to za każdym razem, gdy się widzimy.

- W dzisiejszych czasach nawet takie niewinne flirty mogą się skończyć koniecznością płacenia wielomilionowych odszkodowań.

- Och, nie przejmuj się nim za bardzo. Powstrzymała go, unosząc rękę, gdy chciał odpowiedzieć. - Wiem, wiem. Już taki masz charakter i nic na to nie poradzisz. Ale dziś wieczorem odpuść sobie trochę, wyluzuj. Nawiasem mówiąc. - dodała nieco podniesionym tonem - ...niewykluczone, że będę miała dla nas kolejny dobry interes. Jack ma tutaj, w Pittsburghu, przyjaciela, który prowadzi duże przedsiębiorstwo spedycyjne i zastanawia się, czy go nie sprzedać. Doskonale by to grało z firmą leasingową z Atlanty, którą wcześniej kupiłeś. Jutro zbadam dokładniej tę sprawę.

Allison Wallace była jeszcze młoda, a już potrafiła zaklinać prawdziwy deszcz pieniędzy. Nie było żadnych wątpliwości, że ma w tej

dziedzinie olbrzymi talent, a jemu zależało, by tak utalentowani ludzie pracowali dla jego firmy.

- Zastanawiałaś się może, czy nie poświęcić całego swego czasu Everestowi? - zapytał. Czasami brutalna szczerość sprawiała mu olbrzymią satysfakcję. A może raczej zaskoczenie, z jakim ludzie odbierali tę szczerość. - W końcu twoje miejsce w radzie nadzorczej rodzinnego funduszu powierniczego mógłby zająć ktoś inny z rodziny.

Uśmiechnęła się wyrozumiale.

- Może byś wreszcie przestał kręcić, Christianie. Dlaczego nie zapytasz wprost, czy nie wyszłabym za ciebie?

Poczuł, że się czerwieni. Nie był przygotowany na taki obrót rzeczy.

- No cóż, ja...

- Nigdy nic nie wiadomo - dodała miękko. - Może dam się przekonać, żeby zostać w zarządzie Everestu. Ale postawiłabym twarde warunki.

- Na przykład?

Przeciągnęła palcami po kłapie jego marynarki, po czym musnęła zewnętrzną częścią dłoni jego policzek.

- Dam ci znać we właściwym czasie.

Siedział w więzieniu. W celi śmierci. Próbował dojrzeć rysy mężczyzny siedzącego na krześle na wprost niego, mężczyzny w białej koloratce, który świetnie rozumiał, że on nikogo nie zabił. Był niewinny. Mówił błagalnym tonem, z jego ust wypływały całe kaskady słów, ale pastor nie słuchał. Nagle przed drzwiami celi pojawiła się gromadka wysokich barczystych ludzi bez twarzy, naczelnik przyszedł ze swoją świtą, aby go zaprowadzić do sali straceń. Już wychodząc z celi, odwrócił się jeszcze, żeby wyartykułować swą ostatnią prośbę, i wtedy spostrzegł, że pastor ma rysy jego ojca.

- Jezu... - syknął Gillette i gwałtownie usiadł w łóżku, przecierając zaspane oczy. Puls łomotał mu w skroniach.

Po pewnym czasie i kilku głębszych oddechach odwrócił się i spuścił nogi na podłogę, wciąż jeszcze nie do końca wybudzony. Spojrzał wreszcie na zegarek, było piętnaście po trzeciej. Zapalił nocną lampkę i podniósł ze stolika swój palmtop. Potrzebował kilku minut, żeby zapomnieć o dramatycznych przeżyciach ze snu, inaczej nie miał szans ponownie zasnąć.

Pierwszy mejl, od Faith, przyszedł zaledwie godzinę wcześniej. Napisała:

Chris, kocham Cię. Przepraszam, że wczoraj wieczorem w Twoim gabinecie zachowałam się jak idiotka. Byłam bardzo zmęczona lotem i kroplą przepętniającą puchar goryczy stał się widok kobiety, którą pragnęłam własnoręcznie udusić (żartuję... mniej więcej) przez całą podróż samolotem. Odbierałam wiadomości nagrywane przez Ciebie na automatycznej sekretarce. Wybacz, że nie odpowiadałam. Napisałam już, że czuję się jak idiotka, prawda ? Proszę, zadzwoń do mnie z samego rana (to znaczy jak tylko wstaniesz). Jutro po południu muszę na parę dni wyjechać do Londynu, będę z powrotem w niedzielę albo poniedziałek. Następne spotkania w ramach kampanii promocyjnej. Uff!!! Chętnie bym do Ciebie zadzwoniła, ale nie chcę Cię budzić. Wiem, jak bardzo jesteś zajęty. Bardzo Cię kocham.

Gdy tylko skończył czytać tę wiadomość, powoli odłożył aparat i jeszcze raz przetarł oczy. Jednocześnie złowił delikatną woń perfum Allison na ręku, pozostałą po wieczornym pożegnaniu, kiedy cmoknęła go w policzek i serdecznie uściśnęła mu dłoń, nim weszła do swojego pokoju.

CZEŚĆ DRUGA

Rozdział 10

Doktor Scott Davis był ordynatorem oddziału neurochirurgii Centrum Medycznego Wirginii mieszczącego się w samym centrum Richmondu, i jeśli wierzyć naczelnemu anestezjologowi ze Szpitala Świętego Krzysztofa, także jednym z największych autorytetów w dziedzinie badań biochemicznych związanych z nanotechniką.

Gillette zlecił zebranie materiałów na temat nanotechniki wiceprezes zarządu Everestu, Cathy Dylan, która w interesach była tak samo przebojowa, jak David Wright, tyle że pięć lat od niego młodsza i, co ważniejsze, dużo bardziej elastyczna. Zająłby się tym sam, miał jednak obawy, że Boyd będzie go ściśle monitorował - a więc podsłuchiwał rozmowy telefoniczne, przechwytywał mejle, wysyłał za nim agentów - zwłaszcza przez kilka pierwszych dni po ujawnieniu przyświecających im celów. Nie mógł tego zlecić Wrightowi, gdyż ten z pewnością zadawałby zbyt dużo pytań. Potrzebny był mu dobrze wytresowany pies tropiący, który będzie ściśle wykonywał polecenia, o nic przy tym nie pytając. Uznał więc, że najlepszy będzie ktoś z młodszych pracowników, kto wykona to zadanie z samej chęci przypodobania się prezesowi. Stąd też jego wybór padł na Cathy.

Jak większość wiceprezesów Everestu, robiła się przy nim nerwowa. Dobrze wiedział jednak, że jest dużo sprytniejsza od innych. Nie wątpił też, że błyskawicznie znajdzie jakieś fikcyjne wytłumaczenie dla swoich niezwykłych zainteresowań, gdyby zaszła taka potrzeba.

Wprowadził ją pobieżnie w zagadnienie nanotechniki i przekazał kontakt do anestezjologa ze Szpitala Świętego Krzysztofa, ten zaś od razu skierował ją do doktora Davisa. Gillette uznał, że był w tym palec boży, ponieważ zależało mu właśnie, żeby dotrzeć od razu do najcenniejszego źródła informacji. Im mniej osób wypytywali, tym mniejsze było niebezpieczeństwo, że Boyd się o tym dowie. Poza tym liczył na to, że specjalistów od nanotechniki jest naprawdę niewiele, skoro większość ludzi uważa, że o praktycznych zastosowaniach tej nauki będzie można mówić dopiero za trzydzieści lub czterdzieści lat.

Stanowczo nakazał Cathy, by wyłączając anestezjologa ze Szpitala Świętego Krzysztofa, nigdy nie podawała adresu swojego mieszkania w SoHo ani nie używała nazwy Everestu, a dzwoniła wyłącznie z budek telefonicznych, aby nie korzystać podczas realizacji tego zadania z komputera służbowego, a tym bardziej domowego, nie wysyłała żadnych mejli dotyczących nanotechniki spod adresu domowego czy służbowego, i nie próbowała przekonywać doktora, że odesłał ją do niego lekarz domowy praktykujący po godzinach, a już z pewnością nie taki, którego można by podejrzewać o powiązania z ANZPO. Skontrolował jej najświeższe odkrycia poprzedniego wieczoru, dzwoniąc z automatu w hotelowym lobby kwadrans przed ósmą, podczas krótkiej przerwy w przedłużającym się obiedzie z Allison i Mitchellem. Teraz, czternaście godzin później, dysponował nie tylko najświeższymi wiadomościami, ale w dodatku był umówiony na spotkanie. To robiło wrażenie.

Usiadł na krześle w ciasnym i zagraconym szpitalnym gabinecie Davisa w oczekiwaniu na jego powrót z sali operacyjnej. Zabrał ze sobą do Richmond Stilesa z jeszcze jednym agentem ochrony i nie podał miejsca docelowego podróży, dopóki ten ostatni nie zasiadł w kabynie odrzutowca Everestu, a on wraz ze Stilesem nie wyruszył limuzyną na lotnisko LaGuardia. Kiedy agent QS Security, który prowadził auto, wykonał parę zręcznych manewrów dla zmylenia ewentualnego ogona,

zatrzymali się przed latynoskim sklepem spożywczym w Harlemie i dopiero stamtąd Gillette zadzwonił do pilota odrzutowca. Nakazał mu surowo nie mówić nikomu, dokąd lecą, poza kierownikiem zmiany z wieży kontrolnej lotniska.

Sięgnął po laptopa już po raz czwarty w ciągu ostatnich dwudziestu minut, ale nie włączył. Pohamował się w ostatniej chwili. Dobrze wiedział, że nie wolno mu uruchamiać ani krótkofalówki, ani telefonu komórkowego, dopóki nie wylądują z powrotem na lotnisku LaGuardia. Westchnął tylko ciężko i rozejrzał się po pokoju, chowając urządzenie do kieszeni. Nie znosił beczynnego oczekiwania, brzydził się stratą czasu. Tymczasem tutaj siedział beczynnie już od pół godziny.

- Gdzie on jest? - rzucił rozwścieczony Wright, dodatkowo rozjuszony tym, że Debbie nawet nie oderwała wzroku od ekranu komputera.

- Nie wiem.

- Jak to nie wiesz? Przecież ty zawsze wiesz, gdzie on jest.

- Ale tym razem naprawdę nie wiem. Powiedział tylko, że dziś rano wyjeżdża około dziewiętej, nic poza tym. Nie mówił, dokąd się wybiera ani kiedy wróci.

- Zrozum, że muszę się z nim pilnie skontaktować. - Paul dzwonił do niego przed godziną i dopytywał się o rozkład dnia prezesa. - Muszę się naradzić z Chrisem na temat pewnych szczegółów opracowywanej przeze mnie transakcji. Wszystko może wziąć w łeb, jeśli się zaraz z nim nie porozumiem. - Oczywiście kłamał, ale jakoś musiał się wytłumaczyć.

- W takim razie zadzwoń pod numer jego komórki - rzuciła Debbie. - Znasz go przecież.

- Próbowałem, ale nie odbiera.

- To wyślij mu mejla.

- To też już zrobiłem - odparł poirytowany. - Ale nie dostałem potwierdzenia odbioru. W przeciwnym razie nie byłoby mnie tutaj. Nie

rozumiesz tego?

Debbie w końcu spojrzała na niego.

- Rozumiem, ale co mogę zrobić? Jeśli do mnie zadzwoni, dam mu znać, że pilnie go poszukujesz.

Pochylił się nad jej biurkiem.

- Lepiej, żebyś mnie nie okłamywała - syknął ostrzegawczo. - Zależą od tego losy ważnej umowy. Jestem teraz współnikiem zarządu i jeśli się dowiem, że coś przede mną ukrywałaś, zrobię wszystko, żebyś natychmiast wyleciała z pracy.

Debbie poderwała się z krzesła jak oparzona.

- Co cię dzisiaj ugryzło, Davidzie?!

Zadzwonił telefon komórkowy Wrighta i ten odwrócił się szybko, wyjmując aparat z kieszeni. To znowu Paul. Zacisnął powieki, ledwie się powstrzymując, żeby nie zacząć wrzeszczeć na cały głos.

Gillette sięgał właśnie po czasopismo leżące na biurku doktora, kiedy drzwi się otworzyły.

- Dzień dobry - odezwał się od progu mężczyzna, obrzucając go podejrzliwym spojrzeniem. - Nazywam się Scott Davis i... spodziewałem się Cathy Dylan. A pan jest...

- Christian Gillette. - Podniósł się i uściśnął na przywitanie dłoń lekarza. - Cathy pracuje dla mnie. Umówiła nas na to spotkanie. Przepraszam za kłopot, doktorze Davis.

- Och, nic się nie stało. Proszę mi mówić po imieniu, Scott. Nie znośzę tych oficjalnych tytułów.

Był po pięćdziesiątce, niezbyt wysoki, średniej budowy ciała, z przenikliwymi piwnymi oczyma, krzaczastymi brwiami, pomarszczoną twarzą i bujną brodą. Nadal miał na sobie dwuczęściowy jasnoniebieski strój chirurgiczny, maseczkę zawieszoną na szyi i nieco przekrzywiony na bok czepek.

- Bardzo dziękuję, że zgodził się pan ze mną porozmawiać.

- Jamie Robinson jest moim serdecznym przyjacielem - rzekł Davis, nawiązując do anestezjologa ze Szpitala Świętego Krzysztofa, który dał Cathy namiary do niego. - Razem kończyliśmy studia na Uniwersytecie Johnsa Hopkinsa. - Z cichym jęknięciem klapnął ciężko na drewniane krzesło stojące za biurkiem. - Przepraszam, że musiał pan czekać, ale operacja okazała się trochę bardziej skomplikowana, niż sądziłem.

- Coś poważnego? - zaciekawiał się Gillette, spoglądając podejrzliwie na kilka ciemnych smug na nylonowym stroju, które mogły być śladami krwi.

- Dwudziestolatek z guzem mózgu wielkości pomarańczy. Jego usunięcie wymagało sporo zachodu, bo prawie nie mieliśmy do niego dostępu.

Gillette pokiwał głową.

- To straszne.

Davis westchnął, w zamyśleniu poskubał palcami brodę i odchylił się na oparcie, aż krzeselko zaskrzypiało pod jego ciężarem.

- To rzeczywiście brzmi strasznie, jestem jednak przekonany, że uratowaliśmy chłopakowi życie. Mam nadzieję, że w pełni wyzdrowieje.

Gillette instynktownie polubił chirurga, który mówił bez pośpiechu, wyważonym tonem, a spokój, jaki od niego emanował, działał wręcz hipnotycznie.

- W takim razie gratuluję - powiedział. - Zajmuje się pan niesamowitymi rzeczami.

- To Bóg robi niesamowite rzeczy, Christianie. Ja jestem tylko wykonawcą jego woli. Niemniej dziękuję za słowa uznania. - Davis milczał przez kilka sekund, wciąż tak samo skubiąc brodę. - Jamie mówił mi, że pańska firma dała olbrzymią dotację na jego szpital. Będą mogli wreszcie zbudować całe skrzydło dla dzieci chorych na raka. To wspaniale. Wyznaję zasadę, że dla dzieci powinniśmy robić absolutnie wszystko. Musimy służyć sobie nawzajem, ale szczególnie dla dobra dzieci.

- Mogę uważać się za szczęśliwca, doktorze Davis. - Gospodarz prosił go, by mówił mu po imieniu, ale jakoś nie mógł się na to zdobyć. Uważał, że byłoby to niestosowne wobec człowieka, który każdego dnia dokonywał niemalże cudów. - Jeśli nawet nie wierzę tak głęboko w Boga, jak pan, to jednak cieszę się jego błogosławieństwem, dlatego chętnie rewanżuję się innym za tę łaskę.

Davis uśmiechnął się lekko.

- Tym lepiej dla pana. Może któregoś dnia i pan odnajdzie w sobie wiarę.

- Może.

Davis pochylił się na krześle i oparł łokciami o biurko.

- Jamie mówił mi też, że jest pan bardzo zainteresowany nanotechniką.

- To prawda.

- Mogę zapytać, z jakiego powodu?

- Kieruję nowojorską firmą kapitałową i kilka osób zwróciło się do mnie z prośbą o zainwestowanie pieniędzy w tę dziedzinę. - Niechętnie okłamywał Davisa, uznał jednak, że będzie bezpieczniej, jeśli doktor nie pozna prawdy. Tak samo jak Stiles. Poprzedniego dnia zajrzał Normanowi Boydowi głęboko w oczy i dostrzegł w nich oznaki fanatyzmu, miał więc do czynienia z człowiekiem gotowym za wszelką cenę dążyć do wyznaczonego sobie celu i na tej drodze nie cofnąć się przed niczym. Jeśli jego kłamstwo mogło uchronić niewinnych ludzi przed poważnym zagrożeniem, musiał się do niego posunąć. - Dlatego chciałbym zasięgnąć pańskiej fachowej rady.

- Chciałbym od początku postawić sprawę jasno - rzekł otwarcie Davis. - Wiele czytałem z zakresu nanotechniki, więc mogę sporo powiedzieć. Ale nie pretenduję do miana eksperta. Wiem, co to jest mikroskop sił atomowych, nie jest mi obca zasada działania nanotranzystorów węglowych i mogę śmiało zawyrokujeć, że pesety cząsteczkowe staną się

którego dnia bardzo ważne. Jednakże nie studiuję tych zagadnień dzień i noc, jak niektórzy ludzie, zapewne również ci, w których imieniu pan występuje. - Jego oczy jak gdyby zaszyły na krótko mgłą. - Powinien pan wiedzieć, że mówi się o mnie, iż jestem obecnie w awangardzie neurochirurgii, ale wszystko, czym się zajmuję, w porównaniu z konkretnymi zastosowaniami nanotechniki biochemicznej, przypomina raczej pracę mało wprawnego rzeźnika.

- Kiedy to będzie, doktorze?

- No cóż... Bez przerwy słyszy się różne plotki.

- Na przykład?

- Szczerze mówiąc, są już chyba ludzie zerkający zza rogu na tę obszerną dziedzinę.

Gillette niemalże zastrzygł uszami.

- Słyszałem o pewnej firmie z San Francisco, Optimicrotics - podjął po chwili Davis. - Zajmują się bioinżynierią z zakresu chirurgii oka. Opracowali układ podsiatkówkowy, który już po pierwszych badaniach klinicznych wydaje się pozwalać na odzyskanie wzroku w kilku różnych przypadkach ślepoty. Układ jest miniaturowy, ma średnicę sześćdziesiąt razy mniejszą od dziesięciocentówki, a grubość w przybliżeniu równą połowie grubości końskiego włosa. Może pan to sobie wyobrazić? Byłaby to prawdziwa rewolucja, autentyczny przełom w chirurgii oka, gdyby dalsze badania wykazały taką skuteczność układu. - Urwał i obrzucił swego gościa uważnym spojrzeniem. - Sądząc po pańskiej reakcji, nie takie wynalazki są przedmiotem pańskiego zainteresowania.

- Niezupełnie.

- Zakładam więc, że chodzi panu o rzeczy zasadnicze, a więc samą zdolność działania na poziomie atomowym, w obszarze poniżej dziesięciu do minus dziewiętej metra.

Gillette uśmiechnął się krzywo, skrępowany własną ignorancją. Zaraz jednak przyszło mu na myśl, że równie tajemniczo mogą brzmieć

rozmowy finansistów dla kogoś nieobeznanego z tym tematem.

- Jeśli ma pan na myśli rozmiary osiemdziesiąt tysięcy razy mniejsze od średnicy włosa ludzkiego, to chyba rzeczywiście nadajemy na tych samych falach.

Davis zachichotał, wyrozumiale kiwając głową.

- To jeszcze zależy, czyj włos weźmiemy pod uwagę i ile czasu upłynęło od ostatniego mycia.

- Skoro pan tak mówi...

- To rzeczywiście fascynujące sprawy. Mam nadzieję, że doczekam czasów, kiedy ujrzą światło dzienne.

Gillette zwrócił uwagę, że palce Davisa w zamyśleniu skubiące brodę zaczęły się nagle poruszać szybciej. Nie ulegało wątpliwości, że jest autentycznie zafascynowany tym tematem.

- Więc do jakiego stopnia, pańskim zdaniem, jest zaawansowana nanotechnika, doktorze?

Davis odchylił się do tyłu, splótł ręce za głową i popatrzył w sufit.

- Dzieli nas jakieś dwadzieścia do trzydziestu lat od zastosowań rynkowych, ale w laboratoriach jest obecna już dzisiaj.

Była to trochę bardziej optymistyczna ocena od tych, jakie słyszał do tej pory, ale i tak odsuwała perspektywę o całe pokolenie.

- Czy nanotechnika rzeczywiście zasługuje na ten szum, jaki się wokół niej robi?

- Tak, bez dwóch zdań. Oczywiście niektórzy bardzo przesadzają, ale ja staram się ją oceniać na trzeźwo. W każdym razie nie jestem osobiście związany z tymi badaniami.

Gillette zastanawiał się przez chwilę, jak najlepiej sformułować kolejne pytanie. Wreszcie westchnął głośno i wycedził:

- Czy mógłby pan... to znaczy... nie wiem, czy potrafię...

- Chciałbyś poznać zdanie laika, o co w tym wszystkim chodzi, Chrystianie? Czy to cię właśnie interesuje?

- Owszem - przyznał ze wstydlwym uśmiechem.
- Z przyjemnością wyświadczę ci tę przysługę. Pamiętaj tylko, że wiem jedynie tyle, by mówić samymi ogólnikami.
- I tak bardzo się cieszę, bo zyskam wreszcie punkt zaczepienia.
- W porządku, postaram się przedstawić uproszczoną wersję. Otóż ciało ludzkie jest zbudowane z miliardów złożonych cząsteczek. Ludzie starsi, ułomni, kalecy bądź chorzy pod tym względem mają jedną cechę wspólną. Atomy, a co za tym idzie całe cząsteczki ich organizmów, nie działają tak, jak powinny, z powodu zakażeń wirusowych czy bakteryjnych albo też degeneracji materiału genetycznego, czy na przykład fizycznego urazu kolana z powodu dawnej kontuzji odniesionej w młodości na boisku piłkarskim. Nanotechnika umożliwi lekarzom wykorzystanie niewiarygodnie małych urządzeń, zdolnych do działania wewnątrz ludzkiego organizmu, do zdiagnozowania problemu bądź nawet naprawy uszkodzeń poprzez ingerencję w strukturę DNA pacjenta. W początkowej fazie takie urządzenia mogą być wykorzystane do walki tylko z jednym typem schorzenia, ale z czasem pojawi się ich wiele rodzajów, z których wszystkie będą mogły pomagać przy likwidacji problemu. I w ostateczności, poprawiając atom po atomie, cząsteczkę po cząsteczce, później komórkę po komórce, wreszcie narząd po narządzie, będzie można przywrócić pierwotną sprawność organizmu.
- Czy mógłby pan podać jakiś konkretny przykład?
- Jasne. Weźmy na przykład zawał serca. W chwili obecnej włókna mięśnia sercowego zniszczone wskutek zawału zastępuje tkanka bliznowata. Ale dzięki nanotechnice będzie można wyhodować nową tkankę mięśniową, która zastąpi ubytek. Ta metoda w niczym nie przypomina chemioterapii, w której dany specyfik z połkniętej przez pacjenta pigułki rozchodzi się po całym ciele, a chory i lekarz są zmuszeni żyć nadzieją, że przypadkiem trafi na właściwą cząsteczkę receptora. Tu będziemy mieć do czynienia z nowoczesnym i precyzyjnym przyrządem, nakierowanym

na zwalczanie specyficznego problemu fizjologicznego czy biologicznego.

- Albo też jego wzmacnianie - dodał cicho Gillette.

- No właśnie, dotknął pan jednego z dwóch podstawowych zagadnień związanych z nanotechniką, wokół którego toczą się zażarte debaty. Drugim jest kwestia nieśmiertelności.

- Nieśmiertelności?

- Ludzie z wiekiem starzeją się dlatego, że z powodu licznych czynników zwiększa się niebezpieczeństwo uszkodzenia łańcucha DNA. Dopóki ten pozostaje nienaruszony, nie zmieniają się w organizmie reguły, według których wytwarzane są białka służące do rekonstrukcji zamierających komórek. Lecz jeśli DNA ulegnie uszkodzeniu, powstają błędy w wytycznych do produkcji białek. Tego typu błędy z czasem się kumulują, cząsteczki niewłaściwie się ze sobą łączą, narządy zaczynają funkcjonować wadliwie i w końcu człowiek umiera. Otóż urządzenia nanotechniczne będą mogły naprawiać uszkodzone łańcuchy DNA. Nawet jeśli już całe narządy przestaną funkcjonować, będziemy mogli je odtworzyć. Zatem człowiek nie będzie musiał umierać. Nie będzie musiał nawet mieć zmarszczek, jeśli odpowiednio dopracuje się technikę ich zwalczania. Z drugiej strony pojawiają się działania prewencyjne. Na przykład lekarze będą w stanie wykryć, że naczynia krwionośne w którymś mózgu niebezpiecznie słabną, przez co powstaje groźba ich pęknięcia. Innymi słowy, pacjentowi grozi wylew krwi do mózgu. Można będzie natychmiast wysłać do mózgu nanourządzenia, które pokierują przyspieszeniem wzrostu włókien naczyń krwionośnych, dzięki czemu pacjent nawet się nie dowie, jak był blisko zostania ludzkim warzywem.

- Niesamowite - mruknął Gillette, zdając sobie sprawę, że i to określenie jest rozpaczliwie nieadekwatne do tego, co przed chwilą usłyszał z ust doktora.

- W pełni się zgadzam. Wracając do kwestii nieśmiertelności, zarysowują się tu dwa zasadnicze pytania. Po pierwsze, kto może marzyć o nieśmiertelności. Przynajmniej w początkowej fazie rozwoju nanotechniki odpowiedź jest tylko jedna: ten, kto ma wystarczająco dużo pieniędzy.

- A to pociąga za sobą straszne skutki społeczne.

- Zgadza się. Gdyby pan wiedział, że istnieje możliwość życia wiecznego, tylko brakuje panu na to pieniędzy, jakie ryzyko byłby pan gotów podjąć, by je zdobyć? Oczywiście każde.

Gillette pokiwał głową.

- Drugiego pytania łatwo mogę się domyślić. Co będzie, gdy nanotechnika stanie się powszechnie dostępna? Kiedy każdy, za dwadzieścia dolarów rocznie, będzie mógł regularnie likwidować wszelkie problemy pojawiające się w jego organizmie? Czterdzieści lat temu komputery kosztowały miliony dolarów, teraz każdy za kilka setek może mieć takie urządzenie na swoim biurku. Ostatecznie ten sam los spotka nanotechnikę.

- Brawo - przyznał Davis. - Tak samo jest ze wszystkimi zdobyczami techniki.

- A co z aspektem Wielkiego Brata?

- Nie rozumiem.

- Czy nanotechnika nie umożliwi takiego poszerzenia możliwości człowieka, że będzie mógł rejestrować wszystko, co widzi i słyszy, a może nawet kontrolować myśli innych ludzi w swoim otoczeniu?

Davis przez parę sekund w zamyśleniu skubał brodę.

- Moim zdaniem, na pewnym etapie wszystko będzie możliwe z zastosowaniem tej techniki, Christianie. Absolutnie wszystko.

- I sądzi pan, że może do tego dojść bez wiedzy człowieka?

- Poprzez wprowadzanie do jego organizmu specjalistycznych układów? - zapytał Davis, żeby uściślić problem.

- Tak.

Doktor wzruszył ramionami.

- Da się to zrobić na wiele sposobów. Choćby w pożywieniu, napojach, tabletkach, perfumach, kroplach do nosa, odświeżaczach powietrza. Liczba opcji wydaje się nieograniczona. Istnieje naprawdę wiele sposobów przedostania się w głąb ludzkiego ciała.

Gillette zawahał się, jakby rozpraszało go przyspieszone tętno w skroniach.

- Czy ktoś może już być blisko takich wynalazków? - zapytał ledwie słyszalnie.

- Ciągłe się słyszy plotki na temat podobnych, ściśle tajnych badań, zwłaszcza wśród ludzi związanych z rządem - odparł Davis, wciąż kołysząc się lekko na krześle. - Ale ja nie przywiązywałbym zbyt wielkiej wagi do tych plotek.

- Pytałem jednak, czy ktoś może być blisko - powtórzył Gillette nieco głośniejszym, wbijając spojrzenie w gospodarza.

- Niewykluczone.

- Co jest barierą dla tych badań?

- Przede wszystkim złożoność struktur cząsteczkowych. Pamięta pan te ogromne schematy wiszące w klasach biologii i chemii w szkole średniej?

- Słabo.

- Więc proszę sobie wyobrazić wzór cząsteczkowy tysiące razy większy od tamtych, a do tego możliwość milionów permutacji. Zanim zdołamy cokolwiek stworzyć, najpierw musimy zrozumieć taką strukturę, a potem jeszcze stworzyć narzędzia do sprawowania nad nią kontroli. To naprawdę gigantyczne zadanie.

- Ale ktoś może być już blisko takiego wynalazku? Nie jest to wykluczone?

Davis wyprostował się nagle i pochylił w jego kierunku.

- O co ci naprawdę chodzi, Christianie Gillette?

Boyd odłożył słuchawkę, gdy Ganze wszedł do gabinetu.

- O co chodzi?

- Dziś rano, około dziesiątej trzydzieści, zgubiliśmy Gillette'a w Harlemie. Wiemy przynajmniej jedną rzecz dotyczącą agentów QS Security. Są doskonałymi kierowcami. Nasz człowiek po prostu za nimi nie nadążył.

Boyd zaklął pod nosem.

- Dokąd poleciał?

- Do Richmond w Wirginii.

- Z kim się tam spotkał?

- Nie wiemy? - odparł Ganze.

- Dlaczego?

- Bo dowiedzieliśmy się o jego pobycie w Richmond dopiero przed kilkoma minutami, gdy wylądował z powrotem w Nowym Jorku.

- Przecież płacimy pilotom. Mieli nas przed startem zawiadamiać, dokąd leci, żebyśmy zdążyli u celu podróży przygotować swoich ludzi.

- Ale tym razem pilot nie mógł zadzwonić. Gillette powiedział mu, dokąd polecą, dopiero wtedy, gdy w kabinie obok niego zasiadł agent ochrony, ten zaś nie ruszył się z miejsca ani na chwilę, póki nie wylądowali z powrotem na LaGuardia. Pilot mówi, że nie mógł nawet spokojnie wyjść do toalety.

- Musimy poprawić system obserwacji.

- Tak, wiem. Już nad tym pracuję.

- A co z drugim obiektem?

- Jest w ruchu.

- To dobrze. - Tamten zamyślił się na chwilę. - Rozmawiałeś z Marilyn?

- Tak, jest gotowa.

Musieli podtrzymać zainteresowanie Gillette'a, by uwierzył, że jest naprawdę blisko ujawnienia tych wszystkich tajemnic, które starał się rozwikłać od lat.

- Powiedz mu, że teraz może już do niej zadzwonić. - Boyd ponownie sięgnął po słuchawkę. - Coś nowego w sprawie Clayтона Gillette'a?
- Jestem coraz bliżej. Jutro powinienem coś mieć.

Tom McGuire sięgnął do kieszeni po kluczyki od swojego wozu terenowego. Nie zamierzał zostawać w Avalon na jeszcze jeden dzień. Spotkanie na plaży dało mu do myślenia, bo nieznamy wyglądał na tropiciela, a trzydzieści lat doświadczeń detektywistycznych nauczyło McGuire'a, że warto wierzyć szóstemu zmysłowi.

Najbardziej dręczyło go to, że jeśli przecucie go nie myliło, to kim naprawdę mógł być człowiek spotkany na plaży? Gdyby pracował dla służb federalnych, od razu by go aresztował. Gdyby był jednym z tych, którzy przed laty, gdy jeszcze służył w FBI, wylądowali przez niego w więzieniu, a teraz odzyskał wolność i jakimś cudem go odnalazł, Tom pewnie byłby już martwy. Tamten jednak zapytał go tylko o muszelki.

Wysupłał z kieszeni kluczyki od samochodu, wcisnął klawisz pilota otwierający centralny zamek, po czym odwrócił się, żeby po raz ostatni popatrzeć na zatokę połyskującą w łagodnym popołudniowym słońcu. Podobało mu się tutaj. Żałował, że musi wyjechać, ale nie miał wyboru.

Nagle poczuł nieznośny ból u nasady karku i świat przed oczami zatonął w nieprzeniknionej ciemności.

Było w pół do szóstej, po półgodzinnej jeździe z lotniska LaGuardia znajdowali się już prawie przed biurem Everestu. Gillette kończył właśnie już trzecią krzyżówkę, kiedy zadzwonił jego telefon komórkowy. Włączył aparat dopiero po wyjściu z samolotu.

- Słucham.
- Christian? Tu David.
- Cześć.

- Chryste, próbowałem się z tobą skontaktować przez cały dzień. Zdążył już odebrać siedem mejli wysłanych przez Wrighta.
 - Byłem nieosiągalny.
 - Nie chrzań.
 - Co się stało? - zapytał Gillette ostrzej.
 - Muszę z tobą porozmawiać w sprawie tych nietypowych zastrzeżeń, które Maddox chciałby zawrzeć w umowie sprzedaży Hush-Hush.
 - To takie pilne?
 - Naprawdę zależy mu...
- Telefon pisnął cicho, sygnalizując drugą rozmowę.
- Przepraszam, Davidzie, ale muszę to odebrać. Porozmawiamy za kilka minut, gdy będę w biurze. - Przetawił aparat. - Słucham.
 - Witaj, Christianie. Mówi Daniel Ganze.
 - Tak? - Gillette odłożył złożoną gazetę na siedzenie obok Stilesa.
 - Możesz już zadzwonić do Marilyn McRae - oznajmił tamten i poddyktował numer, który Gillette pospiesznie nagryzmolił na skrawku papieru. - Wygląda na to, że nie może się doczekać rozmowy z tobą. Poza tym jutro, najdalej w poniedziałek, powinienem mieć nowe informacje dotyczące śmierci twego ojca.
 - Dzięki.
 - W przyszłym tygodniu chcemy z tobą porozmawiać na temat wyprawy na północ. Rozumiesz?
 - Tak.
 - Świetnie. Zatem do usłyszenia.
- Jeszcze przez kilka sekund po tym, jak Ganze przerwał połączenie, Gillette tkwił nieruchomo, wpatrzony przed siebie. Dopiero później spojrzął na skrawek gazety z zapisanym numerem telefonu z Los Angeles. Zwrócił uwagę, że trzęsą mu się ręce.
- Wszystko w porządku, Chris? - zapytał Stiles.
 - Tak, jasne - mruknął, chowając kartkę do kieszeni.

- Nie zamierzasz nawet z grubsza powiedzieć, co się dzieje? Nie pytałem rano, po co te wszystkie szpiegowskie manewry w drodze na lotnisko. Nie pytałem też, z kim się spotkałeś w Richmond. Sądziłem, że chodzi o sprawy służbowe. Ale teraz widzę po twojej minie, że to jednak coś prywatnego. Z kim przed chwilą rozmawiałeś?

- Z jednym z tych facetów, z którymi wczoraj spotkałem się w Waszyngtonie - odparł lekko chrapliwym głosem. - Zadzwoił, żeby mi podać numer telefonu mojej biologicznej matki. Mówiłem ci, że mam go od nich dostać.

- Aha. - Stiles odwrócił wzrok.

Wszystko wskazywało na to, iż jest rozczarowany tym, że wyprawa do stolicy zaowocowała jakimś konkretnym rezultatem. Najwyraźniej nie miał zaufania do tych ludzi.

- Powiem ci, jak mi poszła rozmowa z nią, kiedy do niej zadzwonię.

- Dzięki. Wysłucham z uwagą.

Gdy tylko dotarł do swojego gabinetu, wyjął skrawek gazety z zapisanym numerem telefonu Marilyn McRae, położył go na biurku i zapatrzył się w niego tępo. Siadając w fotelu, pomyślał, że przez całe życie czekał na tę chwilę. I przez całe życie bał się, że nigdy nie złapie tego kontaktu. A jednak zdołał go uzyskać, dzięki Boydowi i Ganze'owi. Kim oni byli naprawdę?

- Christianie?

Allison. Zaglądała ciekawie do pokoju. Widocznie Debbie musiała wyjść do toalety i zostawiła drzwi niestrzeżone. Bo zwykle wychodziła z pracy dopiero o siódmej, a teraz nie było nawet szóstej.

- Cześć.

- Mogę wejść?

- Tak, jasne. - Kiedy zamykała za sobą drzwi, przesunął kartonową teczkę z dokumentami, zasłaniając skrawek z numerem telefonu

Marilyn. Podeszła i usiadła naprzeciwko niego. - O co chodzi?

- Chciałam cię poinformować, że po południu dzwonił do mnie Jack, jest bardzo podniecony perspektywą współpracy z tobą. Nabrał przekonania, że spółka Veramax-Everest będzie, cytując: „nie do zatrzymania”.

- Przecież jest tylko handlowcem.

- Pewnie, ale liczy się tylko to, że już najął prawnika, który zajmie się dokumentacją dla twojej inwestycji. I prawie skończył ten list do Rothchilda z przeprosinami za nieprzyjęcie go do Racquet Club. Postępuje dokładnie tak, jak mu kazałeś. To chyba dobry znak, prawda?

Gillette nie mógł jednak przestać myśleć o niezwykłej łatwości, z jaką Mitchell wskoczył do rozpedzonego ekspresu Everestu. Nawet nie negocjował żadnych warunków. Do tego podstawowe produkty Veramaksu - aspiryna, krople do nosa i leki na przeziębienie - były doskonałymi środkami do przenoszenia urządzeń nanotechnicznych. W jego umyśle pojawiało się coraz więcej elementów układanki, które, miał nadzieję, nie będą do siebie pasować.

- Tak, masz rację.

- Tylko nie podniecaj się tak bardzo.

- Nie sądzisz, że to dziwne, iż nawet nie próbował negocjować ze mną warunków?

Allison pokręciła głową.

- Nie. Znam go od dawna. Przede wszystkim wierzy w swoją intuicję. Wczoraj wieczorem przy obiedzie od razu cię polubił, było to po nim widać. No i zapewne bardzo spodobała mu się twoja propozycja.

- Aha. - Ale negocjacje handlowe rzadko przebiegały w ten sposób.

- Poza tym Jack rozmawiał z tym swoim znajomym, który jest właścicielem firmy leasingowej, i najwyraźniej musiał o tobie mówić w samych superlatywach, gdyż tamten chciałby się z tobą spotkać jak najszybciej. Dziś po południu, kiedy cię nie było, zrobiłam trochę

obliczeń i wyszło mi, że jego firma znacznie lepiej będzie pasowała do twojego przedsiębiorstwa z Atlanty, niż mi się to początkowo wydawało.

Allison Wallace nie przepuszczała żadnej okazji, i to mu się w niej najbardziej podobało.

- Świetnie. Ustal z Debbie termin spotkania. Chyba byłoby lepiej, gdyby on tu przyjechał. Lecz jeśli nie będzie chciał, polecę jeszcze raz do Pittsburga.

- W porządku. Nawiasem mówiąc, gdzie byłeś przez cały dzień? - zapytała.

- Szukałem przedsiębiorstw do kupienia.

Odchyliła się na oparcie krzesła i skrzyżowała ręce na piersiach.

- Pamiętasz, jak przedwczoraj wieczorem rozmawialiśmy o potrzebie pełnej jawności?

- Jasne.

- Więc twoje wyjaśnienie jakoś mi nie pasuje do tej reguły. Nie mógłbyś zdradzić czegoś więcej? W końcu jesteście współpracownikami.

Podniósł długopis i zaczął nim nerwowo postukiwać o biurko.

- Zrozum, nie zamierzam informować cię o każdym swoim kroku. Zresztą nie mam czasu, żeby relacjonować ci ze szczegółami każde zdanie.

- Szczegóły, szczegóły... - wycodziła powoli ze złością. - Na przykład takie, jakie próbowali ustalić agenci twojej firmy ochroniarskiej, kiedy wypytywali moich znajomych, czy nie jestem uzależniona od kokainy?

Zmierzył ją surowym spojrzeniem.

- Mogłeś mnie przynajmniej uprzedzić, co się dzieje - ciągnęła śmiało. - Nie spodobało ci się, gdy redaktorzy magazynu „People” przygotowali artykuł bez twojej wiedzy i akceptacji. A przecież napisali o tobie w samych superlatywach.

- Owszem, tylko...

- Zaniepokoiło cię moje ciągnięcie nosem nad cheeseburgerem - rzuciła ostrzej, podnosząc nieco głos. - Ale tłumaczyłam przecież, że mam alergię.

- Tak, wiem.

- Nie potrafisz mi uwierzyć na słowo.

- Przepraszam.

- Słucham? - Przyłożyła rękę do ucha. - Mówiłeś coś? Nie słyszałam.

- Przepraszam. Teraz dobrze?

- Tylko tyle? Nie zastługuję na nic więcej poza zwykłym „przepraszam”?

- A czego chcesz?

- W ten weekend wypłynąć z tobą jachtem.

W zamyśleniu wyduł wargi.

- Skąd się dowiedziałas, że wybieram się na jacht?

- Słyszałam, jak Faraday mówił o tym przez telefon. - Urwała na chwilę. - Więc jak? Mogę się czuć zaproszona?

- Najpierw chciałbym usłyszeć twoje warunki?

- Jakie warunki?

- Poświęcenia całego swojego czasu na pracę w Everescie.

McGuire odzyskał świadomość wraz z panoramicznym widokiem rozgwieżdżonego nieba, donośnym rykiem silników, zapachem słonego morskiego powietrza przemieszanego ze smrodem spalin oraz dotkliwym bólem u nasady karku. Chciał podnieść ręce do głowy, ale miał je ciasno związane za plecami.

Jeszcze przez pewien czas silniki pracowały z pełną mocą, szybko jednak ucichły na jałowym biegu, a wkrótce zupełnie umilkły.

Doleciały go głosy ludzi znajdujących się na pokładzie dryfującego kutra rybackiego i plusk fal o burty, w końcu zamajaczyły nad nim niewyraźne ciemne postaci.

- Kim jesteście? - zapytał, ale jego pytanie pozostało bez odpowiedzi.

Nie próbował stawiać oporu, gdy krępowali mu drutem nogi w kostkach, ponieważ byłoby to bezcelowe. Ręce miał już związane, a tamtych było co najmniej czterech. Nie pozostawało nic innego, jak zachowywać się biernie.

- Nie wygłupiajcie się. Powiedzcie coś.

Chwilę później dwaj chwycili go pod pachy i postawili na nogi, a trzeci rozciął linkę krępującą mu ręce.

- No, wreszcie jakaś odmiana - rzekł do tego, który stał najbliżej. - Wyjaśnicie więc, o co chodzi?

Ci dwaj, którzy go przytrzymywali, gwałtownym ruchem wyciągnęli jego prawą rękę i ułożyli ją na pieńku służącym do ćwiartowania przynęty, a trzeci błyskawicznie uniósł w górę masywny tasak i z impetem spuścił go na nadgarstek McGuire'a.

Ten wrzasnął ze wszystkich sił, gdy całe jego ciało przeszył nieznośny spazm bólu, a umysł bez reszty wypełniło cierpienie. Szarpnął się gwałtownie do tyłu. Tymczasem ci, którzy go trzymali, podnieśli z pokładu olbrzymią kotwicę. Postępując z wysiłku, dotaszczyli ją do burty, przełożyli przez reling i zepchnęli do morza. Wpadła do wody z głośnym pluskiem i natychmiast zniknęła w mrocznej toni, a jednocześnie zaczął się rozwijać zwój liny leżącej na pokładzie.

McGuire uświadomił sobie z przerażeniem, że drugi koniec tej liny jest przywiązany do jego nóg mocno skrępowanych drutem. Wyciągnął lewą rękę w stronę stojącego najbliżej człowieka, ale nie zdążył go złapać. Poczł gwałtowne szarpnięcie, zwałił się jak długi na pokład i zaczął sunąć ku otwartej furcie rufowej. Zdołał się złapać ostatniej tralki relingu i kurczowo zacisnął na niej palce, usiłując pokonać straszliwą siłę ściągającą go za burtę. Jeden z mężczyzn podszedł do furty i z posępnym uśmiechem na ustach zaczął systematycznie rozprostowywać palce lewej dłoni McGuire'a. Ten podniósł głowę, spodziewając się

ujrzeć tajemniczego człowieka z plaży. Ale był to ktoś inny. Rozpoznał go w ostatniej chwili.

- Ty pieprzony...

Nie zdołał dokończyć zdania, zanim stracił punkt zaczepienia i runął do wody. Tuż przez zanurzeniem się w morzu znowu krzyknął, lecz jego głos natychmiast stłumiły fale. Szarpnął się jeszcze raz i drugi, desperacko usiłując wypłynąć na powierzchnię, ale nie miał na to szans. Ciężar kotwicy był za duży. Przez parę sekund widział nad sobą oddalające się światła kutra, szybko gasnące za coraz grubszą warstwą ciemnej wody, aż gdzieś na głębokości dwudziestu metrów zanurzył się w bezkresnym mroku, tracąc świadomość.

Gillette siedział na patio i z wysokości wielu pięter spoglądał na Central Park. Był piękny wczesnojesienny wieczór. W krystalicznym rześkim powietrzu nad Manhattanem leniwie unosiły się smużki aromatycznego dymu z ogni rozpalanych w kominkach.

Sięgnął po leżący na stoliku aparat bezprzewodowy i powoli wybrał numer Marilyn. Nie musiał już nawet patrzeć na skrawek gazety, na którym był zapisany. Przez cały wieczór spoglądał na niego tyle razy, że mógł go powtórzyć z pamięci od końca do początku.

- Słucham.

- Marilyn?

- Tak? - Głos jej wyraźnie drżał.

- Mówi Christian Gillette.

- Och, mój Boże... - wyszeptała.

Chwilę później doleciał go szloch, który odebrał tak, jakby nigdy dotąd nie słyszał takiego szlochania.

Na mrocznej ulicy Paul wymierzył palec wskazujący i dźgnął nim policzek Wrighta.

- Lepiej, żeby coś takiego już nigdy się nie powtórzyło. Jasne?

- Tak, proszę pana.

- Tłumaczyłem ci, do diabła, że muszę dokładnie znać każdy ruch Gillette'a.

- Tak, proszę pana.

- Każdy!

- Tak, proszę pana.

Ta sytuacja wymyka mi się spod kontroli, przemknęło Davidowi przez myśl. Poczł pragnienie by złożyć wizytę na najbliższym komisariacie policji i opowiedzieć dyżurnemu o tym, co się stało. Nie wątpił, że na dłuższą metę to rozwiązanie było dla niego dużo bardziej bezpieczne.

Rozdział 11

- Pozwolicie, że zapalę? - zapytał Russell Hughes, wyciągając z kieszeni marynarki paczkę marlboro.

Gillette i Wright siedzieli w jego gabinecie, wspólnie z nim przeglądali pakiet przedsięwzięć należących do Apeksu, zadając przy tym trudne pytania. Gillette chciał wycisnąć z Hughesa maksymalnie dużo wiadomości, nim zdecyduje się poświęcić miliard dolarów na zakup konkurencyjnej spółki inwestycyjnej. Istniała przecież szansa, że tamten się wygada w takiej czy innej sprawie, przez co on będzie mógł się jeszcze wycofać z ryzykownej transakcji.

Szczerze mówiąc, nie znosił smrodu dymu z papierosów i cygar, lubił tylko zapach aromatycznego dymu z fajki, gdyż jego ojciec palił fajkę. Teraz jednak zdawał sobie sprawę, że Hughes przeżywa silny stres.

- Proszę bardzo - odparł.

Nagle zadzwonił aparat komórkowy Wrighta, głośny świdrujący sygnał rozniósł się po całym pokoju.

- Na miłość boską, Davidzie - syknął Gillette. - Nie mógłbyś wyłączyć tego przeklętego telefonu.

Wright błyskawicznie wyciągnął go z kieszeni i spojrzał na ekran.

- Przepraszam, ale muszę odebrać - mruknął, poderwał się z krzesła i wybiegł za drzwi.

Gillette odprowadził go poirytowanym spojrzeniem. Jego protegowany musiał się jeszcze nauczyć paru rzeczy.

- Możemy porozmawiać szczerze, w cztery oczy? - zapytał Hughes, gdy tylko Wright zniknął za drzwiami. Oczywiście miał zaczerwienione ze

zmęczenia. - Nie wątpię, że David to bardzo zdolny młody człowiek, lecz wolałbym odpowiadać bezpośrednio przed tobą. Jesteśmy w podobnym wieku i czuję, że...

- Russell - przerwał mu miękko Gillette. - Daruj sobie. To David poprowadzi Apex. Koniec, kropka. Wyrażam się jasno?

Tamten smętnie pokiwał głową.

- Wiem, że trudno ci się z tym pogodzić, ale nie ma innego wyjścia.

- W porządku - przyznał ledwie słyszalnie Hughes.

Gillette zdjął ze stosika następną kartonową teczkę, oznaczoną napisem „XT Pharmaceuticals”, i zaczął wolno przeglądać znajdujące się w niej dokumenty.

- To jedna z twoich lepszych inwestycji - rzekł, nie czekając na powrót Wrighta. O pierwszej był umówiony na lunch, a minęła już jedenasta, tymczasem mieli jeszcze do omówienia sytuację dwunastu przedsiębiorstw. - Firma solidna, szybko się rozwijająca, mająca niezłe obroty.

- To bardzo solidna firma - poprawił go Hughes. - Tak bardzo, że nawet stała się obiektem zainteresowania rządu.

Gillette podniósł głowę znad papierów.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Jakiś czas temu pojawili się ważniacy z Waszyngtonu, którzy chcieli ją wykorzystać jako przykrywkę dla tajnych prac nad nowymi technologiami. Zasyпали mnie klasycznym bełkotem o obronności i racji stanu, ale gdy skontaktowałem się ze swoim znajomym z CIA, doradził, aby trzymać się od nich z daleka. I cieszę się, że go posłuchałem, bo podsunęli mi do podpisu idiotyczną deklarację dochowania tajemnicy, na mocy której mogliby mnie wpakować do San Quentin na resztę życia, gdybym pierdnął nie wtedy, kiedy trzeba.

Gillette przez pewien czas spoglądał na niego w milczeniu, wreszcie spuścił głowę, mając nadzieję, że nie dał po sobie niczego poznać.

- Kiedy to było?

- Parę tygodni temu.

- Nie powiedzieli, o jaką nową technologię chodzi?

- Starali się zrobić wrażenie, że to największe odkrycie od czasu wynalezienia elektryczności, ale nie zagłębiali się w żadne szczegóły. Coś mi podpowiadało, że to dęta lipa, dlatego skontaktowałem się ze znajomym z CIA, a on, jak już mówiłem, poradził trzymać się od tego z daleka. Nie umiem więc powiedzieć, czy naprawdę mieli związek z jakimiś pionierskimi badaniami, czy też nie.

- Skąd masz znajomości w CIA?

Hughes zmarszczył brwi i poruszył się niespokojnie.

- Nie powinienem o tym nikomu mówić. To ściśle tajne?

- Chcesz zachować swoje stanowisko czy nie? - zapytał szybko Gillette. Nie lubił uciekać się do szantażu, ale bardzo mu zależało na tej informacji.

Tamten skinął głową.

- Więc gadaj.

- Ale obiecaj, że nikomu o tym nie powiesz.

W tej samej chwili drzwi się otworzyły i do gabinetu wszedł z powrotem Wright.

- Davidzie, zostaw nas samych jeszcze na kilka minut.

- Słucham?

- Dam ci znać, kiedy będziesz mógł wrócić.

- Chris, przecież...

- Davidzie!

Wright zawrócił na pięcie i z trzaskiem zamknął za sobą drzwi.

Gillette obrócił się ponownie do Hughesa.

- No więc, skąd masz znajomości w CIA, Russell?

Tamten westchnął głośno.

- Na pewno wiesz, co to są przykrywki?

- Oczywiście.

- Właśnie z powodu przykrywki mam kontakt z CIA. Wykorzystują jedną z naszych firm jako przykrywkę?

- Którą?- Ostatnią z listy. - Gospodarz ruchem głowy wskazał spis przedsiębiorstw należących do Apeksu.

- Tę, która zajmuje się technikami obróbki informacji.

- Omega IT? - zapytał Gillette.

- Tak. To firma konsultingowa pracująca na zlecenia instytucji finansowych z całego świata, w tym także z Bliskiego Wschodu. Instalując nowe systemy komputerowe czy modernizując istniejące, ludzie z Omega IT dodają kilka opcji programowych, o których właściciele sieci nie mają pojęcia, a dzięki którym ludzie z Waszyngtonu mogą śledzić drogi transferów pieniężnych.

- Żeby śledzić źródła finansowania terrorystów - wpadł mu w słowo Gillette. - W szczególności al Kaidy, jak się domyślam.

- Jasne.

- Tylko dlaczego bliskowschodni bankierzy mieliby wykorzystywać amerykańską firmę konsultingową do instalacji i konserwacji sieci komputerowej? Dla mnie to nie ma większego sensu.

- Przede wszystkim nikt nie wie, że to firma amerykańska. Przy pomocy CIA utworzyliśmy dość skomplikowaną strukturę bazującą na powiązaniach z fikcyjnymi spółkami belgijskimi i francuskimi, która skutecznie maskuje prawdziwy charakter i pochodzenie Omega IT.

- Chciałbym porozmawiać z twoim znajomym z CIA - rzucił wprost Gillette.

- Jeśli naprawdę zamierzasz wykupić Apex, i tak będziesz musiał z nim porozmawiać. Na temat Omega IT. Jeśli mam być szczery, on już zażądał spotkania z tobą. Umówię was tuż przed podpisaniem umowy, kiedy wszyscy będziemy mieć pewność, że dojdzie do transakcji.

Gillette pragnął porozmawiać z przedstawicielem CIA o sprawach niemających nic wspólnego z Omega IT.

- Nie chcę czekać tak długo. Umów nas wcześniej.

- Co tam się stało, Chris? - zapytał ostro Wright w limuzynie, gdy ruszyli w drogę powrotną do Everestu. - Dlaczego kazałeś mi czekać na korytarzu aż do końca spotkania?

- Musiałem z Russellem omówić istotne kwestie dotyczące kilku pracowników Apeksu. Chodziło o zwolnienia i tego typu sprawy.

- Nie powinienem być obecny przy tej rozmowie, skoro mam kierować firmą? - wycedził Wright, jeszcze bardziej podnosząc głos.

- Uspokój się, Davidzie, nie ma żadnego powodu do zdenerwowania.

- Wcale się nie denerwuję, tylko próbuję zrozumieć sytuację. Nadal jestem głównym kandydatem do objęcia prezesury Apeksu?

Gillette nie odpowiedział, zaczął przeglądać pocztę elektroniczną na ekranie swojego palmtopa. Zależało mu na utrzymaniu bezpośredniego kontaktu z Hughesem za plecami Wrighta.

- Chris?

Nadal milczał.

- Chris?!

- Przez pewien czas Russell będzie podlegał bezpośrednio mnie, dopóki nie przekonamy się na dobre, jaką rzeczywistą wartość przedstawiają firmy należące do spółki.

- Co się stało, do cholery?! Sądziłem, że będzie to moja rola.

- Podjąłem decyzję, Davidzie. Dam ci znać, kiedy będziesz mógł przejąć obowiązki. Nie potrwa to dłużej niż kilka tygodni. Na razie skoncentruj się na zakupie Hush-Hush.

- Dobrze - mruknął tamten, wyraźnie nadąsany. - Skoncentruję się na tym zakupie.

- Chris?

Gillette oderwał wzrok od ekranu komputera i popatrzył na Debbie.

- Tak?

- Wiem, że to zabrzmiało dziwnie, ale w lobby czeka kobieta, która twierdzi, że jest twoją matką.

Po dwugodzinnej rozmowie przez telefon ustalił poprzedniego wieczoru z Marilyn McRae, że skontaktują się w przyszłym tygodniu. Obiecał jej, że po załatwieniu spraw w Las Vegas przyleci do Los Angeles i zjedzą razem obiad. Zatem to nie mogła być ona. Wstał, wyszedł z biurka i ruszył za sekretarką do lobby. Dopiero w korytarzu uświadomił sobie, że to może być Lana.

- Witaj, Pop. - Christian dźwignął się z wygniecionej kanapy w salonie i ruszył w stronę swego zniedołężniałego dziadka, który pojawił się w przejściu z kuchni, wlokąc za sobą wózek z pomalowaną na niebiesko butlą tlenową, jakby ciągnął na smyczy stare i wymęczone bezzębne psisko. Całe dorosłe życie spędzone w kopalniach węgla zachodniej Pensylwanii oraz trzydzieści lat zamiłowania do camelów bez filtra sprawiły, że niemal nie miał już płuc.

- Pomogę ci. - Christian wyciągnął rękę, żeby doprowadzić starca do kanapy. - Jak się dzisiaj czujesz? - Usiedli blisko siebie, lecz mimo to nie zwolnił uścisku na kościstych starczych palcach.

- Dobrze - odparł z ociąganiem starzec chrapliwym głosem brzmiącym niczym odgłos grubego papieru ściernego przeciąganego po płycie sklejkowej. - Cieszę się, że przyjechałeś.

- Dla ciebie wszystko, Pop.

- Nie wiem, ile czasu mi jeszcze zostało.

Mary Desmond wyszła z kuchni z tacą zastawioną talerzami przekąsek oraz napojami.

- Na pewno przeżyjesz i mnie, i Christiana - wtrąciła z szerokim uśmiechem, stawiając tacę na stoliku przy kanapie. Zerknęła na Christiana i wyjaśniła: - Pop każdego ranka podejrzewa, że nadszedł ostatni dzień jego życia. - Miała basowy dudniący głos stojący w jawnej

sprzeczności z jej drobną sylwetką. Dobiegała sześćdziesiątki i mieszkała po sąsiedzku. Często pomagała w codziennych domowych pracach, z którymi zniedołężniały starzec już sobie nie radził. - Ale nie wątpię, że szczerze się cieszy z twoich odwiedzin - przyznała nieco ciszej, siadając na krześle stojącym obok kanapy.

Christian był w drodze powrotnej na Zachodnie Wybrzeże po ukończeniu studiów w Princeton. Chciał pokonać swoim ducati osiem tysięcy kilometrów między New Jersey a Kalifornią, a zwłaszcza przepaściste łańcuchy górskie rozdzielające obie krainy. Dzięki wcześniejszym podróżom z ojcem dobrze już znał najważniejsze miasta obu wybrzeży, lecz ludzkie siedliska na rozdzielających je przestrzeniach pozostawały dla niego tajemnicą. Dlatego postanowił przeznaczyć całe lato na motocyklową podróż po amerykańskich autostradach, jako że wrzesień miał go wciągnąć z powrotem w otępy rzeczywistości. I pierwszym ważniejszym przystankiem w jego wielkiej podróży był właśnie ten mały domek przy Elmore Lane.

Ojciec wielokrotnie powtarzał mu, że powinien złożyć tę wizytę jak najszybciej, i teraz miał okazję się przekonać na własne oczy, że miał rację.

- Jakie masz plany? - zapytał Pop, biorąc z tacy szklanekę mrożonej herbaty i z cichym jękiem odchylając się na oparcie kanapy. - Co zamierzasz dalej robić w życiu?

- Na jesieni wracam do Stanford po dyplom z inżynierii zarządzania. Potem chcę podjąć pracę na Wall Street, zamierzam zostać bankierem inwestycyjnym.

- Czyli pójść w ślady ojca.

- Owszem. Jeśli dobrze pójdzie, w firmie Goldmana Sachsa.

- Dlaczego mówisz: „jeśli dobrze pójdzie”?

- Bank Goldmana to największa firma inwestycyjna na świecie, dlatego trudno się tam dostać. Wszyscy chcieliby tam pracować.

Pop z trudem zaczerpnął głębszy oddech.

- Niedużo wiem o Wall Street, ale domyślam się, że ojciec mógłby ci załatwić pracę w każdej firmie, w której zapragnąłbyś pracować. - Działek ze zrozumieniem pokiwał głową. - To dobry chłopak. Mówię o twoim ojcu. Bardzo cię kocha.

Christian poczuł, jak serce podeszło mu do gardła, tak samo, jak dwa tygodnie wcześniej, kiedy ojciec ścisnął go serdecznie, gdy ukończył studia. Na zawsze miał zapamiętać tamtą scenę, kiedy to pośród intensywnej woni świeżo skoszonej trawy i kwitnących bzów ścisnął w dłoni dopiero co odebrany dyplom.

- Wiem o tym - odparł cicho.

- A jak się miewa twoja matka? - zapytał z ożywieniem Pop, tonem świeżo wybudzonego ze snu.

Christianowi przemknęło przez myśl, że Pop może znać prawdę i właśnie to jest przyczyną jego lodowatego tonu. Było to jednak mało prawdopodobne. Ojciec nie miał zwyczaju dzielić się pewnymi informacjami z nikim, nawet z Popem.

- Dobrze.

- Nigdy jej nie lubiłem - warknął starzec.

- Nie przesadzaj, Pop - wtrąciła Mary. - Lana jest bardzo miła.

- Ani razu nie zadzwoniła i nie napisała listu.

- Na pewno kiedyś próbowała rozmawiać z tobą przez telefon, tyle że zapewne nie raczyłeś nawet odpowiedzieć na żadne jej pytanie.

- Bo nigdy nie zadawała żadnych pytań.

Christian pochwyił lekliwe spojrzenie dziadka, kiedy niespodziewanie zadzwonił telefon znajdujący się w kuchni. Mary błyskawicznie poderwała się z miejsca.

- Nie zapomnij, Christianie - rzuciła przez ramię - że obiecałeś zagrać dziś wieczorem w bingo w naszym kółku parafialnym. - Zachichotała. - Wszystkie stare wiedźmy oszaleją na twoim punkcie.

Odebrał to z uśmiechem. Cieszył się na ten wieczór, bo przecież miał zagrać razem z dziadkiem. W zespole „Gillette”. Kiedy Mary zniknęła w kuchni, żeby odebrać telefon, zapytał, rozsiadając się wygodniej na kanapie:

- Masz jakieś plany na dzisiaj, Pop? Co byś powiedział na pomoczenie robaka w tym małym stawie przy drodze? Może udałoby się wyciągnąć parę okoni?

- No cóż, może...

- Christianie! - przerwała im Mary, stając w przejściu do kuchni. Na jej pomarszczonej twarzy malowała się troska. - Dzwoni do ciebie Nikki z Kalifornii.

Poderwał się, podbiegł i wziął od niej słuchawkę.

- Halo?

- Chris, to ja.

Musiąco wydarzyć się coś strasznego, wyczuwał to po jej głosie.

- Co się stało?

- Tata... - szepnęła. - Tata...

Odniósł wrażenie, jakby w jego piersi zapłonął nagle ogień.

- Co z nim? - Wszedł do kuchni, żeby Pop i Mary go nie słyszeli. Szósty zmysł podpowiadał mu już strasliwą prawdę.

- Jego samolot rozbił się kilka minut temu, podczas startu z lotniska Orange County. - Nikki ledwie mogła mówić przez zaciśnięte gardło. - Zginął na miejscu.

Christian powoli przytknął czoło do ściany. Zginął. Idiotyczne określenie. Poczuł, że łzy napływają mu do oczu, zacisnął więc silnie powieki i zagryzł zęby, próbując nad sobą zapanować. Lecz mimo to łzy spłynęły mu po policzkach i przedostały się do ust. Były ciepłe i słodkawe, a to wrażenie tylko nasiliło płacz.

- Boże... - szepnął.

- Muszę kończyć - odezwała się nagle Nikki. - Wracaj do domu, Chris. Wracaj.

Odwiesił słuchawkę i ukrył twarz w dłoniach. Telefon zadzwonił ponownie, prawie w tej samej chwili. Podnosząc słuchawkę, pomyślał, że Nikki zapomniała mu jeszcze o czymś powiedzieć.

- Halo?

- Christian?

To była Lana.

- Wiem, że przed chwilą rozmawiałeś z Nikki. Mówiła zupełnie spokojnym, zrównoważonym tonem. Ale nprzecież tak samo odbierała każdą sytuację, złą czy dobrą.

- Tak, rozmawiałem.

- A zatem już wiesz.

- Tak. - Przygryzł dolną wargę. Macocha była ostatnią osobą, której chciałby okazać słabość. - Jak to odebrałaś? - zapytał cicho.

- Poradzę sobie. - Zawiesiła na chwilę głos. - Posłuchaj, Christianie. Między nami... nie było... - westchnęła głośno. - Trudno nam teraz będzie tolerować się nawzajem, dlatego uważam... że nie powinieneś tu przyjeżdżać.

Przycisnął mocniej słuchawkę do ucha, niezbyt pewien, czy dobrze usłyszał. Nie mieściło mu się w głowie, że ktokolwiek w podobnej sytuacji może zachowywać aż taki spokój.

- Słucham? Wydaje mi się...

- Zrozum, że chcę zostać teraz sama z moimi dziećmi - wycodziła pełnym głosem.

Tym razem na pewno się nie przesłyszał. Powiedziała: „z moimi dziećmi”. A więc z Troyem i Nikki. Nie z nim.

- Wiem, czego twój ojciec zawsze pragnął - dodała lodowatym tonem. - Ale my po prostu do siebie nie pasujemy - urwała na chwilę. - Żegnaj, Christianie.

Teraz siedziała na pluszowej kanapie przy stanowisku recepcjonistki. Po raz ostatni widzieli się na pogrzebie ojca przed szesnastu laty. Od

tamtej pory nawet ze sobą nie rozmawiali.

Lana za młodu była uderzająco piękna, o idealnej figurze, z długimi ciemnymi włosami. Ale jednocześnie miała w sobie coś odpychającego, co objawiało się pogardą czy wręcz okrucieństwem w jej spojrzeniu, dumnie zadartej brodzie i sztywnej wyprężonej postawie.

Pierwsze co teraz przykuło jego uwagę, to nieuchronny wpływ lat na tę nieustępliwość. W jej oczach królował smutek, kąciki ust wyginały się ku dołowi, ramiona miała przygarbione. Od kącików oczu w dół przez idealnie gładkie niegdyś policzki biegły głębokie zmarszczki, ale najbardziej pomarszczone miała dłonie, wyglądały jak u siedemdziesięcioletniej staruszki, nie pasowały do kobiety, która nie przekroczyła jeszcze sześćdziesiątki.

- Witaj, Christianie - odezwała się, kiedy wkroczył do lobby.

Był świadom, z jaką uwagą Debbie i obie recepcjonistki obserwują ich oboje. Wszyscy wiedzieli, że nie utrzymywał żadnych kontaktów z rodziną. Jego sytuację dokładnie opisywano w artykułach prasowych, zarówno w „The Wall Street Journal”, jak też w „People”.

- Przejdźmy do mojego gabinetu - zaproponował.

- Bardzo tu ładnie, Christianie - Rozejrzała się ciekawie po obszernym pokoju, nim zasiadła na stojącej w rogu kanapie. - Wiesz, jak lubię dzieła sztuki i antyki. Już rozumiem, czemu ochrona tak dokładnie mnie sprawdzała przed wejściem.

Agenci QS Security drobiazgowo kontrolowali wszystkich wchodzących do biura Everestu.

- Każdy musi przejść osobistą kontrolę, nim zostanie tu wpuszczony.

- Rozumiem. Uważnie śledziłam w prasie twoją karierę, poza tym przyjaciele powtarzali mi wszystko, co słyszeli na twój temat. Doskonale ci się powodzi. Wiedziałam, że tak będzie. Twój ojciec byłby z ciebie bardzo dumny.

- Minęło tyle lat, Lano - odparł cicho.

- Zdecydowanie za dużo. - Pojedyncza łza spłynęła jej po policzku.

Wyjęła z torebki chusteczkę. - Przepraszam - mruknęła, pociągając nosem. - Za wszystko. Byłam taka... zrozpaczona. Wiem, że to mnie w niczym nie usprawiedliwia. Postąpiłam wobec ciebie okropnie. Tym bardziej chcę ci podziękować, że zgodziłeś się ze mną zobaczyć. - Szerokim gestem wskazała drzwi. - Dlatego też zjawiłam się bez uprzedzenia. Pomyślałam, że jeśli spróbuję się z tobą umówić na spotkanie, odmówisz. Zresztą nie miałabym ci tego za złe...

- Jak sobie radzisz?

- Dobrze.

- A co u Troya i Nikki? - Wiedział, że jego starszy brat przyrodni jest zwykłym obibokiem. - U nich też wszystko w porządku.

- Tak. Jakoś wszyscy dajemy sobie radę.

- Nadal mieszkasz w tym wielkim domu w Bel Air?

- Próbuję?

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Osuszyła oczy brzegiem chusteczki i cicho westchnęła.

- Jest ciężko.

- Dlaczego?

- Wszystko kosztuje, poza tym... Och, Christianie... Z Nikki nie jest dobrze. - Westchnęła po raz drugi. - Ma raka. W płucach.

Rak płuc. Te słowa sprawiły, że coś go ścisnęło w dołku. Do śmierci ojca był dość blisko związany z młodszą siostrą. Później, kiedy Lana całkowicie odcięła go od rodzinnych pieniędzy, zadzwonił jeszcze do niej, żeby pożyczyła mu parę dolarów na przyjazd na Zachodnie Wybrzeże, ale nie odezwała się już więcej, nie odpowiedziała na żadną zostawioną wiadomość. Od dawna już o niej nie wspominał. Niemniej z bólem odebrał wieść o jej chorobie.

- Przykro mi.

- Najgorsze jest to, że została bez ubezpieczenia zdrowotnego, a nie stać jej na pokrycie kosztów leczenia.

- Co się stało?

- Wszystko przez tego idiotę, za którego wyszła, Petera. Powtarzał jej, że są ubezpieczeni, dopiero teraz się okazało, że kłamał.

Gillette nie został zaproszony na wesele Nikki. Dowiedział się o jej ślubie od znajomych.

- Zamierzasz jej pomóc?

Lana wzruszyła ramionami.

- A co ja mogę? Sama nie mam pieniędzy.

- Przecież tata zostawił majątek wart sto milionów dolarów.

- Ponad połowa poszła na podatki, dużo rozdaliśmy na cele charytatywne, no i doszła jeszcze twoja matka. Było też kilka innych kobiet. W efekcie zostało mi zaledwie około dziesięciu milionów. Zdziwiłbyś się, jak szybko się rozeszły.

- Kilka innych kobiet? - powtórzył ze zdumieniem.

- Nie byłeś jedynym nieślubnym dzieckiem, tylko jedynym, które zgodziłam się przyjąć pod swój dach.

Nie wątpił, że musiało to być dla niej ciężkim przeżyciem. Z jej oblicza zniknęły nawet te ostatnie resztki nieugiętości, jakie dostrzegł jeszcze w lobby.

- Ile było tych nieślubnych dzieci?

Nawet nie próbowała już pohamować łez.

- Po jednym z każdą z trzech kobiet.

Gillette spuścił nisko głowę. Oto ujawniały się kolejne sekrety ojca.

- Matko Boska...

Lana odchrząknęła, próbując nad sobą zapanować.

- Owszem, twój ojciec miał poważny problem. - Pokręciła głową. - Ale nie przyszłam tu, żeby się wyżalać. Chciałam cię prosić, żebyś pomógł swojej siostrze. Ona bardzo potrzebuje pieniędzy, Christianie.

- Niech do mnie zadzwoni.

- Nie zrobi tego. Jest nazbyt dumna.

- W takim razie zostaw mi jej numer. Ja do niej zadzwonię.

Zawahała się, ale sięgnęła do torebki i wyjęła mały czarny notes z telefonami.

Podał jej długopis i swoją wizytówkę.

- Zapisz na odwrocie.

Przepisała numer z notesu, po czym oddała mu wizytówkę i długopis.

- Ja także potrzebuję pieniędzy - oznajmiła stanowczo.

- Dziesięć milionów to naprawdę duża suma. Oczywiście mniejsza niż sto, ale i tak bardzo duża. Poza tym masz jeszcze dom. Zapewne jest wart drugie dziesięć milionów. Nie wierzę, abyś naprawdę potrzebowała pieniędzy. To niemożliwe.

- A jednak.

Należała do tych, którzy z każdej opresji wychodzą cało, niezależnie od kosztów i poświęceń. Ponadto nie była jego prawdziwą matką, ale z czasem ta świadomość przestała go dręczyć. Więc może faktycznie był jej coś winien?

- Muszę przyznać, że masz tupet, Lano. Odcięłaś się ode mnie całkowicie, i to w dniu śmierci ojca, nie odzywałaś się do mnie przez szesnaście lat, a tu nagle zjawiasz się z wyciągniętą ręką i oczekujesz, że coś ci w nią wpadnie. Co do jednego powinniśmy się chyba zgodzić. Musiałaś zapomnieć o własnej dumie.

- Po prostu nie mam się do kogo zwrócić - odparła szczerze - a w końcu przed laty zgodziłam się tobą zaopiekować. To chyba coś znaczy.

- Jesteś niesamowita.

- Mogę liczyć na twoją pomoc?

Przez dłuższy czas nie odpowiadał.

- Muszę to wszystko przemyśleć. W przyszłym tygodniu będę na Zachodnim Wybrzeżu, wtedy się spotkamy. Zadzwoń do ciebie.

Ospale przytaknęła ruchem głowy.

- Dobrze - szepnęła.

Uderzyło go nagle, że wygląda bardzo staro jak na swoje lata.

- Mam do ciebie jedno pytanie. Kto jest moją biologiczną matką?

Popatrzyła mu prosto w oczy.

- Nie wiem.

Uświadomił sobie, że zawsze potrafiła kłamać bez mrugnienia okiem.

Faraday siedział w jego gabinecie zapatrzony w aparat telefoniczny. Dochodziła piąta.

- Na co stawiasz? - zapytał.

- Nie zadzwoni - odparł Gillette.

- A ja myślę, że zadzwoni. Chatham potrzebuje pieniędzy, będzie więc chciała utargować, ile się tylko da.

- Nie zniży się do tego.

- Jak pamiętam, mówiłeś, że sprawia wrażenie inteligentnej.

- Tak mówiłem.

- Więc na pewno podejmie słuszną decyzję.

- Miejmy nadzieję.

Faraday zaczerpnął czubatką łyżkę lodów z bakaliami z pojemnika trzymanego na kolanach.

- Co u Faith? Na pewno była wściekła, gdy zobaczyła w gazetach twoje zdjęcia z Allison. Kiedy wparowała tamtego wieczoru do biura, miała taką minę, jakby zamierzała położyć kogoś trupem na miejscu. Chciałem się z nią przywitać, ale minęła mnie bez słowa.

Gillette uśmiechnął się, przyjmując z radością tę nagłą zmianę tematu.

- Już jej przeszło.

- Tak? To znaczy, że znów ze sobą rozmawiacie?

- Tak. - Gillette odnotował w pamięci, żeby zadzwonić do Russella Hughesa i zapytać, czy umówił go już ze swoim znajomym z CIA.

- I mam rozumieć, że jutro zobaczę ją na pokładzie jachtu? - ciągnął Faraday.

- Nie. Jest w Londynie, uczestniczy w akcji promującej nowy album, który ma się wkrótce ukazać.

- Więc kto będzie?

- Ty, Stiles, Wright i ja.

- Nie zrezygnowałeś z zaproszenia Davida nawet po tym, jak się zachował po spotkaniu w Apeksie?

- Jest jeszcze młody, Nigel.

- Aha. - Faraday zawiesił na chwilę głos. - Chcesz, żebym przyjechał z moją nową przyjaciółką?

- Jasne. Kto to jest?

- Nie znasz jej. A ty popłyniesz sam, skoro Faith jest w Londynie? - zapytał z ustami pełnymi lodów.

Gillette nie odpowiedział. Faraday nagle znieruchomiał.

- Tylko nie to. Gillette spojrzał na niego.

- O co chodzi?

- Zabierasz Allison.

- O czym ty mówisz.

- Można się było tego domyślać.

- Lepiej niczego się nie domyślaj. Zresztą nawet gdybym ją zaprosił, byłoby to wyłącznie na stopie koleżeńskiej.

Zabrzączał interkom. Debbie zapowiedziała:

- Chris, Becky Rouse na linii.

Faraday uśmiechnął się triumfalnie znad kolejnej czubatej łyżki lodów.

- Dzięki. - Gillette podniósł słuchawkę. - Halo.

- Panie Gillette, mówi Becky Rouse z Chatham.

- Tak.

- Dzwonię, żeby powiedzieć, co może pan zrobić ze swoją ofertą.

Poczuł, że się czerwieni. Becky rzeczywiście nie dawała sobie w kaszę dmuchać.

- To znaczy?

- Jestem damą, więc nie powiem wprost tego, co myślę. Pozostawiam to pańskiej wyobraźni. Żegnam, panie Gillette.

Jeszcze przez chwilę wsłuchiwał się w przerywany sygnał po tym, jak na linii rozległ się głośny trzask, wreszcie powoli odłożył słuchawkę.

- I co? - zapytał Faraday.

- Będziemy mieć wojnę w Marylandzie.

Anglik jęknął gardłowo.

- Co za strata czasu.

- Owszem, i to dla wszystkich.

Do gabinetu zajrzał David Wright.

- Przepraszam, że przeszkadzam. Czy moglibyśmy zamienić parę słów, Chris? - Spojrzał na Faradaya. - Na osobności.

Nigel spokojnie zaczerpnął jeszcze jedną łyżkę lodów, włożył je do ust, dopiero potem wstał.

- W takim razie do jutra, Christianie. Zbieram się do domu. To był bardzo długi tydzień.

Wright odsunął się na bok, żeby przepuścić Faradaya, po czym zamknął za nim drzwi.

- O co chodzi, Davidzie?

Wright się zawahał, wyraźnie skonsternowany.

- Chciałem przeprosić za swoje zachowanie w limuzynie. Byłem głupi.

Świetnie, pomyślał Gillette. Właśnie tak należało postąpić.

- Doceniam to, Davidzie. - Odnotował w myślach, żeby koniecznie powiedzieć o tym Faradayowi. - Zatem widzimy się jutro?

- Mam rozumieć, że zaproszenie jest wciąż aktualne?

- Przecież nie moglibyśmy wypłynąć bez ciebie, skoro ma to być rejs dla uczczenia twojego awansu.

Rozdział 12

Od nabrzeża West Side „Everest” popłynął rzeką Hudson, okrążył południowy kraniec Manhattanu i skierował się East River na północ. W ten sposób musieli przepłynąć pod mostem Brooklyńskim, potem Manhattańskim, Williamsburgskim i wreszcie Pięćdziesiątej Dziewiątej ulicy, gigantycznymi konstrukcjami robiącymi z łodzi dużo większe wrażenie niż z poziomu ulicy. Około południa dotarli do cieśniny Long Island i w pełnym blasku wczesnojesiennego słońca skręcili na wschód. Godzinę później temperatura na górnym pokładzie osiągnęła trzydzieści pięć stopni, w parnym powietrzu trudno było oddychać.

Stiles, który stał na mostku obok Gillette'a i obserwował poczynania kapitana, zagadnął, przekrzykując głośny terkot dwóch wysokoprężnych silników:

- Powiedz mi o nim coś więcej, Chris.

- To trzydziestometrowy jacht pełnomorski - odparł Gillette, spoglądając przez sterburtę na odległy o milę brzeg Long Island. - W najszerszym miejscu ma prawie osiem metrów szerokości. Jest wyposażony w dwa silniki Diesla o mocy pięciu tysięcy koni mechanicznych każdy i zbiornik paliwa o pojemności niemal dwudziestu tysięcy litrów. Ma cztery kabiny. Załoga składa się z trzech osób, to znaczy kapitana, kuka i majtka. Podróże tym jachtem stały się moją ulubioną rozrywką. Strasznie dużo mnie kosztował, Quentinie, ale nie żałuję ani jednego wydanego dolara. Bardzo lubię nim pływać.

- A ponieważ często przyjmujesz na nim różnych gości, więc zapewne bardzo ci się to opłaca.

- Owszem. W ostatnie święto Czwartego Lipca zabrałem sto osób do nowojorskiego portu na pokaz sztucznych ogni. Byli to sami znaczący inwestorzy mający swoje udziały w funduszu Everest Osiem. Zgodziłem się, żeby zabrali żony, mężów i dzieci. Wspaniale spędziliśmy razem czas, a większość z nich zadeklarowała potem gotowość przystąpienia do naszego nowego funduszu. Pewnie i tak by do niego przystąpili, niemniej miło mi aż do dzisiaj wysłuchiwać pochwał dotyczących tamtego rejsu.

Na mostek weszła Allison w czerwonym bikini.

- Proszę uprzejmie - powiedziała, podając Gillette'owi dużą szklanicę gazowanej wody. - Jak ci się tu podoba, Quentinie?

- Jest wspaniale.

- Cudowny jacht, prawda?

- Niesamowity. Chris właśnie mi o nim opowiadał.

- Tak, jest sprytny. - Puściła oko do Gillette'a, po czym odwróciła się na pięcie i odeszła.

- Sprytny? - zdziwił się Stiles. - Jak należy to rozumieć?

- Jacht Wallace'ów cumuje na przystani South Beach - wyjaśnił Gillette. - Jest dwukrotnie większy. Dla niej liczy się tylko tamten jacht. Pewnie dlatego mój nazwała sprytnym.

- Aha. - Stiles machnął ręką w kierunku drzwi, za którymi zniknęła. - Jest piękna.

- To prawda.

- Nawet te drobne skrawki materiału wyglądają na niej cholernie dobrze - odchrząknął. - Wygląda w nich... bardzo kusząco.

- Owszem.

Stiles zawahał się wyraźnie.

- Czy jest coś między wami?

Gillette po raz kolejny popatrzył na brzeg Long Island, który znajdował się już dużo dalej.

- Nie.

- Nie chcę być wścibski, ale...

Christian przeciągnął dłonią po włosach.

- I tak jesteś. - Urwał na chwilę. - Przysnaję, Quentinie, że zrobiła na mnie olbrzymie wrażenie. Zresztą, kto na moim miejscu zareagowałby inaczej, na miłość boską? Nie zamierzam jednak dopuścić, by między nami do czegoś doszło. Łączą nas wyłącznie interesy, i nic poza tym.

Przez kilka sekund panowała cisza.

- Rozmawialiśmy kiedyś o tym, jak bardzo samotny bywa człowiek znajdujący się na samym szczycie - odezwał się w końcu Stiles.

- Tak, pamiętam. I co z tego?

- Musisz bardzo uważać na to, z kim się wiążesz, zwłaszcza że tak wiele ludzi na ciebie liczy. I bardzo uważnie cię obserwuje. Ostatecznie w grę wchodzi bardzo duże pieniądze.

- Przecież mówiłem, że nie zamierzam dopuścić, by między nami do czegoś doszło.

- Ale na pewnym etapie może ci być bardzo trudno się powstrzymać.

- Detektyw zachichotał. - To zabawne, jak zmienia się wygląd ludzi, gdy wkładają stroje plażowe, prawda? - zapytał zdecydowanie pewniejszym tonem, zmieniając nagle temat. - Na przykład... - zarechotał głośno - ...na przeciwnym biegunie tego odmiennego wyglądu umieściłbym Nigela Faradaya, który powinien Bogu dziękować, że krawcy szyją jeszcze luźne i obszerne garnitury. Jest blady jak syn młynarza, a takim wydatnym brzuszyskiem nie pogardziłby sam święty Mikołaj.

Gillette także zaśmiał się w głos.

- Wszystko przez tych pięć opakowań lodów dziennie.

- Pięć pudełek? Poważnie?

- Coś koło tego. - Gillette odprowadził spojrzeniem dużą żaglówkę, którą mijali po bakburcie. Wiatr był całkiem niezły, toteż jej sternik odważył się postawić spinaker, wielki błękitno-złoty żagiel, który majestatycznie łopotał nad dziobem. - Piękna, co nie?

- Nie mam serca do żaglówek - odparł detektyw. - Są zbyt powolne i wymagają mnóstwa pracy.

- Ale nasi przodkowie tak się właśnie przemieszczali.

- Może twój, bo moi nie. Moi byli sprytniejsi. Używali wiosł. - Ruchem ręki dał znak, żeby Gillette przeszedł za nim na tylną część mostka. - Jest parę spraw, które chciałbym z tobą omówić - rzekł, gdy znaleźli się z dala od kapitana.

- O co chodzi?

- Przede wszystkim o coś zdumiewającego. Dziś rano moi ludzie znaleźli nowoczesne i mocne nadajniki GPS w obu odrzutowcach należących do Everestu. Były małe i dobrze ukryte, ale udało nam się je znaleźć. Musiały zostać przytwierdzone do kadłubów niedawno, sądząc po stanie śrub, na których nie było nawet śladu korozji czy działania niskich temperatur.

Gillette zaklął pod nosem. Wyglądało to na robotę Normana Boyda. Powinien był się tego spodziewać.

- To pewnie dzieło tych ludzi z Waszyngtonu.

Stiles wzruszył ramionami.

- Tego nie wiem. Niewiele mi o nich mówiłeś, a ja nie zamierzam się na siłę dopytywać. Niemniej, jako szef twojej ochrony osobistej, zwłaszcza teraz, po wykryciu urządzeń sygnalizacyjnych, uważam, że nie powinieneś mieć przede mną żadnych tajemnic. - Urwał, ale nie doczekał się odpowiedzi, toteż podjął po chwili: - W każdym razie usunęliśmy oba nadajniki.

- Niedobrze - odezwał się szybko Gillette. - Przymocujcie je z powrotem. I to jak najszybciej.

- Po co?

- Zróbcie to, dobrze?

- W porządku, tyle że... - nagle urwał. - Jasne. Rozumiem.

- Jak sądzisz, kiedy te nadajniki mogły zostać przymocowane?

- Nie da się tego ustalić.

- Ale na pewno niedawno, tak? - naciskał Gillette. - Sam przecież tak powiedziałeś.

- Owszem, ale to mogło być zarówno kilka tygodni temu, jak i dzisiaj rano. Co do tego nie ma żadnej pewności.

Gillette zaczął się gorączkowo zastanawiać nad innymi metodami, jakie Boyd mógł zastosować, żeby go śledzić.

- Coś jeszcze? - zapytał.

- Sprawdziliśmy powiązania tego faceta z uroczystości wmurowania kamienia węgielnego pod budowę szpitala, który podawał ci łopatę. Bez wątplenia jest członkiem rodziny Carbone.

Gillette pociągnął łyk wody gazowanej.

- Zatem mamy wreszcie odpowiedź na pytanie o bieżącą aktywność mafii w Las Vegas, prawda? Kontaktowałeś się z którąś z tamtejszych firm konsultingowych? Jedna z tych, które gotowe byłyby nam pomóc w załatwianiu wszelkich formalności?

- Jest ich prawie dwadzieścia, ale skoncentrowałem się na dwóch, jak o to prosisz. Jak tylko wrócimy na ląd, prześlę ci mejlem z mojego palmtopa nazwiska oraz numery telefonów ludzi, z którymi rozmawiałem.

- Dzięki. - Gillette już w poniedziałek polecił Debbie, żeby dała Stilesowi jedno z urzędzeń należących do firmy. - Pewnie pamiętasz, że w tym tygodniu tam lecimy. Spotkamy się z tymi ludźmi. Masz coś jeszcze?

- Owszem. Zrobiłem trochę szerszy wywiad na temat rodziny Carbone. Przede wszystkim powinieneś wiedzieć, że boss rodziny, Joe Celino, to typek, przy którym John Gotti robi wrażenie grzecznego i kulturalnego chłopczyka. Nie ma żadnych skrupułów. W środowisku nazywają go „Dwudziestkądwójką” od ulubionego kalibru broni. Lista jego domniemanych ofiar jest bardzo długa, lecz do tej pory ani razu nie postawiono mu żadnych zarzutów. W każdym razie z tego, co słyszałem, wynika, że

Celino troszczy się głównie o długofalowe cele. Należy więc zakładać, że będziesz się musiał z nim cackać nie tylko na etapie budowy stadionu i kasyna. Na pewno będzie chciał mieć swój udział w zyskach z meczów, może upomni się nawet o jakies koncesje, a już z pewnością zażąda haraczu z działalności kasyna. Nie pozbędziesz się go tak łatwo.

- Tego się właśnie obawiałem.

- Posłuchaj - dodał ciszej Stiles, pochylając się nieco w kierunku Gillette'a. - Jestem już blisko ciekawych informacji dotyczących działań rodziny Carbone. Pracuję nad tym z ludźmi z Filadelfii. To moi starzy znajomi, jeszcze sprzed założenia QS Security. Chyba będziemy mogli wykorzystać te informacje w rozmowach z Celinem, żeby go zniechęcić do wtykania nosa w twoje sprawy. Jeśli wszystko pójdzie po mojej myśli, te informacje, które zostaną ujawnione anonimowo, powinny dość skutecznie wyłączyć Celina z wszelkich poczynań w Las Vegas.

- Wspaniale. Co to takiego?

- Na razie nie chcę o tym mówić - odparł Stiles, zerkając przez ramię na kapitana.

- Nie żartuj, Quentinie.

- Mówię poważnie. Wrócimy do tej rozmowy, gdy znajdziemy się z powrotem na łądzie. - Gillette otworzył już usta, ale detektyw powstrzymał go, unosząc rękę. - Jeszcze jedno, Chris.

- Co takiego?

- Sprawdziłem jeszcze kilka nowych źródeł na temat Allison Wallace. Nadal nic nie wskazuje na to, by zażywała narkotyki.

- Dzięki. Możesz już zakończyć to polowanie. - Wolał, żeby Allison nie dowiedziała się, że nadal ją kontroluję. - A skoro już o tym mowa... - rzekł głośniej, gdyż Stiles skierował się już w stronę schodków prowadzących na niższe pokłady.

- Tak?

- Twoja przyjaciółka jest bardzo miła. I ma dobrze wychowanego

chłopaka - rzekł, komentując udział w rejsie znajomej detektywa, która przyjechała ze swoim sześćcioletnim synem. - Cieszę się, że ją zaprosiłeś. Stiles uśmiechnął się szeroko.

- Danny nigdy by mi tego nie darował, Chris. Po raz pierwszy jest na jachcie. Dziękuję w jego imieniu za zaproszenie.

- Nie ma za co. Gdybyś spotkał Wrighta, poproś go, z łaski swojej, żeby zajrzał tu do mnie na górę.

- Oczywiście.

Gillette cofnął się w głąb sterówki i poklepał kapitana po ramieniu.

- Billy, chciałbym skorzystać z twojego telefonu komórkowego.

Aparat leżał na półce przed kołem sterowym. Billy sięgnął po niego i podał mu przez ramię.

- Proszę bardzo.

- Dzięki.

- Wyczerpał ci się akumulator?

- Owszem. - Nie było to prawdą, lecz Gillette wolał nie wtajemniczać w swoje sprawy kapitana. Wybrał domowy numer Cathy Dylan.

- Halo.

- Cathy, tu Christian.

- Cześć.

- Chcę cię prosić o przysługę. - Wciąż nie mógł zapomnieć o odkryciu nadajników GPS przytwierdzonych do obu samolotów firmy.

- Słucham.

- Zadzwoń do naszego przyjaciela z Richmond i podziękuj mu w moim imieniu za to, że zechciał się ze mną spotkać.

- Tylko tyle?

- Jak to zrobisz, zadzwoń do mnie. Tylko dzwoń pod ten numer, który ci zaraz podyktuję...

- Nie musisz - przerwała mu. - Nie jest zastrzeżony i widnieje na moim ekranie.

- W porządku. - Chciał się upewnić, że Scottowi Davisowi nic się nie stało, że Boyd nie posunął się do jakichś brutalnych działań. Westchnął ciężko. Niepotrzebnie narażał ludzi na niebezpieczeństwo, coraz bardziej nie dawało mu to spokoju. - Dzięki.

- Nie ma za co.

Gdy tylko odłożył aparat, na mostku pojawił się Wright.

- Chciałeś się ze mną widzieć, Chris?

- Tak. Przyszło mi na myśl, że możemy porozmawiać, nim zabawa rozkręci się na dobre. Co nowego w sprawie Hush-Hush?

- Zarządziłem już kontrolę prawidłowości w księgach firmy. Poprosiłem Cathy Dylan o pomoc. Nie masz nic przeciwko temu?

Cathy miała więc pełne ręce roboty.

- Nie.

- W poniedziałek powinna mieć gotowy spis dokumentacji, którą muszą nam udostępnić ludzie z kierownictwa Hush-Hush. Mój przyjaciel Hobbs poprowadzi zespół negocjacyjny po ich stronie. Wszystko powinno pójść jak z płatka. Hobbs twierdzi, że Maddox jest szczęśliwy jak diabli. Już zarezerwował sobie jakąś posiadłość na Karaibach.

- To dobrze. Dla twojej wiadomości, we wtorek po południu odlatuję do Las Vegas, żeby załatwić parę spraw związanych z naszymi planami budowy kasyna. Przy okazji spotkamy się też z przedstawicielem towarzystwa ubezpieczeniowego, które dla nas wyszukałeś. Zostanę na zachodzie przez kilka dni. Po wizycie w Las Vegas zajrzę jeszcze na wybrzeże. W każdym razie podczas mojej nieobecności będziemy się kontaktowali codziennie rano, jak do tej pory.

- W porządku.

- Mam na oku jeszcze jedną firmę, w której zakup chciałbym cię wciągnąć. Nazywa się Veramax. Słyszałeś o niej?

- Nie.

- To prywatne przedsiębiorstwo farmaceutyczne z okolic Chicago. W Pittsburgu Allison poznała mnie z właścicielem. Specjalnie w tym celu tam poleciliśmy. Firma szybko się rozwija i jest gotowa do wprowadzenia na rynek kilku nowych produktów. Rodzina Allison jest od dawna zaprzyjaźniona z rodziną, do której należy Veramax. Powinniśmy ją kupić po bardzo atrakcyjnej cenie, ponieważ właściciel ma na pieńku z Federalną Komisją Leków i bardzo liczy na moją pomoc.

- Doskonale.

- Chciałbym, żebyś zajął się także tą sprawą, poszperał trochę i zebrał cenne informacje, aby zrelacjonować mi tę ofertę, kiedy wrócę z Vegas.

- Jutro od rana się do tego zabiorę.

- Świetnie. A tak przy okazji, nie mów Allison, że cię wciągnąłem w tę transakcję.

- Nie ma sprawy.

Gillette poklepał swego protegowanego po ramieniu.

- To chyba wszystko. Wracaj na dół i baw się dobrze. Cieszę się, że znów cię widzę w towarzystwie żony.

- Dzięki. - Wright odwrócił się już do schodów, ale znieruchomiał i rzucił przez ramię: - Chris?

- Tak?

- Czy jest coś między tobą i Allison?

Mój Boże, pomyślał Gillette, dlaczego ta sprawa aż tak bardzo zaprzęta wszystkich dookoła?

- Oczywiście że nie.

- Chodzi o to, że...

Zadzwoił telefon Billy'ego, przerywając Wrightowi w pół słowa. Kapitan pospiesznie odebrał i zawołał:

- Christianie, to do ciebie.

- Przepraszam, Davidzie - mruknął Gillette, biorąc aparat. - Halo?

- Christian, mówi Cathy.

- Tak. - Odprowadził spojrzeniem Wrighta znikającego na schodkach.

- Rozmawiałam z doktorem Davisem. Podziękowałam mu za poświęcony czas, jak o to prosiłam.

Poczuł olbrzymią ulgę.

- Dzięki.

Joseph „Dwudziestkadwójka” Celino siedział na patio swojego nowoczesnego domu na Staten Island i wpatrywał się w lekko zamglony widok dość odległego dolnego Manhattanu. Bliżej znajdował się nowojorski port upstrzony plamkami licznych statków wycieczkowych oraz dwóch dużych pomarańczowych promów, które się właśnie mijały. Zerknął w lewo, na Statuę Wolności, wracając wspomnieniami do swego dzieciństwa w Brooklynie, kiedy to Stany Zjednoczone naprawdę wydawały mu się krajem nieograniczonych możliwości, jeśli tylko podejmie się ryzyko. Jego ojciec próbował wychowywać dziewięcioro dzieci, nie podejmując żadnego ryzyka, a ponieważ miał tylko dorywczą pracę spawacza w stoczni remontowej, z roku na rok popadał w coraz większe długi, aż w końcu, gdy Celino miał dziewięć lat, nie zniósł presji i popełnił samobójstwo. Kiedy teraz wracał myślami do tamtych lat, ocenił, że jego ojciec był skończonym tchórzem, który dostał tylko to, na co w pełni sobie zasłużył. Bo bez ryzyka nie dało się niczego osiągnąć.

On sam rzucił szkołę średnią, by zostać chłopcem na posyłki w lokalnym sklepie spożywczym i, zarabiając dolara i siedemdziesiąt pięć centów za godzinę, dołożyć się do skromnego budżetu rodzinnego. Szybko znudziły go jednak marne zarobki, toteż z ochotą przyjął pierwsze zlecenie, gdy znajomy przyjaciel przedstawił go mafijnemu bossowi. Jego celem został właściciel sklepu alkoholowego z Queens, który uparcie odmawiał płacenia za ochronę. Pewnego upalnego letniego wieczoru Celino zastrzelił go z pistoletu kalibru dwadzieścia dwa, kiedy tamten zamykał sklep na noc. Oceniał wówczas, że zabijanie to bardzo prosta

rzecz, a gdy przez kilka minut stał nad konającym sklepikarzem, odczuł fascynację widokiem poszerzającej się kałuży krwi i przedśmiertnych drgawek człowieka. Później odebrał za tę robotę trzysta dolarów i nigdy więcej nie pojawił się na zapleczu swojego sklepu spożywczego. Nim ukończył dziewiętnaście lat, miał już na sumieniu dwadzieścia osiem zabitych osób.

Mimo drobnej postury, jako że miał tylko sto sześćdziesiąt osiem centymetrów wzrostu i ważył sześćdziesiąt cztery kilogramy, szybko zyskał reputację jednego z najgroźniejszych i najbardziej bezwzględnych zabójców w Nowym Jorku. Nigdy nie korzystał z niczyjej pomocy, nawet innego płatnego mordercy, toteż nie było świadków jego poczynań. I zawsze zabijał z ulubionej dwudziestkidwójki. Nic więc dziwnego, że ostatecznie został donem najbardziej wpływowej rodziny mafijnej w kraju, rodziny Carbone, której nazwa budziła śmiertelny strach zarówno w sercach wszystkich pozostałych mafiosów, jak i wśród stróżów prawa.

- Co porabia Christian Gillette? - zapytał Celino, sięgając po krakersa o smaku sera i salami do wielkiego półmiska stojącego pośrodku stołu.

- W przyszłym tygodniu wybiera się do Vegas - odparł Al Scarpa, jedyny człowiek odpowiedzialny wyłącznie przed nim, który troszczył się o wszelkie szczegóły, tak że Celino rzadko musiał wychodzić z domu. Był jeszcze drobniejszej budowy ciała niż on, za to paradował z wielkim pistoletem kalibru czterdzieści cztery.

- Dostosuje się do naszych reguł gry?

- Sądzę, że tak - mruknął Scarpa, wydłubując brud zza paznokci. - Quentin Stiles skontaktował się wczoraj z naszym człowiekiem z tamtejszej firmy konsultingowej i umówił go na przyszły tydzień na spotkanie z Gillette'em. Ale tak samo skontaktował się z jeszcze jedną firmą.

- Lepiej, żeby wybrał tę właściwą.

- Na pewno tak zrobi.

- Stiles już całkiem doszedł do siebie? - zaciekawiał się Celino, odgryzając niewielki kawałek krakersa.

- Mniej więcej na dziewięćdziesiąt procent.

- Nawet sprawny na dziewięćdziesiąt procent jest bardzo groźny. Wiemy o tym nie od dziś. Ludzie z Filadelfii ostrzegali nas przed nim.

Scarpa pokiwał głową.

- To prawda, ale nie ma się czym martwić, szefie. Zajmę się wszystkim.

Celino popatrzył na niego spod przymrużonych powiek. Nie było sensu o nic więcej pytać, skoro Scarpa twierdził, że wszystkim się zajmie. Był jego prawą ręką od ośmiu lat i Celino miał do niego pełne zaufanie. Oczywiście w takim zakresie, w jakim mafijny boss może komukolwiek ufać. - Na pewno w tej sprawie wszystko idzie zgodnie z ustaleniami?

- Tak.

- Oddelegowałeś do niej naszych najlepszych ludzi, prawda? Nie możemy dopuścić, żeby coś poszło nie tak, jak trzeba. Zrozumiałeś? Za wszelką cenę musimy dotrzymać warunków porozumienia z naszej strony. Może to wpłynąć na wiele innych naszych operacji, jak też na przewagę, jaką mamy dotąd nad przyjaciółmi.

- Wiem o tym, szefie. Możesz mi zaufać. - Scarpa przesunął się z krzesłem o parę centymetrów w prawo, żeby pozostać w cieniu parasola.

- Doskonale wiesz, Josephie, że zawsze podziwiałem twoją umiejętność utrzymywania wszystkich spraw poza polem zainteresowania opinii publicznej.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Jesteś wart bardzo duże pieniądze, ale twój dom... no cóż, nie chciałbym cię obrazić. W końcu to bardzo przytulny dom. Ale stać cię na dużo więcej. Wiem, że chcesz uniknąć zwracania uwagi na siebie i całą rodzinę, ale czasami ogarnia mnie przygnębienie, gdy widzę, jak

chłopcy w Wall Street wydają pieniądze na nowe domy z taką łatwością, jakby chodziło o kupno bochenka chleba.

Celino lekceważąco machnął ręką.

- Mnie to nie obchodzi. W końcu ciężko pracują na swoje pieniądze, tak samo, jak ja. A to, co człowiek robi z zarobionymi pieniędzmi, to wyłącznie jego sprawa, przynajmniej dopóki nie odbywa się to moim kosztem. - Urwał i ponownie zapatrzył się na port. - A jak Allison Wallace dopasowała się do załogi Everestu?

Scarpa uśmiechnął się szeroko.

- Bardzo dobrze, szefie. Doskonale.

Gillette i Peggy Wright stali sami na dziobowym pokładzie „Everestu”, sącząc drinki - ona swoje trzecie martini, on drugą pepsi. Znajdowali się trzydzieści mil od brzegu, którego nie było już nawet widać na horyzoncie. Gillette uwielbiał takie chwile, kiedy jacht otaczała wyłącznie woda. Czuł się przez to, jakby naprawdę był nietykalny, uwolniony od zawodowego stresu, choćby jedynie na krótki czas.

- Dziękuję za awansowanie Davida - odezwała się z szerokim uśmiechem Peggy, drobna brunetka. - Był taki szczęśliwy.

- Zasłużył na ten awans.

- Bardzo się stara.

- Owszem, to prawda - zgodził się Gillette. - Dlatego na nim polegamy.

Rozejrzała się, jakby z obawy, że David może być gdzieś w pobliżu.

- Mój mąż sądzi chyba, że potrafisz chodzić po wodzie, Christianie. Ciągłe powtarza: „Christian podszedłby do tego w ten sposób” albo „Christian załatwiłby to tak”. Bez przerwy myśli tylko o Evereście, wciąż łamie sobie głowę, jak przeprowadzić jakąś transakcję i jak zdobyć korzystniejszą ofertę.

- Właśnie z tego powodu go awansowałem. Wiem, jak bardzo jest oddany firmie. - Gillette zagrzechotał kostkami lodu w szklaneczce. - Skąd pochodzisz, Peggy?

Obejrzała się za burtę i zapatrzyła na stadko mew krążących nad czymś unoszącym się na powierzchni oceanu.

- Z Columbus w Ohio. Czemu pytasz?

- Prowadzimy rozmowy w sprawie pewnej transakcji na Wschodnim Wybrzeżu w Marylandzie, a David powiedział, że ma w tamtych okolicach jakichś krewnych. Byłem niemal pewien, że cała jego rodzina mieszka w Connecticut, dlatego przyszło mi do głowy, że ci krewni mogą być spowinowaceni z tobą.

Peggy wolno pokręciła głową, a na jej twarzy odmalował się wyraz zdziwienia.

- Nie mam żadnych krewnych w Marylandzie, David też nigdy nie wspominał o jakichś bliskich mieszkających w tamtych stronach. - Głośno przełknęła ślinę, zwróciwszy uwagę na zatroskaną minę Gillette'a. - Czyżbym powiedziała coś złego?

Energicznie zaprzeczył ruchem głowy.

- Wiesz co? Chyba się pomyliłem. Myślałem o czymś zupełnie innym. Przepraszam.

Billy wkroczył energicznie do obszernej mesy jachtu i pochylił się do ucha Gillette'a, żeby nikt ich nie słyszał.

- Mam pewien problem - rzekł półgłosem. - Chodź ze mną.

Gillette przeprosił gości, wstał i wyszedł za kapitanem do sąsiedniej kajuty.

- Co się stało?

- Prosto na nas sunie front burzowy, naprawdę groźny. To prawdziwy wybryk natury. Pojawił się nie wiadomo skąd, jakby na przekór wysokiemu ciśnieniu, temperaturze i dużej wilgotności.

- Matko Boska... - syknął Gillette, bocznymi drzwiami wyszedł na pokład i spojrzął na mroczne niebo. Jeszcze godzinę temu było usłane miriadami gwiazd, które nagle zniknęły. - Ile mamy czasu, zanim w nas uderzy?

- Jakieś czterdzieści minut.

- Zdążymy dopłynąć do portu?

- W żadnym wypadku. Nie ma mowy.

- Jakim cudem, do cholery, taki gwałtowny sztorm mógł się pojawić tak błyskawicznie?

- Rzadko się to zdarza, ale jeśli już tak się dzieje, nadchodzi bardzo gwałtowny sztorm. Pamiętasz, co się stało w Baltimore kilka lat temu? Taki właśnie sztorm spadł na port jak grom z jasnego nieba. Kilka osób zatonoło w wypadku promu. - Nerwowo popatrzył w niebo. - Straż Przybrzeżna powtarza przez radio, że każda jednostka, która nie ma szans wrócić do portu, powinna ze szczególnie pozamykanymi lukami skierować się prosto na wschód, na ten sztorm. Podobno fale sięgają pięciu metrów wysokości, może nieco wyżej, a wiatr wieje z prędkością do siedemdziesięciu kilometrów na godzinę, w porywach do stu pięćdziesięciu. Nie powinno to trwać zbyt długo, ale jak znajdziemy się na linii frontu, rozpęta się istne piekło.

Gillette rozejrzał się po pokładzie. Już wyczuwał, że kołysanie wyraźnie przybrało na sile.

- Do czego jestem ci potrzebny?

- Uprzedź swoich gości, że czekają nas trudne chwile. Najlepiej już teraz przekonaj ich, żeby powkładali kamizelki ratunkowe.

- Gdzie powinniśmy się schronić? Ma to jakieś znaczenie?

- Ma. Pozamykajcie się w kajutach na rufie. Przykro mi to mówić, ale nie chciałbym was widzieć pod pokładem, gdyby jacht wywrócił się stępką do góry.

- Stępką do góry?

- Nie wiem, na ile okaże się stabilny podczas pokonywania pięciometrowych fal. Dlatego wołałbym, żeby wszyscy pasażerowie mieli możliwość szybkiego wyskoczenia za burtę, jeśli zaistnieje taka konieczność. A w morzu zdecydowanie lepiej sobie poradzą w kamizelkach ratunkowych, gdyby przyszło im dłużej czekać na ratunek. Wiem, że brzmi to przerażająco, ale już kilka razy miałem do czynienia z takimi sytuacjami, dlatego wołałbym się przygotować na najgorsze.

- Naprawdę sądzisz, że może być aż tak...

Billy uciszył go, podnosząc rękę, i energicznie pokręcił głową.

- Nie wiem, jak będzie, Christianie, ale sądząc po komunikatach Straży Przybrzeżnej powinniśmy być gotowi na wszystko. - Obejrzał się przez ramię. - Muszę wracać na mostek.

- W porządku, przygotuję ludzi na to, co ma nastąpić - zawołał za nim Gillette, po czym zawrócił do mesy.

Wszyscy popatrzyli na niego z niepokojem, gdy stanął w drzwiach, jakby spodziewali się już kłopotów. Jachtem rzeczywiście kołysało coraz mocniej.

- Uwaga, szykuje nam się nieprzyjemna sytuacja - rzekł, stając za swoim krzesłem przy stole. - Matka Natura zdecydowała się przypuścić atak. Prosto na nas idzie bardzo nieprzyjemny front burzowy, musimy się przygotować na sztorm. Proszę wszystkich o włożenie kamizełek ratunkowych. - Wskazał chłopca śpiącego na sofie, czule tulącego do siebie małego pieska. - Szczególnie musimy się zatroszczyć o Danny'ego.

Sztorm uderzył w „Everest” z całą zaciekłością. Grzbiety fal wznosiły się na sześć metrów, wiatr w porywach osiągał sto osiemdziesiąt kilometrów na godzinę, a rozbryzgi wody i siekający deszcz ograniczały widoczność prawie do zera. Jacht unosił się gwałtownie i przewalał przez spienione grzywy, Billy ze wszystkich sił utrzymywał go dziobem

w kierunku nacierającego sztormu. Pasażerowie, bez wyjątku opatuleni jaskrawopomarańczowymi kamizelkami ratunkowymi, trzymali się kurczowo czego popadnie, zasłuchani w bezsilny ryk silników spalinowych pod pokładem.

W pewnej chwili gigantyczny wał wodny natarł na dziób jachtu od strony sterburty, uniósł go wysoko i z łatwością obrócił w lewo. Kiedy łódź przewaliła się przez grzbiet fali, drewniane krzeselko poleciało w stronę oszklonych drzwi kajuty i roztrzaskało szybę. Jednocześnie Wright, Peggy, Stiles, jego przyjaciółka oraz Danny, który tulił do piersi przestraszonego pieska, nie zdołali się utrzymać pod ścianą i pojechali po pokładzie w kierunku pozostałych osób, stłoczonych w drugim końcu kajuty. Próbując się ratować, chłopiec wypuścił z rąk szczeniaka.

Do środka wdarł się wiatr niosący strugi deszczu. Przerażony piesek zaskomlił i wyskoczył przez rozbitą szybę w drzwiach na pokład. Danny skoczył na równe nogi, rzucił się za nim i błyskawicznie zniknął za rógiem. Jego matka krzyknęła przeraźliwie. Równocześnie Stiles poderwał się spod ściany i dał nura śladem chłopca, osłaniając ręką twarz przed siekącym deszczem i z trudem utrzymując równowagę.

- Quentin! - krzyknął Gillette, także podrywając się z miejsca, ale w tej samej chwili kolejna fala natarła na burtę jachtu. Ta jednak uderzyła w bakburtę, Gillette wraz z pozostałymi ludźmi poleciał w kierunku przeciwległej ściany kajuty. Zwalił się jak długi na pokład i huknął ramieniem o ścianę. Całe jego ciało przeszył tak gwałtowny ból, że odruchowo złapał się za lewą rękę i przycisnął ją do boku. Kiedy próbował się dźwignąć na czworakach, kolejna fala bólu przeszła jego ramię niczym długi nóż. Skrzywiony, popatrzył przez wybite drzwi na mroczne niebo rozcięte jaskrawym zygziem błyskawicy. Nigdzie nie dostrzegł ani Stilesa, ani Danny'ego, ani jego pieska.

- Mój Boże... mój Boże... - jęknęła przerażona przyjaciółka detektywa, która z takim samym napięciem wpatrywała się w drzwi kajuty.

Gillette poczołgał się po mokrej wykładzinie w stronę rozbitych drzwi, osłaniając twarz od wiatru i deszczu. Kiedy ciemność rozświetliła kolejna błyskawica, rozejrzał się gorączkowo, próbując gdzieś wypatrzyć sylwetkę człowieka. Kiedy skaleczył rękę o odłamek szkła, pospieszenie dzwignął się na nogi i usiłując zbalansować na ugiętych nogach gwałtowne kołysanie jachtu, jeszcze trochę zbliżył się do wyjścia, mając wrażenie, że nieustający ryk na zewnątrz przypomina odgłos pędzącego wprost na nich pociągu towarowego.

- Co ty wyrabiasz?! - krzyknął Faraday. - Nie możesz teraz wyjść na pokład!

Gillette jednym susem przeskoczył wybite drzwi, ale na pokładzie dziobowym natychmiast znowu znalazł się na czworakach. Utrzymanie pozycji pionowej było po prostu niemożliwe. Doczołgał się pod ścianą do wylotu korytarza, w którym zniknął Danny oraz Stiles. Jacht przechylił się gwałtownie w lewo, on zaś poleciał z impetem na ścianę nadbudówki. Starał się ustrzec lewe ramię przed dalszymi urazami, mocno przyciskając rękę do ciała, ale i tak odczuł boleśnie to zderzenie. Po raz kolejny stanął na czworakach, w blasku błyskawicy namierzył przed sobą wyciągniętego na pokładzie detektywa i pospieszenie poczołgał się w tamtym kierunku.

Kiedy kolejna fala rzuciła jacht na bok, Gillette dał susa w kierunku schodków prowadzących na górny pokład i kurczowo uchwycił najniższy stopień mimo dotkliwego bólu w lewym ramieniu. Gdy fala przetończyła się przez niego i spłynęła za burtę, podniósł głowę, nie zwalniając uchwytu na schodkach, i zamrugał szybko, usiłując cokolwiek dotrzeć szczypiącymi od morskiej soli oczyma. Stiles jedną ręką trzymał się relingu, drugą obejmował Danny'ego. Rozbryzgi następnej fali wzbity się nad pokład, toteż Gillette dał nura za schodki, a kiedy znowu spojrzął w stronę burty, Stiles przesuwiał się już w jego kierunku, na poły pełzając, na poły ślizgając się po zalewanym wodą pokładzie.

Kiedy znalazł się na jego wysokości, jacht gwałtownie przechylił się na sterburtę, a zaraz potem wyskoczył w górę. Gillette zdążył złapać chłopca, natomiast detektywa fala zmyła wzdłuż schodków, zdołał się jednak zatrzymać pod ścianą nadbudówki dobre dziesięć metrów dalej. Danny kurczowo chwycił Gillette'a za szyję, który z trudem mógł się obejrzeć, wypatrując wśród spienionych rozbryzgów Stilesa. Dopiero po paru sekundach zauważył ciemną sylwetkę detektywa, trzymającego się liny i z jej pomocą dźwigającego się na nogi.

Wydawało się już, że stoi pewnie, kiedy kolejna fala powaliła go znów na pokład i popchnęła ku dziobowi. Nim zmyła go za burtę pod linkami relingu, zdążył się jednak czegoś uchwycić i usiłował wciągnąć się na deski. Wtedy nadeszła jeszcze większa fala. Gillette musiał się z całych sił chwycić schodków, żeby nie podzielić losu detektywa i ratować przerażonego chłopca. Dobre dziesięć sekund woda przewalała się nad nimi, a gdy w końcu odpłynęła, obejrzał się błyskawicznie. Ale Stilesa już nie było na pokładzie dziobowym.

Jeszcze z dziesięć minut tkwił w niewygodnej pozycji, jedną ręką trzymając się kurczowo stopnia schodów, a drugą przyciskając do siebie Danny'ego, i zaciskając zęby z bólu w stłuczonym ramieniu. Fale jak szalone jedna za drugą przewalały się przez pokład „Everestu”. Chłopak ze strachu krzychał mu prosto w ucho, ilekroć jacht przechylał się gwałtownie na bok, i z całej siły zaciskał rączki na jego szyi, gdy morskie fale przetaczały się nad nimi. I ilekroć błyskawica rozświetlała ciemności, Gillette nerwowo zerkał przez ramię, wciąż mając nadzieję, że w jej blasku znów dostrzeże sylwetkę Stilesa. Nie zobaczył go jednak. W końcu sztorm zaczął słabnąć. Wiatr i deszcz ustały niemal równie niespodzianie, jak się zaczęły. Zaczął więc ostrożnie czołgać się w kierunku rozbitych drzwi nadbudówki dziobowej, gdy zza rogu wyłonili się Faraday i Wright, obejmujący się kurczowo i z wolna zbliżający do wyjścia na otwarty pokład.

- Christian! - krzyknął Faraday.

Obaj z Davidem podbiegli i pomogli mu się dostać do kajuty.

- Danny! - zawołała zapłakana matka, rzucając się w stronę Gillette'a i chwytając chłopca w ramiona. - Tak bardzo jestem ci wdzięczna - wychlipała poprzez szloch. - Bardzo dziękuję, Christianie.

- Przykro mi, że narażę cię na wszystkich - odezwał się cicho. Odwrócił się do Faradaya, podczas gdy Allison podbiegła i objęła go w pół. - Nie widzieliście Quentina?

Anglik pokręcił głową.

- Nie.

Gillette odwrócił się na pięcie, szarpnięciem uwolnił z objęć Allison, wyskoczył z powrotem przez rozbite drzwi i wybiegł na pokład. Dotarł aż na sam dziób, do miejsca, gdzie ostatni raz widział Stilesa, i zaczął go nawoływać raz za razem, rozglądając się po spiętrzonych falach w nadziei, że dostrzeże gdzieś jaskrawopomarańczową kamizelkę ratunkową. Później przeszedł wzdłuż burty do tyłu, aż w końcu zaczął się rozglądać za rufą. Nigdzie jednak nie zauważył śladu detektywa.

Wreszcie wbiegł po schodkach i jak bomba wpadł na mostek.

- Billy!

Kapitan zerknął na niego przez ramię, z rękoma zaciśniętymi kurczowo na kole sterowym, koncentrując się na ustawianiu łodzi dziobem pod fale.

- Tam na dole wszystko w porządku? - zapytał.

- Nie.

Billy obejrzał się na niego z przerażeniem w oczach.

- Stilesa zmyło - wyjaśnił Gillette.

- Co?

Wyjaśnił pokrótce, dlaczego razem z detektywem znaleźli się na otwartym pokładzie.

- Wybiegłem za nim z kajuty i udało mi się przejąć dzieciaka, zanim fala zmyła go z pokładu. Widziałem go jeszcze przez parę sekund na pokładzie dziobowym po sterburcie, ale potem zniknął mi z oczu. Aż nie mogłem uwierzyć, jak łatwo fala ścięła go z nóg. Potem następną uderzyła w burtę i już go więcej nie widziałem.

- A co z dzieciakiem?

- Utrzymałem go. Nic mu się nie stało.

Billy spuścił nisko głowę.

- Dzięki Bogu. Mam nadzieję, że Stiles...

- Nic z tego - wpadł mu w słowo Gillette. - Obiegnęłem dokoła całego pokładu. Nigdzie go nie ma. Musimy zawrócić i zacząć się za nim rozglądać. I chyba od razu trzeba zawiadomić Straż Przybrzeżną.

- Zagłądałeś pod pokład?

- Nie - przyznał Gillette.

- Zaraz zawrócę, ale nie będę jeszcze zawiadamiał Straży Przybrzeżnej, dopóki nie zyskamy pewności, że nie ma go na jachcie. Ratownicy mają dziś na pewno pełne ręce roboty, warto więc wszystko sprawdzić, zanim zwrócimy się do nich o pomoc.

Dziesięć minut później Gillette wbiegł ponownie na mostek.

- Nigdzie go nie ma.

Billy sięgnął po mikrofon krótkofalówki, wywołał Straż Przybrzeżną i informował ratowników o zaginięciu Stilesa, podając przy tym koordynaty według wskazań GPS. Gillette z uwagą słuchał tej wymiany zdań płynącej z głośnika. Na szczęście niedaleko znajdowała się jednostka ratownictwa morskiego, a wkrótce miał jeszcze wystartować śmigłowiec, żeby pomóc w przeczyszczeniu obszaru wokół podanej przez Billy'ego pozycji.

- Mówiłeś, że zwałił się na pokład jak długi, gdy fala uderzyła w burtę? - zapytał podejrzliwie Billy, odłożywszy mikrofon krótkofalówki.

Gillette słyszał jego pytanie, ale już wcześniej zaczął wspominać

ten moment, kiedy Quentina dosłownie ścięło z nóg. Stał już na równych nogach, kiedy nagle zwałił się jak długi. Nie zachwiał się, nawet nie zdążył wyciągnąć przed siebie ręk, żeby zamortyzować upadek. Wyglądało to tak, jakby nie upadł, tylko runął niczym kłoda, oberwawszy kulkę w głowę.

Rozdział 13

W gabinecie Gillette'a siedział Derrick Walker, który jako najstarszy agent QS Security przejął dowództwo jego osobistej ochrony. Mijały już dwa dni od czasu, gdy „Everest” u wylotu cieśniny niespodziewanie dostał się w rejon sztormu i Stiles zaginął bez śladu.

Podobnie jak Stiles, był Afroamerykaninem, ale miał skórę ciemniejszą niż jego szef i przy stu osiemdziesięciu ośmiu centymetrach wzrostu ważył aż sto dziesięć kilo, czyli o pięć kilo więcej od Stilesa będącego w pełni formy fizycznej. Ale wzorem szefa emanował taką samą pewnością siebie, jak gdyby rzeczywiście był gotów na wszystko. Gillette westchnął głośno. Wciąż nie mógł się pogodzić z tym, że sprawy bezpieczeństwa musi teraz omawiać z Walkerem, a nie z Quentinem.

- Mogę zapewnić, że nie będzie żadnego wyłomu w pańskiej ochronie osobistej - zaczął tamten basowym, bezbarwnym głosem. - Wszystkie nasze zadania będą kontynuowane.

- W to nie wątpię - odparł Gillette cicho.

- Pragnę nawet przyspieszyć nasze dochodzenia - ciągnął Walker - w tym również dotyczące nadajników GPS umocowanych do kadłubów samolotów, nadajników, których nie zgodził się pan usunąć.

- Dobrze.

Walker zawahał się na moment.

- Wiem, że przyjaźnił się pan z Quentinem, że byliście bliskimi przyjaciółmi.

- To prawda. - Gillette skrzywił się, zmieniając pozycję na krześle. Nadal odczuwał ostry ból w stłuczonym lewym ramieniu.

- Zatem będę z panem całkiem szczerzy. Między nami nie wytworzy się aż tak głęboka zażyłość. Nie mam zwyczaju nawiązywać bliższych stosunków z klientami.

Gillette odwrócił głowę, chcąc ukryć smutny uśmiech. Stiles mówił dokładnie to samo, kiedy podpisywali pierwszą umowę.

- Rozumiem.

- Ma pan jeszcze jakieś pytania?

Zamyślił się na chwilę.

- Czy jesteś właścicielem jakiejś części QS Security?

- Słucham?

Nie ulegało wątpliwości, że Walker uznał to pytanie za dziwaczne. Najwyraźniej spodziewał się czegoś bardziej standardowego, na przykład prośby o wykazanie się swoim doświadczeniem w ochronie ludzi. Gillette nie wątpił jednak, że Walker ma w tym zakresie wielkie doświadczenie. Stiles nigdy by nie zatrudnił kogoś niekompetentnego. Dlatego bardziej interesowały go motywacje Walkera do kontynuowania dzieła poprzednika.

- Quentin nie przekazał ci akcji swojej firmy? Nie masz żadnych udziałów w majątku QS Security?

- Nie.

Zatem nic nie mogło powstrzymać Walkera od przejścia do innej firmy ochroniarskiej bądź, co gorsza, przyjęcia sowitej łapówki.

- Dlaczego pan pyta? - zaciekał się ochroniarz.

- Z czystej ciekawości.

- Chris? - wtrąciła Debbie przez interkom.

- Tak.

- Mamy problem w lobby.

- Jaki problem.

- Proszę natychmiast stąd wyjść! - krzyknęła.

Gillette podniósł się z miejsca.

- Chodź ze mną, Derrick.

Ruszyli szybkim krokiem w stronę lobby i już sprzed stanowiska recepcyjnego Gillette dostrzegł za wahadłowymi drzwiami dwóch agentów QS Security blokujących komuś drogę do biura. Zza drzwi dolatywały też dzikie wrzaski i ku swemu zdumieniu rozpoznał głos Allison Wallace.

- Co się dzieje? - zapytał, przeciskając się między ochroniarzami.

- Ci dwaj nie chcą wpuścić do środka mojego nowego asystenta - rzuciła ze złością, oskarżycielsko wskazując palcem obu agentów.

Towarzyszył jej młody mężczyzna, wysoki i szczupły, z kruczoczarnymi włosami, piwnymi oczyma, o śniadej cerze upstrzonej trądzikiem. Na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie Araba.

- Nazywam się Christian Gillette. - Gillette wyciągnął do niego rękę.

- Hamid Mohamed - przedstawił się tamten, wciąż spoglądając na niego z tym samym, lekko pogardliwym wyrazem twarzy.

- On nie ma upoważnienia - wyjaśnił jeden z ochroniarzy.

- I co z tego? - rzuciła ostrym tonem Allison.

- Każdy nowy pracownik musi zostać poddany gruntownej weryfikacji, zanim uzyska wolny wstęp do pomieszczeń biurowych - odezwał się Walker, występując o krok przed Gillette'a.

- Mnie nie poddawaliście żadnej weryfikacji - syknęła Wallace.

- Bo nie było to konieczne. - Gillette obejrzał się na Faradaya, który także wyszedł na korytarz, zaciekawiony przyczyną zamieszania. - I doskonale o tym wiesz. - Popatrzył na swojego zastępcę. - Nigel, zwołaj całą kadrę kierowniczą do sali konferencyjnej na nadzwyczajne zebranie.

- Robi się. - Faraday zawahał się jeszcze na chwilę, ale zaraz odwrócił się i ruszył w głąb biura.

- Jak długo będzie trwała taka weryfikacja? - zapytała ostro Allison.

- Do dwóch tygodni - odparł Walker.

- Chryste! Zrozumcie, że...

- Allison, ci ludzie tylko wypełniają swoją powinność - przerwał jej Gillette. - Wykonują moje polecenia. Nie wątpię, że Hamid jest wolny od jakichkolwiek podejrzeń, lecz dopóki nie zostanie to potwierdzone, wszyscy musimy się trzymać ścisłych procedur. - Obrócił się do Mohameda. - Nie bierz tego do siebie, Hamidzie, ale takie są obowiązujące procedury bezpieczeństwa. - Wskazał palcem Allison. - Ona po prostu o tym nie wiedziała.

Mohamed zerknął na Allison, ale szybko przeniósł wzrok z powrotem na Gillette'a.

- To śmieszne. Chcecie mnie dokładnie sprawdzać tylko dlatego, że jestem Irańczykiem. To nic innego jak przejaw dyskryminacji rasowej.

- Szczerze mówiąc - odparł Gillette - nie miałem dotąd pojęcia, że jesteś Irańczykiem.

- Ale na pewno rozpoznałeś we mnie Araba.

Gillette przysunął się do niego.

- Posłuchaj, przyjacielu. Nie podoba mi się twoja postawa. Lecz jeśli twoja przeszłość nie wzbudzi żadnych zastrzeżeń służb ochrony i jeśli Allison nadal będzie chciała cię zatrudnić jako swojego asystenta, gotów jestem cię traktować jak samego wodza Klingonów. - Zerknął na nią. - Do roboty. O trzeciej mamy zebranie. - Zawrócił, lecz zatrzymał się przy Walkerze i położył mu dłoń na ramieniu. - Postarajcie się najszybciej zebrać wszelkie możliwe informacje o tym człowieku. Chciałbym mieć jego akta personalne na swoim biurku jutro z samego rana.

- Tak jest.

- Christianie! - zawołała Allison, gdy ruszył energicznym krokiem w stronę sali konferencyjnej. - Christianie!

- O co chodzi?

- To śmieszne. W stosunku do Hamida nie ma żadnych podejrzeń. Przez trzy lata pracował w centrali Citibanku. Ma doskonałe referencje. Rozmawiałam z nim...

- Zatem powinien bez przeszkód przejść weryfikację. Niemniej musi zostać poddany kontroli, tak jak wszyscy pozostali pracownicy biura.

- Nie sądzisz, że to głupie? Skoro ja mówię, że jest w porządku, oznacza to, że jest w porządku. Ostatecznie jestem tutaj współnikiem zarządu i zainwestowałam w fundusz firmy pięć miliardów dolarów.

Gillette odwrócił się na pięcie i zmierzył ją piorunującym spojrzeniem.

- Zamierzasz mi o tym przypominać na każdym kroku? Ale to i tak nie stanowi, że należą ci się jakieś specjalne przywileje, Allison.

- Masz rację - odparła ciszej, spuszczać głowę. - Przepraszam.

- Przecież słyszałaś - dodał także łagodniejszym tonem - że kazałem Walkerowi zebrać informacje na temat Hamida do jutrzejszego rana. Jeśli wszystko okaże się w porządku, już w środę będzie mógł bez przeszkód wejść na teren biura.

Kiwnęła głową.

- Dzięki.

Odwrócił się, ale zawołała go jeszcze raz.

- O co chodzi?

- Nic ci nie jest?

Przez dłuższą chwilę spoglądał jej prosto w oczy.

- Pospiesz się - odrzekł cicho. - Jesteśmy już spóźnieni.

Skierował się do sali konferencyjnej, Allison potruchtała za nim. Wszyscy siedzieli już na swoich miejscach.

- W ubiegłym tygodniu - zaczął, stając za swoim krzesłem u szczytu stołu i kładąc obie ręce na jego oparciu, nim w sali zapadła pełna skupienia cisza - poinformowałem was, że rodzina Wallace'ów zdecydowała się zainwestować pięć miliardów dolarów w fundusz Everest Osiem, a członek zarządu rodzinnego funduszu Allison Wallace dołączy do naszego grona jako współnik zarządu spółki. - Wskazał ręką na prawo. - Wszystkim, którzy nie mieli jeszcze okazji jej poznać, przedstawiam

teraz Allison. Proszę, powitajcie ją serdecznie.

Rozległ się aplauz typowy dla tej sali, stukanie knykciami o blat stołu.

- Dziękuję. - Allison zdążyła się wcześniej przedstawić wszystkim współnikom zarządu, ale niektórzy dyrektorzy zarządzający jeszcze jej nie znali.

- Usiądziesz dzisiaj obok Debbie - zwrócił się do niej Gillette - ale od przyszedłego tygodnia twoje miejsce będzie na lewo od Toma. - Wskazał Jima Richardsa, dyrektora zarządzającego, który siedział teraz obok O'Briena. - Wszyscy przesuną się o jedno miejsce w prawo. A po tej stronie - ciągnął, obróciwszy się we wskazanym kierunku - David Wright będzie zasiadał tuż za Maggie. Awansowałem go właśnie na współnika zarządu. - Odsunął swoje krzesło i usiadł przy stole. Miejsca przy nim były przypisane na stałe, tylko on miał prawo dokonywać zmian, kiedy kogoś awansował. W wypadku Wrighta oznaczało to automatycznie przeskok w hierarchii kilku dyrektorów zarządzających starszych od niego stażem.

- Aż nie chce mi się wierzyć, że Wright nie zjawił się dzisiaj jako pierwszy i z własnej inicjatywy nie zajął tego krzesła obok Maggie - szepnął Faraday do Gillette'a, gdy ponownie rozległo się pukanie knykciami w stół, choć już nie tak głośne jak na powitanie Allison. - Szczerze mówiąc, dziwi mnie też, że wcześniej nie rozesłał wszystkim mejli z informacją o swoim awansie.

Gillette przyjąłby to pewnie z uśmiechem, gdyby nie wędrował myślami gdzieś daleko.

- W porządku, przejdźmy do bieżących informacji. Otóż...

- Panie Gillette!

Obejrzał się w kierunku drzwi. Stała w nich Karen, jedna z recepcjonistek.

- Słucham.

- Proszę wybaczyć, że przeszkadzam, ale czy mogłabym prosić o chwilę rozmowy? To bardzo ważne.

- Zastąp mnie - przekazał półgłosem Faradayowi, podnosząc się z miejsca. - Poinformuj wszystkich, że finalizujemy zakup przywilejów budowlanych w Las Vegas. Potem niech Wright opowie o stanie przygotowań do zakupu Hush-Hush, a Allison przedstawi ofertę Veramaksu. - Wcześniej opowiedział Anglikowi o przebiegu rozmów podczas obiadu z Jackiem Mitchellem. - Tylko nic nie mów o swoich kontaktach ze spółką francuską zainteresowaną Hush-Hush. Lepiej, żeby na tym etapie pozostało to jeszcze tajemnicą. I nic też nie mów o naszych planach co do przejścia Apeksu.

Faraday przytaknął ruchem głowy.

- O co chodzi, Karen? - zapytał Gillette, stanąwszy w drzwiach, jakby chciał jednocześnie słyszeć to, co mówi jego zastępca.

- Pan Walker chce się natychmiast z panem zobaczyć w pańskim gabinecie.

Ruszył korytarzem energicznym krokiem.

- Co się stało, Derrick? - zapytał, wchodząc do pokoju.

Walker odkładał właśnie słuchawkę telefonu.

- Dzwonili ze Straży Przybrzeżnej. Przerwali poszukiwania.

- Wszystko w porządku?

Było w pół do piątej, Gillette siedział sam przy oddzielnym przepięrzeniu stoliku w najdalszym kącie irlandzkiego baru na parterze tego samego budynku, w którym mieściły się biura Everestu. Faraday był tu stałym gościem, on zajrzał dopiero pierwszy raz. Siedział przygarbiony, z łokciami na stoliku, dłońmi zakrywając oczy. Na brzmienie znajomego głosu powoli opuścił ręce do ust i otworzył oczy. Faraday wśliznął się na ławkę naprzeciwko niego.

Lokal tonął w półmroku, na sali było zaledwie paru wczesnych ptaszków, nie licząc dwóch agentów QS Security popijających wodę mineralną

przy sąsiednim stoliku.

- Bywało lepiej - odparł półgłosem.

Zza przepierzenia wyłonił się kelner.

- Witaj, Nigel.

- Cześć, Mickey.

- Już dawno nie zaglądałeś do nas o tak wczesnej porze.

- Różnie to bywa.

- Co podać?

- Guinnessa.

- Bez szkockiej?

- Guinnessa - powtórzył Anglik.

- Dużego czy małego?

- Małego.

- Robi się.

Faraday popatrzył na szklaneczkę z grubego szkła stojącą przed Gillette'em na odrapanym laminowanym blacie stolika.

- Szkocka?

- Tak.

- A więc trochę już tu siedzisz, co nie?

Pokiwał głową.

- Domyślam się, że ta sprawa ze Stilesem nie daje ci spokoju. Wiem, jak blisko byliście ze sobą. Przykro mi. Ale chyba powinienesz...

- Powinienem robić wszystko, co pomoże mi przetrwać najgorsze.

- Jasne.

Siedzieli w milczeniu, dopóki nie wrócił kelner ze szklanką ciemnego piwa. Faraday uniósł ją, lekko trącił brzeg szklaneczki Gillette'a i pociągnął wielki łyk guinnessa.

- O czym chciałeś ze mną rozmawiać? - zapytał, otarłszy wargi wierzchem dłoni. - Czemu kazałeś Debbie wyciągnąć mnie z zebrania? \-

O Stilesie.

Faraday pociągnął drugi łyk piwa.

- No cóż... Jestem zaszczycony, że postanowiłeś mi się zwierzyć, Christianie. Wiem, że bardzo ci go brakuje. To był porządny gość.

- On został zastrzelony, Nigel.

Anglik, który w zamyśleniu spoglądał na bar, błyskawicznie odwrócił głowę.

- Słucham?

Gillette wielokrotnie odtwarzał w myślach tamtą chwilę. Dobrze pamiętał, że detektyw nie wyciągnął nawet rąk, żeby zamortyzować upadek na pokład, tylko zważył się jak kłoda. Prawdopodobnie dlatego, że w chwili upadku był już martwy. Zastrzelony. Uzmysłował to sobie z pełną mocą, gdy Derrick Walker poinformował o odwołaniu poszukiwań. Miał wrażenie, że popełniono wręcz idealne morderstwo. Ryk szalejącej wichury skutecznie zagłuszył huk broni palnej, ograniczona widoczność nie pozwoliła dostrzec krwi w chwili trafienia pocisku. Jej ślad z pokładu natychmiast zmyły fale przewalające się przez jacht. Potem zabójca niepostrzeżenie zepchnął zwłoki pod linkami relingu za burtę, mając niemal stuprocentową pewność, że nigdy nie zostaną odnalezione.

- Zginął od kuli na pokładzie jachtu po tym, jak uratował dzieciaka. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

Na twarzy Faradaya odmalował się wyraz bezgranicznego zdumienia.

- Kto go zabił?

- Nie wiem.

- Niby z jakiego powodu ktoś miałby go zabijać?

- Z zemsty. - Gillette zacisnął palce na szklaneczce z resztką whisky. Obrócił ją z wolna na stole, ale nie podniósł do ust. - Jestem prawie pewien, że stał za tym Tom McGuire.

- Chyba żartujesz...

Opowiedział Anglikowi o ataku gangsterów na tyłach baru Grill i o przyczynach, dla których podejrzewał McGuire'a o zorganizowanie napaści na niego i Stilesa.

- Wygląda na to, że naprawdę widziałeś go wtedy na Park Avenue.

Faraday z ponurą miną pokiwał głową.

- Myślisz więc, że przekupił kogoś z załogi jachtu?

- Prawdopodobnie słono mu zapłacił, podobnie jak wcześniej, zdaniem Stilesa, opłacił członków tamtego gangu z Brooklynu.

- Matko Boska...

- I tu dochodzimy do sedna sprawy, Nigel. Jeśli to wszystko prawda, wciąż nie jestem bezpieczny, nawet w obstawie agentów QS Security. - Podniósł szklaneczkę, ale rozmyślił się i odstawił ją z powrotem. - Dlatego muszę cię wtajemniczyć w pewne sprawy, na wypadek, gdybym któregoś dnia nie dotarł do biura.

Faraday gwałtownie wyprostował się na krześle.

- Rozumiem.

- Przede wszystkim musimy porozmawiać o zakupie przywilejów budowlanych NFL.

- Coś jest z nimi nie tak?

- Mam wrażenie, że mafia chce się dostać do naszej transakcji.

- Jakim sposobem?

- Najpierw poprzez wpływ na firmy budowlane, zarówno przy budowie stadionu, jak i kasyna. Będą chcieli wymusić na nas wykorzystanie własnych przedsiębiorstw i swoich ludzi. Potem zapewne będą próbowali załatwić sobie działkę dochodów z kasyna i meczów piłkarskich. NFL zapewnia, że sprawa jest czysta, ale Stiles zrobił dokładniejsze rozpoznanie, mam więc pewność, że jest inaczej. Jestem umówiony na spotkanie z różnymi konsultantami, gdy w tym tygodniu wyruszę na południe, z ludźmi, którzy teoretycznie powinni wszystko załatwić, choć moim zdaniem przysporzą nam tylko dodatkowych problemów. Będę cię informował na bieżąco.

- Czy nie lepiej byłoby się zwyczajnie pozbyć takiej śmierdzącej sprawy? Chyba wystarczyłoby powiadomić zarząd NFL, że wycofujemy ofertę.

- Nie. Jeśli się uda, zbijemy na tym grube pieniądze, mimo zaangażowania tamtejszej mafii. Musimy tylko znaleźć najlepszy sposób uwolnienia się od protekcji.

- Jasne.

Gillette dostrzegł strach w oczach Anglika. Najwyraźniej nigdy wcześniej nie miał do czynienia z mafią.

- Druga sprawa, o której chciałem z tobą rozmawiać, to Apex. - Po woli obracał szklaneczkę w palcach. - Jak wiesz, szczegółowo omówiłem sytuację przedsiębiorstw należących do Apeksu z Russellem Hughesem i uważam, że nadarza nam się wyjątkowa okazja.

- Zgadza się.

- Musisz jednak wiedzieć, że jedna z firm należących do Apeksu jest tylko przykrywką CIA.

- Co to znaczy, do cholery?

Gillette szybko wyjaśnił mu pojęcie przykrywki.

- Która to firma? - zapytał Faraday.

- Omega IT. Zajmuje się instalacją systemów komputerowych i sprzedają specjalistycznego oprogramowania. Wśród jej zagranicznych klientów są liczne banki z Bliskiego Wschodu. Według Hughesa, poza wiedzą zleceniodawców Omega IT instaluje w systemach komputerowych specjalne opcje, dzięki którym ludzie z Waszyngtonu mogą śledzić przepływ pieniędzy.

- Żeby wytropić tych pieprzonych terrorystów.

- Właśnie. Wkrótce mam się spotkać ze znajomym Hughesa z CIA, pewnie pod koniec tego tygodnia, jak wrócę z Zachodniego Wybrzeża. Gdyby coś mi się stało, przejmiesz tę sprawę. Zadzwońisz do Hughesa i powiesz mu szczerze, co wiesz na ten temat.

- Na pewno nic ci się nie stanie, Christianie.

- Mam taką nadzieję, uważam jednak, że na tym etapie ostrożności nigdy za wiele.

Faraday pokręcił głową.

- Na co dzień masz do czynienia z różnym gównem, co nie?

Tym razem Gillette omal nie uniósł szklancezki do toastu, ale zdołał się pohamować. Traktował to jak sprawdzian siły woli.

- Rzekłbym, że nawet o wiele częściej, niż ci się wydaje, ale masz rację.

Faraday duszkiem dopił piwo.

- Więc teraz ja chcę ci coś szczerze wyznać.

Gillette spojrział mu w oczy.

- Co takiego?

- Chodzi o Allison.

- To znaczy?

- Nie lubię jej - rzucił ze złością Anglik.

- Żartujesz?

- Nie. Zwyczajnie jej nie ufam...

- Podać coś jeszcze? - zapytał Mickey, wyłaniając się zza przepierzenia.

- Poproszę jeszcze jedno piwo - odparł Faraday.

- Co ci się nie podoba w Allison? - syknął ze złością Gillette, gdy kelner odszedł.

Anglik wzruszył ramionami.

- Jak już powiedziałem, nie ufam jej. Trudno mi to wyjaśnić. Może przyczynia się do tego sposób, w jaki próbuje forsować niektóre swoje pomysły.

- To znaczy?

- Na przykład sprawę kupna Veramaksu.

- Przecież to świetny interes.

- Owszem, tyle że wcześniej miała wszystko dograne, pewnie po to, żeby zrobić na tobie wrażenie.

- I co z tego? - zdziwił się Gillette. - Interes to interes. Po prostu chciała mieć mocne wejście. Pierwsze wrażenie zawsze jest bardzo ważne.

A ona nie jest głupia i świetnie o tym wie. Poza tym... - dodał z ociąganiem, unosząc rękę - ...miała w zanadru jeszcze jedną ofertę.

- Chyba zapominasz, z jakiej cholernej rodziny się wywodzi, na miłość boską. Dla niej to kaszka z mlekiem, coś zupełnie naturalnego.

Gillette pomyślał, że przez Faradaya przemawia zazdrość, coś zupełnie normalnego w tej sytuacji, tyle że nigdy by się tego po nim nie spodziewał.

- Ale możemy odnieść wymierne korzyści. Przecież to nie jest gra w pokera w lidze okręgowej, w której każdy może się zastanawiać nad wysokością licytacji. Gramy w ekstraklasie.

- W dodatku nie podoba mi się, jak próbuje się do ciebie zbliżyć - dodał Faraday. - Aż rzygać mi się chce, jak na to patrzę.

- Nie rozumiem.

- W sobotę na jachcie nie odstępowała cię na krok. I możesz mi powiedzieć, że nie tylko ja zwróciłem na to uwagę.

- Przecież do niczego nie doszło i mogę cię zapewnić, że nie dojdzie.

- Ale ludzie gadają - wypalił Faraday. - Martwią się, że sprawy między wami posuwają się za szybko, że z dnia na dzień ona zyskuje coraz większy wpływ na ciebie, więc może wkrótce zacznie też decydować w najważniejszych sprawach. Nikomu się to nie podoba.

- Kogo konkretnie masz na myśli?

- Pozostałych współników zarządu.

Gillette chciał odpowiedzieć, ale przy stoliku pojawił się Mickey z drugą szklanką ciemnego piwa. Kiedy odszedł, mruknął półgłosem:

- Allison nigdy nie będzie decydowała w najważniejszych sprawach.

- Ma dwadzieścia pięć procent udziału w nowym funduszu. Włożyła do niego aż pięć miliardów dolarów. To jej daje ogromną przewagę nad wszystkimi. Trudno wykluczyć, że staniesz się uzależniony nie tylko od jej pieniędzy, ale także od bikini.

- Wydaje mi się, że założyłem na większe zaufanie, Nigel. Do tej pory...

- I jeszcze ta historia z asystentem Irańczykiem. Może jestem uprzedzony, ale naprawdę nie widzę większego sensu w zatrudnianiu kogoś takiego.

- Jesteś raczej zbyt ostrożny.

- Mam złe przeczucia, Christianie. Nie podoba mi się...

- Cześć, chłopcy.

Obaj równocześnie podnieśli wzrok na Allison. Wsunęła się na ławkę obok Gillette'a.

- Jestem zaskoczona, Christianie - powiedziała. - Wyszedłeś z zebrania kierowników, żeby się zaszyć w barze? Albo wszyscy piszący o tobie dziennikarze powtarzają nieprawdę, albo dzieje się coś naprawdę poważnego. - Położyła rękę na jego przedramieniu. - Albo pijesz z żalu po stracie przyjaciela - dodała ciszej. - Przykro mi.

- Wracam na górę - rzucił Faraday, zaszczycając Allison sztucznym uśmiechem. - Zajmę się tym, o czym mówiliśmy, Christianie.

- Mów do mnie Chris, Nigelu.

Tamten wychodził już zza przepierzenia, lecz przystanął i odwrócił się.

- Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby ktoś postąpił tak odważnie jak ty, Chris. Podczas szalejącego sztormu razem ze Stilesem wybiegliście na pokład, żeby ratować kilkuletniego chłopca. Chciałem, żebyś wiedział, co o tym myślę. I bardzo żałuję, że nie udało się wam wrócić obu. - Skinął głową, jeszcze raz uśmiechnął się teatralnie do Allison i dodał: - Do zobaczenia na górze.

Kiedy Anglik odszedł, Allison podniosła ze stolika szklaneczkę i powąchała znajdujący się w niej trunek.

- Och, Boże... - syknęła, krzywiąc się z obrzydzeniem.

- Coś pani podać, madam? - zapytał Mickey, który wyrósł jak spod ziemi.

- Chardonnay. Najlepsze, jakie sprzedajecie na lampki. - Gdy kelner

odszedł, położyła dłoń na udzie Gillette'a. - Bardzo mi przykro. Wiem, że to...

- Opowiedz mi o Hamidzie - przerwał jej, odsuwając nogę. Nie chciał, by ktokolwiek się nad nim uzał. - Jakie ma doświadczenie?

Przez chwilę patrzyła mu prosto w oczy, wreszcie wzruszyła ramionami.

- Przez ostatnie trzy lata pracował w dziale fuzji i nabytków Citiban-ku. Wcześniej zrobił dyplom z zarządzania na Uniwersytecie Stanowym w Michigan. Nie pamięta, co robił jeszcze wcześniej. Czemu ma służyć to przesłuchanie?

- Jak go znalazłaś?

- Jest przyjacielem mojego przyjaciela?

- Jakiego przyjaciela?

- Z Chicago. Posłuchaj, chyba nie muszę odpowiadać...

- Skąd wiedziałaś, gdzie mnie szukać?

- Debbie mi powiedziała.

A zatem między nią a Debbie rzeczywiście nawiązały się bliższe stosunki.

- Co to za przyjaciel z Chicago?

Uniosła wzrok do nieba.

- Facet, z którym kiedyś chodziłam, jeśli koniecznie musisz to wiedzieć. Pracuje u Harrisa Fulmera. To bank inwestycyjny.

Gillette'a nagle coś zakłuło w dołku, jak gdyby zazdrość.

- Znam Harrisa.

Mickey wrócił z kieliszkiem białego wina, który postawił przed Allison.

- Skąd ten twój przyjaciel zna Hamida?

Allison miała ochotę podnieść kieliszek i upić nieco wina, ale się rozmyśliła.

- O co ci chodzi? Naprawdę jesteś uprzedzony rasowo? Czyżby Hamid miał rację?

Gillette nie mógł zapomnieć o łączniku z al Kaidy, który według Normana Boyda sprytnie podszedł jednego z ludzi pracujących nad nowymi projektami z zakresu nanotechniki w DARPA. Nie mógł też zapomnieć o wrogiej reakcji Faradaya wobec Hamida.

- Nie.

Pociągnęła łyczek wina.

- Co jest w Richmond? - zaciekała się niespodziewanie.

Gillette podniósł głowę.

- Słucham?

- Po co przedwczoraj jeździłeś do Richmond?

- Skąd wiesz, że byłem w Richmond? - zapytał ostrzej.

- Już ci mówiłam - odparła spokojnie. - Jestem Allison Wallace.

Więc powiesz mi wreszcie, co tam robiłeś?

- Już ci mówiłem. Sprawdziałem informacje o pewnej firmie.

Westchnęła ostentacyjnie i pociągnęła kolejny łyk wina.

- Wiesz co? Mam pomysł.

- Jaki?

- Powinieneś odsprzedać mi wszystkie należące do Everestu firmy branży farmaceutycznej.

Zmierzył ją podejrzliwym spojrzeniem.

- Wiesz, o które mi chodzi? - dodała.

- O Beezera Johnsona? - Była to ta firma, której filię w Minneapolis Boyd chciał wykorzystać jako przykrywkę do badań nad nanotechniką.

- Właśnie o tę.

Obrócił się nieco na ławce, żeby mieć ją na wprost siebie.

- Skąd ci przyszło do głowy, że chciałbym sprzedać Beezera Johnsona?

- To bardzo duże przedsiębiorstwo, a chyba już najwyższy czas, żeby zebrać kolejną sowitą premię ze sprzedaży.

- O czym ty mówisz? W ostatnim czasie rozdzieliliśmy kilka dużych

premii ze sprzedaży. Mówiliśmy o tym, kiedy się spotkaliśmy z tobą i Gordonem.

- Ale szczerze mówiąc, już od kilku miesięcy niczego nie sprzedałeś. Warto by się przypomnieć prasie.

- Właśnie mamy ogłosić zamiar sprzedaży Laurel Energy. To powinno wywołać prawdziwą burzę w mediach.

- Jednakże nie sprzedasz jej tak od razu, minie trochę czasu, pewnie z pół roku, zanim cała dokumentacja zostanie skompletowana. A chcielibyśmy przecież utrzymać pozytywny wizerunek spółki. - Upiła łyk wina.

- Warunki są następujące. Moja rodzina już sporo zainwestowała w branżę farmaceutyczną. Mogłabym przekonać radę nadzorczą funduszu do złożenia zachęcającej oferty na wykup Beezera Johnsona. Bardzo zachęcającej. I moglibyśmy dobić targu już w ciągu dwóch miesięcy.

Gillette skrzywił się, przypomniawszy sobie słowa Faradaya o tym, że ani trochę jej nie ufa. Bo niby skąd się dowiedziała o jego wyprawie do Richmond i niby skąd pojawiły się nagle lokatory GPS przymocowane do jego samolotów? Czy tylko przypadkiem zainteresowała się niespodzianie kupnem Beezera Johnsona właśnie wtedy, gdy Norman Boyd zaproponował jego wykorzystanie jako przykrywki?

Uśmiechnęła się do niego.

- I co o tym myślisz?

- To by mogło wyglądać na wewnętrzne machlojki - rzekł ostro, myśląc, że może Allison wcale nie jest zdolną specjalistką, tylko podeślonym wrogiem. - Poza tym rynek wcale nie potraktowałby takiej transakcji jako nasz sukces tylko dlatego, że twoja rodzina kontroluje nabywcę.

- Od strony formalnej wcale go nie kontrolujemy. Poczyniliśmy tę inwestycję za pośrednictwem całego łańcuszka różnych podmiotów. Nikt nie zdołałby się dogrzebać naszych powiązań. Mogę ci to udowodnić. - Uśmiechnęła się szerzej. - Więc jeszcze raz: co o tym myślisz?

- Sam nie wiem.

Przekrzywiła głowę na bok i pochyliła się w jego kierunku.

- To ja ci powiem, co o tym myśleć - powiedziała szeptem. - Wydaje mi się, że we dwójkę tworzymy wspaniały zespół.

Było już późno, w pół do jedenastej, i w biurze już prawie nikogo nie było. Gillette wśliznęła się po cichu do ciasnego gabinetu Cathy Dylan i ostrożnie zamknęła za sobą drzwi.

- Cześć.

Podniosła głowę znad jakiegoś dużego zestawienia, nad którym pracowała.

- Cześć.

- Dziękuję, że zostałam tak długo. - Po południu zostawił jej wiadomość z prośbą o pozostanie.

- Nie ma sprawy. W czym mogę ci pomóc?

- Chciałbym, żebyś jeszcze raz zadzwoniła do naszego doktora z Richmond i umówiła mnie z nim na piątek, na dowolną godzinę, kiedy tylko będzie miał czas.

- Jasne.

- Przez większą część tygodnia będę w Las Vegas i na Zachodnim Wybrzeżu, prześlij mi więc mejlem wiadomość po rozmowie z doktorem Davisem.

- Oczywiście.

- Tylko nie wymieniaj jego nazwiska. W poczcie elektronicznej najlepiej nazywaj go panem Jonesem. I nie pisz w wiadomości, na który dzień jesteście umówieni. Wymień datę z przyszłego tygodnia. Niech aktualna w mejlu będzie tylko godzina spotkania. I nikomu nie mów o naszej rozmowie. Jak poprzednio. Zgoda?

- Tak - odparła z wahaniem. Nie ulegało wątpliwości, że cisną jej się na język setki pytań.

Może któregoś dnia o wszystkim jej opowiem, pomyślała. Ale na razie jej bezpieczeństwo zależało od niewiedzy. Zbyt wiele osób znalazło się

już w zagrożeniu, a jedna straciła życie.

Usiadła po turecku na podłodze, między jego nogami, on zaś siedział na sofie i delikatnie masował jej ramiona. Było bardzo późno, bo oglądali jeszcze film na wideo, ale Gillette i tak nie chciał się jeszcze kłaść. Za dużo miał ostatnio na głowie.

- To bardzo przyjemne, Chris - powiedziała miękko Faith, po czym uniosła ręce do jego dłoni, odwróciła się i uklękła. - Nawet nie wiesz, jak się za tobą stęskniłam.

Bardzo się cieszę, że mamy dla siebie przynajmniej ten jeden wieczór.

Zaledwie przed paroma godzinami wróciła z Londynu, on natomiast z rana odlatywał do Las Vegas. A później zamierzał jeszcze zajrzeć na Zachodnie Wybrzeże, żeby zobaczyć się z Marilyn.

Faith pocałowała go czule.

- Chodźmy do łóżka - szepnęła, a gdy nie odpowiedział, ujęła jego twarz w dłonie i delikatnie potrząsnęła. - Hej, chłopcze, właśnie złożyłam ci nieprzyzwoitą propozycję.

Uśmiechnął się. Miała na sobie jedynie zwiewną letnią sukienkę, w której wyglądała bardzo seksownie. Przytuliła się do niego.

- Bardzo mi przykro z powodu Quentina, kochanie. Wiem, jak bardzo go lubiłeś.

- To prawda.

- Jak to się stało? - zapytała. - Powiedziałeś tylko, że wypadł za burzę. Ale jak do tego doszło?

- Próbował ratować małego synka swojej przyjaciółki. Chłopak wybiegł na pokład za swoim pieskiem w samym środku gwałtownego sztormu.

- To straszne. - Faith podniosła się z podłogi, usiadła obok niego i zanurzyła palce w jego włosach. - Kogo jeszcze zabrałeś na ten rejs?

Westchnął ciężko.

- Faradaya z jego nową przyjaciółką oraz Davida i Peggy Wrightów.
- Nikogo więcej?

Popatrzył na nią. Nie chciał roztrząsać tego tematu, ale nie potrafił też kłamać.

- No więc...

- Była też Allison Wallace - wpadła mu w słowo, prostując się i dumnie zadzierając brodę. - Mam rację.

- Zrozum...

- Mam rację?

- Nie zabrałem jej dla własnego kaprysu, skarbie. Jest przecież wspólniczką zarządu w mojej firmie. A to był rejs firmowy.

Faith wstała szybko.

- A poprzednio też nie zabrałeś jej dla własnego kaprysu na obiad do restauracji, prawda? - rzuciła ze złością. - Po prostu przypadkiem znalazła się w pobliżu, tak?

Może jednak powiesz prawdę, dlaczego zabrałeś ją ze sobą na jacht, skoro wiedziałeś dobrze, jaka byłam wściekła po opublikowaniu waszych zdjęć w gazetach?

Nie widział sposobu na wygranie tej potyczki. Najlepszą rzeczą była natychmiastowa i bezwarunkowa kapitulacja.

- Nie pomyślałem, że będziesz się złościć, Faith. Wybacz.

- A nie zaprosiłeś pozostałych wspólników zarządu? Toma, Maggie albo Blaira?

- Nie - przyznał ze skruchą.

- Czy spałeś z nią, gdy byliście razem w Pittsburghu, Chris?

- Oczywiście że nie.

- Skąd mam to wiedzieć?

- Ponieważ mówię ci prawdę.

Wpatrywała się w niego przez kilka sekund z rękoma opartymi na biodrach. Wreszcie pokręciła głową i warknęła:

- Bardzo cię kocham, ale dłużej tego nie zniósę. Dużo częściej przebywamy osobno niż razem, a ja nie zamierzam łamać sobie głowy, z kim akurat jesteś, kiedy mnie niema.

Odwróciła się na pięcie i wyszła z pokoju.

Podniósł się gwałtownie, ale zaraz opadł z powrotem na sofę i ukrył twarz w dłoniach. Nic nie szło tak, jak powinno.

Rozdział 14

Gillette wyprostował się ociężale w obszernym, obitym skórą fotelu, nie zważając, że gazeta z krzyżówką, którą trzymał na kolanach, zsunęła się na podłogę. Na tę podróż wybrał gulfstreama IV, większy z dwóch odrzutowców należących do Everestu.

- Kiedy będziemy lądować, Derrick? - zapytał, przeciągając się szeroko. Niewiele spał od soboty.

- Już niedługo - odparł Walker. - Mniej więcej za piętnaście minut.

- Są jakieś nowe wiadomości? - Za jego sugestią policja zaczęła przepytywać załogę jachtu w sprawie wypadku Stilesa. Poprzedniego dnia gliniarze przesłuchiwali Billy'ego, ale puścili go do domu, przekonani, że naprawdę nic nie wie.

- Owszem. Dziś po południu przesłuchali kuka. Potraktowali go tak samo ostro, jak Billy'ego. I też doszli do wniosku, że nic nie wie.

- Ale majtka jeszcze nie znaleźli?

- Nie.

Ochroniarz wypchnął językiem gumę do żucia i przez parę sekund obracał ją między przednimi zębami. Gillette już wcześniej zwrócił uwagę, że często to robi, kiedy się zamyśli.

- To nasz człowiek - powiedział w końcu. - Jestem o tym przekonany. Tyle że Billy nie umie nic powiedzieć na jego temat. Nie zna nawet jego adresu czy domowego numeru telefonu, więc raczej bardzo trudno będzie go odnaleźć. Może nawet nigdy się to nie uda.

Było wtorkowe popołudnie, a Gillette nie dostał też wiadomości od Daniela Ganze'a na temat wypadku swojego ojca, choć tamten obiecywał,

że skontaktuje się na początku tego tygodnia, gdy tylko zdobędzie nowe informacje. Z tylnej kabiny samolotu wyłonił się Wright.

- Siadaj - rzekł Gillette, wskazując identyczny, obity skórą fotel naprzeciwko siebie. Dopiero tego ranka zdecydował się zabrać Davida, żeby mieć świadka rozmów z przedstawicielami firmy konsultingowej, która powinna im ułatwić kontakty z rodziną Carbone.

Allison była nieszczęśliwa, że nie zgodził się, by z nim jechała, ale tym najmniej się przejmował. Chciał od niej odpocząć. Musiał odepchnąć od siebie denerwujące myśli i zastanowić się nad tym, co usłyszał od Faradaya w barze. A także przemyśleć dogłębnie jej propozycję kupna firmy Beezera zaraz po tym, jak skontaktował się z nim Boyd. I zweryfikować przydatność najnowszych produktów Veramaksu do roli nośników wynalazków z zakresu nanotechniki. Nie dysponował w tym zakresie żadnymi konkretami, ale niepokoiły go mnożące się zbiegi okoliczności.

- Chciałem ci powiedzieć - odezwał się do Wrighta - że wczoraj wieczorem rozmawiałem z Nigelem i wspólnie podjęliśmy decyzję, żeby na stanowisku wspólnika zarządu dać ci pięć procent udziału w zyskach z funduszu Everest Osiem, oczywiście z wszystkimi dotychczasowymi zastrzeżeniami.

- Jezu... Bardzo dziękuję.

- Jeśli tylko uda nam się podwoić wartość inwestycji z tego funduszu w ciągu kilku najbliższych lat, nasz zysk sięgnie czterech miliardów dolarów, co oznacza, że z tej sumy dwieście baniek przypadnie w udziale tobie.

- To niesamowite. - Wright wyjrzał przez okienko na ciągnącą się w dole pustynię. - Byłem taki podekscytowany po zakończeniu naszego porannego zebrania - dodał, nawiązując do odbytego przed wyjazdem na lotnisko LaGuardia spotkania z członkiem zarządu towarzystwa ubezpieczeniowego z Bermudów, podczas którego tamten zdecydował się

zainwestować w ósmy fundusz pół miliarda dolarów, przez co sumaryczna wartość Everestu Osiem wzrosła do dwudziestu i pół miliarda. - A w dodatku pracuję nad kolejną propozycją, jaką przekazał mi ojciec. Możemy z niej mieć kolejne pół miliarda.

Wright naprawdę spisywał się znakomicie.

- Niemniej, w którymś momencie musimy zamknąć ten fundusz.

- Ale spróbujmy go jeszcze powiększyć do dwudziestu jeden miliardów - zaproponował David.

- Ile czasu zajmie ci namówienie tych potencjalnych inwestorów, zakładając, że faktycznie są zainteresowani współpracą z nami?

- Daj mi tydzień.

- O kim mowa?

- O funduszu emerytalnym nauczycieli z Ohio. Mój tata jest zaprzyjaźniony z kobietą przewodniczącą radzie nadzorczej tego funduszu. Zna ją chyba jeszcze z college'u, czy jakoś tak, nie jestem pewien. W każdym razie to bardzo konserwatywne środowisko, ale tata twierdzi, że mamy spore szanse otrzymać od nich pieniądze, zwłaszcza teraz, gdy zyskaliśmy aż pięć miliardów z funduszu rodzinnego Wallace'ów.

Gillette pomyślał, że w tym wypadku główną rolę odgrywa owczy pęd. Gdy tylko rozeszła się wieść, że poważana rodzina Wallace'ów włożyła do funduszu aż pięć miliardów dolarów, wszyscy chcieli mieć w nim swój udział.

- Dobra, zainteresuj się tą sprawą.

- Jasne. A jak idzie dochodzenie? - zapytał Wright, ruchem głowy wskazując Walkera.

W drodze na lotnisko Gillette zdradził mu swoje podejrzenia co do prawdziwej przyczyny zniknięcia Stilesa.

- Sądzimy, że maczał w tym palce majtek.

- Nadal uważasz, że stoi za tym Tom McGuire? Że to on pociąga za wszystkie sznurki?

- Tak - mruknął Gillette.

Obejrzał się, gdy jeden z agentów QS Security postukał go w ramię. Tamten trzymał w ręku słuchawkę pokładowego telefonu.

- To do pana.

- Dzięki... Słucham.

- Christian?

- Tak.

- Mówi Percy Lundergard z Chatham w Marylandzie.

- Witam. - Lundergard był tamtejszym adwokatem, którego wynajął do pomocy w przeforsowaniu wniosku o referendum przeciwko decyzji Becky Rouse. Jego rodzina mieszkała w Chatham od dwustu lat i w przeciwieństwie do krewnych pani burmistrz składała się głównie z farmerów i rybaków popadających w coraz głębszą biedę. Gillette kazał dokładnie wszystko sprawdzić, nim zdecydował się na skorzystanie z jego usług. - Co nowego?

- Przejrzałem uważnie całą dokumentację statusową i przyznając panu rację, możemy zgłosić wniosek o przeprowadzenie referendum mimo sprzeciwów pani burmistrz Rouse - powiedział prawnik z typowym dla południowców zaśpiewem. - Mam jednak pewną sugestię.

- Jaką?

- Zanim zgłosimy taki wniosek, zwołajmy zebranie rady miejskiej, spróbujmy rozłóścić niektórych ludzi. Wierzę, Christianie, że możemy liczyć na pozytywny wynik referendum, ale to przecież tylko głosowanie, warto zyskać poparcie obywateli, żeby zapewnić sobie zwycięstwo, zainteresować ich naszą sprawą. Bogatsi i tak będą głosować, dlatego przede wszystkim trzeba przekonać do naszej sprawy biedniejszych mieszkańców. Pod tym względem możemy liczyć na pomoc całej mojej rodziny. Już z nimi rozmawiałem i doszliśmy wspólnie do wniosku, że zebranie mieszkańców w szkole średniej mogłoby zdecydowanie przechylić szalę na naszą korzyść.

- Świetnie. W takim razie proszę je zwołać.

- Chciałbym jednak prosić o pańską obecność.
- Oczywiście, przyjadę. O to proszę się nie martwić.
- Będzie pan musiał powiedzieć ludziom parę zdań, w dodatku całym szczerze.

Gillette poczuł się tak, jakby usłyszał wprost: Nie wierzę, by taki wymuskany finansista z Manhattanu potrafił przemówić do rozsądku biednym farmerom i rybakom z Chatham. Odniósł wrażenie, że rzuca mu się poważne wyzwanie.

- Rozumiem, Percy. Do zobaczenia na miejscu.

Gillette i Wright zasiedli w wielkim gabinecie Carmine'a Torino, którego okna wychodziły na główny pasaż handlowy Las Vegas. Biura firmy Torino Consulting były umeblowane masywnymi jarmarcznymi sprzętami w krzykliwych kolorach, jaskrawoczerwone zasłony gryzły się z wykładzinami w odcieniu brudnej żółci. Torino, o mocno przeredzonych czarnych włosach, miał na sobie kwiecistą plażową koszulę - oczywiście rozpiętą, żeby było widać ciężki złoty medalion na tle kępek czarnych włosów na piersi - oraz granatowy bezrękawnik. Poza tym na lewym ręku nosił podzwaniającą grubą złotą bransoletę, a na prawym złotego roleksa o cyferblacie dorównującym wielkością srebrnej jednodolarówce.

- Uwielbiam ten widok - rzekł, wskazując panoramiczne okno. Słońce ledwo co skryło się za horyzontem i powoli zapalały się wielobarwne neony. - To najpiękniejsza pora dnia. Nie umiem sobie wyobrazić, że mógłbym mieszkać gdzie indziej.

Gillette i David wymienili znaczące spojrzenia.

- A więc macie zamiar wykupić przywileje budowlane NFL?

Gillette przytaknął ruchem głowy. Doskwierała mu świadomość, że musi mieć udział w nieczystych interesach, ale traktował je jak zło konieczne. Jutro rano zamierzali się spotkać z właścicielem Federico

Consulting, Stiles zdążył jednak ustalić, że Torino jest najlepszy w tej branży. Jeśli miał rację, można było sobie tylko wyobrażać, jak będzie wyglądała podobna rozmowa z Mickiem Federico.

- I chcecie zbudować stadion i kasyno, przy czym stadion otworzyć już za półtora roku?

- Prawdę mówiąc, chciałbym przez półtora roku postawić i stadion, i kasyno. Wolałbym uruchomić oba obiekty równocześnie. Byłoby to korzystne z marketingowego punktu widzenia.

- Chcecie wykorzystać do tego miejscowe firmy budowlane, prawda?

- Nie, zamierzam ściągnąć zespół fachowców z Los Angeles, który poradzi sobie z tak poważnym wyzwaniem.

Torino skrzywił się z obrzydzeniem.

- Tutejsi przedsiębiorcy nie będą zadowoleni.

- Właśnie dlatego tu jesteśmy - wtrącił Wright. - Dobrze rozumiemy zasady tej gry.

Torino obrzucił Davida pogardliwym spojrzeniem.

- Mogę cię zapewnić, synku, że to nie będzie żadna gra.

- Zajmie się pan tym w naszym imieniu? - zapytał Gillette.

Torino splótł dłonie, odchylił się na oparcie krzesła i na kilka sekund zapatrzył w sufit.

- Chyba tak.

- Za ile?

Tamten uśmiechnął się szeroko.

- Nie lubicie owijać spraw w bawełnę, co nie? I nie lubicie tracić czasu. No więc będzie to was kosztowało dwa miliony rocznie do czasu zbudowania obu obiektów, a potem pięć milionów rocznie.

Gillette zmarszczył brwi.

- I na co będę mógł później liczyć za te pięć milionów rocznie?

- Na to, że robotnicy nie zbojkotują budowy, bo przecież nawet po sprowadzeniu wykonawców z zewnątrz trzeba będzie skorzystać z usług miejscowych mrówek. I na to, że wasz sprzęt nie będzie się psuł częściej

niz gdzie indziej. A jeśli nawet, to dostaniecie części zamienne w zwykłym terminie, a nie po roku. - Torino urwał, spostrzegłszy najwyraźniej, że nie robi większego wrażenia na rozmówcach. - A niby czego oczekiwaliście, do jasnej cholery? Oszłamiającej prezentacji i wydrukowanych materiałów w skórzanej oprawie? Podobno zależy wam wyłącznie na konkretach.

- To prawda.

- Dlaczego cena ma wzrosnąć po ukończeniu budowy? - zainteresował się Wright.

Gospodarz zachichotał.

- A ja myślałem, że jesteście z tych, których się określa mianem „brzytwy”, wykształconych...

- Wzrośnie, żebyśmy mieli gwarancję, że budowa zostanie ukończona w terminie - wpadł mu w słowo Gillette. - Żebyśmy, na przykład, nie napotkali poważnych problemów z zapłatą za nadgodziny zaledwie na miesiąc przed rozpoczęciem sezonu i pierwszymi towarzyskimi rozgrywkami oraz nie stracili całego roku, zmuszeni do rozgrywania spotkań chociażby w lidze uniwersyteckiej. Bo gdybyśmy stracili ten rok, mogłyby się pojawić dodatkowe problemy z kanalizacją, dostawami prądu czy nawet zamachami bombowymi. Zgadza się, Carmine?

Torino uśmiechnął się chytrze.

- Co do joty. - Złota bransoleta na jego nadgarstku głośno zadzwoniła, gdy wskazał palcem Wrighta. - Teraz widzisz, synku, dlaczego to on jest twoim szefem.

- Zatem zrobimy tak - ciągnął Gillette. - Zapłacę panu milion rocznie do czasu ukończenia budowy, a później po trzy miliony rocznie.

Torino pokręcił głową.

- Cena nie podlega negocjacji, panie Gillette. Będzie taka, jak powiedziałem. Jeśli ją pan zaakceptuje, proszę do mnie zadzwonić jutro rano do ósmej czterdzieści pięć. Jeśli do tego czasu się pan nie odezwie,

oferta przestanie być aktualna.

Gillette uświadomił sobie nagle, że Torino wie o umówionej przez nich na jutro na dziewiątą rozmowie z Federico.

Gospodarz z entuzjazmem klasnął w dłonie, jakby przed chwilą dobił targu.

- Wybieram się właśnie do paru klubów ze striptizem, żeby popatrzeć na moje ulubione panienki. Chcecie pójść ze mną?

- Nie - odparł szybko Gillette, wstając. - Będziemy w kontakcie. Dzięki, że zechciał się pan z nami spotkać.

Pięć minut później obaj z Wrightem wyszli przed budynek w towarzystwie dwóch agentów QS Security, żeby zaczekać na limuzynę.

- A więc, Davidzie - zagadnął Gillette. - Jak to odebrałeś?

- Tak, że muszę jak najszybciej wziąć prysznic.

Wright leżał na łóżku w swoim pokoju w hotelu Caesar's Palace, kiedy rozległ się dzwonek do drzwi.

- Służba hotelowa.

Poderwał się na nogi. Niemalże umierał z głodu.

- Wspaniale - mruknął pod nosem. Był w samych bokserkach, nawet nie zadał sobie trudu, żeby wciągnąć spodnie. - Szybcy jesteście - rzekł, otwierając drzwi. Sądziłem, że potrwa to co najmniej... - urwał w pół słowa na widok mężczyzn w ciemnych garniturach, którzy wcale nie mieli wózka z hotelowej restauracji.

- Musimy porozmawiać - rzekł jeden z nich, popychając Wrighta w głąb pokoju, nim zdążył zamknąć im drzwi przed nosem. Drugi także wszedł do środka.

David w panice popatrzył to na jednego, to na drugiego.

- Czego chcecie?

- Włóż coś na siebie - rozkazał pierwszy.

- Dokąd mnie zabieracie? - rzucił ze strachem Wright, sięgając po spodnie.

- O nic się nie martw.

Pół godziny później wprowadzili go do salonu apartamentu na ostatnim piętrze hotelu Hard Rock.

- Siadaj - rzucił nieznajomy, wskazując mu kanapę. - Pan Celino zaraz do ciebie wyjdzie.

Wright z trudem przełknął ślinę. Znał to nazwisko. Gillette wyjaśniał mu przyczynę wyprawy do Las Vegas, wiedział więc, że Carmine Torino prawdopodobnie reprezentuje interesy rodziny Carbone, której Joe Celino jest donem, uważanym powszechnie za jednego z najbardziej bezwzględnych przywódców przestępczości zorganizowanej w historii mafii.

Kiedy w końcu Celino pojawił się w pokoju i zajął miejsce w fotelu naprzeciwko kanapy, Wright podniósł się szybko i spuścił nisko głowę, by sprawiać wrażenie uległego poddanego.

- Siadaj.

Wykonał polecenie.

- Jestem Joe Celino i sporo o tobie wiem. - Boss ruchem ręki odesłał dwóch swoich ludzi, którzy przywieźli tu Wrighta. - Kilka razy spotykałeś się w Nowym Jorku z jednym z moich wysłanników, po raz pierwszy w ubiegłym tygodniu w salonie Saksa przy Fifth Avenue.

- Zgadza się - odparł chrapliwie Wright przez zaciśnięte gardło. - Z Paulem.

- Jak sądzę, był wobec ciebie grzeczny.

- Tak.

- Gratuluję zakupu przywilejów budowlanych NFL. To była chyba ekscytująca nowina w biurze Everest Capital. Dopóki będziecie grać odpowiednimi kartami, powinniście się cieszyć zyskami z tej inwestycji. Zarówno z pomnożenia zainwestowanego kapitału, jak i z perspektywy przyszłych dochodów.

Wright smętnie pokiwał głową. Celino w niczym nie przypominał

stereotypu mafijnego bossa. Nie pozował na osobistość i nie zachowywał się jak prostak. Do tego był elegancko ubrany, w wełniany sweter, białą koszulę, zaprasowane w kant spodnie i pantofle od Gucciego. No i mówił nienaganną angielszczyzną, był zatem nie tylko dobrze wychowany, ale i nieznośnie uprzejmy.

- Wyglądasz na... zaskoczzonego. O co chodzi?

- O nic... proszę pana.

Celino poklepał poręcz fotela.

- Nawet nie wiesz, że omal nie doszło do przewrotu, gdy Christian Gillette wygrał przetarg na przywileje budowlane NFL - rzekł z uśmiechem. - Jego oferta nawet nie była najkorzystniejsza. Możesz to sobie wyobrazić?

- Skąd pan o tym wie?

- Właśnie dlatego musimy omówić parę spraw. - Celino zignorował jego pytanie.

- Ależ ja...

- Teraz już rzadko wychodzę ze swojego domu na Staten Island. Szczerze mówiąc, wybrałem się w podróż po raz pierwszy od pięciu miesięcy. Mam więc nadzieję, że rozumiesz, jak bardzo ważne jest dla mnie to spotkanie.

- Oczywiście, rozumiem.

- To dobrze. Zatem, jak już ci powiedział mój współpracownik w salonie Saksa, dobrze wiemy, co zrobiłeś na zapleczu sex-shopu. - Celino uniósł w górę palec wskazujący. - I mamy dowody. Proszę mi jednak wierzyć, panie Wright, że to, co każdy człowiek robi w wolnym czasie, nic mnie nie obchodzi. Nawet jeśli to przejaw zboczenia seksualnego. Chyba że mogę wykorzystać tę wiedzę do swoich potrzeb. A w tym wypadku właśnie tak jest.

Wright wbijał nieruchome spojrzenie w swoje kolana. Poczuł, jak mimowolnie iza zbiera mu się w lewym oku.

- Dlatego będziesz musiał robić wszystko, czego ja bądź moi ludzie

od ciebie zażądamy. Będziesz to robił migiem, a w dodatku ze szczerą ochotą. Rozumiemy się?

- Tak - odparł tak cicho, że ledwie sam siebie usłyszał.

- Dokładnie?

- Tak dokładnie, jak tylko to możliwe.

Celino z aprobatą pokiwał głową.

- Doskonale. - Wskazał szarą kopertę leżącą na stoliku obok kanapy.

- Weź to i otwórz.

David sięgnął po kopertę. W środku znajdowała się fotografia w formacie pocztówkowym, na błyszczącym papierze, ukazująca twarz mężczyzny z wydłubanymi oczami i szeroko rozwartymi bezzębnymi ustami. Żołądek podszedł mu do gardła na ten widok.

- Ten człowiek jeszcze żył, kiedy robiono to zdjęcie, Davidzie. Stracił dwoje oczu i wszystkie dwadzieścia dziewięć zębów, lecz nadal oddychał. To na dowód, jak dobrzy są moi ludzie. Wyrażam się dosyć jasno?

Pokiwał głową, z trudem łapiąc powietrze.

- Możesz odłożyć to zdjęcie. Ustalimy teraz kilka rzeczy. Po pierwsze, musisz nas cały czas informować o miejscu pobytu Gillette'a, bez żadnych wyjątków. Jeśli przeoczysz choć jedno spotkanie... no cóż... - Celino ruchem głowy wskazał leżącą na stoliku fotografię. - Chyba nie chcesz skończyć w podobny sposób, prawda?

- Nie.

- Po drugie, nie życzę sobie, żeby Christian Gillette wyruszył z hotelu na jutrzejsze spotkanie z Mickiem Federico. To Carmine Torino ma dostać od was zlecenie. Jeśli Gillette spotka się z Federico...

- Ale...

Celino błyskawicznie uniół rękę, a na jego twarzy po raz pierwszy pojawił się grymas wściekłości.

- Torino dostanie zlecenie - odparł cicho Wright.

Zagniewana mina zniknęła jeszcze szybciej, niż się pojawiła, ustępując

miejsca wyrazowi zadowolenia.

- Wreszcie zaczynamy się w pełni rozumieć, Davidzie. - Wyjął papierosa i zapalił. - Mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza.

- Nie.

- Jeśli tak, mów śmiało.

- Nie, lubię dym papierosowy - skłamał, bo naprawdę go nie znosił.

- To może zapalisz? - Celino z uśmiechem wyciągnął paczkę w jego kierunku.

- Nie, dziękuję.

Boss schował papierosy do kieszeni swetra.

- Wiesz już, że gdy prosi się człowieka o jakąś specjalną przysługę, powinno mu się powiedzieć choć parę słów prawdy o tym, co się naprawdę dzieje. - Rozłożył szeroko ręce, a po chwili wymierzył palec w Wrighta. - Dzięki temu ludzie mogą się naprawdę poczuć za coś odpowiedzialni. Sami to wykorzystujecie, kiedy przydzielacie pakiety udziałów nowo mianowanym dyrektorom zarządzanych przez was firm. Przez to i oni mają udział w zyskach, prawda? I dzięki temu mogą się bardziej angażować we wszystko, co dla was robią.

Wright pokiwał głową. Dokładnie tak wyglądała polityka spółki wobec dyrektorów przedsiębiorstw.

- Jak widzisz, wierzę w skuteczność kija. - Celino po raz kolejny wskazał zdjęcie leżące na stoliku przy kanapie. - Ale tak samo wierzę w skuteczność marchewki. Możesz powiedzieć, że to amatorska psychologia, ale u mnie znakomicie się sprawdza. Rozumiesz?

Wright ledwie mógł oddychać.

- Oczywiście.

- Zatem uchylę ci rąbka tajemnicy. To my zajęliśmy się Stilesem. Przejeliśmy zlecenie na angaż majtka w załodze jachtu twojego wspólnika. Rzecz jasna, on również zniknął bez śladu. - Celino zachichotał. - To był bardzo krótki angaż, gliny niczego nie znajdują. A gdyby tak się stało, zrzucimy winę na ciebie.

- Dlaczego kazał pan zabić Stilesa? - zapytał Wright, przejęty myślą, że szef mafii może go bez trudu obwinie o cokolwiek.

- Wtykał nos w nie swoje sprawy, a to mi się nie podobało. Był człowiekiem bardzo przedsiębiorczym. Nazbyt zalał mi za skórę. - Celino zaciągnął się głęboko dymem z papierosa. - Druga rzecz, jaką ci zdradzę, naprowadzi cię na właściwe tory.

David pochylił się jeszcze bardziej. Skurcz żołądka nie był już tak dokuczliwy.

- Pracujemy nad czymś wielkim. W porozumieniu z rodziną Wallace'ów, konkretnie rzecz biorąc.

Wright rozdziawił usta ze zdumienia. Celino uśmiechnął się szeroko i ciągnął:

- Powiem ci tylko, że gdy wszystko załatwimy i Allison Wallace przejmie zarządzanie Everest Capital, znajdzie się także miejsce dla ciebie. O ile będziesz grzecznym chłopcem. - David chciał coś powiedzieć, lecz gospodarz go powstrzymał. - Na razie nie mogę ci nic więcej zdradzić, ale wiesz już, jak wygląda twoja wielka i soczysta marchewka. Traktuj pannę Wallace z należyтым szacunkiem i wykonuj dokładnie polecenia, a pod koniec dnia będziesz naprawdę szczęśliwym człowiekiem. Te premie i prowizje, które obiecał ci Gillette, będą wyglądały jak nędzna jałmużna w porównaniu z tym, co zarobisz po jego zniknięciu.

Serce waliło mu coraz mocniej. Wciąż był zaszokowany tym, co usłyszał, ale zaczynał też myśleć o otwierających się przed nim możliwościach.

- I jeszcze jedno - dodał Celino.

- Tak?

- Wiemy, że Gillette coraz bardziej na tobie polega, ale naszym zdaniem jeszcze nie do końca ci ufa. W każdym razie nie tak bardzo, jak byśmy chcieli.

- Uważam, że mi ufa.

Tamten machnął lekceważąco ręką.

- Jak już powiedziałem, nie tak bardzo, jak byśmy chcieli. Dlatego przygotowaliśmy na jutro drobny wypadek.

- Wypadek?

- Owszem. Poznasz szczegóły jutro rano, gdy odwołacie spotkanie z Federico, lecz zanim wyruszyacie z Gillette'em do śródmieścia na rozmowy w sprawie kasyna z przedstawicielami rady miejskiej. - Celino podniósł się z krzesła. - Masz jeszcze jakieś pytania?

Wright zamyślił się na chwilę.

- Tak, jedno. W ubiegłym tygodniu rozmawiałem z Gillette'em przez telefon i próbowałem ustalić, gdzie jest, żeby móc o tym zameldować pańskiemu... współpracownikowi Paulowi...

- Tak. I co?

- Wybrał się wtedy na Wschodnie Wybrzeże do Marylandu, ale nie wiedziałem dokładnie, do którego miasta. Zapytał mnie wtedy, czemu tak bardzo się tym interesuję, a ja mu odpowiedziałem, że mam w tamtej okolicy rodzinę.

- Co, oczywiście, nie jest prawdą?

- Nie - przyznał. - Nie przejmowałbym się tym, gdyby nie wrócił do tej sprawy w rozmowie z moją żoną podczas tego weekendu na jachcie. Zapewne wie pan, że zaprosił kilka osób na ten rejs, żeby uczcić...

- Tak, wiem - przerwał mu lodowato gospodarz. - Już zapomniałeś?

- No... nie.

- I chcesz, żebym rozwiązał za ciebie ten problem?

- Tak, proszę pana. Obawiam się, że nawet ten drobiazg mógłby mnie zdradzić.

Celino zamyślił się na dłużej, wreszcie skinął głową.

- W porządku, zajmę się tym. A teraz - rzekł głośniej, wskazując mu drzwi - możesz odejść.

Wright po raz ostatni rzucił okiem na fotografię leżącą obok szarej koperty na stoliku, po czym wstał i ruszył szybko do wyjścia.

Kiedy wszedł do windy i drzwi się za nim zamknęły, oparł się plecami o ścianę, zaczerpnął głęboko powietrza i pokręcił głową. A więc celem Allison Wallace było przejęcie kontroli nad Everest Capital.

Rozdział 15

Gillette ledwie zdołał znaleźć w sobie wystarczająco dużo opanowania, żeby nie grzmotnąć z całej siły telefonem komórkowym o marmurową posadzkę, kiedy ten zadzwonił. Z przyjemnością by popatrzył, jak przekłęty aparat roztrzaskuje się na tysiące kawałków. Wreszcie nikt nie mógłby się z nim skontaktować.

- O co chodzi?

- Potrzebujemy ciebie w tym mieście na północy, o którym rozmawialiśmy w ubiegłym tygodniu. Musisz tam być jutro rano, gotów na spotkanie o dziewiątej.

Była druga po południu. Obaj z Wrightem siedzieli w hotelowym lobby i czekali na limuzynę, która miała ich zabrać na lotnisko. Wcześniej zakończyli pomyślnie nużącą trzygodzinną nasiadówkę z przedstawicielami władz miejskich na temat projektu budowy nowego kasyna. Po krótkich słownych przepychankach nieoczekiwanie wyszło na to, że mogą śmiało realizować swoje plany, a to najwyraźniej dzięki temu, że Gillette bez wahania o wpół do dziewiątej rano zlecił współpracę firmie konsultingowej Carmine'a Torino. Zerknął teraz na Wrighta, który siedział w fotelu obok, a miał wracać do Nowego Jorku samolotem rejsowym, gdyż on leciał dalej na Zachodnie Wybrzeże, na spotkanie z Marilyn - i z Laną. Przypomniawszy sobie, z jakim zaangażowaniem David nalegał podczas śniadania, żeby nie zawracać sobie głowy Federico, tylko od razu dać zlecenie Torino.

- Nie mogę - rzekł do słuchawki, próbując się skoncentrować na rozmowie. - Mam umówione spotkania.

- To je odwołał - nakazał Ganze. - Jesteś nam koniecznie potrzebny. Musisz wydać stosowne polecenia, żebyśmy jak najszybciej zaczęli się urządzać. Załatw to jeszcze dzisiaj albo jutro wczesnym rankiem, żeby do dziewiątej wszystko było gotowe. Potrzebujemy tylko jakieś trzysta metrów kwadratowych przestrzeni, ale z dala od innych zabudowań, z oddzielnym dojazdem. Nasi ludzie zrobili rekonesans obiektów należących do firmy i wytypowali budynek nad rzeką, który idealnie nadaje się do naszych potrzeb. Możemy zapewnić własną ochronę, więc tym nie powinieneś zaprzętać sobie głowy. Musisz jedynie przenieść gdzie indziej znajdujące się tam laboratorium badawcze sztucznych zastawek serca. Zatrudnia tylko parę osób. Na tym etapie nic więcej od ciebie nie chcemy.

Zatem ludzie Ganze'a musieli od dłuższego czasu obserwować zakłady w Minneapolis.

- Mam się spotkać z tymi ludźmi, prawda? - zapytał. - Mam na myśli tych trzech, o których rozmawialiśmy, biochemika kierującego projektem i jego dwóch asystentów.

Na linii panowała głucha cisza.

- Ganze? Jesteś tam?

- Muszę się naradzić z szefem w tej sprawie.

- Przecież obiecałeś.

- Tak, pamiętam - odparł tamten cicho.

- Nie wydam żadnego polecenia, dopóki z nimi nie porozmawiam - ostrzegł Gillette - i dopóki nie dowiem się czegoś więcej o wypadku mojego ojca. Mówiłeś, że do tej pory będziesz miał nowe informacje. - Po raz kolejny obejrzał się na Wrighta, który obracał w dłoni własny telefon komórkowy. Gillette przycisnął mocniej aparat do ucha i zapytał: - Zrozumiałeś?

- Poznasz te nowe informacje jutro, po naszym spotkaniu - obiecał Ganze. - Już je uzyskałem.

- Powiedz mi teraz.

- Nie przez telefon. Rozumiem, że jesteś zawiedziony - syknął Ganze tonem wyzbytym nawet śladów współczucia. - Najważniejsze, abys znalazł się jutro na miejscu. Na pewno nie będziesz zawiedziony. - Na chwilę zamilkł. - Słyszałeś?

- Tak. Będę.

- Świetnie. Znajdź sobie jakiś hotel na południowym krańcu miasta, w Bloomington albo Edinie. Odezwę się później.

- Dobrze. - Wyłączył aparat.

- Co się dzieje? - zagadnął Wright, błyskawicznie chowając swój telefon do kieszeni.

Gillette rozejrzał się po lobby w poszukiwaniu agentów QS Security. W pierwszej chwili ich nie dostrzegł w tłumie jaskrawo ubranych turystów przemierzających się we wszystkich kierunkach. Wyprostował się gwałtownie w fotelu, zaniepokojony. Dopiero po chwili zauważył ich pod filarem i odetchnął z ulgą.

- Chris?

- Do diabła, Davidzie, chyba potrafisz już dać sobie radę bez pieluszki?!

- Jezu... Co cię ugryzło?

Gillette osunął się w fotelu.

- Przepraszam. - Westchnął głośno. Czasami odnosił wrażenie, że nie jest już panem własnego życia. Coraz częściej nachodziła go ochota, by rzucić to wszystko. - Zmiana planów - wyjaśnił. Zanotował w myślach, żeby zadzwonić do Marilyn z samolotu i odwołać wizytę. Przyszło mu do głowy, że musiał dokonać trudnego wyboru, odsunąć na jakiś czas pierwsze spotkanie z biologiczną matką, by poznać pewne okoliczności tragicznego wypadku ojca. - Na razie nie jadę na Zachodnie Wybrzeże.

- Tylko dokąd?

- Wyniknęło coś niespodziewanego.

- Myślałem, że masz się spotkać... ze swoją rodziną.

- Bo tak było.

- No cóż, musiało wyniknąć coś na prawdę ważnego, skoro zdecydowałeś się zmienić plany.

- Daj sobie spokój, Davidzie - uciął krótko.

- Chodzi mi tylko o to, że mieliśmy przez cały czas pozostawać w kontakcie.

- I tak jest. Zawsze możesz mnie złapać pod którymś numerem.

- To prawda, ale byłoby też niezłe wiedzieć, gdzie jesteś, na wypadek...

- Gdzie ta przekłeta limuzyna? - warknął z wściekłością Gillette, zaskakując nawet samego siebie.

- Zaraz przyjedzie - odparł spokojnie Wright. - Rozmawiałem z dowódcą ochrony. Powinna tu być najwyżej za dziesięć minut. Co cię tak denerwuje?

- Nic.

- Sprawiasz wrażenie...

- Powiedziałem, żebyś dał sobie spokój.

- Już dobrze, w porządku. - Wright nie odzywał się przez kilka sekund. - Chcesz porozmawiać o przebiegu spotkania z przedstawicielami władz miejskich? No, wiesz, porównać notatki...

Wcale nie najgorszy sposób na zabicie czasu, pomyślał Gillette.

- Może być - odparł, przyglądając się blondynce siedzącej na wprost, po przeciwnej stronie lobby. Była nieco starsza, po czterdziestce, ale bardzo atrakcyjna. Uśmiechnęła się do niego, kiedy ich spojrzenia się spotkały, toteż odpowiedział równie uprzejmym uśmiechem.

- Więc co sądzisz o jego przebiegu? - zapytał David.

- Moim zdaniem poszło bardzo dobrze - Gillette ledwie zdołał się powstrzymać od ziewnięcia. Ostatniej nocy źle spał. Od chwili wypadku na jachcie ciągle odtwarzał w pamięci przebieg wydarzeń, próbując dociec, czy nie przeoczył czegoś, co mogłoby pomóc policji w rozwikłaniu zagadki zaginięcia Stilesa. - Uważam, że będziemy mieli kasyno, jeśli tylko tego zapagniemy. Ten jeden facet w sportowej bordowej

marynarce, który siedział przy drugim końcu stołu, cały czas próbował nam robić trudności, mam jednak nadzieję, że zmieni nastawienie po reprimendzie, którą z pewnością usłyszy od Carmine'a Torino.

- Nie mogłem uwierzyć, że już przed rozpoczęciem zebrania wszyscy wiedzieli o tym, że zaangażowałeś Torina - zauważył Wright.

- To skorumpowane miasto. Od początku takie było i zawsze takie będzie, niezależnie od tego, co niektórzy twierdzą. - Po raz kolejny spojrział na blondynkę. Trzymała dłoń przyciśniętą do piersi, jakby miała kłopoty z oddychaniem. - Chciałem cię o coś zapytać.

- Słucham.

- Dlaczego powiedziałaś mi, że masz krewnych na Wschodnim Wybrzeżu w Marylandzie?

Wright na chwilę rozdziawił usta ze zdziwienia.

- Bo... to prawda - wydukał.

- W sobotę na jachcie rozmawiałem z Peggy i powiedziała, że nigdy nie wspominałaś o żadnych krewnych mieszkających w tamtych stronach.

Wright wzruszył ramionami.

- Może faktycznie nigdy jej nie mówiłem. W końcu to dość dalecy krewni. Nawet nie pamiętam, kiedy widzieliśmy się po raz ostatni.

- Z której strony to rodzina? - zapytał, pochylając się w fotelu.

- Słucham?

- Pytałem, czyja to rodzina. Ze strony matki czy ojca? - Gillette po raz kolejny zerknął na blondynkę. Można było odnieść wrażenie, że próbuje się podnieść z fotela, lecz nie może utrzymać się na nogach. - Jezu... - syknął, podrywając się z miejsca. - Ta kobieta chyba dostała zawału serca.

Blondynka zdołała z trudem dźwignąć się z fotela, zrobiła kilka niepewnych kroków na chwiejnych nogach i upadła na marmurową posadzkę. Zarówno Gillette, jak też obaj agenci QS Security i Wright rzucili się w jej stronę.

Jak na komendę z sąsiedniego fotela podniósł się mężczyzna, wyciągnął spod marynarki pistolet i wymierzył w Gillette'a.

- Chris! - wrzasnął Wright, z impetem natarł ramieniem na swego szefa, powalając go na podłogę, po czym skoczył w kierunku zamachowca, nim jeszcze huknął pierwszy wystrzał. Obaj ochroniarze natychmiast przyklęknęli i także dobyli broni.

- Nie strzelać! - krzyknął Gillette, obserwując uważnie, jak agenci prowadzeni przez Wrighta zbliżają się do niedoszedłego zabójcy.

Huknął drugi strzał, ale w tej samej chwili David skoczył na przeciwnika, powalił go na ziemię, złapał za nadgarstek i zaczął nim walić o marmurowe płyty. Pistolet z brzękiem poleciał w bok. Chwilę później zamachowca dopadli agenci QS Security, błyskawicznie obrócili go na brzuch i kajdankami skuli mu ręce na plecach.

Gillette pozwolił swojej ociężałej głowie opaść na posadzkę. Pomyślał, że Tom McGuire nigdy się nie podda.

Prywatny odrzutowiec wystartował z bostońskiego lotniska Logan o szóstej wieczorem czasu Wschodniego Wybrzeża. Godzinę i czterdzieści pięć minut później na wysokości ośmiu tysięcy metrów minął wschodni brzeg jeziora Michigan.

W kabinie znajdowało się dwóch mężczyzn i jedna kobieta, którzy przez ostatnie dwa lata prowadzili swoje prace badawcze w najdalszym zakątku Wydziału Medycyny Uniwersytetu Harvarda. Wszyscy byli bowiem biochemikami na zlecenie NAZPO pracującymi nad pewnym projektem z zakresu nanotechniki, który miał się stać wielkim przełomem w pionierskich badaniach.

Drugi, większy samolot podążał tym samym kursem piętnaście minut za nimi, a na jego pokładzie znajdowały się wszelkie zapiski i pliki komputerowe wraz z aparaturą, którą wykorzystywali od dwóch lat,

niezbędną do ukończenia prac. Poinformowano ich oficjalnie, że w Bostonie doszło do poważnego naruszenia zasad bezpieczeństwa, dlatego w tajemnicy muszą zostać przeniesieni do innej agencji rządowej, GARD, która zadba o wszelkie potrzeby do czasu zamknięcia projektu. Uprzedzono ich też, że w zaistniałej sytuacji nie będą mogli się zobaczyć ani w żaden inny sposób nawiązać kontaktu ze swoimi najbliższymi przez kilka tygodni, może nawet dłużej, dopóki nie zdomowią się w nowym miejscu, o którego położeniu nic jeszcze nie wiedzieli. Stąd też w początkowej fazie podróży próbowali odgadnąć punkt docelowy, oceniając szybkość oraz kierunek lotu, ale już po pół godzinie rozsiedli się wygodnie w fotelach i pochylili nad książkami, czasopismami i notatkami.

Po dwudziestu minutach lotu nad jeziorem Michigan zdalnie sterowane urządzenie otworzyło dwa zawory awaryjnego zrzucania paliwa i benzyna zaczęła szerokimi strumieniami wypływać ze zbiorników. Trzydzieści sekund później zapaliła się czerwona lampka sygnalizacyjna na tablicy w kabinie pilotów, informująca jednoznacznie, że maszyna szybko traci paliwo, ci jednak nie byli w stanie nic na to poradzić. Żadnym sposobem nie dało się zamknąć zaworów i w krótkim czasie stracili cały zapas benzyny. Zawrócili natychmiast i zaczęli schodzić w dół, desperacko usiłując sprowadzić maszynę bezpiecznie na ziemię, lecz na wysokości trzech tysięcy metrów oba silniki ostatecznie umilkły i otoczyła ich złowroga cisza.

Samolot szybował jeszcze przez parę sekund, potem jednak gwałtownie stracił prędkość i zaczął pikować. Obaj piloci ze wszystkich sił usiłowali nad nim zapanować, lecz półtora tysiąca metrów nad jeziorem całkowicie stracili kontrolę nad maszyną, która runęła w dół jak kamień.

Po zderzeniu z taflą wody roztrzaskała się na tysiące kawałków i przestała istnieć, podobnie jak wszystko, co znajdowało się na pokładzie.

Człowiek, który pociągnął za spust w hotelowym lobby, siedział w

ciasnym pokoju przesłuchań i palił papierosa. Spoglądał tępo na rozchwiane drewniane krzesło po drugiej stronie stolika, na którym, jak sądził, już dawno powinien posadzić tłuste dupsko jakiś gliniarz. Czekał już tak od godziny i powoli zaczynał tracić cierpliwość. Nie miało to trwać aż tak długo. Powinien już dawno znaleźć się na wolności.

Wreszcie drzwi się otworzyły.

- Detektyw Jim Pearson.

- Gratuluję.

Śledczy rzucił na stół teczkę z papierami, obrócił krzesło oparciem w jego stronę i usiadł na nim okrakiem.

- Coś ty wyrabiał, do jasnej cholery? - zapytał, krzyżując ręce na poręczach krzesła.

- Nie rozumiem.

- Usiłowałeś zastrzelić Christiana Gillette'a w głównym lobby hotelu Caesar's Palace, mimo że osłaniało go dwóch prywatnych agentów ochrony osobistej, nie mówiąc już o obecnej w pobliżu ochronie hotelowej. Zdążyłeś wystrzelić dwa razy, przy czym żadna kula nawet go nie drasnęła. Doskonale wiedziałeś, że nie masz szans stamtąd uciec. Zapytam więc jeszcze raz. Coś ty wyrabiał, do jasnej cholery?

- Próbowałem go zabić.

- Bzdura. Jeśli to prawda, to wymyśliłeś idiotyczny plan.

- W porządku, zatem jestem idiotą.

- Nie trafiłeś nawet tego gościa, który rzucił się na ciebie i powalił na ziemię. Przecież miałeś go dokładnie na wprost.

Mężczyzna westchnął ciężko. Był jednym z najlepszych strzelców w rodzinie Carbone, więc takie wyznanie nie chciało przejść mu przez gardło.

- Dobra, jestem nie tylko idiotą, ale i głównianym strzelcem.

Pearson jęknął gardłowo.

- Jak się nazywasz?

- Johnny Depp.

- Pieprz się.

Aresztant wzruszył ramionami.

- Daj spokój. Może jestem idiotą i gówniany ze mnie strzelec, ale mógłbyś mnie przynajmniej docenić za kreatywność.

- Kto za tym stoi?

- Nie rozumiem.

- Przecież ty nie możesz nic mieć do Gillette'a, absolutnie nic was nie łączy. Więc kto za tym stoi?

Mężczyzna spuścił głowę. Trzeba było zakładać, że śledczy prawdziwo odczyta jego milczenie. Pearson pochylił się nad stolikiem.

- Masz przed sobą perspektywę wielu lat za kratkami, przyjacielu. Zostaniesz oskarżony o usiłowanie zabójstwa.

Na twoim miejscu zeznawałbym z większą ochotą. Strzelec skrzywił się i pokręcił głową.

- Nie mogę.

- Nie żartuj, Johnny. Mów wszystko, co wiesz. Niewykluczone, że zdołam ci pomóc.

- Jak?

- Jeszcze nie wiem, ale na przykład dowody mogą zaginać. Coś wymyślimy. Ale muszę wiedzieć, kto ci zlecił tę robotę.

Mężczyzna rzucił niedopałek na podłogę i zgniół go obcasem.

- Nazywa się Tom McGuire. Powiedział, że prowadził jakąś firmę należącą do Gillette'a, zanim ten go wykiwał. Nie wiem, o co poszło, nie dopytywałem się o szczegóły. Szczerze mówiąc, nic mnie nie obchodziło, skoro dostałem forszę.

Pearson wyjął z teczek papier i długopis.

- Możesz powtórzyć jego imię i nazwisko?

- Tom McGuire.

- Gdzie cię zwerbował?

- Nie rozumiem.

- Rozmawialiście tutaj w Vegas czy gdzie indziej?
- Och, nie, to było w Jersey. Poznał nas ze sobą wspólny znajomy.
- Jego nazwisko?

Aresztant uniósł wzrok do nieba.

- Na miłość boską, raczysz chyba żartować.

- Dobra, w porządku - wycofał się szybko detektyw. - Więc ten McGuire prowadził jakąś firmę należącą do Gillette'a?

- Zgadza się.

- Jak się nazywa ta firma?

Wzruszył ramionami.

- Zapytajcie Gillette'a.

- Tak też zrobimy. - Pearson odsunął kartkę i długopis. - Ile ten McGuire ci zapłacił?

Strzelec zamyślił się na kilka sekund, chcąc wymienić sumę wiarygodną, ale niezbyt dużą.

- Sto kawałków.

Byli w powietrzu od dwóch godzin, Gillette zdążył rozwiązać krzyżówki w „The New York Timesie” oraz „USA Today” i kończył właśnie w „The Washington Post”. Wpisawszy ostatnie odgadnięte słowo, rzucił gazetę na podłogę i popatrzył na Wrighta. Po tym, jak w lobby David rzucił się bez zastanowienia na zamachowca, postanowił zabrać go ze sobą. Oczywiście nie na spotkanie z Boydem, Ganze'em i biochemikami, postanowił jednak zafundować mu wycieczkę do Minneapolis. W końcu ryzykował dla niego życie, biegnąc prosto na niedoszęłego zabójcę. Był więc mu oddany tak samo jak Stiles. Dopadły go nagle wyrzuty sumienia za to, że wypytywał Wrighta o krewnych w Marylandzie, że był wobec niego podejrzliwy. Nie zasłużył sobie na taką podejrzliwość, wręcz przeciwnie, wciąż udowadniał, że jest godny tego, aby być jego protegowanym.

- Hej, Davidzie.

- Tak?
- Wszystko w porządku?
- Nie rozumiem.
- Jesteś dziwnie blady.

Wright uśmiechnął się smutno.

- Rozmyślałem właśnie, że nie nadaję się do tego, by częściej zaglądać w lufę wycelowanej we mnie broni.

Gillette świetnie znał to uczucie.

- To może byś się zdrzemnął?
- Byłoby niezłe, ale muszę jeszcze popracować nad sprawozdaniem w sprawie Hush-Hush. - Wskazał arkusze zestawień liczbowych leżące mu na kolanach.

Z tylnej części kabiny nadszedł jeden z agentów QS Security.

- Telefon do pana, panie Gillette.
- Dzięki - odparł, biorąc od niego słuchawkę. - Halo.
- Christian? To ja.

Owo „ja” oznaczało Allison. Zatem byli już na tym etapie zażyłości. W każdym razie tak się jej wydawało.

- Dobrze się bawiłeś beze mnie? - zapytała.
- Owszem.
- Jak poszło spotkanie z przedstawicielami władz miejskich w Las Vegas? Będziemy mieć nasze kasyno?
- Chyba tak. Najęliśmy jednego z miejscowych konsultantów, o których ci opowiadałem. To załatwiło sprawę.
- Ile to będzie kosztowało?
- Dużo. - Na razie nie musiał jej wtajemniczać w szczegóły. - Ale na pewno się opłaci.
- Jesteś teraz w drodze na Zachodnie Wybrzeże?
- Nie.
- No to dokąd lecisz?
- Wynikło coś niespodziewanego.
- Co.

- Coś.

- Znów te twoje tajemnice? - syknęła ze złością. - Jezu. Najpierw Richmond, teraz to. Mogłabym kazać zlokalizować twój telefon.

Gillette zmrużył oczy. Nie wątpił, że wiedziała, jak to się robi. Może nawet już to zleciła, a ta rozmowa miała być tylko przykrywką.

- Lecę do Minneapolis. - Pomyślał, że i tak nie zdoła zachować wszystkiego w tajemnicy. Zabrał ze sobą Wrighta, więc Allison mogła to wyciągnąć od niego.

- Co się stało? - zapytała.

- Dzwonił dziś rano stary znajomy. Szykuje się pewna okazja, ciekawa transakcja. Ale nie chcę o tym mówić przed wizytą w Minneapolis. W każdym razie to pilne. - W tym zakresie był kryty, bo Wright także nie znał prawdziwej przyczyny podróży na północ.

- Czyli znowu wszystko na ostrzu noża?

- Jak zawsze.

- Czy David jest z tobą?

- Tak.

- Postanowiłeś go zabrać do Minneapolis? - W głosie Allison pojawił się podejrziwość. - To dziwne. Czy przypadkiem Beezer Johnson nie ma tam swojej filii?

- Owszem, ma - odparł z ociąganiem.

- Zastanawiałeś się może nad moją propozycją odsprzedania tej firmy mojej rodzinie?

- Prawdę mówiąc, nie miałem ku temu okazji.

- Rozmawiałam już o tym z wujkiem i dziadkiem - dodała szybko. - Uznali, że to świetny pomysł. Mają zlecić naszym specjalistom z Chicago przeanalizowanie sprawy, a zwłaszcza sprawdzenie wyników finansowych firmy, są jednak zdania, że Beezer świetnie by pasował do profilu pozostałych naszych inwestycji.

Gillette aż syknął ze złości przez zęby.

- Niby skąd wasi analitycy mieliby dostęp do sprawozdań finansowych spółki?

- Poprosiłam Cathy Dylan, żeby przesłała mejlem zestawienia. Pomyślałam, że nie będziesz miał nic przeciwko temu - zawiesiła na chwilę głos. - Pomyliłam się?

- Zanim drugi raz podejmiesz tego rodzaju decyzję, skontaktuj się najpierw ze mną. Przecież te dane są poufne.

- Dobrze. - Znów zamilkła na krótko. - Porozmawiajmy o cenie.

- Ta firma nie jest na sprzedaż, Allison. - Nawet nie chciał wiedzieć, jaką cenę była gotowa zaproponować. Gdyby usłyszał sumę i uznał ją za godziwą, wzięłby na siebie odpowiedzialność powiernika.

Ale ona widocznie wyznawała inne zasady.

- Proponujemy sześć miliardów.

- Sześć miliardów?!... - powtórzył ze zdziwieniem, gdyż kilka lat wcześniej Everest kupił spółkę Beezera Johnsona tylko za dwa miliardy.

- Przy tej cenie zysk ze sprzedaży Beezera byłby równie rekordowy, co z Laurel Energy. Przecież ta firma ma dochód nieprzekraczający stu milionów dolarów. Muszę powiedzieć, że jestem gotów uznać tę ofertę za śmiesznie zawyżoną.

- Dzięki, że traktujesz mnie jak śmiesznego powiernika rodzinnej fortuny.

- Dobrze wiesz, że nie o to mi chodziło. - Spokojnie nie dawało mu pytanie, czemu aż tak bardzo zależało jej na tej spółce. - Powiedziałem tylko, że jestem gotów uznać tę ofertę za śmieszną.

- Zrozum, że moglibyśmy przeprowadzić fuzję spółki Beezera z firmą, którą już posiadamy, tworząc w ten sposób nowe, fantastyczne możliwości, przez co nasza inwestycja natychmiast zyskałaby wielokrotnie wyższą wartość.

- Chciałbym zobaczyć na papierze konkretne prognozy. - Potrafił wytknąć poważne mankamenty w każdej prognozie, nawet takiej, która pozornie wyglądała na wspaniałą. Miał nadzieję, że w ten sposób przez jakiś czas utrzyma Allison na dystans.

- Nie ma sprawy. Poproszę naszych analityków, żeby przesłali ci mejlem swoje sprawozdanie.

- I to jak najszybciej.

- Oczywiście. Nawisem mówiąc, rozmawiałeś już z senatorem Clariem w sprawie spotkania z przedstawicielami Federalnej Komisji Leków? - zapytała, szybko zmieniając temat. - Dostałam niedawno mejla od Jacka Mitchella z zapytaniem w tej sprawie. Gotów jest kontynuować negocjacje, ale najpierw chciałby zobaczyć efekt twoich wpływów na komisję.

- O to się nie martw.

- W porządku. Mam więc nadzieję, że w Minneapolis wszystko pójdzie po twojej myśli, niezależnie od tego, co jest przyczyną twojej tajemniczości.

- Dzięki.

- A co u Faith? - zaciekała się niespodzianie.

- Wszystko w porządku.

Na kilka sekund na linii zapadła martwa cisza.

- Tęsknię za tobą, Christianie.

Spojrzał na Wrighta.

- Dzięki - rzucił i przerwał połączenie.

- Dzwoniła Allison? - zapytał David, gdy tylko odłożył aparat.

- Owszem.

- Wiesz co? Naprawdę ją polubiłem. Uważam, że jest niezwykła.

- Już się nie martwisz, że mnie rozprasza?

- Nie.

Obrzucił Wrighta uważnym spojrzeniem.

- Co sprawiło, że zmieniłeś zdanie?

- W sobotę na jachcie miałem okazję porozmawiać z nią szczerze. Jest bardzo sympatyczna. No i mądra. Ale ty przecież za dobrze znasz się na ludziach, żebym musiał ci to mówić. Co do tego nie mam złudzeń.

No, wreszcie ktoś jest gotów uznać moją niewinność przed ogłoszeniem wyroku, pomyślał Gillette.

- À propos - dodał Wright. - Przypomniałem sobie, która to moja dal-
sza rodzina mieszka w Marylandzie.

- Czyżby?

- Owszem. Cioteczna siostra mojej matki osiadła w Easton. Możesz ją odwiedzić, gdy znów będziesz w Chatham. To nie dalej niż godzina drogi. Mama twierdzi, że ciotka jest wspaniałą kucharką. Podobno nikt nie umie tak doprawiać kurczaków do pieczenia, jak ona.

Gillette pokiwał głową.

- Może i odwiedzę - rzekł, ale przyszło mu do głowy, żeby zadzwonić do matki Davida i potwierdzić tę bajeczkę. Zresztą, czy mogło to odmienić fakt, że wciąż nie potrafił nikomu zaufać?

- Zapraszam.

Ponownie zadzwonił telefon komórkowy Gillette'a. Oby tylko nie Alison, pomyślał, zerkając trwożliwie na numer, który pojawił się na wyświetlaczu. Ale to nie była ona.

- Słucham.

- Czy mogę rozmawiać z Christianem Gillette'em?

- To ja jestem Christian.

- Panie Gillette, mówi Jim Pearson. Jestem detektywem z komendy policji w Las Vegas.

Gillette szybko wyprostował się w fotelu.

- Tak?

- Dostałem ten numer od jednego z funkcjonariuszy, którzy spisywali dane personalne po dzisiejszej strzelaninie w hotelu. Chciałbym zadać panu kilka pytań.

- Nie ma sprawy.

- Czy mówi coś panu nazwisko Tom McGuire?

Serce podeszło mu do gardła.

- Owszem. Czemu pan pyta?

- Ten człowiek, którego aresztowaliśmy, utrzymuje, że to właśnie McGuire zapłacił mu za zabicie pana. Twierdzi, że tenże McGuire kierował

jedną z pańskich spółek i z jakiegoś powodu czuje do pana głęboką awersję. Czy ta historia wydaje się panu prawdopodobna?

- Tak, jak najbardziej.

- To dobrze - odparł Pearson wyraźnie zaskoczony. - Więc może jednak uda nam się rozwikłać tę sprawę.

- McGuire prowadził firmę ochroniarską, z której usług korzystałem - wyjaśnił Gillette. - Założył ją razem ze swoim bratem Vince'em. Wszystko wskazuje na to, że tydzień temu to także on próbował mnie zabić w Nowym Jorku.

- Co na to wskazuje?

- Przebieg wydarzeń, który do dzisiaj mam żywo przed oczami. Zostałem zaatakowany na ulicy, doszliśmy do wniosku, że stał za tym McGuire. Poza tym... no cóż, jestem przeświadczony, że to również on stał za zabójstwem mojego przyjaciela Quentina Stilesa, do którego doszło w miniony weekend. Zatem każda informacja, którą zdoła pan wyciągnąć od zatrzymanego, może mieć olbrzymie znaczenie.

- Jasne, rozumiem. Będę go przesłuchiwał po raz drugi jutro rano, gdy straci trochę animuszu po nocy spędzonej w areszcie, gdzie będzie mógł sobie dokładnie przemyśleć to, co zrobił. Gdybym miał jeszcze jakieś pytania, pozwolę sobie do pana zadzwonić. Dobrze?

- Oczywiście. Niech mnie pan poinformuje o wynikach jutrzejszego przesłuchania. Mogę na to liczyć?

- Tak, jasne.

- Kto dzwonił? - zapytał Wright.

- Detektyw, który przesłuchiwał faceta zatrzymanego w hotelu.

- Naprawdę? I co powiedział?

Gillette obrzucił Davida podejrzliwym spojrzeniem, zastanawiając się, jak mu odpowiedzieć. Brakowało mu kogoś, komu mógłby się zwierzyć i komu ufałby bez żadnych zastrzeżeń.

- Tom McGuire zapłacił mu za to, żeby mnie sprzątnął.

Bywał już w tutejszym areszcie, spędził kilka nocy za kratkami za pijaństwo i burdy uliczny, wiedział więc, jakie panują tu zasady. Ale tym razem nie o zasady chodziło. Nie chodziło też o to, że skręcili w zupełnie inny korytarz. Kiedy za rogiem znaleźli się sami, gliniarz stanął, odwrócił się, wyjął kluczyk i zdjął mu kajdanki. A chwilę później otworzył drzwi z napisem WYJŚCIE AWARYJNE.

- Spadaj.

Mężczyzna nie wahał się nawet przez chwilę, błyskawicznie dał nura na tonącą w mroku uliczkę, podbiegł do krawężnika i zaczął machać ręką na taksówkę.

- Na lotnisko. Gazem! - rzucił, myśląc z dumą o tym, jak świetnie sobie poradził w trakcie rozmowy z Pearsonem.

Spojrzał na zegarek. Trwało to kilka godzin dłużej, niż się spodziewał, jednakże Celino powinien być zadowolony. A tylko to się liczyło.

Wright wszedł do toalety w tylnej części głównej kabiny odrzutowca i starannie zamknął za sobą drzwi. Pochylił się lekko nad zlewem i spojrział na swoje odbicie w lustrze, po czym odkręcił zimną wodę i spryskał sobie twarz. Później jeszcze raz zerknął w lustro, nie mając już wcześniejszej pewności, czy na pewno widzi przed sobą swoje odbicie.

Zgodnie z obietnicą Celina Gillette kupił wszystko - to, że wynajęty zabójca naprawdę próbował go sprzątnąć w hotelowym lobby, że Wright uratował mu życie, że za nieudany zamach stał Tom McGuire. Aż pokręcił głową. Mafijny don traktował nazwisko McGuire'a jak idealną przykrywkę, co było iście genialnym posunięciem. Dopóki McGuire ukrywał się przed całym światem, nie można było potwierdzić ani obalić poszlaki, że to faktycznie on opłacił zabójcę.

Jeszcze raz ochlapał twarz zimną wodą. Celino doskonale wiedział, jak na zachętę pomachać przed nosem marchewką, nawet jeśli kij, do którego była przywiązana, mógł się stać przyczyną sennych koszmarów.

Odwrócił się, żeby wyjść, lecz jeszcze raz zerknął w lustro. Zawahał się, pochylił i popatrzył uważnie na swoje odbicie. W końcu skrzywił się z niesmakiem i zawrócił na pięcie. Nie był w stanie dłużej patrzeć sobie prosto w oczy.

Rozdział 16

Nie było nic dziwnego w tym, że pod koniec września o siódmej rano temperatura wynosiła tutaj tylko jeden stopień Celsjusza. Na dzień zapowiadano zaledwie dziewięć stopni. Gillette nie mógł się więc nadziwić ludziom, którzy postanowili zamieszkać w Minneapolis. W Nowym Jorku też bywało zimno, ale nie aż tak. Zagryzł zęby, próbując opanować dreszcze. Przylecieli tu prosto z Las Vegas, nie miał więc nawet płaszcza. A przecież serdecznie nienawidził chłodu.

Stojąc na schodach budynku wzniesionego bezpośrednio na brzegu rzeki Missisipi, obserwował dużego granatowego cadillaca zbliżającego się powoli wąską boczną drogą. To właśnie tu mieściła się pierwotna siedziba spółki Beezera Johnsona - w tym ponurym, trzypiętrowym kolosie z czerwonej cegły zbudowanym w latach dwudziestych i kilkakrotnie powiększonym o rozmaite dobudówki. W latach sześćdziesiątych, gdy przez kilka lat z rzędu budynek był podtapiany przez wiosenne wylewy, zarząd firmy postanowił przenieść filię do nowo postawionych zabudowań na szczycie pobliskich wzgórz. Teraz stały tam cztery poły-skujące w słońcu przeszklone hale, w sumie prawie dwadzieścia tysięcy metrów kwadratowych powierzchni użytkowej, natomiast w starym gmachu pozostał jedynie zespół do badań nad sztucznymi zastawkami serca. Kierownictwo filii postanowiło zachować ten budynek głównie z powodów sentymentalnych.

Cadillac zatrzymał się na wprost schodów, wysiadł z niego mężczyzna w długim grubym płaszczu. Agent QS Security podszedł do niego, przeszukał pobieżnie i ruchem ręki dał znak, że może iść dalej.

- Dzień dobry, panie Gillette - odezwał się nowo przybyły, wyciągając rękę. - Jestem Andrew Morgenstern.

Morgenstern był dyrektorem tutejszej filii spółki. Gillette nie miał do-
tąd okazji go poznać, po raz pierwszy rozmawiał z nim poprzedniego
wieczoru przez telefon, gdy zadzwonił z samolotu. Do tej pory spotykał
się tylko z przedstawicielami zarządu i dyrektorami z centrali Beezera
Johnsona, mającej swoją siedzibę w północnym New Jersey.

- Witam w Minnesocie - dodał mężczyzna. W
ygląda na zdenerwowanego, pomyślał Gillette.

- Piękny poranek, prawda?

- Owszem, zwłaszcza dla niedźwiedzi polarnych - odpowiedział Gil-
lette.

Morgenstern uśmiechnął się, chociaż ten żart wcale go nie rozbawił.

- Wejźmy do środka - zaproponował Gillette, energicznie zacierając
rękę i spoglądając na obłoczki pary wydobywające się z jego ust. Ner-
wowość gospodarza była dość typowa dla kierowników niższego szcze-
bla, którzy nie spodziewali się jego wizyty, postanowił więc rozluźnić
nieco atmosferę i dodał: - Jestem bardzo wdzięczny, że z mojego powo-
du zgodził się pan wstać o tak wczesnej porze.

- Święta racja. - Morgenstern wyciągnął z kieszeni gruby pęk kluczy
i otworzył drzwi. - Powinien pan włożyć przynajmniej lekką kurtkę.

- Na pewno bym to zrobił, gdybym ją miał ze sobą. - Gillette zerknął
na Walkera, który pospiesznie zagonił do środka swoich ludzi. Ale bu-
dynek był wyziębiony i w środku panował równie dokuczliwy chłód. -
Sądziłem, że pracują tu jeszcze jacyś ludzie.

- Tak, oczywiście, że pracują.

- Nie ogrzewacie dla nich pomieszczeń?

Morgenstern zaśmiał się krótko, ale zaraz zmarszczył brwi, zwróciwszy
uwagę na jego kamienną minę.

- Mówił pan poważnie?

- Jak najbardziej.

- Wewnątrz jest... dziewiętnaście stopni, panie Gillette. Ludzie ubrani w swetry powinni się tu czuć doskonale. Nie widzę powodu, żeby marnotrawić skąpe rezerwy mocy tutejszej elektrowni. Za wszelką cenę musimy zredukować koszty pracy, wyłączać wszelkie urządzenia i gasić światło pod koniec dnia. Kazałem wszędzie porozmieszczać odpowiednie tabliczki.

- Aha. - Gillette zerknął na agentów QS Security, którzy parę metrów przed nimi szli wyłożonym kafelkami korytarzem i ciekawie zaglądali do mijanych pomieszczeń. Tylko Walker trzymał się tuż za nim. - Ilu ludzi pracuje w tym budynku, Andrew? - zapytał.

- Około dwudziestu, jeśli się nie mylę.

- Czy mógłbyś ich przenieść do którejś z nowych hal na wzgórzach?

- Pewnie tak. Pozwoli pan, że zapytam o powód tej decyzji?

- Niestety, nie mogę odpowiedzieć. - Nigdy nie mówił ludziom wprost, żeby nie wtykali nosa w nie swoje sprawy.

Morgenstern uniósł brwi.

- Aha... No tak...

- Zdaję sobie sprawę, jak to zabrzmiało, ale muszę cię prosić o całkowite opróżnienie tego budynku aż do czasu, gdy otrzymasz ode mnie zgodę na powrót. Może to potrwać kilka tygodni, ale może nawet rok. Nie umiem na razie powiedzieć. W każdym razie to pilna sprawa.

Tamten wzruszył ramionami.

- W porządku, to pan jest szefem.

Gillette obejrzał się za Walkerem, który z telefonem komórkowym przytkniętym do ucha został parę kroków z tyłu.

- Chciałbym, żeby wszyscy pracownicy zostali stąd przeniesieni do ósmej rano, nie później. Jeśli coś tu zostawiają, muszą kontaktować się telefonicznie i prosić o specjalne pozwolenie na dostarczenie tego.

- Do ósmej? Rety, mnóstwo ludzi nie zjawia się w pracy przed dziewiątą. Wcześniej muszą odwieźć dzieci do szkoły... Chyba pan to rozumie, prawda?

- Ale dzisiaj nikt nie ma prawa pozostać w tym budynku po ósmej, Andrew. Bez żadnych wyjątków.

- Jasne, rozumiem.

- Czy jest stąd niezależny dojazd do głównej drogi? - Doskonale wiedział, jak Morgensterna zżera coraz silniejsza ciekawość, tyle że wrodzona dyskrecja nie pozwalała mu zadawać zbędnych pytań.

- Tak.

- To dobrze.

Za nimi głośno trzasnęły frontowe drzwi i Gillette obejrzał się gwałtownie.

- Wszystko w porządku - rzucił przez ramię Walker, ruszając truchtem w ich stronę. - To jeden z moich ludzi. Właśnie rozmawiałem z nim przez telefon.

Gillette znowu zwrócił się do Morgensterna.

- I nie mów nikomu, Andrew, o tym, co się tu dzieje.

- A co się dzieje?

- Nie mów nikomu, że widziałeś tu mnie bądź tych ludzi. Lepiej nie wspominać o tym nawet swoim zaufanym współpracownikom. Jeśli rozejdą się plotki, wylecisz z roboty.

Tamten ponownie wysoko uniósł brwi.

- No cóż, w końcu to pańska firma.

- I jeszcze jedno...

- Tak?

- Zostaw mi ten klucz. - Ruchem głowy wskazał pęk trzymany przez Morgensterna. - Jak również wszystkie pozostałe od innych drzwi tego budynku.

Dyrektor podał mu cały pęk.

- Proszę bardzo.

- Dziękuję. - Uścisnął dłoń Morgensterna. - Jestem bardzo wdzięczny za pomoc. - Ponownie obejrzał się na Walkera, który energicznym krokiem szedł korytarzem w ich kierunku. - I gratuluję doskonałych wyników. Dowiedziałem się w centrali, że twoja filia znacznie wyprzedza tegoroczny plan.

- Chyba wydział.

- Słucham?

- To mój wydział jest do przodu z robotą.

- No tak, zgadza się. - Morgenstern był najwyraźniej zwolennikiem sztywnych podziałów i zakresów odpowiedzialności. - Naturalnie miałem na myśli twój wydział. Życzę pomyślnego dnia, Andrew.

Kiedy zjawili się Boyd i Ganze, czekał na nich w lobby, przeglądając w swoim palmtopie pocztę elektroniczną, podczas gdy Walker i jego ludzie krążyli po całym budynku, sprawdzając kolejne pomieszczenia. Na widok gości Gillette wyłączył aparat i schował go do kieszeni.

- Musimy znaleźć ustronne miejsce, żeby porozmawiać na osobności - zaczął Boyd rozkazującym tonem.

- W całym budynku nie ma nikogo poza ludźmi z mojej ochrony - odparł. - Nie sądzę, żeby ktoś nam przeszkodził.

Walker ruszył za nimi, gdy skierowali się w głąb korytarza.

- On nie może iść z nami, Christianie - warknął Boyd. - Chyba nie musisz ci tego mówić?

- W porządku, zostań, Derrick. - Gillette odprawił dowódcę ochrony ruchem ręki.

- To nie jest ten sam goryl, z którym byłeś w Waszyngtonie w ubiegłym tygodniu, prawda? - zapytał Boyd, gdy nieco się oddalili.

- Nie.

- Gdzie jest tamten?

- Zginął.

Boyd skręcał właśnie do najbliższego pokoju biurowego. Zatrzymał się nagle w przejściu i odwrócił.

- Co?

- Nie żyje - wyjaśnił Gillette.

Tamten wszedł do środka.

- Jezu... Co się stało? - zapytał półgłosem przez ramię.

- Spotkało go coś bardzo dziwnego. Chyba nie musimy tego roztrząsać, prawda?

- Boże, to straszne... - mruknął Ganze, kręcąc głową. - Przykro mi.

- Dzięki.

- Specjaliści od nanotechniki, których przywieźliśmy z NAZPO, czekają w furgonetce przed wejściem - rzucił pośpiesznie Boyd. - Nie chciałbym ich tam trzymać za długo. Więc jaka jest umowa?

- Godzinę temu rozmawiałem z dyrektorem tutejszej filii i powiedziałem mu, że musi zabrać stąd swoich ludzi do czasu, aż pozwolę im wrócić. Nakazałem mu też utrzymać tę sprawę w tajemnicy, zabroniłem mówić komukolwiek, nie wyłączając najbliższych współpracowników z dyrekcji wydziału, nawet o tym, że mnie tu widział.

- Dobrze.

- Jak on się nazywa? - zapytał Ganze, wyjmując notes i długopis.

- Andrew Morgenstern. To człowiek godny zaufania. W każdym razie cały budynek jest do waszej dyspozycji. Możecie tu robić, co tylko chcecie. A teraz chciałbym się zobaczyć z waszymi specjalistami.

Boyd usiadł za biurkiem i popatrzył na swego podwładnego.

- Przyprowadź ich, Danielu, ale postaraj się, żeby nikt ich nie widział. Wracając korytarzem, pozamykaj wszystkie drzwi.

- Tak jest.

Kiedy Ganze wyszedł, Gillette także usiadł.

- Sfingowaliście już ich śmierć? - zapytał.

- Co takiego? - zdziwił się Boyd, wyrwany z zamyślenia.

- Mówił mi pan, że będziecie musieli sfingować katastrofę lotniczą,

żeby inni ludzie prowadzący badania w zakresie nanotechniki niczego nie podejrzewali w związku z nagłym zniknięciem tego zespołu.

Tamten ponuro pokiwał głową.

- Tak, oczywiście. Zatrzaszczyliśmy się o to.

- Gdzie doszło do tej katastrofy?

- Gdzieś w zachodniej Pensylwanii, w górach.

- Jak chcecie przekonać czynniki oficjalne, że na pokładzie rozbitej maszyny znajdowali się ludzie?

- Naprawdę znajdowali się tam ludzie - odparł Boyd.

Gillette popatrzył na niego z ukosa.

- To ma być żart?

- Nie bądź taki ciekawski, dobra? Umieściliśmy na pokładzie zwłoki, a pilot wyskoczył ze spadochronem, zanim maszyna runęła na ziemię. - Zachichotał. - Boże, naprawdę myślałeś, że wyprawiliśmy kogoś na tamten świat?

Gillette ledwie zdołał pohamować wybuch wściekłości. Czuł coraz większą awersję do tego człowieka.

- Skąd miałbym to wiedzieć. Przecież groziliście, że wpakujecie mnie na trzydzieści lat do więzienia.

- No tak...

- A co z rejestrami dentystycznymi i wynikami badań DNA? Przecież nie będą się zgadzały.

- To była widowiskowa katastrofa, rozpętało się ogniste piekło. Samolot runął na ziemię zaledwie kilka minut po starcie, miał więc pełne zbiorniki paliwa. Wszystko spłonęło, nie będzie możliwa jakakolwiek identyfikacja.

- Wydawało mi się, że i tak...

- Na pewno damy sobie z tym radę - przerwał mu poirytowany Boyd.

- Porozmawiaj z Ganze'em, jeśli naprawdę interesują cię szczegóły tej historii.

- A pozostałe osoby biorące udział w projekcie nie uznają za dziwne, że cały trzyosobowy zespół leciał tym samym samolotem?

- Nie widzę powodu. Mieli się wybrać do Los Angeles, na konferencję dotyczącą nanotechniki, a po drodze zatrzymać się w Cleveland na spotkanie z innym zespołem. Z Cleveland powinni dalej lecieć zwykłym samolotem rejsowym. Małe zespoły badawcze zazwyczaj podróżują razem.

Gillette wstał, gdy Ganze wprowadził do pokoju trójkę biochemików, drobną kobietę o azjatyckich rysach i dwóch młodych, z wyglądu typowych naukowców w swetrach.

- To doktor Evelyn Chang, która kieruje naszym projektem - powiedział Ganze, przedstawiając mu kobietę. - A to doktor Silverstein i doktor Rice.

Gillette powitał ich kolejno serdecznym uściskiem dłoni.

- A więc poznałeś już naszych ludzi - rzucił Boyd, wstając zza biurka. - Musimy się teraz zająć ich urządzaniem w nowym miejscu pracy.

Gillette jeszcze przez kilka sekund przyglądał się uważnie całej trójce, wreszcie rzekł:

- Witam w tutejszej filii mojej spółki. Mam nadzieję, że będzie wam się tu dobrze pracowało.

Doktor Chang ponownie wyciągnęła do niego rękę.

- Bardzo dziękujemy za gościnę, panie Gillette. Podziwiamy pańskie oddanie sprawom bezpieczeństwa narodowego.

- Witam serdecznie - powtórzył cicho, nie mogąc się uwolnić od myśli, że zgodził się na tę współpracę wyłącznie z pobudek osobistych. Teraz jednak, kiedy miał wreszcie tych troje naukowców przed sobą, sytuacja przedstawiała się nieco inaczej. Więc może faktycznie postępował jak patriota?

- No, dobra - ponaglił Boyd. - Do roboty.

- A co z moją sprawą? - zapytał Gillette, kiedy biochemicy wyszli już na korytarz.

Boyd przystanął i obejrzał się na niego.

- Daniel nie podał ci numeru telefonu do Marilyn McRae?

- Podał.
- No to zadzwoń do niej.
- Dzwoniłem, ale mam jeszcze sporo pytań dotyczących mojego ojca. Tamten lekceważąco machnął ręką w kierunku swojego podwładnego.

- Rozmawiaj z nim.

Gillette poprowadził Ganze'a do sąsiedniego pokoju.

- Umowa jest taka - zaczął pospiesznie tamten, zamknąwszy za sobą drzwi. - Nasze podejrzenia okazały się słuszne. Twój ojciec zginął przez to, że w Białym Domu uformowała się grupa dążąca do zabicia prezydenta Busha. W tamtym momencie spiskowcy byli przekonani, że Bush bez trudu po raz drugi wygra wybory. Oczywiście stało się inaczej, ale wśród nich nie było dobrej wróżki. W chwili zawiązania spisku prezydent cieszył się jeszcze olbrzymią popularnością.

- Skąd wiecie, że to właśnie ci ludzie doprowadzili do śmierci mego ojca?

- Na razie potwierdzają to informacje z dwóch źródeł. Po pierwsze, mamy zeznania człowieka, który był wtedy mechanikiem kontroli naziemnej na lotnisku Orange County. Miał służbę tego dnia, kiedy rozbił się samolot twojego ojca. Otóż twierdzi on, że wie, kto tak załatwił, żeby maszyna spadła na ziemię zaraz po starcie. Mam zamiar osobiście z nim porozmawiać za kilka dni.

- Chcę być obecny przy tej rozmowie. I usłyszeć to na własne uszy.

- Nie wiem, czy zdołam to zorganizować. Dam ci odpowiedź w tej sprawie w najbliższym czasie.

- Zawsze każesz mi czekać na swoje decyzje.

Ganze spuścił głowę.

- Zrozum, Christianie, że to skomplikowana sprawa. Mam nadzieję, że potrafisz to zrozumieć.

- A co to za drugie źródło? - zapytał ostrzejszym tonem Gillette.

- Człowiek, który w tamtym czasie służył w Secret Service. I w tym wypadku sytuacja jest bardzo podobna. Przy innej okazji dowiedzieliśmy się od niego, że było paru agentów ochrony zaangażowanych w plan zabicia prezydenta. Do niego też powinienem dotrzeć w najbliższych tygodniach.

- Czemu dopiero w najbliższych tygodniach?

- Takie sprawy wymagają czasu. Ludzie nie chcą tak od razu dzielić się tego rodzaju informacjami. Trzeba z nimi negocjować.

- Jeżeli agenci ochrony należeli do spisku, powinni się znaleźć w więzieniu. Sprawdź to.

Ganze pokręcił głową.

- Nic z tego. Nie znaleziono żadnych dowodów, na podstawie których można by osądzić tych ludzi. Nic nie wskazywało na istnienie spisku, nie licząc plotek. Dlatego agentów po prostu przydzielono do innych zadań, przeniesiono z Białego Domu. Teraz trudno nawet powiedzieć, czy wszyscy przeniesieni byli winni. Sam widzisz, że sprawa nie jest taka prosta, jak obaj byśmy sobie życzyli. Prawdopodobnie nigdy nie zostanie do końca wyjaśniona, zwłaszcza że minęło już szesnaście lat.

Gillette'a ogarnęło zniechęcenie. Przez tyle lat żył z podejrzeniami, że ojciec został zwyczajnie zabity, lecz rzeczywistość może była jeszcze gorsza. Bo teraz już wiedział, że toczyła się jakaś nieczysta gra, nie wiedział jednak, czy będzie jeszcze kogo obarczyć za to odpowiedzialnością. Nadal nie miał przeciw komu skierować złości.

- Wiem, że chciałbyś jak najszybciej uzyskać odpowiedzi na nurtujące cię pytania - ciągnął Ganze - ale musisz być cierpliwy. Na razie, a może już na zawsze, powinieneś pocieszać się myślą, że śmierć twojego ojca prawdopodobnie ocaliła życie prezydentowi. Podejrzewamy, że tuż przed katastrofą, a może jeszcze z samego rana tamtego dnia, zdążył się skontaktować telefonicznie z kimś z Białego Domu. Wygląda więc na to, że uchronił prezydenta przed niechybną śmiercią. Twój ojciec to bohater.

Rozdział 17

- Chris!

Gillette przystanął u wejścia do lobby biura Everestu i obejrzał się. Faraday cwałował za nim korytarzem, sapiąc jak stara lokomotywa.

- Dokąd idziesz?

- Na dół, coś zjeść - odparł Gillette. Dopiero dochodziła druga po południu. Zaledwie przed godziną wrócili z Minnesoty. - A o co chodzi?

- Idziesz bez ochrony? - zdziwił się głośno Anglik.

Gillette rozejrzył się pospiesznie, żeby sprawdzić, czy w pobliżu nikogo nie ma.

- Chciałem zabrać tego agenta sprzed drzwi.

Faraday się skrzywił.

- I zostawić recepcję niestrzeżoną?

- Wychodzę tylko na kilka minut. - Popatrzył Anglikowi prosto w oczy, próbując dostrzec w nich przyczynę niezwykłego zaniepokojenia. - O co chodzi?

- Derrick Walker w pierwszej sali konferencyjnej rozmawia przez telefon z FBI. Prosił, żebyś tam zaraz przyszedł. Być może zyskali jakieś nowe informacje na temat Stilesa.

- Już idę.

Kiedy obaj weszli do sali, Walker stał pochylony przy głośniczku głośnomówiącego telefonu z rękoma skrzyżowanymi na swojej imponującej klatce piersiowej.

- Zamknij drzwi, Nigel - polecił ostro. - George? - zawołał głośniej, gdy Anglik posłusznie wykonał jego polecenie. - Jest już ze mną Christian Gillette.

- Christian?

- Tak, słucham.

- Mówi agent specjalny George Butler - odezwał się tamten z silnym akcentem południowca. - Dzwonię z tutejszej centrali FBI przy Federal Plaza dwadzieścia sześć na Manhattanie. Chciałem przekazać pewne informacje, które powinny pana zainteresować.

- Mam nadzieję, że dotyczą one Quentina Stilesa. - Walker mówił mu, że w sprawie zaginionego szefa nawiązał kontakt z agentem Butle-rem, który ściśle współpracuje z miejscową policją. - Czekam na nie z niecierpliwością.

- Niestety, nie - odparł tamten. - Ale i tak powinny uwolnić pana od bezsenności.

- Słucham.

- Jesteśmy przekonani, że Tom McGuire nie żyje.

Walker odebrał to z kamienną miną, ale Faraday bezgłośnie wykonał gest triumfu.

- Z czego wynika to przekonanie?

Butler się zawahał.

- Oczywiście nie mamy pewności, powiedziałbym jednak, że na tym etapie wiadomość ta została potwierdzona na dziewięćdziesiąt pięć procent.

Gillette przysunął od szczytu stołu swoje krzesło, z którego prowadził wszystkie zebrania kierownictwa firmy. Rzeczywiście odebrał to tak, jakby ktoś zdjął mu z ramion ciężki gład.

- Mamy swoich informatorów w każdej liczącej się rodzinie mafijnej - wyjaśnił Butler. - Najczęściej to zwykli *soldatti*, ale zdarzają się też wyżej postawieni członkowie rodzin. Wczoraj po południu nawiązaliśmy kontakt z jednym z takich ludzi. Powiedział nam, że McGuire został usunięty. Wszystko wskazuje na to, że wpakowali go na kuter rybacki, wypłynęli ze czterdzieści mil od wybrzeża Jersey i tam wyrzucili za burtę. Nasz człowiek nigdy dotąd nie kłamał w takich sprawach.

- Dlaczego mafia miałyby zabijać Toma McGuire'a? - zdziwił się Gillette.

- Z zemsty. Sprawa sięga dalekiej przeszłości, kiedy McGuire był jeszcze agentem FBI w Bostonie. Uniemożliwił wtedy przerzut dużej ilości narkotyków.

- Przecież FBI bardzo często przechwytuje szmuglowane przez mafię narkotyki - wtrącił Walker. - Czemu tamta sprawa aż tak bardzo zalaża mafiosom za skórę?

- No właśnie - dodał Gillette. - I dlaczego tak długo zwlekali z wykonaniem wyroku?

- Dobre pytanie - odparł Butler. - Otóż w trakcie operacji w Bostonie McGuire zabił brata faceta, który obecnie jest donem jednej z najważniejszych rodzin. Krążyły plotki, że nie stało się to podczas strzelaniny ani w samoobronie. Podobno McGuire namierzył tamtego w toalecie i zaczął go torturować, żeby wyciągnąć od niego zeznania, i obciął mu nawet kilka palców. A gdy bandyta wciąż nie chciał gadać, zaczął go podtapiać w klozecie. No i zrobił to o jeden raz za dużo.

- To dlatego zepchnęli McGuire'a za burtę na morzu - rzekł Walker. - Chcieli mu zadać taką samą śmierć, jaką on zadał bratu mafijnego bossa.

- Pewnie, oko za oko - przyznał Butler. - To jeszcze nie wszystko. Wczoraj żona McGuire'a, wracając z zakupów, znalazła na schodach domu pudełko po butach. Zajrzała do środka, a tam była odcięta męska dłoń, prawa, ze ślubną obrączką na palcu. Kiedy sanitariusze ją docucili, powiedziała, że na podstawie inskrypcji rozpoznała obrączkę męża.

- Nadal nie rozumiem, czemu tak długo zwlekali z wykonaniem tego wyroku - powiedział Walker.

- Ten facet, który jest obecnie donem rodziny, w chwili śmierci swojego brata niewiele jeszcze miał do powiedzenia - odparł agent FBI. - Poza tym McGuire bardzo się pilnował. Nie ruszał się na krok bez obstawy.

- To prawda - przyznał Gillette.

- Twoi ludzie nie mogli wpaść na jego trop, George - rzekł Walker. - Jakim cudem mafii udało się go odnaleźć?

- Czy to nie ty nas poinformowałeś, że zaangażował brooklyński gang o nazwie Fire, Derrick? Mówię o tych chłopakach, którzy w ubiegłym tygodniu na tyłach restauracji w Tribeca napadli Christiana i Stile-sa.

- Tak, ja.

- Więc może któryś z nich zaczął gadać, może zdradził mafii kryjówkę McGuire'a.

- Możliwe - burknął sceptycznie agent.

Gillette usiadł na krześle. Wszystko wskazywało na to, że Tom McGuire rzeczywiście nie żyje. Więc może w końcu mógł już zapomnieć o strachu i wrócić do normalnego życia?

- Jak się nazywał ten gangster, którego McGuire torturował w Bostonie? - zapytał.

- Tony Celino. Jego brat, Joe Celino, zwany powszechnie Dwudziestkądwójką, jest bossem rodziny Carbone.

Nie, przemknęło Christianowi przez myśl. Nie było jeszcze co marzyć o normalności.

Gillette szybkim krokiem ruszył Park Avenue do Grand Central Station. Skierował się do północnego wejścia stacji, minął ciąg barów i sklepików, po czym wskoczył na ruchome schody prowadzące w dół do głównej hali dworca. Tam natychmiast skręcił w prawo i po paru sekundach znalazł się na schodach ruchomych prowadzących do zachodniego wejścia. Znalazszy się z powrotem na górze, minął restaurację Michaela Jordana, stanął w drzwiach i zaczął się gorączkowo rozglądać po ulicy, wypatrując swojego człowieka. Nagle ktoś go lekko postukał w ramię. Obrócił się na pięcie. Przed nim stał agent QS Security.

- Wszystko załatwione, panie Gillette - rzekł, podając mu niewielką paczuszkę i sięgając do kieszeni po kluczyki od samochodu.

- Dzięki. - Łapczywie złapał paczuszkę i kluczyki. - Gdzie on stoi.

Ochroniarz wskazał czarnego cadillaca escalade stojącego nieopodal przy krawężniku. Zgodnie z jego życzeniem samochód miał przyciemnione szyby.

- Nie mówiłeś nikomu o naszym spotkaniu, prawda?

- Nie.

- Ani o tym, że zabrałeś to dla mnie? - Gillette wskazał paczuszkę.

- Oczywiście że nie.

Mimo wszystko w oczach agenta czał się lęk.

- O nic się nie martw.

- Nie chciałbym stracić pracy, panie Gillette. Chyba nie muszę mówić, jak Derrick by się wściekł, gdyby się o wszystkim dowiedział.

- To ja jestem waszym klientem i ja wam płacę.

- Owszem, ale wciąż pracuję u Derricka.

- Na pewno o niczym się nie dowie. A nawet, gdyby się dowiedział, nie zostawię mu złudzeń, że po prostu nie miałaś wyboru.

Tamten jeszcze przez chwilę przyglądał mu się uważnie.

- W porządku... Jeśli będzie pan jeszcze w stanie cokolwiek mu powiedzieć.

- Nie martw się, będę - zapewnił Gillette. - A teraz jedź na lotnisko LaGuardia i zadzwoń do mnie, gdy dotrzesz na miejsce.

- Proszę - zawołał Faraday, gdy rozległo się głośne pukanie do drzwi.

Do gabinetu weszła Allison, stanęła tuż za drzwiami i przez parę sekund spoglądała na niego w milczeniu.

- Czego chcesz? - zapytał ostro. Starał się odpowiedzieć na dziesiątki zaległych mejli i nie miał czasu na jałowe rozmowy.

- Nie wiesz, gdzie jest Christian? - zapytała, nie ruszając się spod drzwi.

Pokręcił głową.

- Nie. Dopiero co sam się przekonałem, że zniknął.
- Gdybyś z nim rozmawiał, przełącz go na mój aparat, dobrze?
- Nie lepiej, żebyś mu przekazał twoje pytanie?
- Nic z tego - odparła ostro. - Przełącz go, gdy skończysz z nim rozmawiać. Tylko nie zapomnij.

Popatrzył spod przymrużonych powiek, jak wychodziła na korytarz. Ani trochę jej nie ufał.

Doktor Davis - za pośrednictwem Cathy Dylan - zgodził się z nim spotkać tego popołudnia. Telefon komórkowy Gillette'a zadzwonił, gdy był on tuż za dziewiątym zjazdem z obwodnicy New Jersey, kierując się na południe, w stronę Richmond.

- Słucham.
- Tu Richard.

To był agent QS Security, z którym godzinę wcześniej spotkał się na Grand Central Station.

- Jesteś na miejscu? - zapytał.
- Tak.
- A twój kolega?
- Też już jest.
- Drzwi od kabiny pasażerskiej są zamknięte?
- Tak.
- W porządku. Daj mi pilota. Powiedz mu, że siedzę na swoim miejscu.

W słuchawce rozległy się jakieś szmery, doleciała stłumiona wymiana zdań, wreszcie odezwał się pilot:

- Słucham.
- Tu Christian.
- Tak, proszę pana.
- Lecimy do Chicago. Startuj.
- Zrozumiałem.

Gillette uśmiechnął się z satysfakcją, wyłączając aparat.

Wyraźnie słyszał w głosie pilota irytację z tego powodu, że kazano mu czekać do ostatniej chwili na poznanie celu podróży, ale nie dało się tego załatwić inaczej.

Chwilę później wybrał numer komórki innego agenta QS Security, który siedział w kabinie pilotów drugiego odrzutowca Everest. W kilku słowach poinstruował go, by kazał pilotowi lecieć do Atlanty.

Drzwi gabinetu zamknęły się z głośnym trzaskiem.

- O co chodzi, Danielu? - spytał ze zdumieniem Boyd na widok Gance'a.

- Odebrałem właśnie telefon od naszego mechanika z lotniska LaGuardia. Oba samoloty Everestu wystartowały niemal równocześnie.

- Oba naraz?

- Tak.

- Czyżby Gillette znów zaszantażował pilotów? - syknął Boyd ze złością. - Zmusza agentów QS Security, żeby stali w kiblu na baczność, kiedy się odlewają?

- Pewnie tak. Żaden z nich się dotąd nie odezwał.

- Aha. Namierzamy jednak oba samoloty?

- Oczywiście.

- Doskonale. - Boyd oparł się łokciami o brzeg biurka i ułożył brodę na splecionych dłoniach. - To dziwne, nie sądzisz? Dlaczego Gillette poderwał w powietrze obie maszyny równocześnie?

- Trudno powiedzieć.

- Pewnie leci w którejś z nich. Pozostaje zatem pytanie, co robi drugi samolot? Wypełnia jakieś konkretne zadanie, czy tylko leci dla niepoznaki? - Podniósł wzrok na Gance'a. - Istnieje niebezpieczeństwo, że wykryli nasze urządzenia namierzające?

- Jasne - odparł tamten. - Jeśli tylko wiedzieli, gdzie ich szukać.

- Gillette to szczwany lis. Mógł je zostawić na miejscu, żeby wprowadzić w błąd tego, który postanowił go śledzić.

- Albo żeby się przekonać, kto to zrobił.

Boyd pokiwał głową.

- Mam nadzieję, że zdążysz zaalarmować naszych ludzi w miejscu lądowania obu maszyn.

- Jestem bardzo wdzięczny, że zgodził się pan ze mną spotkać, doktorze Davis.

- Cała przyjemność po mojej stronie, Christianie.

- Jak się miewa ten chłopiec, którego pan operował w zeszłym tygodniu?

Davis uśmiechnął się serdecznie.

- Doskonale. Dziękuję, że pan o nim pamiętał. Wciąż leży na oddziale intensywnej opieki, ale rokowania są bardzo dobre. W każdym razie jest przytomny i komunikatywny.

- Bardzo się cieszę. Dokonuje pan prawdziwych cudów.

- Proszę mnie nie wprawiać w zakłopotanie. - Davis uśmiechnął się jeszcze szerzej. - Jak rozumiem, wrócił pan na bardziej zaawansowany kurs dotyczący nanotechnologii? Mogę go panu udzielić, lecz uprzedzam, musi pan poszukać sobie innego wykładowcy do kursu specjalistycznego.

Gillette zamyślił się nad odpowiedzią, gdyż miał właśnie zamiar wciągnąć Davisa do kręgu wtajemniczonych, a jeśli dobrze odczytał znaczące spojrzenia Boyda, które pochwycił zarówno w Waszyngtonie, jak i poprzedniego dnia w Minneapolis, wiązało się to z określonym ryzykiem.

- Kurs dla początkujących w pełni mnie zadowolił. Przyjechałem w nieco innej sprawie.

- Jakiej?

Zawahał się.

Davis pochylił się nad biurkiem, poskubał brodę, wreszcie zmarszczył brwi i rzekł:

- Podczas naszej poprzedniej rozmowy zapytałem, ile naprawdę wiesz, ale ty zbyłeś mnie ogólnikami, Christianie. Próbowaleś zamydlić oczy jakąś górnolotną gadką, która z założenia brzmiała fałszywie. Tym razem może spróbuj być ze mną szczerzy, synu.

Gillette podniósł wzrok, zaskoczony słowami doktora, ale jeszcze bardziej jego tonem. Davis starał się uchodzić za dżentelmena, ale nie potrafił ukryć zniecierpliwienia.

- W ubiegłym tygodniu powiedziałem, że rozmawiam z panem z powodu rysującej się okazji do inwestycji. To rzeczywiście nie było zgodne z prawdą...

- A więc?

- Czy potrafi pan zachować wyłącznie dla siebie to, co chcę powiedzieć? Nie powiedzieć o tym absolutnie nikomu?

Davis przez parę sekund przyglądał mu się uważnie.

- Zachowanie tajemnicy ma kolosalne znaczenie... dla dobra wielu ludzi - dodał Gillette. - Niemniej uważam, że mam panu do powiedzenia coś ciekawego, doktorze.

Davis rozchmurzył się stopniowo, wreszcie wolno skinął głową.

- Obiecuję trzymać gębę na kłódkę.

Równocześnie w jego oczach pojawiły się dziwne błyski, choć Gillette nie potrafił ocenić, czy są to przejawy lęku, czy tylko zainteresowania.

- Wezwali mnie na rozmowę ludzie z organizacji określanej skrótem GARD, z Rządowego Departamentu Badań Zaawansowanych. Może pan nie próbować szukać ich w Internecie, już to robiłem. Niczego tam nie ma.

- Czego chcieli? - zapytał półgłosem Davis.

- Czy słyszał pan o NAZPO, Agencji Naukowej Zaawansowanych Projektów Obronnych?

- Oczywiście. To instytucja, do której Departament Obrony przenosi

swoich najzdolniejszych ludzi. - Davis uśmiechnął się pobłaźliwie. - I wcale nie mówię tego ironicznie. Sam się uważam za naukowca tej klasy.

- Rozumiem. W każdym razie chodzi o pewien ich zespół, który od kilku lat prowadzi badania z zakresu nanotechniki i podobno jest już blisko dokonania wielkiego wyłomu.

Doktor powoli rozdziawił usta ze zdumienia.

- Mój Boże... Jesteś tego pewien?

- Nie - przyznał Gillette. - Niczego nie jestem pewien. Wiem tylko tyle, ile mi powiedział ich człowiek, który prowadzi GARD. A w każdym razie tak twierdzi. - W końcu rzeczywiście nie wiedział, czy Boyd naprawdę kieruje GARD i czy w ogóle istnieje taka instytucja. Opierał się wyłącznie na tym, co usłyszał od Boyda lub Ganze'a, a to przecież nie były sprawdzone informacje.

Davis ponownie zmarszczył brwi.

- Z jakiego powodu skontaktowali się z tobą ludzie z GARD?

- Pracują zapewne dla NAZPO - wyjaśnił - i zajmują się wszelkimi problemami, gdy tylko się pojawiają, gdy trzeba na przykład szybko załatać przeciek grożący naruszeniem zasad bezpieczeństwa, jakimi otoczone są wszystkie prace badawcze NAZPO.

- Do tego doszło? Powstały kłopoty z zachowaniem zasad bezpieczeństwa?

- Owszem. Pojawiło się niebezpieczeństwo...

- ...że jakaś organizacja terrorystyczna może zyskać dostęp do tej ultranowoczesnej technologii - wpadł mu w słowo Davis.

- Zgadza się. Skąd pan wiedział?

- Nie wiedziałem, domyśliłem się. - Doktor wzdrygnął się wyraźnie. - Gdyby tak się stało, najgroźniejsza broń biologiczna byłaby tyle warta, co dzida z epoki kamiennej. Terrorystom mającym dostęp do bionanotechniki potrzebny byłby już tylko skuteczny system jej rozpowszechniania, żeby zetrzeć z powierzchni ziemi miliony wrogów.

- Tego nie rozumiem - wtrącił Gillette. - Co pan ma na myśli? W jaki sposób mogliby uśmiercić miliony?

- W ubiegłym tygodniu opowiadałem, jak nanotechnika mogłaby ratować ludziom życie, jak mikroskopijni terminatorzy byłiby zaprogramowani do niszczenia komórek rakowych czy odbudowywania naczyń krwionośnych grożących wylewem krwi do mózgu. Pamiętasz?

- Oczywiście.

- No więc tych samych mikroskopijnych terminatorów można by bez trudu zaprogramować do niszczenia zdrowych komórek czy jakiegokolwiek innej działalności w ciele człowieka. Tylko aby osiągnąć znaczący skutek na masową skalę, trzeba by dysponować sposobem na szybkie wprowadzenie tych urządzeń do organizmów wielu ludzi bez ich wiedzy. Nie wystarczyłoby rozpylić je w powietrzu i spokojnie czekać, aż dostaną się komuś do płuc. To za mało wydajny sposób.

- A jaki byłby lepszy?

- Gdyby to ode mnie zależało, kupiłbym firmę branży farmaceutycznej i umieszczał te nanodiabełki w takich środkach, jak krople do nosa czy tabletki na przeziębienie. Albo kupiłbym firmę produkującą żywność lub napoje. W każdym razie skoncentrowałbym się na produkcji czegoś, co ludzie zużywają w dużych ilościach, a więc napojów gazowanych, kawy, herbatników i temu podobnych wyrobów.

Gillette popatrzył nad ramieniem doktora na okno wychodzące na rzekę James, gdy z jego pamięci wypłynął tamten obiad w towarzystwie Allison oraz Jacka Mitchella. Podstawowe produkty Veramaksu byłyby idealnymi nośnikami do rozpowszechniania „nanodiabełków”.

- Więc czego GARD chciała od ciebie? - zapytał Davis.

- Możliwości wykorzystania jednej z należących do nas firm do czasu ukończenia zagrożonego projektu badawczego.

- Jednej z waszych firm? - powtórzył doktor z naciskiem.

Gillette pobieżnie przybliżył chirurgowi, czym się zajmuje firma.

- W przeciwieństwie do GARD, o Evereście może pan poczytać w Internecie - zakończył.

- Nie omieszkam tego zrobić zaraz po twoim wyjściu - odrzekł Davis. - I przenieśli już swój zespół badawczy pod waszą przykrywkę?

Gillette chciał właśnie wyjaśnić gospodarzowi pojęcie przykrywki, ale ugryzł się w język.

- Tak, ulokowali go w Minneapolis, w filii jednej z naszych spółek. Dysponowała ona budynkiem, w którym pracowało zaledwie kilka osób. Kazałem więc ich przenieść, by zapewnić biochemikom miejsce do pracy. Spotkałem się z nimi wczoraj rano.

Davis w zamyśleniu postukał palcem w dolną wargę.

- Dlaczego mówisz mi to wszystko? - zapytał w końcu. - Czego ode mnie oczekujesz?

- Chciałbym, żeby dowiedział się pan, kim naprawdę są ci ludzie.

- Jacy ludzie?

- Biochemicy pracujący nad tajnym projektem - wyjaśnił.

- Jeśli dobrze pamiętam, spotkałeś się z nimi.

- To prawda, dlatego mogę panu podyktować nazwiska, jakimi się przedstawili. Chciałbym mieć pewność, że naprawdę są tymi naukowcami, za których się podają?

- Ostrożności nigdy za wiele, prawda?

- Jestem do tego zmuszony, doktorze.

- Sprytnie. Tylko powiedz mi jeszcze, Christianie, co się za tym kryje. Z jakiego powodu udostępniłeś tym ludziom budynek należący do jednej z twoich firm?

Gillette spodziewał się tego pytania.

- Wyłącznie z pobudek patriotycznych. Jeśli ten zespół naprawdę pracuje nad nanotechniką i jest bliski dokonania przełomu, poczuję się jak patriota, który pomaga załatać groźny przeciek w systemie bezpieczeństwa naszej ojczyzny. Najważniejsze osobistości w tych instytucjach

finansowych, które wzbogacają nasze fundusze inwestycyjne, z pewnością oczekiwałyby ode mnie takiej właśnie reakcji. Nie wątpię, że część z nich ma ścisłe kontakty ze środowiskami wywiadu, a w każdym razie mogę tak przypuszczać na podstawie tego, co słyszałem w ostatnich dniach. - Jeśli nawet nie było to prawdą, poczuł satysfakcję, że tego typu wyjaśnienia przychodzą mu gładko i bez skrupułów.

Davis pokiwał głową.

- Jak rozumiem, znalazłeś się w trudnej sytuacji.

- Owszem - przyznał Gillette, pozwalając sobie na głośne westchnienie. - Czy mogę zatem liczyć na pańską pomoc, doktorze?

Tamten odchylił się na oparcie krzesła.

- Wiem już, jakimi ty się kierowałeś pobudkami. Więc powiedz mi jeszcze, co ja miałbym z tego mieć?

Wright siedział w taksówce w śródmieściu Richmond, przed Centrum Medycznym Wirginii - w tej samej taksówce, którą prawie osiem godzin wcześniej zatrzymał przed Grand Central Station, po tym, jak Gillette usiadł za kierownicą czarnego cadillaca escalade i odjechał. Po drodze, w miarę upływu czasu i przyrostu liczby pokonanych kilometrów, był zmuszony oferować kierowcy coraz większe sumy i jeszcze zanim dotarli do Richmond, uzgodniona wysokość opłaty sięgnęła tysiąca dolarów i złotego roleksa Davida, przy czym taksówkarz już teraz stanowczo zażądał gotówki.

Wright musiał więc poszukać bankomatu, wyjąć z konta tysiąc dolarów i zapłacić za przejazd. Zadowolony kierowca od razu zafundował sobie podwójną kanapkę z serem i befsztykiem i spałaszował ją z apetytem, kiedy czekali na powrót Gillette'a do samochodu.

David popatrzył na swój telefon komórkowy i palmtopa, które leżały obok na siedzeniu, i uśmiechnął się chytrze. Z ich pomocą udało mu się

załatwić wszystkie sprawy służbowe tego dnia i nie przeoczyć ani jednej. Gromadzenie dokumentacji w sprawie Hush-Hush przebiegało bez kłopotu, upewnił się co do tego, rozmawiając kilkakrotnie z pracownikami Everestu przygotowującymi zestawienia liczbowe, a ponadto zdołał się umówić na spotkanie z przedstawicielem Zarządu Funduszu Emerytalnego Nauczycieli z Ohio. Christian powinien być zadowolony z tych rezultatów, nie mając przy tym, oczywiście, pojęcia, że przez cały dzień był śledzony.

Jadąc autostradą 1-95 na północ, w kierunku Waszyngtonu, Gillette bez przeszkód odebrał pocztę elektroniczną, a przeczytawszy ostatniego mejla, ze zniechęceniem pokręcił głową, gdyż ruch wcale nie zelżał i auta na wszystkich pasach poruszały się w żółtym tempie. Derrick Walker zameldował, że sprawdzanie nowego asystenta Allison zostało zakończone. Zgodnie z jej informacjami ostatnich kilka lat Hamid pracował w Citibanku, skąd odszedł z pozytywnymi referencjami.

Rzucił aparat na prawy fotel i sięgnął po paczuszkę, którą przekazał mu agent QS Security. Z szarej koperty wyłuskał niewielki plik zdjęć. Wszystkie przedstawiały Boyda i Ganze'a sfotografowanych poprzedniego dnia w Minneapolis przed budynkiem firmy Beezera Johnsona.

Po raz kolejny Gillette obrzucił spojrzeniem zapchaną autostradę, wracając myślami do Stilesa. Symboliczny pogrzeb miał się odbyć w niedzielę, babcia Stilesa poprosiła, by wygłosił mowę pożegnalną. W ciągu minionych dziesięciu miesięcy spotykał się z nią kilkakrotnie w szpitalu i zawiązała się między nimi nić przyjaźni. Babcia - która wychowywała Quentina, gdyż jego matka zmarła, gdy był małym chłopcem - czując się odpowiedzialna za niego, nakłoniła go do podjęcia służby w wojsku. Stiles zawsze powtarzał, że to właśnie ona uratowała go przed smutnym życiem bez perspektyw.

Zapiszczał telefon komórkowy. Dzwonił Walker.

- Halo.

- Gdzie jesteś? - zapytał ostro ochroniarz.

- Nie chcę o tym mówić przez telefon.

- Posłuchaj, muszę...

- Jak zjadę z autostrady, zadzwonię do ciebie z budki telefonicznej, zgoda?

- Tak, w porządku.

- Poza tym nie zapominaj, że McGuire nie żyje. Nic mi nie grozi.

- To właśnie jeden z powodów, dla których dzwonię.

- Tak?

- Badania DNA wykazały niezbitcie, że w pudełku rzeczywiście była jego dłoń.

- Na pewno był praworęczny, więc gdyby nawet jakimś cudem przeżył, miałby kłopot z tym, żeby do mnie strzelać.

- Bardzo śmieszne. Lepiej zrób sobie szybko postój, żebym mógł ci przekazać więcej szczegółów.

- Dobra. Zadzwonię, jak zajadę na stację, żeby zatankować.

Usłyszał stłumione przekleństwo Walkera.

- Odebrałeś mojego mejla w sprawie tego faceta, którego Allison Wallace chce zatrudnić? - zapytał szybko agent.

- Odebrałem.

- Przepraszam, że trwało to tak długo, ale wolałem wszystko dokładnie sprawdzić. Faraday reaguje na niego strasznie nerwowo.

- Sam ci to powiedział?

- I to nieraz.

- Jezu... - To źle wróżyło. Najmniej była im teraz potrzebna wizyta kontrolerów z inspekcji pracy, do której mogłoby dojść, gdyby Hamid uznał, że Anglik jest do niego uprzedzony. - Sądziś, że chłopak jest poza podejrzeniami?

Walker nie odpowiadał przez kilka sekund.

- Derrick? Jesteś tam?

- Nie podoba mi się jego postawa. Co gorsza, nie mogę się doliczyć w jego zyciorysie czterech miesięcy.

- Nie możesz się doliczyć czterech miesięcy? Jak mam to rozumieć?

- Pracował w Citibanku nieco ponad trzy lata, zanim Allison ściągnęła go do siebie. Wcześniej pracował krótko w instytucji o nazwie Pan Arab Bank, a dokładniej w jej nowojorskiej filii mieszczącej się tu, na Manhattanie.

- Jeśli się nie mylę, Allison mówiła, że przedtem studiował na Uniwersytecie Stanowym w Michigan.

- Zgadza się, pracę w Pan Arab podjął zaraz po uzyskaniu dyplomu. W każdym razie zrezygnował z niej w kwietniu, ale w Citibanku zaczął pracować dopiero w sierpniu.

- Nie pytałeś go, co robił przez te cztery miesiące?

- Owszem, pytałem dzisiaj rano.

- I co?

- Kiedy skończył mi wytykać niewłaściwy stosunek, powiedział, że wyruszył samotnie na objazd po Stanach Zjednoczonych, żeby zwiedzić parę ciekawych miejsc.

- Podróżował samotnie?

- Tak.

- Nie pytałeś go, gdzie był i co zwiedzał?

- O tym nie chciał rozmawiać. Znow zaczął mnie pouczać co do właściwego stosunku do pracowników biura. I jeszcze jedno.

- Tak?

- Jego rodzice nadal mieszkają w Iranie. Pracują w jakiejś instytucji rządowej.

Gillette aż zazgrzytał zębami. Może podejrzenia Faradaya były uzasadnione? Telefon zasygnalizował drugie połączenie.

- Przepraszam, ale muszę odebrać. Skontaktuję się z tobą później.
 - Uważaj na siebie.
 - Będę uważał. - Przełączył aparat. - Halo.
 - Christian? Mówi Percy Lundergard z Chatham.
 - Witaj, Percy.
 - Zorganizowałem to walne zebranie, o którym rozmawialiśmy. Ma rozstrzygnąć, czy będziesz mógł zbudować supermarket.
 - Kiedy się odbędzie?
 - W niedzielę wieczorem w sali gimnastycznej szkoły średniej.
 - Zostało niewiele czasu, żeby zachęcić do udziału w nim tych, którzy się wahają - mruknął Gillette. - Myślisz, że przyjdzie ich wystarczająco dużo?
 - Cała moja rodzina się tym zajęła i spisała świetnie. Na pewno przyjdzie mnóstwo ludzi.
 - Nawet w niedzielny wieczór?
- Lundergard zachichotał.
- Chyba nigdy nie mieszkałeś w małym miasteczku, prawda?
 - Zgadza się.
 - Zapowiada się społeczne wydarzenie miesiąca.

Joe Celino wrócił do Nowego Jorku, do swojego domu na Staten Island, i siedział teraz na werandzie wraz z Alem Scarpa. Rozmawiali o tym, jak pięknie prezentuje się stąd Manhattan skąpany w miękkim blasku popołudniowego słońca.

- Chyba zrobiłeś bardzo dobre wrażenie na Davidzie Wrightie - zauważył Scarpa. - Dziś rano złapał taksówkę pod Grand Central, żeby pojechać za Gillette'em aż do Richmond w Wirginii. Tak przynajmniej mówił mi Paul.

- Z kim Gillette spotkał się w Richmond?
- Z doktorem, specjalistą od neurochirurgii.

Celino obejrzał się szybko i obrzucił go ostrym spojrzeniem.

- Tak, wiem.

- Czy udało się wreszcie odnaleźć tego faceta, który sprzątnął Stile-sa? - zapytał boss. - Tego, który zaciągnął się do pomocy na jachcie Gil-lette'a?

Scarpa pokręcił głową.

- Nie.

- Nie?

- Stało się coś dziwnego, Joseph. Nikt go od tamtej pory nie widział. Scarpa wzruszył ramionami. - Najwyraźniej się przestraszył, że będzie musiał za to odpowiedzieć, i postanowił dać nogę.

- Przecież zapłaciliśmy mu tylko połowę?

- Może mu to wystarczyło.

Celino się skrzywił. Coraz bardziej nie podobała mu się ta sprawa.

- Odszukajcie łobuza - warknął groźnie. - Nic mnie nie obchodzi, ile to będzie kosztowało. Macie go odnaleźć.

- Co ty robisz?! - krzyknął Wright, łomocząc pięścią w pleksiglasową przegrodę oddzielającą go od kierowcy taksówki. Ten bowiem hamował, podczas gdy czarny Cadillac escalade zniknął w oddali. - Nie możemy stracić go z oczu!

- Nic na to nie poradzę! - zawołał przez ramię taksówkarz. - Silnik zdycha. Przeczuwałem, że nie powinienem brać aż tak długiego kursu.

- Jasna cholera! - syknął David, chwytając telefon komórkowy i wybierając numer.

Czarny wóz Gillette'a zniknął mu z oczu.

Na spotkanie byli umówieni w piętrowym garażu nad brzegiem Potomacu w Georgetown, w zachodniej części Waszyngtonu - poziom zero, przy windach, punktualnie o dziewiątej wieczorem. Gillette stał w cieniu swojego cadillaca już od pół godziny. W półmroku ledwie mógł

odczytać godzinę na zegarku. Minęło piętnaście po dziewiątej.

W drugim końcu garażu pojawił się biały sedan zjeżdżający z wyższego poziomu, zakręcił ostro i z włączonymi światłami ruszył w jego kierunku. Gillette cofnął się aż pod ścianę, spoglądając uważnie, jak kierowca wprowadza wóz na wolne miejsce, wyłącza silnik i wysiada.

Mężczyzna rozejrzał się uważnie, nim zamknął drzwi i wolnym krokiem podszedł do wind.

Z daleka przypominał Gordona Meade'a, prawnika, który towarzyszył Allison podczas pierwszej wizyty w biurze Everestu. Był wysoki i szczupły, nieco przygarbiony, prawdopodobnie po pięćdziesiątce. Kiedy przystanął metr od wejścia do windy, Gillette zauważył w jego ręku butelkę wody mineralnej, która miała być znakiem rozpoznawczym. Wyszedł więc z cienia i ruszył szybko w jego stronę.

Nawiązali kontakt wzrokowy, gdy tylko wyłonił się zza wysokiego cadillaca escalade, i nie spuszczała się z oczu, dopóki nie zatrzymał się na dwa kroki przed tamtym.

- Ted Casey? - zapytał. Mężczyzna skinął głową.

- Jak chcesz to załatwić?

- Nie rozumiem.

- Mamy tu stać na widoku czy może jednak wsiądziemy do mojej terenówki? - Gillette ruchem głowy wskazał wóz z wypożyczalni.

- Racja - mruknął Casey, obrzucając podejrzliwym wzrokiem przyziemione szyby cadillaca. - Lepiej wsiądźmy do środka.

Kiedy znaleźli się w samochodzie, Casey zaczął:

- Przejrzałem sobie waszą stronę internetową. Jesteście mocni, więksi od Apeksu.

- Zgadza się. Dzięki utworzeniu nowego funduszu.

- Ile w nim jest?

- Ponad dwadzieścia miliardów dolarów. Casey gwizdnął.

- Russell Hughes mówił, że chcecie przeznaczyć część tych pieniędzy na przejęcie Apeksu.

- To prawda.

- Ty będziesz kierował Apeksem, gdy go wykupicie? - zapytał tamten nerwowo.

- Tylko na początku. Po kilku tygodniach zamierzam przekazać firmę jednemu z moich wspólników, niejakiemu Davidowi Wrightowi. Tyle że Wright nie musi wiedzieć, czym Omega IT zajmuje się na Bliskim Wschodzie. W końcu pewnie i tak pozna prawdę, ale jeszcze nie teraz.

Casey z wyraźną ulgą przyjął te słowa.

- To dobrze. Musimy zachować jak najmniejszy krąg osób wtajemniczonych.

- Nie martwcie się. O waszych zadaniach prowadzonych przez Omega IT wiem tylko ja. - Urwał na chwilę. - Pracujesz w wydziale operacyjnym?

- Tak, jestem szpiegiem.

- Od jak dawna służysz w CIA?

- Od czasu, jak ukończyłem Yale trzydzieści pięć lat temu. Jak widzisz, nie jestem karierowiczem.

Gillette'a to ucieszyło, była bowiem spora szansa, że Casey będzie mógł odpowiedzieć na jego pytania.

- Jesteś odpowiedzialny także za inne przykrywki czy tylko za Omega IT?

Casey się zawahał.

- Nie, są jeszcze inne.

- Jakież?

- Tego nie mogę powiedzieć. - Agent wstawił butelkę wody mineralnej w uchwyt między fotelami. Nadal sprawiał wrażenie podenerwowanego. - O co chciałeś mnie zapytać, Christianie? - rzucił niecierpliwie.

- Znasz niejakiego Normana Boyda?

Tamten obrzucił go uważnym spojrzeniem.

- Może i znam. Czemu pytasz?

- Co możesz o nim powiedzieć?

Agent zbył to pytanie milczeniem.

- Zrozum, że jestem gotów dochować tajemnicy w sprawie Omega IT, ale proszę o odrobinę współpracy. Chcę być wobec was lojalny, lecz proszę o to samo. Jeśli wiesz coś na temat Normana Boyda, chciałbym to usłyszeć.

- Skąd znasz Boyda? - zaciekał się Casey.

- Zwrócił się do mnie o taką samą pomoc, jakiej udziela wam Russell Hughes i jakiej teraz oczekujecie ode mnie. Jeśli się nie mylę, Boyd wcześniej próbował także rozmawiać z Russellem, ale podobno to ty poradziłeś Russellowi, żeby trzymał się od niego z daleka. To prawda?

- Tak.

- Dlaczego tak mu poradziłeś?

- Boyd pracuje w wywiadzie Departamentu Obrony. Siedzi tam już od bardzo dawna i ma wielu dobrych znajomych wśród ważnych postaci z Pentagonu, zwłaszcza w tej frakcji, która chętnie by widziała wywiad wojskowy na miejscu CIA w rezultacie toczącej się wojny agencji wywiadowczych - westchnął ciężko. - Bo może słyszałeś, że toczą się poważne przepychanki na samej górze. Irak, zamachy wrześnie i Osama bin Laden wyrócili do góry nogami istniejący porządek rzeczy. Zaprowadził chaos. Nikt nie wie, czym się to skończy. Na pewno spadną jakieś głowy, a do głosu dojdą nowi ludzie.

- Coś słyszałem na ten temat, lecz nie za dużo - przyznał Gillette.

- No więc Boyd jest świętą krową w centrali wywiadu wojskowego. Zawsze się wkręca do grupy kierującej najważniejszymi i najściślej tajnymi projektami. Działa bardzo agresywnie i łapie dla Pentagonu wszystko, co tylko się da. W CIA respektujemy takie działania, to całkiem naturalne. Ale ponadto jest odszczepieńcem. Uważa, że stoi ponad

prawem, że może stosować chwyt poniżej pasa, bo jest starszy. A z tym już trudno się pogodzić.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - Gillette zwrócił uwagę na rosnące podenerwowanie agenta. - Co takiego zrobił?

Casey się skrzywił.

- Jego ludzie posunęli się za daleko w stosunku do jednego z naszych ważnych przyjaciół, człowieka, który pomagał nam od wielu lat.

- Co to znaczy, że posunęli się za daleko?

- Zamordowali go. - Tamten szybko podniósł rękę. - Tylko nie zrozum mnie źle, ten gość nie był aniołem. Mimo wszystko nie zasłużył na śmierć, która poważnie nadszarpnęła naszą reputację.

Zatem ludzie Boyda byli zwykłymi rzeźmieszkami.

- Przesłuchiwali go i posunęli się zdecydowanie za daleko - dodał Casey.

- Czy ten człowiek był ci bliski?

- Nie, nie byłem jego łącznikiem. Zresztą pamiętaj, że nie słyszałeś tego wszystkiego ode mnie - dodał ostro. - Nigdy się nie przyznam, że w ogóle z tobą rozmawiałem. Zaprzeczę, że kiedykolwiek się spotkaliśmy. Tak czy inaczej, znasz już powód, dla którego radziłem Hughesowi trzymać się z daleka od Boyda. Z mojego punktu widzenia to szalenie.

Jego wyjaśnienia brzmiały wystarczająco wiarygodnie, był jednak agentem CIA. Czy można było mu wierzyć?

- Masz jakieś zastrzeżenia co do lojalności Boyda wobec rządu Stanów Zjednoczonych?

- Nie - odparł stanowczo Casey. - Podejrzewam, że nawet będzie krwawił na czerwono, biało i granatowo. Ale jest jedna niepokojąca rzecz, jaką o nim słyszałem - dodał zdecydowanie ciszej.

- Jaka?

- Podobno bardzo się troszczy o własną kasę robioną na boku, przy okazji rządowych projektów. Najwyraźniej uważa, że dość się poświęcał

przez te wszystkie lata i teraz pragnie wreszcie coś z tego mieć. Coś znaczącego. - Casey prychnął pogardliwie. - Bo i kto z nas by nie chciał? - Wyjął butelkę wody mineralnej z uchwytu między fotelami. - Pojawiły się plotki, że próbował ostatnio przenieść jakąś część jednego z projektów do sektora prywatnego, żeby potem to sprzedać i nieźle się obłowić. Ale w tej sprawie nie znam żadnych konkretów.

Rozdział 18

- Chris! - doleciał z interkomu nieco zniekształcony głos Debbie.

Gillette siedział za biurkiem i przecierał zaczerwienione oczy. Ostatniej nocy przespał jedynie dwie godziny. Po spotkaniu z Tedem Caseyem w Waszyngtonie natknął się jeszcze na remontowany fragment obwodnicy w Jersey i musiał nadrobić objazdem aż dwadzieścia kilometrów. Dotarł do swojego mieszkania dopiero o trzeciej nad ranem, zaledwie przed czterema godzinami.

- O co chodzi? - spytał zachrypniętym głosem.

- Nigel chce się z tobą zobaczyć.

- Niech wejdzie.

- Od kiedy to muszę zapowiadać swoje wizyty? - warknął ze złością Anglik, ledwie wszedł do gabinetu.

- Uspokój się.

- Gdzie wczoraj byłeś?

- Poza miastem.

- Nie wygłupiaj się, Chris. Powinienem wiedzieć, gdzie...

- Czego chcesz?

Faraday stanął na środku pokoju i oparł ręce na biodrach, jakby ledwie mógł nad sobą zapanować.

- Muszę ci coś powiedzieć.

- Słucham.

- Chodzi o Allison.

Gillette spojrział na niego spod przymrużonych powiek.

- Wczoraj znów wydzwaniała do naszych inwestorów i próbowała się z nimi bratać - syknął Faraday. - Mówią, że można było odnieść

wrażenie, iż to ona zarządza Everestem. Albo w najbliższym czasie obejmie stanowisko prezesa.

- Porozmawiam z nią. - Gillette bardzo chciał wierzyć, że chodziło tylko o błąd nadmiaru entuzjazmu. - Jest młoda i bardzo agresywna, podobnie jak David. To chyba wszystko.

- Ja jej nie ufam.

- Wiem.

- Wczoraj o mało nie dostała szału, gdy bezskutecznie próbowała się z tobą skontaktować.

O tym już wiedział. Nagrała aż pięć wiadomości na jego automatycznej sekretarce.

- Nawiasem mówiąc, dotarłem do ciekawych informacji związanych z naszym zakupem przywilejów budowlanych NFL i zwycięstwem w przetargu - dodał Faraday.

Gillette nie mógł przestać myśleć o swoich planach podróży na zachód, o czekającym go spotkaniu najpierw z Marilyn, a potem z Laną.

- Co to za informacje?

- Nasza oferta wcale nie była najwyższa. - Faraday zawiesił na chwilę głos. - Była dużo mniej korzystna od najwyższej.

Na swój sposób Gillette'a wcale to nie zaskoczyło. Ale zwrócił uwagę na określenie „dużo mniej korzystna”.

- O ile wyższa była ta najkorzystniejsza? - zapytał.

- O pięćdziesiąt milionów.

Z jego wspomnień wypłynął obiad z Kurtem Landrym. Miał wtedy dziwne odczucia co do przebiegu całej rozmowy z przedstawicielem NFL.

- Ktoś był gotów wyłożyć aż pięćset milionów, a oni zlekceważyli taką ofertę?

- Zgadza się.

- Jak się o tym dowiedziałeś?

- Wyćwierkał mi to mały ptaszek.

- Nigel, muszę to wiedzieć.

- Naprawdę nie mogę zdradzić źródła informacji, ale jest wiarygodne. To bankier inwestycyjny, starszy doradca zespołu, który szykował ofertę dla pewnej bardzo bogatej rodziny. Nie tak bogatej, jak Wallace'owie, ale niewiele im ustępującej.

- Powiedziałeś mu, na jaką sumę opiewała nasza oferta?

- Nie. - Faraday podszedł bliżej jego biurka. - Nie sądzisz, że to bardzo dziwne, Chris?

- Już to mówiłeś. - Przyszło mu na myśl, że nagle zaczęło się przytrafiać bardzo dużo dziwnych rzeczy.

- Chris - odezwała się ponownie Debbie przez interkom. - Tym razem Allison chce się z tobą widzieć.

Zerknął przelotnie na Faradaya.

- Chyba lepiej już sobie pójdę - Anglik zawrócił do drzwi.

- Niech wejdzie - polecił Gillette.

Faraday i Allison minęli się w wejściu, przywitawszy się sztywnym skinieniem głowy.

- Dlaczego nie oddzwoniłeś wczoraj wieczorem? - zapytała ostro.

Gillette uniósł na nią wzrok.

- A powinienem?

- Chciałam usłyszeć, jak ci minął dzień.

- Wróciłem do domu późno. Bardzo późno.

Allison ciężko klapnęła na krzesło stojące naprzeciwko biurka.

- No więc mieszkam już piętro wyżej - oznajmiła z szerokim uśmiechem. - To powinno uszczęśliwić Faith.

Faith ciągle nie chciała nawet zadzwonić do niego. Problem polegał na tym, że teraz miała chyba rację. Raczej nie powinien był zapraszać Allison na jacht, kiedy ona przebywała w Londynie. Do niczego nie doszło, mógł sobie jednak wyobrazić, jakimi torami podąża jej wyobraźnia.

- Wprowadziłaś się wczoraj?

- Tak.

- Jak poszło?

- Jak po maśle. Tragarze wszystkim się zajęli. Zatem jesteśmy teraz sąsiadami.

Gillette wolał przemilczeć zastrzeżenia Faradaya, czuł jednak, że jest mu to winny.

- Wydzwaniałaś wczoraj do naszych inwestorów? - zapytał, próbując ocenić po jej minie, czy przeważy zdumienie, że tak szybko się dowiedział, czy też lęk, że będzie na nią zły. Spostrzegł jednak tylko tyle, że nie potrafiła ukryć zaskoczenia.

Ale nie odpowiedziała od razu.

- Tak - przyznała po chwili z ociąganiem. - I co z tego?

- Po co do nich dzwoniłaś?

- Żeby ich powiadomić, że dołączyłam do grona wspólników zarządu spółki - rzuciła nonszalancko, odzyskawszy panowanie nad sobą. - Nie sądziłam, że będziesz miał coś przeciwko temu.

- Zrób mi przysługę i w przyszłości uprzedź Nigela, zanim zrobisz coś podobnego. To jego działka, a jest bardzo wyczulony, by nikt mu na nią nie włąził w butach.

- Nie ma sprawy - odparła, unosząc wzrok do nieba. - Więc gdzie byłeś wczoraj wieczorem?

- Nie spodoba ci się moja odpowiedź - mruknął. - Nikomu się nie podobają.

- Dlaczego?

- Bo nie mogę ci tego powiedzieć.

- Mam już po dziurki w nosie twoich tajemnic - syknęła. - Byłeś z Faith?

- Nie. A nawet gdybym z nią był, to też nie twój interes.

- Więc gdzie byłeś?! - Opanowała się i szybko uniosła obie ręce. - Tak, wiem. Wypadło ci coś bardzo ważnego. Nie rozumiesz, że naprawdę mam tego dość? - zapytała nieco głośniejszym głosem. - W końcu wpakowałam

kupę forsy w tę firmę, znalazłam bardzo korzystną inwestycję w Veramaksie i zaferowałam odkupienie Beezera Johnsona za bardzo atrakcyjną cenę. Pchnęłam tę firmę na same wyżyny, lecz wciąż nie dostaję niczego w zamian.

Gillette wstał.

- Naprawdę doceniam...
- Znowu byłeś w Richmond?

Nie odpowiedział.

Odrzuciła głowę do tyłu i warknęła gardłowo.

- Czy z tobą zawsze tak jest? Ciągłe tylko tajemnice i tajemnice?
- Niewykluczone.
- Czyżbym była idiotką, ładując aż tyle pieniędzy w Everest?

Chciał jej się zrewanżować jakąś błyskotliwą ciętą uwagą, lecz górę wzięła chęć zachowania dyskrecji.

- Mogę zaręczyć, że będziesz bardzo zadowolona z tej inwestycji.
- Czy przynajmniej umówiłeś się na spotkanie z tym facetem z Federalnej Komisji Leków? - rzuciła ze złością. - Jack Mitchell znów do mnie wczoraj dzwonił.

Gillette przytaknął ruchem głowy, z satysfakcją spoglądając na jej zdziwioną minę.

- Spotkam się z Rothchildem w Waszyngtonie za dwa tygodnie od jutra. Czy Mitchell wysłał już do niego list z przeprosinami?

- Nie wiem, ale...

- To się dowiedz, a kiedy już będziesz z nim rozmawiać, upewnij się, że zrobi wszystko, żeby Rothchild zdobył członkostwo Racquet Club. Musi dotrzymać danego nam słowa. Chcę ponadto zadzwonić do mojego znajomego, który zasiada w komisji kwalifikacyjnej klubu, żeby sprawdzić, czy Mitchell coś zrobił w tej sprawie. Jeśli nie podjął jeszcze żadnych działań, powiedz mu, żeby się pośpieszył.

- Zaraz do niego zadzwonię - odparła, podnosząc się z krzesła.
- Doskonale. I jeszcze jedno, Allison.
- Tak? - spytała, odwracając się do niego.

- Nie widziałem dotąd analizy spółki Beezera Johnsona. Tej, która by wskazywała jasno, jak bardzo korzystna byłaby fuzja tego przedsiębiorstwa z firmą będącą już własnością twojej rodziny.

- Zaraz ci ją podrzucę.

Gdy tylko Allison wyszła, o spotkanie poprosił David Wright.

Wkroczył do gabinetu, ściskając pod pachą dwa egzemplarze prezentacji firmy Hush-Hush oraz krótkie sprawozdanie z wykonanych do tej pory analiz stanu spółki.

- Zaczekaj tam - rzekł Gillette, zakrywając dłonią mikrofon słuchawki i wskazując mu kanapę przy stoliku kawiarnianym. - Zaraz skończę.

Zanim Wright zdążył rozłożyć na stoliku przyniesione materiały, skończył rozmowę, przysiadł się do niego i przez kilka minut wspólnie przeglądali zestawienia liczbowe.

- Czy Cathy uporała się już z analizą wrażliwości zysku wyjściowego? - zapytał Gillette, spoglądając z uwagą na przewidywane wysokości obrotów i zysków spółki.

- Cały czas nad tym ślęczy.

- Chciałbym wiedzieć, ile zdołalibyśmy wyciągnąć, gdyby nie udało się szybko odsprzedać Hush-Hush Francuzom, gdybyśmy musieli przez jakiś czas poprowadzić firmę.

Wright wstał z kanapy i ruszył w kierunku jego biurka.

- Dokąd idziesz?

- Po kalkulator, żebyśmy mogli dokonać wstępnych obliczeń - odparł. - Jest w górnej szufladzie, prawda?

- Tak - odparł Gillette, zwracając uwagę, że tamten zostawił swój portfel na stoliku, przy teczkach z prezentacją Hush-Hush. Wystawał z niego brzeg znajomo wyglądającego pokwitowania albo biletu. - Mogę cię jeszcze o coś prosić, nim przyniesiesz kalkulator? - zapytał. - Zapytaj Debbie, czy nie ma mojego terminarza. Zdaje się, że wczoraj zostawiłem go u niej. Chciałbym przejrzeć razem z tobą spotkania zaplanowane na przyszły tydzień.

- Jasne.

Kiedy Wright wyszedł z gabinetu, Gillette szybko wyciągnął skrawek papieru z jego portfela. Było to pokwitowanie opłaty za wjazd na obwodnicę New Jersey. Spojrzał na datę. Wczorajsza.

Po zakończeniu przeglądania materiałów Davida zastukał do drzwi gabinetu Cathy Dylan.

- Cathy. - Debbie przekazała mu wiadomość od niej. - O co chodzi?

Szybkim ruchem ręki dała mu znak, żeby wszedł do środka i zamknął drzwi.

- Rozmawiałam z doktorem Davisem. Powiedział, że musi się z tobą skontaktować jak najprędzej. Podobno ma jakąś sprawę niecierpiącą zwłoki.

Gillette popatrzył na nią z uwagą.

- Nie mów o tym nikomu ani słowa, dobrze?

- Jasne. Wiem.

Ruszył do wyjścia, ale zaraz przystanął.

- Możesz coś jeszcze dla mnie zrobić? - Odniósł wrażenie, że po raz pierwszy dostrzegł w jej oczach lęk. - Sprawdź w Internecie, czy w ciągu paru ostatnich tygodni nie rozbił się jakiś mały prywatny samolot w zachodniej Pensylwanii.

- Doktor Davis?

- Christian? Bardzo się cieszę, że odpowiedziałeś tak szybko.

Gillette stał w ciasnej budce telefonicznej w lobby hotelu Intercontinental.

- Cathy mówiła, że ma pan jakąś sprawę niecierpiącą zwłoki.

- Usiłowałem dowiedzieć się czegoś o tych ludziach, których nazwiska mi podałeś. Nic z tego. Nikt ich nie zna, co wydaje się bardzo dziwne. Miałeś rację, że społeczność naukowców pracujących nad nanotechniką nie jest jeszcze tak liczna. Też sądziłem, że ktoś powinien rozpoznać przynajmniej jedno z tych nazwisk. W końcu każdy ma znajomych, nie studiował przecież sam.

Gillette był mu niezwykle wdzięczny za ten wywiad, gdyż potwierdzało to jego podejrzenia, że Boyd nie należy do ludzi, którzy będą się chętnie dzielili jakimikolwiek informacjami.

- Bardzo dziękuję. Jestem panu niezmiernie wdzięczny za pomoc.

- Nie spiesz się. To nie jedyny powód, dla którego zadzwoniłem.

Ożywił się nagle.

- Więc to nie wszystko?

- Może nie ma to żadnego znaczenie, Christianie, ale nigdy nic nie wiadomo.

- Słucham.

- Sprawdzając podane przez ciebie nazwiska, zadzwoniłem między innymi do Nathaniela Pete'a. Nate mieszka i pracuje w Bostonie, świetnie zna całą tę bandę z Cambridge. Też jest biochemikiem, robił dyplom na Harvardzie i doskonale się orientuje w sprawach nanotechniki. Sam mógłby pokierować którymś z tych ściśle tajnych rządowych projektów badawczych, gdyby był trochę mniej ekscentryczny. Ma fantastyczny dorobek naukowy, ale nie przeszedłby nawet wstępnej weryfikacji. Wygląda jak żywy relik z lat sześćdziesiątych. Długie włosy, pstrokate ciuchy. Dla decydentów nie jest człowiekiem godnym zaufania. Ale możesz mi wierzyć, że to prawdziwy geniusz.

- I co powiedział?

- Że wczoraj dzwoniła do niego żona przyjaciela, zmartwiona i zaniepokojona. Jej mąż od dwóch lat pracował podobno nad jakimś ściśle tajnym projektem rządowym i nagle zniknął bez śladu. Powiedział jej tylko, że musi wyjechać i nie wie, jak długo go nie będzie. Twierdzi, że rozmawiali przez telefon tylko dwie minuty, i wszelki kontakt się urwał. Od tamtej pory ani go nie widziała, ani nie miała od niego żadnej wiadomości.

- Jak ten człowiek się nazywa, doktorze?

- Matt Lee.

- Gillette, on zniknął! - wykrzyknął Wright do słuchawki. - Nie mam

najmniejszego pojęcia, gdzie go szukać!

- Uspokój się, Davey.

- Nic nie mogę zrobić, a nie chcę, żeby nabrał podejrzeń. W końcu nie mogę cały czas za nim jeździć.

- Spokojnie, bez nerwów. Świetnie to wiemy.

Wright z trudem przełknął ślinę.

- Chodzi o to, że... Chryste, specjalnie dla was pojechałem za nim wczoraj taksówką aż do Richmond.

- Doceniamy to. Mam na myśli zwłaszcza tego człowieka, z którym rozmawiałeś w Las Vegas. Prosił, abym ci przekazał jego podziękowania. Doskonale się spisales.

David odetchnął z ulgą. Jego wyobraźnia ciągle podsuwała mu koszmarnie perspektywy. A to ginął, zastrzelony na ulicy, a to znów bandyci porywali mu żonę. Mimo woli widział przyszłość wyłącznie w czarnych barwach.

- Davey?

- Tak, proszę pana?

- Od tej pory nie musisz sobie zawracać głowy śledzeniem każdego kroku swojego szefa. Wystarczy, że nadal będziesz jego przyjacielem, kimś bardzo bliskim, kogo może obdarzyć pełnym zaufaniem.

Wright westchnął po raz kolejny. Tyle mogę zrobić bez trudu, pomyślał.

Tymczasem Gillette pędził autostradą I-95 na północ, w kierunku Bostonu, gdzie mieszkał Matt Lee. Poprosił Davisa, aby ten zadzwonił do żony biochemika, Mary, i uprzedził ją o jego wizycie.

Zabrzączał telefon komórkowy.

- Halo.

- Christian, tu Cathy.

- Cześć.

- W ciągu ostatnich dwóch tygodni w zachodniej Pensylwanii rozbił

się tylko jeden samolot. Spał na ziemię około trzydziestu kilometrów na północ od Pittsburgha w ubiegłą środę.

- Były ofiary śmiertelne?

- Tylko jedna - odparła z ociąganiem, najwyraźniej czytając artykuł prasowy ściągnięty z Internetu. - Cztery osoby znajdujące się na pokładzie wyszły z katastrofy cało, potłuczone i połamane, ale w niezłym stanie. Wszystko wskazuje na to, że jedyna ofiara wypadła z samolotu jeszcze na znacznej wysokości i zginęła od upadku na ziemię.

- Kto to był?

- Jakiś kierownik wydziału w banku Three River. Wszyscy obecni na pokładzie byli pracownikami tego banku.

Three River miał swoją siedzibę w Pittsburghu. Należało wykluczyć, by ta katastrofa miała cokolwiek wspólnego z działalnością Boyda.

- To wszystko?

- Tak.

- Dzięki. Zadzwoń do ciebie później.

Popatrzył we wsteczne lusterko, odkładając telefon komórkowy. W biurze, zanim wyszedł, upewnił się, że Wright jest na zebraniu za zamkniętymi drzwiami sali konferencyjnej - co, rzecz jasna, nie oznaczało jeszcze, że nikt nie będzie go śledził. Dlatego jadąc przez Manhattan, wykonał kilka gwałtownych skrętów, ale wyglądało na to, że nie jest śledzony.

Załadował płytę do odtwarzacza kompaktowego w nadziei, że muzyka go rozluźni, ale poczuł się tylko jeszcze bardziej podminowany. Zaczął więc kolejno przywoływać z pamięci ostatnie wydarzenia. Przyszło mu na myśl, że będzie musiał poczekać aż do poniedziałku, żeby zapytać Wrighta, co robił na obwodnicy Jersey. Jeszcze tego popołudnia miał lecieć na Zachodnie Wybrzeże, nazajutrz czekał go symboliczny pogrzeb Stilesa, a zaraz po nim musiał jechać do Chatham na walne zebranie mieszkańców. Poza tym Wright zaraz po pogrzebie wyjeżdżał z żoną poza miasto na resztę weekendu. Zatem dopiero w poniedziałek mógł z nim porozmawiać w cztery oczy. A nie mógł się doczekać wyjaśnień

Davida. Liczby wybite na pokwitowaniu wskazywały wyraźnie, że obaj wjechali na autostradę mniej więcej w tym samym czasie, korzystając w dodatku z tej samej bramki.

Popołudniowe słońce przyjemnie rozmywało błękit bezchmurnego nieba, kiedy zatrzymał samochód przed nierzucającym się w oczy domkiem w Concord, w stanie Massachusetts, miasteczku osiedli mieszkalnych położonym na obrzeżu Bostonu. Dopiero tutaj przez telefon komórkowy wezwał na miejscowe lotnisko większy z dwóch odrzutowców należących do Everestu, wykorzystując tę samą metodę, co poprzednio. Telefon odebrał agent QS Security siedzący w kabinie maszyny, który przekazał pilotowi cel podróży. Teraz już nie musiał się martwić, że ktoś nabierze podejrzeń co do celu jego wizyty w Bostonie, gdy maszyna wylądaje na lotnisku Logana. Nie wierzył, by ktoś po fakcie dokopał się tego, że rozmawiał tu z Mary Lee. Nie musiał się też martwić, że ktoś odkryje, iż wybiera się na Zachodnie Wybrzeże. Ta podróż była czysto prywatna, nie miała nic wspólnego z interesami. Zatem nikt nie powinien się nią interesować.

Kiedy skończył przekazywać instrukcje dla pilota, wsunął telefon komórkowy do kieszeni i ruszył betonowym chodnikiem w kierunku frontowego wejścia dość nowoczesnego z wyglądu, piętrowego domu jednorodzinne. Zapukał do drzwi, ale przez jakiś czas nikt nie odpowiadał. Spojrzał na zegarek, była pierwsza po południu. Dokładnie na tę godzinę Davis miał zapowiedzieć Mary Lee jego wizytę. Zapukał jeszcze raz, łudząc się nadzieją, że jego przyjazd do Bostonu nie był zwykłą stratą czasu.

Wreszcie drzwi się nieco uchyliły i na dwór wyjrzała kobieta o azjatyckich rysach, sprawiająca wrażenie przestraszonej. W szparze ukazała się tylko jej twarz, reszta sylwetki pozostała ukryta za drzwiami.

- Pani Lee?

Ledwie zauważalnie skinęła głową.

- Nazywam się Christian Gillette. Doktor Davis miał panią uprzedzić o mojej wizycie. Zgodnie z sugestiami Nathaniela Pete'a.

Ponownie lekko skinęła głową.

- Czy doktor Davis wyjaśnił pani, kim jestem?

- Tak. - Głos miała równie zaleźniony, jak minę i ledwie głośniejszy od szeptu.

- Czy ma pani połączenie z Internetem? - zapytał.

- Tak.

- Więc może się podłączyć i sprawdzić moje dane. Mam własną stronę internetową, na której jest moje zdjęcie. Zaczekam tutaj, dopóki pani tego nie zrobi. Mój adres sieciowy to...

- Już zaglądałam do Internetu - przerwała mu. - I dzwoniłam do kilku przyjaciół, którzy znają ludzi z Wall Street. Potwierdzili pańską tożsamość.

- Bardzo się cieszę.

Otworzyła szerzej drzwi.

- Proszę wejść. Mam na imię Mary.

- Dziękuję. - Wkroczył do przedśionka i zamknął za sobą drzwi. - A ja mam na imię Christian - rzekł, wskazując szerokim gestem sąsiedni salonik. - Ma pani bardzo ładnie urządzonego dom.

- Dziękuję. - Niespodziewanie wybuchnęła płaczem. - Tak bardzo się martwię o męża - wychlipała, zanosząc się szlochom. Pospieszenie zakryła usta dłonią, żeby ukryć silne dygotanie brody.

- Rozumiem - powiedział łagodnym tonem, po czym, zaskakując samego siebie, objął kobietę i przytulił do siebie.

Przez kilka minut stali tak, dopóki jej szloch nie przycichł. Wreszcie odsunęła się od niego.

- Przepraszam. Czuję się taka zawstydzona - szeptała, dźgając mokre oczy rogiem chusteczki.

- Nie ma się czego wstydzić. Wiem, że dla pani to bardzo trudna sytuacja. - Zawahał się, nie mając pewności, czy powinien mówić dalej. - Będę z panią całkiem szczerzy. Ja też się niepokoję o pani męża. Dlatego zamierzam uczynić wszystko, żeby go odnaleźć.

- Dziękuję. To do niego niepodobne, żeby tak zniknąć i nawet nie zadzwonić. Przez czternaście lat rozmawiałam z nim przez telefon każdego dnia. A teraz proszę...

- Czy ma pani zdjęcie męża?

- Oczywiście.

Podreptała do stolika w salonie, wzięła z niego fotografię w ramce, wróciła i podetknęła mu ją pod nos. Na zdjęciu Matt z żoną stali obok siebie i trzymali się za ręce. Ale mężczyzna z fotografii nie był żadnym z tych dwóch, których miał okazję poznać w Minneapolis.

- Czy to pomoże w poszukiwaniach?

Gillette wciąż wpatrywał się w zdjęcie, bojąc się spojrzeć kobiecie w oczy.

- Trudno powiedzieć.

- Wczoraj byli tu jacyś ludzie - powiedziała.

Wreszcie oderwał wzrok od fotografii i spojrzał na nią.

- Przeglądali wszystkie rzeczy Matta, podczas gdy ja musiałam siedzieć w kuchni, pilnowana przez jednego z nich. Przerzucili do góry nogami jego pokój, wszystkie szuflady, ubrania w szafie. Zabrali część rzeczy.

Gillette sięgnął do kieszeni płaszcza i wyciągnął jedno ze zdjęć, które agent QS Security zrobił w Minneapolis na jego prośbę.

- Czy któryś z tych ludzi był tutaj wczoraj? - zapytał, podsuwając jej fotografię.

Westchnęła głęboko i wskazała Ganze'a.

- Tak, on.

Matt Lee był członkiem zespołu prowadzącego badania z zakresu nanotechniki. To, że Ganze przerzucił jego prywatne rzeczy, stanowiło łącznik z zespołem, który widział w Minneapolis. Zatem można się było przestać łudzić, że Matt jeszcze kiedykolwiek wróci do domu. Najważniejsze pytanie brzmiało teraz: Co naprawdę knuje Norman Boyd?

- Co się stało? - zapytała Mary.

Gillette się skrzywił.

- Mam obawy, że wśród ludzi zarządzających projektem, w którym uczestniczył pani mąż, są bardzo źli ludzie. Przykro mi. - Odniósł wrażenie, że ona doskonale rozumie to, czego nie chciał jej powiedzieć wprost. Być może zwróciła uwagę, że mówiąc o jej mężu, użył czasu przeszłego.

- Proszę za mną - powiedziała niespodziewanie.

Poszedł za nią schodami na górę, lecz gdy weszła do małżeńskiej sypialni, zatrzymał się w przejściu. Z szuflady w bieliźniarce wyjęła szkatułkę na biżuterię. Wyciągnęła z niej górną szufladkę, sięgnęła na dno i po chwili wydobyła niewielki pakunek.

- Proszę - powiedziała, podchodząc do niego i podając mu zawiniątko. - Ja tego nie chcę.

- Co to jest? - zapytał, biorąc ostrożnie pakunek z roztrzęsionej dłoni kobiety.

- Minidysk optyczny. Matt nazywał go „srebrną kulą”.

- Dysk optyczny?

- Przenośny dysk komputerowy.

- Dlaczego pani mąż nazywał go srebrną kulą?

Pokręciła głową i znów zaczęła szlochać.

- Powinam była przewidzieć, że stanie się coś złego.

- Czemu?

- Przyniósł to do domu wieczorem, w przeddzień wyjazdu. Musiał się czegoś obawiać.

- Co jest na tym dysku? - zapytał Gillette. - Powiedział to pani?

- Wszystko, co jego zespół zdołał osiągnąć do tego dnia, kiedy zadzwonił i powiedział, że musi pilnie wyjechać. Mówił, że nie posunęli się zbyt daleko z pracą w tym projekcie, ale każdy, kto jest obeznany z tematyką, powinien bez trudu dokończyć ich badania.

Gillette przełknął ślinę i wsunął miniaturowy dysk do kieszonki ko-szuli.

- Mary - odezwał się cicho, lecz stanowczo. - Nikt nie może się dowiedzieć, że tu byłem.

Idąc betonowym chodniczkiem w kierunku swojego cadillaca escalade, rozmyślał o tym, co usłyszał od Boyda tamtego dnia w Minneapolis. Kiedy tamten ujrzał Derricka Walkera w korytarzu budynku Beezera Johnsona, zapytał o tego drugiego ochroniarza, który tydzień wcześniej towarzyszył mu w Waszyngtonie. Miał na myśli Stilesa. Z pozoru wyglądało to na całkiem niewinne pytanie. Problem polegał jednak na tym, że Boyd nie widział Stilesa w Waszyngtonie. Ani na moment nie wychylił nosa ze swego gabinetu, a Stiles w ogóle nie wchodził do biura, ponieważ Ganze go nie wpuścił. Tylko on widział Stilesa. Zatem skąd, do diabła, Boyd mógł wiedzieć, że Walker to zupełnie inny agent ochrony?

Doktor Scott Davis siedział przywiązany do krzesła, w kominiarce na głowie. Sznury mocujące mu ręce w nadgarstkach i nogi w kostkach zostały zaciśnięte tak mocno, że boleśnie wrzynały się w skórę, toteż pojękiwał cicho, gdyż cierpienie zaczynało być nie do wytrzymania.

- Chcę wiedzieć, co powiedziałaś Christianowi Gillette'owi - odezwał się mężczyzna stojący za nim. Trzymał długi nóż przytknięty do gardła Davisa. - Muszę znać absolutnie każde słowo z waszej rozmowy.

Rozdział 19

Nikki leżała sztywno na wznak na szpitalnym łóżku, powieki miała ledwie uchylone. Gillette przystanął na chwilę w drzwiach, żeby się jej przyjrzeć. Miała poważnie trudności z oddychaniem i była straszliwie wychudzona. Wcześniej rozmawiał z pielęgniarką i dowiedział się, że rak płuc rozwija się błyskawicznie, że jego siostrze pozostało najwyżej parę miesięcy życia. Pokręcił głową. Gdyby dali mu znać wcześniej... Bo teraz było już za późno. Przesunął palcami po dysku optycznym, który miał w kieszonce koszuli. Czy może się na nim kryć coś, co zdołałoby uratować Nikki życie.

Nie widział jej od szesnastu lat. W dzieciństwie byli ze sobą blisko związani, mimo że Nikki była córką Lany, ale później odwróciła się do niego plecami, i to wtedy, kiedy jej najbardziej potrzebował.

- Nikki.

Powoli odwróciła głowę w jego kierunku, a na jej wargach pojawił się delikatny uśmiech. Oczy miała pełne życia, chociaż chorobliwie szkliste.

- Chris - szepnęła.

Wziął ją za rękę. Była zimna. Próbowwała odwzajemnić się serdecznym uściskiem dłoni, ale był to daremny wysiłek. Pochylił się i pocałował ją w policzek, tak samo zimny.

- Jak się dowiedziałeś? - zapytała.

- W ubiegłym tygodniu Lana pojawiła się w Nowym Jorku jak grom z jasnego nieba. Powiedziała mi o twojej chorobie.

Nikki jęknęła, po czym zaniósł się kaszlem.

- Mój mąż wszystko spieprzył. Mówił, że mamy ubezpieczenie zdrowotne, ale kłamał. A teraz zniknął. Nie mam pojęcia gdzie...

- Na Boga, Nikki, jak mogłaś się związać z kimś takim?
- Zabrakło mi ciebie, żebyś mnie dalej poprowadził przez życie.
- Sama tego chciałaś. Tyle razy dzwoniłem...
- Nie obwiniam ciebie, tylko siebie. Niepotrzebnie pozwoliłam, żeby

Lana wzięła mnie pod kontrolę.

Gillette otarł palcem łzę staczającą się po jej policzku. Ponownie usiłowała ścisnąć palcami jego dłoń.

- Chciałabym cofnąć czas i wszystko zmienić. Uwierz mi. Wiele bym dała za taką możliwość.

- Dlaczego nie zadzwoniłaś, jak tylko się dowiedziałaś, że jesteś chora?

Lekko wzruszyła ramionami.

- Jakżebym mogła. Przecież zawiodłam cię, kiedy mnie potrzebowałeś.

- I co z tego? Rozmawiamy o twoim życiu. Nikt nie dostaje drugiej szansy.

- Tak, wiem - odrzekła szeptem.

Zaklął pod nosem i natychmiast się tego zawstydził.

- W porządku - rzekł z determinacją, spoglądając na trzy inne pacjentki leżące na tej samej sali. - W pierwszej kolejności przeniesiemy cię do osobnego pokoju.

Dwie godziny później Nikki była już w sali jednoosobowej z pięknym widokiem słońca zachodzącego na tle drapaczy chmur w centrum Los Angeles. W powietrzu unosił się zapach świeżo ciętych kwiatów, a na nocnym stoliku leżał stosik jej ulubionych czasopism ilustrowanych i książek.

- Dzięki, Christianie - powiedziała trochę mocniejszym głosem. - Tu jest bardzo przyjemnie. Od razu czuję się lepiej.

Nawet wyglądała lepiej, co odnotował z radością.

- Powinnaś teraz odpocząć.

- Jak długo zostaniesz w Los Angeles?

- Rano wracam do Nowego Jorku. - Na ten wieczór był umówiony na kolację z Marilyn, a potem chciał odwiedzić Lane. Symboliczny pogrzeb Stilesa miał się odbyć w niedzielę o dziesiątej, pod żadnym pozorem nie mógł się na niego spóźnić.

- Zajrzysz do mnie jeszcze przed wyjazdem? - zapytała błagalnym tonem. - Choćby na kilka minut.

- Oczywiście. - Pochylił się, pocałował ją w czoło i zawrócił do wyjścia. Ale w drzwiach przystanął. - Muszę ci zadać jedno pytanie - rzekł, przesuwając się z powrotem o parę kroków w jej kierunku. - Czy byłem jedynym nieślubnym synem taty?

Nikki westchnęła.

- Nie, byli jeszcze inni. Twój ojciec miał poważny problem.

- Ile mam jeszcze rodzeństwa? - spytał, ciekaw, czy i ta odpowiedź będzie brzmiała tak samo, jak z ust Lany.

- Troje, każde z inną kobietą.

Zgadzało się.

- Boże...

- Jak tylko tata zaczął zarabiać duże pieniądze, moim zdaniem stracił panowanie nad sobą. Chyba wychodził z założenia, że ma do tego pełne prawo. Poza tym on i mama... no, wiesz... mieli ze sobą pieńku.

- To żadne usprawiedliwienie.

- Nawet na chwilę nie dawała mu spokoju, Christianie. Wiecznie była niezadowolona.

- Wiesz, kim były te pozostałe kobiety? - zapytał.

Pokręciła głową.

- Jeśli się nie mylę, wszystkie pochodziły z rejonu Los Angeles, ale nie znam nawet ich nazwisk. - Zawahała się. - Mama powinna je znać.

Zatem Lana kłamała. Jak można było przypuszczać.

- Sądzisz, że ona też go zdradzała?

- Chyba tak. Przynajmniej raz.

- Dlaczego tak uważasz?

- W miesiącach poprzedzających śmierć taty przyszedł do naszego domu pewien mężczyzna, lecz później już nigdy się nie pojawił. - Nikki uśmiechnęła się skąpo. - Ktoregoś razu udało mi się nawet zrobić im zdjęcie z okna mojego pokoju, jak siedzieli obok siebie na patio. Pewnie się domyślasz, że chciałam mieć na nią haka. Ale potem zdarzył się ten wypadek taty... I to wszystko. - Zmarszczyła brwi. - Pewnie i tak nigdy bym się nie odważyła zaszantażować jej tym zdjęciem. - Popatrzyła na niego. - A ty zamierzasz się kiedykolwiek ożenić, Christianie?

Zamyślił się nieco dłużej nad tym pytaniem, po czym zaszczycił siostrę najczulszym uśmiechem, na jaki było go stać.

- Nie wiem. Lecz jeśli się zdecyduję, koniecznie musisz być na moim ślubie. Słyszałaś?

Jej oczy natychmiast wypełniły się łzami. Pokiwała tylko głową.

Kolacja z Marilyn była dużo sympatyczniejsza, niż się spodziewał. Jego matka okazała się bardzo ładną kobietą, obficie przystrojoną brylantami. Po śmierci Clayтона dostała dziesięć milionów dolarów, podobnie jak pozostałe trzy kobiety, z którymi miał nieślubne dzieci. Gillette poczuł się trochę nieswojo na widok tak kosztownej biżuterii, zapewniła go jednak, że większość odziedziczonych pieniędzy mądrze zainwestowała i nie miała żadnych kłopotów finansowych. Nie poprosiła o pieniądze, jak się tego obawiał. A dlaczego się obawiał? Bo inni ludzie bez przerwy domagali się od niego pieniędzy.

- Bardzo się cieszę, że mogłam cię zobaczyć - powiedziała Marilyn, gdy kończyli kawę. - I usłyszeć, jak wspaniale ci się powodzi.

- Dzięki. - Gillette przyglądał jej się uważnie przez cały wieczór, usiłując dopatrzeć się jakiegokolwiek podobieństwa fizycznego między matką a sobą. Nie znalazł jednak niczego konkretnego.

- Powinniśmy teraz pozostać w kontakcie - powiedziała. - Zadzwoń do mnie czasami, w wolnej chwili. Wiem, że jesteś bardzo zajęty. Nie chciałabym sprawiać ci kłopotów...

- Zadzwonię - obiecał, składając serwetkę i kładąc ją na brzegu stołu.
- Naprawdę kochałaś mojego ojca? - zapytał.

- Nawet nie wiesz jak bardzo, Christianie. Był takim charyzmatycznym mężczyzną. - Uśmiechnęła się. - Tak samo jak ty.

Odpowiedział uśmiechem.

- Do dzisiaj pamiętam aromat jego ulubionych cygar. Palił tylko kubańskie. Uwielbiałem ich zapach.

Marilyn zamyśliła się na chwilę, wreszcie westchnęła głośno.

- Przyznam, że i mnie tego brakuje.

- Okłamałaś mnie w Nowym Jorku - zwrócił się do Lany. Siedzieli na patio jej rozległej posiadłości w Bel Air.

- Nie mam pojęcia, o co ci chodzi.

Było już późno, ale w docierającym tu mętnym blasku ulicznych latarni dało się dostrzec, że dom i otaczający go teren są zapuszczone. Część drzew uschła, na tyłach domu krzaki rozrosły się nad miarę, z okiennic stara farba obłaziła wielkimi płatami, wiele kamieni na patio było niebezpiecznie wykruszonych.

- Powiedziałaś mi, że nie znasz nazwisk kobiet, z którymi tata miał nieślubne dzieci. Nikki twierdzi, że musisz je znać, a jej bardziej wierzę.

Lana pogardliwie wyduła wargi.

- Tym razem się pomyliła.

- Muszę znać prawdę, Lano.

- W tym ci nie pomogę.

- W takim razie i ja ci nie pomogę.

Splotła ręce na brzuchu.

- Niby jak mógłbyś mi pomóc?

- W jedyny sposób, jaki się dla ciebie liczy. Finansowo.

- Wcale nie jestem taka zła, jak o mnie myślisz.

- Nie przyjechałem tu, żeby to roztrząsać. Mam w tej sprawie swoje zdanie, ty masz swoje. Niech tak zostanie.

Na chwilę przygryzła dolną wargę.

- Do jakiej sumy mógłbyś mi pomóc?

- Pożyczyłbym ci dziesięć milionów dolarów pod zastaw tego domu, który musiałabyś przepisać na własność wspólną.

- Czyżby nad tobą też ciążyła klątwa twego ojca? Na każdym kroku musisz widzieć swój interes?

- Przecież tak samo jest z tobą. Dla ciebie liczy się tylko biznes. Zawsze tak było i tak będzie.

- Nie jesteś moim synem - warknęła ze złością.

- Ale to nie był mój wybór.

Przez kilka minut panowało milczenie.

- Więc jak? Zamierzasz mi podać te nazwiska? - zapytał w końcu.

- Jeszcze nie wiem. - Sięgnęła po swój kieliszek i pociągnęła łyk wina. - Mogę się wpakować w niezłe kłopoty, jeśli to zrobię.

- Dlaczego?

- Bo zapewne żyją jeszcze ludzie, którzy mnie zmuszą, bym za to zapłaciła.

Gillette spojrzał na nią spod przymrużonych powiek.

- Jacy ludzie?

- Bardzo ważni.

- Jacy?!

- Którzy nienawidzili twojego ojca.

- Za co go nienawidzili?

- Wiedział o czymś, co mogło ich zrujnować.

- O czym?

- Tego nie wiem, nie powiedział mi. Oni też nie mówili.

W głowie czuł coraz silniejsze łomotanie pulsu.

- To ci sami ludzie, którzy go zabili?

- Twój ojciec zginął w katastrofie lotniczej.

- Lano!

- Ja tylko im podałam nazwiska tych kobiet, nic więcej.

- I co za to dostałaś? - zapytał ostro. - Za dobrze cię znam, Lano, niczego byś nie zrobiła za darmo - dodał, nie uzyskawszy natychmiastowej odpowiedzi.

- Zagrozili, że wykorzystają nazwiska tych kobiet przeciwko twojemu ojcu, ujawnią tożsamość jego kochanek, by go pohańbić w oczach ludzi, a ja dostanę rozwód i przejmę cały majątek. Wtedy brzmiało to dla mnie bardzo obiecująco, Christianie - przyznała roztrzęsionym głosem. - Bo on właśnie zaczynał kolejny romans, spotykał się z pewną dziewiętnastolatka, na miłość boską... - Ukryła twarz w dłoniach. - Nawet sobie nie wyobrażasz, jak to jest, kiedy masz przecucie, że ilekroć twój mąż wychodzi z domu, nie wróci, dopóki nie zaciągnie do łóżka jakiejś kobiety. Miałam tego dosyć. Nie mogłam już dłużej znieść tego poniżenia.

Przez chwilę poczuł dla niej zrozumienie i próbował nawet obudzić w sobie współczucie. Ale to już było ponad jego siły. Po prostu nie potrafił zapamiętać tego, jak go potraktowała po śmierci ojca.

- Lepiej podaj mi nazwiska tych kobiet.

- Mam wreszcie dobre wieści? - zapytał poirytowany Boyd.

Ganze pokręcił głową.

- Nie. Wpadłem tylko, żeby powiedzieć, że Gillette odwiedził swoją macochę i przez ostatnie pół godziny siedział z nią na patio rodzinnej posiadłości w Bel Air.

Boyd oderwał wzrok od papierów.

- Mój Boże...

Gillette siedział za biurkiem ojca w jego dawnym gabinecie, łączywie

chłonąc wszelkie widoki i zapachy. Mimo upływu lat miał wrażenie, że wciąż wyczuwa w tym pokoju słodkawy aromat fajkowego dymu tytoniowego.

Próbował na komputerze ojca sprawdzić, co jest nagrane na dysku optycznym, który dostał od Mary Lee, ale system operacyjny okazał się za stary, a na twardym dysku zabrakło miejsca, żeby skopiować choć część nagrań. Podniósł więc słuchawkę i wybrał numer bezpośredniej linii do szpitalnego pokoju Nikki.

- Halo - odezwała się niewyraźnie, aż naszły go wyrzuty sumienia, że zakłóca jej spokój o tak późnej porze. Musiał jednak z nią porozmawiać.

- Nikki? Tu Christian.

- Och, witaj.

- Wybacz, że cię obudziłem.

- Nic nie szkodzi. Co się stało?

- Kiedy rozmawiałem z tobą w szpitalu, powiedziałaś, że masz zdjęcie tego mężczyzny, który odwiedzał Lane w domu przed śmiercią ojca. Mówiłaś, że udało ci się ich sfotografować na patio.

- Zgadza się. Prawdę mówiąc, pstryknęłam wtedy kilka zdjęć, może nawet kilkanaście.

- Masz je nadal?

Milczała przez kilka sekund.

- Nie zabrałam ich ze sobą, kiedy się wyprowadzałam jakieś dziesięć czy jedenaście lat temu. Jeśli mama ich nie wyrzuciła, powinny być w pudełku po czekoladkach w dolnej lewej szufladzie mojego biurka. Podejrzewam jednak, że mama robiła tam porządki.

Davis leżał na pryczy z rękoma i nogami przywiązanymi do żelaznej ramy łóżka. Ludzie, którzy go porwali, już trzykrotnie poddawali go torturom, nie dawali jedzenia ani wody, wyrwali mu nawet cęgami jeden

z przednich zębów, żeby wydobyć informacje. Nie poddał się jednak. Wcale nie dlatego, że był szczególnie oddany Christianowi Gillette'owi. Milczał uparcie, ponieważ sam fakt, że go uprowadzono i torturowano, świadczył jednoznacznie, iż jakiś zespół jest rzeczywiście bliski dokonania przełomu w badaniach nad nanotechniką - i to zespół, który nie powinien prowadzić tak zaawansowanych prac badawczych.

Natomiast Gillette może utrzymać dystans i pozostać o krok przed jego dręczycielami tylko wtedy, gdy on maksymalnie długo zachowa milczenie.

Gillette wyciągnął szufladę starego biurka Nikki i roztrzęsionymi palcami wyciągnął z niej małe pudełeczko po pralinach. Otworzył je powoli i popatrzył na leżące w środku zdjęcia. Nikki dobrze pamiętała. Wyraźnie ukazywały Lane siedzącą w towarzystwie obcego mężczyzny na patio za domem.

Zaczerpnął głęboko powietrza. Wszystko wydawało mu się niewiarygodne.

Już nie musiał wypytywać Lany o personalia swojej biologicznej matki. Dużo bardziej zależało mu teraz na informacji, że Marilyn McRae nie jest z nim w żaden sposób spokrewniona. Jej wpadka w sprawie kubańskich cygar - bo przecież ojciec nigdy nie palił cygar - zdawała mu się wystarczającym dowodem. Lecz te zdjęcia podsuwały mu odpowiedzi, których tak długo poszukiwał. Wyjaśniały nawet dużo więcej.

Davis od dziecka czuł irracjonalny strach przed wodą, co było zapewne skutkiem wypadku, w którym omal nie utonął. Od tamtej pory nigdy nie pływał, nigdy nawet nie kąpał się w wannie, korzystając wyłącznie z prysznica gdyż nienawidził lęku, jaki budziła w nim sama myśl o zanurzeniu którejkolwiek części ciała pod wodę. Teraz zaś został zmuszony do klęknienia przed wypełnioną po brzegi wanną, z rękoma

skrępowanymi za plecami. Jakimś sposobem oprawcy dowiedzieli się o jego „pokoju 101”, czymś budzącym śmiertelne przerażenie.

Jeszcze zanim wpełnęli mu głowę pod wodę, wrzasnął histerycznie, ile sił w płucach, desperacko próbując utrzymać usta i nos nad powierzchnią. Kiedy zaś naszyły go obawy, że lada moment się utopi, podnieśli mu głowę i pozwolili zaczerpnąć powietrza.

Nie musieli nawet zadawać pytań. W jednej chwili zaczął paplać jak najęty, relacjonując ze szczegółami obie rozmowy z Christianem Gillette'em.

- Norman! - wykrzyknął Ganze, wpadając do gabinetu Boyda. - Złamali Davisa. Wystarczyło go trochę podtopić, żeby pękł jak zwierzęta herbatnik.

- Doskonale. Powiedział coś istotnego?

- Oczywiście. Zdradził, że wysłał Gillette'a na rozmowę z żoną Matta Lee.

- Matko Boska! - ryknął Boyd, podrywając się z miejsca. - Skontrolowałeś dokładnie jego rzeczy?

- Ma się rozumieć. Ale Gillette z pewnością już tam był.

- Na pewno dokładnie przeszukałeś cały dom?

- Tak.

- I nic nie znalazłeś?

- Nie.

- Myślisz, że mogła mu powiedzieć o czymś ważnym?

- Nie wiem. Naukowcy uczestniczący w tajnych projektach rządowych nie powinni nic mówić o swojej pracy nawet najbliższym. Ale wiesz, jacy są ludzie.

- Przepytywałeś ją? - warknął Boyd.

- Nie.

- Połącz się natychmiast z ludźmi Celina i wyślij ich do Bostonu. Postaraj się za wszelką cenę dowiedzieć, co ta kobieta powiedziała

Gillette'owi. Niech nawet zastosują wobec niej takie same metody, jakimi zmusili Davisa do mówienia.

- Mam rozumieć...

- Tak, do cholery. Niech ją poddadzą torturom, a potem pozbędą się zwłok. I tak na pewno już się domyśla, co spotkało jej męża. Chyba nie chcesz, żeby zaczęła rozpowiadać o tym dziennikarzom, próbując ich zainteresować swoją bajeczką? Będzie lepiej, jeśli jak najszybciej zniknie z powierzchni ziemi.

David Wright z balkonu swojego mieszkania na Upper East Side spoglądał ponad taflą East River na zabudowania Queens. Była dopiero czwarta rano, ale nie mógł spać. Pochylił się na krzesło i ukrył twarz w dłoniach. Nie mógł dłużej tak żyć, jak ostatni tchórz. Ta świadomość za bardzo mu doskwierała. Zwłaszcza to, że szpiegował Gillette'a niczym żaloszny kapuś, ponieważ się obawiał, że Joe Celino wyśle jego zdjęcia do gazet albo dobierze mu się do skóry. Co gorsza, mafia mogła się dobrać także do Peggy. I to najbardziej go niepokoiło, spędzało sen z powiek. Aż pokręcił głową. W gruncie rzeczy nie był tchórzem. Nigdy się za takiego nie uważał. Zawsze starał się otwarcie stawić czoło wszelkim życiowym wyzwaniom.

- David?

Obrócił się błyskawicznie na krzesło i popatrzył na żonę.

- Cześć, Peg.

- Jest dopiero czwarta nad ranem - powiedziała, kładąc mu rękę na ramieniu i marszcząc brwi. - Co cię gryzie?

- Nic - skłamał. - Rozmyślałem tylko o tej transakcji, nad którą pracuję.

Usiadła mu na kolanach, zarzuciła rękę na szyję, westchnęła, po czym uśmiechnęła się przymilnie.

- To chyba dobra pora, żeby wyznać ci coś szczerze - rzekła, klepiąc się po brzuchu.

- Niby co? - zapytał.

Lecz jeszcze zanim uzyskał odpowiedź, uświadomił sobie nagle, że ma oto jeszcze jeden bardzo ważny powód, żeby wyprostować w swoim życiu wszystkie sprawy.

Rozdział 20

Nie minął jeszcze rok od czasu, gdy Gillette wygłaszał mowę pożegnania dla Billa Donovana w szczelnie wypełnionym kościele w śródmieściu Manhattanu. Tym razem uroczystość odbywała się w Harlemie, ale kościół był tak samo wypełniony po brzegi.

- Quentin był moim najlepszym przyjacielem - rzekł cicho. - Już nigdy nie będę miał nikogo tak bliskiego, jak on.

Ukończywszy mowę, zszedł z podwyższenia przed ołtarzem i uklęknął obok babci Stilesa, która miała twarz mokrą od łez.

- Wszystko w porządku? - zapytał szeptem, ściskając jej dłoń.

- Jestem starą zasuszoną wiedźmą - szepnęła. - Jakoś to przeżyję.

Gillette cmoknął ją w czoło, wstał i ruszył głównym przejściem na tyły kościoła, zerknąwszy po drodze na Davida Wrighta. Ten siedział ze spuszczoną głową i wzrokiem wbitym w ziemię. Podobnie jak jego żona Peggy.

Po wyjściu z kościoła Gillette oparł się plecami o drzewo i zamknął oczy, zastanawiając się, czy nie jest to dla niego najlepsza pora, żeby się wycofać. Miał trzydzieści siedem lat i zapewne do końca życia nie zdołałby już wydać zarobionych dotąd pieniędzy. Dlaczego więc miałby pracować dalej? Czemu ma się jeszcze bardziej narażać?

- Jesteś gotów?

Otworzył oczy. Przed nim stał Derrick Walker.

- Musimy jechać prosto do Chatham, Christianie. Co prawda, zebranie zaczyna się dopiero o szóstej, ale rozmawiałem z Percym Lundergardem i prosił, żebyś w miarę możliwości dotarł na miejsce przed czwartą.

Twierdzi, że ma mnóstwo spraw, które chciałby z tobą omówić przed rozpoczęciem zebrania.

- Dobrze. - Ponad ramieniem ochroniarza Gillette spostrzegł Davida i Peggy Wrightów idących w stronę samochodu. - Chwileczkę. - Wyminął Walkera, ruszył za swoim protegowanym i zawołał: - David!

Wright nie zareagował.

- David! - zawołał głośniej.

Dopiero teraz się zatrzymał i odwrócił.

- Muszę z tobą porozmawiać - oznajmił głośno Gillette, zbliżając się do niego.

Wright dał znak żonie, żeby szła dalej i nie czekała na niego.

- O co chodzi? - zapytał, gdy oddaliła się nieco.

Ze zwieszoną głową i przygarbionymi ramionami wyglądał na przemęczonego, wręcz skonanego.

- Co się stało?

David wzruszył ramionami.

- Nic.

- Na pewno?

Pokręcił głową.

- Ja tylko... - jęknął gardłowo. - Dużo ostatnio pracowałem nad dokumentacją Hush-Hush. Chciałbym jak najszybciej zakończyć tę sprawę, to wszystko. Boję się, żeby ktoś inny nas nie uprzedził.

- Na pewno to wszystko? Nie masz mi nic więcej do powiedzenia?

- Nie. A o co chodzi?

- Byłem w Richmond.

Wright z trudem przełknął ślinę.

- Tak, i co?

- Pojechałem samochodem. Po wydostaniu się z miasta, wjechałem na obwodnicę Jersey Turnpike.

- To zrozumiałe, wybrałeś najprostszą drogę do Richmond. Tylko dlaczego mi o tym mówisz?

Gillette milczał jeszcze przez chwilę, żeby dodatkowo naładować atmosferę.

- Jeździłeś tamtędy w tym tygodniu?

Wright nerwowo przestąpił z nogi na nogę i schował ręce do kieszeni.

- Dlaczego podejrzewasz, że tamtędy jeździłem?

- Bo widziałem...

- Przepraszam, Chris, ale muszę lecieć - rzucił niespodziewanie, zawrócił na pięcie i truchtem dołączył do Peggy czekającej przy samochodzie.

Gillette wprowadził ciemnozielonego oldsmobila na przeznaczony dla uczniów parking przy szkole średniej w Chatham i wysiadł. To Percy Lundergard zasugerował, żeby nie przyjeżdżał służbową limuzyną, ubrał się na sportowo, a jego ochrona osobista starała się pozostać niewidoczna. Dlatego też pod szkołę podjechał autem Lundergarda, miał na sobie lekki golf i jasne bawełniane spodnie, a towarzyszył mu tylko jeden agent QS Security, także ubrany na sportowo. Idąc przez parking wśród innych mieszkańców miasteczka, pomyślał, jak miło jest chociaż raz na tyle lat swobodnie wtopić się w tłum.

Przed wąskimi drzwiami utworzyła się kolejka. Kiedy Gillette stanął na jej końcu, zwrócił uwagę na samotną postać na trawniku pod ścianą szkoły kilkanaście metrów dalej. Człowiek stojący w półmroku wydał mu się znajomy. Przyjrzał się dokładniej i ku swemu zdumieniu rozpoznał Davida Wrighta.

Kiedy ich spojrzenia się zetknęły, pozdrowili się wzajemnie skinieniami głowy, po czym Wright dał mu znak ruchem ręki, żeby do niego podszedł.

Gillette postukał ochroniarza w ramię:

- Widzisz tego gościa stojącego z boku? - ruchem głowy wskazał Wrighta.

- Tak.

- Idę z nim porozmawiać, a ty idziesz ze mną.

- Jasne.

- Co ty tutaj robisz, Davidzie? - zapytał, zbliżywszy się do niego, w pełni świadom, że przyglądają im się ludzie z kolejki. Obaj byli nietutejsi, a w tak małym miasteczku jak Chatham wszyscy się znali. - Sądziłem, że wyjeżdżasz z Peggy poza miasto na resztę weekendu, na Long Island, jeśli się nie mylę.

- Tak planowaliśmy - mruknął Wright i spojrzawszy ponad jego ramię na zbliżającego się agenta QS Security, rzucił głośniej: - Hej, nie możemy mieć trochę prywatności?

Gillette zatrzymał ochroniarza w odległości kilku metrów.

- Co się dzieje, Davidzie?

Wright westchnął ciężko.

- Trudno mi o tym mówić.

- O czym?

- Posłuchaj, przestańmy się bawić w kotka i myszkę. Dobrze wiesz, że przedwcześniej byłem na obwodnicy Jersey. Nie mam pojęcia, jak się o tym dowiedziałeś, ale wiesz.

- Śledziłeś mnie?

- Tak.

- Dlaczego?

- Nie uwierzysz.

- Przekonajmy się.

Wright uniósł ręce do twarzy i przetarł zaczerwienione oczy.

- Donosiłem o każdym twoim ruchu rodzinie Carbone.

Gillette'a coś ścisnęło za gardło, a obraz Davida na chwilę zamazał mu się przed oczyma. Wybrał tego człowieka na swego protegowanego, obdarzył zaufaniem, a on okazał się zdrajcą. Nie mógł tego przewidzieć.

- Chodzi o Las Vegas? - zapytał półgłosem.

- Tak... Chyba tak - przyznał tamten z ociąganiem.

- Dlaczego aż tak bardzo interesują ich moje podróże? - zdziwił się Gillette, uświadomiwszy sobie, że nie może chodzić wyłącznie o przywileje budowlane NFL i plan budowy kasyna. Rozejrzał się pospiesznie, pełen obaw, że może to być pułapka zastawiona na niego. Zapytał, czy Wrighta w drodze do Chatham nikt nie śledził.

- Nie wiem.

- Przecież zgodziliśmy się na taką stawkę za usługi konsultingowe, jakiej zażądał Carmine Torino, z czego, jestem przekonany, większość pójdzie do kasy rodziny Carbone. - Przemknęło mu przez myśl, że musi się postarać wyciągnąć z Wrighta możliwie jak najwięcej informacji. - Zakładam, że właśnie o to im chodziło. Nie rozumiem więc, do czego im potrzebna wiedza co do aktualnego miejsca mojego pobytu. Musi się za tym kryć coś więcej.

- Jak już powiedziałem, tego nie wiem - odrzekł Wright roztrzęsionym głosem. - Też o to pytałem, ale nie uzyskałem odpowiedzi.

- Dlaczego się na to zgodziłeś, Davidzie?

- Bo mam pewien problem - mruknął. - Jest coś, co wykorzystali przeciwko mnie, zaszantażowali. Przecież wiesz, że nigdy bym się nie zgodził z własnej woli.

- Cóż to takiego, że mogło się stać przedmiotem szantażu?

- Tego nie mogę ci powiedzieć.

- Davidzie...

- Naprawdę nie mogę, Chris. Byłeś moim najlepszym przyjacielem, toteż nie mógłbym nigdy więcej spojrzeć na swoje odbicie w lustrze, gdybym ci powiedział. Wydawało mi się, że wszystkich przechytrzę, by ratować własną skórę, ale teraz już nie mogę tego dłużej ciągnąć. Dlatego postanowiłem zachować resztki honoru i próbować wyjść z tego całego bagna. - Zaczął nerwowo czubkiem buta wiercić dziurę w trawniku. - Ale naprawdę nie mogę ci powiedzieć, co na mnie mają. Po prostu

nie mogę i już. Pewnie i tak któregoś dnia dowiesz się tego z gazet, wołałbym jednak, żebyś się więcej nie dopytywał.

- To coś aż tak okropnego?

- W każdym razie nie ma nic wspólnego z Everestem - wyjaśnił szybko Wright. - Tyle powinieneś wiedzieć.

- Na pewno nie mogę ci w jakiś sposób pomóc?

- Nie.

Gillette zerknął przez ramię na kolejkę do wejścia. Nadal się wydłużała.

- Posłuchaj, muszę już iść. - Położył rękę na ramieniu Davida. - Dzięki, że pofatygowałeś się aż tutaj. Będziemy musieli szczerze porozmawiać w poniedziałek. Naprawdę szczerze.

- O ile jeszcze będzie to możliwe - mruknął Wright.

- Nie rozumiem.

- Nie wiesz jeszcze wszystkiego.

Gillette zatrzymał się, gdyż zawracał już, żeby odejść.

- To nie wszystko?

- Kiedy byliśmy w Vegas, spotkałem się z Joem Celino.

- Co takiego?

- No, „spotkałem się” to niewłaściwe określenie - sprostował David. - Zostałem zwyczajnie zawleczony przed jego oblicze. Zapowiedział, że mnie wykończą, jeśli nie będę ściśle wykonywał ich poleceń. Pokazał mi zdjęcie człowieka zamęconego torturami na śmierć, żeby mnie przerazić. No i przeraził. Sądzę więc, że jestem już załatwiony. Na pewno się dowiedzą, że byłem tu i rozmawiałem z tobą, więc jeśli nie pojawię się w poniedziałek, będziesz przynajmniej znał powód. Zmierzam jednak do tego, że usłyszałem od Celina parę rzeczy, które powinieneś wiedzieć.

- Na przykład?

- Po pierwsze, przyznał, że pozostaje w bliskim kontakcie z Allison Wallace.

Gillette odebrał to tak, jakby ktoś z całej siły uderzył go w brzuch młotem do kruszenia murów.

- Matko Boska... - syknął.

Veramax, doktor Davis, Beezer Johnson...

- Nie wiem, jakiego rodzaju jest to kontakt i na czym oparty - ciągnął Wright - ale Celino dodał, że już wkrótce to ona przejmie nadzór nad Everestem, toteż powinienem się jej trzymać. Jeśli będę z nią współpracował, znajdzie się dla mnie miejsce w nowym zarządzie, gdy Allison przejmie władzę.

Więc to dlatego dzwoniła do najważniejszych inwestorów i przedstawiała się w takim tonie, jakby rzeczywiście miała wkrótce przejąć prezesurę spółki, pomyślał. Szykowała własną scenografię. Zatem Faraday miał rację. Może to on powinien przejąć po nim zarządzanie Everestem. Gillette coraz częściej odnosił wrażenie, że szósty zmysł zaczyna go zawodzić.

- Co jeszcze powiedział ci Celino? - zapytał ze złością.

- Że jego ludziom udało się umieścić majtka w załodze jachtu i ten zabił Quentina Stilesa.

- Mówisz poważnie?!

- Jak najbardziej.

W głowie kłębiły mu się bezładne myśli, a echem między nimi odbijała się jedna: To rodzina Carbone dopadła Stilesa. Ale Norman Boyd już w Minneapolis wiedział, choć nawet przez chwilę nie widział Stilesa w Waszyngtonie, że Derrick Walker to inny agent ochrony. Zatem Boyd jakimś cudem musiał wiedzieć, co spotkało Stilesa. Wszystkie te powiązania zaczynały się powoli układać w logiczną całość. O rodzinie Carbone niewiele się publicznie mówiło, ale była to jedna z najbogatszych i najbardziej znieawidzonych rodzin mafijnych w Stanach Zjednoczonych. A Norman Boyd potrzebował płatnych morderców, wprawnych w zabijaniu ludzi. Dwa dni temu Ted Casey powiedział mu to wprost podczas spotkania na parkingu w Georgetown. Może i był to przypadek, że

rodzina Carbone tak szybko się bogaciła, a Boyd miał reputację zdolnego złamać każdego, kto wpadł mu w oko. Ale może w grę wchodziło odrażające potajemne partnerstwo. Któryś z ludzi Celina torturował i zabijał na zlecenie Boyda, w zamian mafia mogła się nie obawiać represji ze strony władz za swoją przestępczą działalność, a może nawet od czasu do czasu mogła liczyć na załatwienie takiej czy innej sprawy. To by także wyjaśniało, dlaczego bandyci z rodziny Carbone zabili Toma McGuire'a. Boyd nie mógł dopuścić, żeby na wolności przebywał człowiek dybiący na życie Gillette'a, skoro sam zamierzał go wykorzystać.

Uderzyło go nagle, że przecież nie byłby potrzebny Boydowi, gdyby ten rzeczywiście miał w kieszeni Allison Wallace.

- Dlaczego zależało im na śmierci Stilesa? - zapytał, ledwie słysząc własny głos przez coraz potężniejsze dudnienie pulsu w uszach.

- Celino przyznał, że Stiles był bliski ujawnienia jakiejś sprawy. Nie zdradził jednak, o co chodziło.

Może właśnie o tym detektyw wspominał tamtego wieczoru na jachcie. Może faktycznie był bliski ujawnienia powiązań Celina z agencją rządową. Nie ulegało wątpliwości, że zarówno mafia, jak i komórka Boyda były gotowe na wszystko, byle tylko zachować te powiązania w tajemnicy. Gdyby coś takiego się wydało i zostało poparte dowodami, rodzina Carbone utraciłaby przewagę nad innymi ugrupowaniami mafijnymi, jeśli w ogóle przetrwałaby taki wstrząs w dotychczasowej strukturze. Zaczęłyby się dochodzenia i kontrole, które w praktyce uniemożliwiłyby rodzinie dalszą działalność. I lepiej było się nawet nie zastanawiać, jak wykrycie takiej afery wpłynęłoby na środowisko agencji wywiadowczych.

- Czy przedwczoraj jechałeś za mną całą drogę aż do Richmond? - zapytał ostro Gillette.

Wright przytaknął ruchem głowy.

- Owszem. I to cholerną taksówką.

- Wiesz zatem, z kim się spotkałem?
- Z neurochirurgiem, doktorem Scottem Davisem.

Gillette huknął pięścią w ścianę budynku.

- Przekazałeś tę wiadomość rodzinie Carbone?
- Tak - przyznał David szeptem.

Gillette wyszarpnął z kieszeni telefon komórkowy i wybrał numer Cathy Dylan. Chciał, by jak najszybciej skontaktowała się z Davisem i go ostrzegła. - Powiedziałeś im też o Tomie McGuire? O tym, że czyha na moje życie?

- Tak.

- Christianie. - Percy Lundergard zmierzał przez trawnik w ich kierunku. - Chodźmy już do środka. Zaraz zaczynamy.

Gillette powstrzymał go uniesioną ręką, czekając, aż Cathy odbierze telefon. Ale nie odbierała.

- Jasna cholera! - warknął. Wyłączając aparat, wskazał palcem Wrighta. - Wynoś się stąd, Davidzie. Natychmiast zadzwoń do żony i powiedz jej, żeby bezzwłocznie ukryła się w jakimś bezpiecznym miejscu.

- Chodźmy, Christianie - powtórzył Lundergard, obrzucając Wrighta podejrzliwym spojrzeniem.

- Mamy wyjątkową sytuację, Percy. Niestety, nie będę mógł...

- Nic z tego - warknął groźnie Lundergard. - Poruszyłem niebo i ziemię, żeby ściągnąć tu dziś wieczorem dwa tysiące ludzi - wskazał szkolną salę gimnastyczną - a w dodatku zainteresować naszą sprawą reporterów z lokalnej stacji telewizji NBC. Nie zostawisz mnie teraz na lodzie, Christianie, niezależnie od powodów.

- Ludzie Celina wyciągnęli to z Mary Lee - zameldował Ganze.

Boyd stał za swoim biurkiem i tak silnie zaciskał dłonie na oparciu krzesła, że aż pobielały mu knykcie.

- Niby co, do cholery?! Co z niej wyciągnęli?!

- To, że przekazała Gillette'owi miniaturowy dysk optyczny z kopiami wszystkich plików. Są na nim efekty całej pracy, jaką tamten zespół wykonał w ramach projektu do chwili wyjazdu z Bostonu. Matt zostawił żonie ten dysk na krótko przed wejściem na pokład samolotu, który spadł do jeziora Michigan. Najwyraźniej przemycił go, wychodząc z laboratorium poprzedniego wieczoru.

- Tylko tego mi jeszcze brakowało w tym pieprzonym dniu! - syknął Boyd. - Zatem Christian Gillette zna teraz więcej tajemnic nanotechniki niż my!

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zdziwił się Ganze.

Jego szef ruchem głowy wskazał telefon szyfrujący na biurku.

- Właśnie rozmawiałem z kierowniczką naszej grupy z Minneapolis. Powiedziała, że są braki w sprawozdaniach z dotychczasowych prac, poważne luki w kodach programowych, których żadnym sposobem nie odtworzą bez pomocy Matta Lee. Musiał nabrać podejrzeń, że nigdy nie wysiądzie z tego samolotu. - Boyd huknął pięścią w biurko. - Niech ludzie Celina ruszą za Gillette'em, i to natychmiast. Muszę odzyskać ten dysk. Potrzebuję go na wczoraj. Nic mnie nie obchodzi, co będą musieli zrobić, żeby go odzyskać!

Przyszła jego kolej wystąpienia przed mieszkańcami szczerze wypełniającymi salę gimnastyczną. Becky Rouse wyłożyła swoje racje, opowiedziała o obawach, że supermarket sieci Discount America zniszczy turystyczny wizerunek miasteczka, jaki starała się budować od kilku lat. Przytaczając rozmaite fakty oraz dane liczbowe, próbowała wykazać, że znaczna część turystów, którzy obecnie zostawiali pieniądze w sklepikach przy promenadzie, przestanie traktować Chatham jako uroczy przystanek na swojej drodze, jeśli rozgorzeje tu prawdziwa wojna o handlowe monstrum, nie tylko pomniejszające dochody właścicieli sklepów

przy promenadzie, ale w dodatku przyciągające ludzi tutaj niechciany. I dostała gromkie brawa, nim usiadła na swoim miejscu.

Gillette wziął do ręki mikrofon i uśmiechnął się przymilnie do ludzi w pierwszym rzędzie, próbując właśnie na nich skoncentrować się jak na swoich odbiorcach. Nie mógł się jednak uwolnić od gorączkowych myśli odciągających go od tematu zebrania.

- Dobry wieczór, nazywam się Christian Gillette - zaczął, zastanawiając się, czy gdzieś w tym tłumie nie ma płatnego zabójcy, który już mierzy do niego z pistoletu - i jestem prezesem sieci Discount America. Chciałbym podziękować serdecznie za możliwość wystąpienia dzisiaj przed wami. Świetnie rozumiem, że to niedzielny wieczór, zatem nie będę wam zabierał zbyt wiele czasu. Chciałbym, żebyście jak najszybciej mogli wrócić do swoich domów i najbliższych, zasiąść przed telewizorami czy też rozpocząć zabawę w gronie przyjaciół. Wiem, jakie to dla was ważne. Proszę was tylko o parę minut uwagi, a przedstawię garść podstawowych faktów, które pomogą wam rozstrzygnąć, czy chcecie, czy też nie chcecie naszego supermarketu w swoim mieście. Mam nadzieję, że was przekonam.

Po pierwsze planujemy budowę supermarketu przy szosie numer dwieście dwanaście, a więc co najmniej osiem kilometrów od nadmorskiej promenady. Prawie sto procent turystów dociera tu ze wschodu, zatem nawet nie musi wiedzieć o istnieniu takiego sklepu za miastem. Po drugie, chcemy zbudować olbrzymi sklep, w którym będziecie mogli kupić niemal wszystko, poczynając od świeżych owoców i warzyw, a skończywszy na komputerach. Nie będziecie więcej musieli jeździć do Delaware po podstawowe produkty. Po trzecie, dzięki naszej zdolności dostarczania towarów bezpośrednio od producentów, będziemy mogli wam zapewnić niewiarygodnie niskie ceny. - Szerokim gestem omiótł tłum słuchaczy. - Czy ktoś z was może mi powiedzieć, ile kosztuje

paczka czterech kostek mydła Ivory w sklepie Fletchera na promenade? Jakaś kobieta ochoczo podniosła rękę.

- Tak?

- Pięć dolarów i dwadzieścia pięć centów - powiedziała głosem lekko roztrzęsionym z przejęcia.

- Pięć dolarów i dwadzieścia pięć centów? - powtórzył głośno i pokręcił głową. - Wiecie, ile ta sama paczka będzie kosztowała w supermarkecie DA? Najwyżej dwa i pół dolara.

Tłum zareagował szmerem wymienianych uwag.

- Możecie mi wierzyć - rzekł, z radością witając tę pozytywną reakcję - że obecność naszego supermarketu w waszym mieście stukrotnie wam się opłaci. Nie dość, że zyskacie dostęp do wielu tanich produktów i licznych promocji, to przecież powstaną nowe miejsca pracy, a miasto wzbogaci się na podatkach. Ponadto...

- Ile planuje pan zarobić na tym supermarkecie? - przerwała mu Becky.

Obejrzał się w jej kierunku. Stała z rękoma skrzyżowanymi na pierśsiach. Najwyraźniej poczuła, że nastawienie zebranych obraca się przeciwko niej, dlatego postanowiła przystąpić do kontrofensywy.

- No, słuchamy, panie Gillette. Proszę nam powiedzieć, ile pan zarobi na tym wspaniałym sklepie.

- Nie mam przy sobie dokładnych wyliczeń, ale...

- Co najmniej sto milionów dolarów! - wykrzyknęła.

W tłumie rozległy się głośniejsze szmery.

Gillette uśmiechnął się wyrozumiale i uniósł obie ręce.

- Na pewno jest to suma dużo niższa od stu milionów dolarów. - Zerknął na Percy'ego Lundergarda, który siedział z twarzą ukrytą w dłoniach.

Becky wymierzyła palec w człowieka z drugiego rzędu.

- Wszyscy wiecie, kim jest Fred Jacobs. To najlepszy księgowy w naszym hrabstwie. Na moją prośbę Fred sprawdził kilka liczb. Więc jak

sądziysz, Fred, ile pan Gillette zarobi na naszym sklepie?

Jacobs wstał. Wyglądał na wykładowcę z uniwersytetu, miał siwe włosy i okulary w grubej kościanej oprawce.

- Becky jest bliska prawdy. Około stu milionów dolarów rocznie.

- Możecie mi wierzyć, że to znacznie zawyżone szacunki - zaprotestował głośno Gillette.

- To w takim razie ile?! - wykrzyknęła piskliwie jakaś starsza kobieta z dalszych rzędów.

- Nie umiem w tej chwili podać właściwej liczby.

W tłumie rozległy się pogardliwe okrzyki.

Gillette dostrzegł, że Lundergard znacząco przeciąga palcem po gardle.

- Co więcej, pan Gillette odmówił nam pomocy w kilku najważniejszych sprawach - ciągnęła Becky. - Jego inwestorzy po prostu dali mi piętnaście miliardów dolarowi...

- Nie piętnaście, tylko dwadzieścia - sprostował Jacobs. - Tuż przed zebraniem sprawdzałem aktualne dane na stronie internetowej spółki Everest Capital. Jakaś rodzina bogaczy z Chicago właśnie przekazała dodatkowo panu Gillette'owi pięć miliardów dolarów.

- Zatem dwadzieścia miliardów! - wrzasnęła Becky, niemalże doprowadzając tłum do gorączkowego wrzenia. - Potraficie sobie wyobrazić tak ogromną sumę do waszej dyspozycji?! Bo ja nie potrafię. Otóż poprosiłam pana Gillette'a, by pomógł nam zbudować nową szkołę podstawową. I wiecie, co mi odpowiedział?! Że może dać połowę potrzebnych funduszy. Może nam zbudować pół szkoły! Wyobrażacie to sobie? Proszę teraz powiedzieć, panie Gillette, którą połowę miał pan na myśli? Pierwsze piętro czy może parter?

Tłum zareagował donośnym buczeniem i gwizdami.

- Prawdę mówiąc, powiedziałem tylko...

- Dowiedziałam się czegoś jeszcze, panie Gillette - przerwała mu Becky, oskarżycielsko wymierzając w niego palec wskazujący i tym

samym uciszając zebranych. - Wiem, że jest grupa osób, która chciałaby skierować pana na przesłuchanie do prokuratury w związku z pieniędzmi, które pan od nich otrzymał.

- To nieprawda.

- Jak rozumiem, szykowane jest dochodzenie - dodała głośniejszym głosem, przerykując wrzenie tłumu. Odwróciła się do ludzi. - To na pewno nie jest taki człowiek, jakiego chcielibyśmy w naszym mieście. Możecie mi wierzyć. Człowiek, który chce nam zbudować tylko pół szkoły, a wcześniej będzie przesłuchiwany pod zarzutem defraudacji!

Gillette i Becky Rouse spotkali się na pogrążonej w półmroku, ocienionej wysokimi drzewami ulicy kilka przecznic od szkoły średniej. Walne zebranie mieszkańców w sali gimnastycznej zakończyło się pół godziny wcześniej.

- Czego chcesz? - zapytała, uśmiechając się chytrze. - O czym jeszcze chcesz ze mną rozmawiać?

- Widzę, że jesteś z siebie bardzo dumna, nieprawdaż?

- Owszem.

- Dobrze wiesz, że nie toczy się przeciwko mnie żadne dochodzenie.

Wskazała kciukiem budynek szkoły.

- Tak, ale oni nie muszą tego wiedzieć.

Gillette zerknął przez ramię. Zaparkował samochód należący do Lundergarda nieco dalej i kazał agentowi ochrony zostać przy nim.

- Chcę się dogadać, zakończyć tę bezsensowną wojnę - odparł. - Chcę mieć tu swój sklep, którego budowę pani poprze. - Zaczynało mżyć, po drugiej stronie ulicy jakaś tuląca się do siebie para rozłożyła parasolkę. - Zgodzę się na wszystko, czego pani żąda. Dostaniecie nową podstawówkę, dom starców i radiowozy policyjne. Zależy mi tylko na tym, żeby się dogadać. Nie ma sensu ciągnąć dalej takich przepychanek.

- Więc proszę ich nie prowokować - odparła ostro, podnosząc nieco głos.

Obejrzał się pospiesznie na parę po drugiej stronie ulicy, oddalającą się bez pośpiechu w mętnym blasku ulicznych latarni.

- Spokojnie - syknął, chcąc uspokoić rozmówczynię, gdy tamci ludzie zatrzymali się nagle i obrócili w ich kierunku. - Nie chcę już do tego wracać. Naprawdę nie ma żadnego powodu, żeby podejrzewać jakieś knowania...

- Wszystko każe podejrzewać knowania. Dobrze znam takich jak ty, Christianie. Uważasz, że cały świat kręci się wokół ciebie!

- Daj spokój, Becky, to nie fair. W końcu to ja mam podstawy, żeby się wściekać, to ja zostałem publicznie oskarżony o defraudację...

Wzruszyła ramionami i odwróciła się, żeby odejść.

- Hej, posłuchaj! - rzucił desperacko, dogoniwszy ją w kilku susach. - Staram się tylko...

Nagle błysnęło i rozległ się huk wystrzału. Pocisk trafił Becky z tyłu, wyleciał z przodu i wbił się w ramię Gillette'a. Kobieta poleciała w jego kierunku. Usiłował ją złapać, lecz przelała mu się przez ręce. Była martwa jeszcze zanim padła bez czucia na ulicę.

Huknął drugi strzał, z bliższej odległości.

Odwrócił się na pięcie i ruszył sprintem w głąb ciemnej uliczki. Nie miał złudzeń, że strzelec próbował trafić jego, a nie Becky. Kątem oka dostrzegł, że para po drugiej stronie ulicy skoczyła pod osłonę najbliższego samochodu, tuląc głowy w ramionach. Skręcił gwałtownie w prawo, jednym susem pokonał żywopłot sięgający do pasa i dał nura w ciemną wąską przestrzeń między sąsiednimi domami. Na tylnym podwórzu tylko zmierzył wzrokiem dwumetrowe ogrodzenie z drucianej siatki, po czym skoczył za gęstą kępę krzaków na wprost niego.

Przygięty ku ziemi, ruszył truchtem między szeregami krzewów jeżyn, nie zważając na to, że ich ciernie szarpią mu ubranie. Wypadł z

ogródka między leśne zarośla i jeszcze przyspieszył, ślizgając się na grubej warstwie suchych liści, lawirując między drzewami, które w ostatniej chwili wyłaniały się przed nim z ciemności. Kiedy dotarł do drugiego skraju zagajnika i wybiegł na równoległą uliczkę, przystanął, oparł się plecami o masywny pień dębu i zapatrzył w mrok między drzewami, nastawiając ucha na wszelkie dźwięki dobiegające z tamtej strony. W zagajniku panowała jednak martwa cisza przerywana jedynie monotonnym stukotem deszczu przybierającego stopniowo na sile.

Odczekał dziesięć minut, aż wreszcie zauważył sunący z wolna po mokrym asfalcie policyjny wóz patrolowy, którego migające światła z trudem przebijały się przez gęstniejącą mgłę. Przemknęło mu przez myśl, że ma niezwykle szczęście. Wyszedł spod osłony rozłożystego dębu w strugi światła reflektorów i zaczął szeroko wymachiwać rękoma.

Radiowóz stanął i po chwili drzwi od strony kierowcy otworzyły się powoli.

- Na ziemię! - padł stanowczy rozkaz. - I to już!

Gillette założył ręce za głowę i mrużąc oczy w blasku reflektorów, zapatrzył się przed siebie. Ledwie zdołał rozróżnić sylwetkę policjanta klęczącego za otwartymi drzwiami auta i mierzącego do niego z pistoletu ponad bocznym lustrem.

- Jestem Christian Gillette! Przed chwilą do mnie strzelano! To nie mnie szukacie!

- Na ziemię! Natychmiast! Szeroko rozłożyć ręce i nogi!

Gillette podjął błyskawiczną decyzję i skoczył z powrotem między drzewa. Za jego plecami rozległy się stłumione trzaski policyjnego rewolweru, lecz w tym czasie był już bezpieczny w gąszczu zagajnika, niewidoczny w głębokim cieniu pod drzewami. Dał nura za pobliski szeroki pień i ostrożnie wyjrzał z drugiej strony.

Policjant mówił coś do mikrofonu krótkofalówki, chyba wzywał posiłki. Gillette miał ochotę się poddać, ale przypomniał sobie miniaturowy

dysk optyczny, który wciąż miał w kieszonce koszuli. Podczas aresztowania gliniarze skonfiskują wszystko, co przy nim znajdują, a on nie zamierzał się rozstawać ze ściśle tajnymi plikami. Pod żadnym pozorem nie mógł się z nimi rozstać nawet na chwilę, gdyż mogłyby wpaść w niepowołane ręce.

Z oddali doleciały syreny zbliżających się wozów policyjnych, szybko przybierające na sile. Odwrócił się i ruszył biegiem przez zagajnik wśród szybko gęstniejącego deszczu.

Rozdział 21

Faraday usadowił się wygodnie w ulubionym fotelu, zarzucił nogi na otomanę, włączył pilotem telewizor i sięgnął po wielki pojemnik lodów z kawałkami herbatników, który zawczasu postawił na stoliku obok fotela. Zastanawiał się przez jakiś czas, czy nie wyjść z domu wieczorem, gdyż miał do wyboru kilka zaproszeń, czuł się jednak śmiertelnie zmęczony. Miał za sobą długi tydzień i zależało mu wyłącznie na odpoczynku w zaciszu własnego mieszkania. Jeśli sądzić po minionych niedzielach, powinien zasnąć przed telewizorem najdalej za godzinę, obudzić się koło północy i podreptać do łóżka.

Przez kilka minut oglądał talk-show Jerry'ego Seinfelda, ale gdy skończył się program i lody w pojemniku, przełączył się na wiadomości.

Gdy ponad ramieniem spikerki ujrzał zdjęcie Christiana Gillette'a, błyskawicznie poderwał się z miejsca, zrzucając pojemnik po lodach na podłogę. Prezenterka zakomunikowała, że prezes spółki Everest Capital jest poszukiwany przez policję w związku z podejrzeniem o zabójstwo Becky Rouse, burmistrz Chatham, niewielkiego miasteczka w Marylandzie, i że zatrzymano dwoje świadków strzelaniny, której sprawca zbiegł wobec groźby aresztowania i jest obecnie ścigany jako szczególnie groźny przestępca.

Gillette odszukał i wybrał w pamięci telefonu komórkowego numer Percy'ego Lundergarda. Sam znajdował się gdzieś na wschodnim obrzeżu Chatham, na skraju pola kukurydzy, przed parkingiem dla przyczep

mieszkalnych. Chciał jak najszybciej wynieść się ze Wschodniego Wybrzeża w stanie Maryland, ruszając albo na północ do Wilmington w Delaware, albo na zachód przez most nad zatoką Chesapeake w kierunku Waszyngtonu. Przyciskając ręce do boków, zaczął dreptać w miejscu. Deszcz nie ustawał, temperatura szybko spadała.

- Halo.

- Percy?

- Christian?

- Tak.

- Gdzie jesteś?

- Co się dzieje, do cholery? - zapytał ostro. - Dlaczego gliniarze z Chatham godzinę temu próbowali mnie aresztować?

- Policja uważa, że zabiłeś Becky Rouse.

- Co?! Przecież to jakaś głupota!

- Powiedziałem im dokładnie to samo.

- Ten, kto strzelał, próbował trafić mnie - wyjaśnił.

- Ale policja twierdzi, że ma dwoje naocznych świadków.

Pewnie tę parę, która szła po drugiej stronie ulicy pod parasolem. Musieli słyszeć, jak Becky wykrzykuje jego imię.

- Poza tym utrzymuje - dodał Lundergard - że odnalazła narzędzie zbrodni, na którym są twoje odciski palców.

Na pewno specjalnie tam umieszczone.

- A co z tym agentem, który mi towarzyszył? Moim ochroniarzem.

- Przepadł jak kamień w wodę.

Pewnie już nie żył, a wcześniej albo pomagał zabójcy, albo też sam strzelał do Becky. Gillette poklepał się po kieszonce na piersi, żeby się upewnić, że wciąż ma przy sobie przenośny dysk optyczny. Dysponował dobrze uzasadnionymi podejrzeniami co do tożsamości ludzi odpowiedzialnych za śmierć pani burmistrz. Jeśli nawet nie umiał podać nazwiska człowieka, który pociągnął za spust, to z pewnością mógł wskazać tych, którzy pociągali za sznurki.

- Może byś przyszedł do mnie? Wiesz, gdzie mieszkam - zaoferował Lundergard. - Spróbujemy razem wykombinować, co robić dalej.

Gillette zamyślił się na krótko.

- W porządku. Zaraz tam będę.

Faraday chwycił słuchawkę w nadziei, że dzwoni Gillette. Ale to była Allison.

- Słyszałeś już, co się stało? - zapytała podniecona, ledwie odebrał połączenie.

- Chodzi ci o Christiana?

- Oczywiście, że o niego.

- Właśnie oglądam wiadomości telewizyjne.

- Jak sądzisz, Nigel, do czego tam naprawdę doszło?

- Ktoś popełnił kardynalny błąd.

Lundergard odłożył słuchawkę i spojrzał na Jima Cochрана, komendanta policji w Chatham, który stał na środku saloniku. Towarzyszyło mu dwóch ubranych po cywilnemu mężczyzn, którzy przedstawili się jako agenci federalni. Gospodarz ledwie zdążył rzucić okiem na ich złote odznaki służbowe, którymi tylko machnęli mu przed nosem, ale Cochran zdawał się nie mieć żadnych wątpliwości.

- I co? - zapytał chrapliwym głosem.

- Powiedział, że zaraz tu będzie, więc lepiej zabierzcie szybko sprzed domu wszystkie radiowozy.

Tymczasem Gillette wybrał numer Derricka Walkera. Wcześniej długo się zastanawiał, czy do niego zadzwonić. Jeśli agent, który towarzyszył mu w wyprawie do Chatham, obrócił się przeciwko niemu, trudno było wykluczyć, że Walker postąpi tak samo. Przynajmniej pod jednym

względem różnił się od Stilesa, nie był mianowicie właścicielem QS Security, toteż łatwo go było przekupić. Ostatecznie jednak uznał, że nie ma wyboru. Musiał skorzystać z czyjejs pomocy.

Walker odebrał już po pierwszym sygnale.

- Halo - rzucił stanowczo. - Nic ci nie jest?

Najwyraźniej od razu zidentyfikował numer, który się pojawił na jego wyświetlaczu.

- Gdzie jesteś? - zapytał Gillette.

- Na komendzie policji w Chatham.

- Możesz swobodnie rozmawiać?

- Tak - odparł tamten cicho.

- Nie zabiłem tej kobiety. - Poczul się głupio, że musiał złożyć takie oświadczenie. Gdyby na miejscu Walkera był jeszcze Stiles, nie troszczyłby się o tego rodzaju deklaracje.

- Dla mnie to oczywiste.

- Co się stało z twoim człowiekiem? - zapytał Gillette. - Tym, który był ze mną od początku dzisiejszej podróży.

- Jestem prawie pewien, że nie żyje. Nie odbiera telefonu komórkowego, nie odpowiada na wezwania pagera.

- Może jest w zмовie z zabójcą Becky Rouse? Może to właśnie on ją zabił?

- Wykluczone. Znaliśmy się z Lionelem od siedmiu lat. Gotów byłbym ręczyć głową za niego. Tylko dlatego wysłałem go w dzisiejszą podróż z tobą. A teraz ty mi powiedz, do cholery, co się dzieje - syknął ze złością. - Wiesz, o co w tym wszystkim chodzi?

Gillette zawahał się na chwilę.

- Jestem prawie pewien, że wiem, ale wolałbym nie mówić o tym przez telefon. - Popatrzył na mężczyznę, który wyszedł z jednej z pobliskich przyczep mieszkalnych z czarnym plastikowym workiem, wepchnął go do pojemnika na śmieci i pospiesznie zniknął w nagrzanym

wnętrzu.- Muszę się z tobą zobaczyć.

- Gdzie?

- Tam, gdzie byłem dzisiaj umówiony na spotkanie.

Walker rozłączył się i błyskawicznie wybrał inny numer. Połączył się zaledwie na dwie sekundy. Jak tylko schował aparat do kieszeni, wstał zza biurka, przy którym siedział, i odwrócił się do Jima Cochрана czekającego w napięciu w otoczeniu kilku swoich zastępców.

- Jest pan aresztowany, panie Walker. Proszę się odwrócić i spleść ręce za plecami.

- Pod jakim zarzutem chcecie mnie aresztować? - zapytał stanowczo.

- Udzielania aktywnej pomocy poszukiwanemu przestępcy?

- Jakiemu przestępcy?

- Christianowi Gillette'owi.

Gillette pognał sprintem przez otwartą przestrzeń parkingu w stronę ciężarowego ciągnika z naczepą zostawionego z włączonym silnikiem. Nie zamierzał zjawiać się w domu Percy'ego Lundergarda ani też w żadnym innym miejscu, gdzie mogliby na niego czekać przedstawiciele władz. Przyglądał się uważnie kierowcy ciągnika, który wyskoczył z szoferki i pobiegł truchtem przez deszcz do łazienki przy stacji benzynowej. Dygocząc z zimna, wcisnął się w wąską przestrzeń między kabiną ciągnika a przednią ścianką naczepy. Zapowiadała się podróż w bardzo nieprzyjemnych warunkach.

Rozdział 22

Czekał aż dwie godziny na pojawienie się Derricka Walkera na pierwszym poziomie tego samego piętrowego garażu w Georgetown, gdzie przed kilkoma dniami spotkał się z Tedem Caseyem, specjalistą z CIA. Poniewczasie uświadomił sobie, że policja mogła się także dobrać do ochroniarza, gdyż ten miał aż półtora dnia, żeby dotrzeć na umówione miejsce, a mimo to się nie pokazał.

Ostatnie dwie noce spędził pod gołym niebem. W sobotę zaszył się pod mostem kolejowym na południowy zachód od Waszyngtonu, usiłując znaleźć schronienie przed ulewnym deszczem, a ostatnia noc minęła mu pod gwiazdami, na rozgrzanej wielkiej kracie wylotowej systemu wentylacyjnego nieopodal pomnika Waszyngtona, w towarzystwie trzech innych włóczęgów zakutanych w brudne i dziurawe koce. Po przejściu frontu deszczowego noce zrobiły się nadspodziewanie zimne jak na początek października. Do tej pory nie używał kart kredytowych ani płatniczych i nie korzystał z telefonu komórkowego, żeby nie można go było namierzyć. Ale teraz przestało to już mieć znaczenie.

Było pięć po dziesiątej, a musiał się dostać do Tysons Corner w północnej Wirginii, odległego o dwadzieścia minut jazdy taksówką. Aż westchnął ciężko. Naprawdę bardzo by mu się teraz przydała pomoc Walkera.

Tysons Corner, odległy o dwadzieścia kilometrów na zachód od centrum Waszyngtonu, leżał niedaleko miejsca, gdzie Gillette po raz pierwszy spotkał się z Boydem i Ganze'em. Stanowiąc końcową część

„Korytarza Dullesa” - lokalnego skupiska firm zajmujących się nowoczesną techniką i ciągnącego się aż do lotniska Dullesa leżącego kolejne dwadzieścia kilometrów dalej na zachód - mieścił zarazem dwa duże popularne centra handlowe, Tysons I i II, odległe od siebie zaledwie o kilometr.

Nowsze Tysons II, zbudowane na szczycie wzniesienia górującego nad okolicą, było wciąż rozrastającą się gigantyczną trzypoziomową halą pełną modnych sklepów oraz restauracji i stykającą się z hotelem Ritz-Carlton oraz dwoma biurami wyrastającymi po obu jego stronach. W ciągu minionych paru lat Gillette kilkakrotnie zatrzymywał się w tym hotelu, uczestnicząc w rozmaitych konferencjach, toteż doskonale znał to centrum handlowe zwane także Galerią. Świetnie wiedział, że w porze lunchu będzie tam mnóstwo ludzi, co stwarzało znakomite warunki do przeprowadzenia jego planu.

Było dwadzieścia po dwunastej. Przed czterdziestoma minutami zadzwonił do Boyda i Ganze'a i dał im czas do wpół do pierwszej, żeby tu dotarli. Zgodzili się spotkać z nim bez zwłoki. Miał więc pełną świadomość, jak olbrzymią wartość przedstawiają dla nich zapisy na dysku optycznym.

Aż się skrzywił na myśl, że Mary, taka nieśmiała i załęknioma, zdobyła się na odwagę i oddała mu ten dysk. Nie wątpił, że już się do niej dobraćali. Podobnie jak do Davisa. Jedynie od tych dwóch osób mogli uzyskać informacje pozwalające im na szacunkową ocenę tego, co znajduje się na dysku. Mógł mieć jedynie nadzieję, że oprawcy okazali się litościwi i szybko skrócili cierpienia obu ofiar. I liczył na to, że jeśli w ciągu najbliższych minut coś pójdzie niezgodnie z jego planem, tak samo postąpią z nim.

Ruszył powoli przed siebie w czapeczce baseballowej nasuniętej głęboko na oczy, rozglądając się uważnie. Jego celem była PF Chang's, modna chińska restauracja znajdująca się blisko północno-zachodniego

końca hali. Nie przejmował się zbytnio tym, że ludzie Boyda, włączając w to także gangsterów z rodziny Carbone - będą chcieli od razu go zabić. Boyd potrzebował zapisów z dysku optycznego niemal tak samo, jak powietrza do oddychania, toteż nie powinien podejmować żadnych głupich kroków. W każdym razie jeszcze nie teraz. Obawiał się jednak policji oraz zwykłych ciekawskich. Jeśli nadal był podejrzewany o zabicie Becky Rouse, gliniarze z pewnością go poszukiwali, nawet tutaj, po zachodniej stronie zatoki. A jeśli jego zdjęcie pokazywano już w wiadomościach telewizyjnych, istniało niebezpieczeństwo, że spróbuje go zatrzymać jakiś samozwańczy bohater żądny swoich pięciu minut sławy.

Skierował się do ruchomych schodów, wjechał na drugie piętro i skręcił w stronę sklepu Hallmarka znajdującego się na wprost schodów. Boyd stał przed sklepem, sam, dokładnie tak, jak mu polecił.

- No proszę, kogo to widzą nasze oczy - zaczął ironicznie, gdy Gillette zatrzymał się trzy metry przed nim. - Wyglądasz jak ostatnia łachudra.

- Ale jeszcze żyję.

- Tylko dlatego, że ja ci jeszcze na to zezwoliłem. Oddawaj dysk - zażądał Boyd.

- Nie tak szybko.

- Już ci mówiłem, kolego, że mam mnóstwo bardzo wysoko postawionych przyjaciół. Mogę w jednej chwili doprowadzić twój Everest do ruiny. Wystarczy znaleźć choćby jedną podejrzaną rzecz i będzie po ptakach. - Uśmiechnął się chytrze. - A właśnie w tej chwili na twoim komputerze w biurze Everestu, Christianie, jest instalowana biblioteka dziecięcej pornografii, zawierająca pokaźny zbiór naprawdę obrzydliwych zdjęć ściąganych z sieci przez ostatnie lata. Przystąpiliśmy do jej instalacji wczoraj, oczywiście zdalnie. Ale nikt nie będzie miał pojęcia, że odbyło się to właśnie w ten sposób. Federalnym wystarczy, że słynny Christian Gillette jest miłośnikiem dziecięcej pornografii. Wiesz, kolego,

jak to będzie wyglądało na łamach „The New York Times”?

- Na razie to jeszcze ja mam dysk optyczny, więc reszta się sama ułoży, gdy prawda wyjdzie na jaw.

- Cieszę się, że tak uważasz. Możesz dalej tkwić w swojej naiwności.

- Ty żyjesz w swoim świecie, Norman, a ja w swoim.

- No i, rzecz jasna, jest jeszcze taki drobiazg, jak morderstwo pani burmistrz Rouse z Chatham.

- Dobrze wiesz, że jej nie zabiłem.

- Ale gliny sądzą, że to zrobiłeś. Tylko to ma znaczenie. A teraz od dawaj mi ten cholerny dysk!

Gillette przysunął się do niego o krok.

- Naprawdę uważasz, że tak po prostu ci go oddam, żeby z pobliskich sklepów wysypali się ludzie Carbone i załatwili mnie na miejscu? - W oczach Boyda pojawiły się błyski zdumienia. - Musiałbym być idiotą, nie sądzisz?

Przecież ci ludzie się nie zawahają przed zabiciem w miejscu publicznym. Im jest wszystko jedno, byle wykonać zleconą robotę, prawda?

Boydem wstrząsnął dreszcz obrzydzenia. Gillette bezbłędnie trafił w jego słaby punkt, a to z kolei jeszcze bardziej nasiliło podejrzenia.

- Zależy mi tylko na zamknięciu pewnej sprawy. Od samego początku nie oczekiwałem od ciebie niczego więcej.

- Jakiej sprawy?

- Zależy mi na wyjaśnieniach dotyczących moich rodziców, które obiecał mi Ganze.

- Ja nic o tym nie wiem. W tej sprawie musiałbyś porozmawiać z Danielem, ale nie życzyłeś sobie, żeby przyjeżdżał tu ze mną.

- Ale i tak jest w centrum, prawda?

Boyd skinął głową.

- Tyle że ja nic nie wiem na temat twoich rodziców.

- Chyba jednak wiesz. Być może Ganze i reszta ludzi z twojego otoczenia sądzą, że tak jest, ale moim zdaniem to nieprawda. Wydaje mi się, że to ty podsunałeś Ganze'owi i mnie Marilyn McRae. Nie wątpię, że byłaby gotowa aż do śmierci przysięgać wszystkim wokół, że jest moją biologiczną matką, ale wiem, że tak nie jest. Co jej za to dałeś, Norman? Forsę? Karierę? Obiecałeś jej cały świat u stóp, jeśli wyrządzi drobną przysługę tobie i twoim koleśiom z rządu? Pewnie przez wiele lat wodziłeś ją za nos. - Urwał na chwilę. - Tak samo, jak próbowałeś wodzić mnie z zakupem przywilejów budowlanych w Las Vegas, żeby twoi kumple z rodziny Carbone mogli wziąć swoją działkę za pośrednictwem firmy Carmine'a Torino, a później jeszcze położyć łapy na dochodach nowego kasyna. Bo to my jako jedyjni zawarliśmy w ofercie zakupu przywilejów plan budowy kasyna. Mam rację, Norman?

Boyd uśmiechnął się skąpo.

- Plan wydawał się genialny. Zawsze szukałeś sposobów na spłacenie bandziorów z rodziny Carbone za brudną robotę odwalaną za ciebie, za tortury i zabójstwa. Zgadza się? Skontaktowałeś się z kilkoma członkami zarządu, których miałeś w kieszeni, i kazałeś im poprzeć w konkursie ofertę Everestu, mimo że wpłynęła konkurencyjna oferta wyższa o pięćdziesiąt milionów dolarów. Nasza wygrana w konkursie to twoja robota, prawda?

Boyd wzruszył ramionami.

- Nigdy tego nie udowodnisz.

- Jakim cudem mogłeś mieć aż taki wpływ na decyzję zarządu NFL?

- Przysługa tu, przysługa tam. Czasami ginie bez śladu sądowy pozew o alimenty, kiedy indziej jakiś ojciec znajduje nieoczekiwane wsparcie w celu ratowania syna uzależnionego od narkotyków. Są na to setki sposobów, Christianie. Każdy ma jakieś problemy. Dopóki się o nich wie, łatwo pokierować sprawami według własnego uznania.

- Od jak dawna współpracujesz z rodziną Carbone?

- No, dobra, dość tego. Oddawaj ten cholerny dysk.

Popatrzył Boydowi prosto w oczy.

- To właśnie odkrył mój ojciec, prawda? Trafił na ślad twoich powiązań z mafią? I z tego powodu go zabiłeś? Nie było żadnego spisku mającego na celu zabicie prezydenta. Wymyśliłeś sobie ten spisek.

Boyd zamrugał szybko.

- Co? - Na jego twarzy odmalował się jakiś dziwny nieodgadniony wyraz.

- Właśnie z tego powodu zabiłeś mojego ojca? - powtórzył głośniej Gillette.

- Rozum ci odebrało? Co to za pytanie?

- Mam zdjęcie, na którym siedzisz z Laną na patio naszego domu w Bel Air na kilka miesięcy przed katastrofą, w której zginął ojciec. To wtedy wyciągnąłeś od Lany personalia wszystkich kobiet, z którymi ojciec miał nieślubne dzieci. Zapewne próbowałeś go szantażować, że jeśli piśnie choć słówko na temat twoich podejrzanych sprawek, będzie musiał zrezygnować z miejsca w Senacie. Ale nic z tego nie wyszło, prawda? Mimo wszystko zamierzał ujawnić twoje powiązania, wyciągnąć na światło dzienne związki z rodziną Carbone, zdemaskować proceder kradzieży wyników rządowych programów badawczych i sprzedawania ich na boku. Na tej samej zasadzie teraz usiłujesz wykraść wyniki badań z zakresu nanotechniki. W imię bezpieczeństwa narodowego zamordowałeś niewinnych ludzi, tyle że miało to związek nie z zagrożeniem naszego państwa, lecz twoich prywatnych interesów. Tu chodzi wyłącznie o twój sposób na wzbogacenie siebie i swoich koleśków.

Boyd przygryzł wargi.

Gillette podszedł jeszcze bliżej, stanął tuż przed nim.

- Powiedz mi, czy mam rację, Norman. Muszę to wiedzieć. - Smutno pokiwał głową. - Zdaję sobie sprawę, że łatwo możesz się mnie pozbyć, wrabiając chociażby w zabójstwo Becky Rouse. Nie wątpię, że za bardziej błahe sprawy wrabiałeś już gorzej różnych ludzi.

- A żebyś wiedział, że tak.

- Więc powiedz mi teraz wprost, czy mam rację. Wtedy dostaniesz swój dysk.

Wargi Boyda powoli wygięły się w ironicznym uśmiechu, a po chwili rozległ się złowieszczy chichot.

- Jesteś bardzo sprytny, Christianie. I nie brak ci odwagi. Mógłbyś pracować dla mnie. - Westchnął ciężko. - A teraz oddaj mi ten cholerny dysk.

Gillette zwrócił uwagę na dwóch bandziorów wychodzących ze sklepu Hallmarku. Bez namysłu wymierzył prawy prosty w szczękę Boyda, zawrócił na pięcie i pognął w dół ruchomymi schodami, przeskakując po cztery stopnie i roztrącając ludzi stojących mu na drodze. Na pierwszym piętrze ze sklepu z damską bielizną wybiegło mu naprzeciw dwóch innych bandziorów. Pierwszy szerokim sierpem trafił go w bok głowy, drugi wymierzył cios w brzuch. Wszyscy trzej zwalili się na ziemię i potoczyli z impetem, ścinając z nóg jakąś kobietę, która zaczęła histerycznie wrzeszczeć. Gillette znalazł się twarzą do posadzki i poczuł, jak napastnicy brutalnie wykręcają mu ręce do tyłu.

Nagle z kilku sklepów naraz wysypała się gromadka agentów, dwaj bandyci zostali błyskawicznie odciągnięci od niego, postawieni na nogi i przyciśnięci twarzami do ściany.

Odzyskawszy swobodę ruchów, Gillette poderwał się z ziemi i popędził kładką prowadzącą do wejścia hotelu Ritz. Wpadł do holu, przemierzył go w kilku susach i wskoczył do windy zjeżdżającej do głównego lobby hotelu na poziomie ulicy.

Boyd uniósł rękę do stłuczonej twarzy i jęknął z bólu. Cios Gillette'a nie tylko zwałił go z nóg, ale i ogłuszył. Dopiero teraz wracała mu świadomość. Z wysiłkiem klęknął na czworakach i wspierając się o ścianę, powoli stanął na nogi. Zamrugał szybko, żeby usunąć resztki mgły sprzed oczu, i ujrzał stojącego na wprost mężczyznę.

- Witam, panie Boyd. Nazywam się Ted Casey i jestem z Centralnej Agencji Wywiadowczej. - Obejrzał się na swoich ludzi i rozkazał: - Zabrać go.

Gillette wypadł głównymi drzwiami na ulicę i ruszył truchtem przez dziedziniec w stronę frontowego wejścia biurowca stojącego na prawo od hotelu. Za szklanymi drzwiami obrotowymi skręcił w lewo, w kierunku wejścia do restauracji Palm.

- Tim?

Kierownik sali podniósł głowę znad swojego biurka.

- Słucham.

- Nazywam się Christian. Byłem tu jakąś godzinę temu i wynająłem skrytkę na wino.

- Ach tak, oczywiście.

- Muszę się do niej dostać.

- Jasne, proszę za mną.

Tim poprowadził go do regału mieszczącego sto szafek, w których klienci przechowywali zakupione i napoczęte wina.

- Który numer?

- Dwanaście.

Kierownik wręczył mu klucz.

Gillette otworzył drzwiczki i wsunął rękę do środka. Miniaturowy dysk optyczny leżał tam, gdzie go zostawił.

- Dziękuję.

Po wyjściu z restauracji skręcił w lewo, minął windy i skierował się do drzwi prowadzących na piętrowy parking. Casey miał mu zostawić samochód na trzecim poziomie. Gillette przeszedł na parking i skręcił do schodów.

- Stój! Ani kroku dalej!

Błyskawicznie uniósł wzrok. Na podeście schodów stał Daniel Ganze i mierzył do niego z pistoletu.

- Oddaj mi dysk, Christianie.

Gillette osłupiał, kilka razy przeniósł wzrok z ciemnego wylotu lufy na twarz Ganze'a i z powrotem. Wreszcie pokręcił głową.

- To już koniec, Ganze. Boyd został aresztowany.

- Gównu mnie on obchodzi.

Gillette jeszcze raz pokręcił głową, jakby chciał tamtemu dać do zrozumienia, że niczego nie rozumie.

- Nie musisz razem z nim iść na dno. Zależało im tylko na Boydzie.

- A mnie zależy tylko na dysku. Koniecznie musimy zabezpieczyć nagrane na nim pliki.

- Nie było żadnego przecieku, Ganze - zapewnił go. - Żadnego łącznika siatki terrorystycznej. Boyd to wszystko wymyślił dla zamydlenia nam oczu.

Ganze się uśmiechnął.

- Sprytnie, no nie?

Gillette przymrużył powieki.

- Słucham?

- Nie ma żadnego zagrożenia ze strony terrorystów. Tu chodzi wyłącznie o spłatę zobowiązań.

Zbiegł po schodach, wyszarpnął dysk z kieszeni koszuli Gillette'a, odskoczył błyskawicznie, uniósł pistolet i ponownie wymierzył w niego.

Huk wystrzału rozległ się ogłuszającym echem w ciasnej klatce schodowej. Gillette osunął się na kolana w oczekiwaniu na pojawienie się nieznośnego bólu. Ale ten nie nadchodził. Rozległ się tylko głuchy odgłos zwalającego się bezwładnie Ganze'a na betonowy podest schodów i metaliczny klekot pistoletu spadającego po stopniach.

Gillette błyskawicznie otworzył oczy i obejrzał się na wyższy ciąg schodów. Napotkał nieruchome spojrzenie Quentina Stilesa.

Rozdział 23

Gillette i Stiles siedzieli na ławce przed frontowym wejściem do hotelu Ritz-Carlton. Minęły trzy godziny od chwili, gdy Stiles położył trupem Daniela Ganze'a. Ludzie Teda Caseya już uprzątnęli zwłoki, a miniaturowy dysk optyczny znajdował się znowu w kieszeni Gillette'a.

- W porządku, dzięki - rzekł, kończąc rozmowę telefoniczną.
- Kto to był? - zapytał Stiles.
- Casey.
- Tak? I co powiedział?

Gillette przygryzł wargi. Przepęłniała go radość na widok żywego najlepszego przyjaciela, ale jednocześnie doskwierał smutek wywołany ostatnimi burzliwymi przejściami. W końcu to przez nie uważał Stilesa za zmarłego.

- Jego ludzie właśnie skończyli przesłuchiwać zbirów z rodziny Carbone zatrzymanych w centrum handlowym.

- Wyciągnęli z nich coś ciekawego?

Gillette przeciągnął się szeroko. Miał już zarezerwowany pokój w hotelu Ritza, w którym za kilka minut mógł przystąpić do odsypiania zaległości.

- Kilka tygodni temu David Wright zabił jakąś kobietę na zapleczu sex-shopu w West Village.

- Matko Boska...

- Mafia się o tym dowiedziała. Przez to Celino zmusił Wrighta do uległości. Mieli nagrany na kasecie wideo przebieg całego zabójstwa.

- Co go teraz czeka? Zostanie oskarżony?

- Ludzie Caseya już powiadomili wydział zabójstw nowojorskiej komendy policji. Gangsterzy nie znali żadnych szczegółów tej sprawy, ale nie ma wątpliwości, że David wylądował za kratkami.

- A co z Milesem Whitmanem? - zaciekawiał się Stiles.

- Zabójcy mafijni na zlecenie Boyda zlikwidowali go w południowej Francji. Wcześniej torturowali go, żeby się dowiedzieć, gdzie szukać Toma McGuire'a. Whitman co miesiąc przekazywał McGuire'owi pieniądze z tych czterdziestu milionów dolarów, które w ubiegłym roku CIA pomogła mu przelać na prywatne konto.

- Dlaczego CIA pomagała Whitmanowi?

- Bo przez lata pozwalał im wykorzystywać towarzystwo ubezpieczeniowe North America Guaranty jako przykrywkę. Ogólnie rzecz biorąc, pomagał w ten sposób agencji szpiegować mnóstwo różnych osób w Stanach Zjednoczonych, najczęściej bogatych i znanych.

Stiles splunął na chodnik.

- W przyjemnym świecie żyjemy, nie sądzisz?

- Owszem.

- Nie rozumiem tylko, czemu w końcu CIA poinformowała Boyda, gdzie Whitman się ukrył.

- Agencje ze sobą współpracują. Poza tym sądzę, że ludzie z CIA do końca nie wiedzieli o powiązaniach Boyda z rodziną Carbone.

- A co z Allison Wallace? - zapytał Stiles. - Rzeczywiście współpracowała z mafią, jak utrzymywał Wright?

- Nie - odparł Gillette. - W tym zakresie Celino blefował. Chciał w ten sposób mieć większy wpływ na Wrighta. Okazało się, że ona jest w porządku. Co ciekawe, jej nowy asystent Hamid także ma kartotekę bez zarzutu. - Uniósł rękę. - Zaraz, chwileczkę... Przecież ty nic nie wiesz o Hamidzie. Przez cały ubiegły tydzień byłeś już martwy.

Stiles zachichotał.

- Derrick Walker opowiedział mi o wszystkim, zwłaszcza o awanturze,

jaką zrobiła Allison, gdy moi ludzie nie chcieli wpuścić Hamida do biura. - Zaśmiał się w głos. - To wcale nie jest zabawne, Quentinie.

- Daj spokój, Chris, wyluzuj wreszcie.

- Pieprz się - warknął Gillette. Już od trzech godzin miał straszną ochotę rzucić to detektywowi prosto w twarz.

- Hej, przecież po raz drugi uratowałem ci życie! - rzucił tamten. - Mógłbyś przynajmniej okazać odrobinę wdzięczności.

- Przez ciebie mnóstwo ludzi pogrążyło się w żałobie.

- Nie miałem innego wyjścia. Musiałem tak postąpić.

Gillette aż zazgrzytał zębami.

- Niby dlaczego? Co się stało?

Stiles odwrócił głowę i zapatrzył się w głąb placyku przed hotelem.

- Rano przed wypłynięciem w rejs moi chłopcy skontrolowali cały jacht i odnaleźli ukrytą broń w kajucie załogi. Szybko zdołaliśmy ustalić, że należy do majtka. Zgarnęliśmy go pod pokład przed waszym przyściem i wpłynęliśmy na niego, żeby wszystko wyśpiewał. Wyjaśnił ze szczegółami mafijne zlecenie na sprzątnięcie mnie, postanowiłem więc wykorzystać nadarżającą się okazję. Umieściliśmy faceta pod... ścisłą kuratelą, by powstało wrażenie, że zaszył się gdzieś po kryjomu w obawie przed zemstą mafii. Mówiłem ci wcześniej, że przy pomocy jednego z informatorów rozpracowuję pewną sprawę w Filadelfii, pomyślałem więc, że przyspieszę bieg zdarzeń, jeśli ludzie, wobec których prowadzę dochodzenie, zyskają pewność, że mnie sprzątnęli. Ta sprawa dotyczyła z grubsza powiązań, o których już dobrze wiesz, ścisłej współpracy rodziny Carbone z przedstawicielami władz. Nie udało mi się tylko rozgryźć, o którą agencję chodzi. Jak już wspominałem, Walker pokrótce zrelacjonował mi wydarzenia z minionego tygodnia. Zadzwoił do mnie z Chatham tuż przed tym, jak policja wpakowała go za kratki. Tylko dzięki temu udało mi się wpaść na twój trop.

Gillette pokręcił głową i wstał z ławki. Dowiedział się już wystarczająco dużo, a oczy kleiły mu się coraz bardziej.

- Muszę iść do łóżka - rzekł.

- Lepiej się przedtem wykup - doradził Stiles, także wstając. - Gorąca kąpiel bardzo ci się przyda.

Nie odpowiedział, tylko ruszył w stronę wejścia do hotelu.

- Hej, Chris! - zawołał za nim detektyw.

Gillette stanął i odwrócił się.

- Co jeszcze?

Stiles podszedł wolno do niego, zawahał się wyraźnie, po czym objął go i serdecznie uściskał.

- Przepraszam, kolego. Bardzo przepraszam, że musiałem ci to zrobić. Ostatecznie chciałem ci przecież pomóc.

Gillette westchnął głośno, po czym odwzajemnił serdeczny uścisk. Życie jest za krótkie, żeby dłużej się złościć na najlepszego przyjaciela, pomyślał.

- Tak, wiem - mruknął.

Po kilku sekundach odsunęli się od siebie. Gillette przełknął ślinę i zaczął nieśmiało:

- Quentinie, ja... tego... no... - Puls łomotał mu w skroniach. Nie wiedział, jak wyrazić to, co czuje. - Pewnie wiesz, że...

- Tak, wiem - przerwał mu Stiles, szczerząc zęby w szerokim uśmiechu.

- Dzięki - szepnął Gillette i po raz kolejny ciężko westchnął. - Hej, a ty dokąd? - zapytał, gdy Stiles odwrócił się na pięcie i ruszył w przeciwnym kierunku.

- Do Chatham. Muszę wyciągnąć Walkera z aresztu.

Rozdział 24

Faith i Gillette zegnali się w limuzynie stojącej na Park Avenue przed siedzibą Everestu. Ona za kilka godzin wyruszała na dwutygodniową trasę koncertową promującą jej nowy album, który właśnie trafił do sklepów i szybko piął się w górę list przebojów. On zaś miał się zjawić w biurze po raz pierwszy od chwili, gdy w Wirginii Zachodniej stawił czoło Normanowi Boydowi.

Tamtego dnia miał na sobie urządzenie podsłuchowe, toteż cała jego rozmowa z Boydem została nagrana i Ted Casey miał aż nadto dowodów, żeby przekazać sprawę prokuraturze. Dzwonił z samego rana, by przekazać, że według wszelkiego prawdopodobieństwa Boyd już nigdy nie wyjdzie na wolność, mimo licznych kontaktów z wysoko postawionymi ludźmi. Natomiast Ganze leżał na oddziale intensywnej terapii w szpitalu niedaleko centrum handlowego i było prawie pewne, że jeśli stamtąd wyjdzie, również trafi do więzienia. Dodał jeszcze, że Gillette ma teraz dobrych przyjaciół w CIA, na których zawsze może liczyć.

- To był cudowny weekend. - Faith, siedziała przytulona do niego i w zamyśleniu wodziła palcami po jego przedramieniu. Dwa dni spędzili razem w luksusowym kurorcie na Antigui.

- Dla mnie też - odpowiedział, uśmiechając się do niej.

- Będę tęskniła. Nawet nie wiesz, jak będzie mi ciężko z myślą, że nie zobaczymy się tak długo.

- Domyślam się.

Wyprostowała się i obróciła twarzą do niego.

- Wiesz co, Christianie?

- Tak?

- Przepraszam za swoje zachowanie, za to, że nie odpowiadałam na twoje telefony. Byłam po prostu zazdrosna - wyjaśniła z naciskiem. - A teraz mi strasznie głupio. Chciałam ci to powiedzieć już na Antigui, ale... No cóż, w każdym razie obiecuję, że coś podobnego już się nigdy nie powtórzy. Daję słowo.

Pokręcił głową.

- To ja nie powinienem był zapraszać Allison na tamten rejs, skoro ciebie nie było w kraju. Postąpiłem...

Faith pospiesznie uciszyła go, przykładając mu palce do warg.

- Dość. Przecież ona jest twoją współniczką. Teraz doskonale to rozumiem, naprawdę. I bardzo się cieszę, że nic ci już nie grozi, że cała ta afera z ludźmi z Waszyngtonu pomyślnie dobiegła końca.

Uśmiechnął się krzywo.

- Cieszysz się?

- A jeszcze bardziej z tego, że Quentin jest cały i zdrowy.

- No tak...

Sam nie umiał nawet wyrazić, jak bardzo on się cieszył z tego powodu. Niemniej jej słowa sprawiły mu satysfakcję.

- I cieszę się też, że wreszcie zamknąłeś sprawę śmierci swojego ojca.

Skinął głową. Dopiero teraz, po szesnastu latach, dowiedział się, co naprawdę spotkało jego ojca. Miał nadzieję, że wyjaśnienie zagadki pozwoli mu się pogodzić z śmiercią ojca, zlikwiduje to straszliwie wrześnie pustki w sercu. Niestety mylił się.

- Dzięki.

Jeszcze raz przeciągnęła palcami po jego ramieniu.

- Muszę już iść.

- Wiem.

- Chris?

- Tak?

Zawahala się.

- Jestem gotowa.

- Na co?

Odsunęła się, wyprostowała i zarzuciła mu ręce na szyję.

- Żeby być twoją. Chcę, żebyśmy złożyli sobie nawzajem zobowiązania. Przysięgli sobie wierność.

- To wspaniale, widzieć cię tu z powrotem, staruszkę - rzekł Faraday, siadając na krześle przed biurkiem. Był uśmiechnięty od ucha do ucha. Gillette zrelacjonował mu pobieżnie przebieg rozmowy z Boydem w centrum handlowym i aresztowanie zbirów rodziny Carbone. - Dla mnie tylko to się liczy.

Gillette rozejrzał się po swoim gabinecie.

- Ja też się bardzo cieszę. - Zaledwie po dwóch dniach na Antigui zaczynał już tęsknić za tym biurem. Naprawdę nie umiałby bez niego żyć. - Teraz ty opowiadaj, co tu się działo, dobra? - W czasie pobytu na Karaibach Faith zabroniła mu jakichkolwiek kontaktów ze współpracownikami.

- Jasne. No więc sprawę firmy Hush-Hush przekazałem Blairowi Johnsonowi. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu.

- Skądże.

- Blair doskonale sobie radzi, Maddox i Hobbs go uwielbiają. Mam wrażenie, że nikt specjalnie nie tęskni za Wrightem. Poza tym... - uniósł wzrok znad swoich notatek - Francuzi codziennie się dopominają o kolejne materiały. Wygląda na to, że sprawę załatwimy od ręki. I to bardzo szybko. Tak, jak przewidywałeś.

To się Gillette'owi bardzo podobało.

- Niewiele się wydarzyło w sprawie przywilejów w Las Vegas - ciągnął Faraday. - Zakładam, że tę sprawę będziesz chciał zachować dla siebie.

- Oczywiście.

- A co do zakupu Apeksu, ludzie z zarządu funduszu powierniczego Straziego naciskają coraz bardziej na dobiecie targu.

- Doskonale. Obawiałem się trochę, że mogę zmienić zdanie.

- Firma Morgana Stanleya kończy kompletowanie dokumentacji do sprzedaży Laurel Energy. Wyrażają się dość buńczucznie co do wysokości naszego zysku z tej transakcji.

- Kontaktowałeś się z ojcem Wrighta?

- Tak. W ogóle nie chciał rozmawiać o Davidzie.

Gillette smutno pokiwał głową.

- Christianie? - Z interkomu doleciał jak zawsze zniekształcony głos Debbie.

- Tak?

- Allison chce się z tobą zobaczyć.

Faraday uniósł wzrok do nieba i wstał pospiesznie.

- Wciąż jesteśmy umówieni na dzisiejszy lunch?

- Jasne.

- Nie chciałbym ustępować pierwszeństwa pannie Wallace.

Gillette pokręcił głową.

- Nie masz się czego obawiać, Nigelu. Zawsze będziesz moją prawą ręką.

- Tak, tak, słyszałem to już nieraz.

- No proszę - wycedziła Allison, minąwszy się z Faradayem w ciasnym przejściu. - Wrócił nasz wojowniczy bohater.

Gillette nie zdołał się powstrzymać od triumfalnego uśmiechu.

- Pewnie jesteś z siebie strasznie dumny?

- Przede wszystkim się cieszę, że mogłem tu wrócić.

Allison usiadła na krześle i pociągnęła nosem.

- A więc podejrzewałeś mnie o współpracę z mafią, zgadza się? - zapytała oskarżycielskim tonem.

- Po dwóch nocach spędzonych pod gołym niebem nie byłem już ani

trochę pewien, komu mogę ufać - odparł, pochwycając jej przelotne spojrzenie na jego lewą dłoń. - Przede wszystkim starałem się utrzymać przy życiu. Ale możesz się nie obawiać, nie popełniłem żadnego głupstwa na Antigui.

- Nie rozumiem.

- Nie ożeniłem się.

- O czym ty mówisz?

- Spojrzałaś na mój serdeczny palec. Zauważyłem to.

Uśmiechnęła się.

- Poważnie? Jesteś taki spostrzegawczy?

- Owszem.

- No cóż, dlaczego niby ślub to popełnienie głupstwa?

Wzruszył ramionami.

- Powiedziałem to odruchowo, bez zastanowienia.

- A więc nawet się nie zastanowiłeś? - syknęła prowokacyjnie. - Czyżbyś jej nie kochał?

Gillette się zawahał.

- Skąd to podejrzenie?

- W końcu jest przeurocza, tysiące fanów w całym kraju w głębi serca zapewne wyznaje jej teraz miłość. Naczytałam się wczoraj w gazetach recenzji jej nowego albumu. - Uniosła rękę i nie wiadomo dlaczego pogroziła mu palcem. - To przecież obiekt powszechnego pożądania.

- Rzeczywiście wygląda oszałamiająco.

- Oczywiście wiadomo, jak łatwo jest teraz obrobić elektronicznie każdą fotografię, zamaskować wszelkie niedoskonałości...

Gillette uśmiechnął się szeroko.

- No cóż, panno Wallace, nigdy bym nie podejrzewał...

- Przyszedłam, żeby ci przedstawić ostatnie zdarzenia - przerwała mu szybko. - Otóż sprawa Veramaksu posuwa się szybko do przodu. Rothchild jest już członkiem Racquet Clubu, zatem nowe produkty firmy znalazły się poza kolejnością do weryfikacji przez Federalną Komisję Leków.

- No właśnie, i w ogóle...

- Jesteśmy umówieni na spotkanie z tym właścicielem spółki leasingowej z Pittsburgha. Na środę, dziesiąta, tutaj.

- Doskonale.

- Poza tym mam dwie nowe propozycje na etapie wstępnego rozpoznania, więc na razie nie będę wchodziła w szczegóły. Zapewne będę ci je mogła przedstawić za kilka dni.

Zajrzała do swojego notatnika. Zachowywała się jak wprawny zaklinacz deszczu pieniędzy.

- Zawiadomisz mnie, jak będziesz wiedziała coś więcej.

Wstała natychmiast.

- To wszystko. Może w którymś momencie umówimy się na lunch.

- Hej - rzucił za nią, gdy była już przy drzwiach.

- Słucham.

- A co z twoimi warunkami? - Podniósł się z miejsca i wyszedł zza biurka.

Odwróciła się do niego.

- Jakimi warunkami?

- Chodzi o te sprawy, które podobno musiałaś załatwić, nim zdecydujesz, czy wejść do zarządu Everestu na pełny etat.

- Ach, tak... Czemu cię to ciekawi? - spytała, ruszając w jego stronę.

- Bo wydaje mi się, że jesteś bardzo dobra - odparł szczerze. - Znajdujesz posłuch u podwładnych... - westchnął krótko. - Naprawdę któregoś dnia mogłabyś przejąć prezesurę Everestu. Zwłaszcza teraz, gdy David przestał się liczyć...

Allison uniosła wysoko brwi.

- O rety...

- Wcale nie żartuję. Wiele myślałem na ten temat. Niczego nie mogę ci jeszcze obiecać, ale mówię szczerze, że wiele przemawia na twoją korzyść. - Uniósł w górę obie ręce. - Zastanów się nad tym. Robiłabyś to wyłącznie na własny rachunek, niezależnie od majątku rodzinnego. I

cieszyłabyś się olbrzymim szacunkiem.

- To prawda.

- A więc? - zapytał wyczekująco.

- W gruncie rzeczy mam tylko jeden warunek - odparła po chwili zastanowienia wyraźnie stłumionym głosem.

- Jaki?

- Że nie ożenisz się jeszcze przez pół roku.

Zrobił krok do tyłu, zaskoczony.

- Dlaczego?

- Nie muszę ci tłumaczyć, dlaczego stawiam taki warunek. Miałam tylko odpowiedzieć, czego dotyczy.

Pokręcił głową.

- Jesteśmy współnikami w zarządzie firmy. To jedyne, co mogę...

- Godzisz się na mój warunek czy nie? - zapytała ostrzej.

Zamyślił się na kilka sekund.

- W porządku. - I tak nie zamierzał na razie się żenić. W końcu przy sięga wierności nie oznaczała jeszcze małżeństwa. - Ale to jedyny warunek, prawda? Jeśli przystanę na niego, zgodzisz się podpisać kontrakt i dołączysz do zespołu?

Odwróciła się i ruszyła do wyjścia.

- Allison?

Zatrzymała się przed drzwiami.

- Jeśli tylko umieścisz w tym kontrakcie klauzulę, że nie ożenisz się przez pół roku. Chciałabym to mieć czarno na białym. - Puściła do niego oko i wyszła.

Stał jak osłupiały pośrodku gabinetu, spoglądając za nią. Allison chciała zobaczyć tę klauzulę w kontrakcie tylko po to, by zaświecić nią w oczy Faith, żeby wykazać wszystkim, do jakiego stopnia potrafi go sobie owinąć wokół palca.

Pokręcił głową, cofając się do biurka. Oto znowu sytuacja, która budzi podejrzenia, że za wszystkim kryje się drugie dno. A może Allison chciała po prostu, żeby przez te pół roku bardziej skoncentrował się na pracy? Czy może na swój sposób próbowała mu odmówić, pewna, że nigdy się nie zdecyduje, by uzależnić służbowy kontrakt o pracę od jakichkolwiek zdarzeń z życia osobistego?

Usiadł i wrócił do przeglądania materiałów, które wcześniej podrzuciła mu Debbie. Ale mógł się skupić na lekturze zaledwie przez kilka minut. Kiedy podniósł głowę i spojrzął na drzwi gabinetu, uśmiechnął się do swoich myśli, gdyż dominowały w nich jednocześnie Allison i Faith.

Zawsze są sprawy wymagające trudnych decyzji, przemknęło mu przez głowę. Ale przecież olbrzymia większość mężczyzn byłaby gotowa zabijać, byle tylko nie mieć większych zmartwień niż ja.

OD AUTORA

KILKA UWAG DOTYCZĄCYCH NANOTECHNIKI

Po raz pierwszy usłyszałem o nanotechnice od mojego serdecznego przyjaciela Matta Malone'a, który jest pracownikiem średniego szczebla w prywatnej firmie inwestycyjnej i czyta chyba wszystko, co mu wpadnie w ręce. Ostatnio wpadł mu w ręce artykuł w pewnym czasopiśmie popularno-naukowym, przedstawiający potencjalne zastosowania nanotechniki w wojskowości, to znaczy perspektywy stworzenia superżołnierzy zdolnych do osiągnięcia takich wyników w konkurencjach siłowych i wytrzymałościowych, o jakich zawodowi sportowcy mogą obecnie jedynie marzyć.

Gdy tylko Matt powiadomił mnie o swoim odkryciu, przeprowadziłem drobny rekonesans i szybko odkryłem, że jest to naprawdę fascynujące zagadnienie. Zadzwoiłem do innego przyjaciela, Teo Forchta Dagego, który jest nie tylko neurochirurgiem, ale i świeżo upieczonym agresywnym kapitalistą. Tea okazał się niezastąpiony w zakresie pomocy technicznej i zapoznał mnie z innymi specjalistami w tej dziedzinie, toteż wkrótce miałem pasjonujący temat do wykorzystania w swojej powieści.

Wręcz niewiarygodne wydają się perspektywy z biologicznego punktu widzenia (który w zasadzie jest jedynym możliwym na obecnym etapie). Jeśli nanotechnika pozwoli na wydłużenie ludzkiego życia o dziesięciolecia, ale jeszcze dłużej zrodzi to dręczące pod względem socjologicznym pytania. Najważniejsze z nich brzmi: Kto najbardziej skorzysta z tych osiągnięć? Czy tylko najbogatsi? Bo jak w wypadku każdej nowej

techniki i ta będzie początkowo wymagała olbrzymich nakładów finansowych. A może nasze władze podejmą jakieś starania, by od razu stała się powszechnie dostępna. To, rzecz jasna, pociągnęłoby za sobą olbrzymie koszty. A co by było, gdyby nanotechnika od razu stała się tania i każdy mógł sobie pozwolić na takie czy inne jej zastosowanie? Czy wtedy zaczęłyby masowo plajtować przedsiębiorstwa pogrzebowe, a firmy ściśle związane z miejscowościami wypoczynkowymi przeżywałyby niespotykany rozkwit?

Jeśli chcecie nieco bardziej zgłębić ten temat i poczynić własne obserwacje w tym zakresie, proponuję na początek odwiedzić kilka podanych niżej doskonałych stron internetowych:

[ivwww.nanotech-now.com](http://www.nanotech-now.com)

www.nano.gov

www.nsti.org

www.nasatech.com

Życzę miłej zabawy! - Stephen Frey
Czerwiec 2005